

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

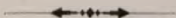
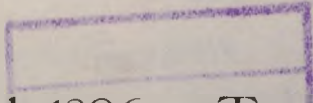
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 224.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1896. — Tom IV.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Nowo-Zielna Nr 49.

—
1896.

4620. 1896. 4

II



30000, /

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Сентября 1895 года.

X-14325
4620 / II 4.
1896

Obrazki staroszlacheckie.

W przewrotach umysłowych, politycznych i społecznych stu lat ostatnich zaniknął świat staroszlachecki; świat ciekawy, pełen animuszu i fantazyi, ofiar i występków, wylanej miłości i nienawiści skrytej; świat pełen cudów i dziwów, sprzeczności i nielogiczności, nagłych przeskoków i torów ubitych; świat, naprzemiany rozpasany i skromny, dumny i korny, rozrzutny i skąpy, nieuczynkowo twardy i niewieście mięki, hałaśliwy i cichy, barwny i szary; świat, odrębny od wszystkiego, co go otaczało, anomalia, niestety, i anachronizm, w ładzie europejskim... świat, którego podwaliny sięgały dalekiej przeszłości, choć dopiero za Jana III i Sasów ostatecznie się rozwinął, a zarazem wysilił.

W osobliwszym tym świecie kojarzyły się, czasem w jednej osobie lub instytucji, najniezgodniejsze pierwiastki. W parze z wszechpotężnym wpływem magnatów, z zawisłością szlachty, z czepianiem się klamki dworskiej, z najcierpliwszym znoszeniem najnieznośniejszych kaprysów i fumów pańskich, układały się równość szlachcica a wojewody, i braterstwo wszystkich, jakby między członkami jednej

rodziny, wyrażane owym, gdzieindziej nieznanym, terminem „braci,” uderzającym obcych i swoich już w szesnastym wieku, uchodzącym za mistyczną oznakę, zespalającą naród szlachecki, jak zespałał pokolenia izraelskie obrządkiem i wyznaniem.

Obok skrupulatnej religijności, przeświadczonej o specjalnym dozorze Opatrzności nad byle krokiem i ruchem człowieka, karcącej każde złamanie postu, każde opuszczenie Mszy świętej, każde odmówienie jałmużny natychmiastowem niepowodzeniem, chorobą lub klęską, ileż-to razy trafiamy na używanie wszelkich, choćby najmniej godziwych środków, naginanie i deptanie sprawiedliwości, jawne naigranie się z przykazań Boskich i ludzkich, byle postawić na swoim, byle poniżyć bliźniego, byle zagarnąć jak najwięcej dóbr i wpływów. Obok wyuzdanej samowoli, rozbijającej się nie o prawo i rządy, lecz o równą samowolę drugich, nie liczącej się więc z niczem, chyba tylko z siłą — szanowanie prastarych tradycji, poddawanie się rygorowi familijnemu, niewylamywanie się z pod nieukróconej tyranii rodzicielskiej, trawiący niepokój, by niczem nie splamić herbowego klejnotu.

Obok przejęcia się zasadami republikańskimi, obok gardłowania za złotą wolnością, obok wychwalania „nego syna koronnego” i jego zasług obywatelskich, obok ciągłego przykładania miary cnót starogreckich i starorzzymskich do osób i czynów najniepokazniejszych — kompletne domatorstwo, nieinteresujące się żadnemi sprawami Rzeczypospolitej! sobkostwo, goniące jedynie za obłowem, kupczenie osobami, związkami i wpływami, nieuznawanie jakichkolwiek obowiązków względem państwa, okradanie publicznego grosza systematycznie, sprzedajność sądów, zrywanie sejmów, rzucanie rozległych ziem bez wojska, skarbu i rządu na pastwę losów. Obok wielkiej osobistej odwagi, powszechnej zręczności w używaniu broni i cenienia wszelkich przymiotów marsowych, najpiękniejszej ozdoby szlacheckiej — najzupełniejszy zanik sztuki i rzemiosła wojennego i ducha rycerskiego ¹⁾,

¹⁾ Przytoczmy choć jeden, mniej znany przykład: „Dyaryusz podjazdu mego na Haydamaków z Berdyczowa ekspedowanego r. p. 1749“ (2 arkusze in 4-o) opowiada, jak W. Koniuszy Litewski, uprosiwszy łaski Najśw. M. P. Berdyczowskiej, wyruszył, wojował i zwyciężył, na pamiątkę wiekopomnego dzieła wystawił „stół radziwiłowski na Polesiu kijowskim,” odbierał gratulacye i dziękczynienia z zapewnieniami, jak wielki dług ojczyzna u niego zaciągnęła, jaką miłość narodu sobie zaskarbił, a to wszystko za to, że na czele kilkuset ludzi uwijał się za — piętnastu hajdamakami, nie uczyniwszy im ani sobie szkody. Charakterystyczne są uwagi np. tego rodzaju: „scilicet y to, że w dzień potyczki żaden z Panów Towarzyszów chorągwi nadwornych nie nacierał y owszem po krzakach się krył,” lub oskoczono w polu hajdama-

przeobrażenie wojowniczej szlachty w spokojnych ziemian, splanawczy zboża i drzewa, handlarzy bydła.

Obok nader miernych zasobów umysłowych, czerpanych w szkole, wbijającej Alwara i retorykę, zaszczepiającej obrządkowość i nietolerancję, uchylającej wszelką myśl niezawisłą i nową, obok takich zasobów polerowanych dalej po dworach i folwarkach, po stajniach i łowach, po sejmikach i trybunałach — zarozumiałe pomiatanie wiedzą, ustrojem i życiem sąsiedzkich, nie wolnych, nie szlacheckich narodów; zaskorupianie się w węglach domowych, za murami chińskimi, dzieląciami od powietrza i ruchu europejskiego; cenienie jedynych grubozmysłowych nieciech, suto zastawionych stołów, pijatyki, gwarnego-kuligu czy polowania, żartów rubasznych kwestarzy.

Uspodobienie tych ludzi, zdrowych i krzepkich, nadzwyczaj wrażliwe; skorzy do wybuchów gniewu czy żalu, zarówno do łez i uściśków, jak do przymówek i szabli, zapominają natychmiast o czułościach i swarach, mieniają affekty i względy; w gruncie są miękcy, dobrodusznisi, chwiejni, łatwowierni, towarzyscy, stroniący od samotności, rozmyślań, rachunków sumienia. Miary w życiu często nie znają wcale; utracysze, panowie Urowiescy, albo na Bezdechowie, jak ich zwano, dogadzając fantazyi i ambicyi, wysadzają się na wszelakie zbytki; goniąc za popularnością, lub bez żadnych celów ubocznych, uprawiają niesłychaną gościnność, karmią i panoszą trzody przyjaciół, pasorzytów i służalców, rujnują doszczętnie swe mienie; inni znowu, chewi na grosz, odmawiają wszystkiego sobie i swoim, wystraszą skąpstwem już nie gościa, ale psa i żebraka, okrywają się śmiesznością i pogardą. Próżność ich tworzy niewidziane nigdy urzędy i godności po nieznanym, dalekich powiatach, przenosi niesłychanym w Europie trybem tytuły ojca na syna, odnawiając kasztelanów i cześników w kasztelanicach i cześnikowicach; wylicza skrupulatnie najdalsze kolligacye, byle z Radziwiłłami, byle z Tęczyńskimi; wynosi się chępliwie po nad równych, i nie uznaje ludzi w nieherbowych bliźnich, w szycach, szotach, zamsikach, łykach i chamach.

Z takimi przymiotami i zdrożnościami godzą się ład patryarchalny w domu i po za domem, w rodzinie, z czeladzią, z kmiotkami; przykładne pożycie familijne, unikające wszystkiego, co-by zgorzyc mogło; skromność młodzieży, affekty braterskie, gościnność, skora chęć ku usługom. Korzenie się przed powagą wieku, urzędu i stanu,

ków, tylko dwóch z nich odstrzeliwało się, reszta „w przysidy skakali y na wieczerzą“ pułkownika prosili, uszli też cało. Naiwne to opowiadanie księcia Ulyka stanie za najzjadliwszą satyrę na niegotowość i niekarność polskich szeregów.

pełnienie cnót chrześcijańskich, miłosierdzia, pokory, wstrzemięźliwości. Jednolity tryb wychowania i życia, jednakowe zasady i przesady, rozrywki i zajęcia, skłonności i namiętności, wyrówny wają różnice między fizyognomiami duchowemi; nawet zewnątrz szlachta przedstawia się najchętniej w jednym stroju i kroju. I zacierają się w ten sposób różnice państw i ziem, urzędów i stanów, rodów i familii.

Co najdziwniejsza, świat ten, w gruncie rzeczy, mimo tylu zadań dobra i szlachetności, raczej niepojęty, wykoszlawiony, zepsuty — wypiękniał nam niesłuchanie. Dzięki perspektywie czasu, w jasnym blasku zachodzącego słońca, jaki nań rzuciła poezja, wyrównało się wszystko, co było skrzywione, rozjaśniło się wszystko, co było ciemne, nabrało ruchu i znaczenia wszystko, co było martwe i marne. Patrząc wzrokiem poezyi, nie dopatrywaliśmy tego, co brzydkie i złe, a podziwialiśmy, co dobre i piękne.

Głębsze badanie coraz liczniejszych pomników i pamiątek siedemnastego i osiemnastego wieku wyleczyło nas z przesadnego, jednostronnego uwielbienia starszszlacheckiej przeszłości, odkryło liczne a znaczne plamy. W przechowanych i ogłoszonych dotąd pomnikach i pamiątkach więcej jednak spotykamy rzeczy treści, że tak powiemy, publicznej, obozowych i wojennych, poselskich i trybunalskich, dyplomatycznych i dworskich, lub familijnych; nawet u Paska słyszymy częściej o przewagach na obczyźnie i wojnie, niż o życiu w domu a pokoju; w tak wymownem zresztą dziele Matyszewicza giną obrazki rodzajowe w powodzi procesów, zataigów, intryg, jakie mu życie wypełniały i zatruwały; Kołłątaj nie wybrnął po-za kreślenie stanu oświaty i duchowieństwa; jedyny Kitowicz wyłącznie stroną obyczajową się zajął, nie opowiadał jednak, lecz opisywał i wyliczał tylko.

Nie będzie więc chyba zbyt cennym przytoczyć szereg obrazków, malujących byt i żywot starszszlachecki, nie dworski i publiczny, lecz to o tyle cenniejsze, że wyszły z pod pióra świadka współczesnego myślącego zdrowo i trzeźwo, a kochającego społeczeństwo, nie ślepego na wady, ale też nie czerniącego niezastulenie. Świadkiem tym — Wacław Potocki, zapisujący chętnie w obszernie swe księgi przejęcia i przygody, anegdoty i żarty szlacheckie; im rzadziej sam z po-za dodamowy i wiejski, w najrozmaitszych szczegółach i objawach. Obrazki mu się wychylały, tem gorliwiej w ciągu osamotnionej starości przeżywał on w pamięci, co widział i słyszał, a odnowione wrażenia rzucał na papier w wierszu jędrnym, nieraz twardym, zwykle potoczystym i jasnym, uśmiechając się dobroduszenie, bez zółci, nad ułomnościami braci szlacheckiej, objawiającemi się w domu, czy w gościnie, w fanta-

zyi górnej, czy w niskich popędach, w braku dyskrecyi, czy w zbyt nich ceremoniach. Dobrodusznosc opuszcza starca, humor jego przechodzi w sarkazm, a obrazek rodzajowy staje się groźną satyrą, gdy omawia stosunki braci szlachty, jako panów do chłopą, jako posłów do państwa, jako duchownych do stanu, urzędników, żołnierzy.

Już w „Ostatnich latach Wacława Potockiego”¹⁾ mogliśmy przytoczyć szereg obrazków, przedstawiających gospodarke szlachecką na Podgórzu, nie intratną, choć wymagającą wiele zachodu, bądź zbytnią gościnność, która nie wypuszczała gościa po trzeźwemu przed nocą, narażając go, gdy się wreszcie wydostanie, na skręcenie karku po wertepach i wawozach; to znowu niedyskrecyę gospodarza, przyjmującego gościa niechętnie, mileżkiem, lub morzącego późnym a chudym obiadem, zastawionym z wielką pretensyą; albo częstszą jeszcze niedyskrecyę gościa, nudnego, naprzykrzonego, lub, co gorsza, pijanego, i t. p.

Przytaczamy nowy szereg takich obrazków, wybranych z „Moralioń” i z „Ogrodu” Potockiego, tem cenniejszych, że właśnie dawna poezya podobnych obrazków, idyll, prawie że nie zna. Przeważa w niej satyra, wyszydzanie i karcenie wszelakich zdrożności, wybierające rysy i szczegóły śmieszne lub wstrętne; rzadkie zaś w niej obrazki, jak w niektórych ustępach u Reja i w kilku idyllach u Szymonowicza. Od elementu dydaktycznego, moralizującego, satyrycznego i Potocki nie jest wolny, ale nerw epicki tak w nim silnie drga, poeta tak się lubuje w opowiadaniu szerokiem a obfitem, że morał schodzi niemal na plan drugorzędny: „haec fabula docet” ogranicza się do nagłówka samego, i tylko wybór tematu takiego, a nie innego, dowodzi chęci nauczania i przestrzegania.

Czy wszystkie temata i szczegóły tych obrazków ściśle są prawdziwe, trudno dziś dochodzić; tchną one niekłamaniem życiom i szczerą prawdą, choć miejscami odbiera się wrażenie pewnej przesady, choć niekiedy, zamiast prawdziwego zdarzenia, wplątała się szlachecka tradycya, facecya czy anegdota, choć czasem—parę razy—można złapać poetę na gorącym uczynku, gdy opowiada w pierwszej osobie to, co się przecież nie jemu wydarzyło, lub czego świadkiem naocznym sam nie był. Lecz mimo zapewnień Potockiego, że dwadzieścia poetów, tyleż malarzy i tyleż myśliwych — kopa łgarzy, same obrazy i szczegóły świadczą o prawdzie swą prostotą, niewymuszonością, szczerością;

¹⁾ Por. „Bibl. Warsz.” za lipiec 1895, str. 1 — 34.

odnajdujemy w nich ciągle znajomych ludzi i rysy znajome; widzieliśmy ich, lub choć słyszeliśmy i czytaliśmy o nich.

Rozejrzyjmyż się za autorem w typach szlacheckich, jakie przedstawia; tyle ich jest, i tak są różne, a rzecz o nich tak dalece rozproszona po owych foliantach, że o zachowaniu jakiegoś ładu ścisłego ani myśleć; nie kępujemy się też zbytniem systematyzowaniem.

Zacznijmy od tego, od czego usposobienie Potockiego najwięcej stroniło: od życia nad stan, od owej „fantazyi górnej,” nie liczącej się z zasobami, każącej dziedzicowi jednej wioszczyzny przebudowywać dworek dziadowski na nowomodny pałac, od owej próżności, nadstawiającej czezemi tytułami niepokażność rodu, lub maskującej chudopacholstwo byle jakim srodeczkiem, narażającym w końcu na wstyd i upokorzenie. Pierwszy wiersz, z łacińską maksymą („lemą”) w tytule, przetłómaczoną na końcu, opisuje ową reformę pałacu, w którym wino się leje, choć niema co jeść; drugi powiada o chudopachołku, jadącym parą koni, a udającym jednego za wierzchowca, i o tem, jakiego się sromu napytał:

Na pewną przyjacielską zaproszony radę,
 W stary dom do młodego szlachcica przyjadę,
 Kędym za dziada bywał. Lecz, że indziej wrota
 Przeniósł, długo mi przyszło błądzić koło płota.
 Nie poznałem reformy, począwszy od dachu,
 Całego — oprócz miejsca, na którym stał — gmachu.
 Wejście nie tam, gdzie było przed laty, do sieni;
 Kędy dotąd piokarnia, na izbę odmieni;
 Dziw pełno, bo nowe drzwi w każdej ścienie stawia;
 Stare, którymim chadzał, deszczkami zaprawia.
 Też w oknach, co i we drzwiach, wymysły, też cuda:
 Więcej, większych, niż pierwsze były, dla zbytku da.
 W osobnym piec, w osobnym kącie komiu stoi,
 Gdzie ledwie dziad w browarze abo w kuchni swojej
 Przez rok tyle drew spalił, co wnuk dziś w kilku dni.
 Wszędzie dostatek wina, jak wody ze studni.
 Nie kwadra, pomyślę, żyć tak do jednej wioski.
 Ogród, gdzie krowom trawę żęto, ogród włoski.
 I krów też niemasz, same kucharki w piokarni
 Doją; młodsze na kuchnię szły, starsza do psiarni.
 Jeśliż bydynki w oczu mych były cudowne,

Dziesięćkroć tyle w uszach przezwiska ich słowne:
 Kabinet; Galeryja; Gardaroba; nowe,
 Co u nas alkierz albo kownata, Alkowe.
 Parkany w koło, baszty w nich po wszystkich rogach.
 Pytam, na co? o żadnych nie słycałem trwogach.
 Gorsza egzekucya trybunalska, prawi,
 Bo się dłużej niż orda, zajechawszy, bawi.
 Wielki prawda dostatek, ale tylko wina.
 W izbie stół krótki; w stajni i żłób i drabina,
 Po ścianach rozmaity fożą (modą) wiszą grzebła —
 Cóż? ani ziarnka owsa, ani siana ździebła.
 Ale i wieś, prócz tego, że w swym leży placu,
 Nie uszła, moim zdaniem, w reformie pałacu.
 Bywało w niej dwadzieścia, dziś tylko pięć kmieci
 I to każdemu niemal wierzeł z chałupy zleci.
 Płotu-by, a dopieroż nie pytaj stodoły;
 Same, kędy pokrzywy nie zarostą, doły.
 Chyba które zastawą szlachta trzyma rolę,
 Tam ogrody i brogi widzieć przy stodole.
 Więc nazajutrz, skoro świt, bo sam co jeść niema,
 Wsiadając na wóz, piszę na ścianie to lema:
 Przypomnij, dawny domie, stare sobie wieki:
 Jakoż ci od dziada dziś panuje daleki!

Podobne nieopatrzne budowanie kreśli Potocki we wstępie do
 wiersza: „Wedle stawu grobla:”

Dwór — sroga machina, wieś — przykrył-by rozjazdem,
 Jako drobne sikory pod bocianiem gniazdem,
 Kiedy nad żabą stanie z wyciągniętą szyją.
 W stodole-byś bezpiecznie mógł gonić z kopiją;
 Frymarczył-by się z całym swoim urodzajem,
 Tak wspaniało mieszkając, pan z drugim ratajem.
 Ale się nadewszystko śmiał w gąsiorze, ze stu
 Dziór na chłopów, a nie masz we wsi ich dwudziestu.
 Czy w nie hidrę lerneńską, czy świnię z kiernozy,
 Jako jeden pan, sadza karą nowej fozy,
 Objeżdżając folwarki, — i dobrze tak na nie —
 Miasto dworników, kędy prosiąt nie zastanie?

Gdzie pojrzysz, niwczym kwadry, niwczym proporceyje --
 Byle dosyć uczynić górnej fantazyje

i t. d.

Często wstydu przyczyną fantazyja górna.

Jeszcze siedzę u stołu po obiedzie z żoną,
 Aż słuzały w koralu z presumpcyą oną —
 Rzeki-byś, że wojewodzy, pistolet za pasem:
 „Pan mój kłania, jeśli to nie będzie z niewczasem,
 „I sam stawi Waszmości na godzinę krótką.”
 Spytawszy: czyj? że na czezo, poczęstuję wódką.
 „Jeszcze, rzecze, Jegomość w mili.” Tak wezas daje
 O sobie znać, pomyśle. Aż chłopcy hultaje
 Szepcą, że zostawiwszy jednego u dyszla,
 Na drugim (po wytartej wydaje sierci szla)
 Przyjechał tu i półki sługa u nas bawi,
 O jednym ten Jegomość koniu się nie stawi.
 Każę swoim, żeby go nieznacznie upoić:
 „Szkoda się, rzekę, trudzić, szkoda drogę dwoić.”
 Sługa śpi; pan czekając w niedalekim lesie,
 Spluwa, bo już śródwieczór, siedząc na koleisie.
 Nie wie, co się z nim stało; o jednym też trudno
 Koniu ma jechać; już mu na żołądku nudno;
 Już się przespał; już słońce ku zachodu mierzy:
 Obiecawszy na obiad, omieszka wieczery.
 Tedy się podpierając szablą miasto laski,
 Zostawiwszy przy rzeczach Maćka u kolaski,
 Idzie pieszo Jegomość. Gdzie kondysi zjadli,
 Postrzegli na podwórzu, kupą nań wypadli.
 Obracają go długo, widząc, że człek obcy;
 Aż go ledwie wybiegszy, obronili chłopcy.
 Zaczem wyszedszy witam, i gościowi radem.
 I wedle obietnice czekałem z obiadem.
 „Znać, że coś, rzekę, zaszło Waszmości w tej mierze,
 „Kiedyś miasto obiadu przybył do wieczery.”
 Pyta o swego sługę. „Ledwiem ci go, rzekę,
 „Utrzymał, tak się kwapił, dawszy swym w opiekę.”
 A już stół do wieczery gotują zwyczajnie.
 „Niech konie Jegomości prowadzą do stajnie!”

Chociaż ledwie utrzymać śmiechu w uściech zdołam,
 Niech im goły co prędzej obrok dadzą, wołam.
 Aż ów: „Braciszku, rzecze do mojego sługi,
 „Tylkoć tu jeden mój koń, niedaleko drugi —
 „Lecz i tanten, upewniam, nie stawi się, aże
 „Drogę mu ten, który tu wprzód przyszedł, pokaże.
 „Każ memu pijakowi, niech-by już zaniechał
 „Wczasu, a na tym koniu po kolasę jechał.”
 Ale skoro do żartów przylejemy wina,
 Przyzna się do swojego konceptu chudzina,
 Że uzdeczkę z kołbaką wożąc chciał dwie wronie
 Za jedną chwytać nogę, rozerwawszy konie.
 Aż on sługa do izby. „Dobrześ, rzecze, sprawił!”
 „Trudnom miał jechać, gdy mię Jegomość zabawił.”
 „Powiedzioc było, żeś mię o jednym na bloniu
 „Zostawił, wyprzągłszy mi naręcznego koniu.”
 „Przyznam, żeś się sekretu, bom tego nie widał
 „Jako żywy, wydawać pana swego wstydał”
 „I u mnie nie obaczysz od tych czas. przysięgę,
 Rzecze pan, aż sobie sześć koni kiedy sprzęgę.”

Chudzina, widocznie dobry chłopak, i nauka w las nie pójdzie; in-
 ni za to, niepoprawni, wysadzają się na co ich nie stać, i choćby w ty-
 tułach *wiele rzeczy z jednej robią*, co poeta w wierszu pod tymże na-
 główkiem wyśmiewa:

. Zwłaszcza chudzy pachołcy ani zasłużeni,
 Niż rodzenie szlacheckie, drożej tytuł ceni.
 Jakikolwiek, choć niema pożytku trzech groszy,
 I niem się nad prostego szlacheica kokoszy. ...
 Choć i dziesiątek będzie cześników, podczaszych.
 Choć i z obcych województw: ujdzie czasów naszych.
 Nietylko tam nic ni ma, ale w której stronie
 Nie bywszy nie wie, w Litwie czy powiat w Koronie.
 Śmieszniejszą jeszcze powiem: niemali faworu
 Uprosić, za co kupić, urzędu u dworu,
 Oknem trafi, ode drzwi zastąpisz-li pysze:
 Imion i przezwisk sobie kilkoro przepisze.
 Mało nań jedno krzczone i przezwisko z dziada,
 Herbem abo wioskami tytułu dokłada,
 Okrom tej, z kąd się jego zowie parantela,
 Że się tylko na kmieci swoich nie ośmiela!

Owo udawanie i sadzenie się, ów brak prostoty i szczerości uwydatnia się i indziej, szczególnie w owem ceremoniuwaniu i krygowaniu się, niejedzeniu bez ciągłej przynuki, niewypełnianiu prostej prośby, jeśli jej stokrotnie nie powtórzysz, obwijaniu najdrobniejszej rzeczy w szerokie a niepotrzebne quamquam (aryngi, przemowy). Próby tej parafian styczyny, uchodzącej w pewnych kołach długo za jakiś wytworny ton, szczególnie u kobiet, daje Potocki nieraz, np. w wierszu o obowiązkach gościa i gospodarza:

... Będzie też zaś gość drugi, choć się ztąd galantem,
 Ja go mogę nieszczerym nazwać sykofantem:
 Zastaw stół, postaw przedni wino abo piwo,
 Nie będzie jadł, nie będzie i pił, jako żywo.
 Choć się mu chce jeść, ledwie niekażdy kawatek,
 Choć pić, ledwie nie każdy wpraszać weni michatek (łyk, haust);
 Inaczej cię, choć natka kiszki jak burdziuki,
 Oszezeka, że dostatek za psa bez przynuki.
 (Było szto jesty, pity, przynuki ne było):
 Na prezentę gościowi pokazał, chcąc, żeby
 Widział dostatek, sobie schował od potrzeby.
 Jakoż będzie gospodarz drugi taki sknera
 Tydzień żyw tym, co z stołu przy gościu nazbiera,
 Lepiej się ten dwa razy moim zdaniem sprawi,
 Co niedostatku swego ochotą nadstawi.

Daj to psu, co masz na myśli.

Natura, czy to idzie drugim ludziom zrzęda,
 A zwłaszcza białym głowom, że kiedy usięda
 Do obiadu, nie chcą jeść, choć im co smakuje,
 Na co prosi, i czym ją gospodarz częstuje...
 Że nie z dobroj swej woli, że nie sama bierze...
 Jeśli też do ust włoży, to bardzo po kąsku...
 Jedz ty w moim, choćem ja nie jadła w twym domu...
 Śniadania, podwieczorka, nigdziez jej nie noście,
 W swoim go domu jada, zwłaszcza sąli goście...
 We wszystkimoście pyszne, moje drogie paniel
 Jednak że to nikomu nie szkodzi, tylko wam,
 Jem u nich, wolno pościć u mnie białym głowom...
 Jem kuropatwę, choć kto nie chce u mnie gąski:

Bodaj większą nie jednać rzeczą przyjaźń czyję,
 Tylko tym, że się najem smaczno i napiję.
 Nie same to niewiasty i mężczyźni bredzą
 Sykofantą, gdy w swoim domu tylko jedzą,
 A zwłaszcza dygnitarzom, ziemiańskim obiadem
 Powagi swej naruszyć, nie było-by ładem:
 Woli, choć co wiedzieć, czym kielbasa nadziona,
 W karczmie, niż u szlachcica na ryżu kapłona.

Co było ciężko począć, nie chce się pokinać.

Więc po barszczu kapłona zjadшы i kielbasę,
 Tokajskiem winem głowę zagrzejemy w krasę.
 Proszę, która z sąsiadą gościła, panienki,
 Wiedząc, że w tym ćwiczona, że miała głos cienki,
 Żeby nam zaśpiewała, oraz piję do niej;
 Ale ta nic, tylko się wypiwszy, ukloni.
 Proszę znowu, oddawszy drugi joj kieliszek.
 Powie, że dla śpiewania nie była u mniszek.
 Nie przestanę ja prosić, rozkazować pani —
 Pije tylko chudziątko, śpiewać ani ani.
 Dopiero ją krząkać, spluwać, stroić fochy,
 Skoro kupić jedwabne obiecą pończochy.
 I pocznie o człowieka grzesznego upadku.
 Już, rzekę, adwent minął, mięsopust w ostatku,
 Post za pasem, gdyby co o Maćku z Dorotą,
 Co się dziś w mojej karczmie przy gorzałce gniotą.
 Dopieroż moja panna gardziółek rozpasze,
 Czego dotąd i karczmy nie słychały nasze,
 Co jej ślina przyniesie....
 Aż naostatek z Prychną zaśpiewa nam Bienia.
 „Już, rzekę, mościa Panno, dosyć tego pienia,
 „Dość łaski, czas-by sobie, czas gardłu odpocząć.”
 Aleć jej trudniej przestać, niżli było począć.
 Tak bardzo rozkomosi (rozbawi się), tak bardzo rozrucha,
 Że ni perswazyjej mojej ani słucha
 Swej rozkazania paniej; nie przestanie kawieć (drwieć, pleść),
 Aż do pończoch obiecą sznurówkę jej sprawić.
 Bies dla jednej roboty dwakroć widział tracić;
 Drogo początek, jeszcze drożej koniec płacić.

Gdy się ta Mościa Panna tak długo prosić dawała, raz, by zaczęła, drugi raz, by przestała, sarka poeta w innem miejscu, z tłómaczeniem przysłowia łacińskiego w nagłówku, na zbytnie ceregiele sąsiada, proszącego o drobnostkę:

... Przyjechał do mnie sąsiad. Radem mu zwyczajnie,
 Więc proszę, żeby konie wiedziono do stajnie,
 (Bo mię zastał na dworze); toż w domowe ściany
 Proszę bez ceremonii; idzie zadumany.
 Siadшы, żeby na ustęę szli, na sługi skinie.
 Już-ci mi coś, pomyślę, pewnie z domu zginie:
 Pieniędzy chce pożyczyć abo dziewosłębi.
 A ten słów i konceptu co może najgłębi
 Zdobywszy, pocznie *quamquam*. Wysławia mie wprzody
 Z ochoty, z przyjacielskiej w potrzebie wygody.
 Kłaniam się i sam tego nie przyznaję sobie,
 Żem jeszcze nie był na tej u Waszmości próbie,
 Za pierwszą okazyją jednak to pokażę,
 Jako łaskę sąsiedzką, jako przyjaźń ważę.
 Słucham, do czego zmierza ona oracyja,
 Gdzie na pół słowa polskie z łacina przewija.
 Skoro do konkluzyjej tak długich rozwodów —
 O grefiki do swoich prosi mię ogrodów.
 Śmieszno mi, lecz śmiech trzymam, gdyż tego nie warty
 Latorośli. Zaś myślę, czy ze mnie nie żarty?
 Zaś uważam, że na coś większego zakroił,
 Ale rozmyślił, widząc, żeby kozła doił.
 Cóż po tej ceremonii? nie gałązki małe,
 Gotówem drzewa kopać dla przyjaźni całe.
 Więc chcąc go wyrozumieć, każę przynieść wina.
 Aż za każdym kieliszkiem podobną wypina
 Oracyją. I nogi bołą mię i uszy,
 Ledwie pijąc za zdrowie umarłych się ruszy.
 „Nie lubię szewca, rzekę, co na małą nogę
 „Wielkie kraje cholewy; temu równać mogę
 „Człeka, który o podłej rzeczy długo gada.
 „Kwituję z konwersacyi takiego sąsiada.”

Niewyczerpanym w kraju gościnności tematem jest stosunek między gospodarzem a gościem, brak dyskrecyi w jednym, czy drugim; za-

poznaliśmy się już wyżej z waryacyami tego tematu: teraz przytaczamy jeszcze kilka, o skąpym gospodarzu, co sam zjada pieczeń (niezwykły dla niego przysmak), na jaką gościa zaprosił, i o drugim sknerze, traktującym szczerze winem skwaśniałem, a jako pendant do takich gospodarzy, gości znowu, cheiwych na łakome kąski i dobre winko, i zapominających o wszelkich względach przyzwoitości; nakoniec przy dłuższą śmieszłą historję o niegościwym gospodarzu i o niefortunnym ukrywaniu się jego w korycie, choć historia ta raczej na anegdotę, niż na prawdziwe zdarzenie zakrawa.

Dawszy ofiarę, sam ją zjadł.

Odważył się sąsiad mój, nie jadszy go póty,
Kupił w mieście pieczonkę i mięsa dwa szróty.
Prosi na domowego i mnie też jelenia:
Kto nawyknie wątrobie, dziwna mu pieczenia.
Choć pieniędzy, na dobrej wsi siedząc, nazobie,
Trudno miał być rad gościom, żalując sam sobie.
Więc że i on z łaski swej jadał często ze mną,
Jadę, żebym chęć chęcią oddał mu wzajemną.
Bardzo krótki do stołu aparat, atoli
Dosyć na gospodarza chleba dać a soli,
Byle, rzekę, ochotę półmisków nadstawił.
Jednak widzę, że i w tej grubijan pokawił:
Żre sam, jakby wyssaną z psiarnie wywarł sukę,
Jako wilk wyłacniały, piątą mięsa sztukę;
Srogie tka w gardziel, zęby minąwszy, kawalec;
Po same spery liżąc w gębę wtyka palce;
Gościa rurą odbywszy, kości pod stół ciśka.
Sięgnął-bym, ale nie masz po co, do półmiska.
Darmo siedzi i żona i kilkoro dzieci,
A mnie co raz: „Nie masz nic do smaku Waszeci,
„Choć, patrząc na mnie, mógł-by apetyt przystąpić.
„Podobno piwa trzeba — niech rychło dadzą pić.”
Chciało mi się, go z szkleńce wlawszy w owę rurę,
W łeb mu nią dać. Tymczasem chudą niosą kure.
„Dojedzcie, rzekę, panie sąsiedzie, ostatka.
„Mogliście zjeść swój obiad, nie miawszy mnie świadka.
„Jest apetyt, lepszy być nie może o piątku:
„Nieszczęścież po nim w gębie, gdy pustki w żołądku.

Pierwej chartom, potem ogarom.

Miałem gośćmi usarżów, aż też szarapatka
 Jeden sąsiad mój, widząc, se się trafia gratka,
 W rzeczy mając potrzebę, jedzie po mszej, żeby
 Najadł, napił się wina, bo nie miał potrzeby.
 Jakby go z chlewa wywarł, żre, kieliszki zcedza.
 Do każdego półmiska wszystkich nas uprzedza.
 Markotno zrazu, potym i dziwno było mi,
 Że tak ludzie mogą być grubi, tak łakomi,
 Szlachta zwłaszcza, gdzie małe w polityce dzieci
 Ćwiczą, choć ją u drugich widzujemy kmieci.
 Karczmy, jarmarczki winne, gdzie zasiadły z gbury
 Na gorzałce, zapomnią szlacheckiej nutury.
 Tymczasem sługa parę kuropatw postawi.
 Aż on z jedną na talerz, właśnie ją zaprawi.
 Myślę, alećby pierwej tak grubemu chłopu
 Na ręce niż na ptaki trzeba wlać ukropu.
 „Szkoda się, rzekę, tłuszcic, młodszy kto to zrobi.”
 Lecz gdy ją ten do gęby, nie do masła, drobi —
 „Ztąd znać niemyśliwego, bo, rzekę, myśliwi
 „Nie tak są na zwierzyne, jak Waszeć, łapczywi.”
 A towarzyszy; „Bo i ztąd, niedawno psom parzy,
 „Wzdy nie wie, że wprzód charci jedzą niż ogarzy.”

Z d a r z B o ż e !

Kilkanaście lat chował skępiec beczkę wina,
 Na narodzenie tylko raz Bożego Syna,
 Drugi na Zmartwychwstanie, że to sam Bóg syci,
 Uwierzonym kosztował naparstkami po nici.
 Jeżeli kapka upadła, ledwo nie ogryzał,
 Lecz od wierzchu do spodu beczę z płośni lizał.
 Aż skoro też poczęła dużo octem grozić,
 Każę kilkakroć na targ do Krakowa wozic.

Jednak do wielkiej przyszła beczka ona wzgardy,
 Gdyż tylko zażywają octu do musztardy.
 W tym na krzciny w dom jego zjechali się kumi,
 „Już też, rzekę, ten skępiec koniecznie zaszumi.“
 Dadzą flaszkę kwartową dopiero z poczętej.
 Aż ów rzekszy: Boże zdarz. zacznij komplementy,
 Na zdrowie naprzód Pańskie, tak dobrem, tak starem,
 Do mnie półkwaterek obieca puhairem.
 Wypiwszy, nic nie marszczy i wąs zawieszysty
 Osysa, choćby tylko dzieciom pić na glisty.
 Wezmę w usta, szczyry kwas. w uszu mi zadzwoni.
 Świeczki w oczach, ledwie krew nie wysiknie z skroni.
 Postawię, aż gospodarz; pewnie żołądkowe?
 „Przyznaję, ale oraz i wielkopiątkowe.
 „Przypominać od żydów pańskie dyscypliny,
 „Jednak się żadną miarą nie godzi na chrzciny.“
 Że gęś stała na zimno, przyniesiona z dworu,
 Należę tego wina w nie miasto saporu.

Rzadko ucziwo z pożytecznem bywa.

Grzeczny jeden a, co rzecz, starosta dostatni,
 Korzystając w affektach i przyjaźni bratni,
 Wielkim kosztem częstował, gdzież też siedział i ja.
 Więc gdy przy dobrej myśli co żywo podpija,
 Krzyczą wiwat! kolejna za kolejną jedzie,
 Widzę różne humory przy owej biesiedzie:
 Ci psy, ci damy, drudzy wojenne odwagi
 Wspominają. Aż jeden dwa duże bukłagi,
 Każdy pod stół chłopięciu poddając kieliszek,
 W rzeczy pijany, winem nalął, miasto kiszek.
 „Nie zwyczaj, rzekę, Panie, nie czyni braciej sromu.“
 „Przebacz Waszecz, odpowie; nie pijam go w domu.
 „Tu pókim mógł, pótym pił, niewiele wykraczam,
 „Kiedy wino do bębna, miasto brzucha ztaczam.
 „Pozwoli i gospodarz, uważwszy, taszę;
 „Wolić, że go wypije, niżeli wykrztuszę.“
 Nazajutrz, skoro goście zejdu się proszeni,
 Aż i ów, swe bukłagi zostawiwszy w sieni,

Wieżie się za stół, chociaż nieczytany z karty,
Tylko że z bębnow zbity obrączki u warty.

Pijany a dziecię prawdę powie:

Mając czas i pogodę z opobólniej zmowy.
Z ograniczonym sąsiadem wyjechałem w łowy,
Wziąwszy dla psów osypki, dla myśliwców kasze,
Schowawszy na inny czas inne knieje nasze.
Żebyśmy się ucieszyć w polu mogli snadniej,
Wybraliśmy się wozem z domu na kilka dni,
Które skoro nam w lubej krotofilii miną,
Skoro wóz nałożymy ptastwem i zwierzyną,
Powracamy do domu. Więc, że była blisko
Więś szlachecka, nie pomnę, co jej za przezwisko,
Południe nadchodziło, wyciągnąwszy z boru
Ogary, prostym szermem jedziemy do dworu.
Świeżo był wdowcem został pan onego domu;
Miał tę wadę, że nie rad u siebie nikomu.
Postrzegszy gości oknem, wielkie widzi błędy,
Ani się schować, ani uciec mu którądy —
Bom już wchodził do sieni, bo wieprza zabito,
Stało w izbie przy ścianie na poście koryto:
Tym go chyżo przykryje wedle pieca mamka,
Słyszac, kiedy izdebną zapadała kłamka.
Pytam, jeśli pan domu? a ta: jeszcze rano
Pojechał do folwarku, kędy sieką siano.
Gdy to było w jesieni, myślę, że mnie błażni.
„Jakożkolwiek, odpowiem, w nadzieję przyjaźni,
„Mając gotowy ogień, jest gdzie warzyć, gdzie piec,
„Gotuj jeść, będziesz miała na krakowski czepiec.”
Więc jej dawszy kapłonu, bo nam czas był krótki,
I pare piec kuropatw, siedziemy do wódki.
Biegał jego po izbie we czterech lat synek.
Skoro dano kapłona, temu w upominek
Dam kolanko, wsadziwszy przy sobie na ławkę,
A chłopię w skok: Tatusiu, mam ja, mam buławkę.
Skoczywszy z ławki, prosto szło do onych niecek,
Kończąc w nie buławką: trzeba się strzedz dzieceek...

Domyśliwszy się, spojrzę po sobie z uśmiechem,
Kazawszy zatknąć parę kuropatw z pośpiechem,
Każę i myśliwcowi, że już ukrop zwierzę,
Żeby się dla psów tego koryta napierał.
Tedy rzecz zrozumiawszy, wielkim głosem pyta,
Jeżeli-by nie mógł wziąć psom tego koryta?
Nie każę ja, i owszem, że go szkoda brukać —
Inszego gdzie po stajniach i po chlewach szukać.
Przyjdzie znowu po chwili, że szukając wszędy,
(Chociażby mógł) nie może znaleźć go niktędy.
To też trudno mam tego koryta pozwolić,
Na którym, jako widzę, wieprza będą solić.
Niesąsiedzka, złość czynić w cudzym domu dla twej
Gnuśności, szukaj znowu. Póki kuropatwy
Na różnic, póty było mej z myśliwcem przeczo.
Psi się dawno najedli. Skoro się dopiecze —
Tymczasem się dobrego napijamy wina —
Przyjdzie ów i tak głosem: nie ze mnie przyczyna,
Że charci i ogarzy w tak dalekim chodzie
Wynużeni do psiarnie nie zajdą o głodzie.
„Tylko mi go wymyście, gdy tak nieporządny,
„Ten pan,” rzekę (który już wycierpiał dzień sądny)
Słyszuc one dyskursy, pocił się tak w łaźni
Niesłychanego wstydu, okrutnej bojaźni.
(A nas ani z ogary ani pole z charty
Nigdy tak, jako z błazna nie ucieszą zarty).
Toż dwu myśliwców wzięwszy koryto za rogi
Dźwigną, aż on pan leży wyciągnąwszy nogi.
Skoczywszy ja do niego co prędej z zastola
Witam, a że u niego nasza dobra wola
Przepraszając, braterskie napomnienie przydam,
Obrzydłym i nieczemnym równając go żydam.
Ten gdy się ptaków naje i opije winem,
Żegnając nas, przysięże pod złej matki synem,
Że przed takimi gośćmi nie skryje się więcej,
Gdyżby tego nie zażył na głowie cielecej.
Prosi na noc, lecz darmo i szkoda się dziwić,
Bo się i na wieczery chciał p. zy nas pożywić.
Aleć dobrze, odpowiem, świni w młócie pyskaś
Przed nie perel, przed błazna szkoda zwierzyn ciskać.

Inni niedyskretni nachodzę dom własny, i spodziewają się marnym datkiem skaptować Pana Brata, by się powłókł do trybunału, i tam wbrew jasnej prawdzie na ich korzyść zeznawał; ale już najwięcej niedyskretni w oddawaniu pożyczanych pieniędzy: tu ani po polsku nie rozumieją, i trzeba aż obcego języka, łaciny sądowej, by dług przypomnieli. Pierwszy wypadek opowiada wiersz następujący:

Na inkwizycyją mię drugi do Lublina
 Pozwał; więc że na takich dwieście grzywien wina,
 Kto nie stanie pozwany, choćbym wołał wiereę
 W domu siedzieć, atoli rad nie rad się bierę.
 (Cię szlachtę zabijają, świadkowie pozwani,
 W trybunałach, bo jeżdżą na nie rozgniewani;
 Miasto ochrony, skarży; więcej, niż rzecz sama,
 Prawi; za nie przysięga; miasto prawdy kłama).
 Jedzie ów i sam, prosząc, żebym się nie gniewał,
 Jeszcze za to odemnie przyjaźni spodziewał,
 Że sobie czyni do mnie konfidencyj tyle;
 Czterdzieści tylko cztery do Lublina mile,
 Których dla przyjaciela przyjaźni nie liczy;
 Odwdzięczać mi tę łaskę wielce sobie życzy
 (Chociem żadnej z nim nie wiódł, owszem kilka razy
 Psie kusy nie bez słusznej wyrządzał urazy);
 Oraz uczy, jakie mam świadectwo dać po niem.
 Honorując mię starym, chudym, białym koniem.
 Za konia mu dziękuję, a choćby był kary
 I młody, nie sprzedają enoty ani wiary,
 Nietylko za szkapia siera: w większej u mnie cenie,
 Niż jego substancya, sława i sumienie.
 „Com słyszał od sąsiadów, powiem pod przysięgą,
 „Że waszcę dwór szlachecki odziany siermięgą
 „Dla poznania, najechał, zabrał sprzęt niemały,
 „Stada, obory, owce; że i ten koń biały
 „Może tegoż gatunku, proszę wielce, żeby
 „W swoim, nie w moim domu sprawić mu pogrzeby;
 „Gdyż o lice gra chodzi, mógł-by mi kto zadać,
 „Żem ukradł — a z cudzego i wpół morza zsiadać.
 „Ostatek Waszność, rzekę. zrozumiesz z dekretu.“
 Zedrwił, jakby do niego strzelił z pistoletu:
 „Nie tejem się, rzecz mi, spodziewał przyjaźni.“
 „Choćby najlepsza była, pozew ją rozdrażni.“

„Więc-by się już na takie świadectwo nie trudzić.“
 „Żal ci mi kosztu łożyć, żal i koni chudzić.
 „Jednak, kiedym pozwany, nie będzie-li kwitu
 „Trzeba mi dwom set grzywien lepszego odbytu,
 „Nie Waszności na prawo.“ I musiał do grodu
 Sześć mil kłósać, musiał kwit posłać dla dowodu.

Ja o Pawle, on o Gawle.

Pożyczyłem pieniędzy, bo miał drogę pilną,
 Blizkiemu sąsiadowi, na prośbę usilną,
 Chociem wiedział, że w żadnej prędzej okazji
 Nie zbędzie, kto w przyjaźni nie korzysta czyjej.
 Jako jeśli w potrzebie pieniędzmi wygodził;
 Już się go będzie liszył, będzie go obchodził;
 Niechże mu się upomni długu wedle karty,
 I łaski i przyjaźni zapomni zawartej.
 Czego i ja, dotychczas żywszy z tym sąsiadem,
 Sobie nauką, ludziom niech będę przykładem.
 Piszę, przypominając ustne i pisane
 Słowo, żeby mi były pieniądze oddane.
 Proszę raz, drugi, trzeci, żeby do ruiny
 Przyjaźni nie przywoził, aż on mnie nowiny,
 Co' się dzieje w Podolu, co w Grodnie na sejmie —
 O pieniądzach i słówka. Żal mię najprzód zejmie,
 Żem kiedy sobie ciężko czynił jemu kwoli,
 Gdy mi pisze o czostku, a ja o cebuli,
 O Pawle, on o Gawle. A dalej gniew i z tem
 Łacińskim przez woźnego obsyłam go listem...
 A za się niż po polsku, po łacinie prędzej
 Domyśli, że nie nowin, ale chcę pieniędzy,
 Choćby swój umieć język należało raczej —
 Jednak znajdzie się w grodzie, co go wytkomaczy.

Już w ostatnich obrazkach napotykalismy rysy, mało zgodne z pojęciem o honorze i uczciwości; przytoczymy teraz i takie, gdzie i śladu animuszu szlacheckiego nie dopytamy, gdzie obrazę czynną skromnie przyjmą, bojąc się szabli, albo przechwalając się i odgrządzając nieobecnemu, zmykną z pola, gdy na przeciwnika trafią; iuny przypłaci wreszcie wyrzeczenie się polskiej mody dotkliwym upokorzeniem, jakby za wsadzeniem peruki, pozbył się był serca polskiego:

Jeden ma język, drugi zęby.

Jeszcze była nowina, więc zwyczajną modłą
 Dwu sąsiadów z kościoła proszę na gęś młodą.
 Dano jeśé. Przeżegna ksiądz. Skoro za stół siedli,
 Bywszy im rad gospodarz, prosi, żeby jedli.
 Mało je, prawi jeden, gęba mu nie stanie,
 O ludziach; milezy drugi a je niesłychanie...
 Ten w gębę kładzie, myślę, wyrzuca ów z gęby,
 Temu język natura, owemu da zęby...
 Lecz skoro się mu z owym gruby żart nie zdarzy,
 Utarszy swą obrusem, dosięgnie mu twarzy...
 Są w gębie zęby na chleb, są na gębę w dłoni,
 Jeśli swawolny język ledą co blazgoni (plecio)...
 Już ich myślę rozwadzać, widząc zwadę jawną,
 Lecz jako ten żołądek, ów miał gębę strawną:
 Wino ich i pieczono, pojednało prosię.
 Mniej w sercu niż w języku: puścił to imo się.
 Dobry, spokojny człowiek, choć go wstyd i boli,
 Raz pięścią w gębę, niżli dwa szablą wziąć woli.

Mężny, gdzie nie masz trwogi.

Skoro się o grunt sąsiad z sąsiadem powadzi,
 Mnie się, coby z tym czynić, przyjechałszy radzi.
 Obesłać przyjacielem, jaki zwyczaj wprzody;
 Jeśli będzie uparty, jest prawo, są grody.
 Nie chciał tego i słuchać, „ale co zarobił,
 Do pierwszego potkania, krzyknie, będę go bił“
 (Tak podobno rozumiał, żem mu miał pochlebić) —
 „Lepiej by Panie Bracie mówić, będziem się bić.
 „W równym poczcie jeździecie: taż strzelba przy lęku,
 „Po pięci palców oba nosicie u ręku.“ —
 „Nie może być inaczej, choćby go na funty
 „Płacić, obmierzę mu ja szablą cudzo grunty.“
 Więc gdy sobie inaczej perswadować nie da,
 Tylko zabić, przynajmniej niech się wypowieda,
 Żeby w śmiertelnym — rzekę, przytrzymawszy śmiechu —
 Gdzie o twą duszę chodzi, nie umierał grzechu.

Zje go żywo, pomyślę, taka jego mina.
Z tym odjeżdża, dla serca napiwszy się wina!
Cóż bies pierzy nazajutrz? blisko mego dworu,
Że święto było, oba zjadą się z nieźporu.
Tuś! Tu! Z koni. Suną się do siebie z żelazem;
Wytnie tamten za drugim gębę temu razem,
Co wczora dokazował, od ucha do brody —
Z ostatkiem rycerz z pola uskrobał w zawody.
Pisze do mnie, skarżąc nań, że go posieknął zdradą
Na dobrowolnej drodze, gdy z kościoła jadą:
Bom ja nie chciał świętego dnia krwią jego mazać,
Leda kto może tego, czego on, dokazać.
Odpisuję, żałując tak jako się godzi,
Że nieszczęście po ludziach, nie po drzewie chodzi,
Które nad spodziewanie teraz go potyka:
Tamtemum kejądzą życzył, tobie cyrulika.
A dla drugiego razu, choć ci porwon katu,
Wiedz, że i żyd w złym razie rozgrzesza z szabatą.

Jednym palcem się w głowę urapie.

Galantom jeden ze Włoch, skoro gotowizny,
Wieś przedawszy nie stało, wrócił do ojczyzny.
Srodze się za grzecznego między szlachtą mieni:
Nie stąpi bez grzebienia, bez pudru, w kieszeni.
Zdaleka czuć od niego piżma i perfumy;
Że jednym palcem głowę, w czym wszystkie rozumy
Założył, umie drapać, i swoje nauki,
Bojąc się na nim dwoma pokudlić peruki,
Na której tak wysoki czub w górę wyczesze,
Żeby mogli bocianie słać dzieciom pielesze (gniazda).
Trafiło się, że bankiet senator w Krakowie
Sprawował, na który też galantoma wzwowie.
Ale kiedy sadzają nie wedle humoru,
Tylko jako kto godzien, respektem honoru,
Uraził się, że w Polsce, jako w cudzych krajach,
Nie masz na politykę względu w obyczajach:
Honor leda kto kupi, grzeczność się nam wradza,
I ten znać nie wędrował, kto gości tak sadza.
Aż siedząc wedle niego ktoś humorowaty,
„Kędyż taka błazeńska, rzecz, moda? a ty

„Po coś wracał do Polskiej, czując się nad bracią
 „Grzeczniejszym, którzy jedną siedzimy postacią.“
 Toż go w pysk, usłyszawszy słówko urażliwe;
 A potem w pudrowaną wszystkie palce grzywę
 Zawiedzie, lecz się w szturmie pierwszy raz oszuka,
 Aż skoro z głowy spadła pod ławę peruka,
 Skoro pod nią namaca przyrodzoną wiechę,
 Jako wichur gwałtowny odarł z snopków strzechę.
 A galantom, co dotąd jednym palcem drapał,
 Rad, że się z gołą pałką drzwi z izby dochrapał.

W opowiadaniach tych wino wielką odgrywa rolę; spajanie domowych i gości przybierało takie rozmiary, że nie bez przyczyny Polskę grobem wina węgierskiego nazywano; więc opowiada Potocki w wierszu „W Węgrzech się wino rodzi, w Polsce umiera:”

Kupiec jeden węgierski, mając dobre ze mną
 Zachowanie przez długą uczynność wzajemną,
 Posyła umyślnego, pytając się jeśli
 Pewno, że sejm z Warszawy do Grodna przenieśli,
 Gdyż nieomylnie Węgry były-by u kata.
 Odpiszę, jaka świeżo stanie alternata,
 Że Polacy do Litwy i król z swoją radą,
 Kiedy kolej przypadnie, co trzeci sejm jadą.
 Myślę, skąd Węgrom ku nam ten afekt uprzejmy,
 Z taką pilnością pytać o Polskie się sejmy...
 Aż mi nie rychło na myśl ta padnie przyczyna,
 Że co u nas pszenica, to są u nich wina.
 Co my wodą ze Gdańska, to wielkim nierządem...
 Węgrowie od nas za nie odbierają ładem...
 Ale nam i sejmy rwą, gdyż pijane głowy
 Rozumu nie mogą mieć a cóż rady zdrowej...
 Aza za przeniesieniem do Grodna z Warszawy,
 Że od Węgier daleko lepszej dojdą sprawy
 Sejmy, bo już pijane przepadły Ratusze.
 Nie tak drwi miód koweński przy brzożowej jusze.

Skutki tego pijaństwa oplakane; przypłacają je życiem, naprzykład czytamy w wierszu „Spadł z wozu:”

..... Pijany szlachcie jeden i dobrego rodu,
 Gorzałki czy grzanego na kleparzu miodu

Czy ohojga na migoć (wilgoć) zażywszy nie miara,
 Sam się wiózł na kole sie dobrych koni parą,
 Choć był woźnica i szedł rumak na powodzie.
 Upatrzył nieprzyjaciel duszny czas przygodzie.
 Bo kiedy je zacina, choć bieżą co pary,
 Spadszy z wozu kark strącił i poszedł na mary.
 Piszę nagrobek, zbywszy dobrego sąsiada:
 Widziałem niejednego, kiedy z wozu spada,
 Widziałem szyję łomiąc ale tylko ciałem;
 Żeby oraz i z duszą, tego nie widziałem.
 Karzcie się pijanicy, i nim na wóz wsiadać,
 Wszak nie trudno o mnicha, radzę wprzód spowiadać.
 Pomożęć będę spowiedź — i na łóżku szwanku
 Niechaj ten czeka, który pije bez przestanku,
 Na duszy i na ciele, przed i po spowiedzi,
 Bo dyabeł nie na dyszlu, ale w bruchu siedzi.

Lecz prędzej niż życie, trwonią w winie substancję, i wyczekują
 potem niecierpliwie bogatego spadku, co jednak nieraz zawiedzie, jak
 owego utracyusza w wierszu p. t.: „Nie miawszy pieczenie, rozeń
 struże:”

Przepiwszy substancją utracyus, co mu
 Ojciec odumarł, nie miał prócz jednego domu
 Na pustej roli, którą Bezdechovem zowie,
 Zkąd i dziś modę wzięli utracyusowie.
 Wždy go ciesze nadzieja, że się zaś połata,
 Skoro śmierć majątnego stryja sprzątnie z świata.
 Obiecawszy sto złotych, bo je na to chowa,
 (Chociaż stryjowi wieku nie minie połowa),
 Do ostatniego konia, w którymkolwiek czesie
 Nowinę mu o śmierci jego kto przyniesie.
 Zachorował stryj, aż jeden po munsztutuk (dar poselski) bieży,
 Dając znać synowcowi, że się nie wyleży.
 Prędko ten, czemu-by rad, uwierzy łakomy,
 Nie czekając. nowiny że potwierdzi chromy.
 Jakby na tureckiego przesiadł konia z klacze,
 Sprząga cugi, przyjmuje sługi i trębacze.
 W lot i na nich żalobę, i sam na się sprawi;
 Przeda, co jeszcze swego ma, abo zastawi.
 Jedzie nawiedzać ciało, lży gwałtem wytłacza

Z oczu w chustkę. Alić stryj z choroby się zwlacza,
 Który, dowiedciawszy się, że mu śmierci życzy,
 Synowca, zapisawszy dalszym, wydziedziczy.
 Sto złotych testamentem i konia z munsztukiem
 Leguje, co dał za śmierć jego munsztutukiem.
 Dopieroż prawdziwy płacz i łzy niezmysłone,
 Gdy przyszło wielkie garce tłuc drogo kupione,
 Odprawiać sług, trębaczów i przedawać cugi,
 W nadzieję sukcesyjnej kupione za długi,
 I żałoby po żywym, żebrząc chleba stryju,
 Co go przeżył kilka lat, dodzierać o kiju.
 Nie zaraz ci to panie jeść, kiedy gęś rzeką;
 Czekać, aż zarzną, aż ją oskubią, upieką.

Pieniądze, tracone tak marnie, decydują już o znaczeniu człowieka; zanic zasługi, przymioty osobiste, związki rodowe — znają cię, póki co masz; chlubią się tobą, jeśli masz wiele; gołyś, jużes nie nasz brat, ruszaj w świat za oczy, a tam praw o twoich kolligacyach, nie nabawiaj nas tu wstydu:

Siła krewnych kto się ma dobrze.

Nikt nie zna, nikt nie widzi szlacheica na kniecy
 Roley; póki dziurawe gunią lata plecy,
 Wstydzą się go możniejszy pokrewni zwać bratem.
 Niechże wsi nakupiwszy, zostanie bogatem..
 Nie brat, ale Jegomość i i Dobrodziej wielki;
 Ja siostrzeńcem, ja wnukiem jego rodzicielki;
 Jego baba i moja były to dwie babie,
 Kochały się, jednakie mając w herbie grabie;
 Ja z nim służył, ja w teźże studowałem szkole —
 Choć z korca maku blizki pokrewny się kole.
 Niech będzie i chłop rodem z płodnego Mazosza,
 Uczynią go szlacheicem dla miąźszego (grubego) grosza,
 I gotowi przysięgać przy nim na wywodzie,
 Że szlacheic urodzony, choć go niemasz w grodzie.

Na toż drugi raz.

Ma i to drugi szlacheic, skoro wszystko ztera
 Po ojcu, że się w krewność możnych ludzi wpiera.

I kędykolwiek gościem przyjechawszy siedzie,
 Zaraz powinowactwa swoje liczyć będzie.
 Choć nikt o to nie pyta, i z ojca i z matki,
 Kto po kim brał przed stem lat albo więcej spadki,
 Gospodarza tym uczcić naprzód nie omieszka,
 Choć jako żerdź po płocie, po zagumniu ścieżka.
 Ledwie nie od Noego liniją wymienia,
 Dowodząc mu spólnego z sobą pokolenia.
 Niemasz herbu żadnego, niemasz wojewody,
 Żeby i on do niego przez długie wywody
 Nie należał i w Polszczo i w Litwie, a zatem
 Panna Marya tylko nie siostrą, nie bratem
 Pan Jezus (w przypowieści co mówią Polacy),
 A suknie-by na grzbiecie nie jęli się racy.
 Pojazd cygański, chude dwie szkiece (szkapy) w kolasce.
 „Tak jasnych krewnych, rzekę, dziwno mi niełasce,
 „Bo gdzieby się wam wszyscy złożyli po groszu,
 „Mogli-byście pacholka chować od łogozu (wierzchowca),
 „I w sukni, i w pojeździe lepszym odziać pierzem,
 „Nie macając tak często brudu za kołnierzem...
 „Na cóż prawić o braciej, o bogatym stryju,
 „O przyszłych sukcesyjach, sam chodząc o kiju?..
 „Lepiej-by służyć, niż się krewnymi wielmożyć.
 „Dziś na grzbiet, jutro w gębę nie będzie co włożyć.
 „Ty się krewnymi chlubisz. oni wstydzą za cię —
 „Wierę nie proporcya: oboje po kacie!“

Przechodzimy do bardzo drażliwej materji, która szczególnie w wieku XVII wiele krwi napsuła, liczne processy wywołała, jawnie gorszyła. W gruncie idzie znowu o pieniądze i ich znaczenie. Mieszczanin, dobywszy grosza w handlu, rzadziej w rzemiośle, przykro odczuwający pogardę swego stanu, jakim szlachcic i żołnierz pomiata, chciwy honorów i powagi, wbrew prawu, dzierzawi i kupuje wioski, i wdziera się w stan uprzywilejowany; szlachta, zazdrosna o przywileje, jakie przodkowie nie funtem, kwartą i łokciem, a krwią i szabłą zdobywali, nierada nowym przybyszom, wymawia im pochodzenie, zadaje nieszlacheckość, wietrzy wszędzie „kostroucha” (pies mieszanej porody) „szota” (handlarza) „zamsika” (od skórki), podejrywa świeżego karmazyna, łaje i odgraża mu się; trzeba, by się w szlactwie osiedzieć, możnej protekcji (np. Lubomirskiego), własnych przymiotów (dobry człowiek. dajcie mu pokój), a najczęściej otwartego worka,

(zadający nieszlachectwo przyznaje w grodzie, że się pomylił, że się teraz lepiej poinformował o rodowitości JMei Pana Brata, i płaci winę, jaką mu w kilkanasób wróca). Przejście odbywa się nieraz stopniowo, zaczyna się od zamiany nazwiska i końcówki, z ic (icz) na eki, (ski, drwią ze szlachty skickich), od wynoszenia się z miasta na wieś, od służby wojskowej (jakby żołd nie wystarczał i jeszcze szlachectwo za to się należało, bez osobliwszych zasług i przewag); częściej forytuje pan, taki Żółkiewski lub kto inny, sługę swego, hajduka, nawet błazna, na pisarza u dworu własnego, a potem i na urzędnika ziemskiego. Utyskiwania na chłopowiczów i miejskich synków, wdzierających się w szlachtę, cechują literaturę obyczajową siedemnastego wieku (w zapiskach sądowych śledzimy podobne skargi od samego ich początku, od XIV wieku); znajdziemy je w byle jakim pomniku, np. u Stanisława Słupskiego i Władysława Jeżowskiego (Zabawy orackie 1618 r., przerobione na Oekonomią r. 1638), gdzie czytamy:

Tak wiele mieszczan szlachtą tych czasów nastawa;
Cudzoziemskim zwyczajem, czy jakim się stawa.
W Polsce dlatego szlachty do potrzeby mało.
W województwach ich przez to siła zubożało;
Rzadko teraz w której wsi natrafisz szlachcica,
Jeżeli mieszka — w księżej; nie znajdziesz dziedzica,
Który-by czasu każdej potrzeby wyprawił
Syna swego albo sam do boju się stawił i t. d.

Najobszerniejszym i najskandaliczniejszym pomnikiem tej gałęzi literatury jest tak zwana „Księga Chamów” (Liber generationis albo Catalogus o tych, którzy de gente y progenie sławnego rodzaju Plebeanorum początek swoy y originem ducunt; oryginał w Ces. Bibliotece Publicznej w Petersburgu, niegdyś Załuskiego, sygn. Rękopisy olskie IV Folio nr. 103; dawny odpis w Ossolineum), układana między rokiem 1624 a 1639 na podstawie wypisów z ksiąg sądowych i miejskich, i relacji ustnych „wiarogodnych,” z zapiskami cyrylicą i białymi kartami dla niezbędnych dopełnień, zawierająca, po zjadliwych wycieczkach i wierszach przeciw takim szlachcicom (zwanym od szlachtuza, gdzie ojciec bydło kłół), od karty 17 do 474 alfabetyczny spis tej szlachty (od Abramowicz do Zyzański), z prawdziwą historią ich starożytnych domów, pełna zmyłek, plotek, gołosłownych twierdzeń, lecz i oczywistej prawdy, choć tę nie zawsze oddzielić można od wymysłów i potwarzy, i gdzie się przewija masa cenionych dziś ogólnie nazwisk i rodów, książka niesłychanie ciekawa, niesłychanie drastyczna,

niewyczerpana kopalnia dla nowellisty i historyka obyczajowości, lecz nienadająca się dla arcydrażliwej, a częściowo wręcz nieprawdziwej lub fantastycznej treści do opublikowania. U Potockiego sarkania i przytyki takiej świeżej szlachcie bez zasług, a z pretensjami nader częste, lecz ogólnikowe, anonimowe — z nich wypisujemy tylko jeden wiersz; dodajemy trzy inne, gdzie zamiast ogólników opowiada się o szlachcicu niepewnym, wyliczającym kolligacye, choć go nikt nie pyta; o innym, za którego niby Potocki sam, prawiąc nieprawdę o jego kolligacyach w oracyi ślubnej, pocić się musiał; wreszcie najobszerniejszy, o owym miejskim synku, który wkupienie się do szlachectwa ostatnią nędzą przypłacił, jakby ilustracya żywa do dwóch wierszy u Jezowskiego:

Kto, jeśli nie jest szlachcic, ziemię sobie kupi,
Za ziemianina waży, każdy go też łupi.

Zaczynamy od ogólnika:

Igra w niem owies.

..... Nie dał się słyszeć, póki bóty z błota skrobał.
Skoro wziął wsi po żenie, pieniędzy nazobał,
Aż mój szumi, aż trąbi, kto go znał w baraniem
Kozuchu, nie zna, widząc sobole dziś na niem.
Ledwie głowa na czapce dotąd i to stary
Znała, dziś z aksamitu nosząc szarawary,
Nie może z nim, przywykły, poznać zadek, habie:
Gwałt oraz i natura i cierpią jedwabie.
Że sam nie w karmazynie farbowany z dziada,
Sług w niem, nosząc na grzbiecie ich farby, dokłada.
Jeszczeżby zdrów niech szumiał, niech-by się zdrów zdobił,
Kto zasłużył i tego na wojnie się dobił —
Ale ów, co z przodków swych abo krowy dajął,
Abo na łokieć w sklepie materyje krajał....
Przynajmniejby poczekał, aż z niego natura
Chłopska wyidzie, która się długo trzyma gbura,
Aż aptekarz oliwę, muszkałową gałkę,
Szynkarz wywietrzy, którą wskroś prześmiardł, gorzałkę.
Pieniądze w niem igrają; o żalosna biera (los):
Żołnierz je w wojsku traci! a ten doma zbiera.

Sam się oskarża, kto bez skargi sprawuje.

Przyjechał do mnie szlachcic. Ochotę pokażę.
 Zjadłszy, wina zwyczajnie chłopcom nalać każe.
 Wdamy potem w rozmowy, aż mój jako z bicia
 Swoję mi familiję, swe herby wylicza;
 Kto zrodził jego ojca, matkę, babę, dziada,
 Wywodzi, nieszlachectwa choć mu nikt nie zada.
 Przykrzy mi się, słuchając onych jego plotek,
 Regiestru sióstr i braci, wujów, stryjów, ciotek,
 Kogo który wziął z domu, która była za kiem;
 Prawi księgi rodzaju długim zodyakiem,
 Żeby tego nie spisał na skórze wołowej.
 „Szkoda-by, rzekę, sobie tym zaprztać głowy,
 „Swego, choć mi należy, nie słucham rachunku;
 „Woliny się czym innym zabawić przy trunku;
 „Na sejmik deputacki zostawić ostatek
 „Abo zaregistrowawszy schować to dla dziątek.”
 Jakoż mówią sąsiedzi o tym, że nie z pełna
 Jego była maczana w karmazynie wena.
 Sam się oskarża i znać coś do siebie czuje,
 Kto niewczośnie i kto się bez skargi sprawuje.

Na cóż prawdę w bawełnę uwijać?

Ubogą, znaczną, biorąc szlachciankę bogaty
 Za żonę, prosi, żebym dziękował mu w swaty.
 Więc że sam był nowotny, a z liczby niepewnych,
 Pytan z ojca i z matki o jego pokrewnych:
 Wspomnieć przodków i jaki herb kogo okrywał,
 Przy spowinowaceniu domów zwyczaj bywał.
 Niemasz ich, bo choć byli, ani sukienica
 Ani z szota (kramarza) korzenny sklep czyni szlachcica.
 Proszę z niskim ukłonem, żebym mógł być wolnym,
 Nie czując się do takiej posługi udolnym.
 Jednak obligowany bywszy mu z miar wielu,
 Muszę rad nie rad prawić na jego weselu.
 Jaka też tamta była moja oracya!
 Kto inszy jasną prawdę w bawełnę uwija —

Ja szczyry fałsz za prawdę, choć język zająka,
 Zwłaszcza kiedy niejeden, wiadom rzeczy, krzaka,
 Udaje, przytaczając z Jaćwingami bitwy,
 Wspomnię z Polskiej Tęczyńskich, Radziwiłów z Litwy.
 Pan młody wielce kontent, jakoby się w niebie
 Widział; o gości nie wiem; ja bynajmniej z siebie.
 Jakobym kopę grochu abo żyta zmłócił,
 Z językiem się pasując, takim dobrze spocił.
 Dalekoż, rzekę, łaćniej prawdę słowy zdobić,
 Niż na nią kłamstwo, wszystkim wiadome, przerobić.
 Niech krwie upuści, czoła na wojnie zapoci:
 Nie uczyni szlachcica oracya, Szoci!

Chroniąc się popiołu, wpada na węgle.

Widząc, że szlachta po wsiach z swoich dworskich wzorów,
 Jako mieszczenie z kmiećmi, nie płaci poborów,
 Kańczukiem albo kijem bić ich trudno, — co go
 Darmo często potyka, tamtym płacić drogo —
 Co cięższa, żołnierz mu się nadprzykrzy przechodni,
 Od czego tanci w domach i we wsiach swobodni —
 Kupił szlachectwo, bo dziś, komu się zabaży,
 Byle były pieniądze, wszystkim na sprzedaży,
 Mieszczanin, który, mając kamienicę w rynku,
 Różnym kupecząc towarem, pilnował i szynku.
 Więc kiedy nie chce płacić żadnego podatku,
 W nadzieję przywileja, wójt go na ostatku
 Podaje wedle prawa poborey w delacie.
 Przyszła egzekucya; płacicie panie bracie!
 Bo wezmą kamienicę, żeś prawu przeciwny.
 Szlachcic wolny, niech płaci kamienica grzywny.

Pisze gospody żołnierz; szlachcic swojej nie da.
 „Nie mieszka szlachta w miastach, żołnierz odpowiada
 Rzemieślnik, szynkarz, darmo tym tytułem chlubi.“
 A gdy ów, ohoć pod nosem, rzecze mu coś grubiej,
 Sunie ten do kańczuka. „Tknij jedno szlachcica
 „Kańczukiem, urośnie mu na grzbiecie pszenica.“
 Rzecze, zkoźliwszy (zachmurzywszy) czoło. Tu żołnierz do broni,
 Chce pysk przejechać, ale garścią go zasłoni.

(Podobniej **na** szlachectwo, nizli **dla** szlachectwa,
 W wojsku, nie w mieście, było przyjść mu do kalectwa).
 I sam na się, żeby w niej lepszą miał wygodę,
 W jego domu — jakoż zgadł — zapisze gospodę;
 A ów do cyrulika z ranną ręką, głupi,
 Bo raz poborca, drugi, żołnierz go wyłupi.

Przypadł zwyczajny jarmark, prawie ósrod lata.
 Kilkunastu sąsiadów do szlachciza brata,
 Znówiwszy się, przyjadą; każą owsa, siana
 Dla koni brać, co trzeba; sami wódki z rana
 Zażywszy z gospodarzem, szli na miasto, żeby
 Każdy swoje do domu kupował potrzeby.
 Gotuje, co kto przyniósł, dziewczka ochędożna;
 Garka na sztukę mięsa, na pieczenią różna
 Nie żałuje (były też kapłony opravne):
 Miejska przyjaźń, przysłowie jako mówi dawne.
 Proszą szlachcica brata, jeść z sobą pospołu.
 Siadł z żoną, i co miał sam, każe dać do stołu.
 Więc jaki miejski zwyczaj przed knapy (tkacze), przed szewce,
 Każe piwa przed szlachtę postawić w konewce
 Karczmarz; zaczyna rzędy chłopskie tą nadzieją,
 Że wszyscy goście dawać każą go koleją.
 A gospodyni wstawszy od stołu tymczasem,
 Piszze kretą po ścienie kreski nad szynkwasem.
 Wypiwszy kilka garcy, gdy sam nie wspomina,
 Proszą, żeby gospodarz kazał dawać wina.
 „Mnie go, rzecz, nie stało, lecz jeśli każecie;
 „Jest po dziesięci złociech u sąsiada w tracie.“
 Każ nosić na swój kredyt; piją; rzekszy krótcie,
 Dziwno mu, gdyż się przedtem bawiali na wódce,
 Zkąd na tak drogie wino dziś rezolucya?
 Dziwnjąc równo z gośćmi gospodarz wypija
 Za zdrowie każdego z nich, i ci bez oddechu,
 Z miejskiego mu winszując szlacheckiego ceolu,
 Tego honoru, który fortuna mu zdarza,
 Za zdrowie ochotnego w kolej gospodarza,
 Który bez krwi rozlania, co rzadka nowina,
 Doszedł prerogatywy koronnego syna.
 Skoro już mieli dosyć, bierą się do koni.
 Nie trzyma ten, co każdy, choć dla ceremoni,
 Szlachcie w domu swym czyni, owszem upomina
 Za owies, siano, piwo i co wyszło wina.

Na to jeden od wszystkich: „nieszlachecka moda:
 „Już to dwór, kędy mieszkasz, nie wjezdna gospoda.
 „Kto się szlachcicem w mieście abo we wsi staje,
 „Szlacheckie mu należy zaraz brać zwyczaj,
 „A żaden nie może być, co kwaterką mierzy
 „Gorzałkę; inaczej się paw, niż kogut, pierzy.
 „Nie pytaj się, skąd wino, skoro cię przywitam
 „W moim domu: ani ja w twoim o to pytam.
 „Wolno odjeść i odpić u każdego z braci;
 „Znieważa gospodarza, kto mu obiad płaci.
 „Ja-bym takiemu gębę wyciął z prawej strony,
 „A tyś i w domu własnym nasze jadł kapłony.
 „Żaden-by cię nie puścił, bądź takiego zdania,
 „Od wieczery ze swego, ba, i od śniadania.
 „Tobie-by, niżli z nami, z solą w oczu milej.
 „Postępki szlachtę czynią, bracie, nie przywilej!
 „Nie przywilej; noś pełną zacnych przodków tekę,
 „Jeśliś kutwą, będziesz nim, że gorzej nie rzekę.”

Słyszając, w głowę nieborak gospodarz się skrobie,
 A żona: „Szlachcicemeś chciał być, awoż tobie!
 „Żnij-że teraz pszenicę na palcach od szable,
 „Kiedyś nie chciał na plecach od kańczuka, dyable!
 „Płać-że teraz sowitym, szlachcicu, podatkiem;
 „Pomógł co drogo kupny papierek z opłatkiem?
 „Żyć było do starości, tak jakoś żył z młodu;
 „Co targ, co jarmark, tego wyglądaj rozchodu.”

Jakoż kiedy jedni drwiąc, drudzy gwałtem biorą,
 Przyszło mu z przywilejem włóczyć się komorą.

Przedstawiamy nakoniec rzecz o sługach. Utyskiwania na wielość i niezdarność służby dawne a częste, spotykamy i u cudzoziemców, piszących o Polsce. Zaczynamy znowu od ogólnikowych skarg na sługi polskie, ich dobry byt ze szkodą panów, jak nieraz kaprys fortuny sługę wynosi, że grubo porośnie, a pan, rogato rodzony, gomoło (bez rogów) schodzi; dalej anegdotę o wzajemnem spychaniu zlecenia pańskiego, które sługa wkłada na stangreta, a ten na forysia; opowiadanie o karaniu chłopców fukaniem, klęciem, groźbą i kańczukiem, i co za fatalne skutki odkładanie kary za sobą pociągnęło. Wreszcie opowiadanie o niedyskrecyi gościa nadto poufałego z własnymi sługami w obcym domu, i jaką dotkliwą naukę od Potockiego odniósł.

Kto służy, wolność traci.

Nie ma ta miejsca w Polsce przypowieść, gdzie-by to
 Nie panowie sługom, lecz panom służy myto
 Płacić mieli, bo wszystka robota ich — ziewać,
 Stojąc przed panem: za to karmić i odziewać;
 Chudo konia kupiwszy, na pańskim obroku
 Wypaść i na jarmarku przedać rok po roku;
 Mięć na stół przy gościu, a pewnie nie z kaszą;
 Panu wino kieliszkiem, słudze za drzwi flaszą.
 A trzeba dla pychy kilkadziesiąt chować,
 Gdzieby kilku wygodnie mogło posługować.
 Każdy z osobna swojej pilnuje posługi,
 Że już i sługa sługę chowa sobie drugi.
 Byłe asystencya, choć spiżarnia leci, —
 W Bochni sól, w lesie drwa, dosć do wożenia kmieci.
 Nie darmo o Polakach ludzie ziemie cudzej
 Powiedają, że swych sług panowie są słudzy.
 Aleć prócz cudzoziemców, widzieliśmy sami
 Panów takich, co stali u sług swych za drzwiami.
 Sól w Bochni, drwa są w lesie, wozić ich niema kto,
 Bo też niemasz i mięsa i kuchni. Opak to
 Śleporoda fortuna obróciła koło

Idź ty psie, idź ty ogonie.

Jadąc w drogę pan jeden pokarmował w Bieczu,
 Nie mieszkał kował w mieście, tylko na zarzeczu.
 Wiedząc, jako skaliste tanto Podbieszczedzie,
 Każe koniom poprawić podków po obiedzie.
 To pan słudze; sługa zaś zleci stangretowi;
 Stangret szukać kowala swemu forysiovi.
 Sługa pana, woźnica sługi, ten woźnice
 Nie słuca, miasto kuźnie, szedłszy do piwnice.
 Pyta pan sługi, jeśli konie, jako mu to
 Zlecił, gdyż trudno jechać inaczej, pokuto?
 Rozkazałem woźnicy, a ten słał forysia —
 Jutro chyba, ale to nie może być dzisiaj,

Bo kowal węgla nie ma (choć nie ta przyczyna;
 Nie chciało mu się z miasta od dobrego wina).
 Złóż jedno pychę z serca, idź sam do kowala.
 Ale mi autoritas — rzecze — nie pozwala.
 Rozśmiawszy się pan na to, większa necessitas
 Niech jej ustąpi, kędy trzeba, autoritas.
 Podobniej wam uchylić swojej na stajanie,
 Niż mnie na miłą konie pochromiwszy, Panie!

N i e k l n ę c i ę .

Zwyczajna to u drugich, że mając przyczynę,
 Wolał łajać, niż wstrząsnąć chłopca za czuprynę;
 Wolał kląć i złorzecząc gębę sobie mazać,
 Niżli sam złego wybić, albo komu kazać,
 Choć to krom grzechu może, byle była miara,
 Żeby nie przenosiła zasłużenia kara.....
 Niejednemu tak uszy otrętwi łajanie,
 Jeśli go często słyszy, że nic nie dba na nie,
 Żeby wolał tysiąc słów na swoją zniewagę,
 Zwłaszcza sługa, niż jedną rączną odnieść plagę.
 Choć ci będzie tak krnąbrny, tak ocięty drugi,
 Że mu już spowszodnieją kije i kańczugi.
 I lepiej mu kazać precz, niż kląć abo go bić,
 Gdyż trudno złej obojgiem natury przerobić,
 Chyba że w cierpliwości chce się kto wyćwiczyć,
 Może takiego sługi pewnie sobie życzyć...
 Jakom ja znał jednego, który dla nauki
 Tak świętej, i woźnice chował i hajduki...
 Odbywając leda czym, chował sługi, bo go
 Nie wiele kosztowali, nie płacił im drogo.
 „Nie klnę cię chłopcze, ale za leda przyczyną
 „Przypomnięć twą robótkę słuszną dyscypliną;
 „Pamiętaj-że to sobie.” Tak mój sąsiad powie
 Co raz chłopcu i zawsze iści mu się w słowie.
 Że mu się już nadprzykrzy owa słowność długa,
 Bo mu za każdą skórą zlezie od kańczuga.
 A ten na swojej myśli: pokaże to próba
 Wkrótce, że będziem na się pamiętali oba.

Bies przypierzy, że tłuźce, stawiając szklenicę,
 I zwyczajną od pana słyŝy obietnicę
 Wiedząc, że łącno o kij, kto chce psa uderzyć,
 Że go pan nie zawiedzie, że mu trzeba wierzyć,
 Upatrzył czas, żeby go kwitować z kontraktu
 Pierwej, niżli z nim przyjdzie do terminu taktu.
 Wziąwszy co w skrzyni srebra, przy kontuszach złota,
 Odmieni z domu forum do Węgier niecnota.
 W wodzie kamień utonął abo węgorz w Wiśle,
 Darmo na różne strony szpiegi po nim wyszle —
 Gdzie jedna złodziejowi, dziesięć dróg pogoni.
 Natrudziwszy czeladzi, nadbiegawszy koni,
 Jedzie do mnie żałosny tak znaczną ruiną.
 Podobien był do tego swoją, rzekę, miną.
 Dał-by mi Bóg go dostać, prosto na szubienicę!
 Lepsza rzecz było kupić panie bracie szklenicę,
 Abo skazać, nie straszac chłopca odpowiedzią;
 Teraz pozbywszy srebra, kontentuj się miedzią.
 Każdy bowiem ucieka, kto się bicia boi;
 Moja rada napić się po tej szkodzie swojej.
 Ostrożnie chłopcze z kuflem nie z żelaza kuty,
 Przecie nie do złotnika, wolę poń do luty.
 A ten frant: „Dobrodzieju! często, rzeczce, traci
 „Obietnica u ludzi, gotowizna płaci,
 „Będzie-li dobra tamta, nadzieja jej czekać,
 „Lecz jeśli zła, zawczasu strach radzi uciekać.
 „Szkleńca częstokroć myjąc, kiedy się zabruźce,
 „Nie szklany, od kańczuka mój się grzbiet nie stłuźce.”

Znamy się doma, znajmyż i ludzi.

Znajmy się między ludźmi, mówią, znając doma,
 Gdy się żona za męża, lub ten za nią sroma,
 Choć łącniej pokryć, jeśli które z nich co brydzi,
 Niżeli w oczu wielu, kiedy nikt nie widzi.
 Nie znać jedno drugiego, zaprzec-by się raczej,
 Wołało, jeśli głupie pijano dziwaczy....

Często u mnie bywając, bo w sąsiedztwie blizkiem,
 Niepolityczna pani za każdym półmiskiem,

Podając go woźnicy albo hajdukowi,
Znany się doma, znajmyż i u ludzi, mówi.
Markotno mi szkaradnie na one jej¹ sługi.
Raz po stole obrzędem, pojrzę na nią, drugi,
Już ci napchawszy brzuchy ładują kieszeni.
Szepcą chłopcu, żeby ich prowadził do sieni,
Do grochu, do kapusty, ale ani, ani
Chcą odstąpić poznania w mym domu swej pani.
Sama dotąd mało co, albo nic nie jadła,
Choć ustawicznie z wierchem na talerze kładła.
Śmiał-bym się, nie śmieszno mi, owemu poznaniu.
Podobno Mościa Pani do nas po śniadaniu!
Raniusieńko, odpowie, puściłam się w drogę,
Kilka minawszy granic, przecież jeść nie mogę.
Ale ta kuropatwy w moim czując domu,
Nie żałuje kapłonów i kur ledakomu.
Nie kazałem ich z kuchni nosić dla hajduka,
Ledwie wątroby złodziej godzien albo kruka.
Cętką cyny parobka przerobi w pachółka,
Tylko mu wina nie da, nie postawi stołka.
Więc kiedy nie do smaku nie masz dla Jejmości,
Zbierajcie z stołu rzekę, dosyć znajomości.
Kazawszy z tak niewdzięcznym gościem bawić żenie,
Żeby dziś nie jeździła, proszę uniżenie.
A woźnicy z hajdukiem, na smaczne kawałki
Niosą garniec od żyda do stajnie gorzałki,
Choć dosyć do uśpienia było na nich kwarty.
Puszczono zatym z psiarnie ogary i charty:
Miasto koryta, w którym jadali zwyczajnie,
Do onejże myśliwiec zawabi ich stajnie.
Nie trzeba do herapu trąbić było na psy,
Bo nietylko pieczonki wywlekli im z kapsy,
Ale nadołki po pas, gdzie pachnęła jucha;
Zanadrza gryzą, tylko nie imną się brzucha.
Nie masz sług do wieczery, skoro jeść przyniesą;
Dziwi się pani mówiąc, podobno w karczmie są.
Zapomnieli obiedniej znajomości z panią —
Niechże też w karczmie jedzą, tak swawolą ganią.
Aż skoro do tłumków dziewczę owych szuka,
Ledwie się odartego dobudzi hajduka.
Ju też skoro świt w pole, jeszcze gościa spała,
Która pewnie swoich sług w domu nie poznała:

Przyszło się znowu z nimi poznawać i bratać --
 Nowe szyć, albo suknie pogryzione łątać.
 Tyle z głupstwa swojego ma korzyści, to mię
 Cieszy, że z jej sługami swe psy oznajomię.
 Ta jest i dzisiaj wielu domatorów moda,
 Że ledwie nie wprzód chłopcu sztukę mięsa poda,
 Nim sam włoży do gęby, ale nie masz dziwu:
 Pan ją rzadko kiedy je, chłopiec jako żywo.

Oto przesunął się przed oczyma naszymi szereg obrazków, opowiadań, anegdot z domowego życia szlacheckiego za Jana III. Nie wydobywaliśmy z nich rysów i szczegółów do odtwarzania duchowej fizyognomii opowiadającego, nie wyprowadzaliśmy wniosków co do jego poczucia honoru i delikatności, obrażanego niedyskrecją gospodarza, gościa, sąsiada; co do jego rubasznego usposobienia, ceniącego sobie figle, jakie pyszałkom, skąpcom, modniśiom, mieszczuchom-szlacheicom, niegrzecznym, on sam lub inni płatali. Nas zajmowały opowiadania same, jako kopalnie rysów obyczajowych, niespotykanych po innych pomnikach ówczesnej literatury, dosadnych, trafnych, ciekawych, malujących dawne czasy i dawnych ludzi, w rozmiarach skromnych, w obejściu codziennem. Nie odstoniliśmy żadnych zajęć nadzwyczajnych, wzruszających, tragicznych; stary szlachcic gawędziarz opowiedział nam żywo a barwnie, jak około niego jedzą i piją, tracą i skąpią, służą i bawią się, ceremonjują i poufala, jak żyją, on i sąsiedzi.

A. BRÜCKNER.

FERMENTY.¹⁾

Powieść.

XXVII.

— To i po wszystkim!— powiedziała Janka, zamykając się w pokoju, po rozstaniu z Andrzejem.

— Po wszystkim! — powtórzyła głucho, usiadła na otomanie, kryła twarz w dłoniach i siedziała kilka godzin w najsrozszej z mąk, jakie przenosić tylko mogą takie, jak jej dusze, w męce upokorzenia i w męce wstydu. Nie było w niej nic, tylko jakieś okropnie palące uczucie przepełniało całą jej istotę, paraliżowało mózg, odbierało świadomość i paliło, paliło, paliło.

— Orłowski wszedł i chodził po pokoju, co chwila przystając przed nią; nie spostrzegła go nawet.

— Andrzej był?..

Drgnęła na ten dźwięk, podniosła oczy i odpowiedziała bezdźwięcznie i cicho:

— Był...

— I więcej już nie przyjedzie... - dokończył wolno; oczy zaczęły mu latać, szarpał palcami guziki munduru, ale powstrzymywał wybuch rozpierający mu piersi.

— Nie przyjedzie...—powtórzyła bezmyślnie.

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy „Biblioteki Warszawskiej.”

— Wiem! przysięgam Bogu, że wiem; nie potrzebujesz mówić tego! — krzyknął, przyskakując do niej z zaciśniętymi pięściami, ale ręce mu opadły, obejrzał się w bok, i znowu zaczął chodzić.

— Wypędziłaś go znowu — mówił cicho.

— Nie... sam odszedł — mówiła jakimś echowym głosem, bo sił już jej brakło, i siedziała w biernym opuszczeniu, gotowa teraz poddać się każdej sile, która-by ją porwała. Patrzyła w oczy ojcu prosto, bo czuła, że on wie wszystko, i wielka litość nad jego cierpieniem zaczęła się podnosić w jej sercu.

— To go wypędziło, ty... ulicznico!. — wybuchnął, rzucając jej w twarz zmięty list, bo i on dostał anonim.

Pochyliła głowę i łzy zaczęły wolno spływać z jej oczu; nie powstrzymywała, patrząc z po-za nich bezbrzeżnie smutnie.

— Orłowska miała kochanka! moja córka! krew z krwi mojej! — krzyczał coraz głośniej. — Dobrze, dobrze! musi się to wszystko skończyć, musi, bo ja nie zuiosę...

— Niech się skończy, niech mnie ojciec zabije. Tak mi jest ciężko, tak strasznie źle, że zrobi ojciec dobrodziejstwo. Proszę cię całą istotą moją, zabij mnie, zabij!...—błagała, osuwając mu się do kolan. — Zhańbiłam ci nazwisko, unieszczęśliwiłam ciebie i Andrzeja, robiłam tylko złe, i sama jestem taka nieszczęśliwa, tak okropnie nieszczęśliwa, że błagam cię, zabij mnie. Niech się już wszystko skończy. — Upadła przed nim, objęła jego nogi rękoma i z płaczem całowała.

— Nie dotykaj mnie, bo powalasz! — krzyknął wściekły i odepchnął ją z taką brutalnością, że upadła na wznak. Zerwała się natychmiast, twarz jej pokryła się purpurą, oczy rozgorzały płomieniem i całą ją przejął nagły, oślepiający, niepowstrzymany krzyk poniżenia i dumy.

— Al! dosyć tego! to nie jest kara, tylko zemsta. Ojcu nie wolno tak postępować ze mną! Ja, Orłowska, zabraniam ojcu, nie pozwolę...— krzyczała obłąkanym, przejmującym głosem. — Za cóż ojciec tak poniewiera mną, co? że miałam kochanka! ale ojciec mnie się nawet nie spytał, czy to prawda, tylko na mocy marnego oskarżenia poniewiera mną, odtrąca od nóg, jak ostatnią!

— Prawda! prawda!...—szeptał, zalekniony.

— Dlaczego mnie to spotkało? dlaczego ja mam rachunki składać z życia? dlaczego? Nie spytał mnie ojciec, ilem wycierpiała przez to, jak drogo okupiłam swój błąd. Przez trzy miesiące było ojcu obojętnem, co robię, czy mam co jeść, czy się nie sprzedaję wprost z nędzy, a całe życie ojciec mnie tylko tyranizował i trzymał w jarzmie upokorzeń, nienawiści, męki... Zamordował ojciec matkę, mordował ojciec mnie, naginając do swoich zachcianek, nie

dbając, czy się połamię lub nie, byle się stało zadość kapryswi! A teraz ojciec przychodzi i płaci mi zniewagą! Dlaczego ja mam spowiadać się ze swojego życia, kto ma prawo karać mnie, że żyłam tak, jak żyłam, kto? — wołała w najwyższym wzburzeniu, sina aż z wysiłku i gniewu, ze spojrzeniem, które zabijało nienawiścią i buntem.

— Ja, ojciec, mam to prawo, mam to prawo? — pytał cicho, jakby siebie, i rozglądał się nieprzytomnie po pokoju.

— Nie, tylko jeden Bóg ma prawo, bo On wie, co wycierpiałam. On jeden zna wszystkie łzy moje, wszystkie cierpienia. O Boże, Boże, Boże!.. — szeptała coraz ciszej i spazm takiego żalu ścisnął jej serce, że straciła przytomność i upadła na podłogę.

Orłowski rzucił się na ratunek, poniósł ją na łóżko, zaczął krzyczeć na Janową, która przybiegła natychmiast, i nagle wszystko się w nim rozpręgåło i zmaciło, przystanął przed łóżkiem, zatarł ręce i śmiał się cicho i długo.

— Dobrze! dobrze, Mieciul! — Poklepał ręką próżnię, na wysokości ramienia, i wyszedł przed stacyę. Popatrzył na las, na podjazd, zajrzał do kancelaryi, stał dosyć długo na korytarzu, bo z głębin zaczęły mu się wyłaniać jakieś strzępy przytomności i łączyć w jakiś obraz. Powrócił szybko do Janki, która, już przytomna, leżała na łóżku.

— Janiu! — szepnął nieśmiało, nachylił się, aby ją pocałować, ale cofnął się prędko, jakby szarpnięty w tył przez niewidzialną rękę, przetarł czoło i usiadł przy łóżku.

— Daruj mi... Uniosłem się, ale ja cię tak kochałem, tak cię jeszcze kocham... — powtarzał wolno, odwrócił szybko głowę, i patrząc w jakąś próżnię, spochmurniał, oczy mu zamigotały surowością i mówił twardo i prędko: — Jeżeli chcesz jechać gdzie odpocząć, jedź! Może do tej swojej przyjaciółki, Babickiej. Pamiętasz, jak cię zapraszała?

— Pojadę. Odzyskam trochę sił i zaraz pojadę — odpowiadała ze drżeniem, bo widziała, co się w nim dzieje, jak się zmusza do uprzejmości i spokoju, jak tłumi w sobie grozę jakąś i wstręt nieledwie.

— Nie myśl o Grzeskiewicz, to cham, prosty cham. Dobrze, że się tak stało, bo teraz czuję, że nie była-byś za nim szczęśliwą. Prawda, co to za rodzina — szynkarska. Jak-byś tam mogła wytrzymać pomiędzy starym pijanicą, chłopką prostą i mężem parobkiem! Jedź, nie krępuj się, że ja sam zostanę, siedź u nich do wiosny. Od kwietnia wezmę dymisyę. Dosyć mam służby. Wyjedziemy do Warszawy, albo dokąd zechcesz.

— Wszystko mi jedno, dokąd ojciec zechce, tam pojadę

— Będziemy spokojni, tak, tak, należy się nam odpoczynek — powtarzał smutnie. — Głupia cała ta służba, głupie wszystko, po co to?.. Cicho! nie mów, — słuchał chwilę, pokiwał głową i mówił dalej: —

— Skończy się to wszystko, skończy, przejdzie, zapomniony, prawda?

— Zapomniony — odpowiedziała głębokim głosem pragnienia, i chciała-by już, w tej chwili, zanurzyć duszę w zapomnieniu i nie pamiętać nic, nic.

Orłowski odszedł i nie widziała go dni kilka, bo kazał przynosić obiady do kancelaryi, herbatę rano i wieczorem pijał w swoim pokoju.

Nie zwracała prawie uwagi na niego, apatycznie poddawała się wszystkiemu i tak była zmęczoną i wyczerpaną, że nic jej nie obchodziło. Jeżeli pragnęła czego i myślała, to tylko, aby gdzie przepaść i utonąć w ciszy i zapomnieć.

Chciała jechać do Heleny, bo nie miała żadnych innych znajomych, i czuła, że tam u nich, zdala od miast i kolei, na szczerej wsi, znajdzie tę ciszę upragnioną.

Kilka dni zwłóczyła z wyjazdem, bo tkwiła w niej głęboka jakaś nadzieja, do której się nawet przed sobą nie przyznawała, że Andrzej powróci, bo zresztą wielką przykrość sprawiła jej myśl, że się z nim rozstaje w gniewie i żalu. Nie kochała, nie była-by teraz za nic w świecie wyszła za niego, ale ten ból, jaki w nim czuła, wzbudził w niej szacunek.

Andrzej nie dawał znaku najmniejszego, nawet przez te kilka dni nikt z jego ludzi nie zjawił się na stacyi.

W dniu odjazdu, gdy już wszystko było gotowe, popakowane, walizy powynoszone na sanki, czekające przed dworcem, Orłowski odezwał się, dając tę samą wielką kopertę z pieniędzmi.

— Weź z sobą, to twoje pieniądze, a mieszkanie zostanie puste, więc mogli-by złodzieje...—nie dokończył i cofnął się do saloniku, i chodził.

Janka pożegnała się z Zaleską, która jej pomagała pakować, i zaczęła się już ubierać w futro, gdy zjawił się Swierkoski, wyświeżony, paradnie ubrany, uroczysty jakiś.

— Był-bym się spóźnił...—powiedział z ulgą.

— Z czem?—zapytała niechętnie.

Swierkoski stanął przy stole, nachylił się nieco ku niej, i, nie podnosząc oczu, któremi biegał po stole, mówił:

— Natychmiast powiem, mogłem to dawniej mówić, ale czekałem, bo... Grzesikiewicz był jeszcze narzeczonym pani; czekałem, aż nim być przestanie.

— Zechce pan mówić prędzej, bo nie mam czasu.

— Jestem pewny, że skoro pani powiem to, z czem przyszedłem, to znajdzie pani czas dla mnie...

Usiadła gwałtownie, miała ochotę zawołać na Rocha, żeby go wyrzucił.

— Słucham...

— Nie umiem mówić pięknie, ale każde moje słowo ma wagę.

— Kamieni—wtrąciła ironicznie.

— Rubli choćby, czegoś solidnego zawsze. Otóż, przyszedłem z propozycją, jak-by to krócej powiedzieć, aha! przyszedłem powiedzieć, że mogę się z panią ożenić! — wyrzucił mocniej i utkwił żółte oczy w jej źrenicach, i głąskał psa, który się spinał obok niego na stół.

— Pan dostałeś pomieszenia zmysłów! — zawołała, zrywając się z krzesła.

— Nie, słowo daję, że ja, tu obecny, jestem przytomny i po długim rozmyśleniu postanowiłem przyjść i prosić o pani rękę, pomimo wszystkiego...—zakończył z naciskiem.

— Jakto?.. co pan mówi?.. nie nie rozumiem...

— Ano... bo słyszało się coś niecoś o tem, jakto tam było w Warszawie... wiem, że Grzesikiewicz zerwał przez to z panią, ale to cham, nie ma wyrozumienia, że przecież i panny... mnie tam wszystko jedno. Co to mnie obchodzi, możemy i tak żyć w zgodzie przecież. Ja jestem dobry człowiek i myślę, że pani żałować wyjścia za mnie nie będzie.

Janka patrzyła na niego nietylko ze zdziwieniem, ale i z przestachem.

— Myślę, że się pani zgodzi, no, bo jak taki porządny człowiek, mający nieco kapitałów, chce się ożenić z panią, to niema żadnej racyi do odmowy. Wyniesiemy się do wielkiego miasta, nikt nas znać nie będzie, będzie nam dobrze, bo będziemy się jeszcze tak kochali, niby turkawki hil.. hil.. hil.. — zaczął śmiać się jękliwie i błyskać oczyma.

— Precz!—krzyknęła, bo przysunął się ku niej tym cichym, krętym ruchem wilczym, i niby wilkowi błyszczały mu żółte oczy, a zęby ostre i długie kłapały ze wzruszenia.

— O! Takaś to! o!—wykrzyknął i zgiął się, jakby do skoku.

— Precz natychmiast, bo ludzi zawołam.

— Ostrożnie, z Hipciem ostrożnie, ostrożnie, piękna pani, ostrożnie ty moja cacenka... bo wszystkie ząbki wytrząskam, żebyś nie ugryzła — syczał w strasznej złości i palce mu się gięły i rozprężały, jakby chciał ją chwycić za gardło i zdusić, wyciągnął już ku niej rękę.

— Ojczel!—krzyknęła i z jakąś niesłychaną siłą porwała krzesło z pod siebie i rzuciła w niego. Zawył głucho, skreślił się we dwoje i był-by się rzucił na nią, ale Orłowski wpadł, schwycił go za kark i rzucił pod piec.

Zerwał się natychmiast. Krzyczał strasznym głosem, szukał pokieszeniach, trząsał się, obłąkany z gniewu, rwał włosy.

— Amis!.. bierz go!—krzyknął wreszcie, nieprzytomny.

Dog zebrał się cały i rzucił prosto na piersi Orłowskiego, ale ten, jakimś odruchem, z taką potężną siłą kopnął go w brzuch, że Amis zakłóczył przeciągle i upadł jak martwy. Swierkoski wtedy oprzytomniał, rzucił się na psa, zaczął mu dmuchać w nozdrza i trząść nim, ale pies się nie ruszał, więc go chwycił w ramiona, i, pozostawiając palto i czapkę, uciekł z nim, jak szalony.

— Jedź już, jedź. Bez czułości, przysięgam Bogu! obejdzie się!—krzyknął, widząc, że Janka chce się z nim pożegnać.

— Dobrze,—szepnęła.

Odwrócił się, żeby nie widzieć jej spojrzenia, a ona pożegnała się z Janową, zalecając raz jeszcze czuwanie nad ojcem i pojechała.

Nie odwróciła głowy z sań, aby spojrzeć po raz ostatni na stacyę, na okno, w którym stał Orłowski i przekrwionemi, obłąkanemi oczyma patrzył za nią dotąd, aż zakrył ją las.

— Samiśmy teraz, Miciu, co? Sami. sami...—odpowiadał, zacierając ręce. — Zjemy sobie dobry obiad i pójdziemy do roboty, obiad z winem, co? — zapytał i odpowiadał sobie, ale przytomniał chwilami, biegł do okna i stał przy niem, i długo patrzył na pustą, białą drogę i na las cichy.

Wracał do stołu i jakiś strach szaleństwa męcił mu mózg, zrywał się, jak-by chciał uciekać, tarł sobie czoło i uspokajał się znowu.

— Siadaj, Miciu! Janowa! Dwa nakrycia położyć, bo będziemy jedli obiad razem.

*

*

*

A Swierkoski leciał oszalały trwogą, bo już nie pamiętał odmowy, ani uderzenia krzesłem, ani uderzenia o piec, widział tylko, że jego Amis, jego kochanie, nie żyje...

Wpadł do mieszkania i, nie pomyślając o śniegu na butach, wleciał do salonu, położył Amisa na otomanie i zaczął go przywracać do przytomności.

— Amis! Amis! piesku mój—wołał czułym, zrozpaczonym głosem, przewracając psa na wszystkie boki.—Franek! śniegu prędeży, okłady mu zrobić!—krzyknął na chłopaka, ale i okłady nie pomogły, pies leżał nieruchomy, wyciągnięty i bez oddechu.

— Amis!—krzyknął mu do ucha; pies ani drgnął. Wtedy Swierkoski, oszalały z bólesci po stracie psa, zaczął biegać po pokoju, a że zagroził mu drogę mały, inkrustowany stolicek, uniósł go i z taką siłą rzucił o podłogę, że rozleciał się w kawałki.

— Masz, Hipciu, żonę! masz pieniądze, masz spokojną przyszłość .. masz... masz... A durniul.. a głupcze... dobrze ci tak...—krzyczał coraz głośniejsz i nieprzytomniejsz.

— Masz państwo i miliony, nędzarzu... masz... A żeby cię, psiakrew, najjaśniejsze pioruny! A żeby cię!..— zaczął ryczeć na cały głos i rzucił się na kanapę z jakąś dziką wściekłością, darł pokrycie nogami, rękoma i zębami; wywłóczył włosie, odrywał poręcze i łamał, krzyczał, gryzł i chrypsał oszalały.

— Psiakrew!.. psiakrew!.. a!..

W końcu, zmęczony, bezprzytomny z gniewu, długo leżał w niemem, rozpaczliwym milczeniu. Przycichnął zewnątrz, ale w duszy zaczęły mu się podnosić gryzące żale, dawne straty, zawody, przegrane stawki, ciągłe i daremne usiłowania wypłynięcia na wierzch i zostania bogatym, wieczne marzenia o życiu spokojnym i dostatnim — i tak go gryzły w sercu te przypominienia, że jęczał z bólu, ścisnął głowę rozpaczliwie, i, od czasu do czasu, potężnym odruchem kopał w próżnię, lub bił pięścią w sprężyny kanapy. To uspakajał się i chciał coś myśleć spokojnie o jutrze własnym, ale nie mógł, bo pamięć tej ostatniej sceny z Janką z taką wyrazistością stawała przed nim, że, rozszalały potężnym, oslepiającym przyływem gniewu, zrywał się i chciał biedz, bić, łamać, krzyczeć, mścić się... ale stawał na środku z zaciśniętymi pięściami, wodził roziskrzonym wzrokiem dokoła po pokoju, zarzuconym szczątkami stolika i kanapy — i siadał.

— Amis! — Pies nie przyszedł, bo Franek jeszcze go przywracał do życia. — Amis!—szepnął ciszej, i przerażonym wzrokiem spostrzegł teraz dopiero zniszczenie; oglądał aksamit podarty, poręcze połamane, resztki porozrzucane i przesyczał się coraz głębiej żalem, który nim wreszcie tak zatrzęsł, że oprzytomniał zupełnie.

Oblał się zimną wodą, ochłodził się jeszcze chwilę przed domem na mrozie, i zaczął zbierać po podłodze porozbijane kawałki mebli.

— Franek! ugotuj kleju chanie, a prędko!—krzyknął do chłopaka i cały się teraz zagłębił w reparacyę i dopasowywanie.

— A, jakież głupiec ze mnie! Tyle szkody! tyle szkody!—mruczał żałośnie, i z całą pasyą i namaszczeniem, zszywał, układał, kleił. Nie zapytał nawet o Amisa chłopaka, który mu klej przyniósł. Zapomniał o całym świecie, na czworakach zbierał szczątki inkrustacyi, odmuchiwał, wycierał, całował miejsca już zreparowane, oblewał prawie każdy

kawałek, każdą drzazgę, każdy płat podartego aksamitu — łzami żalu i radości, jeśli udało mu się coś tak zreparować, że znać nie było.

Nie widział, że zmrok zapada, że wichura się zrywa i bije w okna suchym śniegiem, nie słyszał wycia lasu, coraz potężniejszego, ani huków i gwizdań pociągów przebiegających.

— Amis żyje, proszę pana—krzyknął Franek, wtykając we drzwi uradowaną twarz; i tego nie słyszał.

— Amis żyje, proszę pana—powtórzył chłopak głośniej.

Swierkoski podniósł głowę, pomyślał przez chwilę i dopiero zrozumiał i poszedł do psa.

Amis kręcił ogonem i lizał go po twarzy i rękach, i zaczął wyskakiwać i szczekać z zadowolenia. Swierkoski wygłaskał go, wycalował i zmarszczył się groźnie. Pies zadrżał, przypadł na podłogę i pokornym, żebrzącym wzrokiem patrzył w niego, a bił niespokojnie ogonem.

— Do nogi! — zawołał, uśmiechając się złowieszczo, wyjął z nadruza swój bat i zaczął czołgającego się psa bić z całych sił.

— A piesku, a synku, to ja przez ciebie miałem tyle strachu, przez ciebie tyle szkód sobie zrobiłem, co? a synku!—i bił go coraz zacieklej. Pies chował się pod łóżka, pomiędzy sprzęty, rzucał się na drzwi, skakał do okien, ale Swierkoski wszędzie go znalazł, wyciągał i bił, wyładowując wszystkim ból, wszystką swoją dziką rozpacz w ten sposób. Pies przyczołgał mu się w ostatku do nóg, nie widząc już nigdzie ratunku, i zaczął wyć żałośnie, błagająco, rozpaczliwie.

Swierkoski rzucił bat, oczy mu zaszyły łzami, rzucił się na ziemię obok psa, objął go za szyję i zaczął ryczeć i wyć razem z nim, tarzał się po ziemi, niby w epilepsyi, aż zmęczony, wyczerpany, opadł z sił, przycichł i usnął na podłodze; Franek podłożył mu później poduszkę delikatnie pod brodę, a Amis leżał przy nim i drzemał, tylko od czasu do czasu otwierał oczy, przysuwał się bliżej, i z jakąś nieopowiedzianą czułością przyciskał swój płowy łeb do jego piersi, i lizał go po twarzy i rękach, i spojierał w okno, którem biała, rozwichrzona, grudniowa noc zaglądała.

XXVIII.

— Przeczytam ci nowinę Janiu, sądzę, że...

— Tatusiu ja na barana, mnie węz, mnie. Fela nie była grzeczna.

— Tatusiu, Fela na balana ce, Fela ce, tatusiu!

Krzyczały dzieci w niebogłosość i, rozbawione, śmiały się i wdrapywały na Babickiego, który w połowie leżał na wielkiej sofie i sam krzyczał i śmiał się najgłośniej.

— Cicho! ależ własnego głosu nie słyszę — wołała Babicka, zatykając uszy, i tupała nogą, ale twarz i usta śmiały się jej do tych jasnowłosych, różowych krzykaczy, tarzających się po sofie. — Mój drogi, widzę, że ty najlepiej się bawisz, bo najgłośniej krzyczysz.

— No, cóż ja im zrobię? Cicho dzieci, mamusia przeczyta, dzieci będą grzeczne, a później tatko zrobi konia — tłumaczył Babicki dzieciom, zdejmując je z siebie.

— Więc czytam: „P. Głogowski, młody, utalentowany dramaturg i nowellista złożył dyrekcji teatrów najnowszy swój dramat p. t. „Niezlomni“. O ileśmy mogli poznać, z pośpiesznie, bo na krótko nam udzielonego rękopisu, rzecz to wspaniała, w duchu Ibseno-Meterlinowskim, o scenach niezmiernie wstrząsających“.

— A rozpacział przede mną, że dramat ten absolutnie nic nie wart, — zagadnęła Janka.

— Dziwadło, przyjeżdżał od Stabrowskich kilka razy do nas.

— Dziwadło! być może, ale bardzo utalentowane i najlepsze pod słońcem.

— Oceniliśmy go tak samo wszyscy. Był rozrywany w sąsiedztwie, nawet przez niego, wiem to z pewnością, bo od panny, jedno bliżkie małżeństwo się zerwało. Urządził kilka odczytów, na które panny zjeżdżały tłumami.

— Gaski zawsze rzucają się na owies.

— Dlaczego ma pani to za złe?

— Nie za złe, bawi mnie tylko ta panienska łapczywość. z jaką rzucają się na wszelką nowość, bez względu, co ona w sobie zawiera.

— Ba, od tego jest młodość, żeby się zapalała. No dzieci! zrobimy konia?

— Posyła pan jutro konie do Bukowca?

— Tak się stało, że nie, ale jeśli pani potrzebuje, to posłać mogę.

— Nie potrzebuję, przecież człowiek pójdzie i tak po gazety.

— Nie miałaś jeszcze listu od ojca?

— Nie. dziwi mnie to i niepokoi. Przez te trzy tygodnie pisałam cztery razy, a miałam odpowiedź jedną, boję się, czy nie chory.

— Myślę, że jest przeciwnie, dlatego, że zdrowy, nic nie pisze.

— Cichocie no... — zawołała Helena, podnosząc rękę do góry.

— Nic, psy się gryzą w podwórzu, muszą im jeść dawać.

— A mnie się wydało, że słyszałam najwyraźniej płacz... — powiedziała Helena.

— Et. . zdawanie — mruknął Babicki i znowu zaczęły się krzyki i śmiechy dzieci.

Helena odczytywała gazety, przerysowywała monogramy z Bluszcza, a Janka siedziała bezczynnie i w milczeniu przypatrywała się, jak Babicki na czworakach, z jednym dzieckiem na karku, a z drugim na plecach, skakał po dywanie i udawał rżenie konia. Nie zwracała na to uwagi, chociaż z początku z podziwem patrzyła na niego, że wszystek wolny od gospodarstwa czas poświęcał dzieciom i kamieniem przesiadywał w domu.

Nie zajmowała się zresztą nimi zbyt silnie, bo własne troski pochłaniały ją w zupełności. Czekala listu od ojca; tylko od ojca, — ale w głębi ciemnej nurtowało ją pragnienie otrzymania choćby kilku słów od Andrzeja. Nie przyznawała się przed sobą do tego, myślała nawet o nim z niechęcią; ale były chwile, że wyglądała na podjazd, na szeroką, wysadzaną topolami drogę, wiodącą z Rozłogów do Bukowca. Wiedziała, że stamtąd do niej nikt nie przyjedzie, a nieraz się jej wydawało, że widzi w dali zaśnieżonej bułanki znajome, i zawód powlekał jej czoło smutkiem i goryczą.

Zresztą, nudziła się tutaj. Helena dzień cały była zajęta dziećmi i gospodarstwem, Babicki tak samo, a ona przestawała samotna z myślami swojemi i wspomnieniami. Czytać wprost nie mogła, tylko gdy dnie były piękniejsze i suchsze, ubierała się ciepło i szła, tą wielką aleją, na spacer, ale i to ją wkrótce znudziło, bo śniegi były wielkie i na drodze panował ruch nieustanny, więc musiała się spotykać z ludźmi, a to ją rozdrażniało.

Lubiła samotność zawsze, a teraz pokochała tę dobroczynną, słodką, ukajającą przyjaciółkę dusz chorych, lub zmęczonych życiem. Cofała się od życia i spraw jego w głąb jakąś, z której cały świat i ludzie, i namiętności — wydawać się jej poczynały dosyć sobie marne i głupie, i widziała z tej głębi i siebie także, i długo patrzyła, tak długo, dobrze i jasno, aż opadły jej ręce i dusza załkała ze zgryzoty, że zmarnowała życie na głupstwa, że gonila majaki, że, chcąc i pożądamy szczęścia, robiła wszystko, aby je sama popsowała.

— Jak mogłam! jaka ja byłam ślepa! — szeptała ze smutkiem w tych chwilach poznawania. I teraz, patrząc na Babickiego, tak serdecznie bawiącego się z dziećmi, na Helenę, czytającą w spokoju, z tym czystym, głębokim wyrazem w twarzy człowieka, który żyje dobrze, bo spełnia obowiązki i resztę zostawia losom, myślała, że takie życie jest najwyższem dobrem, ale czuła, że tak by sama żyć nie mogła, bo za wiele pamiętała, za wiele czuła innego życia.

— Jedziemy jutro do Stabrowskich? — zapytał Babicki, siadając przy stole.

— Jak chcesz, bo ja, to wołała-bym przesiadzieć w do mu.

— Obiecałem w twojem imieniu, że będziemy.

— Pani Stabrowska uraczy nas jakim specyałem literackim — szepnęła Janka.

— Pani jej nie lubi?

— O, przeciwnie, tylko nie mogę nie widzieć jej śmieszności. Prawda, że, prócz Głogowskiego, nie znam bliżej żadnego literata, ani literatki, ale myślę, iż osoby zarozumialszej niema pod słońcem. Przy tem wszystkim talent ma.

— Ma pani rację, i gdyby do talentu miała jeszcze piękność i nie mordowała znajomych czytaniem swoich utworów, była-by z niej idealna kobieta.

— Nie uważam naprawdę za tak ciężką karę słuchania jej utworów, przeciwnie nawet, dwa ostatnie razy słuchałam z ciekawością i byłam jej wdzięczną, bo mnie porwała.

— A ja, przyznam się szczerze, drzemałam i nic a nic nie mogłam zrozumieć.

— To chyba wina drzemki, nie czytanego utworu — uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Panno Janino! słowo daję, że szanuję panią ogromnie, że oceniam i podziwiam, że pani jest jedyną kobietą, nie wyłączając Heli, której wyższość czuję nad sobą; ale przyznam się, że chwilami miewa pani uśmiech taki straszny, taki miazdzący, że ja tracę przytomność, zabija mnie, krając jak nożem — mówił prędko, z pewną cierpkością i wyrzutem.

— Tak... — powiedziała przeciągle i znowu uśmiechnęła się bezwiednie. Helena zaczęła się śmiać głośno. Babicki zerwał się z krzesła, przeszedł kilka razy pokój i usiadł z powrotem, hamując przykrość, jaką mu sprawiło to krótkie „tak“.

— A, zapomniałem powiedzieć, że dzisiaj, na połowaniu, rozmawialiśmy o pani.

— Zobaczę, czy powinnam być wdzięczną za zaszczyt...

— Ale, bo to nie był ktoś zupełnie obcy pani. Sam mnie zaczepił, odciągnął z koła, i tak par force, pytał o zdrowie pani.

— Grzesikiewicz? — szepnęła cicho i czuła, że fala krwi płomienniem oblewa jej twarz i ręce.

— Zgadła pani. Ogromnie się zmienił od tego czasu, kiedym go poznał u państwa. Był z nim jakiś Witowski, bardzo cudaczny człowieczek.

— Dlaczego cudaczny?

— Nie strzelał zupełnie. Miał stanowisko obok mnie. Wyszedł na niego najpierw zając: nie, oparł się o drzewo i patrzy spokojnie;

zając skręcił na mnie. Zabilem go. Później wysunął się lis, był już od niego o jakie dziesięć kroków, drzałem z niecierpliwości, a ten podniósł szyszkę i rzucił na niego. Założyli kocioł na sarny, wyszedł młody je-lonek, pyszna sztuka, i tak wolno, i tak blisko krajał las, że można go było zabić z rewolweru; ale Witowski zaczął mu pogwizdywać i nie strzelił. Brogowski z Doleżan wściekał się ze złości i zaczął dosyć urągliwie mówić o paryskich strzelcach i nowej szlachcie. Witowski wysłuchał i powiada w końcu:

— Do ludzi tylko strzelam, ale nie pudłuję, do zwierząt nie.

Brogowski, że to szlachcie sierzdzysty i stary awanturnik, pokręcał wąsów i rzecze:

— Ano, to może-byśmy, panie dobrodziejski, się tego i owego przestrzelali, to zobaczył-byś pan, czy ja zawsze pudłuję.

— Dobrze, jeśli pan chcesz, to mogę pana przestrzelić, ale uprzedzam pana, że pan spudłujesz.

Rzucili się do nich, bo przecież do pojedynku nie było najmniejszego powodu, zresztą i Brogowski umitygował się już nieco, gdy Witowski najspokojniej powiada wobec wszystkich, że i tak był-by się nie strzelał z dwóch powodów: że musiał-by go zabić, i że musiał-by również narazić swoje życie, a tego ostatniego nie myśli sobie, dla najważniejszych nawet powodów. Pożegnał się i odjechali z Grzesikiewiczem. Co, czy nie cudak?

— Tak, na tem szarem tle rysuje się jego indywidualność nieco za jaskrawo — odpowiedziała Janka, przypominając sobie tę szaloną sanna i to, co słyszała o nim. Myślała o nim długo.

Nazajutrz, gdy w czwórkę krakowską, zaprzężoną do sanek, jechali do Stabrowskich, znowu się jej przypomniał.

XXVIII.

U Stabrowskich zastali kilka osób: ksiądz dziekan, który często zaglądał na partyjkę, siwy, stary, z piękną twarzą biskupa rzymskiego; jakiś szlachcie szpakowaty, z okrągłym brzuszkiem i sumiastemi wąsami i z cerą tak spaloną, że była podobną do szafranu nierozpuszczonego. Sam Stabrowski, przystojny brunet, z postawą, sztywnością, z faworytami lorda i z monoklem w oku. Matka Stabrowskiej, typ szczętkowy tych cichych, oddanych dzieciom i pracy, matron, których już i na wsiach brakować zaczyna, no i pani domu.

Siedzieli wszyscy w bibliotece. Cała jedna ściana, aż do sufitu, zapchana była książkami, nagromadzonemi na prostych, brązowo-bejcowanych półkach, a po kątach, na stolikach, na parapetach trzech okien, wychodzących na ogród, leżały całe stosy dzienników i tygodników. Długi, dębowy stół, na środku pokoju, zarzucony był papierami i stosami jeszcze nie porożnianych książek, ale w najwidoczniejszym i honorowym miejscu — leżały numery przeróżnych pism z utworami Stabrowskiej.

Wysokie, mosiężne lampy, okryte zielonemi umbrelami, rzuciły światło tylko na stół. Na wolnej od książek ścianie, pod którą stały meble obciągnięte skórą i fotel na biegunach, wisiał wielki karton z kilkudziesięciu portretami z jakiegoś zamkniętego już pisma, pomiędzy którymi był portret Stabrowskiej, obrysowany dla wyodrębnienia czerwonym ołówkiem.

— Czekaliśmy z partyjką na pana—odezwał się, po przywitaniu ksiądz dziekan do Babickiego.

— Możemy zaraz siadać.

— Kto gra? Aha, ja, pan Babicki, ksiądz dziekan i pan Rutowski.

— A my? cóż my tu będziemy robiły same? Zamiast porozmawiać z nami, zabawić, to panowie zaraz uciekają do kart.

— Pani dobrodziejka przeczyta jaki utworek — zaczął dziekan żartobliwie.

— Ależ panowie straciecie na tem, bo go słyszeć nie będziecie.

— Pani dobrodziejko, to my sobie to później powetujemy, powetujemy... no, to panowie chodźmy, karteczki czekają.

— Doprawdy, że to jest wyborny temat do artykułu. Zjedzie kilku mężczyzn, to zamiast porozumieć się w różnych kwestyach, porozmawiać, siadają do kart. Cóż z tego wynika? zupełny zanik towarzyskości, zgrubienie obyczajów; tak, to naturalne, że później taki pan w salonie, pomiędzy kobietami, trzech słów powiedzieć nie umie, że dla niego nie istnieje nic, ani nowy wynalazek, ani nowa książka, ani idea, nic, połknął karcianego bacyllusa i ten go trawi. Rzeczywiście, można o tem napisać z punktu psychologiczno-socyologicznego. — Napisała kilkanaście słów na kartce i wsunęła ją pod przycisk.

— Pani wszystko notuje?—zapytała ciekawie Janka.

— Wszystko. Tylko w ten sposób można chwytać z życia i z własnego mózgu najwybitniejsze, najlepsze momenty. O, widzi pani, to są moje dokumenty ludzkie. Mam ich całe stosy, — wskazała całe góry różnokolorowych kartek.

— Te białe, to psychologia ogólna; czerwone, sprawy społeczne; zielone: opisy, krajobrazy, nastroje, wschody i zachody słońca; błęki-

tne: miłość, uczucia rodzinne, małżeństwa szczęśliwe, przyjaźń; białe z czarnem: śmierci, wypadki, tragedye losowe, zbrodnie ze sprawozdań sądowych; żółte: zazdrości, niechęci, nienawiści, sytuacje w głębiach dusz; purpurowe: kataklizmy, zdrady, uwodzenia, walki z obowiązkami, z sercem, tragedye zmysłów; heliotropowe: tęsknoty, marzenia, sny, zapachy kwiatów, muzyka, chwile łzawe, pragnienia niezaspokojone; pomarańczowe: wszystkie najbujniejsze rzeczy, których terenem — dusza. Razem, same szkice, strzępy, notatki i t. d., a tutaj — wskazała paski czyste białe — tu są same pomysły, tematy już gotowe, szkielety opracowane nowel, powieści i dramatów.

— Zupełnie *au bon marché* literackie. Wszystko jest, co potrzeba w chwili pracy.

— Wie pani, że to dobre porównanie, zanotuję. Literatura — ciągnęła dalej, zapisawszy to porównanie na jakimś szarym papierze — to ciężka praca, która potrzebuje szalonego przygotowania.

— Pani dużo pisuje?

— Bardzo nawet dużo, ale niewiele drukuję, bo... — zawahała się nieco; jej płaską, chudą twarz, osypaną pudrem, przeleciał twardy wyraz złości i ironii; oczy białawe, rozmiękle, niby u ryby ugotowanej, wysadzone na wierzch, obwiedzione czerwoną obrączką powiek, szydziły.

— Ja jestem na stopie wojennej prawie z całą naszą prasą, hołdującą tylko gustom i opiniom wulgarnym tłumom, masy ciemnej, instynktom i tradycjom skostniałym, nierozwinięciu. Co oni lubią? czemu hołdują? jakie mają zasady? dokąd idą? czego chcą?

Tylko to i tylko to, czego chcą ich czytelnicy i prenumeratorzy; służą obłudzie społecznej. Jeżeli można streścić całą prawie prasę naszą za pachem, to powiem za Głogowskim, że śmierdzi pieluchami i wodą święconą!

Zamiast prowadzić i wieść tłuny, oni węszą dokąd ten tłum, w swojej ciemności, chce iść, i tam za nim dążą. Nie lubię obłudy, kłamstw, chociaż-by w imię najdroższych, narodowych bolączek, obwijania brudnymi kompresami obłudy, ran, które leczyć można i należy wypalaniem lub nożem.

Odbiegłam od przedmiotu. Otóż dlatego jestem na wojennej stopie z prasą i z uznanymi, bo jestem dla nich za szczerą, za brutalną. za bardzo kocham i za mocno nienawidzę.

Mydlarze, jubilerzy, kłamcy i obłudnicy! — wykrzyknęła grzmiąco, wyciągając wielkim ruchem rękę, jak-by stali wszyscy przed nią...

— Ja chcę pokazywać życie bez obsłon romantyzmu i dziecinnej wstydlivosti, prosto, szczerze, po męsku chcę wszystko rozpatrywać,

aby na dnie, w tych głębiach, starannie dotychczas unikanych przez rutynę, wynaleźć prawa rozwoju i wynaleźć lekarstwo. A szczególnie zwracam uwagę na miłość z jej fizyologicznej strony, bo to kwestya niesłychanej doniosłości społecznej, i najobłudniej dotychczas traktowana przez naszych pisarzy, chcę ją wyciągnąć na jawę dnia i zmusić ludzi, aby głośno przyznali jej prawa obywatelskie i jej niespożyta moc, i...

— Ale poco? przypuszczam, że wszyscy wiedzą o jej sile i trwaniu.

— Ach, poco? Zaraz pani powiem, słowami Zoli; mam w tej kwestyi list od niego, zaraz pani przeczytam, — zaczęła szukać pomiędzy papierami, po tekach i szufladach, pomiędzy kartkami książek, ale nie znalazła. — Nie mogę znaleźć w tej chwili. Nawet pan Głogowski nie chce uznać mojej idei, pomimo, że taki nawskróś realista.

— Ale nie naturalista i nie pornograf — powiedział Stabrowski, stając we drzwiach, wrzucił monokl w oko i rozczesywał powoli, długimi palcami, wspaniałe bokobrody.

— Mój Włodku! powtarzasz dosyć zużyty epitet, jesteś echem wsteczników. A zresztą, w tem określeniu niema nic śmiesznego, ani ubliżającego. Każda nowa myśl ma przeciwników. Homer! Dantel! Ariosto, Szekspir, Byron, Mickiewicz — wyliczyła bezładnie kilkanaście nazwisk — mieli nieprzyjaciół, którzy im odmawiali nietylko talentu, ale i prawa uzewnętrznienia się! Ale ewolucya zrobiła swoje, wytopiła złoto, a śmiecie zginęło w niepamięci czasów. Dla prawdziwych talentów przyjdzie zawsze dzień uznania.

— Daleko! chyba Todzio doczeka się twojej sławy! — szepnęła, spoglądając na kilkoletniego chłopaka, przytulonego do Heleny.

— Moj Włodku... — nie skończyła, zagryzła blade usta i na żółtej karteczce nakreśliła słów kilka.

— Uui! śmiertelności! moja uwagę — uśmiechnął się i wrócił do kart.

— Może pani przeczyta co, prosimy bardzo — zaczęła Helena prędko, aby zatrzeć odezwanie się Stabrowskiego.

— Ja nie wiem, moja pani, skąd się jej to wszystko bierze — kończyła matka do Janki, półszepem — nie wiem, a takie czułe rzeczy pisze, że bez łez słuchać nie mogę. Ale... — dodała ciszej, do ucha — szczęśliwą nie jest, o nie!.. — i trzęsła głową smutnie.

— Dobrze, przeczytam paniom ustęp jeden ze szkicu, pod tytułem „w Oborze“. Nie jest to zarozumiałością. jeśli powiem, że to pierwsza rzecz pisana po polsku z takim realizmem, że życie jest tutaj samo w sobie, że to wprost arcydzieło prawdy.

Wzięła kilkanaście krótszych i dłuższych kartek, kawałków papierów, kopert nawet, marginesów gazet, zapisanych drobnem, prawie nieczytelnem pismem. Uporządkowała jako tako i zaczęła dosyć cicho, przysuwając się bliżej.

— „Waluś! Waluś! Waluś! dyszała Józia, z jakimś omdlewającym ruchem kolan, cisnąc się do niego, i czerwonemi ustami wpijała się w jego twarz brudną, zalana strugami potu, rozgrzana.

— Waluś! — oczy jej zachodziły mgłą coraz mętniejszą, przenikał ją słodki, orzeźwiający dreszcz i jakaś brutalnie łechcąca niemoc rozpieierała się coraz szerzej.“

— A dostaniemy herbatki? — zawołał dziekan, wchodząc.

— W tej chwili. Proszę panów do stołu — zaczęła zapraszać matka, bo Stabrowska zbierała kartki rękopisu drżącemi rękoma, zirytowana, że w najpiękniejszym miejscu jej przerwano.

— Nie zdążyłam przeczytać najpiękniejszej sceny, jak Jagna, żona Walka, spostrzega ich.

Helena i Janka były zmieszane tem, co słyszały, i zarumieniły się bezwiednie, nie śmiejąc spojrzeć na Stabrowskiego, który dość ciekawie spoglądał.

Stabrowska przy stole była rozpromieniona, oczy jej świeciły, blade usta zaszły purpurą krwi, przeciągała się nieznacznie i co chwila przycinała zębami koniec języka. Odczuwała doskonale opisywaną scenę.

— Więc pan dobrodziej na wiosnę do Włoch jedzie... — ciągnął rozpoczętą przy kartach rozmowę dziekan.

— Pojadę, jakem Rutowski, raz, dwa, trzy, panie tego owego, pojadę.

— Bodaj, czy to nie rok piąty, jak się sąsiad wybiera — wtrącił ironicznie Stabrowski.

— Tak, tak, ale panie tego i owego, zawsze jakoś się tak składało, że nie mogłem, jakem Rutowski, ale już w tym roku, choćby na pniu sprzedać pszenicę, sprzedam, a taki pojadę.

— Istotnie, warto jest zwiedzić Włochy.

— Pani zna Włochy? — zawołał żywo, zwracając się do Babickiej.

— Mieszkaliśmy tam z mężem cały rok.

— A pani moja, jakem Rutowski, ale musi mi pani opowiedzieć, — przesiadł się do niej, — bo ja byłem kiedyś we Włoszech całe sześć lat i nie mogę zapomnieć, i ciągnie mnie coś do nich, że tylko myślę, aby przed śmiercią tam być. Rzym pani zna?

— Kilka tygodni byliśmy w Rzymie.

— Prawda, że wygląda, jak rudera, jak wspaniały, ale okropnie zdewastowany majątek. W kopule Ś-go Piotra musiała pani być? Chodziłem do niej co tydzień, bo w tej bani, pod krzyżem samym, są szpary, któremi widać Śródziemne morze, ale z tej odległości, takie, panie tego i owego, zielone, jak świeżo wykłoszona przenica... to przypominało mi nasze pola, jak to idziesz sobie dróżką, panie tego i owego, a na lewo nie dojrzysz końca zbożu, i na prawo nie dojrzysz. Wiaterek sobie musknie kłoski, a całe pole szu... szu... i kładzie się pod nogi, kołysze i tak pachnie! A Monte Pinciol śliczny stamtąd widok na miasto. Obmurowywaliśmy go od strony Willi Borghese.

— Jakto i pan obmurowywał?

— Tak, jakem Rutowski, woziłem kamień taczkami, aż miło! cóż było robić? Ho! ho! nie tylko takie roboty były!—Pokręcił węża, twarz mu się rozjaśniła, a w wybladych, jakby spłowiałyach oczach, zamigotał głęboki lazur.

A Neapol? co? Śmierdzi pewnie i dzisiaj tak samo, jak śmierdział. Uliczki, panie tego i owego, niby przegony na sapach! Gorąco, zaduch, krzyk, brud ścieka po ścianach, oliwa śmierdzi, ludzie śmierdzą, ryby śmierdzą, osły śmierdzą, że człowiek chciał-by uciekać na bory i lasy, ale zrobisz dziesięć kroków dalej, cicho jak w lesie, kawał muru na którym złocą się pomarańcze, Matka Boska wisi, pięknie ubrana róże po murach kwitną i pachną, ptaszki śpiewają i ludzie się modlą przed Madonną.

Trzy lata mieszkałem w Neapolu, przy porcie via... zaraz!.. nie, to był vinicolo Siesta. rynsztok, panie tego i owego, uliczka bez wyjścia sześć pięter domy. Z okna do okna, z jednej strony ulicy na drugą, ręce można sobie ścisnąć. Nie pamiętacie państwo vinicolo Siesta, zaraz przy porcie?

— Niestety, tyle tam tych zaułków i takich strasznych, żeśmy się obawiali w nie puszczać.

A zatoka, taka sama, co? co to jak patrzeć pod słońce, to daleko, przy Capri, aż czarna prawie, taka modra, nie, tylko jakby zasiał chabrami całe pole. Ślicznie, panie tego i owego, jak malować.

A Wenecya, pani dobrodziejko?! to brudna kaczka, panie tego i owego, jakem Rutowski. Kamień, niebo i woda! no widział to kto? głupie miasto!

Padwa! Florencya! Genua! to wszystko razem kamień i świństwo! Włóczyłem się tu i owdzie, żyłem z Włochami za pan brat, znam Italię na durch. O bella Italia! bella! Ha! ha! dziwny kraj, lasu ani kawałka, pola ludzkiego ani znaleźć, gospodarstwo Boże się zmiłuj! Sałata, wino, oliwa!

— Z tego wnioskować, że pan nie zbyt przyjemne wrażenia wywoził z Włoch—wtrąciła Stabrowska.

— Niby prawda, pani dobrodziejko, tak... juści, ale kiedy sobie wspominam, to mi się tak jakoś robi na sercu, że mi dobrze. Było tam i źle, i głodno, i smutno, ale coś mnie ciągnie do tej włoskiej jasności; ja, panie dobrodzieju, nieraz w polu, w żniwa szczególnie, patrzę się w niebo i widzę, że to wszystko ciemno, chociaż słońce doskwiera. Pamiętam Włochy. Jak się wylazło nieraz w Neapolu na wierzch, na góry, to jak się spojrzę na morze, na miasto, na drzewa, to się płakało niewiedomo z czego, niby mazgaj ostatni, panie tego i owego. Tak, pojedę na wiosnę z pewnością, niech tam co chce się stanie!

Albo kiedy człowiek był zmęczony, zapracowany, jak ten wół, panie dobrodzieju, to się szło na molo, niby bulwar, i to od strony Terra Gocca, gdzie same ogrody pomarańcz, to się siedziało i po prostu jadło się oddechem powietrze, i jadło się oczyma morze, i zapominało się o wszystkim, bo to morze co chwila chlup! chlup! panie tego i owego, pod nogi, pomarańcze pachną, ciepło, wszystko w człowieku jakby usypiało z radości, a na wodzie byle kto jedzie, pierwszy lepszy cham i parobek, i śpiewa, aż się w kościach ciepło robiło.

Człowiek za ostatniego lira siadał w barkę i hajda, panie tego i owego, na morze, a przewoźnik na mandolinie brzdęk... brzdęk... brzdęk.. i

O mio Napoli, o santa citta
Tu sei sempre il paradiso

zanucił drżącym, pełnym zapału i chryпки głosem. Zerwał się, oczy mu pociemniały z zawstydzenia, zaczął targać wąsy, żeby pokryć i wzruszenie, i złość na siebie, bo mężczyźni patrzyli na niego nieco drwiąco.

Ksiądz dziekan przymrużył jedno oko, zażył tabaki i szepnął:
— Stary grzesznik! Garybaldysta, mason...

Stabrowska słuchała go z taką uwagą autorską, co zdaje się zapisywać w pamięci każde słowo i gest każdy... Helena słuchała z przywknętymi oczyma i przenosiła się myślą do Włoch, była w Neapolu, płynęła barką, i zdawało się jej, że słyszy:

Tu sei sempre il paradiso.

A w Jance wstawało jakieś ogromne pragnienie zobaczenia tych cudów. Dopelniała słyszane czytaniem i wyobraźnią, i tysiące obrazów zaczęło snuć się przed jej duszą

Milczenie zaległo. Pokojówka nalewała i roznosiła herbatę.

Rutowski pochylił nisko, nad szklanką, twarz, bo tęsknota szarpnęła mu boleśnie sercem do tych brudów, kamieni, słowem do tego piękna, w którym się bezwiednie kochał. Wstydział się sam siebie, bo jakto on, ojciec sześciorga dzieci, stary człowiek, ma jeszcze takie głupstwa! niby pierwszy lepszy młokos! — Tfy.. panie tego i owego — splunął nieznacznie i zaczął rozmawiać o gospodarstwie.

Stabrowska poszła do biblioteki i na białej karcie pisała:

„Epizod: szlachcie, który był we Włoszech i nazywa Rzym folwarkiem zdewastowanym. O Neapolu mówi: śmierdzi, ludzie śmierdzą, ulice śmierdzą, powietrze śmierdzi, morze śmierdzi. O Wenecyi: kaczka brudna“.

Sanki z brzękiem zajechały przed dwór.

Stabrowski wyszedł i powrócił po chwili zmieszany jakiś i pobladły.

— Po panią przyjechali, z Bukowca — szepnął do Janki.

— Ojciec chory! — porwała się z krzesła takim ruchem, jakby biedz chciała do niego, ale powstrzymała się, stłumiła przestrasz i spokojnie się pożegnała.

Babiccycy zrobili to samo i wkrótce wracali do Rozłogów. Chciała jeszcze wstąpić do nich, aby się przebrać na drogę.

Stabrowska po ich odjeździe powróciła znowu do biblioteki i na purpurowym papierze pisała:

„Ojciec umarł! — zerwała się z krzesła i z wyciągniętymi rękoma, z krzykiem straszliwym w oniemiałych ustach i szeroko otwartych oczach, szła ku temu złowrogiemu posłańcowi śmierci, który brutalnym zgrzytem zmaćcił słodką harmonię wieczoru“.

XXIX.

Przez całą drogę do Rozłogów nie mówiono nic. Janka siedziała, ogłuszona tą wiadomością, nie pytała nawet kto ją przywiózł. Dopiero kiedy wchodziła do sanek, przysłanych z Bukowca, spostrzegła, że siedzi w nich, prócz stangreta, ktoś drugi. Cofnęła się bezwiednie, bo wydało się jej, że to Andrzej, ale z pod kapuzy, bo śnieg padał, wychyliła się do niej ostra twarz Witowskiego.

— Pan tutaj, po mnie?

— Niech pani siada, bo pilno nam jechać, — powiedział szorstko, okrywając ją bez pytania wielkim płaszczem futrzanym, który przywiózł z sobą.

— Ojciec bardzo chory? — zapytała nieśmiało po długiej chwili, gdy już jechali

— Bardzo.

— Może...—nie domówiła, bo strach ją przejął szalony.

— Nie, ale zwaryował,—powiedział z brutalną szczerością, która pokrywała rozdrażnienie.

— Jedź prędzej, choćby konie paść miały! — krzyknął na stan-greta.

Sanki zamiotły tak silnie do rowu, że bezwiednie chwyciła się jego ręki, aby nie wypaść, i trzymała. Spoglądała na niego z prośbą niemą, ale on milczał, z surowo ściągniętymi brwiami, aż ją zaczął przemawiać strach jakiś i żal okropny do siebie, że to jej wina, że to ostatnia scena zabiła ojca. Tak cierpiała, że łzy płynęły jej po twarzy. Płakała, nie wiedząc o tem, zapatrzona w tę dal zaśnieżoną, myślą w Bukowcu.

— Co pani łzy pomogą? sił pani potrzeba,—powiedział, zwracając się więcej do niej.

— Ojcz... ojczel...—powtarzała cicho i bezdźwięcznie, i coraz boleśniejsza męka ścisnęła jej serce; płakała ciągle, tym cichym, okropnym płaczem rozpacz i beznadziejności.

Noc okrywała ich mętna, masy śniegu wolno, bez szelestu, otulały pola, drzewa i ich samych, i spływały ustawicznie, jakby miały świat zasypać, i rozpościerały jakąś okropną, wstrząsającą ciszę dookoła, w której jej myśli, niby zmęczone ptaki, kręciły się w kółko, napróżno szukając miejsca odpocznienia.

— Nie płacz pani, bólu pani nie, prócz czasu, nie uleczy — mówił dobrym, ludzkim głosem i pochylił się ku niej tak blisko, że ją owionął oddechem, i zadrżała, spojrzawszy mu w tę głąb, gdzie świeciły jego źrenice.

— Tam, w tych sinych przestrzeniach, w tym oceanie nicości, utoniemy wszyscy, wszyscy, ani jeden atom naszego ja nie ocaleje. Tak chce Bóg. Takie jest prawo. Silna dusza świadomością, to pancerz przeciw bólowi. Nie płacz pani. Ze śmierci nie potrzeba się śmiać, ale i płakać nad nią nie trzeba, bo nie zmieni porządku, zresztą, ojciec nie umarł jeszcze.

Nie odpowiedziała, tylko poleciała duszą w te przestrzenie, na które ręką wskazał, i ogarnął ją jakiś powiew zimny i przerażenie. Głos jego wydał się jej, jakby pochodził z tamtej strony życia, jakby z tych obszarów konieczność mówiła i nieubłaganie; słuchała z bojaźnią.

— To wszystko marne widma, halucynacye, mary naszych serc i mózgów, nie powinno się do niczego przywiązywać, bo się straci, bo

ból... Nie płacz pani, -- powiedział miękko, odczuwając febryczny dreszcz, jaki nią wstrząsnął. Pochyliła niżej głowę i lży bólu, palące lży, upadły na jego rękę, poprawiającą zsunięty płaszcz na niej. Cofnął ją, jakby sparzony.

— Prędszej!--zawołał i zamilkł.

Po jakiej godzinie jazdy, śnieg zaczął rzednąć i ustawać; a z po za szarości prześwitywały gwiazdy i wiatr ostry zrywał się z pól, हुआ w lasach i kłębił śniegi.

— Odwagi! Kiedy tylko pani zechce, to dom nasz, ja i siostra, jesteśmy do rozporządzenia, — powiedział, kiedy już wysadził ją przed stacją. Ucisnęła mu ręce silnie, ucałował jej dłonie i odjechał.

Nowa służąca przyjęła ją obojętnie, bo Janowej już nie było, tylko Roch całował ją po rękach, obejmował za kolana i ze łzami szeptał:

— A juści, że zachorzał, a juści... że się pewnikiem zamrze panisku, a juści...

Poszła prosto do pokoju ojca i aż krzyknęła z przerażenia, ujrzawszy jego twarz; miał głowę ogoloną zupełnie, pokrytą wielkimi ranami, twarz cała była w ranie, na oczach miał przepaskę.

— Jezus, Marya!

— Cicho! — szepnął doktor, który przyszedł za nią. — Chodźmy stąd.

— Usnął niedawno,—powiedział, wprowadzając ją do saloniku.

Grzesikiewicz, który siedział przy stole, w milczeniu podszedł do niej i gorąco ucałował jej ręce.

— O, jaki pan jesteś dobry, — szepnęła z głęboką wdzięcznością w głosie i patrzyła chwilę na jego twarz zbiedzoną, zmizerowaną, po której teraz latały płomienie radości jakiejś.

— Cicho! przejdziemy chyba do stołowego, tutaj za blisko chorego.

— Pani się położyć powinna, już późno, trzecia. Musi pani czuć się bardzo zmęczoną...

— Nie, nie, będę siedziała do rana przy ojcu, może czego będzie potrzebował.

— Pójdiesz pani spać natychmiast! o ojcu ja pamiętam,—napisał śpiesznie doktor na kartce, bo już założył respirator.

— A dobrze, czuję się strasznie znużoną i tak głowa mi nie boli, boli... — cisnęła sobie skronie i smutnym, przejętym bólem wzrokiem patrzyła na Andrzeja.

— Dobranoc pani,—powiedział cicho.

— Czy jutro... jutro...—zaczęła z wysiłkiem mówić.

— I jutro, i zawsze; życie moje przecież należy do pani — powiedział prosto.

Usiadła i zaczęła płakać ze zdenerwowania; ucałował jej rękę, pocałował ją w pochyloną głowę, jakimś pocałunkiem głębokiej czci i miłości, i odjechał

Nie, nie miała sił podnieść się z krzesła, nie miała sił nawet podziękować mu za jego dobroć niesłychaną; siedziała tylko i zażalowaniem oczyma odprowadzała go do drzwi i biegła za nim myślą, to znów patrzyła na doktora, rewidującego swoim zwyczajem okna, drzwi i lufki, i chodzącego w milczeniu po pokoju. Nie zwracała uwagi na jego groźne spojrzenia, i niecierpliwe ruchy, jakimi ją wyprawił spać.

Co ją to wszystko obchodziło, czuła się tylko śmiertelnie zmęczoną, a do zmęczenia dopływały jeszcze nowe strumienie gryzącego żalu, pomieszane z wdzięcznością dla Andrzeja, i przejmowały ją takim rozczławieniem denerwującym, że płakała, nie wiedząc nawet o tem.

Dalekie echa dzwonek przy saniach, tłukące się po lesie, jakie napływały z wiatrem i wdarły się przez szyby w tę tragiczną ciszę mieszkania, przepełnioną widmami jęków i zapachem karbołu, oprzytomiały ją nieco.

— Czemu odjechał? — myślała, z jakimś niewyraźnym jeszcze lękiem, patrząc w okno, w rozbielony śniegami świat. w te zimne, roziskrzone gwiazdami granatowo-płowe przestrzenie. Zatrzęsa się z zimna, z przejmującego zimna, jakie płynęło ze wszystkich stron, z obawy, jaka ją coraz silniej przenikała.

Podniosła się, okryła chustką i chciała zajrzeć do ojca, ale doktor zastąpił jej drogę i rozkrzyżowanemi rękoma nie puścił.

— Śpi,—szepnął, zdejmując respirator.

— Niech pani idzie spać.

Podniosła się znów i automatycznie szła ku drzwiom swojego pokoju.

— Boję się,—szepnęła cicho, stając przed nim.

— Czego?

— Nie wiem, coś dziwnego ze mną się dzieje, z czego nie umiem zdać sobie sprawy. Zalewa mi się mózg i serce jakąś ciemną obawą. Niech doktor mówi, straszy mnie ta cisza okropna. Niech doktor mówi boję się ciemności, boję się samotności, bo mi się zdaje, że skoro tylko zostanę samą, musi się znów stać coś strasznego. Niech doktor mówi,—błagała coraz ciszej.

— Rozdenerwowanie i nic więcej, trzeba iść spać, a wszystko przejdzie.

— Nie, niech mi doktor opowie, jak się stało z ojcem. Może doktor lampę rozjaśni i drzwi pozamyka, bo mi jest straszliwie zimno.

Trzęsła się jakby w febrze.

— Nie czas na opowiadanie, ale jak pani chce, to opowiem o ile wiem, lub się domyślam, to nawet dobrze zrobi na nerwy pani.

Po pani wyjeździe przez kilka dni był zupełnie spokojny, tylko rozkazał Janowej, aby kładła do obiadu po dwa nakrycia, a wieczorami zamykał się, i z zapaloną świecą chodził po mieszkaniu, i oglądał wszystko.

Zalescy przed wyjazdem wyprawiali pożegnalny wieczór, był na nim, i, jak opowiada pan Bobiński, był zupełnie naturalny.

Dopiero po powrocie stamtąd, kazał Janowej zawołać pani.

Nie uwierzył, że pani niema, że pani wyjechała.

Nawymyślał jej i poszedł pani szukać po mieszkaniu i stacyi całej; szukał po drodze, szukał nawet w lesie.

Rano poszedł, jak zwykle, do kancelaryi, zamknął się na klucz i siedział tam kilka godzin. Słyszeli, że cały czas rozmawiał i kłócił się z samym sobą, a raczej z tym swoim sobowtórem, ale służbę jeszcze pełnił przytomnie. Tak zeszło kilkanaście dni.

Odzywał się tylko coraz mniej do otoczenia, i coraz częściej całe noce nie spał tylko chodził po mieszkaniu i szukał czegoś.

Czego szukał? nie wiadomo.

Przedwczoraj w nocy, służącą obudziły krzyki głucho i trzask rozbijanych sprzętów. Obudziła Rocha i z nim dopiero pobiegła do pokoju ojca. Stał na środku i długo, przejmująco, okropnie śmiał się, a później rozmawiał i znowu szukał, rozrywał sprzęty, wlaził pod meble, tupał nogami i krzyczał ze złością na tego drugiego.

— Gdzie ona? Mieciu, psiakrew, bo zabiję!

Nie słyszeli więcej. bo spostrzegł ich i rzucił w Rocha krzesłem, uciekli. Rano, służąca znowu zajrzała do jego pokoju. Szyby były wytłuczone, świeca się dopalała na środku pokoju, a Orłowski, pookręcany w pookręcane firanki i w zdarte pokrycia mebli, obłąkany, pokrwawiony, straszny, siedział w kącie.

— Okropnel.. okropnel.. — szeptała Janka i serce jej przepelniał taki straszny, dziki ból, że z piersi wydobywały się krótkie, chrapliwe jęki, podobne do skowytu; pochylała głowę niżej, pod ciężarem tego udręczenia winy własnej, jaką sobie coraz wyraźniej uświadamiała.

— To moja wina! To przeze mnie — myślała ciężko w tem poczuciu ostrem, jak nóż, które raz po raz przesywało jej mózg i serce.

— Dostyc ma już pani — szepnął doktor, odczuwając, co się w niej dzieje.

— Niech doktor kończy, niech doktor mówi, chcę wszystko wiedzieć — mówiła prędko, chwytając powietrze posiniałemi ustami, i podniosła na niego oczy tak pełne zniekania, żalu i rozpacz, że doktor ujął ją za rękę i bardzo serdecznym głosem powiedział:

— Nic tu pani nie jest winną, prawie nic. Tak, czy owak pani-by postąpiła, on nieodwołalnie musiał skończyć obłąkaniem. Mówię to zupełnie szczerze, bo nie tylko byłem jego przyjacielem, ale i lekarzem,

— Prawie nic, prawie nic... — powtarzała wolno, a czuła, wiedziała teraz, w tej chwili, że była winną wiele, bardzo wiele, i przesunęło się jej w pamięci tysiące scen, kłótni, rozdrażnień, cierpień, jakich była jedynym powodem.

— Zresztą, któż zna granice i cały ogrom wpływów i oddziaływań duszy na duszę; któż wie, kto winien? kto ma odpowiadać za nieszczęścia, jakie się stają? Wszyscy są winni i wszyscy są pokrzywdzeni, ot co. No, uspokój się pani, już się stało i nic tego nie odmieni; fakty są to trupy, których nikt nie wskrzesi, jak nikt nie wskrzesi dnia, co przeszedł. Możesz pani myśleć o tem nieszczęściu, i to myśleć głęboko, bo myślenie wypala odczuwanie... ot co! — Zakaszlał się straszliwie i potem długo siedział bez ruchu, wpatrzony w okno.

Janka milczała także.

Cisza była denerwująca, tylko wiatr rzucił suchym śniegiem w okna i świstał po szybach, a gdzieś, z bardzo daleka, szły jakieś słabe głosy, jakby wycia wilków i trzask odpadających w lesie gałęzi, albo z pokoju Orłowskiego wydobywały się długie i bolesne jęki, drżały chwilę i rozplywały się w ciszy.

— Dokończę pani — zaczął doktor. — Wczoraj rano przyszedł ojciec do biura, przywitał się ze wszystkimi i poszedł do swojej kancelaryi. Chociaż tam był zastępca jego, którego przysłała dyrekcya zawiadomiona o wszystkim, nie zważał na to, usiadł na sofce i zdrzemnął się. Żeby mu nie przeszkadzać, zastępca ów wyszedł.

Po jakiejś godzinie, pan Bobiński, który był na służbie w telegrafio, usłyszał zamykanie drzwi na klucz i wkrótce głośną rozmowę odgłosy, jakby uderzeń, i krzyki:

— Zabiję, zabiję! Dostyc mam tego, dostyc!

Stukano i proszono, aby drzwi otworzył, napróżno.

Stali wszyscy pod drzwiami, nasłuchując, kiedy naraz drzwi się gwałtownie otwarły i zatrzasnęły natychmiast. Zobaczyli tylko, że zrobił ruch, jakby kogo siłą wyrzucał.

Pozbył się drugiego swojego ja, i w obłąkanym mózgu zaświtała zupełnie naturalna idea—pozbycia się go nazawsze; więc pod drzwi, któremi go wyrzucił, a mógł przypuszczać, że odgłosy, jakie z tamtej

strony słyszał, były dobijaniem się wyrzuconego - pościagał papiery, krzesła połamane, meble porozrywane, maszynki do stęplowania bile-tów, drzwiczki nawet od pieca poobrywał, ułożył z tego stos, oblał naftą z lampy i podpalił.

Sądził, że spali tego dręczyciela.

Drzwi tymczasem nadaremnie próbowano otworzyć, i dopiero gdy dym zaczął się przedzierać przez szpary, wzięto się do wyważania ich. Świerkoski wybił od peronu okno i skoczył do środka. Usłyszał tylko straszny krzyk: Żyjel! Żyjel i odgłos upadającego ciała — musiał uciekać, bo dym go dusił i stos ów palił się i zapełniał ogniem pół pokoju.

Wywalono wreszcie drzwi i wyniesiono ojca na pół żywego. Upadł prosto w ogień i palił się cały.

Oto cała historia. Smutna historia! —

Założył respirator, popatrzył na Jankę i poszedł do chorego.

Nie powrócił już do niej.

Lampa dogasała, i brudny mrok zimowego świtu zaczął zalewać pokój i wydobywać kontury przedmiotów.

Poszła do swojego pokoju i z czołem opartem na szybie stała, nie myśląc nic i nie czując; śledziła bezmyślnie brudne kłęby oparów, co się wznosiły z nad oparzelisk i bagien leśnych, i rozlewały się nad lasami szarym obłokiem; to patrzyła w gwiazdy, coraz słabiej świecące, i w boleśnie czerwone zorze świtu, co jak ostrza rozpalone wrzynały się w szarość obłoków i siały purpurową śręczogę na śniegi, lasy i prze-strzenie.

Nie myślała, ale mózg jej bezwiednie odtwarzał dopiero co słyszane sceny szaleństwa, i z taką brutalną wyrazistością, i tak nieubla-ganie w szczegółach rysował, że zwolna zaczęła drzeć z przestachu i cofać się od szyby, bo była pewna, że to wszystko teraz się dzieje; z tamtej strony okna zobaczyła jakąś larwę, patrzącą wprost wypalonymi oczodołami — straszną grozą.

— Ojciec! ojciec! — Ikała bezprzytomnie, ogarniona takim gwałtownym paroksyzmem strachu, że była bliską szaleństwa.

Chciała krzyczeć, uciekać — nie mogła! Wyciągnęła ręce bezsilnie i upadła nieprzytomna na podłogę.

XXX.

Rano Orłowski leżał niby kłoda opalona, doktor okręcał mu twarz i głowę kataplazmami.

— To pewna, że oczu się nie uratuje—powiedział.

— Niema żadnego ratunku?

— Żadnego. Żyć będzie, ale skończone z nim. Jak tylko można będzie, przewiozę go do szpitala.

— Nie, za nic w świecie, przecież może się leczyć w domu.

— A tak, a w pierwszej chwili, gdy się poczuje lepiej, może wpaść w furję. Umieszczę go u Bonifratrów. Tu już i czułości nie pomogą—rzucił szorstko, zakładając śpiesznie respirator.

Nic już nie oponowała, nie rozpaczała nawet, chodziła jak trup, świecąc zapadłemi głęboko oczyma, zaniedbana i apatyczna na wszystko. Co jakiś czas zaglądała do ojca, patrzyła na niego i wychodziła.

Coś się w niej zostało, jakaś zdolność odczuwania bólów, czucia nawet. Dopiero z przyjazdem Andrzeja ożywiła się nieco. Grzesikiewiczowa przyjechała z synem, i z wielką troskliwością uspakajała ją i pocieszała, jak mogła; ale w akcencie głosu, w twarzy, miała przymus jakiś i oschłość, której pokryć nie umiała. Nie mówiąc, patrzyła na Jankę bolejącem, litościwem okiem, ocierała nos głośno dla zamaskowania pomieszania i przenosiła oczy na syna; a widząc jego zmierzowaną twarz, jego oczy płomienne i ślady głębokich cierpień w całym obliczu, pochylała głowę, poprawiała sukni, żeby się nie pogniotła, i niechęć ostra, prawie nienawiść, przesycala ją do tej sprawczyńi wszystkiego.

Wiedziała od Osieckiej i Józki wszystko.

Ale widząc znowu, jak Janka dogląda ojca, z jak głębokim szacunkiem doktor zwraca się do niej, jak Andrzej ją całuje po rękach, poczuwała zadowolenie, zaczynała czuć niewiarę w to, co słyszała od Józki, bo nie mogło się pomieścić w jej chłopskiej głowie to wszystko, co tutaj widziała—z tem, co słyszała.

Andrzej, zdawało się, nic nie pamiętał. Kochał ją, pomimo wszystkiego, i te kilka tygodni rozłączenia, pełne męki, przekuły mu duszę; tysiąc razy wybierał się do niej jechać, prosić o przebaczenie, ale zawsze brakło mu odwagi. Dopiero ten wypadek straszny, któremu

był prawie wdzięczny, wytrącił go z błędnego koła bezradności i z całą szczerością pośpieszył podać jej rękę do zgody i zapomnienia przeszłości.

Nie mówili o tem, ale wrócili do dawnego stosunku, jakby pomiędzy nimi nie było tych anonimów i zerwania. Podwajał teraz troskliwość o nią, żęty zatrzeć przeszłość; Janka odpłacała mu wdzięcznością i zwracała się doń we wszystkich sprawach, bo teraz czuła, że prócz niego, nie ma już nikogo na świecie,

Dnie wlokły się strasznie smutnie i monotennie.

Rany Orłowskiego geły się bardzo powoli, a on sam leżał wciąż nieruchomy, z opaską na oczach i nie odzywał się ani słowa, poruszał czasami ustami, jakby mówił niedosłyszalnym szeptem i nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie.

Doktor przyjeżdżał codziennie opatrywać go i odjeżdżał, często nie zamieniwszy ani słowa jednego z Janką lub z Andrzejem, który całe dnie przesiadywał, jeździł do apteki po lekarstwa, pomagał nawet doktorowi przy opatrunku, pamiętał i zmuszał prawie Jankę do jedzenia i spania, czuwał z niewyczerpaną dobrocią nad wszystkim.

Marzec był już w połowie, dnie nastaly brudne, deszcze zaczęły zalewać świat, śniegi znikały; ta ohydna szarość przedwiosenna sączyła się z nieba i zalewała ziemię. Czasami tylko, w południe, słońce przedzierało się przez opary i rozpromieniało jasnością i ciepłem, i wtedy lasy zieleniały, wody lśniły atlasową miękkością i szmaragdem, wróble świergotały na gzyskach i pod oknami, i Janka budziła się jakby z apatyi, w jakiej była pogrążona, rozglądała się po mieszkaniu, jakby po śnie, powracała jej cała świadomość. zobaczywszy ojca, ale, razem ze słońcem, wpadała znowu w dawny, szary stan egzystencyi prawie roślinnej. Chodziła smutna po tem mieszkaniu, pełnem zapachów karbolu i jodoformu, przesyconem żałobą i nieszczęściem, pełnem, zwłaszcza w nocy, jakichś ech okropnych, drgań, akcentów, skarg i płaczów, co nieraz w przejmującym *largo* wylaniały się z cieniów i przenikały jej duszę bólem bezbrzeżnym,

Po jednej z takich niespanych, pełnych udręczeń nocy, w której się jej zdawało, że wciąż słyszy ciche tony fortepianu Zaleskiej, i że las huczący wichurą wrywa się i leci, i wszystkie jęki, i wszystkie głosy, i wszystkie skargi ziemi zrywają się i brzmią w przestrzeniach i zapełniają pokój zgrozą i zgiełkiem—i w jeden z takich dni marcowych, w których życie jest ciężarem, myśl jakakolwiek niemożebnością, wszelki ruch męczarnią, w której człowiek nerwowo szaleje z niewytłomaczonego bólu, i w przygnębieniu, w strachu i w apatyi jednocześnie zalega jaki kąt cichszy izby, i, oszołomiony, zmęczony śmiertelnie, ogłupiały, słucha plusku nieustannych deszczów i poświstów wi-

chury, i kona z rozpaczliwej nudy,—przyjechali w odwiedzinę do Jan-ki Witowskiej z Andrzejem,

Podniosła się na ich przyjęcie apatycznie, a nawet z pewną niechęcią, bo zmuszali ją do mówienia i ruchu, kiedy jej najwygodniej było siedzieć samotnie i nic nie myśleć.

— Tyle słyszałam o pani, o nieszczęściu, jakie panią spotkało, że zmusiłam brata, aby mnie, nieznaną, przywiózł, bo wiem, że współczucie jest czasami balsamem—mówiła Jadwiga.

— Oczęściej tylko płastrem, który przeszkadza ranie wygnić, a przez to zagoić się.

Pożałowała swojej ostrości, bo Jadwiga pobladła, i usta drgnęły jej bólem.

-- Niech mi pani daruje te słowa, jestem tak wprost ogłupiona różnemi rzeczami, że bezwiednie zupełnie i niesprawiedliwie krzywdzę -- prosiła Janka, ocknąwszy ze swojej senności.

— Ból nie szuka najłagodniejszej formy uzewnętrznienia się, tylko najtwardszej. Odczuwam panią i rozumiem.

Ścisnęły się silnie za ręce i patrzyły sobie w twarze.

— Nie widzę, pozwoli pani, że dotknę się jej twarzy.

Janka nachyliła się ku niej, Jadwiga delikatnie, końcami palców dotknęła się czoła, oczu, nosa i brody. Opuściła potem ręce i skupiła uwagę na chwilę.

— Wiem, jak pani wygląda. Wiem Czuję panią! — Uśmiech niestychanej dobroci i przyjaźni rozjaśnił jej twarz piękną, i jakby rozlał po pokoju jasność, pełną blasków nieznanych.

Siedziały przy sobie i mówiły długo.

W stołowym, dokąd się usunęli, Andrzej ze Stefanem wiedli także cichą rozmowę o jakimś serdecznym napięciu, bo oczy im błyszczały i co chwila spojrzenia dobre rzucali na Jankę i Jadwigę, siedzące w saloniku.

Dobre im wszystkim było, wytworzyła się pomiędzy nimi jakaś atmosfera pełna sympatii; Janka mówiła mało, ale słuchała z chciwością; słodki głos Jadwigi, jej słowa pełne dobroci i jakiejś wprost nadzwyczajnej mądrości, uspakajały ją i wzmacniały. Wstawała w niej powoli dawna energia, podnosiła duszę, otrząsała się z apatii i z podziwem i czcią prawie patrzyła na tę ślepą dziewczynę, której każde słowo tchnęło miłością ludzi, przebaczeniem i wiarą.

Takich rzeczy nikt jej nie mówił, takiego serca nie przeczuwała nawet istnienia.

— Ależ czuje pani i mówi, jak święta!—wykrzyknęła w końcu.

— O, nie! tylko jak głęboko wierząca, jak chrześcianka. Wiara mnie uzdrowiła i wzmocniła.

— Wiara? Czyż to możebne, aby mogła oderwać duszę zupełnie i nazawsze od nas samych?

— Nie, ona nie odrywa, ona nam tylko rozpala duszę miłością wszystkiego i przebaczeniem wszystkiego, rozjaśnia oczy. Kto wierzy w Boga, ten wszystko wie, dla tego niema tajemnic, wątpliwości, szamotań; kto wierzy, jest silnym i na życie, i na śmierć; kto wierzy, ten żyje i pracuje, jak robotnicy u dobrego pana, bo wie, że przyjdzie godzina zapłaty za trudy, godzina odpoczynku.

— I pani tak mówi! Pani, która, przy wszystkich warunkach posiadanych do szczęścia, jesteś najnieszczęśliwszą, bo już tracisz wzrok, bo jutro może zupełnie zaniewidzisz? Pani błogosławisz?

— Tak, bo tak się Bogu podobało—powiedziała prosto, pochylając głowę.

— Panno Jadwigo! Na litość, nie nie rozumiem.

— Cicho! Jeśli Bóg tego chce, to tak być powinno!

— Ależ skąd wiemy, że Bóg tego chce, abyśmy byli nieszczęśliwi? Czy to nie jest złudzenie, czy...

Doktor im przerwał, bo przyszedł, pooglądał lufciki u okien i drzwi do przedpokoju, rozdział się ze swoich pledów i obsłon, kiwnął im głową i poszedł do Orłowskiego.

Nie mówiły już więcej, bo rozległ się głos Orłowskiego, pierwszy raz od czasu choroby.

Janka wzięła za rękę Jadwigę i poszły do jego pokoju.

Orłowski siedział na łóżku, opaskę miał na oczach i twarz całą pokrytą szklistą, czerwoną skórą, wychudłą i tak zmienioną, że niepodobna się było w niej doszukać śladów dawnej.

— Zgoda panie Mieciul — mówił i potrząsał wyciągniętą ręką, jakby ścisnął dłoń komu. — Już się teraz nie opuścimy. Hm!... chce ci się jeść? Zaraz. Dajcie Mieciowi jeść.

Janka ujęła go za rękę i podniosła do ust.

Nachylił się na bok i szeptał coś cicho i tajemniczo, a potem rzekł głośno:

— A, Janka! Pamiętam, pamiętam. Dobrze, żeś przyszła, bo Mieciowi trzeba dać jeść.

Doktor zaczął mówić do niego. Orłowski słuchał, ale pochylony w stronę, gdzie stał ten jego sobowtór, zwracał chwilami głowę do mówiącego i rzekł:

— Jak się masz! Każ-no dać jeść Mieciowi, bo nam się chce jeść.—Później szeptał coś pocichu, nie zwracając uwagi na nikogo, i położył się.

— Klasyczny przykład rozdwojenia osobowości — mówił doktor, i zaczęła objaśniać Witowskiego, ale Witowski nie mógł słuchać, zrobi-

ła ta scena takie wrażenie na nim, że zabrał Jadwigę i odjechali, prosząc usilnie, aby po umieszczeniu ojca w szpitalu, Janka przyjechała do nich.

— A my jutro przewieziemy ojca do szpitala—powiedział doktor Jance.

— Doktor pozwoli, że i ja pojedę, mogę być użytecznym—ofiarowywał się Grzesikiewicz.

— Ja także pojedę. Chcę zobaczyć, jak tam ojcu będzie.

— Po co? a jakże, tam miejsce dla histeryczek! to nie żaden flirt paniński!—burknął doktor, zakładając śpiesznie respirator.

— Wytrzymam; tyle przeszłam, to i to zniosę.

Nazajutrz, osobnym przedziałem odwieźli go do Warszawy.

Dla Janki ta droga była męczarnią. Patrzyła ciągle w okno, albo stała na korytarzu, żeby nie widzieć straszliwie czspeconej twarzy ojca.

Orłowski wiedział, że jedzie, że jest przy nim doktor, córka, Grzesikiewicz, bo witał się z nimi, ale nie zwracał na nich uwagi, bo rozmawiał szeptem z tym drugim, któremu ustępował miejsca, sam zajmując brzeżek siedzenia, byle Mieciowi było wygodnie.

Na stacyach, gdzie miał kolegów i znajomych, ci przychodzili żeby go zobaczyć, bo wypadek był ogłoszonym na linii. Przystępując, mówili mu swoje nazwiska. Nie odpowiadał zaraz, tylko po cichu pytał Miecia, co to za jedni, i dopiero wtedy zamieniał po kilka słów. Jankę tak rozdrażniały te sceny i te twarze dawnych ojca towarzyszy, ich banalne pocieszenia i jeszcze gorsze litościwe spojrzenia, że zatarasowała drzwi i nie chciała nikogo wpuszczać.

Na stacyi, w Warszawie, czekała już zamówiona lektyka, którą przeniesiono chorego do szpitala. Jankę grobowe zimno owionęło, gdy się znalazła w długim i mrocznym korytarzu szpitala; szła za lektyką jakby za trumną. Jakiś człowiek w lachmanach chodził po korytarzu, w kasku na głowie, zrobionym z gazety, z epoletami z czerwonego papieru, na porwanych w strzępy ramionach; pas naklejony złotym papierem ścisnął chudą jego postać, salutował poważnie blaszanym pałaszem przechodzących, zwracał po wojskowemu i chodził dalej sztywnym, miarowym krokiem, niebieskawemi oczyma wpatrzony w jakąś próżnię.

Orłowskiego umieszczono w pokoju na pierwszym piętrze.

— Niech pani jedzie do domu, ja będę doglądał ojca; podług prawa, może pani jeszcze mieszkać w Bukowcu półtora miesiąca — radził doktor, gdy już wyszli ze szpitala.

— Ani dnia nie będę tam mieszkała, wyjadę do Rozłogów.

— Czy pani wychodzi za Grzesikiewicza?—zapytał otwarcie.

— Prawdopodobnie, tak, wyjdę. — Zaczęła mu dziękować za wszystko, co dla nich uczynił.

— Ciekol! To mój serdeczny obowiązek zrobić, co zrobiłem; byłem waszym przyjacielem nie z nazwiska, a zresztą taka fenomenalna choroba. Będę ją studyował, to mi się opłaci.

Zaśmiał się sucho, złożył respirator i machnął ręką, żeby sobie pojechała.

— Co jakiś czas będę tu zaglądał, a gdyby było gorzej, to proszę o zawiadomienie.

Skinął głową, wsadził ją w dorożkę i odszedł.

Gdy się znowu znalazła w pustym mieszkaniu w Bukowcu, pełnem tylko niewywietrzonych zapachów karbolu, uczuła, że słabnie, że wszelka siła bezwładności, w jaką ją opancerzyła apatya i nadmiar wrażeń—gnie się i rozpryskuje, że gotowa będzie popełnić szaleństwo jakieś, byle się wyzbyć tych udręczeń, tej pustki i osamotnienia.

Siedziała w cichym saloniku, i szklanym, martwym wzrokiem przyglądała się fortepianowi, co w mroku wyszczerzał żółte zęby klawiatury, meblom jakimś obumarłym, tchnącym jakby stechlizną i niemocą taką, że bała się dotknąć czegokolwiek, bo się jej wydało, że to wszystko się rozleci i rozsypie w gruzy, w pył..

Po kilku godzinach snu męczącego, obudził ją pociąg, z hukiem przebiegając przez stację.

Czerwone latarnie rzuciły na pokój krwawą smugę światła, które się rozsypało w cieniach kaskadą pyłów; zerwała się i wsłuchiwała — pociąg huczał i stukał na moście i po chwili, oddalone, głuche dudnienie milkło i zlewało się coraz bardziej z szumem lasu.

Już nie usnęła. Uprzytomniła sobie wszystko, i strach niewytłomaczony przejął ją zimnem i niepokojem, który napróżno stłumić usiłowała.

Stacya ogłuchła i oniemiała, tylko druty telegraficzne, targane wichrem, brzęczały słabo, i jakiś oderwany kawał blachy na dachu magazynu targał się i bił twardo o ściany i skrzypiał, a czasami do tych głosów las dorzucił jaki rytm głęboki i krótki, lub wiatr zaszumił głucho, zgarnął wszystkie odgłosy i niósł je dalej.

Koguty w zabudowaniach gospodarczych piał regularnie co godzina. Nie mogła już dłużej znieść tej strasznej monotonii nocy, tej ciszy i tego męczącego uczucia niepokoju, a wprost bała się poruszyć z łóżka. Pomieszane z wrażeniami myśli zaczęły ją zalewać chaosem, z nieświadomych głębin wynurzały się jakieś słowa nieznanne, jakieś nieuchwytnie dźwięki, barwy nigdy nie pamiętane, sceny umarłe dawno w pamięci, twarze wyblakłe, przestrzenie. Życia upłynionego widma. co teraz ukazywały się na zrębie jawy mgnieniowej, chybotwały się

i rozwijały na wąskim skrawku świadomości i rozsypywały się w nocy, ustępując miejsca zmartwychwstawaniu innych, nowych, nieskończonych. Mózg jej zrobił się jakby terenem walki, widownią, na której tłoczyły się zobrazowane wrażenia, zmartwychwstając i umierając znowu; a jej się wydało, że to wszystko dzieje się gdzieś przed nią, że siedzi z boku i patrzy, podziwia, wzrusza się, poznaje niektóre rzeczy, przypomina sobie niektóre, a na wiele patrzy z obojętnością, bo nie poznaje — i wszystko tak szybko się dzieje, taki wir miota, że nie zdąża ona już przypominać, zobaczyć i — znikną, i zmienia się i różniczkuje widowisko.

W końcu nic już nie widzi. Spogląda na pokój i widzi go dobrze; lampka pali się przed obrazem Matki Boskiej, migotliwym, żółtym płomykiem oliwy, i subtelne skry światła drżą i ślizgają się po szkłe, pokrywającym portret jej matki, a przez okna zagląda szaro-zielonawa twarz nocy o błękitnych, głęboko osadzonych oczach gwiazd. — Co mi jest! czy ja spałam? Myśli—i patrzy się w ścianę—nie, widzi salonik, widzi pokój jadalny, widzi pokój ojca! — Zadrżała, bo z za jakichś kotar cieniów wychyla się postać ojca!

On, on!—krzyczy jej coś w duszy rozdzierająco, i chciała się zerwać i biedz, ale lasy martwe i nieruchome, i patrzy na ojca-widmo, który z czarną przepaską na oczach, z ogoloną głową, z twarzą czerwona, poranioną, z rękami wyciągniętymi—idzie... idzie... idzie. Straszna noc! tak ją zmęczyły halucynacje i takim strachem przejmowały, że w chwili już świtowej, poczuwszy nieco siły, zerwała się z łóżka i wylała na głowę całą karafkę wody. — Oszaleję. Oszaleję! — myślała z rozpaczą.

Dodnia jeszcze posłała po Andrzeja.

Prosiła go, aby wszystko, co było w mieszkaniu, przewiózł do Warszawy, i żeby się tem zajął, bo ona nie była w stanie dłużej w tem mieszkaniu przebywać.

A gdy ją przewiózł do Rozłogów, do Babiekich, przy rozstaniu, gdy patrzył jej w oczy i żądał spojrzeniem odpowiedzi, całował ją tylko po rękach, nie śmiejąc nic mówić—rzekła mu:

— Na wiosnę! Niech się trochę uspokoję. Przyjeżdżaj pan często, bardzo często! przecież prócz pana nie mam już nikogo na świecie!...

XXXI.

Wiosna się budziła.

Kwietniowemi rankami, o świtaniu, gdy łąki i moczary, i wody, niby z kadzielnicy dymiły słupami oparów ku purpurowo-złotym zorzom wschodu; gdy w rosach i wodach zapalały się barwy; gdy resztki cieniów — widma nocy, uciekały chyłkiem w gąszczu. lub na polach konały w światłości; gdy purpurowe, ogromne, bezrzesne słońce wychyliło się z za lasów i rozlało po świecie miliardy drgań, błysków, światła i ciepła: wiosna podnosiła złotawo-senną głowę, uwieńczoną dyademem z jaskółek martwych, wstawiała i, jeszcze ociężała, na pół świadoma piękna swego i mocy, szła polami zimnemi i martwemi, muskała wrębem słonecznej sukni ziemię i blade barwy się zieleniły; kaczeńce otwierały żółte oczy nad strumieniami i piły rosę; stokrotki przy drogach, na miedzach, rozchylały czerwone rzesy; ostromlecze świeciły po rowach, w zaciszach, pomiędzy kamieniami; brzozy pękały i dyszały aromatem; topole, co nad drogami stały obumarłe, szeleściły, pijąc słońce czerwonawemi listkami; a wiatr ciepły, pieszczący, niby tchnienie matki, obejmował ziemię, suszył pola, topił resztki śniegów, co brudnemi plamami świeciły po dołach i wąwozach, podnosił zboża, co brudnemi plamami świeciły po dołach i wąwozach, podnosił zboża, marczył wody, budził ptaki, co się zrywały z głuszy leśnych na pola i śpiewały:

Wiosna! Wiosna! Wiosna!..—A wiosna była coraz potężniejsza; budziła lasy skostniałe, anemony, pierwiosunki, sasanki śmiały się pod cieniem sennych jeszcze olbrzymów; przepływała nad wodami—i wody zrucały resztki lodów, strumienie płynęły szybciej i błyskały szafirem i złotem; budziła wszystko i z jej dłoni dobroczynnych, z jej oczu złotych, z jej uśmiechów promiennych — płynęło na świat ciepło, życie i rozkosz!

Bociany brodziły z powagą po łąkach, a rankami długo klekotały w gniazdach, wróble po strzechach biły się jak szalone i całemi bandami leciały na świeże podoróWKi, na jęczmiony dopiero posiane, na owsy.

Po polach, po lasach. w przestrzeniach brzmiał krzyk głęboki, twórczy, nieśmiertelny.

Wiosna! Wiosna! Wiosna!..

Bydło po oborach ryczało na runi, na powietrze pachnące; psy biegały olśnione, nieprzytomne z radości i tarzały się razem z dziećmi przed chałupami.

Pługi migotały na czarnej, ciężkiej ziemi, niby srebrne błyskawice, a za nimi rzędami chodziły wrony, a nad nimi śpiewały skowronki hymny upojenia.

Przepotężny rytm odradzania się, poczynania, miłości, drgał i przepływał przez wszystko, co było i co czuło.

Ludzie po polach śpiewali zapatrzeni w słońce. Starcy wylazili na przyzby i wybladłemi oczyma pili nowe życie.

Serca wzbierały dobrocią, modlitwą, dziękczynieniem!

— A życiel życiel! — wybuchnęła Janka, otwierając ramiona do tych przestrzeni, zalanych pożogą słoneczną i tętniących wiosną. Śmiała się jej dusza i drżało serce, w wielkiej radości istnienia.

Nie mówiła więcej, tylko szła aleją parku i dotykała ręką grubych pędów lilii, co wychylały się z ziemi, gładziła liliowe perełki pierwiosnków, rwała pierwsze fijołki; to szła wpatrzona w dal, oddychając głęboko zapachem brzoź, ziemi świeżo kopanej, słońca; słuchała ptaków świergocących, szmeru rzeczki, głosów lecących od zabudowań gospodarczych — i nie myślała nic; obejmując sercem wszystko i rozlewając się na wszystko, taką radość czuła w sobie — radość wiosny i zmartwychwstania.

— Jesteś pani entuzjastką — szepnęła Stabrowska, która szła za nią z Heleną. We trzy wybrały się po raz pierwszy do parku.

— Nie wiem, czem jestem, czuję tylko, że jestem, że dusza mi zaczyna płonąć, że szła-bym gdzieś, że śpiewała-bym razem z temi ptakami, że mam szaloną ochotę potarzać się po trawnikach, że mnie coś unosi do słońca, że chciała-bym objąć to wszystko i przepaść! A, wiosno! wiosno! — dodała ciszej z niewypowiedzianą rozkoszą w sercu. Nie pamiętała ojca, Andrzeja, cierpień, nudy Rozłogów, bo czuła, że się budzi tak samo, jak ziemia pod pocałunkami słońca i ciepła.

Helena uśmiechała się z życzliwą pobłażliwością, a Stabrowska, obwinęta w pleć, w głębokich kaloszach, wodziła znudzonym wzrokiem po nagich drzewach i gryzła ołówkę, bo nadaremnie szukała czegoś do zanotowania.

— Chyba już powróćmy, wilgoci tyle w powietrzu...

— Nie zdążyła pani nie zanotować i chce pani powrotu?

— Nic godnego uwagi niema, bo przecież tego notować nie będzie, że wiosnę czuć w powietrzu. To dobre dla bardzo prostaczycych natur. Boże kochany! Wiosna! to stary, zleżały bagaż poetycznych rektorów, którzy udają, że szaleją z rozkoszy, usłyszawszy śpiew skowronka, lub spostrzegłszy pierwszą stokrotkę! Błaga i dzieciństwo! — Dokończyła drwiąco i szła dalej, strącając parasolką pierwiosniki i kłapiąc po rzadkim, wilgotnym zwirze alei zadużemi kaloszami.

— Kiedy pani jedzie do Warszawy?

— W sobotę w nocy, a raczej bardzo wcześnie w niedzielę, to jest jutro.

— Jesliby pani zechciała mi jedną rzecz kupić...

— A owszem, cały dzień zwykle spędzam w Warszawie.

— Często pani jeździ?

— Ostatni raz byłam dwa tygodnie temu u ojca.

— Zdrowszy?

— Fizycznie zupełnie zdrowy, tylko umysłowo, jak dawniej.

— Można spytać, kiedy ślub?

— W początkach maja.— Wyręczyła ją Helena, bo Janka pochyliła się nad fijołkami.

— W naszym kościele?

— Tak. Odbędzie się rano, po cichu, a po śniadaniu, jakie będzie u nas, wyjazd do Krosnowy.

— Poprawię cię, Helciu. Po śniadaniu wyjazd prosto do Włoch, to twoja wina, opowiadałaś mi tyle cudów, że namówiłam pana Andrzeja, abyśmy prosto od ołtarza tam pojechali.

— Do Włoch! Co za romantyczna podróż! O, tak! to bardzo poetycznie; ręka w rękę płynąć lagunami Wenecyi, spacerować po galeriach Florencyi, zwiedzać Kolizeum rzymskie; o tak, to wzniosłe, żyć w chwilach pierwszych uniesień miłosnych w kraju, gdzie cytryna dojrzewa, gdzie pomarańcz gaj, gdzie laury, i gdzie wszystko śmierdzi, jak powiada Rutowski.

Szeptala patetycznie z gryzącą ironią Stabrowska, zmieniała szybko ton i mówiła surowym, poważnym głosem:

— Myślałam, że epidemia podróży poślubnych wygasła, że ta moda razem z krynolinami przeszła, a tymczasem!... tak, to ciekawe, że gdy warstwy przodujące, nasza sfera, jeździć przestały, teraz plebs, pchany odruchem z góry, czysto naśladowczym... tak, dobry społeczny temat — szepiała, szybko zapisując w notesie.

— Co za czasy okropne, że plebs zaczyna czuć się człowiekiem i zaczyna mieć cywilizowane potrzeby zobaczenia świata, piękna, arcydzieł! — wykrzyknęła złośliwie Janka.

— Podróże są znakomitą szkołą pogładową — rzuciła Helena.

— Zapominania obowiązków dla marnych przyjemności.

— Niech mi pani wierzy, że ja zawsze pamiętam o swoich obowiązkach — odpowiedziała Janka z naciskiem, bo Stabrowska już od pewnego czasu irytowała ją swojemi uwagami moralizującemi i ignorancją często dotkliwą.

— Ja nie zwracałam uwagi pani. Broń Boże. Mam takie zasady, jakie głoszę, a głoszę wolność zupełną duszy i krwi. Niech każdy robi, jak mu wygodniej i przyjemniej — tłómaczyła się prędko,

rozbiegając się w wielkiej sieni dworu, i przeszedłszy do salonu, wyjęła notes i pisała: — „Obowiązki! Dajcie mi spokój! Rozkosz jest moim obowiązkiem, upojenie, przyjemność, to co chcę, czego pożądam, czego mi potrzeba.“ — Nie skończyła, bo przyjechał Stabrowski po nią i wszedł do saloniku — przywitał się zaraz zaczął gorąco prosić Janki o zagranie.

— Bo chociaż żona moja nazywa mnie marnym filistrem, ale, jak pani wie, uwielbiam muzykę, i po pracy jest mi ona bardzo krzepiącym odpooczynkiem.

— W tem właśnie jest filisterstwo. Nie cierpię brzdąkania, muzyką mogą się zachwycać tylko ludzie nie umiejący myśleć. Jest to sztuka dusz płaskich i znudzonych, która je przyjemnie łaskoce, i przyjemnie zatapia w słodkiem far-niente lenistwa i bezmyślności, dlatego właśnie muzyka w tem stuleciu budzi taki szalony wpływ na masy, bo bezmyślne...

— Nie, dziecko — przerwał dosyć łagodnie Starbowski, kręcąc młynka monoklem.

— Masz przykry zwyczaj absolutnego przeczenia, tem tyraniżujesz.

— Kiedy jestem tyranem, to raz jeszcze powiem: nie! — zawołał mocno, oczy mu błyszczały, wrzucił w oko monokl i drżącymi nieco palcami gorączkowo rozczesywał bokobrody.

— Nie, nie, nie! Muzyka dlatego przemawia do tłumów, bo mówi do ich uczuć szlachetniejszych, lepszych, bo zaspakaja pewną sumę idealniejszych pragnień i porywów, bo odrywa ich właśnie od ciężkiej i często istotnie bezmyślnej pracy, bo jest potrzebą przedewszystkiem uczucia...

— Uczucia! — przerwała mu tryumfująco — to właśnie barbarya, bo tylko dzieci czują i wszystko sprowadzają do uczuć; człowiek kulturowy pojmuje, rozważa, myśli...

— Ej, gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie ..

— Nie przerywaj. Takiemu człowiekowi, naprawdę cywilizowanemu, muzyka nie wystarczy, bo nie mówi do niego całego, bo nie może wystarczyć schemat, który można wypełnić dowolnie, czem kto chce. Muzyka, to chińska łamigłówka, którą każdy rozwiązuje po swojemu, i zawsze dobrze, bo jest bez rozwiązania. Muzyka, to jak te głosy przyrody, w których postaci poeci, historycy, halucynanci, słyszą hymny, czują słodycz, śpiewy aniołów, niebo, harmonie, a to jest tylko ryczenie krów na pastwiskach, krzyki ptaków w bitwie o żer i samice, szum drzew targanych wiatrem, kwik osłów i świń; jednym słowem pierwotna, bezrozumna kakofonia. Muzyka! nie mówcie, że to sztuka wielka, światowa, to kwilenie dzieci i waryatów, to... — zatrzymała się, aby zaczerpnąć powietrza.

— Mów dalej, żono, słuchamy i myślimy z Hamletem: Słowa! Słowa! Słowa!..

Stabrowska odróciła się gniewnie do okna, patrzyła w milczeniu w okno, ale wkrótce wyjęła notes i pisała:

— „Mężczyźni są podli, i wtedy kiedy kochają — i kiedy nie kochają. Mężczyźni są niktami, bo są brutalni;—są głupi, i wtedy kiedy świat ma ich za mędrców, i kiedy są kretynami.“

Stabrowski, oparty o fortepian, mówił do Janki rozkładającej nuty na pulpicie:

— Nie wiem dobrze, co się kryje pod nazwą filistra, ale przypuszczam, że żona ma rację, że jestem chwilami filistrem, ale i jestem jednocześnie człowiekiem, który pracować musi, który nie może mieć zbyt wysubtelniionych uczuć, któremu niewolno się osłabiać uniesieniami, ani nawet zbyt głębokimi rozmyślaniami; bo musi rano dodnia wstać i iść do gospodarstwa, i robić; musi trzymać się tej ziemi ze wszystkich sił, trzymać nie dlatego, że ten kawałek należy do niego od pięciuset lat, nie dla jakiejś tradycyi kastowej, tylko dlatego, że to mój warsztat, na którym *obowiązatem* się wyrabiać codzienny chleb dla siebie i dla rodziny, i dla tych, którzy pracują razem ze mną, i dlatego, żeby za część mojej pracy fizycznej inni mogli myśleć, tworzyć arcydzieła, posuwać w spokoju wielkie dzieło postępu.

Jestem tylko nawozem, na którym rosną kwiaty i zboża, ale rozumiem to i zgadzam się na to, bo tak być powinno; a że nie chcę udawać słowika, gdy czuję się tylko koniem roboczym, więc nazywają mnie pogardliwie filistrem. Ależ ja nie niszczę słowików, nie zaprzeczam im prawa śpiewania i życia, bo wiem, że koń i słowik — są potrzebne w przyrodzie.

— Włożył pan głowę dobrowolnie w ciężkie jarzmo zrezygnowania.

— Cięższe jest ono, niżli pani przypuszcza, ale świadomie włożył — spojrzal bezwiednie na żonę.

— Są ludzie, co umieją zmniejszyć ciężary, nawet własnowolnie podejmowane.

— Są, ale tacy, jak ja, filistrzy, brzydzą się kompromisami. Jest się uczciwym, lub się nim nie jest. Zacząć, to dokończyć, podjąć się czego, to dokonać. A zresztą, to nie widzę nigdzie ucieczki, bo nie tu, to tam, gdzieindziej, a zawsze, chociaż w coraz inny sposób, jakieś jarzmo musi ująć kark ludzki i gnieść do śmierci.

— Zawsze? prawda! — odpowiedziała i zaczęła grać preludjum Szopena.

Cisza zapanowała w saloniku.

Wieczór nadchodził. Zorze pomarańczowe paliły się za parkiem i oblewały nagie, czerwone dachy, aureolą niesłychanie subtelnego fioletu, który razem ze zmrokiem wsączał się do pokoju i przysłał z wolna wszystko.

Janka z preludjum przeszła do improwizacji, która dźwięczała niby skarga pohaftowana marzeniami, i zapełniała pokój nastrojem melancholii. — Chwilami świeciła łzami, jak te rozlewy i kałuże wody po brózdach, co się paliły w ogniach zachodu i świeciły ostro; czasami wionęła tak przenikliwie i denerwująco, jak fale powietrza nabrzmiałe zapachami brzoź i fijołków i wiosną, podnosiła głos i śpiewała głębokim, poważnym rytmem, w którym były i organów brzmienia, i bicie dzwonów, i pieśni wypełniające dusze wszystkich, i te marzenia; co płynęły nad chatami, co się tuliły w zakątkach serc i mózgow wszytkich.

Przycichły tony, osłabły i prowadziły smutny śpiew, przestronny, jak te pola, co za parkiem szły nieskończoną równiną, i rozlewały się nad niemi skargą bolesną — tony ligawek pastuszych się odzywały i śpiewały żale jakieś prostacze, dziecięce, jakby żale dzieci, co pogubiły ojców i szły zmrokiem, płacząc i wołając na próżno — i obejmowała je cicha noc kwietniowa, mgły, chóry żab, chłód przejmujący; a one idą, wołają cicho i przejmująco, błędzą w nocy, która zaczynała patrzeć miliardami oczu zimnych i błyszczących; siadają nad rowem jakimś i, splakane, zmęczone, przyciskają się do siebie i usypiają pod krzakiem pokrytej kwiatem tarniny, a przez sen jeszcze szepczą i wołają napróżno; nad niemi latają czajki coraz niżej, niżej, zaglądają im w oczy i krzyczą cicho i przejmująco. A tam, w tych wioskach, ostatnie wierzeje skrzypią, ostatnie rżenia i ryki przebrzmiewają, światła gasną, ludzie usypiają — i zalewa świat pełna tajemnic noc i panuje milczenie.,.

Oderwała ręce od klawiatury i taka cisza zalała pokój, że słyszała bicie serca własnego.

— Helenko! na litość, jeść mi każ dać! — wołał Babiecki, wchodząc do pokoju i, przywitawszy się ze wszystkimi, odciągnął Stabrowskiego i półgłosem opowiadał.

„Głowa ginęła w cieniu franki, tylko wspaniałe rozwinięte piersi, z bezczelnością rysowały się przez czarną tkaninę opiętego stanika — zmysłowe usta i wysunięty podbródek w tym półzroku kusily piekielnie. On patrzył, i zmęczonym, przysłoniętym białawą mgłą wzrokiem obejmował jej piersi, jej stan, jej biodra, i nachylał się coraz bliżej ku niej z brutalnością samca.“

Zapisała szybko Stabrowska i zwróciła się do Janki:

— Pani improwizowała?

— I tak i nie, bo, grając, nigdy nie wiem, co gram, tak się myśli i uczucia mieszają swoje i cudze, tak się jedno z drugiego wysuwa i łączy w jeden łańcuch, że trudno mi rozumieć.

-- Ja panią podziwiam, że może pani przy fortepianie siedzieć godzin kilka i grać, mnie pół godziny przynosi już sen — mówił Babicki.

— To naturalne, bo pan sam nie gra i nie lubi muzyki.

— Może i lubię, tylko nie mam nigdy czasu. Człowiek przyjdzie wieczorem spracowany jak wół, to są przedewszystkiem dzieci, potem kolacya, trochę rozmowy i już przy gazecie jestem gotów.

Zaczął się śmiać z dobroduszą.

Po herbacie Stabrowscy odjechali, a Janka poszła spać zaraz, bo trzeba było wstać wcześniej, aby zdążyć na pierwszy pociąg.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O SAMOBRONIE.

Szkic fizyologiczny.

I.

Budowa anatomiczna żywych organizmów w wielu bardzo wypadkach wskazuje już dostatecznie znaczenie obronne tego lub owego organu. Obserwacja wszakże życia zwierząt dopiero wyjaśnić może należycie czynności poszczególnych ich narządów i zwrócić uwagę badacza na to, że pewne funkcje jak gdyby specjalnie przystosowane były wyłącznie do celu ochrony zwierzęcia od napaści zewnętrznych. Nie może żadnej ulegać wątpliwości, że te funkcje obronne wydoskonalily się w biegu rozwoju świata zwierzęcego wobec nieustającej ani na chwilę walki o istnienie, pod groźbą nieuniknionych niebezpieczeństw i karą utraty życia osobniczego i zagłady pokoleń całych. Rozmaitość tych środków i sposobów obrony tak jest niemal wielką, jak i różnorodność gatunków w państwie zwierzęcem; rozliczne bowiem warunki życia, niejednakowe potrzeby, stwarzać musiały i muszą różne sposoby walczenia z wrogimi wpływami zewnętrznymi. Szybkość lotu jaskółki, zabezpieczająca ją od prześladowań ptaków drapieżnych; umiejętność wielu zwierząt przybierania barwy otoczenia

(mimetyzm) dla uniknięcia swych wrogów; jadowitość wydzielin gruczołowych, wyrzucanych przez żmije, skorpiony i t. p.; znaczne ładunki elektryczne, wyzwalane przez niektóre ryby pod wpływem napaści—wszystko to fizyolog uważać musi za środki samoobrony, specjalnie wydoskonalone w warunkach istnienia wymienionych zwierząt. Gdy wszakże w przykładach powyższych mamy do czynienia z funkcjami wielce dla danego gatunku zwierzęcego charakterystycznymi, nie znaczy to bynajmniej, aby na tych wysoce jaskrawych zjawiskach wyczerpywały się czynności, służące zwierzęciu do bronienia się przed szkodliwościami, otaczającego je świata. Niezależnie od tych szczególnych środków samoobrony istnieją środki ogólne, właściwe wszystkim organizmom zwierzęcym, i mające na celu ochronę osobnika i gatunku od zagłady. Aby należycie zdać sobie sprawę z tych ogólnych objawów życiowych, nie wystarcza samo tylko badanie anatomiczne i najuważniejsza choćby obserwacja. Fizyolog, pragnący poznać prawdziwe znaczenie zjawisk życiowych, zmuszony jest uciec się po pomoc do doświadczenia, które, uskutecznione według dobrze obmyślonego planu, może dopiero wspólnie z sumienną obserwacją odsłonić zawilsze tajniki życia. Dzięki też metodzie doświadczałnej, poznaliśmy mnóstwo zjawisk życiowych, które zrozumiane być mogą jedynie w świetle tych pojęć ogólnych o rozwoju życia organicznego, jakie zawdzięczamy nieśmiertelnej pracy Darwina. Niektóre z tych zjawisk, składających się na wielce doniosły cel życia organicznego — na samoobronę, postaramy się tu przedstawić ¹⁾.

Jedno z najudatniejszych określeń życia pochodzi od znakomitego Bichat'a, a głosi, że życie, to opieranie się śmierci. Udatność tego określenia tkwi nie w tem bynajmniej, że jest ono wyczerpujące i zupełnie zrozumiałe — wymaga bowiem pokonania nowej trudności, określenia pojęcia śmierci; lecz w tem, iż mieści w sobie myśl, że istotnie wszystkie zjawiska życiowe zbiegają się ostatecznie w jednym celu: możliwie długiego zachowania życia, walczenia ze wszystkim, co życie skrócić może, lub zakłócić w jakikolwiek sposób, odpierania zwycięskiego wszelkich szkodliwości zewnętrznych, pokonywania wszelkich wrogich wpływów. Kto tak pojmuje zjawiska życiowe, nie potrzebuje wprawdzie koniecznie poszukiwać w każdym szczególe anatomicznym i fizyologicznym jakiegoś z góry upatrzonogo celu, i wpaść w bezpłodne a szkodliwe dla nauki roztrząsania teleologiczne; lecz z logiczną konsekwencją dojść musi do wniosku, że organa, tkan-

¹⁾ W ogólnym układzie tego szkicu opierałem się na wstępnych wykładach fizyologii prof. fakultetu lekarskiego w Paryżu, *K. Richet'a*.

ki i komórki ciała żywego, siłą złożonej w nich energii życiowej, wyrobiły w sobie pewne określone funkcje specjalne, tworzące razem całość objawów życiowych, że więc czynności życiowe, pojmowane jako całość nierozdzielna, dostrojone do siebie harmonijnie w każdym osobniku żywym, istotnie mają pewne przeznaczenia, które powstały drogą długiego istnienia i doskonalenia się żywego świata. Organa nieczynne zanikają, funkcje zbyt słabe i nie zapewniające zwierzęciu pewnych korzyści szybko stosunkowo się zatracają. Łatwo jest na podstawie wyników anatomii porównawczej dowieść znaczenia szczątkowego tego lub owego organu, lecz nie należy uważać za szczątkowe lub zbyt słabe tych wszystkich narządów, których fizjologicznego znaczenia jeszcze nie poznaliśmy. Mając zaś ustawicznie na oku owo nieświadome pragnienie zachowania życia, złożone przez naturę w każdym żywym osobniku, nie trudno jest się ustrzedz pomyłek w ocenianiu rozmaitych funkcji życiowych. Pamiętając o grożących zewsząd niebezpieczeństwach, odkrywamy w pewnych czynnościach fizjologicznych ich prawdziwe znaczenie obronne dla osobnika i gatunku zwierzęcego.

Szkodliwości zewnętrzne, czynniki działające na całość zwierzęcia, niezmiernie są rozmaite, lecz wogóle sprowadzić się dadzą do niewielu grup ogólnych. Przedewszystkiem temperatura otoczenia wywrzeć może wpływ zgubny na ciało żywe; powtórnie, różnorodny wpływ mechaniczny, czyli urazy; w trzecim szeregu umieścić należy olbrzymią mnogość pasożytów, włączając tu i bakterie chorobotwórcze; wreszcie uwzględnić musimy trucizny chemiczne.

Gdy pomyślimy o ogólnych środkach samoobrony przeciw wymienionym szkodliwościom, musimy na wstępie samym odróżnić sposoby czynne od biernych, pojmując pod temi ostatnimi osobliwe anatomiczne rozmieszczenie, sam układ tkanek i organów, gdy tymczasem środki czynne oznaczają muszę działalność, charakterystyczną funkcję owych organów i tkanek.

Właściwym biernym organem jest jeden tylko, mianowicie pokrywa zewnętrzna ciała zwierzęcego, skóra. O znaczeniu tego narządu zazwyczaj mało się wspomina w podręcznikach fizjologii, a jednakże jest to organ o niezmiernej doskonałości ochronnej i prawdziwie wielostronnem przeznaczeniu. Przedewszystkiem bowiem znakomicie ochrania od temperatury zewnętrznej, zbyt niskiej lub zbyt wysokiej. Zwłaszcza gdy jest pokryta, jak u przeważnej części zwierząt ciepłokrwistych, gęstym włosiem, opiera się skóra zbyt silnemu promieniowaniu na zewnątrz ciepła, wytwarzanego we wnętrzu ciała. Zwierzęta, sztucznie pozbawione swego naturalnego futra, mrą z zimna, gdyż naga ich skóra nie jest dostatecznie przystosowana do obrony ciała od utraty

ciepła. Króliki ogolone, jakkolwiek pożerają znacznie więcej, pragnąc wytwarzać więcej ciepła, mają jednak temperaturę niższą od normalnej, chłodną i wreszcie padają. Ptaki, których temperatura ciała przewyższa o jakie 2.5 stopnia temperaturę zwierząt ssących, mają pokrycie z pierza; przewodzi ono jeszcze gorzej ciepło niż włosy, i przez to lepiej ubezpiecza od mrozu. Zimą, przy temperaturze zewnętrznej—10 i—15 stopni, drobne ptaki, ważące zaledwie po 15 gramów, doskonale opierają się zimnu. Wprawdzie wykonywają one dużo wówczas ruchu i wytwarzają tym sposobem znacznieszą ilość ciepła, lecz nie wystarczyłoby to do ochronienia ich przed mrozem, gdyby nie posiadały doskonałego środka w swem upierzeniu. To też z największą troskliwością utrzymują swe pierze w należytych stanie. Nawet w zimie kąpią się, i to tylko w możliwie czystej wodzie, chroniąc pióra od sklejaniania się i brudzenia. Całość bowiem tego pokrycia jest dla nich sprawą rozstrzygającą o życiu.

Zwierzęta, należące do gatunków pokrewnych, mają skórę pokrytą włosami, lub nie, zależnie od tego, czy zamieszkują kraje zimne, czy ciepłe. Wielbłądy i dromadery, żyjące w dzikim stanie w górach tybetańskich, mają obfite futro zimą i latem.

Ssące i ptaki, żyjące w wodach, wystawione są na znaczniesze oziębienia, niżeli zwierzęta lądowe. To też zaopatrzone są w dodatkowe organa skórne, chroniące je od zbytniego zimna. Ssące posiadają grubą warstwę tłuszczu pod skórą, który tworzy niejako drugą, współśrodkową pokrywę ciała. Ptaki natomiast mają pióra lekko zwilżone tłuszczem, który przeszkadza bezpośredniemu zetknięciu się skóry z wodą.

Oczywiście, ta bierna obrona przeciw temperaturze za pomocą skóry ma znaczenie tylko dla zwierząt ciepłokrwistych, których ciepło wewnętrzne musi być stale utrzymane na pewnym poziomie. Nie wystarczy wszakże ten środek w wypadkach znacznieszych zakłóceń, i wówczas wstępuje w grę czynna rola skóry, a raczej utworów anatomicznych, w niej umieszczonych, o czem dowiemy się w dalszym ciągu.

Niemniej skuteczną ochroną jest skóra przeciw rozmaitym działaniom mechanicznym, czyli urazom. Oporność jej i sprężystość, czyli elastyczność, nawet w człowieku, gdzie te własności skóry nie są bardzo wydatne, ochrania często od uszkodzeń organa wewnętrzne. Grubość skóry przedewszystkiem stanowi tu czynnik znaczenia pierwszorzędowego. Słoń, hipopotam, krokodyl zabezpieczone są dzięki temu od pocisków najbardziej nawet udoskonalonej broni palnej. Pokrywa skórna ryb, skorupiaków i wielu owadów, odznacza się również niemałą opornością, a zwierzęta o pokrywie miękkiej otaczają się skorupą zewnętrzną, która niemniej doskonale broni je od wrogów. Pająki, roba-

ki i inne drobniejsze zwierzęta, pozbawione tej naturalnej, anatomicznej ochrony, stanowią niejako wyjątek w tym względzie, i uciekać się oczywiście muszą do innych środków samoobrony fizyologicznej.

Pod innym jeszcze względem skóra ma własności zabezpieczające. Będąc złym przewodnikiem elektryczności, zapobiega z jednej strony wyzwalaniu się na zewnątrz zjawisk elektrycznych, których siedliskiem jest wewnątrz ciała zwierzęcego, z drugiej zaś, broni to wewnątrz od gwałtownych wahań napięcia elektrycznego w atmosferze. Ta oporność skóry pod względem elektrycznym jest dziesięć do trzydziestu tysięcy razy większa od oporności innych organów. Oto dlatego, mierząc opór elektryczny ciała zwierzęcego, w praktyce pomijamy zupełnie opór organów wewnętrznych, a liczymy się tylko z oporem skóry.

Całość skóry niemniej skuteczną stanowi ochronę przed mikroorganizmami, które wówczas tylko przeniknąć mogą do wnętrza organizmu, gdy ciągłość tej doskonałej pokrywy zewnętrznej została w któremkolwiek miejscu przerwana.

I dla substancji chemicznych jadowitych skóra zdrowa, nienaruszona, jest zaporą nieprzenikliwą w zwykłych warunkach, gdyż chłonięcie, absorpcja skóry w wyjątkowych tylko okolicznościach może osiągnąć pewien wyższy stopień. Gazy przenikają przez skórę normalną w ilości nader nieznacznej, choć dającej się określić. Natomiast ciała stałe i ciecze nie dyfundują prawie zupełnie. Można w kąpieli rozpuścić tysiąc razy więcej strychniny, lub arseniku, aniżeli potrzeba tych trucizn do zabicia kilku osób przy podawaniu ich wewnętrznem, a jednak nawet podłuższem siedzeniu w takiej kąpieli, dowieść nie będzie można, ażeby choć ślad tych trucizn przeniknął przez skórę do wnętrza organizmu. I środki kaustyczne (żrące), potrzebują nawet dłuższego czasu do nagryzienia skóry. Pokrywa ciała skorupiaków i niektórych owadów w znacznej części jest utworzona z substancji, t. zw. chityny, której najsilniejsze odczynniki chemiczne nie są w stanie nagryźć, ani rozpuścić. Chityna do pewnego stopnia podobna jest w tym względzie do drzewnika lub błonnika tkanek roślinnych, również, jak wiadomo, bardzo opornych na wpływy chemiczne.

Widzimy przeto, że, pomimo biernego swego znaczenia, skóra, dzięki osobliwej swej budowie anatomicznej, stanowi doskonały środek ochronny, zabezpieczający organizmy zwierzęce od wszelkiego rodzaju szkodliwości zewnętrznych. Lecz nie tylko budowa danego organu powinna nas tu zajmować. Albowiem w ogólnym planie układu anatomicznego organów względem siebie również wyraźnie dostrzedz się daje celowość ochronna. Narządy najważniejsze, najszlachetniejsze, które najmniej mogą być wystawione na uszkodzenia, najlepiej są też umiesz-

czone i ochronione. Ośrodkowe organy nerwowe, mózg i rdzeń kręgowy, mieszczą się w jamie o ścianach niezmiernie trwałych, które nadto pokryte są warstwą sprężystych mięśni. Czaszka, będąca siedliskiem mózgu, odznacza się nieporównaną twardością i opornością. Oko chronione jest nietylko przez aparat kostny oczodołu, lecz nadto zaopatrzone jest w specjalne organa pomocnicze: brwi, powieki, rzęsy. Organów nie tak dobrze osłoniętych posiadają elastyczność tkanek, która pozwala im często uniknąć zbyt gwałtownych urazów, jak np. dzieje się to ze ściankami większych naczyń. Wcale nie łatwo jest z zewnątrz przez ścianę brzuszną dosięgnąć kiszek ostrem narzędziem; wymykają się one dzięki swej łatwej ruchliwości i sprężystości ścianek. Na kończynach części ważniejsze położone są głębiej, mniej dostępne od innych. Tak więc tętnice mieszczą się bardziej na wewnątrz ciała, a naczynia żyły, których uszkodzenie istotnie znacznie mniejsze przedstawia niebezpieczeństwa, niż rana zadana tętnicy.

We wszystkich tych szczegółach budowy anatomicznej daje się widzieć niby przezorność organizmu, jego doskonałe przystosowanie się do warunków bytu. W samym układzie tkanek i komórek naszego organizmu tkwi już bierna jego obrona. Doskonałości wszakże bynajmniej jeszcze to nie oznacza. Te bierne środki obrony rzadko są wystarczające, gdy chodzi o pokonanie silniejszych napaści. W tych razach budzą się siły potężniejsze, środki czynne, mobilizuje się cały zapas żywej energii organizmu, by ochronić całość od zagłady. Rozproszone w całym ciele komórki ze specyficznymi swymi zdolnościami fizyologicznymi, wspólną podejmują pracę, pobudzone do niej przez czuwający nad całością system nerwowy. Na tem polega właśnie główne, najważniejsze zadanie układu nerwowego. Zawładną siecią rozpościera się ten układ anatomiczny, złożony z ośrodków (mózgu i rdzenia) i ich wyrostków—nerwów, po całym ciele, i utrzymuje najodleglejsze napozór zakątki ciała w mniej lub więcej pośrednim z sobą połączeniu. W miarę doskonalenia się form zwierzęcych różnicują się komórki układu nerwowego, a w zwierzętach wyższych i w człowieku wyodrębnić możemy trzy rodzaje komórek: komórki dośrodkowe, prowadzące wrażenia świata zewnętrznego ku ośrodkom, powtórne komórki ośrodkowe (w mózgu i rdzeniu), odbierające wrażenia owe, i wreszcie komórki odśrodkowe, które wykonywają reakcyę, zainicjowane w ośrodkach, a prowadzące ku obronie organizmu. Dzięki takiemu mechanizmowi, każde pobudzenie nerwu czuciowego, dośrodkowego, odzywa się w specyficzny sposób w narządzie nerwowym ośrodkowym, który z kolei przenosi otrzymane wrażenie na obwód ciała przy pomocy nerwów ruchowych, odśrodkowych. Można powiedzieć, że dzięki temu gęstemu rozgałęzieniu się sieci nerwowej po całym ciele, czynność każdej komórki odczuwać się mo-

że na wszystkich innych. Ścisła zaś zależność pomiędzy wszystkimi częściami ciała, istniejąca przy współdziałaniu układu nerwowego, ustaje dopiero wraz z zamarciem ustroju. Śmierć tę oczywiście spowodować może zniszczenie tych komórek nerwowych, które pełnią niejako naczelną funkcję i strzegą ogólnej harmonii pomiędzy oddzielnymi częściami. Takimi są pewne komórki mózgu i rdzenia, bez których czynności normalnej życie prawidłowo odbywać się nie może. Dopiero dzięki tym właśnie komórkom, organizm wyższy staje się prawdziwym osobnikiem, indywiduum, którego funkcje i czyny dążą do pewnych określonych, normalnych, zdrowych celów. Centralizacja zaś ta w czynnościach organizmu pozwala zrozumieć funkcje ochronne, które w formie swej najprostszej są niczem innym, jak odruchami, refleksami fizjologicznymi.

Pobudzenie któregośkolwiek nerwu czuciowego w najpospolitszych warunkach przenosi się do komórek rdzenia kręgowego i tutaj przechodzi na nerw ruchowy, biorący w rdzeniu początek. Takim jest właściwy przebieg odruchu w formie najmniej zawilej, kiedy mianowicie samo zjawisko nie dochodzi do wyższych ośrodków nerwowych, kiedy odbywa się ono bez udziału świadomości. Ten odruch czysto rdzeniowy jest najprostszą formą obrony, wyzwalamą się wskutek pobudzenia zewnętrznego. Pobudzenie silniejsze natomiast udziela się także komórkom mózgowym, a wyzwalamą w nich odpowiednie wrażenia świadome, zdolne jest powołać do czynu obronnego daleko silniejszy i rozleglejszy aparat, stojący na straży organizmu.

Wszystkie nasze funkcje fizjologiczne, dążące do utrzymania organizmu w stanie zdrowym, prawidłowym, wszystkie czyny, zmierzające ku dostarczeniu ustrojowi najpomyślniejszych warunków istnienia, są ostatecznie tylko takimi bezwiednymi lub świadomymi odruchami, wykonywanymi dzięki złożonym w nas zapasom czynnej energii obronnej.

II.

Sprawy chemiczne, zachodzące wewnątrz organizmu, są nieustannym źródłem, wytwarzającym ciepło. Z drugiej strony, z powierzchni ciała naszego ciepło ustawicznie promieniuje i ponosimy tą drogą straty, których wielkość zależy przedewszystkiem od temperatury otoczenia. Zwierzę ciepłokrwiste częściej walczyć musi ze zbyt niską, aniżeli ze zbyt wysoką temperaturą zewnętrzną. Gdy zaś samo przewodnictwo skóry nie jest bronią wystarczającą w tej walce, budzą się preto siły czynne i, regulując odpowiednie straty i dochody ciepłkowe

organizmu, utrzymują w nas równowagę temperatury, niezależną od stopnia ciepła zewnętrznego.

W miarę, jak temperatura zewnętrzna się podnosi, promieniowanie ciepła ciała naszego wzmagą się. Zależność tę można doskonale oznaczyć, badając w różnych temperaturach utratę ciepła zwierzęcego za pomocą kalorymetru. Przy 15° zwierzę traci więcej ciepła, aniżeli przy 0°. Widzimy tu głęboką różnicę pomiędzy organizmem żywym, a ciałem martwym. To ostatnie traci tem więcej ciepła przez promieniowanie, im temperatura otoczenia jest niższa. Na znaczniejszy ubytek ciepła przez promieniowanie składają się u zwierzęcia w znacznym stopniu zmiany w krążeniu krwi w skórze. Im więcej krwi krąży na powierzchni skóry, tem promieniowanie ciepła jest znaczniejsze. Przy podniesionej temperaturze zewnętrznej widzimy też skórę bardziej zaczerwienioną, temperatura powierzchni ciała i kończyn podnosi się. Odwrotnie, gdy temperatura otoczenia opada, skóra blednie, kończyny ziębną, krążenie krwi w skórze sprowadzone jest do bardzo słabego stopnia, gdyż krew gorąca pozostaje w znaczniejszej ilości w organach wewnętrznych.

Zmiany w krążeniu krwi w skórze zachodzą niewątpliwie drogą odruchową. Dowodzą tego doskonale doświadczenia Brown-Séquarda i Tholozana. Jeżeli pogrążymy jedną rękę w zimną wodę, zobaczymy, że i druga zblednie, że skurczą się w niej naczynia krwionośne. Pobudzenie skóry zatem sprowadza odruchowy skurek naczyń skórnych w symetrycznej części ciała, niepoddanej bezpośrednio działaniu zimna. Widzimy przeto, że czucie ciepłikowe skóry nietylko pozwala nam poznać świadomie stan cieplny otoczenia, lecz nadto jest środkiem bezpośrednio, odruchowo sprowadzającym zmiany w krążeniu skórnem krwi i w bilansie ciepła traconego przez promieniowanie. Centralizacya wszystkich pobudzeń ciepłikowych ze strony skóry mieści się w rdzeniu przedłużonym, czyli w części układu ośrodkowego, łączącej mózg z młeczem pachymowym. Stąd mianowicie wychodzą do ścianek naczyń krwionośnych bodźce nerwowe, wskutek których ścianki te rozszerzają się, lub kurczą, i tym sposobem, drogą odruchową, organizm przystosowuje się do temperatury otoczenia. Gdy więc rdzeń kręgowy zostanie przecięty powyżej miejsca, gdzie znajdują się zakończenia tych nerwów czuciowych, które przewodzą wrażenia ciepła i zimna od danego miejsca na powierzchni skóry, pobudzenie w odpowiednim ośrodku w rdzeniu przedłużonym nie nastąpi, i cała gospodarka cieplna w organizmie głębokim ulegnie zmianom. Krążenie krwi w skórze nie będzie już się odbywało w zależności od temperatury otoczenia, samoregulacya ciepła ustanie, a zwierzę będzie wystawione na poważne niebezpieczeństwo, grożące mu śmiercią.

Zmiany w bilansie ciepła, wywołane przez krążenie skórne, nie są jednakże jedynym środkiem w walce organizmu z niską temperaturą zewnętrzną. Działa tu jeszcze czynnik ważniejszy, mianowicie zdolność wytwarzania ciepła we wnętrzu organizmu w takiej ilości, jaka odpowiada chwilowym jego potrzebom. Gdy organizmowi grozi oziębienie ze strony otaczającej go atmosfery, wdycha on znacznie większe niż w stanie normalnym ilości tlenu, i, dzięki temu, podsyca energią procesów chemicznych, zachodzących w tkankach ciała. Pictet umieszczał psa w temperaturze—92°. Jakkolwiek zwierzę było związane, a więc znajdowało się w warunkach nader niepomysłnych w walce z zimnem, zachowało jednak przeszło godzinę normalną swą temperaturę; musiało więc wytworzyć w sobie bardzo dużą ilość ciepła, aby mózł wytrwać w tak zimnej atmosferze. Samo tylko skurczenie naczyń krwionośnych skóry w żaden sposób nie mogło-by przeciwdziałać tak olbrzymiemu niżeniu temperatury. Zresztą bezpośrednio mierzyć się dają ilości wdychanego tlenu przy rozmaitych temperaturach. Fizyolog Frédéricq dowiódł, że, obnażywszy się z ubrania, wdych więcej tlenu, niż będąc ubrany. Człowiek, zanurzony w kąpeli o 38°, wydychał na kilogram swojego ciała i na godzinę 0.061 gram. dwutlenku węgla; gdy zaś temperaturę kąpeli niżono tylko o 3°, ilość wydychanego dwutlenka węgla podniosła się do 0.084. Doświadczenia podobne dokonywano wielokrotnie i doprowadzały one zawsze do tego samego rezultatu. I tutaj bezwątpienia mamy do czynienia ze zjawiskiem odruchowem, zachodzącym bez świadomości naszej. Jeżeli w jakikolwiek sposób zniesiemy odpowiedną czynność w ośrodku nerwowym, natychmiast ustanie ta zdolność przystosowywania się do otoczenia. Takie porażenie ośrodkowych organów nerwowych najłatwiej można osiągnąć przez działanie chloralu, który znosi czynności odruchowe. Otóż u zwierząt pod wpływem chloralu istotnie nie zachodzą zmiany w ilościach wdychanego tlenu i wydychanego dwutlenku węgla, gdy zwierzęta te zostaną poddane zmianom temperatury zewnętrznej. Psy chloralizowane umierają z zimna, jeżeli nie będziemy ich utrzymywali w izbach dobrze ogrzanych. W ten sam sposób działają: eter, chloroform, alkohol. W upojeniu alkoholowem, gdy doszło do porażenia ośrodków nerwowych, ludzie bardzo łatwo mrą z zimna, wobec zniesienia czynności odruchowych, wywołanych w rdzeniu przedłużonym.

Pragnąc pojąć należycie całkowity bilans ciepła w ciałach żywych, zwrócić musimy jeszcze uwagę na wielkość powierzchni. Wyobraźmy sobie dwie jednorodne, z jednakowego materiału wyrobione kule, o różnych objętościach. Objętości te, a co za tem idzie i ciężary kul wzrastają proporcjonalnie do sześciątów ich promieni, powierzchnie zaś zachowują się proporcjonalnie do kwadratów promieni. Przy-

puścimy, że jedna kula na objętość większa jest dziesięć razy od drugiej, że np. te objętości wynoszą 2 i 20, w takim razie powierzchnie odpowiednio zachowują się będą w stosunku 1.59 i 7.37. Sprowadziwszy powierzchnie do jednostki ciężaru, mieć będziemy w małej kuli powierzchnię 0.8, w dziesięć razy większej natomiast tylko 0.27. Promieniowanie ciepła z powierzchni tych dwu kul będzie zatem zupełnie różne: gdy kula mała wytwarzać będzie na jednostkę ciężaru 0.8 ciepła, duża natomiast będzie musiała wytwarzać tylko 0.27 dla zachowania równowagi cieplnej z otoczeniem.

Różnica ta w intensywności promieniowania pomiędzy kulą dużą a małą istnieje także, gdy rozumowanie to przeniesiemy na duże i małe zwierzęta. Ażeby utrzymać temperaturę swego ciała w normalnej wysokości, zwierzę duże na jeden kilogram swego ciała wydatkuje na zewnątrz przez promieniowanie mniej ciepła, aniżeli zwierzę małe. Jeden kilogram ciała konia traci przez promieniowanie około czterdziestu razy mniej ciepła, aniżeli jeden kilogram myszy. I wytwarzanie przeto ciepła znacznie intensywniej zachodzić powinno u małych zwierząt, aniżeli u dużych. Procesy chemiczne, będące źródłem ciepła zwierzęcego, znacznie zwawiej zachodzą w ciele drobnych istot, niż w organizmach zwierzęcych większych. Najwyraźniej występuje ten rezultat przy porównywaniu zwierząt jednego gatunku a różnych wielkości. Jeżeli porównać psa ważącego 25 kilogramów z psem 5-kilogramowym, otrzymujemy, że pierwszy na jednostkę ciężaru swego ciała (na jeden kilogram) wytwarza przez godzinę 0.92 grama dwutlenku węgla, jako produktu spalania węgla w swem ciele, drugi zaś na ten sam ciężar jednego kilograma przez ten sam czas wytwarza 1.55 grama dwutlenku węgla. Natężenie zaś spraw chemicznych, dostarczających tego ciepła wewnętrznego, jest znów zależne od czynności układu nerwowego. Zawieszając te czynności, np. przez działanie chloralu na zwierzęta, znosimy jednocześnie te różnice zależne od masy ciała: i duże i małe zwierzęta w tych warunkach wytwarzają jednakowe ilości ciepła na jednostkę swego ciężaru, jak przekonać mogą pomiary kalorymetryczne. W inny sposób można doświadczenie to wykonać bez pomocy kalorymetru. Narkotyzując jednocześnie dwa psy różnej wielkości i wystawiając je na niską temperaturę, przekonujemy się, że mały pies oziębia się szybciej, niż duży. Wobec zawieszenia bowiem czynności ośrodków nerwowych oba wytwarzają na jednostkę ciężaru swego ciała jednakowe ilości ciepła, lecz przy stosunkowo do ciężaru większej powierzchni małego, traci on przez promieniowanie więcej niż duży. Widzimy więc, że prawidłowy bieg życia w stałej temperaturze, niezależnej od temperatury otoczenia, może tylko zachodzić przy czynnym współdziałaniu układu nerwowego, który reguluje odruchowo stosu-

nek pomiędzy natężeniem procesów chemicznych wewnątrz ciała a promieniowaniem zewnętrznem.

Wszystkie tkanki organizmu biorą udział w zjawiskach chemicznych, w owych procesach spalania się ciał organicznych, które dostarczają nam ciepła. Najważniejszą część tej pracy chemicznej przypada jednakże mięśniom. Przedewszystkiem bowiem mięśnie same stanowią około połowy całkowitego ciężaru ciała, a powtórne gorzenie tlenowe odbywa się w nich żywiej, niż w innych narządach. Na sto jednostek ciepła, wytwarzanych przez zwierzę lub człowieka, około 75 przypada na pracę fizjologiczną mięśni. To też w walce przeciw zimnu mięśnie działają najenergiczniej, kurcząc się i zamieniając tę czynną energię ruchu na ciepło. Nie mając innych źródeł ciepła, rozgrzewamy się przez wydane ćwiczenia mięśniowe. Podczas snu, kiedy ruchy mięśniowe sprowadzone są do minimum, okrywamy się cieplej niż wówczas, kiedy chodzimy lub pracujemy fizycznie. Kieruje nami w tych razach niezawodny instynkt, który stanowi wszakże już wyższy szczebel samoobrony, aniżeli odruch.

Lecz i odruch bezwątpienia ma pewne ważne znaczenie przy wprawianiu w czynność obronną mięśni wobec oziębiania się ciała. Odruchem jest tu drżenie ogólne wszystkich mięśni, niezależne zupełnie od naszej woli. Ten odruch wywołany zostaje wskutek pobudzenia skóry przez zewnętrzną niską temperaturę, i powstaje oczywiście przy współdziałaniu ośrodków nerwowych, u zwierząt bowiem chloralizowanych i wystawionych na zimno drżenia nie dostrzegamy. Małe psy, pozabawione sierści, a których spalanie tkankowe bardzo musi być intensywne, zarówno z powodu dużej stosunkowo do ciężaru powierzchni ciała, jak i z powodu nagiej skóry, drżą prawie nieustannie. A drżąc, zyskują ciepło, bo drżenie jest istotnie szybkim kurczeniem całego układu mięśniowego.

W walce z zimnem ciało nasze posiada zatem rozmaite środki ochronne, które budzą się do czynu, już to w energiczniejszej, lub w mniej energicznej formie. Gdy działanie zewnętrznej niskiej temperatury jest groźne, wówczas wszystkie te środki podejmują czynność wspólną: zjawia się i drżenie odruchowe, i instynktowe wprawianie w ruch mięśni i niemniej instynktowe skulanie się całego ciała w celu zmniejszenia powierzchni tracącej ciepło przez promieniowanie, sprawy chemiczne we wnętrzu naszego organizmu odbywają się intensywniej, wdychamy więcej ciepłodajnego pierwiastku tlenu i wytwarzamy przez spalanie więcej dwutlenku węgla, wreszcie budzi się do czynu najwyższy organ, organ świadomości, i każe nam się otaczać materjami źle przewodzącymi ciepło, każe wytwarzać ciepło sztuczne i spożytkowywać je na korzyść ziębnącego naszego ciała.

Odporność nasza na wpływ zbyt wysokich temperatur nierniej jest doskonała, lecz mechanizm tej naszej samoobrony jest odmienny. Przedewszystkiem, jak nam już wiadomo, z podniesieniem się temperatury przyspieszone zostaje krążenie krwi w skórze i promieniowanie, utrata ciepła z powierzchni ciała wzmagają się. Nie jest to wszakże sposób w zupełności skuteczny. Posiadamy jeszcze inne środki, umożliwiające wprost niżenie temperatury naszego ciała. Daje się to rze z parowanie wody z powierzchni skóry.

Wiadomo, że ciecze, przechodząc w stan gazowy, parując, pochłaniają znaczne ilości ciepła. Jeden kilogram wody, zamieniając się na parę wodną, zużywa 575 jednostek ciepła. Zwierzę zatem, które przez parowanie utraci z ciała jeden kilogram wody, jednocześnie pozbawi się 575 ciepłostek. Człowiek i wiele zwierząt wytwarza w ten sposób niżenie temperatury swego ciała, tracąc z powierzchni skóry pot przez parowanie. W nadmiernem cieple pocimy się, a ta czynność gruczołów potowych, gęsto rozsianych w skórze, zależna jest od działania nerwów zaopatrujących owe gruczoły. Drażniąc nerwy gruczołów potowych, dostrzegamy wyraźnie wytwarzanie się potu. I tu więc mamy do czynienia z funkcją odruchową, która pozwala nam bez szkody dla organizmu znosić temperatury nieraz o wiele wyższe od normalnej temperatury ciała. W Adenie, w Senegalu, w Massawie temperatura w cieniu dosięga często 45° i 50°. W izbach kotłowych na wielkich okrętach temperatura dochodzi niekiedy do 65°. Jakkolwiek europejczykom istotnie trudno jest wytrzymać w takiej izbie, murzyni i Arabowie jednakże przebywają w nich po godzinie ciągiem. Doświadczenia fizjologiczne przekonały, że człowiek może nawet wytrzymać w piecu o temperaturze 100°, jeżeli tylko powietrze w nim jest suche. Wówczas bowiem jedynie parowanie potu z powierzchni ciała zachodzić może bez przeszkody, jeżeli otaczająca nas atmosfera nie posiada wilgoci. Im powietrze wilgotniejsze, tem mniej może ono przejąć z powierzchni ciała pary wodnej. Klimat gorący nietyle jest szkodliwy przez swą temperaturę, ile przez stan wilgotności powietrza. Klimat gorący i wilgotny znacznie jest szkodliwszy, aniżeli gorący i suchy.

Zdaje się, że ze wszystkich istot organizowanych w najwyższym stopniu obdarzeni są zdolnością wytwarzania potu i ochładzania się tym sposobem — człowiek i koń. To też u innych zwierząt, np. u psa, królika, świnki morskiej — widzimy inny jeszcze mechanizm, czynny biorący udział wobec nadmiernie wysokiej temperatury zewnętrznej. Pies przyspiesza w tym razie w znacznym stopniu swą czynność oddechową, otwiera pysk i wywiesza język. Z powierzchni płuc, jak wiadomo, paruje woda, a w każdym wydechu wydalamy niemną ilość pary wodnej. Przyspieszenie przeto funkcji oddechowej sprawia

ten sam skutek, co i wprawienie w wzmożoną czynność gruczołów potowych. Płuca, po-za funkcją chemiczną wchłaniania tlenu i wydalania dwutlenku węgla, mają nadto zadania fizyczne, polegające na wydalaniu wody w celu ochłodzenia ciała. I te dwie czynności płuc regulują się wzajem odpowiednio, będąc podporządkowane chwilowym potrzebom organizmu. Gdy organizmowi potrzeba dużo tlenu, w powietrzu oziębionem, czynność fizyczna wydalania pary wodnej słabnie. W warunkach zdrowia organów oddechowych szybkie oddychanie zachodzi tylko przy dostatecznej ilości tlenu we krwi.

Zwierzęta ciepłokrwiste i człowiek, jak widać z powyższego, doskonale są uzbrojeni przeciw szkodom, jakie grożą ich ciału ze strony zbyt wysokiej, lub zbyt niskiej temperatury zewnętrznej. We własnym ciele, w budowie swej anatomicznej i w cudownie dostrojonych wzajemnie czynnościach fizyologicznych, posiadają oręż samoobrony znakomitej doskonałości. Odruchowe, automatyczne, instynktowe i świadome funkcje organizmu, wszystkie działają wspólnie, mając na celu ochronę ciała od grożącego mu niebezpieczeństwa. Ta moc obronna jest doskonalsza, im wyżej wstępujemy po szczeblach organizacji zwierzęcej. Rozwinęła się ona w biegu rozwoju świata żywego równoległe z różnicowaniem i doskonaleniem się samego ciała i jego licznych innych funkcji.

III.

Przeciw uszkodzeniom mechanicznym, na które wystawiona jest każda istota żyjąca, rozporządza organizm środkami obrony rozmaitego rodzaju: środkami zapobiegawczymi, bezpośrednimi i następczymi.

Środki zapobiegawcze mogą być oczywiście tylko natury psychicznej, bo, ażeby zapobiedz niebezpieczeństwu, trzeba je przewidzieć, a do przewidywania niezbędna jest inteligencja. Niekoniecznie wszakże chodzi tu o inteligencję w najszczytniejszem znaczeniu, o rozumowanie i wynikające z niego czyny dowolne. Gdy mowa o samoobronie zwierząt, możemy mieć w tym razie tylko na myśli obronę instynktową, wyrobioną siłą dziedziczności we wszystkich osobnikach jednego i tego samego gatunku, nie zaś wytworzoną dzięki pamięci i nauce indywidualnej. Lecz, jakkolwiek jest to środek samoobrony ogólny, często nawet zupełnie bezwiedny, niemniej mamy w tym razie do czynienia ze zjawiskiem psychicznym, które wymaga pewnego stopnia rozwoju stanu intelektualnego.

O jednym tylko typie uczuć może być mowa, skoro chodzi o instynktową obronę przed niebezpieczeństwem, mianowicie o uczuciach przykrości. Obawa ostrzega nas o grożących szkodliwościach, zanim jeszcze niebezpieczeństwo nas osiągnie. Koń, pies, a nawet i człowiek staje przerażony wobec kształtów lub zjawisk, których nie widział jeszcze. To, co znamy, nie przestrasza nas; rzeczy niewidziane, nieznanne, mogą być najeżone mnóstwem niebezpieczeństw. A gdy i znane jakieś zjawisko zdolne jest, wskutek właśnie nabytego już w tym kierunku doświadczenia, wzbudzić w nas obawę, wówczas bojaźń niemniej jest skutecznym środkiem prewencyjnym. Pomyślmy na przykład o zwierzętach niebezpiecznych, o gadach, o ssących i ptakach drapieżnych. Jeżeli umieścimy węża w klatce młodej małpy, okazywać ona będzie oznaki najwyższej bojaźni, jakkolwiek nigdy jeszcze węża nie widziała. Można-by się zgodzić na to, że mamy w tym razie do czynienia z odruchem, lecz odruchem psychicznym, bo wymagającym zawilego procesu intelektualnego.

Odraza, wstręt, stają tuż obok bojaźni w szeregu tych środków zapobiegawczych, nawet często komplikują się z obawą, i nie mogą być ściśle od niej odgraniczone.

Zawrót głowy, który paraliżuje wszelkie ruchy i zatrzymuje nas np. nad brzegiem przepaści; bojaźń, która często również sprawia, że stajemy jak wryci, a w innych razach działa pobudzająco i dodaje nam sił do ucieczki przed niebezpieczeństwem — to wszystko zaliczyć można do tych instynktów lub oznak psychicznych, które ostrzegają nas przed zagrażającym niebezpieczeństwem. Cofamy się przed spadającym z wysokości ciężarem na sam widok tylko, zanim zdołaliśmy wyrozumować i wyjaśnić sobie skutki ciosu, który mógł nas osiągnąć. Uciekamy instynktownie, nie namyślając się ani chwili, jakkolwiek namysł mógł-by nas właśnie przekonać, że niebezpieczeństwo istotnie nie jest wcale wielkie, że jeszcze czas będzie obronić się przed nim skutecznie, że nawet pewnie wcale nas nie osiągnie. Są to czyny psychiczne mało co różne tylko od cofania się lub zamykania oczu wówczas, gdy ktoś przez szybę nagle wyciągnie ku nam rękę, grożąc uderzeniem, jakkolwiek przekonani jesteśmy, że to żart i że w każdym razie szyby nie stłucze.

Środki bezpośrednie samoobrony przeciw urazom, mechanicznym bardzo są różnorodne. Pragnąc pojąć ich mechanizm, przypomnijmy sobie, że mlecz paciierzowy i leżący nad nim rdzeń przedłużony wyobrazić sobie można jako złożone z licznych ośrodków ruchowych, które wyzwalają bodźce dla ruchów serca, płuc, żołądka, kiszek, żreńnicy, ścianek naczyń krwionośnych i t. d. Wszelkie podrażnienie rdzenia może wywołać czynność tych rozmaitych ośrodków, a zatem spowodować pewne zmiany już to w ruchach kiszkiowych, już w rytmie ser-

ca, lub w czynności oddechowej płuc, w stanie napięcia naczyń, w ruchach tęczówki, powiek i t. d. Są i takie ośrodki w rdzeniu, które nie pobudzają, lecz powstrzymują, hamują pewne ruchy tych licznych naszych organów wewnętrznych, tak, że wynika stąd wielka różnorodność czynności, wyzwalających się w ośrodkach układu nerwowego. Pewne ważne funkcje życiowe, jak ruchy serca, płuc, gruczołów, pozostają pod wpływem dwu zazwyczaj ośrodków, z których jeden działa pobudzająco, drażniąco, drugi hamująco, powstrzymująco. A każdy z tych ośrodków może znów zostać albo podrażniony, albo porażony. Podrażnienie ośrodka pobudzającego przyspiesza ruch, porażenie tegoż ośrodka hamuje; podrażnienie ośrodka hamującego poraża, paraliżuje ruch, a porażenie tegoż ośrodka pobudza, przyspiesza. Niesłychana więc różnorodność ostatecznych skutków takiego działania na ośrodki nerwowe może w najrozmaitszy sposób usposobić organa ciała naszego do stawiania czoła wrogim wpływom zewnętrznym. A każdy uraz zewnętrzny, oddziałując przez pośrednictwo nerwu czuciowego na ośrodki rdzeniowe, może się odezwać na owych zawitych czynnościach płuc, serca, naczyń i t. d. Można to widzieć wyraźnie w doświadczeniach nad zwierzęciem kuraryzowanym, które wskutek działania tej trucizny pozbawione jest możliwości wykonywania ruchów dowolnych. Organa takiego zwierzęcia pod wpływem najbliższych wstrząśnień podlegają rozmaitym zmianom w swych czynnościach: już to ruchy serca zostają przyspieszone, już znów ciśnienie krwi w naczyniach ulega modyfikacji. I na normalnem zwierzęciu, i na człowieku zdrowym widzimy skutki silniejszych pobudzeń zewnętrznych w czynnościach serca, płuc, naczyń krwionośnych, a także kiszek, często i pęcherza moczowego. Ból fizyczny, dość silny zwłaszcza, wyraźnie okazuje nam swe skutki, które przy bliższej analizie fizyologicznej zdają się wszystkie zmierzać ku jednemu i temu samemu celowi, mianowicie do wzmożenia czynności życiowych organizmu, do podniesienia jego siły odpornej. Tak więc np. przy drażnieniu nerwu kulszowego zwierzęcia widzimy, jak czynność oddechowa przyspiesza się, serce częstsze wykonywa skurcze i rozkurcze, ciśnienie w tętnicach się podnosi, tęczówka się kurczy, gruczoły wydzielają obficie. Wszystkie niemal czynności życiowe przebiegają intensywniej i krążenie krwi dokonywa się szybciej. Szkodliwy dla ciała bodziec mechaniczny, uraz zewnętrzny, wywołuje zarazem i ból i podniesienie sił żywotnych. Oczywiście pewna granica maksymalna nie może tu bezkarnie być przekroczona. Wówczas bowiem zamiast pobudzenia następuje porażenie wszystkich tych czynności. Serce nie przyspiesza swych uderzeń, lecz zwalnia je, a nawet zupełnie może być w ruchu powstrzymane; tęczówka rozszerza się; ciśnienie krwi opada; oddech

się zwalnia; przemiany chemiczne w intensywności swej opadają do minimum. Czynności życiowe bliskie są wyczerpania i wyczerpują się wreszcie, gdy cios zbyt jest silny, gdy ból sprawiony nazbyt dolegliwy, a siła napaści zewnętrznej wyrosła powyżej granicy naszych środków samoobrony.

Nie zapominajmy, że i sam ból uważać musimy za funkcję psychiczną, należącą do szeregu bezpośrednich środków ochrony organizmu ¹⁾. Ból polega na tem, że każde silne podrażnienie nerwu czuciowego sprawia w ośrodkach naszej świadomości skutek przykry, którego trwania nie pragniemy, i przeciw któremu, gdyby się miał powtórzyć, gotowiliśmy walczyć. Ból jest prawdziwym stróżem zdrowia naszego i życia, gdyż ostrzega nas, zupełnie niezależnie od nauki i doświadczenia intelektualnego, przed niebezpieczeństwami. Unikamy uderzeń, ran, oparzeń przedewszystkiem dlatego, że sprawiają ból, zupełnie na razie nie pomni na to, jakie głębsze zaburzenia w organizmie urazy te spowodować będą mogły. Obawa bólu każe nam, bez względu na rodzaj grożącego niebezpieczeństwa, unikać starannie wszelkich szkodliwości, a obawa i ból, jakkolwiek uczucia przykre, stanowią najpotężniejsze środki, jakimi przyroda ubezpieczyła życie swych twórców. Celem bowiem ostatecznym istnienia organicznego jest tylko sam fakt istnienia i ciągłego doskonalenia się, choćby ten cel miał być okupiony kosztem cierpienia. A cierpienie to znakomicie pomaga naturze, bo każe nam unikać niebezpieczeństwa i szukać pomyślnych warunków życia i doskonalenia się.

Na tych środkach ogólnych nie wyczerpuje się bynajmniej zapas sił, któremi bronimy się od urazów. Zjawiska miejscowe wywołują do walki siły właściwe specjalnym organom. Szkodliwości mechaniczne dotknąć mogą nie tylko powierzchni skóry, skąd po drodze nerwów czuciowych dają o sobie znać ośrodkom nerwowym, lecz działać też mogą na organa oddechowe, na przewód pokarmowy, na powierzchowne części oka naszego. Ciała obce, dostawszy się do któregośkolwiek z tych organów, sprawić mogą zaburzenie mniej lub więcej głębokie, wydalanie więc ich dość wczesne jest ważnem zadaniem tych specyficznych sił ochronnych.

Jeżeli ciało obce dostanie się na powierzchnię błony śluzowej nosa, skąd mogłoby dalej przeniknąć do części głębszych przyrządu oddechowego, wówczas, drażniąc tę błonę, sprowadza osobliwy skutek,

¹⁾ O znaczeniu bólu w życiu organizmów wygłosił Richet odczyt na ostatnim zjeździe psychologów w Monachium. Porówn. *Revue scientifique*, 1896. N. 8; drugie półrocze.

kichnięcie. Jest to odruch, mający za punkt wyjścia błonę śluzową nosa, zaopatrzoną w zakończenia nerwu czuciowego (nerwu trójdzielnego), którego ośrodek położony jest w okolicy ośrodka oddechowego w rdzeniu przedłużonym, a którego ostatnim etapem są mięśnie wydechowe. Kichnięcie polega na głębokim wdechu, po którym następuje gwałtowny wydech przy dobrze zamkniętych ustach. Powietrze, w dużej ilości wprowadzone do płuc podczas wdechu, naraz zostaje wyrzucone przez nos, droga bowiem przez jamę ustną jest zamknięta. Ten silny wydech wyrzuca z jamy nosowej owo drażniące ciało obce.

Przypuśćmy, że ciało obce przeniknęło do krtani i drażni błonę śluzową tego organu. W tym wypadku natychmiast powstrzymany zostaje ruch wdechowy, wdychany bowiem prąd powietrza mógłby owo szkodliwe ciało wciągnąć jeszcze głębiej, do tchawicy i płuc. Błona śluzowa krtani zawiera w sobie zakończenia nerwu czuciowego (n. krtaniowy górny), który właśnie ma ową osobliwą własność powstrzymywania oddechu, gdy jest silnie podrażniony. Ale podrażnienie błony śluzowej nie tylko powstrzymuje w tym razie oddech, lecz nadto wywołuje gwałtowny wydech w postaci kaszlu. Gałązki nerwu krtaniowego, podobnie jak przy kichnięciu gałązki nerwu trójdzielnego, przenoszą otrzymany bodziec do ośrodka w rdzeniu przedłużonym, skąd znów wyzwala się odruch w postaci silnego działania mięśni wydechowych. Wywołany zaś tym sposobem kaszel, wyrzuca z krtani owo drażniące ciało obce na zewnątrz. Gdy owe gałązki nerwu krtaniowego są w jakikolwiek sposób uszkodzone, przecięte, porażone, oczywiście odruch taki nastąpić nie może i ciała obce łatwo dostać się mogą do krtani. Taki sam w zasadzie mechanizm wydalania ciał obcych działa w tchawicy i w płucach, i to nie tylko wówczas, gdy owe ciała przenikają z zewnątrz, lecz i w tych wypadkach, gdy wytwarzają się we wnętrzu tych organów. Śluz, wydzielany w tchawicy, wyrzucany za pomocą kaszlu. Nadmierna wydzielina, tworząca się w stanach zapalnych tych organów, również przy pomocy kaszlu zostaje usunięta.

Organy pokarmowe, przełyk, żołądek i kiszki, uzbrojone są w urządzenia ochronne niemniej skuteczne od tych, które poznaliśmy dla narządów oddechowych. Materye pokarmowe drażnią błonę śluzową gardzieli, a raczej zakończenia umieszczonych w niej nerwów czuciowych, i wywołują odruchowo umiarkowany skurcz mięśni gardzieli i przełyku, dzięki czemu pokarmy przechodzą do żołądka. Ciała obce, szkodliwe, tą samą drogą sprowadzają skurcz silny, sprawiają odruchowo osobliwe uczucie mdłości, a nadto w mięśniach wywołują ruch zwrotny, w kierunku przeciwnym, aniżeli przy przełykaniu, dzięki czemu zostają na zewnątrz wyrzucone. Nawet gdy takie szkodliwe ciała przeszły już do żołądka, i wówczas jeszcze cały ten mechanizm od-

ruchowy pobudzony może być do życia, i sprowadzić pożądane dla organizmu wymioty. Drażniąc błonę śluzową kiszek, ciała obce przyspieszają ich ruchy perystaltyczne, robaczkowe, i tą drogą znów szybko na zewnątrz zostają usunięte.

Narząd wzrokowy, oko, niezmiernie jest wrażliwy na zetknięcie z ciałami obcemi. Najdrobniejszy pyłek przy zetknięciu z okiem wywołuje ból, obawę światła (fotofobia), łzawienie, napływ krwi do oka i mruganie powiek. Ból, jak ogólnie wiadomo, bywa w tym razie nieznośny, zupełnie nieproporcjonalny do przyczyny, która go wywołała, w postaci drobnutkiego pyłku. Widać stąd, jak znacznym stopniem wrażliwości odznaczają się zakończenia gałązek nerwowych w łącznicy oka. Obawa światła, której mechanizmu właściwie dobrze jeszcze nie znamy, jest, bądź co bądź, pewną formą bólu. Łzawienie jest skutkiem wzmożenia czynności gruczołów łzowych, które wydzielają obficie łzę, starając się niejako zmyć, spłukać z powierzchni oka owo ciało drażniące. Mruganie powiek jest wreszcie bardzo wyraźnym środkiem ochronnym, gdyż z jednej strony przyczynia się do czynnego usunięcia obcego ciała, z drugiej zakrywa oko, broniąc je od dalszych szkodliwości.

Po-za poznanemi już środkami zapobiegawczemi i bezpośredniemi wymieniliśmy jeszcze środki następcze, chroniące ciało nasze od urazów. Rozpatrzmy przeto skutki normalne najpospolitszego urazu, rany jako takiej, nie zanieczyszczonej drobnoustrojami, bakteriami, które, jako specyficzne siły, wrogie zdrowiu i życiu organizmów zwierzęcych, wymagają oddzielnego roztrząsania.

Otóż każda rana, od której zdala się trzymają bakterye, wywołujące ropienie, zabiłżnia się po pewnym czasie drogą naturalnego samowyleczenia. Naprzód pomiędzy brzegami rany wysączona krew ścina się, a włókienka zawartego w tym skrzepie osobliwego ciała białkowego (t. zw. fibryny, czyli włóknika), tworzą tymczasową powierzchną ochronę. Z sąsiadujących komórek szybko wybiegają wyrostki, tworzące komórki nowe, i wrastają pomiędzy owe włókna, dzięki czemu pierwotna pokrywa rany wzmacnia się i oto blizna jest gotowa. Cała ta reakcyja miejscowa, pobudzona wskutek urazu mechanicznego, który zerwał ciągłość tkanki organicznej, odbywa się siłą właściwej odporności ciała, która naprawia doskonale wszelkie uszkodzenia, o ile te ostatnie nie przebiegły tylko pewnej granicy maksymalnej.

V.

W stanie prawidłowym, normalnym, niema w ciele zwierzęcem pasorzytów. Potrzeba zakażenia się, zarażenia, aby pasorzyt jaki zagnieździł się w ciele wyższego zwierzęcia lub człowieka. O zakażenie zaś takie bynajmniej nie trudno, jeśli zważymy, że świat drobnoustrojów ze wszystkich stron nas otacza. W powietrzu, w wodzie, w ziemi ustawicznie znajdują się mikroby, na wszystkich niemal przedmiotach, z którymi nieustannie się stykamy, wiodą one życie rojne i mnożą się obficie. Pokarmy nasze w rzadkich tylko wypadkach wolne są od nich. Organizm nasz posiada też istotnie znakomite, liczne środki obrony od tych swoich niewidzialnych wrogów, skoro rzadko stosunkowo pada ich ofiarą.

Skóry nieuszkodzonej drobnoustroje przeniknąć nie mogą; natomiast błony śluzowe tych organów, które pozostają w mniej lub więcej żywej wymianie ze światem zewnętrznym, stanowią już zapory mniej wytrzymałe, nie tyle skuteczne.

Co się tyczy przewodu pokarmowego, to ciecze trawiące, które do kanału tego się wlewają, posiadają pewną siłę niszczącą względem mikrobów. Siła ta wszakże wystarczającą bynajmniej nie jest, czego dowodem najlepszym, że na całej długości przewodu pokarmowego spotykamy bardzo bujne życie bakteryjne. Są to co prawda w warunkach normalnych mikroby nieszkodliwe, nie chorobotwórcze, sama ich wszakże obecność wskazuje już, że samo wnętrze jamy kanału pokarmowego nie jest ośrodkiem absolutnie niesprzyjającym życiu drobnoustrojów. A dodać trzeba, że i nabłonek błony śluzowej w przewodzie trawiennym nie stanowi ściany dość ściślej, dość spoistej, aby mógł absolutnie powstrzymać przeniknięcie wgląd drobnoustrojów.

Błona śluzowa narządu oddechowego w mniejszym jeszcze stopniu posiada własności takiej doskonałej zapory. Co prawda, rzadko zarodki chorobotwórcze rozsiane są w powietrzu. Niemniej słusznem jest, że powietrze wdychane, przechodząc przez jamę nosową, usta, krtani i tchawicę, filtruje się niejako i dochodzi do rozgałęzień oskrzeli mniej lub więcej uwolnione od zarazków chorobotwórczych. Gdy wszakże powietrze wydechane, jak tego dowodzą liczne doświadczenia, zupełnie jest od zarazków wolne, przeto błony śluzowe nosa, ust, krtani, tchawicy i oskrzeli muszą być siedliskiem mikrobów.

Tak więc ze wszystkich stron na zewnątrz ciała naszego otoczeni jesteśmy mikrobami, a nadto i w ciele samem, na tych jego częściach, które pozostają w styczności ze światem zewnętrznym, nosimy niezliczone mnóstwo drobnoustrojów. Jeżeli zważymy z jednej strony, że nawet i niechorobotwórcze bakterye często znaleźć mogą sposobność—wobec niedoskonałości błony śluzowej jako tamy,—do przeniknięcia wgląd ciała, z drugiej zaś, że i te nieszkodliwe dla zdrowia mikroby sprowadzają na zewnątrz organizmu rozkład rozmaitych ciał chemicznych (białka, wodorów węgla), które w sokach i tkankach naszego ciała ustawicznie krążą, będziemy musieli przyznać, że ich nieszkodliwość polega bezwątpienia na tem, iż właśnie w głębi ciała naszego jednakże natrafiają one na warunki dla ich rozwoju i czynności rozkładowych niepomysłne. Gdy więc mówimy, że owa niezliczona moc otaczających nas bakteryi nie wywiera działania chorobotwórczego, znaczy to, iż jesteśmy tak zorganizowani, że potrafimy je zniszczyć i unieszkodliwić. Jest to wyłączna właściwość życiowa, cecha żywotności organizmu. Gdy bowiem istota żywa umrze, gdy zniweczony zostanie związek łączący w całość organa i tkanki, gdy ustanie krążenie krwi, a układ nerwowy całkowitemu ulegnie porażeniu, ciało traci osobliwe swe życiowe własności chemiczne i staje się pastwą tych właśnie mikrobów, przeciw którym broniło się tak niezawodnie za życia. Na tę właściwość, wysoce znamiennej i charakterystycznej dla ustroju zwierzęcego, położyć musimy nacisk wyraźny, ponieważ w wykładach o środkach ochronnych organizmu przeciw mikrobom mówi się zazwyczaj tylko o mikrobach prawdziwie chorobotwórczych, takich, które wywołują w nas choroby zakaźne, a zapomina się zupełnie o tych, które chorób nie sprowadzają, jakkolwiek wiadomo dobrze, że i one w sztucznych warunkach doświadczenia laboratoryjnego wywołują zmiany chemiczne niemniej głębokie, jak bakterye chorób zakaźnych. Niechorobotwórczość tych bakteryi, to właśnie wynik naszej odporności życiowej, to właśnie dowód, że żywy i odporny ustrój rozporządza środkami obrony, które nie pozwalają owym mikrobom prowadzić w nas takiej gospodarki rozkładowej, jaką prowadzą w sztucznych ośrodkach odżywczych, lub w ciele martwym.

Od bardzo dawna znany jest sposób, w jaki pewne organizmy elementarne, jednokomórkowe, ameby i wymoczki, pobierają pokarm. Znalazłszy się w zetknięciu z ciałem, mogącem im służyć za pokarm, wypuszczają z siebie wyrostki, t. zw. nibynóżki, a pomagając sobie ruchami pełzania, wciągają w siebie owo ciało i trawią w sobie; części niestrawne zaś wydalają znów na zewnątrz za pomocą ruchów podobnych. We krwi zwierząt wyższych i we krwi ludzkiej znajdują się nader liczne twory, t. zw. ciała białe, pod wielu względami podobne

do owych komórek amebowych. Otóż przy badaniach swoich nad losem rozmaitych mikrobów w ciele zwierzęcem, Miecznikow pierwszy dostrzegł, że komórki białe, krążące we krwi, wchłaniają również w siebie w pewnych warunkach te przenikające do organizmu wrogie dlań ciała obce. Podrażnienie, wywołane w pewnym miejscu ciała przez wkroczenie mikrobów, sprowadza za sobą cały szereg zjawisk nader charakterystycznych. Naczynia krwionośne rozszerzają się, a skutkiem opadającego ciśnienia krwi na tem terytoryum strumień krwi pędzi tu z mniejszą szybkością. Sprzyja to skupieniu się ciałek białych, t. zw. leukocytów, które na wewnętrznej ścianie naczynia układają się w dość zbitą warstwę. Nie pozostają one tu wszakże długo w bezczynności, lecz wypustkami swemi starają się przeniknąć po-przez ściankę naczynia włoskowatego na zewnątrz; jakoż udaje im się to istotnie i wkrótce w wielkiej liczbie zbierają się w podrażnionem miejscu, tworząc wraz z przesiękiem tkanki ropę. Badając zaś bliżej tę ropę, znajdujemy w niej nie tylko płyn surowiczy krwi i owe leukocyty, lecz nadto i bakterye, które pierwszy dały bodziec do całego szeregu tych reakcyi organizmu. Znaczną część tych bakteryi widywał Miecznikow i inni badacze pochłoniętą wewnątrz leukocytów, które pożerają zatem i usuwają tych niszczycieli ciała. Leukocyty, wchłaniające w siebie bakterye, nazwano fagocytami, a całe to zjawisko fagocytozą.

Fagocytoza niewątpliwie ma nader doniosłe znaczenie obronne dla organizmu. W zagrożonym ustroju budzą się do czynu białe ciałka krwi, biegnąc na pomoc na pole walki. I oto rozwija się bój pomiędzy nimi a bakteryami. Im więcej bakteryi zostanie przez nie wchłoniętych i strawionych, a więc usuniętych z zagrożonego miejsca, tem zwycięstwo organizmu jest pewniejsze. Nie jest wszakże fagocytoza jedynym środkiem obrony, jak to natychmiast zobaczymy.

Nie poprzestano jednak na obserwowaniu mechanizmu fagocytozy, starano się także bliżej zbadać jej przyczyny. Dość będzie zwrócić uwagę czytelnika na tem miejscu na jedno z licznych spostrzeżeń w tym kierunku. Widziano mianowicie często, a wielokrotnemi doświadczeniami potwierdzono, że pewne związki chemiczne działają na leukocyty przyciągająco, niejako wabią je ku sobie, gdy znów inne związki są w tym względzie obojętne, a znów inne działają nawet na leukocyty odpychająco. Dalsze badania pozwoliły nadto dowieść, że związki chemiczne, wytwarzane przez bakterye w ich procesie życiowym, najczęściej wywierają to przyciągające działanie na leukocyty. Lecz bynajmniej obecność bakteryi nie jest tu konieczną; wystarcza działanie samych owych ciał chemicznych, aby zwabić leukocyty i sprowadzić tym sposobem wytworzenie ropy. Taką ropę aseptyczną, wolną od bakteryi, można otrzymać np. przez zastrzyknięcie pod skórę

rtęci, olejku terpentynowego i innych ciał. I w tym razie zdaje się, że zwabione tem podrażnieniem nienormalnem leukocyty zbierają się, mając na celu obronę organizmu. Widać bowiem, jak w wypadkach, kiedy wprowadzimy pod skórę lub do krwi jakieś ciało obce, np. delikatny proszek węgla, leukocyty również zbiegają się, obładowują temi przybyszami, stanowiącemi nieprawidłowy składnik organizmu, i usuwają je na zewnątrz w postaci ropy, która wydała się, lub składają w miejscach mniej lub więcej obojętnych, skąd tak łatwo po organizmie znów rozniesione być nie mogą, jak np. w gruczołach limfatycznych, lub w śledzionie.

Siła ochronna, jaką posiadamy w leukocytach, a która działa pobudzona do czynu niezależnie od układu nerwowego, lecz jedynie pod wpływem podrażnienia miejscowego, bardzo jest poważna. Obserwowano, że w kilkanaście minut po wprowadzeniu pod skórę proszku karminu, białe ciała krwi w naczyniach znacznie zmniejszyły się w swej ilości. To zmniejszenie dochodziło w wielu wypadkach do tego stopnia, że pozostawała w naczyniach zaledwie piąta część normalnej liczby leukocytów. Człowiek dorosły ma mniej więcej 5 litrów krwi, a w niej około 76 miliardów leukocytów. Przyznamy chyba fagocytozie znaczenie dość ważne, jeżeli pomyślimy, że z tej liczby około 50 miliardów leukocytów biegnie na pomoc organizmowi, aby wydalić ciało obce, szkodliwe.

O losie bakterii pochłoniętych przez fagocyty nie posiadamy zupełnie dokładnych wiadomości. Niektórzy badacze nie są nawet skłonni przypisywać fagocytozie zbyt dużego znaczenia w walce organizmu z bakteriami. Tyle bądźco bądź wiadomo na pewno, że nie jest to jedyny nasz środek obrony, że często jest on niewystarczający, zawodny. Istnieją w samej rzeczy inne jeszcze reakcje organizmu, w wielu razach skuteczniejsze w walce z bakteriami chorobotwórczemi. Pomimo fagocytozy, mikroby szkodliwe często krążą we krwi; już to samo dowodzi przeto, że fagocytoza nie jest bronią pewną, wystarczającą. Gdyby leukocyty posiadały siłę niezwalczoną, nie byłoby nigdy zakażeń cięższych. W ciągu godziny, lub dwu godzin, musiały-by się one sprawić z bakteriami, uczynić je nieszkodliwemi, i organizm był-by wolny od choroby. Lecz wiadomo nam dobrze, że choroba zakaźna jednakże wybucha w pewien, nieraz długi czas po zakażeniu, i staje się często groźną, a nawet śmiertelną. Muszą więc koniecznie istnieć inne jeszcze sposoby walczenia z bakteriami. Istotnie, we krwi samej odkryto własności bakteryobójcze.

Już około dziesięciu lat temu, bakterjolog Fodor dowiódł, że w świeżej krwi szybko znikają laseczniki karbunkułu, jak gdyby były umieszczone w jakimś ośrodku antyseptycznym. Dalsze badania in-

nych autorów potwierdziły to ważne spostrzeżenie, które od owego czasu stało się punktem wyjścia olbrzymiego szeregu nader pomysłowych prac nad własnościami antybakteryjnymi krwi. Dla wykazania tej siły bakteryobójczej przytoczymy tylko rezultaty jednego próbnego doświadczenia. Zasiano bakterye w krwi świeżej. Na początku było ich 9936, po 2-ch godzinach 3984, po trzech—627, po pięciu—54, po sześciu już tylko 24. Prócz krwi niektóre inne soki organizmu okazały się także w mniejszym lub w większym stopniu ośrodkami niszczącymi życie bakteryjne. Krew wszakże zajmuje w tym względzie miejsce naczelné, najważniejsze. Poszukiwano przez długi czas owych składowych części krwi, które darzą ją tą osobliwą własnością, i przekonano się, że mieszczą się one w surowicy krwi, czyli w tej części, która pozostaje po wydzieleniu skrzepu (włóknika i znacznej części czerwonych krążków) krwi. Nauka bakteryologii i zastosowania praktyczne, lecznicze, od czasu tych poszukiwań rozszerzyły się znakomicie. Poglądy nasze na istotę działania bakteryi chorobotwórczych uległy głębokim modyfikacyom, albowiem poznano, że istotną szkodę organizmowi przynoszą nie bakterye jako takie, lecz wytwarzane przez nie produkty chemiczne, działające na podobieństwo trucizn, jądów, z zewnątrz do organizmu wprowadzonych. Tym truciznom, tak zwanym toksynom, przeciwstawiono antytoksyny o wprost przeciwnych własnościach fizjologiczno-toksycznych, które znoszą działanie tamtych, zobojetniają toksyny, stanowią obronę przeciwwagę w naszym ustroju. W surowicy krwi poszukiwano i wykryto podobne antytoksyny o swoistych własnościach, specyficznym dla każdego rodzaju choroby zakaźnej, dla każdego gatunku zwierzęcego. Naturalna odporność pewnych zwierząt przeciw niektórym chorobom znalazła, dzięki tym badaniom, należyte wyjaśnienie. Pojęto też, na czem polega immunizacya, uodpornianie organizmów na pewne choroby przez sztuczne szczepienie bądź samych drobnoustrojów, bądź też wytwarzanych przez nie szkodliwych produktów chemicznych. Cały kierunek medycyny dzisiejszej opiera się na tych badaniach, które odsłoniły nam siłę obronną surowicy krwi przeciw najzjadliwszym wrogom zdrowia i życia ludzkiego. Powstały dzięki temu nowe a skuteczne metody leczenia i wątpliwości nie ulega, że dalsze w tym kierunku prace pozwolą znaleźć środki skuteczne przeciw wielu jeszcze chorobom zakaźnym. Cały ruch naukowy na tem polu zbyt jest jeszcze nowy, abyśmy na wszystkie następujące się tu pytania potrafili już obecnie dać odpowiedzi jasne, zrozumiałe. Empirya wyprzedza tu często dobrze wyrozumowaną teorię. Z olbrzymiego, nagromadzonego na tem polu badań materyału, wykraczającego daleko poza granice fizjologii w dziedzinę patologii i terapii, wynika jasno, że siły obronne, jakimi rozporządza krew, mieszczą się niewątpliwie

zarówno w ciałkach białych, leukocytach, jak i w materyach zawartych w surowicy. Lecz nawet te dwa środki obrony, razem wzięte, nie objaśniają jeszcze wszystkich spostrzeżeń, z jakimi się tu spotykamy. Koniecznie przypuścić należy jeszcze istnienie specyficznnej siły odpornej, mieszczącej się w samych komórkach żywych naszych tkanek i organów. I one bezwątpienia obdarzone są swoistą mocą zobojętniania niszczącego działania trucizn, dostających się tą lub inną drogą do naszego ciała. Zwłaszcza gdy chodzi o jady, wprowadzane z zewnątrz do organizmu, przypuszczenie to nabiera znacznego prawdopodobieństwa.

V.

Wielce zawile sprawy chemiczne, których siedliskiem jest organizm zwierzęcy, prowadzą do powstawania takich związków, które, nagromadzone w ciele w większej ilości, działają trująco. Tym samozatruciom wszakże przeciwdziałają normalne funkcje organizmu. Już to w miarę skupiania się owych trucizn wchodzą one w połączenia chemiczne z innymi związkami, stając się ciałami obojętnymi, już też zostają wydalone na zewnątrz przez płuca, skórę, nerki, kiszki, lub wreszcie gromadzą się w pewnych organach, skąd niełatwo mogą przejść do ogólnego obiegu krwi. I tylko wówczas, gdy wskutek jakichś zmian chorobotwórczych, organa, czuwające nad nieszkodliwianiem owych wewnątrz wytwarzanych trucizn, działają nieprawidłowo, organizmowi istotnie grozi niebezpieczeństwo z tej strony. Samozatrucia wymagają koniecznie nieprawidłowego funkcjonowania tego lub owego organu, normalnie przeciwdziałającego autointoksykacyom. Nader interesujący ten dział zjawisk biologicznych wkracza przeto w dziedzinę patologii.

Natomiast przy zupełnie prawidłowym stanie wszystkich naszych narządów, bronić się musimy energicznie przed wielu mniej lub więcej gwałtownymi truciznami, z zewnątrz do organizmu wprowadzanymi. Jeśli zaś obrona ta ma być skuteczną, posiadać musimy środki walki dostatecznie energiczne.

Jak przy obronie od urazów, tak i tutaj, posiadamy przedewszystkiem obronę zapobiegawczą. Jest to funkcja psychiczna, podobna do obawy i bólu, a polega na odradzie, wstręcie do pewnych ciał.

Wiadomo nam już, że trucizny przenikać nie mogą przez nieuszkodzoną skórę, pozostaje więc im droga do organizmu tylko przez

narząd oddechowy lub pokarmowy. Ciała stałe i ciekłe dostają się przez przewód pokarmowy, ciała gazowe przez gardziel, krtań, tchawicę do płuc. Odraza do pewnych ciał przejawia się w tem, że wprowadzenie ich do jamy ustnej wywołuje obfite ślinienie, nudności, wymioty, a jednocześnie wszystkie odruchy ogólne, towarzyszące dość silnemu cierpieniu. Wstręt w stopniu dość wysokim czyni absolutnie niemożliwym przełknięcie danego ciała, sprowadzając mocne skurcze gardzieli i przełyku. Ponieważ leki wszystkie są zarazem mniej lub więcej gwałtownymi truciznami, przeto i przyjmowanie lekarstw sprawia, jak wiadomo ogólnie, dość znaczne przykrości. Przeglądając spis trucizn, przekonywamy się z łatwością, że wszystkie mają smak przykry, i że ten przykry smak, gorycz najczęściej, do pewnego stopnia pozostaje w związku ze stopniem ich jadowitości. Najgwałtowniejszymi truciznami są wogóle alkaloidy: strychnina, atropina, morfina, akonityna i t. p. Otóż wszystkie one odznaczają się wysoce gorzkim smakiem. Tymczasem ciała mniej szkodliwe, w mniejszym stopniu trujące, nie mają żadnego smaku, podczas gdy znów materje pokarmowe, o ile wogóle smak mają, to jest to smak przyjemny, słodki (cukier).

Zwierzę roślinożerne, pasące się na łące, na której rosną rośliny trujące, jednakże nie podlega zatruciu. Omija ono jadowite liście i owoce, wiedzione tylko instynktem, który naucza je, co jest pożyteczne, a co szkodliwe.

Gorycz—pamiętajmy o tem—nie tkwi w samych substancjach chemicznych, podobnie jak ból nie mieści się w ostrzu noża. To tylko przystosowanie organizmu naszego do otaczających nas warunków istnienia sprawia, że gorzkim nam się wydaje to lub owo ciało, i zapewne nie jest to czystym tylko przypadkiem, że ciała szkodliwe przeważnie mają dla nas smak przykry, gorzki. I nietylko w zmysle smaku odzywa się ta nasza odraza do tych ciał chemicznych, które działają na nas trująco. Zmysł powonienia może tu również być powołany na świadka. Przykrą, drażniącą woń posiadają przeważnie te gazy, które są produktami gnicia, butwienia, wytworami procesu życiowego bakterji. I ich unikamy jako szkodliwych, a środkiem zapobiegawczym, ostrzegającym nas o ich istnieniu, jest w tym razie zmysł powonienia, podobnie jak jest nim zmysł smaku w tych wypadkach, w których mamy do czynienia z truciznami stałymi lub ciekłymi.

Nader interesującą jest analogia pomiędzy obroną przeciw urazom, a obroną przeciw truciznom. W jednym i drugim wypadku mamy obronę zapobiegawczą, tam obawę, tu odrazę; w jednym i drugim obronę, polegającą na wydalaniu, unikaniu szkodliwości, tam ból, tu wymioty.

Istotnie, gdy z tego lub owego powodu trucizna, pomimo swej goryczy, zostanie przełkniętą i dostanie się do żołądka, wywołuje ona silną reakcyę: błona śluzowa żołądka nacieka krwią, tkanka mięśniowa kurczy się i powstają ruchy wymiotne. W ten sposób działają np. pewne środki umyślnie podawane wewnątrz dla wywołania wymiotów, jak np. siarczan miedzi. Jest to zwykła reakcyja odruchowa, której pierwszym bodźcem jest podrażnienie specyficzne zakończeń nerwowych w błonie śluzowej żołądka. Sądzono, że wszystkie środki sprowadzające wymioty działają w ten sam sposób. Lecz przypuszczenie to obalił już dawno temu Magendie, wywołując wymioty u psa przez zastrzyknięcie mu emetyku do żył. Z doświadczenia tego wynika, że podrażnienie pewnych ośrodków nerwowych (w rdzeniu przedłużonym) przez krew w pewien sposób zmienioną również sprowadza wymioty, że więc odruch ten w dwojaki sposób może powstawać. Istotnie w pewnych chorobach układu nerwowego, wymioty są objawem nader częstym, a niezależnym zupełnie od bodźców działających na błonę śluzową żołądka. Podobnie jak krew zbyt ogrzana (p. wyżej) sprowadza szybszy rytm oddechowy, tak i krew zatruta sprowadza wymioty, które są istotnym, wielce czynnym środkiem ochronnym przeciw jadom, jakie w ten lub ów sposób do ciała przeniknęły.

Jeżeli, pomimo tego środka obrony, trucizna przeszła przez żołądek i przeniknęła do dalszych odcinków przewodu pokarmowego, do kiszek, spotyka się ona tutaj z nowemi siłami przeciw niej walczącemi. Błona śluzowa kiszek, podrażniona przez bodziec nienormalny, obficie wytwarza wydzielinę ciekłą, która przedewszystkiem rozcieńcza truciznę, a podrażnienie to zarazem pobudza кишки do intensywniejszych ruchów perystaltycznych, robaczkowych, które wydalają ciało obce szybciej na zewnątrz. Jeden specjalnie rodzaj jądów kiszkowych wymaga uwzględnienia w kilku słowach, mianowicie znane nam już związki trujące, wytwarzane przez mikroby. Czynność życiowa bakteryi, które przez jamę ustną przenikają głębiej do przewodu pokarmowego, zostaje w wysokim stopniu osłabiona w żołądku, dzięki przeciwbakteryjnemu działaniu kwasu żołądkowego. Lecz przeszedłszy do kiszek, bakterye znajdują tu znów doskonały grunt dla swego rozwoju. Wytwarzają też w kiszkach mnóstwo produktów chemicznych, w części obojętnych dla organizmu, lecz także w części szkodliwych. W stanie normalnym te fermentacye kiszkowe nie przekraczają pewnej granicy; zdarzyć się wszakże może, że ten lub ow gatunek bakteryi rozwinię się obficie i wydzieli w znaczniejszej ilości jadowity swój produkt. I w tych razach to nienormalne podrażnienie błony śluzowej sprowa-

dza wydatniejszą jej czynność; wydzielina jej staje się obfitszą, rozcieńcza znakomicie ową szkodliwą dla organizmu truciznę, która w mniejszym skutkiem tego ilościach wchłania się do krwi, gdy tymczasem przyspieszone ruchy kiszki wydalają nadmiar trucizny na zewnątrz. Tak dzieje się w chorobach takich, jak cholera, tyfus, dysenterya i t. p.

I ten wszakże środek obronny może się okazać niedostatecznym, a wówczas, pomimo tych energicznych reakcyi organizmu, jednakże te jady bakteryjne przejść mogą do krwi w ilości dość znacznej, i sprowadzić ogólną chorobę organizmu. Nie jest to tylko przypuszczenie teoretyczne, lecz istotny fakt, znany doskonale w patologii. Oczywiście w tych wypadkach choroba organizmu w natężeniu dość wysokim jest naturalnym wynikiem tej nadmiernej z jednej strony gospodarki drobnoustrojów, a z drugiej zmniejszonej siły odpornej, tkwiącej normalnie w ścianie przewodu pokarmowego. Najczęstszym skutkiem takiej inwazyi produktów bakteryjnych do krwi jest gorączka, podniesienie temperatury ciała. Osobliwszą jest okoliczność, że gorączki nie widzimy prawie nigdy przy otruciach jadami mineralnemi, zawsze natomiast przy zakażeniach związkami chemicznemi, wytwarzanemi przez bakterye. Nie sformułowano dotychczas należyte znaczenia gorączki w chorobach, wszystkie wszakże spostrzeżenia zdają się przemawiać wyraźnie za tem, że i w tym objawie mamy do czynienia z reakcją obronną organizmu. Wykonywano doświadczenia, zakazając zwierzęta rozmaitemi produktami bakteryjnemi i obserwowano, że zwierzęta, które dostawały gorączki, znosiły chorobę znacznie lepiej i powracały do zdrowia; nie gorączkujące zaś w tych samych warunkach padały.

Że we krwi jady mikrobowe spotykają się jeszcze z innemi środkami obrony, mianowicie ze związkami chemicznemi, działającymi jako przeciwtrucizki, antytoksyny, o tem wiadomo nam już z powyższego. Znając zaś te antytoksyny, można je w danym wypadku już nawet po zakażeniu wprowadzić do krwi, i tym sposobem ocalić organizm. Na tem polega działanie nowowprowadzonych do medycyny praktycznej środków leczniczych, np. w przypadkach błonicy (dyfterytu), tężca i t. p.

Wymienić jeszcze w końcu wypadka rozmaite inne środki samoobrony, które dążą do utrzymania normalnej równowagi naszego ciała, a których mechanizm nie tak dokładnie został zbadany.

Przedewszystkiem mamy na myśli przyzwyczajenie. Ustrój, odpowiednio trenowany niejako, nawyka do znacznych ilości trucizny, które przestają działać nań w zwykły sposób. Powiększając systema-

tycznie dawki morfiny, morfinaści dochodzą do przyjmowania ilości tej trucizny bardzo znacznych. Cytują przykład pewnego chorego, który dochodził do 9 gramów morfiny dziennie. Jest to ilość, która wystarczyła-by do zabicia 900 dzieci. Podobne zjawisko widzimy w nawykaniu do alkoholu, który działa znacznie gwałtowniej na tych, co go nie używają, lub odeń odwykli, niż na pijących stale duże ilości.

Kawa, herbata, tytoń, eter, jod, arsenik — wszystkie te ciała trujące znoszone bywają dobrze przez ludzi, którzy do nich przywykli.

Jest pewien rodzaj nawyknienia, które można-by nazwać dziedzicznym, a które istotnie stanowi to, co nazywamy odpornością naturalną. Pewne zwierzęta np. zachowują się zupełnie obojętnie na wpływ niektórych trucizn. Atropina, która już w małych bardzo dawkach wywołuje bardzo niebezpieczne objawy u człowieka, prawie jest nieszkodliwą dla zwierząt, a to zwłaszcza dla zwierząt roślinożernych. Ta odporność przeważnie występuje w znoszeniu jądów roślinnego pochodzenia, głównie alkaloidów (atropina, morfina, strychnina i t. d.). Jady mineralne nie wykazują tak głębokiej różnicy w swem działaniu. Merkuryusz, arsenik, rozmaite sole są mniej więcej w jednakowym stopniu trujące dla człowieka i zwierząt, dla zwierząt kręgowych i bezkręgowych, dla mięsożernych i roślinożernych. Mimowoli nasuwa się myśl, że owa odporność na działanie trucizn pochodzenia roślinnego jest wynikiem dziedziczności i atawizmu. Pożerając rośliny jadowite, zwierzęta powoli, stopniowo przywykły do nich. W nawyknieniu do skutków, sprawianych przez ciało jadowite, tkwi istotnie najlepsza przed tą trucizną obrona.

Wreszcie wspomnieć jeszcze wypada o szczególnej funkcji eliminowania, wydalania trucizn wówczas nawet, gdy dostały się one do obiegu krwi. I tutaj szczegółowo nie znamy mechanizmu tej czynności organicznej. Tysiące wszakże spostrzeżeń, liczne doświadczenia przemawiają z jasnością niezmierną za tem, że pewne organa stoją na straży całego ustroju i biorą na siebie pracę usuwania z wnętrza ciała naszego szkodliwych ciał obcych. Na czele tych organów stoją: wątroba, nerki, płuca i skóra. Pozostające w ustawicznej wymianie materialnej z całym organizmem za pośrednictwem gęstej sieci rozgałęzień naczyń krwionośnych, organa te przyjmują, wyławiają niejako i wydają na zewnątrz najrozmaitsze ciała obce, działające jadowicie. I błona śluzowa żołądka i kiszki wydziela w sobie a następnie usuwa niektóre z tych jądów, które przeniknęły do krwi. Gruczoły limfatyczne i śledziona mogą być również zaliczone do szeregu tych straż sprawujących narządów ciała naszego.

Organizm zwierzęcy, jak widać z powyższego, doskonale jest uzbrojony do walki z wrogimi siłami otaczającego go świata i nie tak łatwo pozwala sobie wydrzeć życie. Dopiero wycieńczony, wyczerpany tą walką, lub napadnięty zniemacka, wystawiony na ciosy zbyt gwałtowne, pada w boju, posłuszny niezachwianym prawom przyrody.

DR M. FLAUM.

Z wycieczki do Budapesztu.

Wrażenia z wycieczki do stolicy węgierskiej streściliśmy na tem-
że miejscu przed 13-tu laty ¹⁾. W dziejach kraju i miasta, kilkana-
ście lat zazwyczaj znaczy mało i nie sprowadza zmian ważnych. Tutaj
ta reguła zawodzi. Pod opieką odzyskanego samorządu z tak gorącz-
kowym zapałem, ale także z taką żelazną wytrwałością zabrano się do
pracy, że wydała owoce zdumiewające. Co niedawno temu objawiało
się nam pod formą śmiałych projektów, dziś jest rzeczywistością. Na-
wet najsmutniejsza epoka rządów Bacha pośrednio przyczyniła się
do świetnego rozwoju stolicy węgierskiej. Najwybitniejsi mężowie
wtedy przebywali w Paryżu, Brukselli, Turynie i t. d. Wpatrując się
smętnie w wykwintne otoczenie i marząc o dalekim kraju, budowali
zamki na lodzie. Powróciwszy wreszcie wskutek zawartej r. 1867 ugo-
dy, otrzymali sposobność do urzeczywistnienia swych marzeń. Przed 30
laty stolica składała się z dwóch odrębnych i samoistnych dzielnic:
Budy, na romantycznym, górzystym, prawym brzegu Dunaju, i Pesz-
tu, na rozległej równinie lewego, które łączył jedyny naówczas most
na łańcuchach, wybudowany przed r. 1848 przez inżynierów angielskich.

¹⁾ „Z Wiednia do Pesztu i Białogrodu,” „Bibl. Warsz.” zeszyt październiko-
wy r. 1883.

skich, dzięki zabiegom niestrudzonego patrioty, hr. Szecheniego. Starożytna Buda, srogo dotknięta wojną r. 1848, rozpadała się w gruzy; Peszt, mieszczący zaledwo kilka okazałych gmachów, jak: pałac muzealny i gmach akademii, nie wyglądał wcale na stolicę. Dziś, dzięki zaletom, które zawdzięcza przyrodzie, potężnej rzece i amfiteatralnie piętrzącym się na prawym brzegu wzgórzom, i dzięki energii i sztuce ludzkiej, zjednoczona r. 1873 stolica węgierska zajęła poważne miejsce w rządzie najciekawszych i najwykwintniejszych miast Europy. Może ten rozwój był zbyt szybki. Pessimści przewidują gwałtowną reakcyę, finansową katastrofę. Ale ostatecznie tych świetnych nadbrzeży, bulwarów, skwerów, przyozdobionych posągami, mostów i monumentalnych gmachów, nie zmiecieie najsroższy uragan *krachu* giełdowego. Może upadnie kilka zbyt licznych spółek akcyjnych i runie kilkudziesięciu spekulantów, którzy wystawili zbyt kosztowne, przepychem zaćmiewające pa'yskie, kamienice, kawiarnie, hotele i t. d., nie zmieni to jednak teraźniejszej fizyognomii stolicy.

*

*

*

O 7-ej z rana małym parowcem odpływamy od wiedeńskiego mostu Aspern przy kanale Dunaju. Dopiero po całogodzinnej jeździe wzdłuż wyspy praterowej, docieramy do głównego koryta Dunaju i przesiadamy na wielki parowiec, którym o zachodzie słońca zawitaemy do oświetlonego lampami elektrycznymi nadbrzeża Franciszka Józefa w Budapeszcie. Miejsce, gdzie się kanał wiedeński łączy z głównym korytem Dunaju, zalega głucha cisza; okryte wierzbami i zielonymi zaroślami brzegi, zupełny brak wszelkiego śladu ludzkiego, składają się na krajobraz raczej z nad Nilu lub Amazonki, nie z sąsiedztwa wielkiego i starego ogniska cywilizacji europejskiej. Minąwszy osiadły na prawym brzegu Dunaju starożytny Hamburg, którego wzgórze wieńczy gruzy rzymskiej cytadeli Carnutu i późniejszej warowni Attyli, o której wspomina epopeja Niebelungów, parowiec dociera do pierwszej na lewym brzegu miejscowości węgierskiej — Dewen (Theben), na skałach, u których podnóża płynąca z północy Morawa wpada do Dunaju. Na tych stromych skałach już w VI-m stuleciu po Chr. wznosiła się silna warownia, w której pono rezydował ostatni książę wielkomorawskiego państwa, Światopełk, i która dopiero w r. 903 została zdobyta przez Madziarów. W późniejszych wojnach warownia Dewen odgrywa ważną rolę. Z kolei przechodzi na własność rodów Zapolyów, Batorych, którzy się podpisują kaszta'anami Dewen, Kegl-

wiczów, wreszcie książąt Palfy, do których dziś jeszcze należy ta miejscowość.

Z ruin zamku, zburzonego niemal do szczętu przez Francuzów w r. 1809, wesoło powiewa czerwono-zielono-biała chorągiew węgierska. Na szczycie skały jeszcze rusztowanie ukrywa pomnik korynckich kolumn, który uroczystie będzie odsłonięty w październiku r. b. Jest to jeden z 7-u pomników, które na pamiątkę bajecznych 7-u wodzów madziarskich, towarzyszy Arpada, rząd węgierski wystawia na krańcach kraju: w Munkaczu, Nitrze, Semliunie i t. d. Oto pierwsze w drodze do Pesztu oznaki epoki jubileuszowej. W dalszej podróży dostrzegamy wiele realniejszych, a w każdym razie praktyczniejszych dowodów troskliwości władz o dobrobyt kraju. Na miejsce dawnych prymitywnych mostów na pontonach pod Preszburgiem, Komornem i Ostrzyhomiem, w ostatnich latach powstały ogromne mosty żelazne. W samej stolicy do starego mostu Szecheniego przybito cztery nowe, trzy żelazne pomniki niepospolitej energii zmarłego zbyt wczesnie ministra Barosza i jeden kamienny most Małgorzaty. Brzegi coraz szerszego Dunaju ciągle monotennie ciche i puste, tylko wiatraki na czolnach świadczą o zaludnieniu kraju. Kontrast pomiędzy tą głuchą ciszą Dunaju a ożywieniem np. Renu pomiędzy Moguncją a Kolonią jest uderzający. Tam co chwila na romantycznych wzgórzach zjawiają się stare zamki i miasta, po obu brzegach obiegają pociągi kolei żelaznych, co chwila przesuwiają się parowce lub czolna. Natomiast płaskie i błotniste brzegi Dunaju osadom ludzkim bronią przystępu; daleko po-za krzakami i wierzbami brzegów znajdują się ludne sioła i miasta.

Dopiero od Ostrzyhomia, gdzie od południowej strony góry zbliżają się do rzeki, krajobraz się zmienia i przybiera charakter niezmiernie malowniczy. Rezydencja księcia prymasa imponuje wspaniałą, daleko widną, katedrą na szczycie 80 metrów wysokiego wzgórza. Miasteczko, osiadłe u stóp wzgórza, nie rozwija się równie szybko, jak inne miasta węgierskie. Ostrzyhomianie wytykają dzisiejszemu prymasowi, kardynałowi Vaszaremu, że zbyt długo przebywa zimą w Budapeszcie, latem w swej willi w Balaton-Füredzie, nad ogromnym jeziorem Balatonem, zwanem słusznie „morzem węgierskim“, nie troszcząc się o swą rezydencję. Bądź co bądź, to miejsce otacza szczególnie urok historyczny. Tutaj osiedli pierwsi książęta z rodu Arpada, tutaj zapewne odbył się ślub W. Księcia Gezy z siostrą Mieszka I-go, Adelajdą (jeżeli opowieść Długosza o tym związku jest autentyczną); tutaj w każdym razie odbyły się chrcziny jego syna, Wacka, który otrzymał imię Stefana i doczekał się przydomka Świętego; tutaj w r. 1000 włożył na swą skroń nadesłaną przez papieża Sylwestra ko-

ronę królewską — ową koronę, która, pomimo najdramatyczniejszych przygód, przechowała się do dnia dzisiejszego, stanowiąc najdroższy skarb i symbol narodowego bytu, przedmiot gorącej, rozczulającej czci narodu. Mniejsza o to, że w zburzonym kilkakrotnie do szczętu przez Tatarów i Turków mieście nie dostrzedz dziś ani śladu starożytnej, świetnej przeszłości; nie można na nie spojrzeć bez pewnego wzruszenia.

Odtąd Dunaj toruje sobie mężnie drogę pomiędzy stromemi górami, wywija to w prawo, to w lewo. Oddalając się od Ostrzyhomia, widzimy długo jeszcze ogromną katedrę ostrzyhomską z różnych stron. Już słońce ukrywa się niekiedy po za szczytami zielonych gór, parowiec płynie to w cieniu, to jeszcze w pełnym słońcu, którego promienie najrozmaitszemi kolorami barwią srebrne fale Dunaju, niesłusznie w Wiedniu nazywanego „modrym“ a w Węgrzech „żółtym.“

Po dalszej godzinie, nagle ze wzgórza prawego stromego brzegu witają nas ruiny drugiej dawnej stolicy, Wyszogrodu. Tu za czasów Karola Roberta, Ludwika W., a jeszcze Macieja Korwina, u stoku wzgórza, wieńczonego warownią, w przestronym ogrodzie stał pałac królewski, który swym przepychem w zachwyt i zdumienie wprawiał turystów zachodnich i kronikarzy krajowych. Legat papieski w liście do Syxtusa IVgo, 25 października r. 1483, nazwał Wyszogród „rajem ziemskim.“ Poseł sultana, przywykły do przepychu carogrodzkiego, ale zdumiony okazałością pałacu wyszogrodzkiego, na posłuchaniu u króla zdobył się tylko na słowa: „sultan cię pozdrawia,“ potem zamilkł. Humanista Tiszon długą pochwałę Wyszogrodowi rozpoczyna słowami: „Vissegradum adest, cedite regiae, principum palatia cedite,“ i t. d. Tutaj w listopadzie r. 1335, odbył się sławny zjazd Kazimierza W. zeswym szwagrem, Karolem Robertem węgierskim, i Janem czeskim, który sprowadził porozumienie trzech ówczesnych wielkich mocarstw wschodnich. Z czasem Wyszogród musiał ustąpić pierwszeństwa Budzie, napady tureckie spustoszyły dawną stolicę, wreszcie w r. 1702, za panowania cesarza Leopolda, zburzono nieużyteczną już warownię wyszogrodzką. Kamieni z byłego pałacu królewskiego, po części kunsztownie ciosanych, mieszczanie potem używali do budowania kamienie. Nie pozostało nic, prócz wieży Salomona, (tak zwanej, ponieważ tam w dawnych czasach był więziony król węgierski tego imienia) i muru, który od niej prowadzi na grzbiet wzgórza. Może nawet te szczątki nie były-by się przechowały, gdyby, mianowany w r. 1866 proboszczem w Wyszogrodzie, ks. Wiktoryn, nie był z patryotyczną gorliwością wołał i napominał tak głośno, aż ostatecznie rząd węgierski postanowił dolożyć wszelkich starań, aby nie znikły zupełnie ruiny sławnej niegdyś stolicy ¹⁾.

¹⁾ Porównać: „Visegrad einst und jetzt“ von Joseph Wiktoryn, Pest 1872.

Już po zachodzie słońca, minąwszy zieloną wyspę Małgorzaty, skąd nas witają światła elektryczne i wesołe dźwięki muzyki cygańskiej, pod mostem Małgorzaty wpływamy nareszcie do stolicy węgierskiej. Na prawym górzystym brzegu ostro na ciemnym już widnokreśgu odbijają się wysmukłe wieże gotyckie odnowionego kościoła Ś-go Macieja, dalej na wyższym wzgórzu pałac królewski, a wreszcie na najwyższym (800 m.), ogromna dawna cytadela. Po lewej stronie, na pustym dawniej brzegu, zalewanym corocznie przez Dunaj, wznosi się teraz wspaniała nowa gmach sejmowy; wzdłuż rzęsiście oświetlonego nadbrzeża Rudolfa i zielonego skweru, przeprawiwszy się pod mostem Szecheniego, docieramy do nadbrzeża Franciszka Józefa. Wsiadłszy z parowca, wstępujemy w sam środek ożywionego wielkomięjskiego ruchu. Na makademizowanym nadbrzeżu, pod cienistą aleją, spacerują w chłodzie wieczornym eleganci i elegantki stolicy. Naprzeciwko, przy stolikach przed wykwintniami i kawiarniami, i nieco dalej, na przestronnym placu przed redutą, zastawionym stolikami kilku ościennych restauracji, rojno i gwarno. Z pobliskiej sali brzmią wesołe dźwięki muzyki. Kto poprzedniego wieczora przeszedł się po ulicach Wiednia, wyludnionych i pustych o godzinie 8-iej, żywo odczuje kontrast pomiędzy ożywionym ruchem tutejszym, a ospałością wiedeńską. Wieczorem Budapeszt sprawia wrażenie włoskiego lub hiszpańskiego miasta. Tylko w Wenecyi, w Madrycie, dostrzegliśmy równego ożywienia. Prawda, że obecnie ciepła pora i napływ obcych gości na wystawę (w przecięciu 20,000 dziennie) szczególnie ożywiają miasto, które jednak i dawniej odznaczało się ożywionym ruchem.

*

*

Ułatwiają go znakomicie wydoskonalone środki komunikacji. Oprócz trzech mostów dla powozów i przechodniów, od brzegu do brzegu Dunaju w krótkich przerwach przewożą nas „propellery“, czyli paryskie „mouches“, a wzdłuż brzegów od wyspy Małgorzaty aż do pałacu Celnego i „Carogrodu“, wielkie parowce. W Budzie, pod wzgórzem zamkowym, na które wjeżdżamy koleją na linie, wydrążony ogromny tunel, którego długość wynosi 180 sążni, szerokość i wysokość przeszło 5 sążni. Po ulicach turkocą wielkie omnibusy, dzwonią tramwaje, przesuwiają się cicho, tajemniczo, żółto-czerwone wagony kolei elektrycznej. Nadto z okazji wystawy świeżo powstała podziemna kolej elektryczna, którą w kilkanaście minut od placu Gizeli w pobliżu Du-

naju dojeżdżamy do lasku miejskiego na obwodzie miasta — pono to pierwsza podziemna kolej elektryczna na stałym lądzie, a niedawno paryska rada municypalna wysłała znawców do stolicy węgierskiej, celem zbadania tutejszego systemu kolei podziemnych.

Główną arteryę stolicy tworzy Dunaj, do którego koncentrycznie grawitują wszystkie jej dzielnice. W kształcie nieregularnego łuku na podstawie Dunaju spoczywa najprzód pasmo starszych bulwarów: Wajcena, Karola i Muzealny, potem drugie szersze półkole nowych, wykwinniejszych bulwarów Teresy, Elżbiety i Franciszka, a z czasem powstanie jeszcze trzeci pierścień bulwarów na obwodzie miasta. W poprzek, od bulwaru Wajcena do lasku miejskiego, wiedzie prosta jak strzała ulica Andrassego, niezawodnie jedna z najwykwintniejszych ulic europejskich, pomiędzy okazałemi pięciopiętrowemi kamienicami o artystycznych fasadach w pierwszej swej sekcji, zgrabnemi willami wśród ogrodów w drugiej. Dzięki tej nowej ulicy, której za wzór służyły oczywiście paryskie Pola Elizejskie, stare, ciemne i brudne cyrkuły 6-ty i 7-my zmieniły się do niepoznania, bo także ich poprzeczne ulice upiękшыły się, wyprostowały, rozszerzyły, aby nie odbijały zbyt jaskrawo od elegancyi ulicy Andrassego. Stanowi ona główne *corso* dla wielkiego świata węgierskiego. W żadnej innej stolicy, wyjąwszy chyba Madryt, nie widzieliśmy tyle kosztownych prywatnych pojazdów i paradnej uprząży, co pod wieczór w ulicy Andrassego. W Paryżu efekt wieczornej przejażdżki do pól Elizejskich i lasku Bulońskiego psują zbyt liczne, jednokonne dorożki; w Wiedniu, stara, brudna Praterstrasse tworzy zbyt powszednie ramy poobiedniej przejażdżki do Prateru. Tutaj paradna ulica Andrassego, gdzie wzrok z radością zatrzymuje się na oryginalnej fasadzie niemal każdej kamienicy, i przepych niemal wyłącznie prywatnych pojazdów, składają się razem na obraz wielkopański.

Aby ocenić należycie świetność rozwoju Pesztu, trzeba pamiętać, że do niedawna był on tem, czem Praga dla Warszawy, przedmieściem Budy, osiadłem na płaskim, wschodnim ¹⁾ brzegu Dunaju, bezbronem i narażonem na nieustanne zalewy rzeki. Na tym płaskim, lewym brzegu Dunaju, rozłacza się ogromne pole Rakos, gdzie niegdyś zgromadzały się konno i zbrojno sejmy węgierskie. Kilkanaście gospód i namiotów, wystawionych dla sejmujących magnatów i rycerstwa, dały początek Pesztowi. Pierwszy kościół powstał tam około r. 1233. Ale najprzód do szczytu zburzyli nową osadę Tatarzy, potem w r. 1541 Turcy. Dopiero od wyparcia Turków z Budy r. 1686 Peszt zaczął się

¹⁾ Bo Dunaj od Wajcenu płynie na południe, nie na wschód.

rozwijać. Jeszcze jednak w r. 1795 liczono tam tylko 2506 kamienic, bo w okresie habsburskim, od r. 1526, miastem koronacyjnym i de facto stolicą stał się bliższy Wiedniowi Preszburg, a w marcu r. 1838 katastrofa strasznej powodzi zniszczyła większą część Pesztu. Właściwie więc dopiero od r. 1840 nastaje okres prawdziwego rozwoju stolicy, który od r. 1868 odbywa się na największe, poniekąd amerykańskie rozmiary; gdy bowiem na początku b. stulecia nie liczyła ani 100.000 mieszkańców, dziś ich liczba wynosi 500,000.

Z kilkunastu okazałych gmachów publicznych, które powstały w tym ostatnim okresie, jak: wykwintna opera królewska przy ulicy Andrassego, teatr ludowy, komedia przy bulwarze Leopolda, pałac ministerjum honwedów w Budzie, gmach królewskiej kuryi (najwyższy trybunał), pałac kąpielowy na wyspie Małgorzaty, dworce kolei austro-węgierskiej i państwowych kolei węgierskich i t. d.—dwa mianowicie są arcydziełami, które tworzyły-by prawdziwą ozdobę największych stolic europejskich: bazylika Ś-go Leopolda przy bulwarze Wajcena i nowy gmach sejmowy nad Dunajem.

Do niedawna ogromna katedra, wystawiona na wzgórzu ostrzyhomskim staraniem czterech prymasów: Ruduaja, Kopassego, Scitowskiego i Simora pomiędzy r. 1822 a 1886, 107 metrów długa, 100 m. wysoka, uchodziła słusznie za najwspanialszą świątynię pańską na wschód wiedeńskiej katedry Ś-go Szczepana. Ale nowa bazylika Ś-go Leopolda którą zaczęto stawiać w r. 1851 i która w głównych częściach jest dziś ukończoną, wykwintnością i okazałością dorównywa katedrze prymacyalnej. Jak ta, głównym planem przypomina rzymski kościół Ś-go Piotra, tylko, że w szczegółach ściślej się zbliża do czystego stylu romańskiego. Od wspaniałego portyku, do którego wstępujemy po kilku stopniach, jedna tylko, jak w Ostrzyhomiu, brama prowadzi do nawy bazyliki. Oba rogi fasady frontowej zdobią wieże, gzyms jej zgrabna galerya. Na tej prostej linii frontowej, fundamenta kościoła tworzą formę łuku. Wielki ołtarz półkolem otacza krużganek. Wysokość sklepienia kościoła pod wykwintną kopułą wynosi 100 metrów. Nawa dotąd nie ukończona. Według modelu, znajdującego się na wystawie jubileuszowej w pawilonie stolicy, ściany będą białe o bogatych złotych ornamentach w stylu romańskim. Bazylice Ś-go Leopolda nie dostaje wprawdzie, jedynego w swym rodzaju, wysokiego podnóża (80 m.), na którym osiadła katedra ostrzyhomska i które tak bardzo podnosi imponujące wrażenie, jakie sprawia; bazylika peszteńska stoi na niezbyt przestronnym placu przy bulwarze, fundamentami nie wywyższona po nad podwaliny otaczających ją 4-piętrowych kamienic. Pomimo tego przedstawia się nadzwyczaj okazale, wprawia znawców w zachwyt dziwną powagą konturów, wykwintną kopułą po-

teżnie góruje nad chaosem dachów. Z wiedeńskim nowym kościołem wotywnym, arcydziełem wskrzeszonej gotyki, romańska bazylika tu-tejsza tworzy najciekawszy kontrast, stwierdzający ponownie starą prawdę, że w każdym stylu może powstać rzeczywiste arcydzieło, a żadnemu niewolno przypisać absolutnej wyższości nad drugim.

Nowy gmach sejmowy, pokrywający 15,000 metrów kwadrato-wych tuż na brzegu Dunaju, utwór profesora Steindla, powstał niewąt-pliwie na wzór wiedeńskiego ratusza, arcydzieła Schmidta. Ale tro-chę sztywna i zimna gotyka wiedeńska przybrała tutaj kształty zgra-bniejsze, delikatniejsze, weselsze, została ubarwiona pełniejszym kolo-rytem miejscowym. Główną różnicę tworzy wykwiwna kopuła, wień-cząca środek gmachu sejmowego, gdy nad ratuszem wiedeńskim ster-czy ogromna, katedralna wieża. Z tylnej fasady, zwróconej do Duna-ju, występuje nieco naprzód środkowy korpus gmachu, po obu bokach przyozdobiony wieżami. Dwa boczne skrzydła składają się z szer-szych na parterze, węższych na pierwszym piętrze arkad; z po za-gzysmu po obu stronach wyglądają wywyższone dachy blaszane, przyo-zdobione czterema wieżyczkami gotyckimi, z których jeden okrywa salę posiedzeń magnatów, drugi izbę poselską. Na końcach obu skrzy-deł znowu gmach występuje na przód, tak samo, jak środkowy korpus, tworząc dwa czteropiętrowe pawilony, o wysokich blaszanych dachach mansardowych, przyozdobionych na rogach wieżyczkami gotyckimi. Dzięki tym licznym galeryom, arkadom, balkonikom, różnokształtnym oknom, wieżyczkom, blaszanym dachom i połyskującej w słońcu, wy-smukłej, środkowej kopule, ta fasada gmachu, pomimo jego ogromu, zachwyca filigranowym wdziękiem, podobnie, jak np. sławna katedra w Antwerpii.

Po drugiej stronie, celem urządzenia okazałego przysionka, środ-kowy korpus gmachu wysunięto o wiele znacznie, niż na tylnym boku, co poniekąd zakłóca ściśłość symetrii całości; za to ten przysionek swemi czerwonymi ścianami, bogato połączanymi filarami, białymi marmurowanymi schodami, zaćmiewa nawet sławny przysionek nowe-go wiedeńskiego pałacu sztuk pięknych i zabytków historycznych. Z przysionka wstępujemy do głównej, tronowej sali środkowej, pod ko-pułą. Sala ta swemi maurytańskimi łukami, lśnięciami od złota i czerwonego marmuru ścianami, swą czerwono-białą mozaiką posadz-ki, swemi różnobarwnymi szybami na tle błękitnem, poprostu ośniewa. Niepodobna sobie wyobrazić nic świetniejszego w stylu wschodnim. Jest to jakby urzeczywistniony sen z 1001 nocy, albo opis zaklętych pałaców „Rolanda Szalonego.“ Ta sala tronowa, w której 8-go czerw-ca r. b. odbyło się sławne wspólne posiedzenie obu izb w obecności

wystawionej na widok publiczny korony Ś-go Szczepana, sama jedna w przyszłości zwabiać będzie turystów do stolicy węgierskiej.

Inne sale gmachu sejmowego jeszcze nie wykończone. Dopiero za dwa lata izba poselska z tymczasowego pałacyku przy ulicy Sandora, izba magnatów z pałacu muzealnego, przeniosą się stale do swej nowej, wspólnej siedziby. Ale już teraz ten północny kraniec stolicy staje się głównym ogniskiem świata politycznego. Już naprzeciwko pałacu sejmowego stanęły dwa wykwintne gmachy rządowe, z których jeden mieści ministerya sprawiedliwości i rolnictwa, drugi biura najwyższego trybunału. Na dwóch pustych dotąd bokach placu sejmowego staną gmachy innych ministeryów. Magnaci i posłowie osiądą z czasem w paradnych, nowych, przytykających do tego placu ulicach, z których zwłaszcza ulica Alkotmany, wiodąca od gmachu sejmowego do bulwaru Wajcena, zachwyca okazałemi gmachami o malowniczych fasadach.

W Wiedniu w tym samym okresie powstał niewątpliwie znaczniejszy szereg arcydzieł nowoczesnej architektury, jak: kościół wotywny, uniwersytet, ratusz, pałac sprawiedliwości, pałac parlamentu, teatr cesarski, bliźnięta-muzea, nowa Opera. Wszystkie te gmachy stoją jednak zbyt blisko siebie, aby każdy z osobna mógł wywrzeć pełne wrażenie. Ratusz np. swym ogromem przygniata i pałac parlamentu, i uniwersytet, które, pozbawione tego sąsiedztwa, przemawiały-by głośniej do estetycznego poczucia widza. W Budapeszcie uniknięto takiego ambaras de richesse. Jak z dawnych gmachów pałac muzealny, o wspaniałym greckim portyku, wykwintny w stylu odrodzenia pałac akademii umiejętności, tudzież reduta, tak z nowych Opera, bazylika Ś-go Leopolda i pałac sejmowy, stoją osobno, w różnych częściach miasta, dość oddalone od siebie, aby każdy samodzielnie sprawiał należyty efekt.

Oczywiście, naród madziarski nie wytworzył własnego rodzaju architektonicznego. Nie może mu to ubliżać, bo z narodów europejskich tylko Grecy, Rzymianie (zachodni i wschodni) „Goci“ przekazali nam oryginalne style, do których w Hiszpanii przybył maurytański. Nie mogła się też sztuka budownicza rozwijać normalnie w kraju, który aż do końca XVII-go stulecia był wystawiony na wszelkie napady, pustoszony kolejno przez Tatarów i Turków, a nadto raz po raz stawał się widownią krwawych wojen domowych. „Budowaliśmy z kielnią w jednej, z mieczem w drugiej ręce,“—mówił nam jeden ze znakomitych archeologów węgierskich. To też nie pozostało tu żadnego z tych arcydzieł architektury, które tuzinami podziwiamy w każdym starszym mieście belgijskiem, aby nie wspominać o włoskich. Obecnie, jak inne narody, madziarski przyswaja sobie obce wzory, ale motywa różnych

stylów tak zgrabnie nagina do wyobrażeń narodowych i tak szczęśliwie łączy w harmonijną całość, że wszystkie te nowe gmachy wyraźnie noszą piętno charakteru narodowego, poważnego a zarazem lekkiego, smutnego i wesołego (mówią, że Madziar „śmieje się, płacząc“), lubującego się w barwnym kolorycie, o czym świadczy przepych strojów narodowych, ¹⁾, fantastycznego jak *czardasz!*

*

*

*

Także sztuka malarska w Węgrzech rozwinęła się dopiero w ostatnim okresie, po r. 1867. Na wystawie historycznej jest kilkanaście portretów wodzów i królów z dawnych stuleci, są to jednak wyłącznie utwory obcych mistrzów, lub ich kopie. Rzecz ciekawa, że nowa, właściwie pierwsza epoka malarstwa węgierskiego, od razu wydała tak znakomitego mistrza, jak Michał Munkaczy. Urodzony 10-go października r. 1846 w Munkaczu, za młodu czeladnik stolarski, od r. 1865 uczeń akademii malarskich w Wiedniu i Monachium, potem Knausa i Vautiera w Düsseldorfie, Munkaczy w r. 1870 nagle dostąpił rozgłosu swym obrazem „Ostatni dzień skazanego na śmierć.“ Od r. 1872 przebywał stale w Paryżu; obrazem Miliona, dyktującego „Raj stracony“ córkom, na wystawie światowej z r. 1878 zdobył medal złoty, i mnóstwem obrazów rodzajowych i biblijnych zasłużył sobie niewątpliwie na sławę pierwszorzędnego mistrza. Wszystkie jednak jego utwory późniejsze cechują te same zalety i wady, co pierwszy jego głośny utwór: doskonała technika, energia w charakterystyce, wyrazistość typów; ale zarazem realizm, lubujący się w brzydocie, zamiłowanie w szarych, ponurych barwach, brak zmysłu świetnego kolorytu. W sprawozdaniach ze światowej wystawy paryskiej r. 1878 podnieśliśmy te zalety i wady Munkaczego; dziś, po blisko 20-tu latach, widzimy, że nie pozbył się pierwszych, ale też nie uwolnił od drugich. Obrazy Munkaczego za bardzo znaczne sumy przenoszą się do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie szczególnie popłaca nowomodny impresjonizm. Przypadek jednak zrządził, że od lat 25, za każdym naszym pobytem w Budapeszcie, znajdował się tam ten lub ów obraz Munkaczego, jeżeli nie w oryginale – to odtworzony z wosku, o co tem łatwiej, ponieważ, dzięki niepospolitej technice mistrza, postacie jego jakoby występowały z płótna!

¹⁾ Strój magnata kosztuje co najmniej 2,000 fl., ale często, dzięki drogim kamieniom, reprezentuje całą fortunę, do 50,000 fl. i więcej.

Obecnie z powodu wystawy jubileuszowej zebrała się tutaj cała galerja utworów Munkaczego. W pałacu muzealnym oglądamy jego ogromny, zamówiony przez rząd węgierski dla sali posiedzeń izby poselskiej w nowym gmachu sejmowym, obraz Wielkiego księcia Arpada, odbierającego hołd od podbitych plemion. Jedyne to obraz historyczny Munkaczego w wielkim stylu. Tworzył on z początku obrazy rodzajowe, osnute głównie na ponurych scenach ludowych węgierskich, potem historyczno-rodzajowe treści internacjonalnej, jak Milton (1877) i Ostatnie chwile Mozarta (1886), tudzież obrazy biblijne, raz zdobył się na wielki obraz dekoracyjny, który zdobi plafon przysionka wiedeńskiego pałacu muzealnego, i na którym usiłował przemódz swój przyrodzony daltonizm co do świetnych barw; ale „Arpad“ jest jego pierwszym obrazem historycznym, narodowym. Że nie powstał z samodzielnego natchnienia, lecz na obstalunek, poznać to łatwo. Wystarczyło-by postawić obok tego obrazu którykolwiek utwór Matejki, aby od razu pojąć ogromny rozdział pomiędzy mistrzem malarstwa historycznego z Bożej łaski, a niewątpliwie bardzo znakomitym malarzem, który jednak tylko z przymusu zabrał się do tematu historycznego. Prawda, Arpad jest równie bajeczną i nieuchwytną figurą, jak nasz Lech; jeżeli jednak wielbiciele Munkaczego tym niedostatkiem realnej podstawy uniewinniają chłód jego utworu, to przeciwnie właśnie taki temat mógł wyobraźni mistrza i patriotycznemu jego zapalewi dostarczyć najszerszego pola popisu, ale nie dostarczył go. Każdy szczegół, począwszy od Arpada na siwym rumaku, aż do słowiańskich władyków, którzy mu hołd składają, świadczy o niepospolitej rutynie mistrza; całość przecież nie sprawia uroczystego wrażenia. Nie wieje z tego obrazu ani duch historii, ani gorący patriotyzm. Będzie to kosztowna dekoracya sali sejmowej, trochę przykra dla posłów innych narodowości, ale niezdolna wywołać zapalu ani pomiędzy widzami madziarskimi.

W osobnym pawiloniku, przy ulicy Andrassego, oglądamy wielki obraz Munkaczego: „Ecce homo,“ ostatnią część trylogii, której pierwszą stanowi „Chrystus przed Piłatem“ (1882) a drugą „Ukrzyżowanie“ (1884). Wyobraża on straszną chwilę, gdy sfanatyzowany przez faryzeuszów motłoch jerozolimski dzikim wrzaskiem i groźnemi ruchami żąda od Piłata uwolnienia Barabasza, skazanego na śmierć za kradzież, rokosz i zabójstwo, a ukrzyżowania Chrystusa. „Tłum,—powiada Origenes—poznaje siebie w Barabaszu i z nim sympatyzuje.“ Ten podły, głupi, dziki i krwiożerczy motłoch na obrazie Munkaczego występuje w ohydnej prawdzie z realizmem niezrównanym; a jeżeli porównamy obraz mistrza węgierskiego z tą samą sceną pędzla Rembrandta, niewątpliwie pierwszy sprawia silniejsze wrażenie. Jednakże zbliżony

do naturalizmu realizm à outrance na obrazach biblijnych obraża nasze religijne uczucie, bo ostatecznie tajemnic Ofiary i Męki Pańskiej nie podobna wytłómaczyć wyłącznie powszedniemi namiętnościami ludzkiemi. Pogodna twarz spoglądającego w niebo Chrystusa wprawdzie tworzy silny kontrast ze skurczonemi od wściekłości twarzami motłochu, jest to jednak tylko twarz wielkiego, niewinnego człowieka, nie zaś Syna Bożego, gotowego swą śmiercią okupić zbawienie świata.

Na wspólnej wystawie obrazów węgierskich, umieszczonych w nowym pałacyku na końcu ulicy Andrassego, jest kilkanaście pomniejszych utworów Munkaczego, mianowicie: wyborne portrety Liszta i kardynała Haynald'a, kilka smętnych krajobrazów, szkic obrazu, zdobiącego plafon wiedeńskiego pałacu muzealnego, szkic wymienionego powyżej obrazu „Ostatnie chwile Mozarta,“ tudzież pierwszego sławnego obrazu mistrza „Ostatnie chwile skazanego na śmierć,“ wreszcie wykończony w roku 1875 znakomity utwór. „Streik,“ na którym mistrzostwo Munkaczego w realistycznym odtworzeniu ponurych scen i typów ludowych jaśnieje pełnym blaskiem. Energia, wrażliwość, pesymizm i posunięty często do melancholii smutek, tworzące jedną stronę narodowego charakteru Madziarów, w utworach Munkaczego zaznaczają się potężnie, i dlatego, chociaż przeważnie wybierał obce temata, zasługuje przecież na nazwę najzdolniejszego malarza węgierskiego.

Drugą, nie mniej znamieną stronę charakteru narodowego, wesołość, jowialność, zamiłowanie w przepychu i świetnych kolorach, doskonale odtwarzają obrazy teraźniejszego dyrektora węgierskiej akademii malarskiej, Juliusza Benzura, mniej znanego za granicą, ale słusznie wysoko cenionego w kraju. Starszy od Munkaczego, bo urodził się 28 stycznia r. 1844 w Nyisegyhazie w północnych Węgrzech, Benzur od r. 1861 odbywał studia w akademi monachijskiej, od roku 1869 w pracowni Pilotego, ale dopiero wielkim obrazem „Chrzest Ś-go Szczepana“ (1877) zwrócił na siebie powszechną uwagę. Świetnością kolorytu obraz ten dorównywa najświetniejszym utworom Makarta. Obecnie tłumy widzów zwabia najnowszy utwór Benzura: „Zdobycie Budy“ r. 1686, umieszczony na wystawie jubileuszowej w pałacyku stolicy, która go zamówiła. Otoczony wodzami wojsk chrześcijańskich, ks. Karol Lotaryński wjeżdża do zdobytej warowni. Z daleka pod łukiem bramy świeci srebrzysty Dunaj. W środku obrazu księżę ostro zatrzymał siwego rumaka przed leżącym na ziemi trupem starego Turka, dowódcy zdobytej warowni budzińskiej. Na prawo trębacz, na wyborne odtworzonym, jakby wyskakującym z płótna, gniadym koniu, trąbi fanfarę zwycięstwa. Na lewo za księciem tłumnie wchodzi lub wjeżdżają przez bramę wodzowie, niektórzy w zbyt kosztownych, jak

na potrzebę wojenną, paradnych strojach węgierskich. Kompozycya obrazu wyborna, koloryt olśniewający. Równie świetnym kolorytem odznacza się portret cesarza i króla Franciszka Józefa w ornacie orderu Ś-go Szczepana, poważniejszy, niż wystawiony przed kilku laty tegoż mistrza portret ks. Ferdynanda Bułgarskiego, tak świecący od złotych szlif muduru, brylantów, okrywających całą pierś gwiazd orderowych, pąsowego baldachinu i złotych poręczy krzesła tronowego, że po-za zbyt barwną dekoracją znika indywidualność portretowanego bohatera. Że zresztą Benzur jest znakomitym portrecistą, świadczą o tem wymownie jego portrety np. arcy-księcia Albrechta, hr. Fetesticza i innych.

Około Benzura gromadzi się liczne grono młodych malarzy węgierskich, którzy z zapalem odtwarzają wypadki historyczne, hojnie wspierani przez władze komitatowe i miejskie, zamawiające obrazy wypadków szczególnie ważnych w dziejach różnych okolic kraju. I tak w nowym pałacyku sztuk pięknych oglądamy obrazy Władysława Patakiego: Ilona Zriny, oddająca wojskom cesarskim warownię Munkaczu; Grünwalda: Powrót króla Beli IV do spustoszonego najazdem Tatarów kraju; Liezen-Mayera: obraz, przedstawiający scenę, gdy młodzieńkiemu Maciejowi Hunyademu, wychowującemu się na dworze czeskim, deputacya węgierska r. 1458 oznajmia wybór na króla; Korottwaja: „Król Maciej pod Wiedniem,“ gdzie mu radcy miejscy oddają klucze stolicy; Webera: „Wjazd króla Macieja do Budy,“ znanego z dobrych scen wojennych Revesza: „Petoefi w obozie,“ Gyarfarsza: „Król Władysław V przyrzeka rodowi Hunyadych opiekę“ i t. d. Najlepszy z tych obrazów historycznych utworzył, znany już jako zdolny malarz rodzajowy i portrecista, Aleksander Bihari. Jego: „Powitanie Władysława Jagiełły w katedrze wielkiego Waradu przez cesarza Zygmunta Luksemburczyka,“ zamówione przez radę municypalną wymienionego miasta, odznacza się doskonałym ugrupowaniem osób i wybornem oddaniem szczegółów.

Najświetniej przedstawia się portret. Obok znakomych portretów Munkaczego i Benzura, jest tam kilkanaście innych, które-by przyniosły chlubę każdej galeryi, mianowicie znakomity portret znanego wodza parlamentarnego, hr. Wojciecha Apponiego, pędzla Balla; wykwintne portrety cesarza-króla i sławnego Maurycego Jokaja, Kolomana Tiszy i innych wybitnych osób wielkiego świata węgierskiego Artura Ferrarisa; portret Tiszy, hrabiny Potockiej i kilkanaście innych znanego Leopolda Horowitza; dalej eleganckie portrety Ripi-Ronaia i eteryczne portrety niewieście pani Maryi Biasini.

Przyroda hojnie przystroila Węgry w potężne rzeki, ogromne jeziora, góry i lasy, ponuro romantyczne wąwozy i smętne równiny. Nie brak

więc malarzom tematów do zajmujących krajobrazów. Tworzą one bogaty, najwyraźniej nacechowany kolorytem miejscowym, dział wystawy. Przedewszystkiem zwracają na siebie uwagę „Ruczaj“ i „Jezioro Poprad“ Telepyego, „Jezioro Balaton“ Mesterhazego, „Fata morgana na puszczy“ (*puszta* w Węgrzech oznacza wogóle równinę, zwłaszcza przestronne łąki) Toelgyeszego, i „Po deszczu“ Pawła Vage. Sceny ludowe znakomicie odtwarzają: tenże mistrz w „Wesołej kompanii.“ Janko w „Dramacie domowym,“ wymieniony powyżej Bihari w „Jego pieśń ulubiona,“ „Po pracy,“ „Pogrzeb wołoski,“ „Mowa programowa,“ Korvaly (sceny żołnierskie). W oddaniu scen salonowych zjednali sobie sławę Margitaj („Miesiąc miodowy,“ „Ostatnia miłość,“ „Po pojedynku“), Mark („Orgia“) i inni, chociaż na tych obrazach typy i nastrój narodowy uwydatniają się mniej wyraźnie, niż w scenach ludowych.

*

*

*

Jeżeli odzyskany w r. 1867 samorząd dał potężny pochop do wszechstronnego rozwoju, to w ostatnich latach zbliżająca się data 1000 rocznicy osiedlenia się Madziarów nad Cisą i Dunajem przyspieszyła wykończenie różnych monumentalnych gmachów w stolicy, wywołała żywy ruch na polu sztuk pięknych i w innych dziedzinach publicznego życia. Już od 10 lat przygotowywano obchód jubileuszowy, którego jedną część stanowi wystawa krajowa, zdecydowana w r. 1891. Według pierwotnego planu, jubileusz miał się odbyć w r. 1895; aby umożliwić wykończenie różnych gmachów monumentalnych, pomników i t. d., odroczone go do roku bieżącego.

Historyczna prawda na tem nie ucierpi. Zajęcie kraju nie odbyło się nagle, w pewnym tygodniu i roku. Średniowieczne dziejopisarstwo retoryczne, dramatyzujące, zaprawione na Liviuszu, założenie państw chętnie sprowadza do ściśle określonego, anegdotycznego faktu. Według Długosza (tom I) „Lech tedy, pożegnawszy się z bratem (Czechem) i przebywszy z drużyną czeladną i wszelkim dobytkiem góry i lasy (stercyńskie), a znalazłszy kraj bardzo rozległy... w nim osiadł i pierwszy go dla siebie i potomstwa swego zajął i odziedziczył.“ W podobny sposób węgierski kronikarz bezimienny, znany pod nazwiskiem „*Belae regis notarius anonymus*,“ (który swe „*Gesta Ungarorum*“ pisał około r. 1280) ze wszystkimi szczegółami opowiada wkroczenie Arpada z 7-u wodzami od Munkaczu do Węgier, dalszą drogę ku południowi, pierwszy sejm na polu Pustaszer nad Cisą, następnie

pochód na zachód aż do Gyoern (Raab), i na tem opowiadaniu świeżo osnuto nawet nibyto dokładną kartę marszu Arpada (num. I wystawy historycznej). W rzeczywistości, zajęcie kraju trwało co najmniej pół wieku. Już w r. 838 Węgrzy, wezwani przez Bulgarów, zjawiają się nad dolnym Dunajem. W r. 862 napadają wschodnie granice cesarstwa niemieckiego. ¹⁾ W r. 892 wspólnie z Niemcami walczą przeciwko Morawianom, w r. 893 pod dowództwem Leventy, syna Arpada, jako sprzymierzeńcy greckiego cesarza Leona—przeciwko Bulgarom ²⁾, około r. 895 od południa (nie od Munkaczu) wkraczą do środkowych Węgier, ale jeszcze w r. 902 staczają walki z Morawianami. Niepodobna więc oznaczyć ściślej daty osiedlenia się Madziarów w Węgrzech. Cały pierwszy wiek ich dziejów okrywa pomrok; autentyczny okres zaczyna się dopiero od wstąpienia na tron Ś-go Stefana w r. 995.

To też na wystawie historycznej, stanowiącej najciekawszy dział wystawy jubileuszowej, niema zabytków dawniejszych. Wprawdzie w krużganku przedziwnego klasztoru w stylu romańskim, w którym umieszczono przedmioty z okresu Arpadów (876—1301), oglądamy w dwóch witrynach (pod numerami 2 i 18) niedawno wydobyte szkielety rycerzy, pochowanych z koniem w pobliżu Keczkemetu, tudzież pod Twertelą w komitacie Peszteńskim; dalej, pierścienie, dzidy, strzemiona i t. d., które to wykopaliska archeologowie uważają za dowód, że drużyna Arpada istotnie postępowała drogą, oznaczoną przez bezimiennego notaryusza króla Beli. Wiemy jednak, że także pogańskich książąt i wodzów słowiańskich składano do grobu z koniem, a zatem pomiędzy temi wykopaliskami a okupacją madziarską trudno dopatrzeć się pragmatycznego związku. Róg z kości słoniowej wyszczerbiony, którym, według podania z przeszłego stulecia, węgierski wódz, Lehel, po sławnej bitwie pod Augsburgiem (955), śmiertelnie ugodził niemieckiego króla, Konrada, (wystawiony w witrynie pod nr. 181), przechowywany od dawna w muzeum Iaszberen, niezawodnie jest podrobiony ³⁾. Wszystkie inne przedmioty I-go działu wystawy historycznej nie sięgają po za panowanie Ś-go Stefana. Jego sławna korona, berło, płaszcz koronacyjny, pod strażą pierwszych magnatów spoczywają w kaplicy zamkowej. Na wystawie znajduje się ornat mszalny, na wzór którego królowa Gizela haftowała płaszcz koronacyjny, czapka i sakiewka Ś-go Stefana z klasztoru OO. Kapucynów w Wiedniu, przywilej króla z r. 1031 dla najstarszego klasztoru Benedyktynów

¹⁾ Hinemari Annales ad 863.

²⁾ Const. Porphyrogeneta c. 40.

³⁾ Drugi róg Lehela z napisem: „Lehel der XI Herzog in Ungarn anno DCCCCLVI,“ z znajduje się w austriackim klasztorze Benedyktynów w Moek.

w Panonhalmie, którego przeor, Vaszary, zasiadł przed kilku laty na stolicy ostrzyhomskiej: krzyż srebrny, na który królowie węgierscy składali przysięgę i t. d. Ciekawe też są liczne odlewy gipsowe pieczęci królów, prałatów i dygnitarzy tego okresu, (pierwsze z r. 1202), tudzież zbiór monet (pierwsze z czasów Ś-go Stefana 1000—1038); dalej sławny „Codex aureus“ o złotych literach na pergaminie z IX stulecia, ze zbiorów hr. Batthyanego, tudzież „liber ruber,“ czyli teka listów z lat 1001 do 1235 z klasztoru w Panonhalmie; wreszcie liczne dokumenta, począwszy od przywileju króla Gezy II z r. 1141, aż do traktatu, zawartego 12 lipca r. 1277 pomiędzy królem Władysławem a cesarzem Rudolfem Habsburgiem—prawie wszystkie z nadwornego archiwum wiedeńskiego. Prócz tego, jak w dwu innych działach, tak i w tym pierwszym, pełno starożytnej broni. I nie dziw, bo wojna wszelkiego rodzaju tworzy znamiennej cechę dziejów węgierskich.

Drugi gotycki pałac, którego fasady przypominają różne stare zabudowania węgierskie z XIV i XV stulecia, zwłaszcza zamek Vajda Hunyad, w kilkunastu salach mieści zabytki z epoki królów elekcyjnych od 1301 do r. 1536. Parterowa przestronna sala, której plafon spoczywa na 5-u czerwonych filarach marmurowych, wiernie odtworzona według sali rycerskiej zamku Vajda Hunyad, jest jakoby arsenałem broni średniowiecznej. Oglądamy tu połączoną zbroję młodego króla Ludwika II Jagiellończyka, hełm sławnego Skanderbega, hełm i pałasz Mikołaja Zrynięgo, włoski miecz biskupa Kolomana, siodła z kości słoniowej, strzemiona, żelazne maski, hełmy tureckie, buńczuki, tarcze, koszule druciane, dzidy, halabardy, dalej liczne obrazy znakomitych ludzi owego okresu, bądź to miedzioryty, bądź kopie z monet, jak obraz Ludwika II-go według monety z r. 1526; plany różnych warowni węgierskich; wreszcie w witrynie 16-ej ważne dokumenta, jak pergamin o 67-u pieczęciach, na którym Stany węgierskie 7 marca 1492 uznają dziedziczne prawa Habsburgów, kontrakt małżeństwa pomiędzy dziećmi Władysława II Jagiellończyka a wnukami cesarza Maksymiliana z 20 maja 1515; listy, w których Ludwik II (daremnie) napomina opieszłych magnatów do spiesznego wyruszenia przeciwko Turkom—ostatni wysłany 25 sierpnia 1526, krótko przed katastrofą pod Mohaczem, król własnoręcznie zaopatrzył przypiskiem: „cito, cito, cito!“

Z sali rycerskiej wchodzimy do małej kaplicy, reprodukcji kaplicy w Czytertekhely, w której umieszczono sprzęty kościelne, mszały, ornaty i t. d. W izbie, naśladowującej starożytną salę ratusza w Bartfeldzie, ustawiono różne przedmioty z życia miejskiego: pieczęci i berła burmistrzów, godła miejskie, obrazy, miecze katów; w witrynach zaś ciekawe dokumenta, np. przysięgę Budy. Wy-

szogrodu i innych większych miast węgierskich co do dotrzymania zaręczyn pomiędzy Jadwigą a Wilhelmem austriackim; list z r. 1454 w którym miasto Hermannstadt donosi Wiedniowi o zdobyciu Carogrodu przez Turków; przywileje, wystawione miastom przez Władysława Jagiellończyka i innych królów. Tuż obok w reprodukcji średniowiecznej komnaty archiwalnej dokumenta w workach wiszą na żelaznych prętach. Na stole leży 24 sążni (28 metrów) długi dokument z r. 1555, na którym spisano zeznanie świadków w sprawie oskarżonego o liczne zbrodnie studenta Piotra Szentgyoergy w Nagy Banya.

Na pierwszym piętrze wstępujemy nasamprzód do sali Karola Roberta, Ludwika W. i jego zięcia Zygmunta. Oprócz licznych pieczęci, polskich i węgierskich herbów Ludwika (odlewy z oryginałów, przechowywanych w Akwisgranie), klasztornych mszałów, monet, portretów, zwraca na siebie uwagę galwano-plastyczna reprodukcja srebrnego, przechowywanego w Zadarze, sarkofagu, sporządzonego z rozkazu królowej węgierskiej dla Ś-go Szymona. Drugi oddział tej sali obejmuje zabytki z czasów króla Macieja Korwina (1458—1490), najpopularniejszego monarchy węgierskiego. Tu w witrynie 28-ej stoi najkosztowniejszy przedmiot wystawy, assekurowana na milion florenów kalwarya króla Macieja ze skarbca katedralnego w Ostrzyhomiu. Górna część w stylu gotyckim przedstawia ukrzyżowanie Zbawiciela; podnoże dorobione później w stylu odrodzenia, składa się z trójkąta, na którym trzy sfinksy trzymają herb królewski z krukiem Hunyadych; środkowa część tworzy wazon do przechowywania relikwii, o płaskorzeźbach mitologicznych. Cały ze szczerego złota, bogato przyozdobiony drogiemi kamieniami i perłami relikwiarz, po śmierci Macieja przeszedł na własność kardynała prymasa Bakacza, który go darował skarbcowi ostrzyhomskiemu. Z pomiędzy licznych innych zabytków tego okresu, największą ciekawość budzą kopie sławnych księzek, odpisywane z polecenia króla w bibliotekach włoskich i zaopatrzone w przedziwne miniatury. W ten sposób, troskliwy o oświatę król zebrał wspaniałą bibliotekę, tak zwane „Corvine“, której większa część dotąd pozostaje w Carogrodzie. W pobliżu sala 14-ta jest wierną reprodukcją bibliotek średniowiecznych, o potężnych dębowych pulpach, do których folianty są przymocowane żelaznemi łańcuchami. Tutaj także znajduje się wiele cennych księzek ze zbiorów króla Macieja, kapituł, klasztorów i magnatów węgierskich.

W trzecim, największym, pałacu, którego fasada wyobraża modny także w Węgrzech w XIX stuleciu styl rococo, gdy inne boki nasładują wzory różnych zabudowań z XVI i XVII stulecia, umieszczono zabytki z okresu, który się rozpoczyna w r. 1526 powołaniem Habs-

burczyka Ferdynanda na tron węgierski. I w tym okresie Węgry były widownią nieustannych wojen z Turkami i zamieszek domowych, pełno więc broni, zwłaszcza w sali Rakoczych (główny teraz pałac Jerzego I-go znajduje się w witrynie 35-jej) i sali honwedów r. 1848, które flankują salę środkową, gdzie stanął nowy, wspaniały tron królewski pod złotym baldachinem, wśród różnych portretów i dokumentów, dotyczących ugody r. 1867. Oprócz broni, także w 3-m pałacu grupy historycznej, najwięcej jest najkosztowniejszych naczyń kościelnych. Nietylko skarbiec sławnego z bogactwa arcybiskupstwa ostrzyhomskiego, ale także inne kapituły i klasztory dostarczyły wystawie tyle drogich krzyży, monstrancyi, kielichów, ornatów, mszałów i t. d., że trzeba stąd wnosić o nadzwyczajnem bogactwie kościoła w Węgrzech. Także magnaci, nietylko przy tej sposobności odsłoniли nadzwyczajną kosztowność swych zbiorów archeologicznych, zwykle ukrytych w odległych zamkach, ale niektórzy, jak ks. Esterhazy, hr. Klauen-Hodervary, ks. Palfy, ks. Filip Koburski, własnym kosztem odtworzyli po kilkanaście sal swych pałaców ze starożytnem umeblowaniem. Sale mieszczące portrety i dzieła pisarzy węgierskich od XVII do XIX wieku, przedmioty objaśniające rozwój nauk ścisłych w Węgrzech, reprodukcya sławnej kaplicy prymasa Bakacza z czerwonego marmuru, o wytwornym ołtarzu, która jedna przechowała się ze starej, zburzonej przez Turków katedry ostrzyhomskiej i została umieszczona w nowej katedrze, odlewy gipsowe nagrobków, pomiędzy niemi Stefana Batorego i t. d. i t. d. — historykom i archeologom dostarczają najobfitszego materiału. Trzy gmachy wystawy historycznej, wzniesione kosztem 700,000 fl. na wyspie Szecheniego, w lasku miejskim a wprawiające w zachwyt najsurowszych krytyków i znawców, przetrwają wystawę jubileuszową, jako stałe muzeum krajowe. Wprawdzie najkosztowniejsze przedmioty, które teraz w nich oglądamy, powrócą do skarbców i archiwów, które ich użyczyły wystawie, pozostanie jednak dużo rzeczy, które dawniej, ukryte w miejskich i prywatnych zbiorach, nie były przystępnymi ogółowi. Będzie to najciekawsza pamiątka po wystawie jubileuszowej, coś w rodzaju paryskiego musée Cluny lub germańskiego muzeum w Norymberdze, — dalsza atrakcya dla turystów, zwiedzających stolicę węgierską.

EUGENIUSZ LIPNICKI.

„Z OBCYCH STRON.”

Trimurti.

Przed pagodą trójgłowe, bezkształtne bożyszcze
Pod niem zaś napis: „stwarzam, utrzymuję, niszczę.“
Troje głów i sześć ramion splełanych przede mną
Przykuwa myśl potęgą zagadkową, ciemną —
Zarazem mnie odpycha, i nęci, i drażni
Ów fantastyczny utwór dzikiej wyobraźni.
Gdy tak stoję i wlepiam nieruchome oczy
W bóstwo, co wciąż mi rośnie i ogromem tłoczy:
Jakby duch, siwy bramin zjawia się nieznacznie,
I zagadkową postać tak objaśniać zacznie:
„Ta głowa, co w pośrodku — to przedwieczny Brahma,
„Najwyższa osobowość, moc duchowa sama,
„Bóg słońca po-za światem, który z swego łona,
„Świadomy celu, wywiódł wszech bytów nasiona.

„Ta twarz druga -- to Wisznu -- wyobraża władzę,
„Utrzymującą cały wszechświat w równowadze,
„Bóg rozlany w naturze i będący zatem
„Jednocześnie i Bogiem, i samym wszechświatem.
„A twarz trzecia -- to Sziwa, potęża złowroga
„Ślepych zniszczeń -- to wszechświat pojęty bez Boga,
„Co bezcelowo próchnem istnienia wciąż świeci,
„I nieczuły na mękę, pożera swe dzieci.
„Te wszystkie trzy pojęcia w nieustannej bójce
„Stanowią razem jedną nierozłączną trójcę,
„Uzmysłowiony symbol, ciosany niezdarne,
„Tej mocy, której ludzki umysł nie ogarnie.”

EL Y.

Cerebracya żywiołowa.

Przyczynek do psychologii spirytyzmu.

Są tacy, którzy na wiarę przyjmują każdą opowieść spirytystów, chociażby brzmiała najniedorzeczniej. Inni natomiast wpadają w odwrotną ostateczność: nie poznawszy faktów, nie zbadawszy rzeczy, wydają na oślep wyrok potępiający. Zdaniem ich, rozpleniło się tylko oszustwo, wyszukujące łatwowierność ludzką.

Pociągnięty rozgłosem, jakiego nabrała sprawa medyów u nas, zająłem się przedmiotem zbliżka. Nie żał mi straconego czasu. W literaturze spirytystycznej znalazłem nieoceniony materiał do psychologii kultu pierwotnego i jego kapłanów. Mogę śmiało powiedzieć, że na każdej stronie spotykałem tam fakta, z którymi miewałem do czynienia, ilekroć zagłębiałem się w studia nad psychologią szamanów i czarodziejów u ludów Azji, Afryki i Ameryki. Opowiadali mi o analogicznych praktykach misyjonarzy, spoglądający na opisywane zjawiska ze stanowiska dogmatu, zastanawiali się nad niemi etnografowie fundacyi Smithsońskiej, zbrojni sceptycyzmem, jaki jest właściwy mężom nauki, zaciekali się i filozofowali zwykli turyści. Tłomaczyli oni różnie to, co widzieli, ale zarazem oświadczyli, że niema tam udania. Z drugiej strony, tuż obok naiwnej łatwowierności, znalazłem w piśmiennictwie spirytystycznym dziecięcą szczerotę, która kazała mi uwierzyć, że coś być musiało, lecz zostało źle wytłomaczone przez sekciarzy cho-

dzącej ekierki i wirującego stolika. Zabrałem się nawet osobiście do doświadczeń, posługując się osobami, w które na razie łatwo było mi wmówić, iż doczekają się czegoś: miałem do rozporządzenia uczciwe, pod względem fizyologicznym, „instrumenta”, przy których pomocy i nad którymi czyniłem spostrzeżenia. Doszedłem w końcu do przeświadczenia, iż spirytyzm dzisiejszy toruje może drogę pewnym metodom badania—w taki sam sposób, w jaki zasłużyli się rozwojowi myśli ludzkiej alchemicy. Poszukiwali oni płynu, zamieniającego każdy metal w złoto, i eliksiru, niszczącego niemoce ciała. Nie znaleźli tego, czego szukali, natomiast odkryli dzisiejszą chemię. Spirytyści usiłowali wejść w porozumienie z „duchami”, które płatają im figlów co niemiara. W gruncie rzeczy robią oni doświadczenia nad własną jaźnią, nie znając zaś sposobów jej działania, biorą objawy swojej duchowości za czyny istot trzecich. Seanse, to bezwiednie prowadzone laboratorya, w których nieuki dokonywają studyów nad psychiką ludzką!

Co tam jest prawdą, co zaś złudzeniem, nie będę roztrząsał, bo nawet nie umiałbym nakreślić wyraźnej granicy. Jest ona jako ów przedział pomiędzy lądem a wodą wzdłuż bagnistych brzegów Amazonki—nieuchwytny i niejasny, chociaż wiemy gdzie znajduje się koryto i widzimy w oddaleniu zarysy stałego lądu. Obecnie zastanowię się tylko nad jedną sferą objawów, mianowicie nad tak zwaną żywiołową cerebracyą, której rezultaty uwydatniają się na zewnątrz i dochodzą świadomej jaźni różnemi drogami. „Duchy” znikną pod dotknięciem analizy naukowej, ale fakty, przynajmniej niektóre, z pośród podawanych przez spirytystów, pozostaną jako osad autentyczny, rozszerzający naszą wiedzę o istocie duchowej.

I.

Czem jest nieświadoma cerebracya?—Najprostsze jej objawy: żywiołowe przypominanie nazwisk i mierzenie czasu. — Zjawiska złożone: żywiołowe rozwiązywanie zadań.—Istota twórczości artystycznej.

Mniema się powszechnie, że assocjacje idei w naszym mózgu odbywają się jedynie ze współdziałaniem naszej świadomości i pod wpływem naszej woli. Błąd to,—albowiem skojarzenia świadome stanowią prawdopodobnie bardzo drobną cząstkę roboty, dokonywanej w umyśle. Istnieją tam jeszcze przebiegi, które nie pozostawiają po sobie w naszej jaźni świadomej śladu widomego.

Kiedy pisałem powyższe zdanie, zadzwięczała szyba w oknie i nasunęła mi porównanie, które uwydatni czytelnikowi stosunek świadomej działalności naszego mózgu do nieświadomej, ukrytej. Po ulicy

jadą dorożki, toczą się ciężkie wozy. Ruch ten sprawia nieustające drganie szyb w oknie. Zastosowawszy pewne narzędzia, uchwycilibyśmy na papierze te drgania w formie pewnej linii, lub może zdołalibyśmy tak powiększyć siłę dźwięków, iż usłyszelibyśmy dziką melodyę, wygrywaną przez zamęt miejski na tafli szklanej. Ale rzadko zdarza się taka interferencya drgań, ażeby szybko wydała z siebie ton, dostępny w zwykłym stanie rzeczy dla zmysłów. Bywa to jednak. Tak samo dzieje się z mózgiem. Jest on jako tafla szkła, może lepiej rzeknijmy: jako zbiór takich tafli, w których nastają przeróżne kombinacye prądów, lecz tylko niektóre z pośród nich dochodzą do nas, jako melodya świadomej myśli.

Każdy z nas, jeśli zagłębi się w swojej jaźni i będzie uważnie zdawał sobie sprawę z własnego doświadczenia, spostrzeże, że jego jestestwo duchowe niejednokrotnie a wymownie wystąpiło z dowodami istnienia takiej nieświadomej pracy umysłowej, takiej „cerebracji“, że użyjemy wyrażenia, które jest niczem innem jeno omówieniem pewnego x lub y , ale które utarło się w nauce i jest tam powszechnie przyjęte.

Gawędzimy z kimś o książce lub o pewnym autorze, ale gdy trzeba było wymienić nazwisko jego lub tytuł dzieła, nie zdołaliśmy odzukać ich w pamięci. „Mam je na końcu języka,“ zapewniamy naszego interlokutora, ale wyraz, pomimo takiej pozycyi, nie wychodzi z ust naszych. Rozmowa skończyła się, my zabraliśmy się do innej roboty i sprawa zapomnianej książki wyszła nam zupełnie z myśli, nawet nieczujemy potrzeby, ażeby krnąbrne nazwisko wypłynęło w naszej pamięci. Tymczasem, właśnie wtedy, gdy umysł nasz zaprzętał się zgoła innemi pytaniami, wyskakuje niesforny tytuł, jak gdyby za poruszeniem niewidzialnej sprężyny i bez najmniejszej spójni z tem, co rozpostarło się obecnie w naszej jaźni. Przebieg psychiczny, który zakończył się „wykrztuszeniem“ tytułu książki, pozostał ukryty w głębi, nie doszedłszy progu naszej świadomości, jego zaś ostateczne ogniwo, które wydobyło się z przepaści naszego jestestwa duchowego na jaw, wygląda na coś nam obcego, na nieproszonego wtręta. Skąd się ono wzięło? Odpowiemy na to obrazowo, przyczem prosimy czytelnika nie zapominać, że obraz jest tylko obrazem, który nie wyjaśnia tajemnic naszej psychiki, lecz jedynie rzuca pozorny a znikomy pomost nad otchłanią niewiadomości ludzkiej, podając wzory, zaczerpnięte z pośród znanych stosunków. Wyobraźmy więc mózg, jako bardzo skomplikowaną maszyneryę, złożoną z niezliczonego mnóstwa kóleczek, które, obracając się, nawzajem siebie zahaczają i przenoszą ruch coraz dalej. Jedno pasmo tych obrotów odbywa się świadomie, są to skojarzenia, zaprzętające nasz umysł w danej chwili. Inne biegają ukryte

w głębi naszego jestestwa. Któreś poczęło się w akcie przypominania, raz zaś zrodzone snuje swój wątek żywiołowo: jedno kółeczko potrąca o drugie, drugie o trzecie, chociaż nasza myśl zapomniała już o pierwotnym impulsie. W końcu poruszono kółeczko, związane z zapomnianym nazwiskiem, które wypływa na powierzchnię świadomej jaźni. Niekiedy nie wiemy o tej wewnętrznej, ukrytej robocie nic zgoła. To znów, jak to okazuje się z poszukiwań psychologa amerykańskiego, Franciszka Speira, przed wykształceniem rezultatu bezwiednej pracy, czujemy niepokój i rozdrażnienie, których źródła na razie nie możemy się doszukać, a które ustają, gdy odnaleźliśmy zgubę swoją.

Udając się na spoczynek pewnego wieczoru, postanowiliśmy wstać nazajutrz wcześniej niż zwykle. Z tą myślą kładziemy się do łóżka i chociaż nikt nie czuwa nad nami, budzimy się o zamierzonym czasie. „Doktor zalecił mi, ktoś pisze ¹⁾, osobiście dawać lekarstwo żonie mojej, chorej niebezpiecznie. Zależało na tem, aby brała je punktualnie co dwie godziny, dniem i nocą. Śpię bardzo twardo, lecz w ciągu sześciu tygodni budziłem się systematycznie w oznaczonym terminie i ani razu nie zasnęłam. Otrząsałem się ze snu w jednej chwili“. W powyższym wypadku mamy do czynienia z działalnością psychiczną, istniejącą pod pokładem jaźni świadomej: mierzy ona czas, spełniając poniekąd czynności zegara-budzika. Znajomość czasu, jaką posiadamy w takim stanie, jest dokładniejsza, aniżeli jaką mogliśmy się pochwalić na jawie. Ukryta działalność mózgu wyładowywa się zaś niekiedy nawet bez odpowiedniego impulsu, przyczem u osób, należących do typu wizjonistów—*visualers* Fr. Galtona, posługuje się ona obrazami. Profesor Royce, z wszechniczy harwardzkiej, opowiada, iż pewnego razu przyśnił mu się olbrzymi zegar, którego wskazówki stały na g. 2 min. 20. Ocknął się, wziął zegarek do ręki i spostrzegł, że jest parę sekund po godzinie, którą widział we śnie ²⁾.

Istnieją też analogiczne fakty nieświadomej cerebracyi na jawie. Podczas zajęć, przechadzki i t. d. komuś stawał przed oczyma obraz cyferblatu, który pokazywał godzinę. Osoba, doświadczająca tych wrażeń, nie zaprzętała swojej myśli kwestyą czasu w danej chwili — cerebracya żywiołowa rozporządzała się sama, bez impulsu ze strony stanów świadomych. Udzielona informacya zawsze była dokładna ³⁾.

¹⁾ *The Antechamber of Consciousness*, w czasopiśmie „Popular Science Monthly“, 1888.

²⁾ *Proceedings of American Society for Psychological Researches*, Nr. 4, str. 360.

³⁾ *Proceedings of the Society for Psychological Researches*, London, VIII, str. 337 i dalsze.

„Przed laty dwudziestu, opowiada ktoś o innego rodzaju objawach nieświadomej działalności naszej jaźni¹⁾, otrzymałam parę listów, w jednym był banknot na 15 f. st. Z listami udałam się do kuchni... Zrobiłam już ruch, ażeby je rzucić do ognia, gdy wyraźnie uczułam, jak gdyby ktoś wstrzymał moją rękę. Miałam wrażenie, że cudza ręka legła na mojej i ją odpychała. Zdziwiona, rzuciłam okiem na dłoń moją. Ujrzałam, że zamierzała zniszczyć nie listy, które trzymałam w drugiej ręce, lecz banknoty. Byłam tak uderzona całym zajęciem, że zawołała: kto tam!“ Cerebracya nieświadoma, uwidoczniająca się w pewnym powściągu, przybrała w danym razie zindywidualizowaną postać i wygląda na coś tak obcego, że osoba, opowiadająca o tem zdarzeniu, sądziła, że w kuchni znajduje się ktoś jeszcze!

Przytoczone fakty są zwiastunami bardziej złożonych objawów działalności umysłowej, odbywającej się w naszej jaźni bez współdziałania świadomości. Chodzi tam o całe powiązania idei i wywodów.

„Studowałem algebrę, odpowiada ktoś na kwestyonaryusz, rozesłany przez prof. Speira²⁾, nauka ta bardzo interesowała mnie wówczas. Razu pewnego wypadło mi rozwiązać zadanie z sześciu niewiadomymi. Było to wieczorem, po jednej lub dwóch godzinach starań nadaremnych odłożyłem pracę i udałem się do łóżka. Nocą przysniło mi się, że do rozwiązywania trzeba się zabrać w taki-to sposób. Ocknąwszy się nazajutrz, jałem się zadania jeszcze w łóżku i postępując drogą wyśnioną, otrzymałem poprawne rozwiązanie“. „Napotkawszy trudny ustęp, pisze ktoś inny do tylko co wymiunionej badacza, czytając tekst, nie usiłując go zgłębiać. Poprzestaję na odrobinie sensu, który mi daje powierzchowne przeczytanie. Potem porzucam pracę na kilka godzin i skoro później powracam do niej, znajduję trudności już rozwiązaniem“. „Razu pewnego, podaje ktoś trzeci, otrzymałem z Paryża list w języku francuskim, zakończony ustępem po angielsku: *O how I am sorry!* Nie udało mi się odczytać tego zdania. Dopiero podczas snu doszedłem sensu!“ W przykładach, świeżo przytoczonych, żywiółowa a nieświadoma cerebracya dokonywa już złożonych czynności: rozwiązuje zadanie, analizuje treść ustępu, odczytuje niewyraźnie napisane zdanie. Empirya zaś, w ciągu pokoleń zyskana pod tym względem, przybrała postać przesądu. Nasi malcy, uczęszczający do szkoły, kładą książki pod poduszkę, ufni, że skutkiem tej praktyki obudzą się z lepszą znajomością przedmiotu, niż jaką posiadali wieczorem...

¹⁾ ib. VII, str. 345.

²⁾ Przykład ten i następne, patrz: *Antechamber of Consciousness*, Popular Science Monthly, 1888.

Dotychczas braliśmy pod uwagę pojedyncze ogniwa, które ukazują się niespodziewanie, swoim zjawieniem zwiastując, że istnieją w naszej duchowości ukryte pokłady, nam obce. Są jednak jeszcze objawy cerebracyjne, będące w całym swoim przebiegu sprawą jawną, choć również żywiołową i samorzutną: idee, nawet systemy idei przepływają przez nasz mózg, jako burzliwy potok, który począł się bez naszej woli, acz wewnątrz naszej istoty. Wiemy, że to mózg nasz działa, ale robota jego jest dla nas obca, jak zapomniane nazwisko, które zjawilo się w naszej pamięci po niewczasie. Analiza tych zagadnień odsłania nieco tajniki twórczości artystycznej. „Ktoś tworzy!“ Wyrażenie to jest mylne, bo każe patrzeć na twórczość, jako na czyn wolnej woli. Należało-by raczej powiedzieć: „coś rodzi się w moim mózgu, posługuje się moją świadomością, jako narzędziem, i wyladowywa się na zewnątrz, jako pewne dzieło artystyczne.“ Artysta jest często jako rybak, który wędkę puścił na wodę i czeka, kiedy ryba złapie się na przynętę. Dumas, ilekroć czuł się zmęczonym, wsiadał na yacht, znajdujący się zawsze na morzu Śródziemnym. Całemi dniami leżał na pokładzie i wygrzewał się na słońcu, w stanie półsenym, nic nie widząc i nie słysząc, dopóki w mózgu nie rozpoczęła się samorzutnie robota twórcza. Otrząsał się wtedy z bezwładności i pracował bez odpoczynku: tom za tomem powstawał pod jego piórem.

Zamiast wywodów teoretycznych porzucamy na kilku przykładach, które dokładniej jeszcze uwydatnią mechanizm twórczości¹⁾.

Goncourtowie spowiadają się w swoim „Dzienniku“: „Ktoś pisze książkę nie wtedy, gdy tego pragnie. Istnieje fatalizm w pierwszym impulsie, który nasunął myśl o niej. Nieznana potęga i wyższa wola, jakaś konieczność pisania nakazują rozpocząć dzieło i prowadzą pióro tak dalece, że książka, która wychodzi z pod waszej ręki, poniekąd jest obca dla was, jakby niewasza. Podziw ogarnia, że taka rzecz tkwiła w waszem wnętrzu i wy nie mieliście o niej świadomości!“

Carmen Sylva mówi, że jej twórczość przypomina wyladowywanie się elektryczności. „Opieram się tygodnie i miesiące nawet, zanim napiszę rzecz pewną. Dławi mnie ona, póki nie wypowiem wszystkiego. Później zapominam: niepamięć moja jest tak głęboka, że nie poznaję dawniejszych swoich utworów“.

Niejaki W. Livet pisze do Saint-Paula: „Siadam do pracy, nie pomyślawszy nawet, o czem będę pisał. W miarę jak dzieło postępuje,

¹⁾ Saint Paul wykonał w tej mierze specjalną ankietę, której rezultaty ogłosił w pracy: *Essais sur le langage intérieur*. Córka Cezarego Lombrosa zajmowała się także tą kwestyą. Czerpiemy nasze przykłady z rozpraw obu autorów.

osoby moje przybierają właściwy charakter, którego już się nie pozbędą, epizody rodzą się same, że tak rzekę, pod mojem piórem wraz z rozmowami, otoczeniem, tłem odpowiednem. Wyraz napisany ciągnie za sobą następny, myśl zaś wypowiedziana—inna. Ulegani przeładowaniu: jedno „ja“ myśli, pisze, odczytuje napisane, drugie śpiewa i szuka rozrywki. Natchnienie moje to demon, towarzyszący Sokratesowi, to inne a dawne „ja“, które dyktuje i pisze. Moja zaś jaźń własna zaprzęta się tysiącem innych rzeczy.“

Zola mówi o swojej twórczości: „Mózg mój chłonie pośpiesznie i chciwie, później zaś wyladowywa swoją energię. Jest to gąbka, która pęcznieje, ażeby potem oddać wodę.“ Jeszcze ktoś inny podaje takie szczegóły: „Ziarno, rzucone do mojego mózgu pod postacią tytułu lub wyrazu, musi odbyć w nim kwarantannę. Nie mogę obejść się bez okresu krystalizacji i ukrytego wylęgania — w tem znaczeniu, że nie pracuję nad swoim przedmiotem, nie myślę o nim, póki nie powróci w formie skończonej... Kiedy owoc już dojrzał, odczuwam to instynktowo, biorę pióro do ręki i rzecz płynie gładko, jak strumień ze źródła“.

Poznaliśmy różne rodzaje nieświadomej cerebracji — od prostego „wykrtuszenia“ zapomnianego nazwiska, aż do żywiołowego wyladowania złożonych przebiegów twórczości artystycznej. Owoce takiej działalności umysłowej wyglądają na coś obcego w naszym jestwie duchowym: „jakby ktoś“ nas budził, podpowiadał nam, lub dyktował, chwycił za rękę. Spłutyści tłómaczą tę przeciwstawność, istniejącą pomiędzy aktami nieświadomej cerebracji a naszą świadomą jaźnią, za pomocą hipotezy o „duchach“: ów żywioł, pozornie obcy, to sprawka mieszkańców tamtego świata. Oni to dyktują objawienia przy stoliku, poruszają ekierkę..

W powyższej analizie zastanawialiśmy się nad cerebracją nieświadomą, występującą z ukrycia za pomocą pewnych tylko organów. Atoli może ona obrać inne drogi wyladowania. Istnieje wśród typów duchowych np. typ wzrokowy. „Gdy mi się nadarza model, opowiada pewien malarz¹⁾, przyglądam mu się uważnie przez jakie pół godziny, szkicując od czasu do czasu na płótnie rysy jego. Nie potrzebuję dłuższego posiedzenia... Gdy chciałem w dalszym ciągu malować tak rozpoczęty portret, to brałem osobę w mojej wyobraźni, sadzałem ją na krześle i tam ją widziałem również wyraźnie, jak gdyby w rzeczy samej była obecna“. U takiego wzrokowca cerebracja żywiołowa może ujawnić się za pomocą złudzeń wzroku i obra-

¹⁾ Fr. Queyrat. *Wyobraźnia u dziecka i jej odmiany.* str. 39.

zów. U „słuchowca“ występują skojarzenia dźwięków i podszeptów, jeszcze u innego mięśnie będą żywiołowo kurczyły się i rozciągały, twarz przybierze odpowiedni wyraz, ręce będą wykonywały pewne ruchy. Wszystkie te formy cerebracyi samorzutnej zużytkowywał mistycyzm stale dla swoich celów, spirytyści zaś nowocześni nie odrodzili się od poprzedników.

II.

„Pismo automatyczne“. — Duchy kończą powieść Dickens'a. — Przyjaciel Garborga i doświadczenia jego nad własną jaźnią. — Analiza pisania automatycznego, dokonana przez Garborga.

Twórczość artystyczna polega w bardzo znacznej mierze na żywiołowym wyładowywaniu assocyacji, które spoczywają w naszym mózgu pod pokładem świadomej jaźni. Ktoś ośmielił się nawet nazwać geniusza olbrzymim zbiornikiem bezwiednej cerebracyi! Naturę twórczości pojmiemy jeszcze głębiej, poddając rozbiorowi duchowość „medyków piszących“.

Są to osoby, obdarzone takim szczególnem uzdolnieniem, że gdy wezmą ołówek i usiądą przed stolikiem, to po pewnym czasie ręka zaczyna drżeć z lekka, kreśli na papierze różne zakrętasy, w końcu zaś automatycznie litery i wyrazy, nawet zdania i całe traktaty. Istnieją różne usposobienia: jeden pisze od pierwszego razu, drugi potrzebuje wprawiać się dłuższy przeciąg czasu, niektórzy zaś nigdy nie dochodzą do umiejętności napisania chociażby paru wyrazów.

Niekiedy, zamiast wyrazów, zjawiają się rysunki. Będą to medya rysujące.

Uważają powszechnie „pismo automatyczne“¹⁾ za oszustwo. Nie ulega wątpliwości, że wielu wydrwigroszów i historyków nadużywa łatwości ludzkiej. Ale ktokolwiek rozezytywał się uważniej w piśmiennictwie spirytystycznym, dostrzeże, że szalbierstwo nie tłomaczy wszystkich wypadków. Takie traktowanie przedmiotu jest naganne, bo zamiast stosowania naukowej metody do zakresów życia, będących przytułkiem przesądu, z góry odrzuca fakty, które przecież zdarzały się! Znam osoby, które naigrawały się z „zabobonów“, póki

¹⁾ Spirytyści rozpatrywane wyładowanie żywiołowej cerebracyi nazywają piśmem automatycznym.

nie wypróbowały osobiście. iż ręka pisze „sama” na przekór ich woli, i one nie wiedzą, co wyjdzie ze zygzaków, które zjawiają się na papierze. Opowiadano mi o pewnej damie, zajętej któregoś wieczora liczeniem bielizny w nieobecności męża, zapalonego okultysty. Ręka jej samorzutnie zaczęła kreślić na papierze wyraz po wyrazie z taką siłą, iż złamał się jeden i drugi ołówek. Trwało to przeszło godzinę, póki nie wrócił do domu mąż, który zastał żonę zapłakaną i strwożoną opętaniem i oswobodził ją od najścia „duchów”. Mózg żony, nie bardzo zadowolonej ze spirytyzmu męża, był jako gąbka, pochłaniająca wodę. W pokładach nieświadomej jaźni powstał tam zbiornik idei, który czekał okazji, ażeby wyładowaniem swoim ujawnić wpływ otoczenia.

Poniżej przytoczony przykład jest jeszcze jaskrawszy.

„Jedna z sióstr moich—opowiada ktoś¹⁾—żona duchownego kościoła anglikańskiego, usiłowała mi wyperswadować, że pismo automatyczne jest świadomem dziełem medyum, w końcu zaś dodała: „gdybym wzięła pióro do ręki, nie wyszedłby z pod niego ani jeden wyraz, któryby był na przekór mojej woli”. Daliśmy jej ołówek i papier. Ręka zaczęła niebawem poruszać się mimo wysiłków wstrzymania jej i po narysowaniu wielu zakrętasów i zygzaków bez znaczenia, nakreśliła coś takiego, co wyglądało na pismo. Nikt z nas przecież nie zdołał go odcyfrować. Siostra wzięła do ręki inną robotę. Po pewnym czasie przyszło komuś na myśl, że może jest to pismo odwrotne. Trzymając papier przed zwierciadłem, spostrzegliśmy, że napisała ona bardzo wyraźnie: Głupiaś! moje nazwisko jest Norman. Właśnie przed napisaniem tego zdania, pytała się rzekomego ducha o jego imię i zgaśniła go, ponieważ nie dawał odpowiedzi”.

Tak bywa zawsze! Jeden pisze rzeczy, których sam odcyfrować nie może—odwrotnem pismem, ktoś układa traktat w języku, którym słabo włada. Niektórzy tworzą powieści. W kołach spirytystycznych Ameryki dużo mówiono ongi o medyum, który kończył ostatnią powieść Dickensa, przerwana z powodu śmierci wielkiego belletrysty. „Początkowo medyum pisało trzy razy tygodniowo, później siadało do pracy dwukrotnie dziennie i zapisywało około dwudziestu stronic. Czas twórczości przypadał na chwilę, gdy było na dworze jeszcze jasno. Zresztą posiedzenia, odbywające się wieczorem, przeciągały się nieraz do dziewiątej—wśród mroków. Kontynuator Dickensa kładł ręce na stół i oczekiwał filozoficznie natchnienia. Nie grzeszył spokojem, bo, mimo przyzwyczajenia, nie mógł nigdy otrząsnąć się z pewnej obawy. Oczekiwał tak, paląc cygaro, dwie, nawet dziesięć minut, niekiedy pół

¹⁾ *Proceedings of the Society for Psychical Researches*, III, 41.

godziny, przy sprzyjających warunkach zaś nie dłużej nad parę minut. Zależało to głównie od pogody: podczas jasnego dnia maszyna jego, jak elektryczna, działała niezmordowana, burza wywoływała zwłokę, w razie niepogody odkładano posiedzenie. Medyum traciło świadomość, pisanie zaś trwało pół godziny, godzinę, nawet półtóry. Piszący wynosił z transu jedno tylko wrażenie: Dickensa, który miał siedzieć przy nim ze smutnym, zamysłonym wyrazem twarzy... Na znak, że trzeba skończyć pisanie, zmarły powieściopisarz kładł na rękę pośrednika swoją—ciężką i chłodną, medyum początkowo jęczało pod takim dotknięciem. Powracała świadomość. Medyum zwykle potrzebowało czyjejs pomocy, ażeby odjąć ręce od stołu, które przylegały tam tak mocno, jak do magnesu ¹⁾.

Znany powieściopisarz skandynawski, Arne Garborg, ogłosił przed paru laty ²⁾ pamiętnik jednego ze swoich przyjaciół, który przesiadywał pokryjomu nad pismem automatycznym i jednocześnie notował skrzątnie swoje doświadczenia. Spowiedź to bez odrobiny artyzmu, nudna, pełna jałowych z pozoru szczegółów, lecz szczerza, zapisująca z dnia na dzień każdy drobiazg obcowania z „duchami“. Pan Z. poprzestaje na towarzystwie „ducha“ opata Worma, nikogo tam nie było więcej i nikt nie poddawał mu swoich złudzeń. Jak na dłoni przesuwają się tam przed postronnym analitykiem istota zachwyty spirytystycznego.

Z bijącym sercem siadł p. Z. po raz pierwszy przy stoliku. Początkowo rzecz szła opornie. Wreszcie jednego wieczoru objawił z pod ołówka swoją obecność opat Worm, który miał żyć w w. XIII, oraz wyszło parę „tak“ i „nie“. Z czasem zaczęły z pod pióra wydobywać się całe zdania. Próbką jednego z pierwszych zwiastowań ducha przypomina monologi bohaterów Maeterlincka.

„Jestem Worm. Wolę pisać. Chcę udać się do Ramstedów. Chcę pisać ręką Lei. Chcę ukazać się jako biały gołąb. Chcę mówić, gdy ptak będzie w pokoju. Chcę aby zasnęła. Chcę aby mocno zasnęła. Chcę sam ją obudzić. Chcę opowiedzieć jej to podczas snu. Chcę osobiście wyznaczyć czas i miejsce. Chcę zjawić się przed tobą nieoczekiwany“.

Styl ten, urywany i niepowiązany, przypomina naturę widziadeł sennyh, które tak samo są mało spojone nawzajem. Inne nawiedzenia nie lepiej prezentują się: pełne są zawsze zdań krótkich, przeczących jedno drugiemu. Duch popełnia nieraz kardynalne błędy w pi-

¹⁾ U Aksakowa. *Animismus und Spiritismus*.

²⁾ W czasopiśmie *Neue freie Bühne*, 1893.

sowni i gramatyce, to znowu nie umie, — „nie ma siły“, — napisać najpospolitszego wyrazu.

Worm obiecuje pewnego dnia zjawić się jako biały gołębek. „Położyłem się, opowiada Z., otworzywszy okna. Świecy nie zapalałem. Serce mi biło, strwożony oczekiwałem, co będzie.“ Nadaremnie. . Duch przyrzekł później zejść w postaci ryby, ptaków. Opuszczamy nużące szczegóły o tem, jak spirytysta norweski duiem i w nocy oczekiwał obiecaney schadzki — na słońcu i słońcu. Worm miał zawsze w pogotowiu wymówkę. Duch udzielał panu Z. wskazówek, jak powinien on postępować, np. względem swojego wuja. „Nauki te nie zawsze przypadają mi do gustu, choć odznaczały się trafnością sądu i taką znajomością charakteru mego kuzyna (głębszą niż sam posiadałem), że napelniały mnie szacunkiem“.

Ale dzban wodę nosi tylko do czasu! Worm wodził za nos pana Z., dopóki nie przebrała się miarka. Łapał on „ducha“ na ciągłych kłamstwach: przydybany opat uniewinnił się, niekiedy przyznawał, że jest oszustem, obiecywał poprawę i — brnął dalej. Nadeszła wreszcie historia z listem, zbyt długa, ażebyśmy nad nią się zatrzymywali. Wątpliwości zakradły się do umysłu p. Z., co odbiło się na piśmie, bo ręka zaczęła kreślić wyrazy niepewna i chwiejna. „Znikło wrażenie, iż ktoś stoi za mną, jak bywało dawniej. Czudem, że jestem jak malec, którego złapano na psocie. Inię Worma przestało dla ucha brzmieć dźwięcznie, jak ongi!“ Wreszcie p. Z. przeczytał pracę o hypnotyzmie. Przyszło mu na myśl, że „duchem“ może jest jego własna „wewnętrzna istota“. Dopytuje się więc Worma, czy dotychczasowe nawiedzenia nie były złudzeniem. Otrzymuje sprzeczne odpowiedzi, zamiast wyrazów z pod ołówka wydobywają się coraz gęściej zakrętasy; zamiast długich sentencji zjawiają się pojedyncze wyrazy, podpisane już nie przez opata, lecz przez „istotę wewnętrzną“. Jednego wieczoru Worm napisał, że nie ma sił dłużej przychodzić, późniejsze zaś próby obcowania z duchami nie powiodły się zupełnie! Czar prysnął z nastaniem wątpliwości!

Garborg rzucił parę uwag do pamiętnika przyjaciela i w swoim komentarzu usiłuje peddać rozbirowi psychikę pisania automatycznego. Przygotowany rozmowami o spirytyzmie i uczestniczeniem w paru seansach, p. Z. bierze ołówek do ręki, oczekując biernie zwiastowania, taka bierność duchowa stanowi nieodzowny warunek powodzenia. Spoczywające w głębi umysłu nieświadome idee przyoblekają na siebie szatę specjalnej indywidualności, ducha. Związek pomiędzy ruchami ręki a jaźnią świadomą pryska, i życie senne, ukryte, przywłaszcza sobie władzę nad pewnemi organami: „obca wola“ prowadzi rękę, Z. wszedł w „obcowanie“ z „Wormem“! W miarę wprawy bierność wzrasta: ręka

jest coraz uleglejsza impulsom nieświadomego życia. Ale Z. domaga się dowodu: materializacyi ducha! Zaczyna się rozgrywać dramat pomiędzy jaźnią świadomą a życiem nieświadomem, każda strona przybiera postać odmiennej osoby. Jaźń świadoma zwycięża w tej walce, dzięki książce o hipnotyzmie.

„Czułem, opowiada o sobie p. Z., że obca siła prowadziła moją rękę. Kiedy zwierzenia kończyły się, ręka zawiłym ruchem mięśni wyprostowywała się, ołówek wypadał. Pisałem charakterem obcym, tylko niekiedy zabłąkiwały się sztywne litery, właściwe mojej ręce, i psuły harmonię“.

Pisanie automatyczne, jak również inne ćwiczenia na polu cerebracyi, stają się niekiedy drugą naturą człowieka. Knajpa spirytystyczna, powiada Garborg, wciąga wielu i jest niebezpieczna, jak wszelka inna. Ci, którzy poddali się nałogowi, nie zawsze są jednakowo usposobieni do cerebracyi żywiołowej. Bywają chwile, gdy „coś“ ich pcha do pisania, ręka sama kurczy się konwulsyjnie. Charakter pisma, dewcypy i rozumowania, temperament „ducha“, wszystko to jest w swoim rodzaju indywidualnością, która od początku przeciwstawia siebie świadomej jaźni piszącego. Podczas wyładowywania pokładów jaźni nieświadomej, medyum traci panowanie nad sobą, zdradza najgłębsze swoje tajemnice, wypowiada zapatrywania, których nie podziela w normalnym trybie życia. Z pod ręki osoby szczerze wierzącej wychodzą bluźnierstwa. Wstydlive dziewczęta obdarzają słuchaczy cynicznymi dowcipami i przyznają się do postępków, które mogą okryć je niesławą na całe życie.

III.

Wirujące stoliki i ekiarki.—Powszechność tych sposobów wyładowywania nieświadomej cerebracyi.—Mensa divinatoria Rzymian, wróżenie ze strzały, kamyka i bębna.—Analiza zjawiska.

Przed kilku dziesiątkami lat grasowała w naszej części świata moda rozmawiania z „duchami“ za pomocą stolików wirujących. Stoliki na trzech nóżkach były najodpowiedniejsze—właściwość, wypływająca z ich struktury! Grono osób kładło ręce na powierzchni stołu, dotykając nawzajem swoich dłoni palcami, albo w inny sposób tworzyło „łańcuch“. Przedmiot zaczynał z lekka drżeć po pewnym czasie. Ru-

chy jego stawały się coraz gwałtowniejszymi, aż wreszcie owo narzędzie porozumiewania się z „istotami psychicznymi“ dochodziło do paroksyzmu rzucania się na wszystkie strony. Ktoś wtedy wygłaszał po kolei abecadło, nóżka uderzała o podłogę przy pewnej głosce, z głosek powstawały wyrazy, zdania i rozmowy. Albo brano spodeczek lub ekierkę, trzymano na niej rękę, ona zaś posuwała się na prawo i na lewo, zatrzymując się przed tą lub inną literą wypisanego na papierze abecadła, co ostatecznie wychodziło na to samo.

Wógóle sposobów istniało dużo, które wciąż udoskonalano. Technika bowiem wkroczyła do tej dziedziny i zaprowadziła liczne ulepszenia w pierwotnej strukturze narzędzi zejścia „duchów“.

Wszystko to były nowe sposoby, ale rzecz jest w swoim jądrze starą jak dzieje i powszechną jak świat długi i szeroki. Nieświadoma cerebracya, użytkująca z drgań mięśni, jest znaną oddawna szamanom i wróżbitom. Wirujące stoliki istniały od wieków, tylko że w innej formie, ale zawsze służyły do tych samych celów, do jakich zaprzęgli je spirytyści nowocześni. Posiadały nawet ongi większe znaczenie, bo były powszechnie uznanymi i używanymi obrzędami w pierwotnym kulecie. Trójnóg wyroczeni pytyjskiej, bęben wróżący szamana lapońskiego, bywają tam, w pogańszczyźnie barbarzyńców, systematycznie stosowane. Chrześcijaństwo musiało niejednokrotnie, w różnych epokach swojego istnienia, walczyć przeciw stosowaniu nieświadomej cerebracyi w takiej formie do celów natury mistycznej. Jeden z ojców Kościoła, Tertulian, gromi tych, którzy na swoich zbożach łączą nawzajem ręce, ażeby utworzyć łańcuch—*catenam*—i trzymając się tak, siadają dokola stolika wróżącego odgadywać przyszłość. Ówczesne narzędzie obcowania z duchami zowie się *mensa divinatoria*. Znała zaś je nie tylko starożytność klasyczna, bo także ludy Wschodu azyatyckiego powszechnie używają stolika. W klasztorach Tybetu tamtejsi mnisi-wróżbiarze posługują się tym sprzętem¹⁾. Na środku izby stawiają okrągły stół, nad nim zaś wieszają strzałę, dotykającą powierzchni jego. Na stół sypią popiół. Kilku lamów siada naokoło i podobnie jak w Europie kładzie ręce. Po pewnym czasie, pod wpływem drgań mięśniowych, za których pośrednictwem nieświadoma cerebracya wyładowywała się, stolik zaczyna wykonywać ruchy wahałdowe, strzała rozgarnia popiół i na zadawane pytania odpowiada wyraźnie narysowanymi znakami alfabetu tybetańskiego.

¹⁾ A. A. Tokarskij *Wróżby przy pomocy strzał u lamów tybetańskich* (w kwartalniku *Woprosy filozofii i psichologii*, 1894, str. 195.)

Nie wszędzie jednak na globie kultura tak wysoko stanęła, ażeby istniały stoliki, lub można było użytkować z abecadła. Ale swoją drogą nieświadoma cerebracya zabiera wszędzie głos i uchodzi za najdoskonalszy środek obcowania z duchami. Szaman, który zanim weźmie się do praktyki swojego kunsztu, uprzednio ulega długiej i ciężkiej tresurze duchowej, wynalazł inne sposoby wyzyskania objawów żywiołowej cerebracyi i nadania im postaci, widocznej dla wszystkich i zrozumiałej dla adeptów. Z wielu praktyk, jakie stosuje on w tym razie, wybierzemy wróżenie ze strzały, stosowane w stepach środkowych Azji. Opis ten będzie dla nas pożyteczny jeszcze z innego względu: nie tylko bowiem zapozna nas z pierwotnymi obrzędami użytkowywania automatyzmu intelektualnego, ale również odsłoni mechanizm duchowy wróżenia.

„Lama— opowiada A. A. Tokarskij ¹⁾—podał burjatowi, będącemu w izbie, strzałę. Kazał mu ją trzymać w prawej dłoni, jak trzymają dłutko, lecz pozwolił położyć rękę jak medyum uzna za najlepsze. Mongoł oparł się ramieniem o stół. Pozycja ręki, wogóle cała postawa trzymającego pozostawione były jego woli. Lama zaczął odmawiać modlitwy głosem monotonnym, lecz z poczuciem, że spełnia święty obrządek. Składał on ręce, powoli podnosił je do czoła, pochylając głowę, i z podobnym spokojem opuszczał na dół. Po nad te nie robił innych giestów, tylko z rzadka rzucał spojrzenie na strzałę. Tempo modłów stawało się coraz pośpieszniejszym. Nareszcie strzała zadrgała, lama zaś zaczął naówczas modlić się jeszcze z większym podnieceniem. Na twarzy burjata malował się wyraz podziwu i przestachu, nie spuszczał on oczu ze strzały, która nie przestawała drżeć, aż w końcu zawołał: „Rusza się!“ W rzeczy samej, jakby coś pociągnęło jego rękę naprzód. Wyprostowała się w całej długości, a ponieważ nie mogła wydłużyć się ponad miarę swoją, burjat podniósł się z krzeselka. Ręka jego nie tylko drgała, ale z całą mocą uderzała o stół.

Lama modlił się z gorączkowym pośpiechem.

— Porusza się, porusza!—wołał Butna (imię burjata).

Ręka jego wykonywała szybkie ruchy wahadłowe, on zaś oddalał się coraz dalej od stołu.

— Nikt jej teraz nie zatrzyma! Wszystko porozbijał — ktoś się odezwał.

Ktoś złapał rękę Butny. Nadaremnie! Wypuścił ją niebawem zmęczony.

¹⁾ l. c., str. 183/187.

— Zatrzymajcie, zatrzymajcie! — wołał Butna. Ręka jego uderzała o stół, co widocznie sprawiało mu ból nielada.

„Podszedłem — mówi autor, z którego czerpiemy opis — i ująłem rękę burjata. Niebawem przekonałem się, że tym sposobem nic nie wskóram. Ruchy jej były po nad moją siłę, napróżno próbowałem wstrzymać spazm mięśni. Zaciekawiało mnie pytanie, czy Butna podda się sugestyi, przeciwdziałającej tej, pod której wpływem się znajdował, a którą nieustannie podsycaly uwagi obecnych. Położyłem więc dłoń swoją na jego ręce, poprzestając na odezwanie się do obecnych: niebawem zatrzyma się ona! Ruchy były coraz spokojniejsze, choć nie ustawały. Powtórzyłem swoją zapowiedź. Nadaremnie, bo po kilku minutach ręka drgała z dawną gwałtownością. Lama modlił się. Ręka moja spoczywała na ramieniu Butny parę minut jeszcze, strzała wypadła mu z dłoni“.

Opisany w powyższem zwyczaj wrózenia jest najwcześniejszą postacią zaprężenia spazmatycznych ruchów ręki do celów wróżbiarskich: odkrycia tajemnicy, odnalezienia zgubionej rzeczy i t. d. Dopiero wyższa kultura, używająca stołów, wprowadza trójnogi. Istnieje on, t. j. ów zwyczaj, powszechnie. Np. u Czeroków (plemię czerwono-skóre, w północnej Ameryce), szaman postępuje prawie tak samo, jak lama, tylko że jest jednocześnie zaklinaczem i medyum. Bierze on kamyk, którego krawędzie zaokrąglił prąd rzeczny, i zawiesza na nitce. Trzyma ją pomiędzy wielkim a wskazującym palcami. Czeroki wierzą, że ciężar będzie kołysał się w kierunku, w którym należy poszukiwać zguby. Szaman na czezo przystępuje do wrózenia, modląc się podczas obrzędu. Pierwsze próby dokonywa przed chatą poszkodowanego, i gdy kamyk wskaże mu pewną drogę, idzie jakąś wiorstę, tam siada i znowu prosi duchów o radę. Jeżeli otrzyma w końcu linię zamkniętą, będzie to wskazówką, że szukany przedmiot znajduje się w pośrodku w ten sposób ograniczonej przestrzeni¹⁾. Spodeczek albo stolik, posypany popiołem, mają także poprzedników. Szaman laponi, pragnąc dowiedzieć się, komu z bogów należy złożyć ofiarę, lub gdzie poszukiwać zguby, bierze czarodziejski bęben, na którego ściankach wymalowano figury zwierząt, kładzie na nim pierścionek i uderza pałeczką o przyrząd, śpiewając zaklęcia. Odpowiednio do ruchów pierścionka składał takie lub inne ofiary, lub szukał przedmiotu w danym kierunku²⁾. Może nasze wrózenie przetakiem jest przeżytkiem czarodziejskiego bębna.

¹⁾ J. Mooney: *Sacred formulas of the Cherokees*, Annual Report of the Ethnogr. Bureau, 1885/6, str. 386, por. także 395

²⁾ Schefferus. *Laponie*, str. 130.

Znany fizyolog angielski, Carpenter, który zajmował się badaniem wirujących stolików, dał zupełnie wystarczające tłumaczenie przyczyn, sprawiających, że stolik, przytłoczony ciężarem „łańcucha“, musi po pewnym czasie drżeć i kołysać się. Wyjaśnienie jego jest natury czysto fizyologicznej, ruchy zaś sprzętu pochodzą stąd, że mięśnie wyprężonej ręki męczą się od takiej pozycji nie równocześnie. Znużenie w niektórych nastaje rychlej i stolik zaczyna chodzić. Atoli istotna przyczyna sprawcza, znana fizyologom, pozostaje ukryta dla uczestników seansu. Otrzymują oni zupełnie fałszywe wrażenie, że powierzchnia stołu stała się elastyczna, że zamienia się na ciało, falująca jako ciecz! Włókna desek, poddane nierównomiernemu ciśnieniu, pękają. Przy umiejętnem oddziaływaniu można otrzymać systematyczną i w prawidłowych odstępach czasu odbywającą się strzelaninę, która wśród ciemności musi przejmować prostaczków podziwem i potęgować dreszcz nerwów. Nie wątpię, że przy silnej samosugestyi pękanie włókien może nawet dawać niekiedy odpowiedzi na pewne pytania, t. j. stać się poniekąd narzędziem członkowanem nieświadomej cerebracyi. Przyznam się, po raz pierwszy mocno zdziwiło mnie, gdy na moje żądanie pięciu takich dźwięków otrzymałem je wyraźnie wyodrębnione od reszty; później dostawałem je sztucznie odpowiednem naciskaniem. Carpenter nadto wyjaśnił (jeśli mnie pamięć nie myli), że ruchy stolika muszą być wirujące—pochodzi to od użytku, do jakiego służą mięśnie, naprzód ulegające zmęczeniu.

Zamiast powierzchni stolika, łańcuch spoczywał na żywych osobach. Narzędzie chodzące i wypukujące było obdarzone więc jaźnią, zdolną do oddania wrażeń swoich. „Złączyliśmy ręce w łańcuch, opowiada ktoś o takim doświadczeniu, i położyliśmy na karku i piersiach jednego z członków seansu. Niebawem zaczął on odczuwać jakieś nieokreślone i nieujęte wrażenie, później silne ciśnienie, któremu ulegając górna część ciała wygięła się w kierunku ku zachodowi i zwolna kołysała się. Jeden z uczestników pokryjomu przerwał na chwilę łańcuch. Osoba, będąca w pośrodku, natychmiast to poczuła, oświadcza-
jąc, że dawne ciśnienie ustalo i że rozpoczęło się odwrotne. Można stawić opór temu naciskowi, lecz gdy go niema, kołowanie natychmiast rozpoczyna się. Próbowaliśmy dotykać siebie tylko rękami i skutki były te same: najmniejsze dotknięcie odzieży lub włosów, nawet gdy osoba, względem której robiono doświadczenie, nie spostrzegła tego, wywoływało tę samą wrażliwość i kołowanie“. Ktoś inny, z kim postępowano w podobny sposób, opowiadał, że naprzód poczuł jak gdyby kołowanie w mózgu, które niebawem ogarnęło cały organizm i zmuszało do obracania się. Gasparin, który był widzem takiego eksperymentu, pisze: „Widzieliśmy, jak osoba, którą pragnęliśmy doprowadzić do kołowania, zbladła i zwolna wpadała w stan bezwładnego

omdlenia. Obracał się ów ktoś górną częścią ciała i dopiero wtedy zmieniał pozycję nóg, gdy trzeba było to już zrobić nieodzownie. Na żądanie dokonania pewnej liczby uderzeń, kołysał się całym tułowiem na prawo i na lewo, twierdząc, że na jego ruchy nie wywierało wpływu najmniejsze ciśnienie mechaniczne, oraz oświadczył, iż dotknięcie lekkie naszych palców odczuwał, jakby tyle punktów gorejącego zarzewia¹⁾“.

IV.

Medya mówiące.—Przykłady transów mównych i rodowód duchów, które nawiedzają medyum. — Wyrocznia pytyjska i psychika wróżbitów pogańskich.—Nawiedzenie samorzutne.—Ogólne uwagi.

Przedstawiliśmy objawy nieświadomej cerebracyi, uwydatniające się w twórczości artystycznej, oraz w pisaniu automatycznym i w wystukiwaniu. Wyładowanie żywiołowe, znane pod nazwami: natchnienia krasomówczego, improwizacji poetyckiej, ekstazy prorockiej odróżnia się od nich jedynie organem, którym posługuje się. Mistycyzm wyzyskiwał dla swoich celów takie stany ducha od czasów jak najdawniejszych, spirytyzm zaś nowoczesny jedynie wkrzesił zapomniane praktyki i ochrzczył je inaczej. Osobom, odznaczającym się skłonnością do takiego nastroju duchowego, t.j. do zupełnego poddawania się żywiołowej cerebracyi, która wyładowywa się za pomocą dźwięków członkowanej mowy, i do utraty świadomości własnego „ja,“ nadano nazwę „medyów mówiących.“ Odtwarzają one w teraźniejszości psychikę dawnej wyroczni pytyjskiej.

Medyum mówiące zapada w trans, traci poczucie własnej jaźni i przemawia w imieniu „ducha,“ który w niem miał obrać mieszkanie. Odpowiednio do charakteru, przypisywanego rzekomemu nawiedzicielowi, rysy twarzy ulegają zmianie i przybierają osobliwy wyraz, głos staje się odmiennym, całe zachowanie, a więc gesta, rytmika ruchów, zmieniają się. Studya nad hypnotyzmem dostarczają przykładów nieco analogicznych. Usypiamy kogoś, a gdy dopniemy tego, powiadamy: „jesteś rozbójnikiem,“ i osoba, odznaczająca się usposobieniem łagodnym i spokojnem, nabywa innego charakteru: wyraz twarzy, cała postawa zahypnotyzowanego przystosowują się do poddanej idei, nawet

¹⁾ Przytoczone u *K. du Prela* w jego rozprawce o wirujących stolikach.

pismo staje się ostrem i kończastem. Rzekniemy: „jesteś tchórzem,“ i w psychice badanego indywiduum nastaje zupełna zmiana: zamiast odwagi, tylko co wykazywanej, na twarzy rozpostarła się pokora, ruchy są niepewne, krok bojaźliwy.

W uspieniu hypnotycznym fizygnomia duchowa bywa komuś narzucona z zewnątrz, oddziaływa tam bowiem suggestya, poddana przez usypiającego. W cerebracyi żywiółowej zaś „duch,“ który opętał kogoś, jest dziełem własnego mózgu, działa tam samosuggestya.

R. Hodgson badał sławne medyum amerykańskie tego rodzaju, niejaką panią Piper. Podczas transów odgaduje ona przeszłość osób, będących na posiedzeniu. Wchodzi w nią naówczas — „kontroluje,“ jak mówią spirytyści — duch d-ra Phinnuit'a, zupełnie nieświadom tego, co zdarzyło się kiedykolwiek jego chwilowemu mieszkaniu w życiu codziennem, jak również odwrotnie p. Piper nic nie wie o tem, co mówi jej lokator podczas stanu bezwładności. Są to dwie zgoła odmienne indywidualności, bez wiedzy wzajemnej o sobie, choć kolejno istniejące w tej samej osobie. Próbowano hypnotyzować p. Piper i w ten sposób sztucznie a dowolnie wywoływać ukazywanie się owego szeregu assocyacyi, które stanowią istotę d-ra Phinnuit'a, ale usiłowania nie powiodły się. Na niczem także spełzły próby podpatrzenia jego gestów lub akcentu mowy u samego medyum podczas zwykłych chwil życia. Pochodzenie ducha d-ra Phinnuit'a, który jest Francuzem i nigdy nie istniał, jest bardzo charakterystyczne. Rodzice pani Piper zaprowadzili ją kiedyś do pewnego ślepego medyum, zajmującego się rozpoznawaniem chorób i będącego pod kontrolą „ducha“ niejakiego d-ra Finny. W mieszkaniu znachora pacjentka wpadła niespodziewanie w stan zupełnej bezwładności. To samo powtórzyło się raz drugi i trzeci. Pani Piper stała się medyum, zaczęła pisać posłania automatyczne, oraz mówić w transie. Przamawiały przez nią różne duchy: Chloryny, Sebastyana Bacha. Podczas któregoś transu, zagadnięto ją z nienacka o poradę lekarską. Odpowiedzi udzielił niejaki dr. Phinnuit, samo brzmienie zaś jego nazwiska wykazuje rodowód. Umysł pani Piper podstawił pod stany żywiółowej cerebracyi dyagnosycznej urojoną indywidualność, przekształconą z tylko co wymienionego d-ra Finny! Początkowo był on jednym z gromady duchów, otaczających medyum amerykańskie, zabierał głos tylko wtedy, gdy szło o dyagnozę chorób i poradę lekarską, uważał inne sprawy za trywialne i zbyt poziome dla siebie, później jednak stał się mniej wymagającym i wyrugował współzawodników ¹⁾.

¹⁾ Porównaj: *Proceedings of Society for Psychical Researches*, tom VIII.

Taką lub mniej więcej taką była psychika wyroczeni klasycznych. Jej epigonów możemy jeszcze dzisiaj znaleźć wśród ludów barbarzyńskich, zamieszkujących różne okolice globu.

„Kiedy zaczyna on prorocтва swoje — opowiada Mariner o pewnym wróżbicie na archipelagu tongańskim — robi to najprzód z cicha i zmienionym tonem, głos jego nabiera mocy dopiero później. Wygłasza rady, zawsze przemawiając w pierwszej osobie, jak gdyby sam bożek odzywał się! Zwykle nie doświadcza wyraźnego wzruszenia, niekiedy jednak bywa mocno podniecony i całe jego jestestwo świadczy o emocyi duchowej, pot występuje na czoło, usta jego zczerniałe drgają konwulsyjnie, łzy potokiem płyną z oczu, piersi oddychają silnie.“ W liczbie nawiedzonych Tongańczyków znajdował się także syn króla. Nie umiał on opisać swego stanu podczas zejścia duchów, tylko tyle zdołał powiedzieć, że czuł się jakby skąpanym w czemś gorącym, bez sił i woli, bez własnej jaźni. Umysł jego należał wówczas jakby do kogoś innego, myśli zwracały się ku obcym a niezwykłym przedmiotom. To duch króla Tugu Agu wstępował w jego ciało. Pytany, skąd wie o tem, odpowiadał niechętnie: „Głupie pytanie! Jakim sposobem mogę komuś wytłómaczyć, skąd to wiem? Czuję to i wiem sam z siebie, rozum mi powiada, że jest to król Tugu-Agu“¹⁾.

Williams podaje opis jeszcze charakteryczniejszy, dotyczący wróżbitów fidżyjskich. Medyum tamtejsze siada na ziemi i zapada w stan bezwładności, po paru minutach zaczyna drzeć całym ciałem, lekki kurecz wykrzywia twarz jego i członki. Dreszcze wzrastają w siłę, aż wreszcie dochodzą do takiego napięcia, że wróżbita drży, jak gdyby w paroksyźmie najsilniejszej febry, szlochania niekiedy towarzyszą spazmom, żyły nabrzmiwiają, obieg krwi i puls są przyspieszone. Duch nawiedza kapłana, który zaczyna odpowiadać na zadawane pytania: oczy wyszły na wierzch, twarz jest blada, głos brzmi nienaturalnie, wargi są zółta czarne, oddech ciężki, pot występuje na całym ciełe, łzy wydobywają się z oczu¹⁾.

Znajdujemy dosłownie takie same opisy u misyonarzów i podróżników po Afryce. Z wielu przytoczymy opowieść A. B. Ellisa z okolic rz. Nigru: „Po pewnym czasie jeden z kapłanów, który dotychczas siedział spokojnie, zaczął trząść się i zawracać oczy. Któryś z bogów wstępował w niego... Dreszcze wzmagaly się i niebawem doszły takiej mocy, jak w najsilniejszym ataku konwulsyi. Zdawało

¹⁾ Martin: *The Account of the Natives of the Tonga Islands compiled from communications of Mr. Mariner*, tom I, 106—112.

²⁾ Williams: *Fiji and Fijans*, tom I, 224—225

się, jakby każdy organ ciała rzucał się: głowa, ramiona, nogi, mięśnie karku i piersi kurczyły się spazmatycznie, nieco piany wystąpiło na usta... Z otwartymi wargami i wywieszonym językiem, oraz oczyma dziko zawracającymi się, w siedzącej postawie i wśród dreszczów niestających znalazł się w pośrodku koła. Tam rzucał się, wyciągając ręce nad głowę. Dreszcz ustał. Zamknął oczy, wywiesił język i chodził niepewnym krokiem... Zawołał głosem nieswoim: „przyszedłem! nazywam się tak a tak!”¹⁾

Podobne typy przychodzą na świat także w naszej Europie, tylko że minęły czasy gromadnego użytkowywania ich uzdolnień na cele mistyczne kultu. W jednym z czasopism spirytystycznych natrafiliśmy na opowieść o młodej włościance, „nawiedzonej” przez ducha. Opętanie to przyszło samorzutnie, zdaje się bez żadnych wzorów, i gdy ujawniło się, doszło do wiadomości pewnej spirytystki, która zaopiekowała się dziewczęciem. Basia odznaczała się od dzieciństwa zamiłowaniem samotności i nigdy nie miała blizkiej przyjaciółki. Około piętnastego roku życia zaczęła napastować ją tęsknota, która zwłaszcza spotęgowała się, gdy małżeństwo z ukochanym spełzło na niczem. Unika odtąd ludzi, ucieka w pole i kryje się tam w konopiach. Porywają ją spazmy, coś dławi w gardle, czuje różne bóle. Matka oprowadza ją po szpitalach, szukając porady — nadaremnie. Razu jednego Basia, gdy miała już lat 20, po powrocie ze szpitala, z wielkiem przerażeniem obecnych, odezwała się głosem męskim:

— „Kłamstwo! Ona jest zdrowa, to ja, Jan, rzucam się w niej!” krzyczała dziewczyna.

Rozpoczęły się stany duchowe, podczas których Basia traciła świadomość zwykłej swojej jaźni, miotała się jak waryatka, wrywała włosy z głowy, mówiła dzikim głosem, w ciągu tygodni leżała beczynnie w czapce męskiej. Wzięta przez pewną spirytystkę, pod wpływem hipnotyzowania odzyskała nieco spokój, choć nawiedzenia trapiły ją niejednokrotnie. Potok cerebracyj żywiłowej wzbierał z nie-nacka: podczas obojętnej rozmowy twarz dziewczyny i w ogóle cała postawa przekształcała się, jak gdyby jakaś podnieta przeinaczyła jej naturę. Wchodził w nią Janek i opowiadał o sobie: „Nakrywam ją swoim cieniem i przenikam w ciało. Dokąd zechcę, dostanę się, ona do mnie należy. Wejdę w jej ręce i język...”

Moglibyśmy przytoczyć jeszcze więcej podobnych przykładów, ale nie przyniosły-by one nic nowego po nad to, co już wiemy. Rzecz odbywa się zawsze i wszędzie w ten sam sposób. Wróżbita wprowa-

¹⁾ A. B. Ellis, str. 136 i dalsze.

dzia siebie w szczególne usposobienie — trans — przy pomocy odpowiednich środków, traci poczucie swojej osoby i jak niezależnie od jego woli miotają się i drżą członki ciała w paroksyźmie nawiedzenia, tak samo z ust płynie potok urywanych zdań, całych objawień i proctw, bez udziału świadomej myśli. Głos jest zmieniony, twarz nabiera innego wyrazu, a wróżbiarz nie wie, co odpowiada, i wogóle jest obcy swojej zwykłej jaźni. Całe jego jestestwo znajduje się w napiętym stanie — żywiółowej cerebracji, która wyladowywa się za pośrednictwem organów mowy. „Duch“—to, „bóg“ wszedł, w niego i wygłasza jego usta swoje rozkazy, napomina lud swój i udziela rady. Różnica pomiędzy takim wróżbitą fidżyjskim, a Basią lub medyum, które na seansie mówi w imieniu Marcina lub Wandy, jest tylko pozorną: tam nieświadoma cerebracja bywa podniecana przez posty i skruchę w ciągu wielu miesięcy i jest sprawą publiczną, narodową, jak wyroczenia pytyjska, a nas medyum je dobrze i zdolność swoją do miewania wyladowań obraca niekiedy na źródło zarobków i tycia. Wyższość jest po stronie kapłanów—medyków i co do napięcia cerebracji, i co do głębokości wygłoszonych sentencji.

Zbyteczna nadmieniać, że improwizacja poetycka jest tylko formą, która od powyższych odróżnia się swoją treścią, nie zaś pochodzeniem. Psychika A. Mickiewicza i J. Słowackiego, podczas wieczoru, w którym obaj starli się, była pokrewna pojedynkom prorockim wróżbitów, bardzo często zdarzającym się w kulcie pogańskim barbarzyńców. Natchnienie jest tylko odmianą tego samego zasadniczego stanu, którego inną formę przedstawia nawiedzenie. Różnice istnieją, lecz są one już natury drugorzędnej, polegają na odmiennym stosunku świadomej jaźni do głosu pokładów bezwiednych, na innem przeznaczeniu wyladowywnia i wyższej wartości cywilizacyjnej.

Zresztą oddzielenie tworzenia poetyckiego od innych rodzajów automatyzmu mównego nastąpiło dopiero w późniejszych okresach czasu.

Wśród Australczyków, szczepu ludzkości, najniżej stojącego, poeta jest faktycznie „wieszczem,“ t. j. prorokiem, i tworzy jego uchodzą za dzieło duchów. Birraarki—poeci—otrzymują od nich śpiewy i tańce i jednocześnie spełniają obowiązki wróżbitów.

„Pewnego wieczoru, ktoś opowiada, ¹⁾ birraarkowie rozpoczęli zaklęcia wśród zupełnej nocy, bo ognie zwolna pogasły. Jeden z birraarków wydawał w prawidłowych odstępach czasu krzyk *Ku-i-i*. Na odległości odezwał się czyjś głos, za nim inne. Gromada duchów przybyła—„Czego chcecie?“—jeden z nich zapytał się. Birraark pro-

¹⁾ Howitt i Fison: *Kamilaroi and Kurnai*, str. 254.

wadził rozmowę. Ku schyłkowi seansu duch pewien rzekł: — Odchodzimy! — Wróżbitę znaleziono na wierzchołku prawie niedostępnego drzewa. Dopytywano się podczas seansu o ruchy strategiczne wroga.“

V.

Wzrokowcy. — Użycie kryształów do odgadywania przyszłości i wróżenia — Praktyki czarodziejów. — Tkwi w nich jądro słuszne — Doświadczenia nad kryształami i korzystanie z nich przez prof. Janet'a w szpitalu. — Psychika cerebracyi żywiłowej.

Istnieją szczególne typy, którym psychologia nowoczesna nadała nazwę wzrokowców. Osoby tego rodzaju odznaczają się niezwykle napięciem i trwałością wrażeń, dostarczanych przez odpowiednie zmysły. Ażeby coś spamiętać, np. pewien wyraz, nie dość im usłyszeć go, lecz nadto muszą przyjrzeć się, jak on wygląda napisany lub wydrukowany. Rozmyślając nad przeszłością, widzą one sceny i miejsca, które zwłaszcza występują wyraźnie przy zamkniętych oczach. Może niejednemu z czytelników zdarzyło się miewać takie złudzenia: cisza nocna zapanowała w domu, półsenna wyobraźnia zaś wysnuwa widziadła i główki osób znajomych i nieznane twarze, pojedyncze miejsca i całe obrazy majaczą przed okiem i przechodzą w inne po przez pasmo stanów pośrednich. Zdarza się to często szczególnie u „wzrokowców“, oraz u cierpiących na bóle głowy, podczas ataków migreny. Balzac odznaczał się tym przymiotem. „Nietylko przypominał on sobie przedmioty, ale jeszcze widział je nanowo we wnętrzu swoim w takim oświetleniu i barwach, w jakich mu zjawiły się one w chwili, gdy patrzył na nie“ (T. Gautier). Michał Anioł po całych dniach wpatrywał się w przestrzeń, w której widział zarysowujący się obraz swojej olbrzymiej kopuły. Malarz angielski, Martin, widywał podczas stanów hallucynacyjnych obrazy, których plan i kompozycję zaledwie obmyślił.

Jest to *sui generis* cerebracya żywiłowa, która, zamiast idei oderwanych lub ruchów mięśni, posługuje się organami wzroku i wysnuwa obrazy

Wzrokowcy tacy, wpatrując się w gładką powierzchnię, po dostatecznie długim czasie mogą tam ujrzeć twory swojego mózgu, obrazy i widziadła. Mistycyzm wyzyskiwał zawsze dla swoich celów tę sytuację, spirytyzm zaś dzisiaj nie pozostał w tyle za po-

przednikami. Biorąc do ręki którekolwiek z pism spirytystycznych angielskich, w każdym znajdziemy ogłoszenie o „kryształach“, służących do takich praktyk (*vision-crystals*). Są to kule lub elipsoidy, najczęściej barwy czarnej, starannie wypolerowane. Praktyka polega na tem, że ktoś, odznaczający się uzdolnieniami wzrokowego „jasnowidztwa.“ wpatruje się w bryłę zwierciadlaną, aż póki na jej powierzchni nie wypłyną różne obrazy.

Postępowanie to powszechne na globie, tylko że wróżbici i czarodzieje, praktykujący u szczepów dzikich, nie rozporządzają tak udoskonalonemi przyrządami, jakimi posługuje się spirytysta, który przyszedł na świat wśród cywilizacji europejskiej. Zamiast wygładzonych kul, nagi jego towarzysz rozciera nieco tłuszczu na paznogeiu, niekiedy używa naczynia z wodą, jeszcze częściej oszlifowanego kawałka twardej skały.

U Dyjaków na Borneo kapłani posiadają czarodziejskie kamienie, w które wpatrując się dowiadują, co może pomódz cho-remu ¹⁾.

O szamanach, praktykujących w Yucatanie, Brinton ²⁾ pisze: „Głównem narzędziem czarów jest *zuxtun*, przezroczysty kamień. Jest to kryształ górski, oczyszczony od złych wpływów paleniem kadzidel i uroczystem odmówieniem zaklęć. Tym sposobem otrzymuje on moc odbijania w sobie przeszłości i przyszłości. Jasnowidzący patrzy w jego przejrzyste głębie i widzi, na jakim miejscu można odnaleźć zgubione rzeczy, dowiaduje się, co dzieje się z nieobecnymi lub kto zesłał chorobę i klęskę na tych, którzy zwrócili się do niego o pomoc. Niema prawdopodobnie ani jednej wioski w Yucatanie, która by nie posiadała kamienia czarodziejskiego.“

U Kaczykielów, w Ameryce środkowej, istniały wygładzone czarne głązy obsydyanu. Jedyne kapłani i kacykowie mieli prawo wpatrywania się w ich zwierciadło i odczytywania tam wyroków nieba ³⁾.

Zuniowie, mieszkający w kącie południowo-zachodnim Stanów Zjednoczonych, poprzestają na naczyniu z wodą. Główny szaman plemienny, osobistość święta, wyćwiczona w ciągu lat wielu odpowiedną tresurą, „widzi na powierzchni cieczy wszystko, co dzieje się na całym świecie, i nawet odgaduje przyszłość ⁴⁾.“

¹⁾ *Low's natives of Borneo* w *Journal of Anthr. Institute* XXI str. 118.

²⁾ D G Brinton *Folklore of Yucatan* (Essays of an Americanist, Philad. 1890). str. 165.

³⁾ D. G. Brinton *the Annals of the Cakchiquels*, Phil. 1885, str 43.

⁴⁾ Ch. P. Lummis *Some strange couners of our country*, N.-York 1892.

Odnajdowanie zgubionych lub ukradzionych przedmiotów jest główną czynnością szamanów u Apachów. Wywiązują się oni z tego zadania przy pomocy kryształów: widzą w nich kradzież ¹⁾.

Fetyszyści afrykańscy, dla czarów lub odgadnięcia kto rzucił urok, wpatrywali się w naczynie z wodą, aż póki tam nie ujrzeli czyjejs twarzą ²⁾.

Tak zwane *crystall-vision* przedstawia bardzo rozpowszechnioną praktykę na całym Wschodzie. „Jeżeli ktoś zwraca się do wróżbity, — czytamy u Reinaud'a ³⁾ — ten ostatni pisze na zwierciadle imiona Gabryela, Azraela lub Rafaela oraz ustępy z Koranu, mówiące o wszechpotędze Boga, i pości dni siedem w samotności. Wtedy, trzymając w rękę zwierciadło lub dając je do trzymania mężczyźnie, kobiecie lub dziecku, odmawia modlitwę i ma moc ujżenia tam tego, o co prosi.“ Jeszcze jeden przykład, pochodzący z tych samych okolic. „*Baetyli*, były to okrągławe kamyki. Wierzono, że za pomocą zaklęć magicznych nawiedza je cząstka Istoty Najwyższej. Radzą się ich w przypadkach wielkiej a naglącej potrzeby, jako wyroczeni boskiej, zawieszają na szyi lub na innych częściach ciała“ ⁴⁾.

Za czasów klasycznych, kamień czarodziejski był w ogólnem użyciu. Lekanomancya polegała na napełnieniu naczynia wodą, wpatrywanie się zaś w powierzchnię cieczy służyło za środek wywoływania „duchów;“ katoptomanci używali wygładzonego zwierciadła; onychomanci polerowali paznogie niewinnego wyrostka sadzą, rozprowadzoną w oliwie, i trzymali je naprzeciw słońca, w odbiciu wśród promieni widzieli obrazy i twarze; krysztalomanci posługiwali się kryształami ⁵⁾. Praktyki te, po upadku Rzymu, trzymały się w ciągu całych wieków średnich i Kościołowi wypadło w początkach bez przerwy walczyć przeciw tak zwanym *specularii*, właśnie wróżbitom, wpatrującym się w oszlifowane i gładkie powierzchnie. Moglibyśmy przytoczyć wiele szczegółów — o mnichach, którzy, gdy włożyli rękę do wody, widzieli w niej konie i wozy, o karach wymierzanych na *speculariów*. Opuszczamy przecież te szczegóły, jako rzeczy, które w niczem nie posuną naszej analizy. Zaznaczymy tylko, że wieki: XVI i XVII i nawet

¹⁾ S. Bourke *the Medicine of Apaches. Report of the Bureau of Ethnography*, 1887 1880, str. 461.

²⁾ Stoll *Suggestion and Hypnotismus in der Völkerpsychologie* Leipzig 1804, str. 153.

³⁾ *Description des monuments musulmans du Cabinet du Mr. le due Broglie*, Paris 1828, II t.

⁴⁾ Burder *Oriental Customs*, I. 16.

⁵⁾ Patrz Cicero *De divin.* I, 55, Pausanias VII, 21, 22, Apuleius c. 41 i in.

XVIII korzystają jeszcze z wróżb tego rodzaju. Czasy te pozostały na stronicach historyi liczne wzmianki o czarodziejskich kamieniach, w których można oglądać „rzeczy przeszłe i przyszłe,“ „ludzi i zwierzęta.“ Czarów na dworze Stefana Batorego, związanych z imieniem Olbrachta Łaskiego i Anglika Dee, dokonywano za pomocą kryształu. Cagliostro posługiwał się podobnemi środkami w swojej awanturniczej pogoni za rozgłosem.

Slowem, praktyka jest rozgałęziona i sięga czasów najdawniejszych. Wiek nasz odznacza się niepomierłą zarozumiałością: uznał wpatrywanie się w kryształy i świecące powierzchnie za najpospolitsze oszustwo, w najlepszym razie zaś za przywidzenie głów uczciwych, ale słabych. Wobec faktów, któremi rozporządzamy, nie można ani chwili dłużej powątpiewać, że rozpowszechnienie wróżenia za pomocą obrazów, widzianych w kamieniach czarodziejskich, opierało się na rzetelnych, choć mylnie wytłómaczonych, stanach. „*Crystall-vision* jest faktem stanowczo stwierdzonym, który podlega pewnym prawom bytu, jak wszelki inny fenomen, i nieco staranniejsza obserwacya zdoła wydobyc coś z tych mroków, uchodzących za przynależność znachorów. Zdaje się, że kryształ oddziaływa na wzrok jak palce silnego magnetyzera. Osoba wpatrująca się zasypia często.“ Przytoczony tylko co ustęp grzeszy jedynie ostrożnością, bo obserwacya już dzisiaj wydobyła „coś“ niewątpliwego z podań i praktyk szamańskich. Czary, dawniej stosowane przez wróżbitów, mogą być ze skutkiem użyte do celów praktycznych. Pewna osoba, Angielka, zdaje sprawę z doświadczeń, które robiła systematycznie nad sobą ¹⁾).

Widzenie Nr. 7. Kawałek ciemnego muru, pokrytego kwitnącym, białym jaśminem. Pytam samą siebie, gdzie dzisiaj spacerowałam. Na razie nie pamiętałam miejsca, na którym widzieć mogłam taki widok, bardzo rzadki na ulicach Londynu. Postanowiłam nazajutrz powtórzyć dzisiejszą przechadzkę i uważnie przyglądać się murom, skoro będą pokryte zielonością. Najbliższy poranek rozwiązał zagadkę. Odnalazłam akurat to samo miejsce, widok zaś jego wskrzesił w pamięci inną jeszcze okoliczność, mianowicie, że kiedy tamtędy przechodziłam, rozmowa z towarzyszem przechadzki pochłaniała całą moją uwagę.

Widzenie Nr. 68. Nieuważnie zniszczyłam pewien list, nie zachowawszy adresu osoby, która go pisała. Pamiętałam hrabstwo, wy-

¹⁾ *Proceedings of the Society for Psychical Researches*, tom V, artykuł *Recent experiments in Crystall vision*. Porównaj także Adeline v. Vay *Visionen in Wasserglasse* 1869—1875.

szukałam na mapie nazwisko miasteczka, obce dla mego ucha, ale co do którego byłam pewna, że przypomnę jego brzmienie, gdy ujrzę je na papierze. Lecz nie miałam żadnego środka odgrzebania w pamięci domu i ulicy. Naówczas przyszło mi na myśl użyć kryształu, jako sposobu odzyskania utraconej wiedzy. Niebawem ujrzałam tam w głębi *H. House*, szaremi literami na tle białem. Nie mając nic lepszego, wysłałam listy pod takim adresem. Upiął dzień jeden lub dwa. Otrzymuję odpowiedź; na górze stało *H. House* takimi samymi czcionkami na białym papierze.

Rzecz przybiera niekiedy pozory bardziej złożone. Komuś np. ukazało się w kryształach zdanie:

Wanted a someone to join
a private circle, must be willing
to give themselves up to the subject,

napisane odwrotnem pismem. Ale byt tych widziadeł, wyrazów i t. d. nie jest przedmiotowy, tylko podmiotowy. Jak dowiodły szczegółowsze studia, mogą to być wrażenia zapomniane, lecz wskrzeszone przez pamięć w całej swojej rzetelności i realizmie—nieświadoma cerebracya, jak wykrztusza czyjeś nazwisko, tak samo uzewnętrznia zarysy przedmiotów i osób. To znowu ukazujące się widziadła są tworem rozigranej wyobraźni, która zaledwie wątłą nitką wiąże się ze światem rzeczywistym. Bądź co bądź, jednak zdolność tę miewania wizyj można wyzyskać dla celów praktycznych. Świadczą o tem powyżej już przytoczone przykłady. Studya prof. P. Janet'a, których wyniki przedstawił on na międzynarodowym zjeździe psychologii doświadczalnej w r. 1892, usuwają wszelką wątpliwość, jaką ktoś jeszcze żywił-by co do tego. Badał on hallucynacje, wywoływane wpatrywaniem się w gładką powierzchnię, i wykazał, że sztuka lekarska może ze skutkiem korzystać z tych stanów duchowych. Lunatycy np. po naturalnym ataku letargii cierpią na utratę pamięci. Sadzał ich do pisania automatycznego lub wpatrywania się w kryształ: jeden z pacjentów w powierzchni gładkiej odczytał treść zapomnianą listu. Są osoby, opętane przez pewną ideę, która nie zarysowywa się jasno w umyśle. Usposobienie chorobliwe ujawnia się w niejasnej obawie, w nieokreślonych hallucynacjach słuchu i t. d. Janet naówczas używał kryształu dla odkrycia nieznanego sprężyny strachu. Posadził np. pewnego młodzieńca, dotkniętego takim niewypowiedzianym niepokojem. Pacjent ujrzał w kryształach pożar, którego kiedyś był świadkiem. Hallucynacje słuchu, jakie miewał, odtwarzały szum płomieni!

Okazało się, że pod pokładem świadomej jaźni tkwiła ukryta obawa ognia i męczyła go niewypowiedziana i nieuświadomiona.

Innemi słowy, dawne praktyki czarodziejów i wróżbitów są prze-wybornym środkiem wydobycia najaw obrazów i assocyacji, które spo-czywają w naszej umysłowości zapomniane lub nieznanne. Wróżby mogą być prawdą!

Obrazy, oglądane w gładkiej powierzchni, występują tam, jak gdy-by objawiały się z pośród „obłoków“. „Biorę kryształ—ktoś opowiada¹⁾—niosę go w ciemny kąt pokoju lub obwijam czemś ciemnem, pozostawiając tylko niewielki kawałek, jeśli zaś jest on małych rozmiarów, trzymam w dłoni. Po paru minutach spostrzegam tam jasne światło, które znika wkrótce, powierzchnia staje się mętną, zachmurzoną. Mgła ta prześwieca przez szkło. Wśród niej widzę litery, twarze, widoki. Trwają one parę sekund, niekiedy zaś minut. Światło mgliste przedziela jedne od drugich obrazy, które po sobie nastają. Można mniemać, że kryształ jest kulą świetlaną²⁾. Ktoś inny dodaje³⁾, iż obrazy w kuli odznaczają się realizmem, „jakiego nie doznaję, mając oczy zamknięte.“ „Widzę w kryształe przedmioty wyraźniej, niż wtedy, kiedy-bym wywoływała je w swojej wyobraźni—pisze jeszcze ktoś inny³⁾. Jestem znana ze słabego wzroku. Myśląc o kimś, raczej odtwarzam dźwięki jego głosu, niż rysy twarzy. Wątpię, czy choć raz jeden w życiu wskrzesiłam w pamięci gromadkę poruszających się osób. Przy krótkim wzroku, rzadko nosząc okulary, nie odbieram wyraźnych obrazów. Ale wpatrując się w kryształ, widzę tam sceny tak dokładnie, jak gdy-bym miała okulary“.

Myers⁴⁾ badał przymioty fizyczne osób, które mogą coś widzieć w kryształach. Ulegając jego namowom, około 50 znajomych robiło próby. Dziesięciu odniosło pewne rezultaty, t. j. coś widziało. Pro-cent to znaczny, wynikający stąd, że psycholog-mystyk angielski badał osoby, odznaczające się już takim lub innym uzdolnieniem do automa-tycznego wykładowywania stanów umysłowych. Były to wszystko kon-tytucyje silne, zdrowe, bez śladów histeryi lub ubóstwa duchowego—*la misère psychologique*, że użyjemy utartego terminu. Jedna z tych osób traciła wszelką zdolność widzenia obrazów, ilekroć ulegała nie-mocy fizycznej. „Co do mnie⁵⁾—mówi ona—doświadczenia z krysz-

¹⁾ F. H. Myers. *The Subliminal Consciousness* (Proceedings of the Society for Psychological Researches, VIII, 500).

²⁾ Ibid. 474.

³⁾ Ibid. 499.

⁴⁾ Ibid. por. 470, 471.

⁵⁾ 484.

tałem nie były wynikiem ani przyczyną choroby. Cztery lata, w ciągu których zajmowałam się tego rodzaju studjami, należą do najzdrowszych w mojem życiu—dodajmy, że osoba ta umiała zachowywać powściągliwość w swoich studjach. Widziałom towarzyszy niejedno-krotnie ból głowy i nawet stan bezwładny, choć nie zawsze i nie u wszystkich¹⁾.

VI.

Słuchowcy.—Cerebracya żywiłowa, ujawniająca się w hallucynacjach dźwięku.—
Próby i doświadczenia nad muszlami.

Gdy piszę jakąś scenę, mówił Legouvé do Scribe'a, słyszę ją, pan zaś ją widzisz. Przy każdym zdaniu, które piszę, głos osoby przemawiającej dźwięczy mi w uchu. U pana, który jesteś wcieleniem sztuki teatralnej, aktorzy chodzą. Poruszają się oni w oczach pańskich. Ja jestem słuchaczem, pan widzem.

— Nie słuszniejszego, odparł Scribe. Czy wie pan, gdzie znajduję się, pisząc sztukę? Pośrodku parteru!

W rozmowie tej uwydatniła się różnica pomiędzy dwoma odmieniami typami: wzrokowym i słuchowym. Natura słuchowca polega na silnem napięciu, oraz pamięci odpowiednich wrażeń. Opowiadają o pewnym dyrektorze orkiestry w Paryżu, że czytając partyturę na piśmie, słyszał jednocześnie, jak gdyby w uchu nie tylko akordy i ich szeregi, lecz także brzmienie instrumentów²⁾. Jest rzeczą prawdopodobną, że wśród tego rodzaju osób żywiłowa cerebracya przybiera charakter złudzeń słuchowych: dźwięków, głosów, wołań. Zresztą nie konieczne trzeba być słuchowcem, ażeby ulegać takim hallucynacyom. Prawdopodobnie niejednemu z czytelników zdarzyło się, że w ciszy nocnej, i nawet wśród gwaru dziennego, słyszał dokładnie, jak ktoś wołał na

¹⁾ „Kiedy senność mnie ogarnia, wiem, że ukażą się natychmiast widziadła, i tracę normalną świadomość. Że istotnie jest to utrata świadomości, mam na to dowody, bo razu jednego żona była ze mną w pokoju i rozmawiała. Nie otrzymała odpowiedzi na jedno zapytanie. Obawiając się, że stało mi się coś złego, wstrząsnęła ciałem mojem. To mnie obudziło“, *ib.*, 517. Ktoś inny powiada: „Jestem w normalnym stanie podczas wpatrywania się; nie we śnie, ani w transie, świadoma wszystkiego, co dzieje się dokoła“, *ib.*, 500.

²⁾ Fr. Queyrat. *Wyobrażenia u dziecka i jej odmiany*, 55.

niego lub szeptał radę. Demon Sokratesa miał taką, nie zaś inną naturę!

Mistycyzm nie omieszczał wyzskać dla swoich celow także tej formy wyładowywania stanów bezwiednych. Starożytność, oraz dzisiaj istniejące ludy, posługują się nieświadomą cerebracyą, działającą za pośrednictwem organów słuchu, dla wróżb i poznania przyszłości. U Greków i Rzymian, u Chińczyków i Hindów istniały lub istnieją podobne praktyki. Przysłuchiwano się szelestowi drzew w lesie i łowiono uchem szum sitowia nadrzecznego, bo wierzone, że wśród tej naturalnej melodii zadźwięczeń może głos wyraźny bóstwa. Przykładano do ucha wielkie muszle morskie i oczekiwano rady, która stamtąd wychodziła niekiedy. Cygani węgierscy jeszcze dzisiaj tak wróżą: bóg wiatrów objawia swoim ulubieńcom wolę i daje radę głosami w muszli.

Doświadczenia, systematycznie robione nad „mówiącemi muszłami“; wykazały, że praktyka czarodziejów i wróżbitów nie była pozbawiona podstawy faktycznej. Muszla istotnie dawała rady! Rzecz cała, że były one nie dziełem przyczyn zewnętrznych, ale głosem, wychodzącym z jaźni samego szamana. P wna osoba, której studia nad wpatrywaniem się w gładką powierzchnię zwierciadła zużytkowaliśmy już poprzednio, rozpoczęła badania na cerebracyą żywiółową, występującą w formie złudzeń słuchu.

Doświadczenia okazały się bardzo nużącemi. Już podczas pierwszego usłyszała ona monotony szum, który przypomniiał jej lata dzieciństwa, spędzone nad morzem, i jednostajną melodyę fal, uderzających o wybrzeże. Szmer ten zjawiał się w późniejszych próbach i tworzył jakby przygrywkę do dźwięków wyraźnych, członkowanych. Rezultat kilkunastu doświadczeń dowiódł stanowczo, że wróżbici, którzy posługiwali się muszłami dla otrzymania natchnienia, i w szumie trzciny, kołyszącej się pod podmuchem wiatru, łowili głos duchów. działali w dobrej wierze i mieli prawo powołać się na fakty.

W kilku razach dały się słyszeć wyraźne głosy. Były to ustępy prozą lub wierszem, rozkazy napisania listu lub wysłania ekspedycyi, kawałki rozmów, przyczem nieświadoma cerebracya wywlekała z ukrycia rzeczy zupełnie zapomniane lub nieobecne w świadomości w chwili danej. Podczas innych prób dźwięczały fragmenta koncertów lub oper, pamięć zaś, żywiółowo występująca, okazała się lepszą, niż zwykła, zwłaszcza zaś nieskończenie trwalszą i subtelniejszą¹⁾.

¹⁾ *Proceedings of the Society for Psychical Researches*, VIII, 493—498.

VII.

Choroby osobowości i cerebracya nieświadoma.—Hypnotyzm i sztuczna produkeya medyków.—Żywiółowa cerebracya jako klucz do odcyfrowania tajemnic psychiki.—
Ogólne uwagi.

Istnieją szczególne zaburzenia psychiczne, znane pod nazwą chorób osobowości. Ribot poświęcił temu przedmiotowi specjalną rozprawę, oraz nsiłował zanalizować zmiany fizyologiczne, na których podłożu ukazują się takie rozprzężenia duchowości ludzkiej. Dotknięty tego rodzaju niemocą, zapomina kim jest, nawet swojej przeszłości, natomiast przywłaszcza inne nazwisko, charakter jego ulega zmianie. Osoba fizycznie jest ta sama, lecz pod względem psychicznym przedstawia zgołą inną indywidualność.

Zjawiska, nad któremi zastanawialiśmy się w toku naszego artykułu, wprowadzają nas właśnie w sferę podobnych stanów duchowych. Nie chodzi nam bynajmniej o zbadanie przyczyn fizyologicznych, od których zależą interesujące nas przebiegi. Dla naszych celów dość będzie zaznaczyć, iż żywiółowa cerebracya jest objawem, pokrewnym chorobom, może ściślej: zmianom osobowości, bo sam fakt nie koniecznie musi być chorobliwy, choć zawsze jest niezwykle. Niektóre z spośród rozpatrzonych stanów są niewątpliwie chwilowem zatarciem jaźni naszej i polegają na zastąpieniu codziennej świadomej cerebracyi przez wyladowywanie się assocyacyi żywiółowych, które zagarniają pod swoją wyłączną władzę całe duchowe jestestwo medyków. W tym rzędzie trzeba zamieścić transe mówne, gdy „duch“ opanowuje jaźń czyjąś i przez usta obezwładnionego wygłasza sentencye i wróżby. Do tej kategorii objawów winniśmy zaliczyć także niektóre przypadki pisanania automatycznego, up. gdy „Dickens“ brał kogoś za rękę i kończył utwór, który został przerwany w pośrodku, z powodu śmierci powieściopisarza angielskiego. Często jednak assocyacye, zjawiające się w czyjejsz duchowości podczas seansów i niekiedy przybierające charakter całości skoordynowanej, zwartej a samoistnej, istnieją obok zwykłej świadomości lub odbywają się w stanie jakby pół-omdlenia. Z pod nóżki stołu lub z pod ekierki wychodzą moraly i przestrogi, w gładkiej powierzchni kryształu ukazują się widziadła. Odznaczają się one przecież taką samodzielnością, że osoba, której ducha są to płody, nie przyznaje ich za swoje, lecz uważa za wtretów i przypisuje im pochodzenie obce! Takie dorywcze wyladowywania, luźne wyrazy i nawet

idące spójnie nauki i rady są to zmiany osobowości *in statu nascendi*, niedostatecznie silnie i zbyt wązkim potokiem przepływające przez naszą świadomość, ażeby ją zapełniły do szczętu. Sączą się one jak rucażaj przez równinę, nie zdolny jej zalać,—obraz, który, naturalnie, ani na zdźbło nie zwiększa naszej znajomości rozpatrywanych przebiegów. W każdym razie pomiędzy żywiłową cerebracyą, a zmianami osobowości, badanymi przez psychiatrów, istnieje pewne pokrewieństwo i systematyczne a umiejętne studia nad medyami, nad charakterem stukających i piszących „duchów“, oraz kolejnością ich fanaberyi i przymiotów, oświełły-by nam nie jedną ciemnię naszego życia duchowego. Knajsa spirytystyczna, jak Garborg nazwał szamańszczyznę cywilizowaną, przekształciła-by się wtedy na rodzaj pracowni psychologicznej.

Przyjrzyjmy się niektórym wnioskom, które można wyciągnąć z tych laboratoryów nankowych, spełniających to zadanie na przekór swoim chęciom i bez zamiaru studyów. Przedtem jednak jeszcze słów kilka o naturze badanych stanów duchowych.

Owe posłania automatyczne, morały, wychodzące z pod ekierki lub dźwięki, rozlegające się w muszli, wyglądają w czyjejs jaźni jako dzieło obcej potęgi, obcej w tem znaczeniu, że za swój twór nasza świadomość ich nie przyznaje. Wyładowują się one z głębin naszego jestestwa duchowego i są po prostu produktem przebiegów fizjologiczno-psychologicznych, których istoty nie znamy. Mówimy: jaźń nieświadoma, bo to wyrażenie jest dla nas dogodne, psychologowi zaś pozostawiamy zbadanie jej istoty i właściwości. Otóż istnieje środek zmuszenia naszej psychiki do wydania z swojego wnętrza w sposób żywiłowy tego, co się tylko nam podoba. Bez pomocy „duchów“ musi ona wygłaszać zdania, pisać podsunięte morały, oglądać w kryształach nakazane widziadło. Tym środkiem jest poddanie hipnotyczne, odpowiednio stosowane. Spirytysta mógłby ujrzeć wiele ze swoich „nadnaturalności“ w pracowni psychiatry, gdyby tylko zapragnął przekonać się o przyrodzeniu „duchów“ i umiał patrzeć okiem krytycznym, niebałamutnym. Stolik tak samo wystukiwał-by posłania, z pod ołówka automatycznie wychodziły-by wróżby.

Badaniami tego rodzaju zajmowali się Piotr Janet i mistyk-psycholog Gurney.

Prof. P. Janet między innymi badał dziewczynę, podległą atakom historycznym i pozbawioną częściowo uczucia. Razu jednego, podczas snu hipnotycznego, poddał jej rozkaz, że gdy po ocknięciu jej kłaśnie 12 razy, ma natychmiast zasnąć. Po przebudzeniu Luizy—tak będziemy nazywali p. L., idąc za przykładem Myersa, który drobiazgowo analizował próby uczonego francuskiego—kiedy w najlepsze rozmaw-

wiała z kimś, Janet klasnął 5 razy. „Czy słyszy mnie pani?“—zapytał. — „Nie!“ — „A teraz?“ i klasnął jeszcze raz jeden. — „Pan klasnął!“ Doświadczenie to dowiodło, że dziewczyna nie miała najmniejszej świadomości poddanego rozkazu. Badacz francuski rozpoczął klasnięcia systematyczne, na które chora nie zwracała po dawnemu żadnej uwagi, lecz swoją drogą wpadła w stan bezwładny za dwunastem uderzeniem. Działała pobudka, tkwiąca w jaźni bezwiednej! Innego razu podczas snu rozkazał jej, że gdy on klasnie, ma napisać wyraz *Bonjour*, później zaś list cały. Luiza, choć dokonała rozkazów na jawie, nie miała świadomości o swoich czynach i gdy jej pokazywano dowody, nie chciała wierzyć! Wreszcie poddano jej ideę, że na zażycie Janet'a ma po ocknięciu pisać odpowiedzi.

Dziewczynka jest w stanie normalnym, lecz pisze automatycznie, nieświadoma tego, co ukaże się z pod ołówka.

— Czy słyszysz mnie? — pyta się Janet.

— Nie! — brzmi odpowiedź na papierze.

— Ale skoro mi odpowiadasz, ktoś musi mnie słyszeć.

— Niewątpliwie!

— Więc jak to robisz?

— Nie wiem!

— Przecież musi ktoś mnie słyszeć!

— Tak.

— Któż więc?

— Nie Luiza!

— Więc ktoś inny, może Blanka? (Janet podsuwa dziewczynie pierwsze lepsze nazwisko dla ochrzczenia cerebracyi nieświadomej).

— Może Blanka.

— Blanko, czy słyszysz mnie?

— Słyszę.

Narzucono więc dowolnie pewną osobowość dla stanów żywiłowej cerebracyi. Lecz nazwisko to z pewnych powodów nie spodobało się chorej, i automatycznie wybrała inne, Adryanny. Powstała nowa indywidualność, o której Luiza nie zgola nie wiedziała. „Adryanna,“ dziecko pomysłów Janet'a, pisała nieco odmiennym charakterem, miała świadomość o pewnych bardzo przykrych wypadkach w dzieciństwie, zapomnianych przez Luizę, przedewszystkiem zaś posiadała czucie mięśniowe, na którego brak cierpiała dziewczyna. Przypuśćmy—powiada Myers,—że charakter pisma Adryanny przypominał rękę któregoś ze zmarłych krewnych, że pod opowiadaniem o katastrofach, których była świadkiem w domu babki, podpisała się ta ostatnia zamiast figurowania tam nazwiska, narzuconego przez Janet'a; załóżmy jeszcze, że to wszystko dzieje się w otoczeniu spirytystycznym. Adryanna sta-

ła-by się naówczas „duchem,“ i spirytyści mieli-by jedną okazję więcej podziwiania płodów własnego nieuctwa ¹⁾).

E. Gurney zrobił parę jeszcze bezpośredniejszych doświadczeń — z deszczulką ²⁾). Hypnotyzował on różne osoby, i podczas bezwładności polecał im, że po przebudzeniu mają pisać takie-to sentencye, strofki i t. d., a ku wielkiemu zdziwieniu niektórych, ręka ich pisała automatycznie, przyczem ktoś opowiada, że, gdy położył dłoń na deszczulce, czuł, że jakiś impuls fizyczny ciągnął go do narzędzia, i że ów popęd właśnie „ze sprzętu wychodził.“ Zahypnotyzowanym między innymi dyktowano cyfry, nakazywano je dodawać, lub pomnożyć, i budzono po poddaniu takiej sugestyi — działania arytmetycznego dokonywał umysł bezwiednie, i ręka pisała automatycznie jego rezultat. Wynik był niekiedy zły, częściej dobry, choć zadanie było nieraz dość złożone, np. trzeba było pomnożyć 358 przez 9.

Za pomocą poddania hypnotycznego możemy więc w czyjejs jaźni stworzyć stany duchowe, których badana osoba nie uznaje za swoje własne. Atoli różnica pomiędzy żywiółową cerebracyą, która wyładowywa się samoistnie, oraz takimi przebiegami, podsuniętymi podczas uspienia, jest znaczna, nie tyle ze względu na naturę objawów, ile co do stosunku ich do jestestwa duchowego badanych pacjentów. W razie hypnozy jest to przypadkowy stan ducha, narzucony przez kogoś, tymczasem w naturalnie powstałej działalności żywiółowej ujawniają się pokłady nieświadome, które tkwią w jaźni jako jeden ze składników charakteru i umysłowości. Doświadczenia hypnotyczne rzucają wogóle światło na naturę ludzką, cerebracya zaś, która dobywa się z głębin naszego „ja,“ odznacza się charakterem mocno indywidualnym i oświetla nam kryjówki czyjejs duchowości. Zresztą nie chodzi nam o tę stronę badanych objawów. Poprzestaniemy więc na ich ogólnem zaznaczeniu i, odśloniwszy nieco pokrewieństwo istniejące pomiędzy wyładowywaniem nieświadomej cerebracyi, a poddania hypnotycznego, przejdziemy do przedstawienia niektórych wyników, jakie nauka może wyciągnąć z rozpatrzonych doświadczeń spirytystycznych.

W zwykłym, świadomem życiu, jesteśmy, że użyję wyrażenia Arystotelesa, „zwierzęciem politycznym,“ t. j. kierujemy się pewnemi zasadami moralnemi, względami obyczajności lub obawą kary. Powściągliwość i hamulce, nałożone przez otoczenie społeczne, znikają podczas snów: jesteśmy tam sprawcami czynów najniedorzeczniejszych, obowiązki dla nas nie istnieją. I nietylko zabarwienie społeczne naszej ja-

¹⁾ *Revue philosophique*, XII, 1886.

²⁾ Patrz tom IV: *Proceedings of the Society for Psychical Researches*

źni przeinacza się podczas życia sennego, ale skłonności i pociągi uczuciowe, sposób rozumowania, upodobania estetyczne, wszystko to ulega zmianie kompletnej. Struktura ducha naszego jest prostsza, naiwniejsza. Niektóre utwory Maeterlincka wprowadzają nas właśnie w sferę dramatów życia takiego. Jego *Siedem królewien* są niczem innym, jeno odtworzeniem podobnych widziadeł. I styl jest odpowiedni, że tak powiem senny... „Widzę! widzę! widzę, widzę je wszystkie siedem!.. Jedna, dwie, trzy... cztery, pięć, sześć, siedem... nie poznają ich prawie, nie poznają ich wcale... Och, jakżeż one białe, wszystkie siedem!.. Och! jakież one piękne wszystkie siedem!.. Och, jakież one blade wszystkie siedem!.. Ale dlaczego one śpią wszystkie siedem?..” Rażące podobieństwo z tym ustępem, lecz tylko podobieństwo, nie zaś tożsamość, przedstawia większość sentencji i morałów, wróżb i przestroż, wychodzących z pod nogi stolików pukających, lub ręki, piszącej automatycznie. Przy pewnej wprawie można odróżnić styl rzeczywistych cerebracyi od szalbierstw wydrwigroszów, taka istnieje różnica. Przytoczyliśmy już próbki jego, gdyśmy mówili o obcowaniu przyjaciela Garboga z opatem Wormem. „Jestem Worm. Chcę udać się do Ramstedów. Chcę pisać ręką Lei. Chcę ukazać się jako biały gołąbek. Chcę mówić, gdy ptak będzie w pokoju.“ I nie tylko forma stylistyczna sentencji, nie tylko sposób wiązania myśli i tok rozumowania przypominają nasz żywot senny, ale także odbywa się tam to samo ujawnianie ukrytych instynktów, nieuświadomionych popędów, uczuć tajonych, obaw niejasnych. Widzieliśmy już, jak prof. Janet korzystał z gładkiej powierzchni zwierciadła, ażeby odkryć przyczynę pewnej manii, trapiącej któregoś z pośród jego pacjentów. Tak samo cała istota „Adryanny,“ tej sztucznej osobistości, stworzonej na oczekaniu, ześrodkowała się około wrażeń dzieciństwa, nieznanych Luizie, lecz tkwiących w ukryciu i będących źródłem niepokoju. Obserwowanie kogoś ze znajomych podczas posiedzenia spirytystycznego, naturalnie, jeśli ów ktoś jest „medyum,“ oraz poddanie analizie jego bezwiednych postępów i wyrażań, może dać nam głębsze pojęcie o podłożu emocjonalnem jego charakteru, aniżeli lata wspólnego pożycia.

Bezwiedne pokłady jaźni organizują się podczas transów w samodzielną osobowość, która odróżnia się od świadomej istoty duchowej każdym swoim szczegółem. Ale zanim taka sztuczna indywidualność utrwali się, trzeba na to dłuższego czasu. U poczynających medyków można obserwować, jak tam w głębi tworzy się parę ośrodków koordynacyjnych. Jądrem powstającej osobowości bywa często błahy szczegół: pamięć o pewnem wydarzeniu w dzieciństwie, przywiązanie do kogoś już nieżyjącego, pociąg fizyczny, zapomniana umiejętność któregoś języka, przypadkowo usłyszane nazwisko. Jak w rozczyinie doko-

ła zarodkowego kryształu rośnie organizowana materya martwa, tak samo powstaje sztuczna indywidualność w głębi jaźni bezwiednej i utrwała się. Atoli zdarza się, iż zjawia się jednocześnie parę ośrodków, i każdy z nich zaczyna spełniać zadanie organizującego zarodka. Nastaje walka pomiędzy nimi, ujawniająca się w sposobie wyładowywania cerebracyi żywiłowej. Współzawodnictwo to przybiera rozmaite formy. Jedna część zorganizowanych w odrębną osobowość pokładów dyktuje wzniosłe sentencye, tymczasem druga zaczyna z uienacka psocić, podsuwać najgorsze niedorzeczności i wszeteczeństwa. To „złe duchy“ psują robotę! To znowu zorganizowane ośrodki są pod względem moralnym tej samej wartości, i nie można przeciwstawić ich nawzajem jako siły dobre i złe, czyste i nieczyste. Na seansie zabiera więc głos gromada duchów, niekiedy przekomarzających się podczas całego posiedzenia; czasami jeden z pośród nich jest głównym aktorem, inni zaś jak w dramacie klasycznym stanowią chór gwarny, z którego ten zrobi luźną uwagę, inny poda radę, lub chociaż dowiedzie swojej obecności pewnym zakrętasem na papierze, znanym jako jego słabostka. Bywają wypadki, że któreś z takich podrzędnych jąder organizacyi pokładów bezwiednych potężnieje z biegiem czasu i odsuwa na bok inne a dotychczas pierwszorzędne, to zaś zwolna rozprzega się i zanika, lub nawet zjawia się zgola nowy ośrodek. Zdarza się, że istnieje parę ośrodków współrzędnych, ukazujących się jeden po drugim. Tam pod progiem świadomości, wiążą się w zwarte pasmo pewne asocjacje idei i wogole stanów duchowych, dobierają siebie nawzajem i ujawniają swoją obecność, każde jako odrębna indywidualność. Rozporządzamy opisem ciekawych doświadczeń nad pisaniem automatycznym. Robił je brat z siostrą, trzymając deszczulkę jednocześnie, to znowu oddzielnie. Po pewnym czasie zorganizowało się aż dziewięć osobowości: jedna pisywała wyłącznie, gdy brat był sam jeden, cztery zaś głównie z nim, jedna głównie z siostrą, reszta, gdy rodzeństwo robiło doświadczenia pospołu. „Wszystkie one pisały własnym stylem, mającym mniej lub więcej wyraźne cechy. O ile można wnioskować, nie było różnicy w stylu, jeżeli pisał ten sam duch z bratem lub siostrą.“ Jeden z pośród nich wziął za swój ośrodek znajomość utworów poetyckich. Inny przybrał niezwykle brzmiące nazwisko i pisał w nieznanym języku, okazało się potem, że po hindusku, oraz że nazwisko jego znaczyło „pan książąt.“ Osoba, która robiła doświadczenia, miała osiem miesięcy, gdy rodzice jej opuścili Indye Przedgangesowe! Dźwięki wtedy zasłyszane, dotrwały w nieświadomych pokładach jaźni i wy dobyły się stamtąd podczas cerebracyi żywiłowej, przyczem przyczyniły się do powstania specjalnej indywidualności. „Osobowości te odznaczają się trwałością bytu. Są one jak gdyby w uśnieniu, lecz

gotowe w każdej chwili ujawnić swoje istnienie przez charakterystyczną działalność. Każda z nich posiada własną fizyognomię, oraz dobrą pamięć o swoich ubiegłych postępkach. Odnosimy wrażenie, że ma ona własną wolę. Niekiedy nie zjawia się, chociaż ją przywołujemy, jedna zaś odchodziła zawsze z hałasem¹⁾. Jeszcze charakterystyczniejszym zjawiskiem jest jednoczesne wyładowywanie paru niezależnych nawzajem cerebracyi żywiółowych. „Widziałem — ktoś opowiada — jak Mansfeld pisał jednocześnie oświadczenie dwu duchów: jedno prawą ręką, drugie lewą. Zajęty w ten sposób, prowadził jeszcze ze mną rozmowę, którą rozpoczął przed tem podwójnem pisaniem.“ „Byłem świadkiem — podaje Crookes — jak miss Katie Fox automatycznie udzielała rad komuś z obecnych, jednocześnie komuś innemu i o zgoła odmiennym przedmiocie odpowiadała wypisywaniem abecadła, co jej nie przeszkadzało podczas całego posiedzenia prowadzić rozmowy z kimś trzecim o kwestyi, nie pozostającej w związku z dwiema tamtymi.“

Pokłady nieświadome jaźni, dochodzące do głosu za pośrednictwem cerebracyi żywiółowej, wydobywają na jaw fakty i umiejętności, zdumieniem przejmujące tę osobę, której wnętrza są to wytwory. Powszechnie są znane fakta żywotnej pamięci: chory, będący w gorączce, wygłasza np. kazanie w obcym języku. Okazuje się, że służąc u kogoś, słyszał on, jak ten przygotowywał się do swoich obowiązków. Dźwięki te zakrzepły w jaźni, i pamięć po latach wielu odtwarza to, co chory ongi zasłyszał, choć nie zrozumiał tam ani odrobiny treści. Rozpatrywaliśmy także, w toku naszych wywodów, niektóre objawy tej zdolności, która dla nieuków musi zakrawać na cudowną. Tylko co za znaczyliśmy, że ktoś, wywieziony z Indyi Przedgangesowych w ósmym miesiącu życia, zapamiętał mechanicznie parę zdań i wyrazów w języku hinduskim i ujawnił je podczas pisania automatycznego. Wybraliśmy także pewne doświadczenia z kryształem, uwydatniające właśnie ten przymiot żywiółowości intelektualnej — odgrzebywania rzeczy zapomnianych i wykrycia nieświadomych impulsów. Ale tem nie ograniczają się zdolności pokładów bezwiednych. Pozostawiamy na uboczu wyładowania genialne, które wychodzą z pod pióra poetów, lub zostały wcielone w kompozycjach artystów i w uogólnieniach uczonych. Możemy rzec bez przesady, że najcenniejsze utwory myśli są częściej dziełem roboty nieświadomej umysłu, niż świadomej. Lecz nie o twory

¹⁾ Fr. W. H. Myers. *Automatic Writing*. Proceedings of the Society for Psychical Researches, IV.

geniuszów nam chodzi, ale o zwykłych śmiertelników, którzy pół-mającą, zalani potokiem dreszczów nerwowych i porodem cerebracyi żywiółowej. Prócz wybryków pamięci, występuje tam, w tej malignie automatyzmu duchowego, nieraz dziwna moc kombinowania faktów, dosięgająca poziomu wieszczego. Zastanawiając się nad pisaniem automatycznym, przytoczyliśmy rezultaty czyjegóż przesiadywania z duchami: „opat Worm“ odznaczał się głębszą znajomością charakteru wuja pana Z., aniżeli on sam, i udzielał mu rad bardzo trafnych. Przypisują powszechnie kobietom bezwiedny dar obserwacyjny, oraz instynktową umiejętność odgadywania charakterów. Ów instynkt jest niczem innym, jeno uzdolnieniem do kombinowania bezwiednego. Tam, w głębi jaźni nieświadomej, odbywają się powiązania i assocjacje idei, powstają nigdy może nieświadomione syllogizmy, nawet ostateczne wyniki takiego rozumowania pozostają nieraz ukryte na zawsze. Żywiółowa cerebracya zmusza je tylko niekiedy do wyjścia na światło dzienne, lub wydobywa nawet całe przebiegi myślowe. Głosy te są niekiedy bardzo cennie przestrogami, powściągi automatyczne wstrzymują rękę naszą od spalania banknotu, idyotyczny stolik i nie mądrzejsza ekierka, podniecając ukryte właściwości, mogą wygłaszać rady bardzo rozsądne! Szamanizm, posługujący się systematycznie podobnemi środkami, był w życiu pierwotnem, odznaczającem się prostotą stosunków, instytucją „wieszczą“, dostarczającą nieraz pożytecznych wskazówek.

*

*

*

Na tem zakończymy naszą wycieczkę w sferę mistyczną. Głob ziemski we wnętrzu swoim wre i kipi. To wrzenie tylko niekiedy uwidoczni się w sposób namacalny trzęsieniami i potokami lawy. Coś podobnego przedstawia jaźń ludzka. Świadome jej stany są tylko drobnym ułamkiem w naszym życiu duchowem. Pod tą górną warstwą odbywają się nienastające, przed nami ukryte, przebiegi, zachodzą tam skojarzenia pojęć i dobór wraz ze współzawodnictwem wzajemnem, zabierają głos różne potrzeby. Tylko wyjątkowo wydobywają się one na powierzchnię w charakterze idei świadomych. Mistycy zmuszają organizm pewnych osobistości do takiego wyładowywania stanów ukrytych.

Poddając szczegółowiszemu rozbirowi niektóre stany duchowe, uwydatniające się podczas seansów spirytystycznych, pragnęliśmy przedewszystkiem wykazać, że nie są one tworem sił nadprzyrodzonych, ale przeciwnie, dadzą się racjonalnie wytłómaczyć tylko na podstawie psychologii fizyologicznej. Wprawdzie stosowane przez nas terminy

nie zawierały w sobie pierwiastków natury fizyologicznej i posługiwały się często wyrażeniami metafizycznymi, ale było to rzeczą konieczną: wzięliśmy „jaźń świadomą“ i „bezwiedne pokłady,“ jako kategorie dane, istniejące, pozostawiając innym ich analizę. Na seansach wodzi spirytystów za nos ich własne nieuctwo. Ale, bądź co bądź, za cenę rozstrojonych nerwów i steranego zdrowia, nagromadzili oni zasób cennego materiału, z którego nauka skorzysta prędzej lub później w sposób może niezbyt miły dla mimowolnych eksperymentatorów. Jednocześnie dowiedliśmy, że szamanizm oddawna korzystał z żywiłowych stanów ducha, i nawet, dodajmy teraz, usystematyzował empiryę swoją w stałą umiejętność. Z tego, co wiemy o organizacyi kapłaństwa wśród Zuniów w N. Meksyku, co na podstawie pewnych wzmianek wolno przypuszczać o magach Egiptu i Babilonu, możemy wnioskować, że tresowali i ćwiczyli oni medya wróżbiarskie rozsądniej i przedewszystkiem umiejętniej, aniżeli mistycy nowocześni. Medyum ówczesne przytem inaczej patrzyło się na swój zawód. Wierzyło, że jest przybytkiem duchów, nie pozwalało sobie na błazeństwa, nie rozpuszczało chuci swoich i instynktów fizycznych.

Jeszcze jedno. Bynajmniej nie roszczę pretensyi do wyczerpania zjawisk, których widownią są seanse spirytystyczne. Ograniczyłem się jedynie rozbiorem działalności tak zwanych „niższych duchów.“ Są jeszcze objawy wyższe: stukanie w odległości, światelka, lewitacye. Co jest tam prawdą, co fałszem, trudno mi wyrokować, nie zbadawszy dokładnie przedmiotu. Dotychczasowe studia nad temi zjawiskami usposobiły mnie raczej sceptycznie. Ażeby jednak oddzielić tam ziarno od plew i wydrzeć tę sferę, o ile i jeśli istnieje, z rąk szalbierzów i nieuków, na to trzeba większej odwagi cywilnej, niż jaką odznacza się dzisiaj świat naukowy. Powiedzenie Wundta, iż pozostawia ten przedmiot do zbadania prestidigitatorom i kuglarzom, jest charakterystyczne. Nie tyle w niem przebija się lekceważenie pewnej dziedziny, ile bojaźń kompromitacyi swego nazwiska. Pomoc kuglarzy może być pożyteczna, ale tylko wtedy, gdy na czele będą szli badacze, wyszkoleni w ścisłej metodzie i hołdujący poglądom naukowym.

L. KRZYWICKI.

Stanisław Tarnowski.

O DRAMATACH SCHILLERA.

1896.

Schiller u nas nie jest popularny, bo niepopularny u nas jest wogóle dramat. Uprzystępnic ogółowi dramat może tylko teatr, polskie zaś sceny spadły obecnie do poziomu zwykłych przedsięwzięć handlowych, uprawiających przy pomocy krzykliwej reklamy wyłącznie prawie farsę, oraz operetkę. Ważna czynność kulturalna, jaką wszędzie indziej spełnia teatr, u nas spada jedynie na barki piszących. Słusznie więc w swej książce o Schillerze prof. Tarnowski za cel sobie postawił wskazać i wytłumaczyć polskiemu czytelnikowi te poetyckie piękności, jakie tkwią w utworach największego z dramaturgów niemieckich. Wskazówek takich ukształcony nasz ogół potrzebuje bardzo.

Ważną jest ta okoliczność, iż pierwsza obszerna książka o Schillerze w piśmiennictwie naszym nie jest przekładem, lub przeróbką, lecz studjum oryginalnem. Niemcy w swym słusznym pietyzmie dla twórcy *Wallensteina* są często bezkrytyczni. Porywa ich nie tylko młodzięczy polot wyobraźni Schillera, ale zachwyca także jego mgliste marzycielstwo, mania filozofowania i nadmierna cudłostkowość. Przy całej nieklamanej czci dla Schillera, prof. Tarnowski bynajmniej nie przepuszcza jego brakom, śmiało wytyka wady, przez co zalety tem widoczniejszemi się stają. Więc choć nam autor tłumaczy w przedmowie, dla jakich powodów, on, cudzoziemiec, śmie pisać o dramatach

Schillera, „kiedy zajmowało się tym przedmiotem przez wiek cały tylu najuczestniejszych i najbystrzejszych“, my takie usprawiedliwienie uważamy za zbyt uczynne, gdyż właśnie cudzoziemskie prace o śpiewaku *Dzwonów* są częstokroć ciekawsze od niemieckich, bo są bezstronniejsze.

W dziele swem występuje prof. Tarnowski wyłącznie jako estetyk i sądzi artystę ze stanowiska sztuki, a nie filozofii, jak-by to uczynił Taine, lub polityki, jak zawsze robi Brandes. To nie doktryner prawi o poecie, nie ideolog, podsuwający mu własne myśli, lub chłосzczący go za rzekome winy względem socyologii, fizyologii, anatomii lub higieny; lecz piękno analizuje wytworny znawca piękna, estetyk, obdarzony subtelną wrażliwością, pewną dłońią wyławia z utworów niemieckiego dramaturga perły natchnienia i ukazuje je czytelnikowi. Prof. Tarnowski należy do szczupłej liczby krytyków, zdających sobie jasno sprawę z istoty piękna i zadania sztuki i wiedzących, czego należy wymagać od pisarza-artysty.

Nie dał się także autor opanować modnej dziś, a tak pojętej syntezy krytycznej. Oczywiście, że dla utalentowanego krytyka wdzięczniejsze to zadanie odtworzyć na podstawie utworów duchową postać ich autora, dać sylwetkę artystyczną pisarza i, badając siłę twórczą, tworzyć samemu. Nie wątpimy, iż krytyk sprostał-by takiemu zadaniu, gdyż nie obca mu metoda syntezy. Ale wówczas polski czytelnik małą-by odniósł korzyść, bo dowiedział-by się, czem był sam Schiller, a nie czem są jego dzieła, których nie zna, i które przedewszystkiem uprzystępnąć mu należy. Trafnie zatem wybrał autor drogę analizy, i w swej książce dał nam krytyczny rozbiór dramatów Schillera. Ani myślimy robić mu z tego zarzutu, iż w książce jego nie znajdujemy śladu szeroko dziś stosowanych dociekań przyczynowości zjawisk literackich, tłumaczących, dlaczego dany utwór takim jest, a nie innym, dlaczego innym być nie może; przeciwnie, poczytujemy to krytykowi za zasługę, iż pisząc o mało znanych u nas dramatach Schillera, po staremu podnosił zalety, wytykał wady, tłumaczył piękności, uczył, kształcił, oświecał czytelnika, i niemal za rękę wprowadzał go w niedostępną dlań krainę fantazyi. Może praca prof. Tarnowskiego nie jest wyrazem najnowszych zdobyczy naukowej krytyki literackiej, ale jest za to bardzo pouczającą, niezmiernie ciekawą i więcej wartościową od wielu głośnych dzieł, pyszniących się etykietą naukowości, a właściwie podszytych doktryną.

W chronologicznym porządku, tak jak się ukazywały, rozbiera krytyk dramaty Schillera. Więc kolejno następują po sobie: *Zbójcy*, *Fresco*, *Intryga i Miłość*, *Don Karlos*, *Wallenstein*, *Maryja Stuart*, *Dzieciwu Orleańska*, *Nurzeczona z Messyny*, *Wilhelm Tell* i *Dymitr*. Zau-

ważymy tu, iż najslabsze z tych utworów najbardziej są popularne. Nie „Wallensteina“ lub „Maryę Stuart,“ ale „Zbójców,“ „Intrygę i Miłość,“ „Dziewicę Orleańską“ czyta i pochłania młodzież, bo Schiller jest przede wszystkim poetą młodości. W miarę, jak umysł dojrzewa, zapal do Schillera stygnie i zazwyczaj wielbiciele jego sprzeniewierzają mu się dla Szekspira, którego ongi lekceważyli, bo go nie rozumieli. Przy bujnych Szekspirowskich kreacyach, jakże mdło wyglądają figury Schillera! Jego sentymentalne Amalie i Luizy muszą ustąpić miejsca ognistej Julii, lub demonicznej lady Makbeth. Trafnie zaznacza to krytyk: „Mówią o Schillerze, że to poeta czuły i sentymentalny, w sam raz dla młodzieńczego, a nie dla męskiego wieku, i w tym tylko młodym wieku lubiony i wielbiony. Daj Boże, żeby takim był zawsze, bo gdzie wiek młody karmi się Schillera ideałami i na nich się kształci, tam wiek męski nie upadnie w oschłość, ani w sceptycyzm, ani w egoizm, ani w znikczemnienie. I nieraz, kto w latach dwudziestu przepadał za Schillerem, a w trzydziestu o nim zapominał, albo się na niego lekko uśmiechał, ten, gdy zupełnie dojrzeje, przekonywa się, ile ma mu do zawdzięczenia i uczy się podziwiać i cenić, nie już, jak za młodu, jego piękne uczucia i wiersze tylko, ale jego wielką mądrość i prawdę.“

Tej mądrości i prawdy najwięcej jest w „Wallensteinie,“ to też krytyk wysuwa tę trylogię na czoło utworów Schillera, nazywają ją najdoskonalszą tragedią nowożytną, zaznacza, iż jej budowa, wykończenie, forma i sceniczność wyższe są, doskonalsze niż w sztukach Szekspira, „a każda figura, każda sytuacja i scena, jest rozważona i wymyślona mądrze, a wykonana przepysznie, z miarą, z życiem, z najszcześniejszym połączeniem prawdy i poezji.“ Trylogię swoją nazwał Schiller „ein dramatisches Gedicht,“ gdyż czuł doskonale, iż „Obóz,“ „Piccolomini“ i „Śmierć Wallensteina“ nie wiążą się we właściwą trylogię tragiczną, jak ją pojmowali Grecy. „Ale czemkolwiek jest i jakkolwiek się nazywa, jest ten „Gedicht“ jedną z wielkich rzeczy na tym świecie.“ To pewna.

Do Cezara i Napoleona porównywa krytyk bohatera wojny trzydziestoletniej, ale widzi w nim więcej zmysłu moralnego, więcej pierwiastków głęboko ludzkich, niż posiadali tamci. Najtragiczniejszym jest oczywiście „wielki hetman i rokoszanin“ w akcie trzecim, gdy bije w niego klęska po klęsce, a wszystkie rachuby zawodzą. Tak ponurym i milczącym, jak Wallenstein po odwrócenie wojska, mógł być chyba jeden Napoleon, gdy schodził z pola bitwy pod Waterloo. „Tragiczniejszego niż trzeci akt Wallensteina niema nic w dramacie świata i może niema nic wspanialszego; są tylko rzeczy równe, choć inne, piękniejszych niema.“

Po mistrzowsku nakreśleni są obaj Piccolomini, Oktawio i Max, ojciec i syn. Pierwszy, milczący dyplomata, napozór bierny, bez patetyczności i wdzięku, a przecież tragiczny; drugi, bohaterski kochanek, nazbyt liryczny i sentymentalny, ale mimo tej nadezłości nawskroś poetyczny. Krytyk wysoko podnosi tę kreację: „Gdzie jest drugi taki, jak on, kto-by go potrafił pokazać? Nie — drugiego Maxa niema na świecie. Jest dużo bohaterów miłosnych, jest Romeo; ale takiego drugiego, który, będąc w dramacie figurą poboczną, nie miał-by nic do działania, który, reprezentując w tym dramacie czysty głos sumienia i honoru, nie miał-by innego zadania, tylko wybierać pomiędzy honorem i sercem, a który w swoim rycerstwie i w swojej miłości był-by piękniejszy, podobno niema. U Schillera z pewnością nie.“

Zdaniem krytyka, przywiązanie Maxa do Wallensteina łągodzi twardą, ambitną naturę wielkiego rokoszanina, który, nie zdając sobie z tego sprawy, kocha szlachetnego młodzieńca, ma w nim upodobanie, jak ojciec w synu, i tęskni po jego odjeździe. „Bardzo rzadki jest w poezyi żal mężczyzny za mężczyzną,“ powiada krytyk, a przecież w życiu nierzadko się zdarza. Tęsknota Wallensteina za rycerską męskością, uosobioną w Maxie, „zdolność kochania“ rzuca słoneczny blask na posępną postać hetmana, i czyni go sympatycznym w chwili śmierci. Chwałą jest Schillera, że umiał wytworzyć w stosunku Maxa do Wallensteina sytuację piękną, wzruszającą a nie zużytą, i że ją jak mistrz wykonać potrafił.

Szczegółowo a z wielką bystrością rozbiera prof. Tarnowski akt po akcie, figurę za figurą trylogii i wreszcie przychodzi do takiej konkluzji: „Szczytem doskonałości w dramacie nowożytnym jest „Wallenstein.“ Szekspir jest dla naszego artystycznego wykształcenia, dla naszego pojęcia dramatu, przy całej swojej wielkości i swoim genialnym instynkcie tragika, nie dość artystycznie wykończony; dla naszego stopnia cywilizacji za twardy, za szorstki. „Higenia“ jest zbyt grecka, treścią i formą zbyt od nas odległa, doskonała, cudowna, ale niektórym tylko dostępna. „Tasso“ tak samo. „Faust“ jest dramatycznym poematem, ale nie jest tragedją w ścisłym znaczeniu słowa. Późniejsze dramata Schillera, jak to się niebawem pokaże, nie są już na tej wysokości, już południe jego geniuszu przeszło i z zenitu schodzi on nieznacznie ku schyłkowi. Wszystkie warunki psychologicznej i moralnej prawdy, mądrości, szlachetnej formy, tragicznej treści i wrażenia, ideału i rzeczywistości, patetyczności i miary, łączy i ma w tym stopniu tylko „Wallenstein“ jeden. To jest dramat, jak być powinien, dramat odpowiadający wszystkim potrzebom, spełniający wszystkie żądania wysoko cywilizowanej epoki, wysoko pojętej i wykształ-

conej sztuki. To jest dramat typ, to jest król poezyi dramatycznej, jeżeli nie nowszych wieków, to przynajmniej na wiek XIX."

Jeżeli „Wallenstein” jest arcydziełem Schillera, to rozbiór tej trylogii przez prof. Tarnowskiego śmiało nazwać można znakomitem studyum krytycznem. Przypomina ono najlepszą pracę, jaka dotąd wyszła z pod pióra krakowskiego krytyka: rzecz o „Nieboskiej.” Wytrawny smak estetyczny, gust wyrobiony na najlepszych wzorach, wielka wrażliwość artystyczna, bystre oryentowanie się w szczegółach i śmiałe objęcie przedmiotu, wreszcie jasna świadomość zadań sztuki złożyły się na wytworne znawstwo, tak rzadkie dziś między nami, cechujące prace głośnego krytyka. Zwłaszcza zaś w rozprawach o „Nieboskiej” i o „Wallensteinie,” krytyk, porwany wielkością przedmiotu, ujawnił wszystkie te zalety swego pióra w sposób, rzec bez przesady można, świetny.

W rozprawie o „Nieboskiej” stosował krytyk bardzo trafnie metodę syntezy, i poemat ten, będący właściwie genialnym szkicem, objaśnił, uzupełnił, odtworzył. Z „Wallensteinem” postąpił sobie prof. Tarnowski inaczej. Tu miał do czynienia z dziełem pełnem, skończonem, wypracowanem w najdrobniejszych szczegółach. Poszedł zatem drogą analizy i dał mistrzowski rozbiór trylogii. Ta umiejętność stosowania właściwej metody według potrzeby świadczy o niepospolitym talencie krytycznym autora.

Po „Wallensteinie” drugie miejsce wśród dramatów Schillera wyznacza prof. Tarnowski tragedyi klasycznej: „Maryi Stuart.” Przedmiot to jakby stworzony dla Schillera, który umiał i potrafił ukazywać ludzi w nieszczęściu, ludzi szlachetnie cierpiących. Królowa szkocka, więziona, skazana z pogwałceniem prawa narodów i stracona na rozkaz rywalki, w oczach Europy współczesnej i w sądzie potomności była i jest nieszczęśliwą ofiarą przemocy. A Schiller pojął i stworzył w swym dramacie tę postać tak, że już do końca świata taką zostanie. „Cokolwiek historia odkryła lub jeszcze odkryje, cokolwiek o Maryi Stuart powie, ludzie zawsze już tę tylko będą widzieli i znali, jaką skreślił Schiller. Jego ulubiona zasada, z Arystotelesa wyciągnięta, że poezya jest prawdziwsza od prawdy samej, tym razem stwierdziła się zupełnie. Marya Stuart Schillera nie da się zwyciężyć tej Maryi Stuart, jaką opisują historycy.”

Krytyk upatruje w „Maryi Stuart” podobieństwo do dramatu francuskiego. Sztuka ta przypomina tragedye Corneille’a i Racine’a, lecz „pierwiastku dramatycznego i prawdziwej patetyczności jest tu więcej, niż we wszystkich razem tragediach francuskich.” Forma sztuki klasyczna, jedność czasu i miejsca zachowana. Tu i owdzie czuć retorykę,

przemówienia przechodzą w tyradę. Prof. Tarnowski porównywa ten dramat do róży w całym blasku, ale zupełnie już rozkwitej. Nadto braknie w nim działania i woli. Główna bohaterka dramatu potrafi cierpieć i z heroizmem wejść na rusztowanie, ale w tej śmierci i cierpieniu jest bierną. „To jest powód z dodatkiem może zbyt rozwiniętego, zbyt obszernego traktowania każdej sytuacji z osobna i charakteru więcej już typowego, niż indywidualnego osób, dla którego „Marya Stuart.” choć może więcej klasyczna, nie jest tak tragiczną, tak wielką, jak „Wallenstein.”

Na to zdanie trudno się nie pisać, ale prof. Tarnowski robi poecie drugi zarzut jeszcze, o wiele cięższy, a przecież niesłuszny. Królowa Marya, jak wiadomo, bardzo romansowa w życiu, w dramacie Schillera, już uwięziona i nieszczęśliwa, jeszcze kocha, kocha Leicestera, ulubieńca królowej Elżbiety. Staje zatem między temi dwiema kobietami nie tylko różnica wiary, narodowości i charakterów, ale staje jeszcze mężczyzna. To obniża, zdaniem krytyka, poziom tragiczności samej sztuki. ubliża nadto kobiecej godności głównej heroiny. Z wielkiej sprawy dwóch narodów i dwóch wier Schiller jakoby zrobił małą sprawę dwóch kobiet, kłócących się o pięknego gacha. Zapewne, że tracą na tem dwie idee, uosobione w walczących z sobą dwóch królowych, ale za to one same na tem zyskują, bo są więcej ludzkie, więcej kobiece. Gdyby Schiller odjął był tę jedyną namiętność ziemską uwięzionej i nieszczęśliwej królowej Szkocyi, „rozanielił-by” ją nadmiarę, zrobił-by z niej abstrakcyę szlachetności i godności i zabił-by w niej wszelką indywidualność, a typu nie stworzył. Poeta dał swojej bohaterce tyle cnót, że ta jedna wada, namiętność, słabostka, była niezbędną, była rysem koniecznym w rysunku postaci, która inaczej w mgłę-by się rozwiała. Schiller wszak tak często grzeszy niepoetycką dążnością do abstrakcyi, tak rad stwarza figury ideowe bez krwi i kości, jak markiza Pozy w „Don Karlosie,” że tam, gdzie czyni ustępstwa na rzecz prawdy ziemskiej, głęboko ludzkiej, tyle w poezyi požądanej, tam przecież zarzutu z tego czynić-by mu nie należało.

W rozprawie o „Narzeczonej z Messyny” bardzo umiejętnie streszcza krytyk głębokie poglądy Schillera na sztukę, w szczególności na dramat. Gdyby te idee bardziej były rozpowszechnione i znane, może nie powstała-by niejedna naiwna teoria estetyczna. To, co Schiller myślał o istocie dramatu, godne jest zaznaczenia i dziś jeszcze na czasie. „Dzisiejszy dramat i dzisiejszy teatr—powiada poeta—przez to, że szuka koniecznie i przede wszystkim podobieństwa do prawdy, do rzeczywistego życia, poprzestaje na prawdopodobieństwie, na pozorze, na złudzeniu, jest sam pozorem i złudzeniem prawdy. Trzeba się wznieść nad przesąd, trzeba raz mieć odwagę i śmiało poznać prawdę,

zrozumieć, że nie chodzi w sztuce o śladowanie, ani o złudzenie rzeczywistego życia, tylko o rzetelną prawdę tego życia idealnego, które w sztuce jednej ma swój wyraz i objawienie. Jeżeli raz zechcemy zrozumieć, że nie chodzi o złudzenie i udanie (niemożliwe nawet) tego, co w powszednim życiu widzimy, ale o rzeczywistość tego, co jest w ludzkiej naturze, w ludzkim świecie i jego prawach, choć dla nas w poszczególnych, codziennych fenomenach tego życia niewidzialne wtedy przestaniemy żądać od teatru i od dramatu mizerynych złudzeń i złudnego podobieństwa do prawdy, złudnej naturalności." Jak widzimy, wysoko trzymał Schiller sztandar poezji, walczył z „przesądami” — bez skutku. Przesady estetyczne wzmogły się za dni naszych, jak nigdy przedtem. Cała falanga artystów, pisarzy, muzyków, malarzy pojmuje hasło „prawda w sztuce” w dosłownem, ciasnem znaczeniu, i usiłuje udawać naturę, wykrzywiając niemiłosiernie jej oblicze. Ta okoliczność, iż poeta do celów swoich używa form świata rzeczywistego, niejedyn talent zniżyła do poziomu fotografa, lub kopisty. Dla Schillera to podobieństwo do rzeczywistości było nieszczęsne i nienawistne. Nieszczęsne, bo istotnie obniża sztukę; nienawistne, bo umysły naiwne i niekształcone prowadzi na bezdroża i wyradza teorye estetyczne, zarówno potworne, jak śmieszne.

„Narzeczonej z Messyny” przyznaje krytyk styl wspaniały, wielkie rozmiary figur, uroczystość i majestat w przemówieniach chóru, mądrość w maksymach i sentencyach. Mimo te wysokie zalety, jest „Narzeczonej z Messyny” płodem poronionym, fałszywym w założeniu, anomalią w nowoczesnej tragedyi, głównie wskutek sztucznego wprowadzenia chóru. „Jest to niedorzeczność najwspanialej napisana w całej poezji świata,” konkluduje krytyk.

Dlaczego? Czy źle pomyślana bajka do tyłu obniżyła utwór? Przecież dziwną bajkę mamy w „Fauście” i w „Królu Learze.” Forma tragedyi, choć antyczna, przecież doskonała, przyznaje to prof. Tarnowski. Czemu więc „Narzeczonej z Messyny” jest najmniej lubianym, najmniej czytany z dramatów Schillera? Bo grzeszy brakiem szczerości. We wszystkich swych utworach jest Schiller zawsze szczerzy, przemawia z niekłamanym zapalem młodości, z entuzjazmem nieudany do wszystkiego, co poecie wydaje się szlachetnem i pięknem. „Narzeczonej z Messyny,” kunsztowny utwór refleksyi, nie natchnienia, płód dojrzałego, mądrego umysłu, tłumiącego polot wyobraźni, nikogo nie porwie, nie wzruszy, nawet nie zajmie naprawdę. Poezji nie robi się na zimno.

Poglądy prof. Tarnowskiego na inne dramaty Schillera przytoczymy w streszczeniu, gdyż bystre są i trafne, i rozpowszechnienia godne. Młodzieńczy utwór Schillera „Zbójcy,” sądzi krytyk surowo, po-

wiada wprost, że sztuka ta nie ma sensu i ze zdumieniem zapytuje, „jakim sposobem tragic jeden z największych na świecie mógł taką napisać, jakim sposobem umysł i zmysł moralny, jeden z najwyższych i najszlachetniejszych, mógł taki pomysł począć i wydać?” A przecież ten jaskrawy melodramat, kreślony grubemi rysami, naiwny w założeniu i pełen straszliwych nieprawdopodobieństw, spadł jak piorun na publiczność, bo z wielką siłą namiętności dotykał palących kwestyi epoki. Tak porwał, oczarował, zachwycił widzów, tak się podobał, takie zrobił powszechne i gwałtowne wrażenie, że aż się Goethe zachmurzył. Ślad lwiego pazura w dramacie, „który zresztą mógł-by nie być napisany przez Iwa,” widzi krytyk w kreśleniu postaci Karola Moora, oryginalnej i świeżej. Jako czarny charakter występuje Franciszek iście z demoniczną siłą, a sen jego „jest tak opowiedziany obrazowo i tak straszny, tło ostatecznego sądu rzucone tak wielkimi rysami, strach zbrodniarza i jego zbrodnie na tem tle takie przejmujące, że z tego jednego fragmentu każdy rozumny człowiek poznać-by musiał, iż to pisać mógł tylko poeta prawdziwy.”

Mimo te zalety „Zbójcy” zdaniem krytyka nie dochodzą godności tragedyi, ale stylem, charakterem i rozmiarami osób przypominają dramat mieszczański. W każdym razie utwór ten, choć nieoryginalny, bo zapożyczony z Szekspira (Edmund i Edgar w Królu Learze), jest poetycznie silny, historycznie bardzo ciekawy.

„Fiesko,” to najszabsza sztuka Schillera. Z wyjątkiem jednej figury murzyna, nakreślonej znakomicie i rozumnie pomyślanej postaci samego Fieska, wszystkie inne kreacye chybione są i blade, a najbardziej chybiony — Verrina. W sztuce tej słyszy się wprawdzie włoskie nazwiska, ale niema Włoch, ani obrazu epoki. Kobiety dramatu, to Niemki z małego miasteczka, Burgognino przypomina bursza. Bez tragicznej piękności, bez potężnego zapалу, właściwego dramatom Schillera, „Fiesko” do wieńca sławy poety nie przysporzył ani jednego listka.

„Intryga i Miłość” to znowu dramat mieszczański. Rodzaj to przeciwny pojęciu i prawom sztuki. „Dramat z potocznego życia, *das bürgerliche Drama*, czy on pisany przez poważnych Niemców, jak Lessing, Schiller lub Hebbel, czy przez Francuzów mniej lub więcej szarlatanów, jak Dumas ojciec lub syn, jak Soulié, jak *tutti quanti*, jest rodzajem w sztuce niskim i fałszywym, jest przeciwnym jej naturze, jest poezją bez poezyi.” A nie dlatego, że pisany prozą, nie dlatego, że zazwyczaj przedstawia losy i cierpienia ludzi zwykłych, a nie królów lub bohaterów, lecz głównie dlatego, że styl, w którym figury poczęte są i nakreślone, mały jest i płaski.

Najzupelniejszą przyznajemy słusność tym uwagom krytyka, wydaje nam się jednak, że ogólnie przyjęta nazwa „dramat mieszczań-

ski," oznaczająca sztuki z potocznego życia, źle rzecz maluje i w błąd wprowadza. Tak zwane sztuki mieszczańskie nie zawsze są osnute na tle mieszczańskiego, potocznego życia, przeciwnie, często przedstawiają świat arystokracji, a nawet mają monarchów za swych bohaterów, jak jedna z ostatnich komedyi Wiktoryna Sardou. Mimo różnice tematów, sztuki owe należą do jednego typu, bardzo dziś popularnego na deskach teatrów, lecz nie zgoła niemającego wspólnego ze sztuką właściwą. Łatwo je poznać na scenie i w czytaniu, gdyż wszystkie powstały bez współdziałania artystycznej fantazyi. To stanowi ich cechę charakterystyczną. Bez twórczej siły, jaką jest wyobraźnia, czeże i bezduszne w sobie, stoją tak zwaną scenicznością. Zmysł sceniczny, obycie się autorów z technicznymi warunkami teatru, zastępują w tych utworach natchnienie, a powierzchowna obserwacya — twórczość. Jest to więc literatura właściwie nie mieszczańska, lecz nawskroś filisterska, bo bez polotu i bez fantazyi, literatura robiona przez autorów-filistrów dla filistrów-widzów. A że ogromna większość publiczności, aktorów, nawet krytyków, składa się z dusz filisterskich, z umysłów pospolitych, pragnących nie świata, lecz „półświatka" sztuki, żądających od sceny odtworzenia mizernych szczegółów ciasnego, potocznego życia, pokazania zwykłego człowieka wśród drobiazgowych trosk, zabiegów, radości i smutku, broń Boże, nie oblaných blaskiem fantazyi, nie spotęgowanych siłą natchnienia, a kunsztownie oddanych wierszem, lecz odfotografowanych bezdusznie, z tak zwaną prawdą, z prozaiczną pospolitością — więc też rodzajowe dramaty i komedye tak wszechwładnie panują na scenie, tak są lubiane i oklaskiwane przez widzów, poprawnie grane przez aktorów, dobrze rozumiane przez recenzentów. Dlatego też Sardou bije na scenie Szekspira, a Dumas syn zwycięża Schillera.

Duchem filisterskim technie „Intryga i Miłość," ale przecież zawsze to dramat, pisany przez wielkiego poetę. Choć powszedni realizm przeciwny był naturze Schillera, marzyciela i idealisty, „dramat mieszczański udał mu się dobrze, przynajmniej nikt dotąd, zdaniem krytyka, lepszej, a choćby tylko równej w tym rodzaju sztuki nie napisał.

„Don Karlos jest pierwszą tragedją, jaką Schiller stworzył. W „Zbójcach," w „Fiesku," w „Intrydze," był poetyczny talent, poezi nie było jeszcze. „Don Karlos" jest słupem granicznym w zawodzie Schillera, zamyka pierwszą epokę młodości, zapowiada przyszłą zupełną dojrzałość, a sam należy do obu, z obiema ma coś wspólnego. W historyi tragedyi mało jest dzieł tak szlachetnych, tak wzruszających, jak „Don Karlos." Młodzieńczy zapał, jakim technie dramat od początku do końca, tragiczna fizyognomia króla, poetyczny wdzięk jego żony, szczerosc i uczucie Pozy i Carlosa budzą sympatyę i podziw.

Stosunek tylko Carlosa do królowej nie jest traktowany przez poetę dość subtelnie. „Dziwne jest — powiada krytyk — że Schiller nie dał mu tego delikatnego uczucia, tego zmysłu moralnego, jaki ma Zbigniew Słowackiego w miłości do swej macochy: Zbigniew, którego ponury smutek i zacięte milczenie są i wymowniejsze, i bardziej patetyczne od wszystkich Don Carlosa wybuchów miłości i rozpaczy, o tem już nie mówiąc, że od nich szlachetniejsze. Nie można równać „Mazepy” z „Don Karlosem,” ale ten stosunek, tak strasznie drażliwy, miłość pasierba do macochy, traktował Słowacki delikatniej, niż Schiller.”

Podania o Dziewicy Orleańskiej i Wilhelmie Tellu nie nadawały się do dramatu. Prof. Tarnowski odmawia obu tym sztukom pierwiastku tragicznego. Choć krytyka niemiecka stawia „Wilhelma Tella” bardzo wysoko między dziełami Schillera, choć czasem przyznaje mu nawet pierwsze miejsce, nie trudno spostrzedz, że „Tell” nie jest dramatyzmem arcydziełem, lecz w dyalogowej formie eposem bohaterskim. Sam Tell jest jednostajny i beczynny, jak beczynnymi i jednostajnymi są Stauffacher, Fürst, Melchtal i wszyscy sprzysiężeni. Akcja toczy się powolnym prądem, jakby płynąć miała spokojnie i poważnie przez dwadzieścia cztery pieśni bohaterskiego poematu. Powolności takiej nie znosi tragedia. „Szybko, z ponurym szumem wichrów, pędzić i zbijać się zwykły i powinny złowrogie chmury, brzemienne gradami, grzmotami i piorunami dramatu.” Za dużo opisów, za mało faktów w sztuce. Nawet sławny monolog Tella bezpośrednio przed zabiciem Gesslera nie jest wewnętrzną walką sumienia z zamierzonym czynem, lecz jest tylko wyliczeniem motywów czynu. Oczywiście, że w „Wilhelmie Tellu” są rzeczy świetne, są przepiękne ustępy, ale one w poemacie opisowym były-by na swoim miejscu i właściwe wywoływały-by wrażenie.

To samo stosuje się do „Joanny d'Arc.” To także przedmiot do epepei. Nadto pierwiastku dramatycznego, jaki podawały dzieje, Schiller nie wyzyskał, to zaś, co sam wymyślił i do sztuki wprowadził, tragicznem nie jest. Główną postać dramatu, Joannę d'Arc, krytyk uważa za zupełnie chybioną. Filozof niemiecki i protestant nie mógł wyobrazić sobie cadu, ani go przedstawić. „Na to trzeba samemu wierzyć, na to nie dość nawet być chrześcijaninem, trzeba być katolikiem. Calderon był-by potrafił napisać „Dziewicę Orleańską” tak, że jej charakter cudowny był-by jaśniał całym swoim nadprzyrodzonym światłem.”

Z fragmentów, jakie po Schillerze zostały, krytyk obszernie rozbiera „Dymitra.” Ułomek to niepospolitej wartości, świadczący, że dramatyczny geniusz poety nie słabnął, jakby po ukazaniu się Dziewi-

cy Orleańskiej sądzić można było, lecz przeciwnie, w chwili zgonu Schillera był w pełnej sile. Długie opowiadanie Dymitra w scenach początkowych jest dramatyczne, napisane wspaniale, a wielka scena między Hiobem i Martą najtragiczniejsza w całym teatrze świata, świeci jak brylant w koronie Schillera tak wielki i jasny, że przy samym „Wallensteinie“ nawet nie gaśnie.

Po Schillerze, zdaniem krytyka, nie było już wielkiego dramaturga. Schiller postawił tragedję na wysokościach, nad które ona w naszym wieku wyżej się nie wzniosła. Jeżeli twórca „Wallensteina“ nie porywa dziś tłumów, to tylko dlatego, że nie przemawia do naszych chwilowych usposobień i gustów. Ale do natury ludzkiej, dopóki ona swych szlachetnych pierwiastków nie straci, Schiller przemawiać zawsze będzie. Tej potrzebie wzniosłości i piękności, jaka w nas tkwi, jego poezya odpowiada w takiej mierze, jak mało która na świecie.

„Dla tego nie jest anomalią i anachronizmem w naszych czasach Schillera wspominać, o nim myśleć, mówić i pisać, jego stawiać przed oczy czytającym i piszącym.”

Temi słowy kończy prof. Tarnowski swą niepospolitą książkę o dramatach Schillera. Cel, jaki autor sobie wytknął: postawić i wytłómaczyć wielkie wzory sztuki „czytającym i piszącym,” najzupełniej został osiągnięty. Nie jest prof. Tarnowski krytykiem czasów najnowszych, doktrynerem rzucającym bałamutne hasła, lecz estetykiem wytrawnym, głębokim badaczem zjawisk literackich, dokładnie znającym ich istotę i prawa. Prof. Tarnowski przedewszystkiem uczy i kształci czytelnika. A kunsztowność wykładu i wielki talent pisarski sprawiają, że książka wysoce jest zajmująca. Język autora pełny, obfity, jasny, nierzadko świetny, połyskuje bogactwami mowy naszej. Często ta wytworna proza wzbiera jak rzeka i wylewa się za brzegi. Czasem wydaje się, że krytyk nazbyt szafuje zasobami języka, że się unosi nad miarę. Ale to przedmiot porywa krytyka, to tak nim miota fala natchnień poety, którego on odczuwa i rozumie, jak mało kto u nas.

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Teodor Wierzbowski powtórnie wydał: „Napomnienie polskie ku zgodzie, do wszech Krześcijanów wobec, a mianowicie ku Polakom uczynione.“

Biblioteka hr. Czarneckiego w Rusku dostarczyła p-rowi Wierzbowskiemu, już drugi raz w stosunkowo krótkim czasie, ciekawy materiał do wydawnictwa rzadkich przedruków z literatury naszej ubiegłych wieków. Broszura, pod powyżej zamieszczonym tytułem, wyszła pierwotnie w roku 1545, a przedruk jej dokonany został z jedyne go egzemplarza, jaki się w Rusku zachował.

Oto, co nam o autorze w treściwej przedmowie podaje pr. Wierzbowski: Walenty Chorąży, Polak, służący aż w Belgii, pod sztandarami Karola V, zapewne jest historyczną osobistością, ale że on nie jest autorem „Napomnienia,“ „o tem wątpić nie można.“ Pióro całkiem nie dowodzi wojennego temperamentu i animuszu; zanadto uczony również jest ten wojak, zna bowiem listy ś-go Pawła, cytuje zdania Homera, Platona i Wergiliusza; przytacza także kilka przykładów, świadczących o większej znajomości historii, zarówno polskiej, jak powszechnej.

„Napewno twierdzić można, że autor traktatu nie był osobą stanu duchownego, gdyż o jubileuszach, o polityce papieskiej i o duczo-

wieństwie, wyraża się dosyć ostro. Styl utworu ciężki jest i niewyglądony: ani w porównanie iść może z wydaną o dwa lata wcześniej mową Orzechowskiego.— Natomiast pod względem leksykalnym, traktat na większą zasługuje uwagę. „Napomnienie“ składa się z dwóch części. W pierwszej, wstępnej i krótszej, autor zachęca do zgody chrześcijańskie państwa i narody, specjalnie zaś nakłania do niej Polaków, i widoczna, że idzie mu o jak najszersze koło czytelników, skoro powiada: „acz snadź i po łacinie bych umiał, wszak że ci wszech dolega, lepiej jest, aby czedł każdy bez tłumaczenia.“

„Celem owej zgody jest oczywiście wojna z Turkami, ale autor dyplomatycznie unika jasnego wypowiedzenia tej myśli nawet w drugiej części traktatu swego, gdzie samą „zgodę“ wprowadza na scenę, by własnymi słowy wykazała, jakie korzyści z niej wypływają, i jakim sromotnym upadkiem zagrażają wszystkim chrześcianom ich wzajemne spory i walki. Jest to niewątpliwie pierwowzór Kochanowskiego poematu, noszącego ten sam tytuł: zasadnicza idea obu utworów jedna i ta sama, tendencja tylko i forma ich są różne.“

„Napomnienie,“ wydane powtórnie przez p-ra Wierzbowskiego, zasługuje niezaprzeczenie na pilną uwagę i rozbiór. Niewiadomy autor-publicysta, kryjący się pod nazwą Walentego, wyrzeka przedewszystkiem na to: „że krześcijanów ani zły, ani dobry uczynek zjednać nie może, aby z sobą długo być mogli: wszędy walczą, zawždy walczą. To wojsko zbierają, to na wojnę wołają. miasto na miasto ludzie przyjmuje, pan na pana, książę na książę, król na króla, bunt na bunt.“

„Ale mędrzej turek czyni, niż oni. Pokąd widział turek, iż nadzieja była między krześciany pokoju a zgodzie, milezał, a doma siedział; gdy obaczył, że tak zadarli, że trudno się mają zjednać, po jednemu je zbiera, aż wszystkie pokłuje. Bo turek nigdy nie jedzie, jeno na okroczone zwierz, a na ponęcone ptaki, jako mądry łowiec.“

„Dla tego dobry a krześcijański pan ma się strzedz walki domowej, a chować się na nieprzyjaciela Krzyża ś-go, aby raczej ty rzezy, bez których w wojsku być nie może, bo ludzie wždy nie są angeli, działy się na gruncie nieprzyjacielskiem, niż doma, jako to widzimy, co Turek czyni. A ma się uczynić nakład, a ma się sobie ciężko uczynić, ma na ubogie ludzie podatek być: nałóżciez tam, gdzie potrzeba, nie tam, gdzie niepotrzeba, to jest na poganina.“

Myśl zdrowa, polityczna, przewodniczy niewątpliwie „Napomnieniu,“ i niewiadomy autor wykazał rozumnie choroby toczące społeczeństwo chrześcijańskie, a przedewszystkiem najważniejszą z nich, niezgodę. Z tem wszystkiem, w porównaniu z Orzechowskiego prze-

ową do szlachty, „Napomnienie“ traci dużo nawartości. Nietylko że ów niby „Walenty“ nie może się poszczycić ani tym podniosłym duchem, ani taką znajomością społeczeństwa polskiego, co Orzechowski, ale i polityczna wiedza jego jest skąpa, a obfitość donioślejszych myśli znacznie mniejsza. Pomimo to, przedrukowanie „Napomnienia“ było zupełnie na dobie, albowiem pozwoli nam ono obrachować się dokładnie ze spuścizną naszą polityczną z XVI wieku, czego dotychczas nie można było z należyłą ścisłością uczynić.

A. R.

Andrzej Niemojewski. „Listopad.“ Lwów. Nakładem księgarni polskiej. 1896.

„Listopad.“ jest to na 136 stronicach trzydzieści nastrojów w tych wizyi, obrazków przyobleczoneych nie zawsze w artystyczną formę, i malujących, lub mających malować stan duszy człowieka, wycieńczonego w pogoni za ideałem. Jakaś *ananke* nieubłagana, bezlitosna, rządzi nami, a my nie mamy sił oprzeć się jej, więc porywa nas i unosi z sobą. Przykuci do bytu na ziemi, nie możemy się od niej oderwać, i choć by nasnęciła rokoszna oaza, to spocząć nie możemy, jeno ciągle musimy dążyć: „naprzód! naprzód!“ Od miliona lat wszystkie pokolenia, wplecione w koło życia, w wirze niepoHAMowanym wciąż się toczą, nie wiedząc, ani dokąd? ani po co?

Obraz życia przedstawia autor w trywialny sposób w szkicu p. n.: „Życie.“ Jest to „beczka,“ pełna różnych kłopotów i zgryzot, którą „otyły, rubaszny mężczyzna“ stawia przy kołysce dziecka. Podrastając, widzi dziecko tę beczkę i z przerażeniem od niej się odwraca, ale ów mężczyzna uśmiecha się dobroduszenie i mówi: „pij, to twoja *porcyal*“ Wtedy zdaje się nam, że nie pomieścimy w sobie całej zawartości, ale czasem nam „rubacha“ przystawi drugą beczkę... i ta się pomieści!

Najchętniej patrzy autor na życie oczyma rozgoryczonego socjologa, przez pryzmat zaprószony pyłem kopalni, i zakopcony dymem fabryki. I te obrazki z życia górników i robotników fabrycznych kreśli prawie zawsze tylko dla końcowej zwrotki, w której stale wykazuje fatalizm życia i niemoc człowieka. I te sylwetki fabryk i kopalni byłyby może zajmujące, gdyby autor nie opisywał zbyt często i zbyt dokładnie całego przebiegu fabrykacyi na sposób dziennikarskiego sprawozdania, i wycieczek w głąb kopalni nie trzymał w tonie listu do świekry, w którym się pisze o sukni żony, o zniszczonem ubraniu i t. p.

Widzenia, w których się p. Niemojewski widocznie lubuje, są nie tyle wynikiem jego istotnie wizyonerskiego usposobienia, ile raczej majaczeniem w gorączce, lub snami umyślnie wywołanemi na jawie. Dlatego też przedstawione w nich obrazy są mgliste, niejasne, bo do ich treści nie dostarczyła motywów wielka i bujna wyobraźnia pisarza, lecz wspomnienia znanych obrazów, co widzenia owe cechują piętnem banalności. Zdarzają się wizye, w których jest wprost nielogiczność pojęć: Za krzesłami państwa młodych stoją dwa cienie. („Dwa cienie.“) Za jego krzesłem stoi „brudna nędzarka z twarzą nabręklą, trędowatą, rubaszną, hulacką, o czole nizkiem, bezumysłnem, o wzroku bezczelnym, wyzywającym, o uśmiechu cynicznym, brutalnym.“ Za jej krzesłem „cień kobiety nagiej, wątlej, suchej, o twarzy *połkojówki trochę podniszczonej*; miała ona jedno biodro znacznie wyższe od drugiego, tak, że można ją było uważać za ułomną.“ Jak można porównywać obraz duszy z fotografią ciała? Gdzie to *tertium comparationis*? I w widzeniach porusza autor naturalnie te same idee, co w obrazkach.

Ten więc przez wszystkie te szkice (może poematy prozą?) powtarzający się ton rozgoryczenia, ten jeden motyw rezygnacyi przy ubogiej fantazyi autora, zostawia jedno wrażenie: nudy. Nigdy skończona pieśń, lub choćby piśnka, zawsze tylko jeden akord w tej samej tonacyi, dla tego samego „Schlüsseffectu.“

A jednak w małym opowiadaniu „Sarenka,“ udało się panu Niemojewskiemu nie bez wdzięku oddać dziewczęce przecucia i obawy, co dowodzi pewnej subtelnej obserwacyi.

WŁADYSŁAW ORDYŃSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Okropności, których widownią stał się Konstantynopol, nie zdołały zachwiać pokojowego usposobienia wielkich mocarstw. W jednej Anglii opinia publiczna poruszyła się żywiej i rozległy się głośniejsze wołania o repressyę przeciwko niedołącznemu rządowi tureckiemu, który nie tylko dopuszcza do rzezi w stolicy państwa, ale ją nawet podobno sam urządza i popiera. Gladstone w mowie publicznej domagał się zerwania z Turcją stosunków dyplomatycznych, t. zw. mityngi oburzenia zapowiadały krucyatę przeciwko Turkom. Rząd angielski nie dał się jednak porwać temu prądowi. Przeciwnie, widząc, jaką obawę budzą za granicą te agitacye, na mocy których zaczęto posądzać Anglię o chęć wywołania wojny europejskiej, lord Salisbury wykreślił z instrukcyi swojego ambasadora przy Porcie to wszystko, co mogło prowadzić choćby do pozorów akcji odosobnionej. Obecnie ambasador stoi równo w szeregu, nie wysuwając się naprzód, ani nie ociągając się w tył za innymi kolegami.

Jakie są rezultaty „solidarnej“ postawy mocarstw wobec zamieszek tureckich? W sprawie kreteńskiej były rzeczywiście dodatnie. Dyplomaci przyczynili się do powstrzymania rozlewu krwi, do przyjęcia przez obie strony zwaśnione kompromisu, słowem do uspokojenia wyspy i zarazem utrzymania jej przy Turcyi. Ale Konstantynopol nie jest odosobnioną i mało zaludnioną wyspą. Tu trzeba było powściągać zapamiętałość samego rządu tureckiego. Przytem odjęcie Turcyi władzy nad Kretą było-by tylko—uszczerpieniem Turcyi. Czemby było odjęcie jej władzy nad Konstantynopolem? Mocarstwa rozumiały, że jeśli wejdą na drogę repressyi, to nigdy się z sobą nie zgodzą, na czem ta ma polegać, ani jak daleko ma sięgać. Wystosowano do Porty kilka cierpkich not, sułtan miał kilka nieprzyjemnych audyencyi, podczas których ambasadorowie dawali mu do zrozumienia, jak nie-dobrze się w jego państwie dzieje. Porta ze swej strony, pojąwszy, że nie należy jednak przeciągać struny wyrozumiałości europejskiej, nakazała rozległe środki policyjne przeciw ponowieniu się rozruchów i rzezi. I zaczęło się uspokajać. Sułtan wystosował do cesarza niemieckiego list, w którym zapewnia o czystości swoich zamiarów i o zyczliwszem usposobieniu dla chrześcian.

Wszystko to niezawodnie jest prawdą. Mocarstwa nie były w stanie ani sprawy ormiańskiej załatwić w roku zeszłym, ani w obecnym dalszemu jej rozwojowi zapobiedz, ani Turków od użycia barbarzyńskiego środka repressyi powstrzymać, ani wreszcie tchnąć nowego ducha w zmurszały organizm administracyi tureckiej. Nie chciały wojny między sobą, nie chciały jej i z Turcyą, bo ta prowadziła-by do tamtej. Nie chciały z tego samego powodu detronizacyi sułtana i rozbioru Turcyi. Że jednak wypadki tureckie działały podniecająco i wywoływały nie tylko oburzenie opinii publicznej w Europie, ale nawet zniecierpliwienie niektórych rządów, inne rządy całą swoją usilność skierowały do zapanowania przede wszystkim nad temi europejskimi porywami repressyjnemi, które mogły-by pokój narazić. To im się zupełnie udało i w obecnej chwili, skutkiem zgodnej postawy mocarstw, liczących się skrupulatnie jedno z drugim, pokojowi nie grożą niebezpieczeństwa inne od tych, jakie-by mogły wyniknąć z nowych lokalnych wstrząśnień w państwie tureckiem.

Jeśli wszakże wierzyć pogłoskom, gabinety, po zneutralizowaniu się wzajemnem, nie pogrążyły się w beczynności. Teraz właśnie ze spokojem zupełnym porozumiewają się w dalszym ciągu, jakie reformy i jakimi środkami należało-by zaprowadzić w Turcyi. Rozchodzi się nawet wieść, jakoby rządy rossyjski i angielski zgodziły się

na ułożony wspólnie program reform. Jak daleko program ten sięga, dotąd nic o tem nie słyhać. Można jednak być prawie pewnym, że jakikolwiek byłby, jeśli tylko zmierza do utrzymania w całości, i w lepszym niż dotąd porządku, państwa ottomańskiego, wszystkie inne wielkie mocarstwa potwierdzą go. Anglia i Rossya wyobrażają dwa przeciwne sobie prądy interesów politycznych na Wschodzie, a inne państwa grupują się bądź przy jednej, bądź przy drugiej. Gdyby Anglia i Rossya znalazły formułę postępowania, pozwalającą im wznieść się ponad sprzeczności swych dążeń i interesów, należało-by przypuszczać, że formuła owa uczyni zadość wszelkim możliwym drażliwościom i będzie mogła zostać przyjętą ogólnie. Nie mogło zresztą być, żeby mocarstwa zupełnie opuściły ręce i z obojętnym spokojem patrzyły na ten Wscdód, którego stosunki, przy dzisiejszym stanie rzeczy, podminowane są niebezpiecznemi niespodziankami. To też przypuszczenie, że obecna bezczynność dyplomacyi jest tylko pozorną, nasuwała-by się nawet w takim razie, gdyby nie było pogłosek o prowadzących się układach. Tem niechaj się pocieszają wszyscy, poczytujący obecne stosunki w państwie tureckiem za anomalię, która ani trwać, ani tolerowaną być przez rządy państw chrześcijańskich nie powinna.

Wyprawa sudańska powiodła się, jak nie można lepiej. Wojska angielsko-egipskie zdobyły Dongolę, która była właściwym celem ekspedycyi. Notabene zdobyły ją prawie bez strat w ludziach. Artylerya torowała drogę wojskom, które posuwały się naprzód pod osłoną dział dalekonośnych. To powodzenie odbiło się radosnem echem w Anglii, gdzie dzienniki zaczęły namawiać rząd do prowadzenia dalej wyprawy, chociażby już teraz na koszt skarbu angielskiego. I zdawało się w pierwszej chwili, że tak się też stanie. Obecnie jednak nadechodzą doniesienia, że posuwanie się wyprawy w głąb Sudanu zostało wstrzymane, a bataliony angielskie dostały rozkaz powrotu do Kairu.

Ta raptowna zmiana frontu wywołała ogólne zdziwienie, i nie wszyscy chcieli odrazu uwierzyć, żeby była nieodwołalnie postanowioną. Zaczęto się domyślać jakichś sprężyn ukrytych. Opowiadano o złym nastroju ludności w Kairze, o niesubordynacyi w wojsku ekspedycyjnym i t. d. Jakoż to jest niewątpliwem, że część angielska korpusu ekspedycyjnego powraca ku północnemu Egiptowi. Czy jednak jest to już naprawdę powrót wyprawy, która się dalej nie posunie? Aż do otrzymania dowodów stanowczych, trzeba to uważać za rzecz wątpliwą. Anglicy, przedsiębiorąc wyprawę do Sudanu, mieli coś więcej

na widoku, niż odebranie Derwiszom Dongoli i przywrócenie jej Egipcjowi. A choćby nawet chcieli się na razie wyrzec tych swoich rozleglejszych planów, nie wyrzekną się korzyści tak zwanego „niebezpieczeństwa ze strony Derwiszów“, które służyło dotąd za motyw przedłużania okupacji. Przerwać wyprawę po wzięciu Dongoli bez wysiłku i prawie bez rozlewu krwi, znaczyło-by to okazać, że ze strony Mahdystów Egipcjowi nie grożą niebezpieczeństwa. Do trzymania w szachu przeciwnika tak słabego wystarczyły-by wojska własne kedywa. Zapewne też żołnierze angielscy jeszcze wrócą pod Dongolę, pomimo, że z niewiadomych bliżej powodów odeszli od niej. A może to niezrozumiałe posunięcie na szachownicy egipskiej jest w jakimś ukrytym związku z polityką ogólną Anglii i z wypadkami na Wschodzie? Śmiałe to pytanie co najwyżej można—postawić.

W Paryżu podpisany został przez ambasadora włoskiego i przez francuskiego ministra spraw zagranicznych traktat handlowy włosko-tunetański. Przez traktat ten Włochy zrzekają się kapitulacji, a otrzymują stanowisko państwa „najbardziej uprzywilejowanego“; natomiast rząd francuski pozostawia dotychczasowy ustroj szkół włoskich w Tunisie, zakładów dobroczynnych i missyjnych. Traktat ten usuwa jedną z przyczyn rozterki włosko-francuskiej. Dotychczas Włosi jak gdyby ociągali się z uznaniem prawowitości protektoratu francuskiego nad Tunisem, co drażniło opinię publiczną francuską. Obecnie uznali go stanowczo. Jest do przypuszczenia, że odbije się to korzystnie na stosunku ogólnym Francji do Włoch. Wojna celna, którą dwa te państwa z sobą toczą, nietylko bez zapala lub choćby bez przekonania, ale z zupełną świadomością strat ekonomicznych, może po tym dobrym początku zgody ustąpić miejsca porozumieniu i pokojowi. I właśnie ta perspektywa naprawy stosunków włosko-francuskich podniosła zawarcie traktatu włosko-tunetańskiego do znaczenia faktu politycznego większej wagi. Znaczące przytem jest, że berlińska półurzędowa *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* ostentacyjnie akceptuje z góry tę przyszłą zgodę Włoch i Francji, jako nową rękojmię pokoju.

Spiritus fiat, ubi vult! Duch tętnął, gdzie chciał! Nie poszedł do konnat bogatych, do dworów jasnych, przestronnych. Zszedł pod niską strzechę chłopską, wstąpił do ciała pacholącego, pokierował jego fantazją i ręką, i powstał dziw! Pacholę kmiece, nie umiejące czytać i pisać, bierze w ręce masę gliny, łopatkę drewnianą i lepi. Powstają kształty, postacie, pełne życia, ruchu i prawdy: jakieś nie szablonowe, niezwykle. Duch tworzy, talent je ożywia. Ten chłopak nie pospolity, to dziecię wsi szczerzej, prawdziwie cudowne dziecię, bo przez naturę wypiełgnowane duchowo, pochodzi z okolic Ciechanowa, nazywa się Biegalski. Wynalazł go dr Rajkowski, i los jego szczerze wziął do serca. Chłopak, przyodziany w szaty świata cywilizowanego, przyjechał do Warszawy, pokazał swe roboty sztukatorowi, i otrzymał odrazu korzystne zajęcie z wynagrodzeniem 25 rs. miesięcznie. Ale, rzecz dziwna, po paru tygodniach uciekł. Nie mógł się nałamać do jednostajnej, bezmyślnej pracy rzemieślniczej. Duch jego zbuntował się, talent pokonał względy materyalne: — „Ja tego robić nie mogę! Pozwólcie mi lepić, jak mi każe moja dusza. Nie krępujcie mnie!” I pozostawiono mu znowu swobodę w rodzinie d-ra Rajkowskiego. Czytano, opowiadano legendy, czyny bohaterskie Grecyi. Chłopiec słuchał chciwie, chwycił to, co najbardziej, najgłębiej przenikało do jego mózgu i duszy i, odtwarzał z gliny, nie figury banalne, lecz całe grupy, pełne treści i wyrazu, wysnute żywo z opowiadań zasłyszanych.

Nie jestem fachowcem, nie mogę wzrokiem wytrawnego artysty-rzeźbiarza ocenić poprawności lub wadliwości linii. Ale to, com widział z próbek, danych przez Biegalskiego pod opiekę radaktorowi *Prawdy*, Aleksandrowi Świętochowskiemu, rodzi wprost zdumienie. Taka nadzwyczajna dokładność anatomiczna w mięśniach, żyłach, zgięciach stop i dłoni, taki realizm w prostej, zgrzebnej odzieży chłopca wiejskiego, grającego na fujarce, i zarazem tyle poezyi, tyle wyrazu w rysach owego grajka, że doprawdy wątpić nie można, iż w młodocianym samouku-rzeźbiarzu tkwi talent niepospolity, pełen natchnienia i bogatej fantazyi. Niech pójdą, zobaczą specjaliści i moi miłośnicy sztuki, niech pozwolą wzbudzić się nowemu [duchowi, a może będzie im wdzięczne społeczeństwo. Te próbki, których już jest sporo, warto było-by gdzie wystawić, ażeby łatwiej mogli oglądać i oceniać ci, którzy zechcieli-by pośpieszyć z pomocą. Taka wystawa była-by nie popisem pacholęcia cudownego, lecz środkiem do ocalenia i wypiełgnowania talentu.

Jechałem nad Wołgę z wielką ciekawością, po pierwsze, że miałem tam zobaczyć mniej więcej dokładne zobrazowanie ogólnego rozwoju pracy ekonomicznej, a raczej jej owoców, powtóre, że Niższy Nowogród jest bramą, prowadzącą do Azji. Wołga wraz ze swemi dopływami, to Dunaj wschodni, różniący się wszakże charakterem, rolą swoją, od pięknej rzeki zachodu. Stanowi ona główną arterję łączącą świat cywilizowany z olbrzymimi obszarami, nietkniętymi przez kulturę. Wiąże rozerwane linie kolei żelaznych i, za pomocą rozgałęzień szerokich, mieści na swym ciemno-niebieskawym grzbiecie kilka tysięcy statków, miliony pudów towaru z krain zakaspijskich i zauralskich, ze smętnej i ubogiej Północy: z po-za Permu i Ekaterynburga. Dzięki kanałom, jest to najwspanialszy, najrozleglejszy i najbogatszy „system wodny“ w całej Europie, bo łączy Bałtyk i ocean Lodowaty z morzem Kaspijskiem. W Niższym Nowogrodzie, opartym o brzegi Wołgi i Oki, zogniskował się handel szerokich obszarów państwa, przedmioty produkcji od Amuru i Kaszgar-Daryi, od Wisły i Prutu. Tutaj na jarmarku wytwórczość i interesy europejskie stykają się z azyatyckimi. Jarmark ten tworzy osobne miasto, tętniące życiem gorączkowym przez kilka tygodni po śnie całorocznym; tutaj długie ulice, złożone z samych sklepów, i wielki „dom główny“ z passażami, zapełniają się mnóstwem przeróżnych wyrobów, tkanin wschodnich, futer bogatych, galanterji, przedmiotów skórzaných, żelaznych i t. d. Tutaj kilka filii bankowych pracuje gorączkowo od rana do nocy. Ciemno-oliwkowe twarze kupców wschodnich mieszają się z tłumami nabywców, zgiełk, wrzawa, fale głosów, wymiana urywanych wyrazów różno-językowych, zachwalanie i zamiana towaru. Ten ruch, to życie przyspieszone pulsuje milionowemi obrotami, a w przystaniach na kotwicach setki olbrzymich statków towarowych i osobowych, pełnych i wyładowanych, drzemią spokojnie, po spełnieniu swej roli dostarczycieli tego zgiełku i bogactwa. Co chwila ryk i smuga dymu na szlaku wodnym daje znać, że ruch jeszcze się nie skończył, że nowe olbrzymy i gmachy pływające przybywają z towarem i ludźmi.

Jarmark, oddawna posiadający swoją tradycję, ściągający mnóstwo ludzi z odległości sześciu a nawet ośmiu tysięcy wiorst, ma gdzie pomieścić swych gości, bo posiada liczne hotele i zajazdy. Połączenie wszakże z nim drugiej uroczystości—kilkomiesięcznej—wystawy, musiało wywołać przewrót w miejscowym życiu przedsiębiorczem, całkowicie usunąć jego powszedniość. Tworząc ten popis wielki w miejscowości odległej o tysiąc kilkaset wiorst od granic zachodnich, a bardziej zbliżonej do azyatyckich, miało prawdopodobnie na względzie zbliżenie rynków azyatyckich i europejskich, przytem Niższy Nowogród jest punktem przylegającym do okręgu przemysłu wielkiego, który się sku-

pił w gubernii Moskiewskiej i Włodzimierskiej. Stosunkowo niedaleko także są rozsiane ogniska drobnej warsztatowej wytwórczości włóściańskiej („Kustarnej“). Wybrano tedy Niższy Nowogród na wystawę wszechpaństwową, nie oglądając się na inne warunki, mianowicie te, że miasto nie było przygotowane do przyjęcia wielkich mas gości, jakich z góry już się spodziewano. Pusty, obszerny plac pozamiejski, przytykający do terytorium jarmarcznego między Oką a Wolgą, wybrano na wystawę, zbudowano tam 70 pawilonów rządowych, przeważnie dużych i w znacznej części murowanych, oraz 118 prywatnych. Samą wystawę zaopatrzone w komunikację tramwajową z motorem elektrycznym. Wprowadzono również w mieście tramwaje elektryczne, oświetlono ulice elektrycznością, wreszcie ułatwiono wycieczki gościom i stałym mieszkańcom miasta za pomocą specjalnych statków na Ocie i gałęzi kolejowej od przystani do wystawy. Tuż przy niej pobudowano mnóstwo hotelów, choć drewnianych lecz kosztownych, otworzono wielką obfitość jadalni z lichą lecz drogą strawą. Przedsiębiorcy, chcąc prędko zwrócić sobie nakład, oznaczyli ceny postojów w hotelach bajecznie wysokie, kazali płacić od 3 do 10 rubli za dobę. Oprócz tego, przeróżna spekulacja rozsiadła się we wszystkich kątach, zaułkach, z zamachem na kieszenie (przybyszów). Sama wystawa skupiła w sobie wielkie bogactwo, cały postęp techniki wytwórczej z ostatniego czternastolecia (licząc od pierwszej wystawy wszechświatowej w Moskwie 1882). Przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę para i elektryczność – najpotężniejsze motory produkcji dzisiejszej. W osobnej wspaniałej hali zgromadzono różnorodne maszyny i w ruch je puszczono, kazano im pracować, piłować drzewo, tkąć i t. d., ażeby publiczność miała pojęcie o ich znaczeniu i sprawności. Olbrzymie piece naftowe pokazują całą siłę ryczących płomieni i zarazem potęgę przemysłu, którego wyroby z ognia wychodzą.

Przedstawiciele produkcji z gub. Królestwa Polskiego wzięli udział wybitny, wybudowali własne halle, własne witryny ozdobne, cenione po kilkadziesiąt, a nawet paręset tysięcy rubli, a zrobione za granicą. Chodziło o dekorację, na której tak okazałe wykonanie nie zdobyli się jeszcze najlepsi majstrowie krajowi, a zresztą możeby się nawet zdobyli, tylko że, jako nieodrodne dzieci matki niesłowności, nie zdążyli na czas wywiązać się z zadania. Królowie i królikowie przemysłu bawełnianego z Łodzi, Zgierza, Pabianic, wystawili swoje przeróżne wyroby obok wytworów gub. Moskiewskiej i Włodzimierskiej. Gdy się widzi z bliska te owoce dwu kolosów wytwórczości, współzawodniczących z sobą, uderzają w oczy zalety jednych, spostrzegają się ich i słabe, i mocne strony. Np. kangarnom z Królestwa Polskiego dorównać nie mogą wyroby moskiewsko-włodzimierskie, i na odwrót

wszelkie drukowane lekkie tkaniny, perkaliki, kretony, satynki, posiadają więcej urozmaicenia w Cesarstwie, niż Królestwie, ich zaś konsumentem jest ludność średnio-zamożna. Wytwórcy tutejsi więcej się liczą z ludnością ubogą, niż estetyką.

Inni reprezentanci kapitału wielkiego z gub. Królestwa, również okazali wystąpiłi. Widzimy tam Dąbrowę, Sosnowice, najwybitniejszych garbarzy, wytwórców machin i kotłów parowych i dzierżących prym w całym państwie producentów mebli giętych, zwracających uwagę zarówno dobrocią, jak i gustownością wyrobów. Ale gdy jednocześnie obejrzymy meble miękkie, wykonane połączonemi siłami (artelowemi), tapicerów petersburskich, gdy się przyjrzymy każdemu szczegółowi, wykazującemu rzetelność pracy, mimowoli przychodzi nam na myśl, dlaczego to u nas fachowcy z tego zakresu pracują odosobnieni. I zaraz uprzytomnimy sobie, jak każdy z nich, borykając się z brakiem kapitału, nie może ani na czas wykończyć zamówionej roboty, ani ujawnić swych zdolności. Taki brak pracy połączonej daje się spostrzeżeć i w innych działach naszej produkcji rękodzielniczej. Np. znaleźliśmy na wystawie zaledwie paru szewców naszych, starannie ukrytych, pomimo, że obuwie warszawskie jest bardzo poszukiwane w całym Cesarstwie.

Po obejrzeniu osobno wystawionej produkcji drobnej włóściańskiej, tłoczą się nam w myśli inne refleksye. Zarysowuje się sylwetka Mazura, z cechą jego niezaradności, z życiem nieprodukcyjnym lub marnem zarobkowaniem po-za pracą na roli. Zobaczmy, jakie owoce wydaje praca „Kustarów.“ W miejscowościach nieczarnoziemnych, a więc zamieszkałych przez uboższą ludność rolną, wielce się rozwinęły wyroby z materiałów leśnych, między innymi produkcya sań, wozów, kół. W guberniach: Kazańskiej, Wiackiej, Permskiej, Niżno-Nowogrodzkiej, Kałuskiej i Saratowskiej, przeszło 20,000 chat uprawia powyższe gałęzie pracy rzemieślniczej ręcznej. Ponieważ każda chata daje przeciętnie trzech robotników, więc liczba ich wynosi przeszło 60,000. Praca tego rodzaju nie wymaga osobnych warsztatów, ani urządzeń. Latem robota odbywa się pod jakąkolwiek szopą, a jesienią i zimą w tych samych izbach, gdzie mieszkają. Jak dalece kołodziejstwo jest poważnem dziełem produkcji, dość przytoczyć cyfrę ogólną w przybliżeniu obliczoną: dla ludności przeszło stu milionowej całego państwa, trzeba rocznie przeszło 20 milionów kół.

W gub. Królestwa Polskiego wyrób kół i wozów także jest znaczny, a nawet w paru miejscowościach — słynny. Nie rozpostarł się on jednakże w całym kraju i nie stał się jednym ze środków podtrzymania ekonomicznego ludności małorolnej.

Bednarstwo w dziale produkcji włóściańskiej (w Cesarstwie) również zajmuje pokaźne miejsce. Przeszło 24,000 rodzin trudni się tem rzemiosłem. Jeden bednarz w ciągu dnia 15-godzinnego może zrobić 1—4 beczek, stosownie do ich wielkości, w ciągu zaś całego sezonu swej pracy pozarolnej może wykonać 50—200 sztuk; średni jego zarobek wynosi 30—40 kop. dziennie.

Trzecie miejsce zajmuje stolarstwo i ciesielstwo (wyrób kufrów, skrzyń, warsztatów tkackich, ram do okien, mebli najprostszych i t. d.). Ta gałąź pracy daje zarobek 10,000 rodzinom. Niektórzy z fachowców w tym zakresie wyrabiają nawet meble, odpowiadające wymaganiom oświeconej ludności miejskiej. To też praca ta nie jest już domową. Rzemieślnik musi śledzić modę, upodobania i gusty odbiorców, a więc zakłada warsztaty i jako majster posługuje się pracą najemną. Owi najemnicy w stolarniach wszystkich otrzymują rocznie 40—80 rubli i wikt. Ponieważ większość takich warsztatów obsługuje 2—3 robotników, więc i sam gospodarz na równi z nimi pracuje. W niektórych miejscowościach, np. gub Wiackiej, czysty zarobek stolarzy, wyrabiających proste meble, wynosi 90—100 rs. rocznie. Przy wyrobie zaś mebli miejskich stanowi nawet 100—500.

Wszelkiego rodzaju plecionkami zajmuje się 20,000 rodzin włóściańskich. Niektórzy koszykarze zarabiają do 70 rs. rocznie. Opuszczamy już szczegółową charakterystykę takich działów drobnej produkcji włóściańskiej, jak wyrób łyżek, grabi, grzebieni, łopat i t. d., wreszcie osobną gałąź — tkactwo, bo na to nie starczyłoby nam miejsca. Zaznaczając tylko wybitniejsze gałęzie pracy, ugrupowane na wystawie, pominać między innymi nie możemy wyrobów skórzaných. Oprócz garbarstwa, wśród włóścian tamtejszych jest rozpowszechnionem szewstwo i kuśnierstwo. Istnieją wiejskie warsztaty szewckie, zatrudniające znaczną liczbę najemników; niektórzy zaś majstrowie poprzestają na sile roboczej własnej rodziny. Rzemieślnicy ci zarabiają od 40 kop. do 1 rs. dziennie. Wyprawą skór zajmuje się około 40,000 rodzin. Garncarstwo, ślusarstwo, a nawet grawerstwo, również liczą znaczny procent specjalistów.

Sporo rękodzielników włóścian powiązało się już we wspólnki artelowe, i tym sposobem utrwaliło swój grunt ekonomiczny.

A u nas?—Nie mamy ani wyczerpujących danych statystycznych w tej mierze, ani też nie możemy się pochwalić zsolidaryzowaną produkcją rękodzielniczą włóściańską. Istnieje ona tu i owdzie, ale zogniskowała się tylko w pewnych miejscowościach. Starła się ją poprzedzająca sekcja Towarzystwa Przemysłu i Handlu, i dzięki tym zabiegom, udało się związać tu i owdzie nikiłe ogniska rzemiosł chłopskich; ale ta cieplarniana, sztucznie, słabymi środkami i słabymi zabie-

gami wytworzona praca nie wróży jakoś pomyślnego rozwoju. Znaczna większość naszej ludności włościańskiej, po załatwieniu się z robotami gospodarskimi, spędza czas nieprodukcyjnie, ubożeje i dochodzi nieraz do zupełnej nędzy.

Chcąc jasno działać, trzeba było-by przedewszystkiem dowiedzieć się dokładnie, co u nas włościanie wyrabiają i co wyrabiać mogą. Następnie należało-by się przyjrzeć środkom popierania tego przemysłu gdzie indziej, i jeżeli warunki nie pozwalają w zupełności przyjąć samej organizacyi, to przecież można było-by skorzystać z jej metod.

Rolnictwo zajęło na wystawie pokaźne miejsce. Znaleźliśmy tam między innemi zboże ze wszystkich stron państwa, ze wszystkich gubernii i powiatów Królestwa Polskiego, kilka gospodarstw wzorowych z gub. Podolskiej i Kijowskiej. Narzędzia rolnicze uderzają wielkiem bogactwem; jest także kilka firm z gub. Królestwa Polskiego (z Łodzi, Lublina, Włocławka, Płocka).

Szczególnie bogate są działy, dotyczące komunikacyi kolejowej, kołowej, morskiej i rzecznej. Piękne dokładne modele statków, podobizny portów, wykazują olbrzymie postępy w tej dziedzinie pracy ludzkiej. Inżynierya ujawniła tutaj postępy techniki; kartogoramy, plany, dane statystyczne wyjaśniły, w jakich miejscowościach drogi bite i szosowe doszły do największego rozwoju, mianowicie najlepsza jest komunikacya tego rodzaju w gub. Królestwa Polskiego i na Kaukazie. Gospodarka miejska unaoecznia rozwój tramwajów i bruków ulepszonych. Widzimy, że tramwaje istnieją już w czterestu miastach, ich zaś linie wynoszą 552 wiorsty ogólnej długości, a więc Rossya pod tym względem zajmuje w Europie ostatnie miejsce. Komunikacya tramwajowa rozwija się jednak stale, i w ciągu lat czterestu ogólna sieć wzrosła o 90%. Na tramwaje elektryczne dotąd zdobyły się tylko dwa miasta: Kijów i Niższy Nowogród.

Z postępem techniki budowlanej i w ogóle przemysłowej, rozwinęły się pracownie specjalne, służące do badania dobroci materiałów. Osobny pawilon, urządzony przez Petersburskie Towarzystwo techniczne, skupił w sobie cały dzisiejszy dorobek w tej mierze. Podziwiać tam trzeba bogactwo środków, badań i narzędzi. Laboratoria chemiczne i mechaniczne, służące do użytku praktycznego, mają dziś doniosłe znaczenie. Najlepiej uposażona jest pracownia do prób mechanicznych przy instytucie inżynierów komunikacyi. Laboratoria przy instytutach technologicznych w Charkowie i Petersburgu, laboratorium miejskie w Warszawie, stacya cementowa w Moskwie, specjalne laboratoria przy fabrykach oraz niektórych zarządach kolei żelaznych, pracownie chemiczne o charakterze ogólnym lub naukowym, pod zarządem ministerium skarbu przy instytutach: górniczym, komu-

nikacyjnym, przy Towarzystwie technicznem w Petersburgu, przy wszystkich uniwersytetach, przy fabrykach wyrobów metalowych, cementowych i t. d., to są dziś instytucye niezbędne, jako środki pomocnicze do udoskonalen technicznych, jako sposób badania, dającego rękojmię bezpieczeństwa publicznego. Ułatwiają one także ogółowi obronę wobec nadużyć i wyzysku. Nadto, zakłady te dały pracę licznej rzeszy specjalistów, a ponieważ wytwórczość wszelkiego rodzaju, gospodarka udoskonalona miast, budownictwo, środki komunikacyjne ciągle wzrastają, więc i laboratoria mechaniczne i chemiczne muszą ciągle się rozwijać i wzrastać liczebnie. Jest to dziedzina, która z czasem da szerokie pole do pracy wielkim rzeszom fachowców, dla dobra powszechnego.

Wędrując po wystawie, natrafiłem na skromny kącik, zajęty przez Towarzystwo technologów, którego działalność, jako dość wybitnej grupy pracowników-fachowców, zsolidaryzowanych z sobą, zasługuje na szczególną uwagę i sympatyę. Nadto służyć może poniekąd za wzór dla innych grup specjalistów. Stowarzyszenie to, istniejące już lat jedenaście, zdołało rozgałęzić swe stosunki w całym państwie. Ze sprawozdań widzimy, że zwracają się do niego różne przedsiębiorstwa, zakłady zarobkodawcze, o kandydatów na posady. Za pośrednictwem samego związku, dostało pracę w ciągu jedenastolecia 457 członków. Wielu z nich zajęło wybitne stanowisko przy kolejach, zakładach przemysłowo-fabrycznych, w gospodarce miejskiej; wielu wyrobiło stanowisko zupełnie niezależne. Z tablic i cyfr widzimy, że najwięcej technologów znalazło pracę tam, gdzie się rozwinął przemysł fabryczny i wszelkie inne przedsiębiorstwa, wymagające tego rodzaju wiedzy fachowej. Tak np. w gub. Warszawskiej jest ich 80, w samej Warszawie 56. W gub. Kijowskiej, gdzie się rozwinęło cukrownictwo, znalazło pracę aż 126 techników, w Moskiewskiej 86, we Włodzimierskiej 57, w Ziemi Wojska Dońskiego 44, gub. Jekaterynosławskiej 40, Charkowskiej 71, Chersońskiej 59, Podolskiej 30, Mińskiej 38. Najwięcej w Petersburskiej, bo aż 460, (w samym Petersburgu 263). W pogoni za chlebem, technolodzy zabrnęli do najodleglejszych krańców Wschodu azyatyckiego i Północy: nad Amurem osiadło 2, we Władywostoku 2, w gub. Ołoueckiej 4, Orenburskiej 15, nad Syr-Daryą 2, w Jenisejsku, Minusińsku i Krasnopolsku 3, w kraju Usuryjskim 1.

Fachowcy na innych polach w znacznej większości nie zdobyli się dotąd na tak doskonałą organizację. Pracują oni rozproszeni po olbrzymich obszarach państwa, zaniesieni przypadkiem, ślepym losem, oderwani od kolegów raz na zawsze. A przecież tworzenie stowarzyszeń, które-by wyszukiwały pracy, gromadziły ze składek i innych

źródeł fundusze dla zabezpieczenia rodzin i starości samych pracowników, nie jest rzeczą niemożliwą.

Dotychczas artyści teatrów wędrownych, owi wieczni cygani sztuki, obozujący po różnych miastach prowincjonalnych, wiecznie śłodni i często bez dachu, nie mieli nietylko żadnej deski zbawienia, ale nawet zwykłej nici, której można było-by się chwycić w ciężkich chwilach nędzy i choroby. Obecnie jeden z dyrektorów „drużyny aktorskiej“, jeżeli wierzyć pogłoskom reporterskim, postanowił rozwinąć zabiegi około utworzenia kasy zapomogowo-oszczędnościowej, do której między innymi mają wpływać fundusze z kar. Na jakich zasadach ma być ta instytucja oparta, jaką da rękojmię trwałości i o ile istotnie zabezpieczy byt pracowników, przyniesie im pomoc w chorobie i przymusowem bezrobociu, o tem nie wiemy i zapewne dobrze jeszcze nie wie sam inicjator. To tylko pewna, że organizacja pomocy dla aktorów prowincjonalnych jest kwestyą palącą; że jednocześnie z założeniem kasy należało-by pomyśleć także o większej rękojmi dla nich ze strony zarobkodawców. Dziś sztuka wędrowna coraz więcej zaczyna zyskiwać na wartości. Od paru lat jej kierownicy pracują usilnie nad podniesieniem repertuaru i doбором ludzi zdolnych. Nadto spostrzegamy dążność do życia osiadłego. Już w kilku miastach prowincjonalnych istnieją stałe teatry. To są wszystko czynniki, które powinny wpłynąć dodatnio na samą sztukę, jak i dobór jej wychowawców. Lichoty, przybłędy, którym się zdaje, że czują w sobie „iskrę Bożą“, a właściwie są próżniakami bez krzty zdolności, tacy wszyscy znajdują z czasem zamknięte podwoje przybytków Melpomeny, a natomiast poszukają pracy odpowiedniejszej, korzystniejszej i dla nich, i dla ogółu. Prowincya wymaga jeszcze dużo rąk do pracy „prostej“ lecz korzystnej. Niech się do niej nałamują ci, którzy się potknęli na progu gimnazyów a nawet szkółek elementarnych, i którym się zdaje, że mogą dźwigać „pochodnię piękna.“ Obostrzenie wymagań powinno wpłynąć również dodatnio na losy tego zastępu dziewcząt z głosami brzęczącemi, z wymową gminną, z językiem zaśmieconym, które się dostały do szeregów „artystek“ i „chórzystek“ wędrownych. Brak rzetelnej pracy kobiecej w różnych dziedzinach jest także jednym z czynników zubożenia prowincyi. Odepchnięte od teatru, może się wezmą do niej, staną się przedewszystkiem istotnie produkcyjnemi i zarazem zachowają swą cześć niewieścią, tak strasznie hańbioną na drodze „sztuki.“ Godność samej sztuki również przez to się podniesie..

Przed paru tygodniami zmarł w Paryżu w 70-m roku życia Zygmunt Kaczkowski. Śmierć zabrała rozgłosnego niegdyś powieściopisarza w wieku, w którym milkną już zwykle najpłodniejsze talenty;

ale milczenie autora „Murdelia“ rozpoczęło się za życia Kaczkowskiego, przed kilkunasta laty, a przerywały je z rzadka utwory, świadczące, że talent, oderwany od atmosfery i warunków, w jakich się tak szczęśliwie rozwinął, nie miał w sobie dość siły, ażeby kwitnąć dalej na obcym dla siebie gruncie.

Najświetniejszą dobą tego rozkwitu były lata od 1851 do 1858, kiedy ukazał się cykl historyczny, zawierający romanse: „Bitwa o Chorążankę,“ „Kasztelanice Lubaczewscy,“ „Swaty na Rusi,“ „Murdelio,“ „Mąż szalony,“ „Gniazdo Nieczujów,“ „Starosta Hołobucki“ „Grób Nieczui,“ w których Kaczkowski, kojarząc wszystko, co był w lwowskim więzieniu politycznym (1846) o wieku XVIII przeczytał, z opowiadaniem babki, Dęboróg-Dyleczyńskiej, zasłyszaniem w domu rodzinnym, i dopełniwszy to następnie studjami nad materiałem, znalezionym w Ossolineum, odtworzył ze świetną plastyką czasy konfederacji Barskiej w opowieści ostatniego z rodu Nieczujów, skarbnika zakroczymskiego, Marcina. Nie wszystkie obrazy w tej interesującej gałęzi jednakową mają wartość; większa ich jednak część zdumiewa wypukłością rysunku, kunsztem w grupowaniu figur i żywością kolorytu.

Pod względem artyzmu o wiele temu cyklowi ustępuje (z wyjątkiem „Wnucząt“ i „Stacha z Kępy,“) szereg powieści społecznych: „Kato,“ „Dziwożona,“ „Bajronista,“ „Rozbitek,“ w którym reakcja po doświadczeniu (jak się Spasowicz wyraża) „całkowitym przebiegu gorączki rewolucyjnej“ objawia się w przewadze tendencji, oskarżającej romantyzm o wszelkie klęski i nieszcześcia. Walka demokracji z arystokracją, wyobraźni z rozsądkiem, kończy się w tych powieściach moralnem, jeżeli nie faktycznem, zwycięstwem rozsądku i tradycyjnej powagi, nie zawsze z korzyścią dla dzieł, wyprodukowanych przez namiętnego a słabego publicystę.

O ile słuszność mieli ci, co niegdyś postawili Zygmunta Kaczkowskiego tuż obok autora „Listopada,“—może już dziś ocenić krytyka i nie omieszka też bezstronne zdanie obszerniej wypowiedzieć na kartach „Biblioteki;“ dziś wypadnie tylko zaznaczyć, że romanse Kaczkowskiego z XVIII wieku są jednym więcej, i to wymownym argumentem, za prawem obywatelstwa powieści historycznej w literaturze.

— Dr Wiktor Baum: „Żywoty i uczynki wspaniałego Atrywobla...“
Lwów, 1898 r.

— Vainik: „Lamaryna (Żywiec Kandy)“...
A. Lange Warszawa, 1898

— Stanisław Babin: „Odmoty Kandy“...
Włocławek, 1898

ADOLF PAWENSKI

Wiadomości bibliograficzne.

— Wilhelm Garatt: „Loretto, nowe Nazaret“ — dzieło wydane w Lille na pamiątkę sześćsetletniej rocznicy, obchodzonej w r. 1894 i 1895, w przekładzie X. Romana Rembielińskiego.

— C. Bogucka, C. Niewiadomska i J. Warnkówna: „Ćwiczenia stylistyczne we wzorach i tematach.“ Warszawa, 1897, u Gebethnera i Wolffa.

— Dr F. Giedroyć: „Ekspertyza lekarska w dawnych sądach polskich (do końca XVIII w.)“ Warszawa, 1896. Odbitka z „Kroniki lekarskiej.“

— Mieczysław Offmański: „Monitor, czasopismo polskie z XVIII wieku.“ Lwów, 1895. Odbitka z „Przewodnika naukowego.“

— W. Lutosławski: „Sur une nouvelle méthode pour déterminer la chronologie des Dialogues de Platon.“ Paris, H. Welther 1896.

— Dr Wiktor Hahn: „Żywoty Plutarcha wobec Arystotelesa.“
Lwów, 1896 r.

— Valmiky: „Ramayana (Życie Ramy).“ Starożytna powieść in-
dyjska, podług opracowania Hipolita Fauche, z francuskiego przełożył
A. Lange. Warszawa, 1886.

— Stanisław Bełza: „Obrazy Korsyki.“ Warszawa — u Ge-
bethnera i Wolffa, 1896.

Wiadomości bibliograficzne

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

ADOLF PAWIŃSKI.

Rok 1894, ostatni, w którym Pawiński pracował w pełni umysłowych sił i z niewyczerpanym zasobem energii, był zarazem najbogatszym w plon jego naukowej działalności. Prócz bowiem pomniejszych artykułów, ukazały się dwa dzieła, z których każde utrwali zasługę zmarłego w literaturze naszej historycznej. Jedno z tych dzieł poświęcone zostało stosunkom ekonomiczno-społecznym Mazowsza w XVI w., i stanowiło część pomnikowego wydawnictwa p. t.: „Polska pod względem geograficzno-statystycznym w XVI wieku; drugie zaś dzieło p. t.: „Sejmiki ziemskie,“ zamknęło okres kilkunastoletnich, pracowitych studyów, i dało nam poznać historyczną formację prawno-państwową opoki, na której się przez kilka wieków wspierał gmach sejmowy dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Gdy też na jesieni Pawiński powrócił do Warszawy z zagranicznej wycieczki, i ujrzał wydrukowane „Mazowsze,“ a ostatnie arkusze „Sejmików ziemskich“ przesyłano mu do korekty, zauważyłem u niego błogie zadowolenie z dokonanej tak rzetelnie pracy, i mimowoli pomyślałem, że takiej samej, a przynajmniej podobnej, zasłużonej uciechy musi doznawać żeniec, gdy w szczęśliwie zebranych boga-

tym plonie widzi nareszcie koniec swego uznojenia, i nagrodę za twar-
dą, a wytrwałą robotę i trudy.

Ale jak prawdziwy przodownik wśród żenców historycznej ni-
wy, Pawiński przygotowywał bez wypoczynku w myśli projekta do
nowych studyów i badań, a szczęśliwie ukończone dzieła były tylko dla
niego bodźcem do podjęcia z całym, jakby młodzieńczym zapałem, no-
wych a doniosłych naukowych zadań. Kto pilnie przeczytał ostatnie
rozdziały „Sejmików ziemskich,“ ten musiał zauważyć, że zmarły pro-
fesor, przedstawivszy umiejętnie zrzeszanie się ziem polskich w dzielnice,
a dzielnic w państwo, wykazał, jak tenże sam proces zjednoczenia od-
bywał się w zakresie instytucji reprezentacyjnych, t. j. jak sejmiki
ziemskie powoływały do bytu sejmiki dzielnicowe, a dzielnicowe—sej-
my walne całej Korony, co nie przeszkadzało bynajmniej temu, że
w dalszym ciągu prowadziły bez przerwy swój samoistny żywot, i po-
czątkując nowe organa, nie traciły własnego istnienia.

W „Sejmikach ziemskich“ zastanawiał się też Pawiński nad
pierwszemi izbami poselskiemi, ich składem oraz funkcyjami, a już to
samo naprowadzało na myśl, z którą się zresztą zmarły wcale nie tał,
że po „Rządach sejmikowych“ i „Sejmikach ziemskich,“ odtwarzają-
cych po mistrzowsku doniosłość i rozwój prawno-państwowego organu,
dotąd najbardziej zaniedbanego i pomijanego przez naszych uczonych,
poświęci swą pracę dziejom i doniosłości sejmu walnego, i w tym celu
celu zbierał już od pewnego czasu skwapliwie dyaryusze sejmowe,
znajdujące się wśród manuskryptów różnych bibliotek.

Dojrzały i wolny od wszelkich jednostronnych uprzedzeń umysł,
niezwykła wytrwałość w pracy, potęgowana przez serdeczne jej umi-
łowanie, a w dodatku ukończony zaledwie 54 rok żywota, przy wybor-
nem zdrowiu i systematycznym trybie życia, pozwalały oczekiwać po
zmarłym profesorze jeszcze wielu lat pożytecznej działalności naukowej,
której uwieńczeniem była-by co najmniej historia konstytucji dawnego
państwa polskiego. Ostatni dzień 1894 r. przyniósł nam jednak bo-
lesną i przygnębiającą wieść, że Pawiński dotknięty został ciężką nie-
mocą, a lekarze, otaczający chorego troskliwą opieką, stracili na-
dzieję powroćenia go do zdrowia. Dźwignął się wprawdzie Pawiński
z łoża, i w szlachetnem poczuciu publicznych obowiązków, zajął stano-
wisko na katedrze, a nawet, jako prawdziwy bojownik nauki, rozpo-
czął kilka drobniejszych prac przygotowywać do druku, ale ci, co go
widywali w tym czasie, nie mogli się łudzić żadną nadzieją. Niemoc
ogarniała coraz silniej ten jasny i światły umysł, aż nareszcie w d.
2 maja bieżącego roku nastąpił drugi atak, po nim zaś stan beznadziej-
ny, a właściwie powolna agonja trwała aż do d. 24 sierpnia, w którym
to dniu Pawiński zakończył swój zacny i pracowity żywot.

Spuścizna naukowa, jaką nam Pawiński po dwudziesto-dziesięcioletniej pracy pozostawił, jest nadzwyczaj bogata, i ocenienie jej właściwe należy się bezwątpienia zawodowym historykom, do rzędu których nie miałem nigdy zaszczytu się zaliczać. Poważam się też jedynie w formie sprawozdawczej skreślić działalność naukową zmarłego profesora, przyczem główną uwagę poświęcę tym dziełom, które przedstawiały historię prawa państwowego i administracyjnego, oraz historię nauk politycznych w dawnej Polsce.

Jakkolwiek Pawiński kończył studia w uniwersytetach Cesarstwa, uważać go jednak należy za wychowanka uniwersytetów niemieckich, które wówczas używały słusznie sławy najlepszych instytucji naukowych w Europie. Nieboszczyk ukończył studia i doktoryzował się w Getyndze, w r. 1867, a więc w dobie, kiedy wielkość zjednoczonych Niemiec nie zamąciła jeszcze spokoju i równowagi uczonym niemieckim, i gdy historycy, zobowiązani do urzędowego oszczędzania Prus wzamian za dostarczony tajemny archiwalny materiał, nie ośmielali się wypowiadać ze zbyt zarozumiałą pewnością siebie tego, że w dziejach Prus niema nic do osłaniania, ani nic do zatajenia — nichts zu bemaenteln oder zu verheimlichen ¹⁾.

Pawiński wybrał sobie Getyngę za cel naukowej podróży, i słynna „Georgia Augusta“ nęciła go doborem wielkich powag, jakie w swej korporacji zawierała. Zaznaczyć mimochodem należy, że uniwersytet w Getyndze pozyskał sobie od r. 1837 w Niemczech całych wysokie uznanie, a to ze względu, że siedmiu profesorów nie wahało się narazić na dymisyę i wypędzenie z kraju za opieranie się samowolnemu zniesieniu konstytucyi państwowej przez Wilhelma IV hano-werskiego. Pomiedzy wypędzonymi i prześladowanymi znajdowali się mężowie rozgłośnego naukowego nazwiska i zacnych charakterów, jak Dahlman, Grim i młody Gerwinus ²⁾.

Pawiński zastał w Getyndze sławnego historyka Waitza, autora ośmiotomowego dzieła p. t.: „Deutsche Verfassungsgeschichte,“ które mu zjednało trwałe i zasłużone stanowisko w szeregu pierwszorzędnych powag niemieckich. W rozprawie doktoryzacyjnej, poświęconej swoim rodzicom „in Dankbarkeit und Liebe,“ wyraził Pawiński podziękowanie Waitzowi za uwagę szczególną, jakiej jego pierwo-cinom naukowym nie szczędził. Doktoryzacyjna rozprawa Pawińskiego ukazała się w roku 1867, i nosi tytuł: „Zur Entstehungsge-

¹⁾ *Treitschke*, Deutsche Geschichte, t. I, VII.

²⁾ *Treitschke*, Deutsche Geschichte, t. IV, str. 658 i dalsze.

schichte des Consulats in den Comunen Nord und Mittel-Italiens. XI — XII. Jahrhundert.

Temat, obrany w celu osiągnięcia stopnia naukowego, wskazywał odrazu, iż młody badacz nie pragnie ogarnąć przedwcześnie szerokich widnokręgów dziejowych, lecz ogranicza się na wyjaśnieniu kilku szczegółów z dziejów organizacyi miast włoskich, które i tak wymagać będą pracowitego i starannego zbadania ówczesnych źródeł. Pawiński przyjął wnioski Hegla, wygłoszone w cennej po dziś dzień pracy: „Geschichte der Städteverfassung in Italien,“ podług których organizacya miast włoskich w XI i XII stuleciu nie jest bynajmniej dziedzictwem ustroju municypalnego rzymskiego, lecz tworem nowych potrzeb i świeżo formującego się społeczeństwa.

Pawiński wykazuje w dalszym ciągu swej pracy, jak ława sądowa (Schöffenthum, Scabinat) nie wystarczała dla utrzymania porządku i spokoju w miastach włoskich, zwłaszcza, że w zakres funkcyonowania Ławy wdzierać się zaczęli „majores, nobiliores,“ którzy zasłużyli się swoją drogą, budząc i podtrzymując w gminie miejskiej poczucie samodzielności, a nawet osłaniając swobodę klas niższych (minores). Wobec nieustającego ścierania się różnych warstw społecznych, zwartych w obręb murów miast włoskich, i w następstwie tego, wobec powstającego zamieszania w porządku miejskim, okazała się potrzeba zawarcia ściślejszego zjednoczenia i zgody (concordia), która w następstwie stworzyła nowe, młodzieńcze siły w społeczeństwie miast włoskich, i natchnęła je pragnieniem demokratycznej równości.

Wśród walk stronnicych i współzawodnictwa warstw miejskich XI wieku powstaje urząd konsula, przyczem do jego dostojęstwa dodaje się zazwyczaj wskazanie szczegółowe (cives, nobiles), z której warstwy powstaje. Pierwotnie dostaje się konsulat w ręce szlachty miejskiej i urząd ten zdaje się być wpływem powstania komuny, która znowu jest następstwem zawartego zjednoczenia, czyli zaprzysiężonego pokoju. Po tem ściślejszem zrzeszeniu się różnych pierwiastków społeczeństwa miejscowego, konsulowie noszą zwierzchność municypalną, która współdziała nawet przy orzekaniu kar kryminalnych. W każdym razie zaznaczyć należy, że konsulat nie wyrósł ze Skabinatu, czyli ławy sądowej. Grunt, na którym niegdyś Skabinat wyrastał, został w ciągu trzech wieków do głębi przeoranym, a tem samem i przygotowanym do zupełnie samoistnych wytworów. Konsulat też miast włoskich zawdzięcza swe powstanie zupełnie odrębnym od Skabinatu źródłom.

Pięćdziesięciodziewięć stronicowa rozprawka doktoryzacyjna Pawińskiego robi wrażenie sumiennego i pracowitego studyum,

poświęconego wprawdzie jednemu tylko momentowi rozwoju kommun włoskich, ale za to oświecającego gruntownie genezę konkordyi muncypalnych, oraz urzędu konsulów w miastach Italii. Pomimo też, że prawie trzydzieści lat dobiega od chwili ukazania się tej rozprawy, dotąd bywa wspominaną i cytowaną przez historyków prawa włoskiego, jako studjum gruntowne i oparte na sumiennem przemyśleniu obszernego materiału dziejowego.

W roku 1868 przybył Pawiński do Warszawy i rozpoczął starania o pozyskanie katedry w miejscowej Szkole Głównej. W roku 1869 odczytał pierwszą prelekcję o Buckle'u, która następnie w tymże samym roku została w ramach prawdopodobnie nieco rozszerzonych wydrukowana p. t.: „Kilka słów o Buckle'u“ (Warszawa, stron 47). Kresląc w „Tygodniku Illustrowanym w r. 1890 pobieżny szkic naukowej działalności Pawińskiego, zaznaczyłem wrażenie, jakie jako słuchacz wydziału prawa i administracyi otrzymałem wraz z moimi towarzyszami, po wysłuchaniu powyższego odczytu. Przypominam więc tylko, że surowe ocenienie, jakiego doznał Buckle, a mianowicie historyozofia zawarta w jego pomnikowym bądź co bądź dziele p. t.: „Historia cywilizacyi w Anglii,“ dotknęło nas niemile i usposobiło niezbyt przychylnie dla młodego prelegenta. Później zmieniliśmy zdanie na korzyść Pawińskiego, ale to wtedy dopiero, gdy czas i praca zdarły nam illuzye z wielu powag i wielkości, które w młodzieńczym wieku uważaliśmy za niewzruszone i niedoścignione.

Przypominając słowa Buckle'a, że historia nie była i nie jest nauką, lecz że należy ją dopiero wynieść do powyższej godności Pawiński oświadcza, że Buckle tę nową i ciężką pracę wziął na swoje barki. On-to właściwie wytknął prawdziwą dla historii drogę, powiadają jedni na widok nowego dzieła. inni zaś, wręcz przeciwnie utrzymując, twierdzą, że taki sposób pojmowania historii jest błędny i z najlepszego toru sprowadzić może historyczną naukę na manowce. W chwili, kiedy Pawiński drukował „Kilka słów o Buckle'u,“ praca angielskiego myśliciela nie doczekała się jeszcze gruntowniejszego rozbioru naukowego, który-by podniósł w każdym kierunku jej zalety i zarazem wykrył niedostatki. Może nawet, oświadcza Pawiński, i daremnie nauka na taką krytykę czekać będzie. Nie prędko bowiem znajdzie się uczony filozof-historyk, również rozległą władnący wiedzą, jak ją Buckle posiadał, który umiał wznieść się na szczyty filozofii, zdołał ogarnąć obszary nauk społecznych, i z całą swobodą obracał się w szerokiem kole nauk przyrodniczych.

W pracy Buckle'a, zdaniem Pawińskiego, jak i w każdej innej, są dwie, różne co do swego znaczenia wewnętrzznego, strony: metodologiczna i zastosowana. O pierwszej, dotyczącej zasadniczych podstaw, są-

dzieć może i ten, kto nie włada bogatym zasobem wiadomości, niezbędnych do wszechstronnego zastosowania różnorodnych zasad danej nauki. Dlatego-to Pawiński postanowił dotknąć głównie ważniejszej, metodologicznej strony, i nad nią kilka uwag uczynił.

Buckle miotał pogardliwe słowa na mrówczą a bezskuteczną pracę tylu wieków koło historii, i nigdzie na tej długiej, ożywionej drodze wybitniejszej nie widział postaci, wszędzie o karłów potrącając. Filozoficzna historia, jak Buckle projektuje, odrzuca metafizyczny dogmat wolnej woli, twierdząc, że wszelkie czynności człowieka, zależąc jedynie od poprzedzających, noszą na sobie znamię jednostajności, czyli że jednakowemi zawsze objawiają się następstwami. Mamy zawsze przed sobą ducha ludzkiego, nlegającego prawom własnego bytu i rozwijającego się, jeśli zewnętrzne nie działają wpływy, według warunków swojej własnej organizacji. Z drugiej strony znowu przedstawia nam się natura tak samo ulegająca swoim prawom, ta zaś w ciągłej będąc styczności z duchem człowieka, podnieca jego namiętności, pobudza jego umysł i nadaje czynnościom jego kierunek, którego-by bez wpływu natury nie wzięły. Człowiek więc działa na naturę, natura na człowieka, a z tego wzajemnego działania wszystkie konieczne wypadki powstawać muszą. Rzeczą jest historyka odszukać prawa wzajemnego działania, wśród których rodzą się czynności człowieka.

Długie ludzkości dzieje, zdaniem Buckle'a, dadzą się rozłamać na dwie wielkie połowy. Pierwotna pozaeuropejska cywilizacja zostawała pod przemożnym wpływem przyrody. Mniej od natury zależnym rozwijał się człowiek w późniejszej dobie cywilizacyjnej w Europie, gdzie już nie prawo natury, nie wpływy fizyczne, ale inne przyczyny odmienne w społeczeństwie wywołały zjawiska i inny postępowi wypadków miejscowych nadawały kierunek. Klimat, gleba, żywność są to czynniki postępu, które oddziaływały w cywilizacjach pozaeuropejskich tak silnie na społeczeństwo i pojedynczego człowieka, że tej cywilizacji wydatniejszy charakter i postać wybitniejszą utworzyły. Na świat więc moralny, na świat umysłowy cywilizacji, pozaeuropejskiej wywarły wpływ te czynniki, które ogólnemi zjawiskami natury nazwać można. Na nieoświecony umysł pierwotnego człowieka działała potężnie natura swojemi siłami przerażającemi, swoim ogromem lub dzikością, majestatem lub rokoszną bujnością.

W całym jednak toku dziejów europejskich spostrzegamy dążność do zwalczenia sił natury i zapanowania nad niemi. W Europie człowiek wysuwa się na przód dziejowego obrazu, niema tu panowania sił przyrodzonych, albowiem człowiek odniósł stanowcze nad naturą zwycięstwo. Dźwigniami postępu są też dwa czynniki: umysłowy i obyczajowy, a silniejszy z nich będzie miarą społecznego postępu. Czynniki

moralny, zdaniem Buckle'a, bardzo słaby bierze udział w sprawie postępu i mało znaczącą w tej dziedzinie odgrywa rolę. Tylko wiedza, światło naukowe jest dźwignią postępu, jest najdzielniejszym bodźcem, najsilniejszą sprężyną. Postęp jest rozwojem, jest ruchem, tymczasem zasady moralności nie uległy wpływowi postępu. Nieruchome, niezmiennie to prawdy były od niepamiętnych czasów tem, czem są dzisiaj. Dla nich nie znaczą cała przeszłość i cała przyszłość.

Postęp więc dla Buckle'a jest podstawą historii, gdy zaś wiedza postęp stanowi, historia tem samem musi być historią wiedzy, oraz wykładem praw wzrostu i rozwoju umysłowości. Historia zatem, podług Buckle'a, jako preradzająca się w ścisłą naukę, stawić sobie powinna jako zadanie, odszukanie praw umysłowego rozwoju. Ponieważ istota duchowego postępu nie da się zbadać z dziejów wyłącznie jednego narodu, wziął więc Buckle dla wykazania rozwoju cywilizacyi w Anglii historię Francyi, Hiszpanii i Szkocyi na pomoc, zamierzał zaś, czego dla zaszczytnej śmierci nie dokonał, powołać się jeszcze na dzieje postępu wiedzy w Niemczech i Stanach Zjednoczonych.

Przeglądając najprzód dzieje umysłowości angielskiej, Buckle dopatruje się ważniejszych jej związków w połowie XVI wieku, i śledzi jej losy aż pod koniec XVIII stulecia. W tej dobie życie umysłowe budzić się poczęło pod wpływem sceptycznego ducha. Raz obudzone powątpiewanie przechodziło powoli a nieznacznie i na inne dziedziny społecznego życia, ono osłabiało w politycznym względzie powagę klas uprzywilejowanych, szerszą przez to dla wolności przygotowując podstawę. We Francyi przewaga duchowieństwa wstrzymała w społeczeństwie szerzenie się reformy kościelnej, a tem samem i opóźniła przebudzenie się sceptycznego ducha. W następstwie tego polityczna niedojrzałość zrodziła nieuchronną opiekę polityczną i opiekę umysłową. Anglia i Francya wypełniły tom pierwszy dzieła Buckle'a, a najważniejszem prawem, które w tymże tomie odkrył i stwierdził, było to mianowicie: że głównym wrogiem postępowego ruchu, przeto wrogiem cywilizacyi, jest duch opiekuńczy.

W drugiej części swej pracy Buckle poświęcił uwagę Hiszpanii i Szkocyi. Hiszpania była hojnie uposażoną przez naturę, miała wolność municypalną, wolność polityczną stanów, miała nieubogą literaturę i chwile wielkości politycznej, ale nie było w niej prawdziwego postępu. Panowały w niej przesąd i zabobon, i nie było światła nauki. Szkocya wielką miała podobieństwo do Hiszpanii. Mimo wszakże przewagi duchowieństwa, rozwinęła się w Szkocyi bogata świecka literatura, mimo kościelnej opieki, wydała Szkocyi myślicieli, jak Buchanan, Hume i Smith. Tę sprzeczność pozorną objaśnia Buckle

dość szczegółowo, ale dwa rozdziały ostatnie jego szkockich dziejów noszą na sobie widoczne ślady omdlenia umysłowego.

Przedstawivszy w umiejętny sposób zasadnicze myśli Buckle'a i zaznaczywszy, że wysłedzenie podstawowych praw, rządzących dziejowem życiem ludzkości, było niewątpliwie ostatecznym celem jego usiłowań naukowych, Pawiński nadmienil, że już przed angielskim myślicielem Hegel i Cieszkowski uważali cały świat objawów społecznych za odbicie się bezwzględnej idei, widzieli w niej ład i porządek rozumowy, szukali przytem powszechnego prawa zadamywania się rozumu wszechświata, szukali praw nie cząstkowych, ale zasadniczych. Zdaniem tych myślicieli, w chaotycznym na pozór wirze wypadków historycznych, wypełniających sobą tak rozległą przestrzeń czasu, panuje ład logiczny. W tem wszystkim, co się dzieje na widowni wszechświata, łamie się promień najwyższej myśli, wszystko się wiąże między sobą rozumną koniecznością logicznego po sobie następstwa. W tym przeto labiryncie odmian dziejowych każdy z łatwością pomiarkować się zdoła, każdy uporządkuje sobie płataninę zjawisk historycznych, kto na podstawie dyalektycznych zasad będzie umiał poznać, czem jest dany wypadek, albo pewien okres w częściowym lub ogólnym łańcuchu logicznym.

Ze stanowiska logicznego zadawałnialo też Pawińskiego zupełnie, sformułowane przez dyalektyczną szkołę, albo raczej przez Cieszkowskiego, prawo historyczne. Tymczasem wnioski, do jakich doszedł Buckle drogą indukcyjnego badania, z kształtu swojego zewnętrznego wymaganiom przedewszystkiem logicznym nie odpowiadają. Przytoczone prawdy, które Buckle postawił w miejsce nieodszukanych a zamierzonych praw, są raczej twierdzeniami, niż prawami. Pierwszy bowiem z brzegu punkt, że postęp ludzkości zależy od wzrostu wiedzy, jest wyrażeniem tylko warunku, wśród którego to zjawisko umysłowe nastąpić może. Czyż jednak taki postęp jest wewnętrzną koniecznością, jest nieodzownym warunkiem życia? Wszak tyle wieków upłynęło w Europie aż do XVI stulecia, po-za wszelkim, albo raczej bez wszelkiego postępu.

Nadmienić wypada, że Buckle sam twierdzeń swoich prawami historycznymi nie nazwał. Przeciwnie, dał im skromniejsze i właściwsze miano prawd zasadniczych (propositions). Nie bez powodu jednak narzucił Pawiński nazwę praw powyższym wnioskom, do jakich Buckle doszedł w swoich poszukiwaniach, miał bowiem wszelkie prawo pod koniec dzieła, po tak świetnej zapowiedzi we wstępie, ujrzeć nie „propositions,“ ale wyraźnie sformułowane prawa.

Przekonywając o tem, że pod względem formalnym dyalektyczna szkoła ściślej i logiczniej wyraziła swoje prawa, swoje zasady i pod-

stawy dla historyzofii, Pawiński zaznaczył, że już przed Heglem i Cieszkowskim, ściślej i subtelniej wyraziła swoje mniemane prawa filozofia historyi. Albowiem Vico w XVIII wieku pojął, jako najszczytniejszy cel filozofującej historyi, zdobycie środków do odszukania wiecznych praw, którym życie narodów ulega, i wynalezienie sposobu do odsłaniania mglistej, zagadkowej przyszłości.

Zresztą wyszukiwanie praw, wyrażających się w dziejach ludzkości, za pomocą ścisłego indukcyjnego postępowania nie jest zgoła nowością, tak, iż nawet w tym razie i oryginalność pomysłu nie może zrównoważyć niepowodzenia, jakiego Buckle doznał w wykonaniu zamierzonej pracy. Historia bowiem, pojęta w duchu metody nauk przyrodzonych, jako nauka o prawach rozwoju społecznego, należy do filozoficznego systematu nowszych czasów, stanowiąc w tak nazwanym pozytywizmie jedną z nauk najważniejszych, bo wieńczących budowę najwyższej z nauk, nauki społecznej. Comte stoi na czele tej szkoły, i niemal na lat czterdzieści przed Buckle'm nakreślił w ogólnych zarysach cały systemat nauk i rzucił podwaliny nowej, przez się stworzonej nauki socyologii. Wobec zaś socyologii, wobec dynamiki społecznej, usiłowania Buckle'a za chybione uważać należy.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad niewielką rozprawką Pawińskiego, nie tylko dlatego, że była ona pierwszym popisem młodego docenta Szkoły Głównej, ale że prócz tego wystąpił w niej Pawiński z krytyką systemu historyzoficznego Buckle'a, który olśnił naówczas wszystkich swą niepospolitą erudycją, śmiałością myśli i podniosłością zadań naukowych. Nie mogę się zatrzymywać dłużej nad zarzutami, jakie Pawiński czynił angielskiemu myślicielowi, ograniczyć się jedynie winienem na oświadczeniu, że w krytyce okazał się Pawiński subtelnym i trzeźwym, że nie dał się sprowadzić na manowce błyskotliwą wielkością paradoksalnych pomysłów, a w dodatku, że ujawnił tak szeroki podkład gruntownej wiedzy, iż wówczas już można mu było rokować niezwykle zaszczytne stanowisko w rzędzie polskich historyków.

W roku 1870 Szkoła Główna przeistoczona została na Uniwersytet, skutkiem czego, pragnąc utrzymać się na katedrze, Pawiński musiał się powtórnie doktoryzować. W celu pozyskania stopnia doktora historyi, wydrukował w języku rosyjskim w roku 1871 rozprawę p. t.: „Słowianie połabscy,“ w której skreślił walkę połabskich Słowian z Niemcami, ciągnącą się od 772 do 1164 roku. Uniwersytet petersburski przyznał Pawińskiemu stopień doktora, a krytyka specjalna rosyjska wyraziła się wogóle z uznaniem i sympatją o młodym uczonym. Rozprawa też Słowianom połabskim poświęcona dowodzi przedewszystkiem wysokiej pracowitości i sumienności bada-

cza. Pawiński nie tylko zebrał starannie wszystkie źródła współczesne, ale rozejrzał się w nich uważnie, i opowiedział w pouczający sposób niedołęzną obronę plemienną samodzielności, jaką się Słowianie wobec Niemców odznaczyli. Waśń domowa i zawiści niskiej natury zaślepiały zbyt często Słowian, czyniąc z nich samych wygodne narzędzie w rękach Niemców. Miało to miejsce i wówczas, gdy Bolesław Chrobry, którego Dytmar merseburski lwem polskim nazywał, powołał Lutyków do wspólnego przeciw Niemcom wystąpienia, pragnąc tem samem zabezpieczyć słowiańskie ziemie od niemieckich grabieżców, którzy ją jako swój łup nieuchronny uważali.

W tymże samym roku (1871), wezwany przez petersburską Akademię nauk, Pawiński wydrukował wyczerpującą recenzję dzieła Władimirskiego Budanowa p. t.: „Niemieckie prawo w Polsce i Litwie.“ Za powyższą krytykę Akademia obdarzyła go złotym medalem Uwarowa, a w roku 1872 „Biblioteka Warszawska“ (str. 470—483) wydrukowała obszernie sprawozdanie z powyższej recenzji, z którego obecnie korzystam. Nasamprzód Pawiński, przedstawivszy krytycznie stan naszej literatury, odnoszącej się do historii miast w dawnej Rzeczypospolitej polskiej, przyszedł do przekonania, że nie mamy dzieła, które-by choć w przybliżeniu odtworzyło przeszłe życie naszych municypalności. Jakkolwiek w przeciągu ćwierci wieku, jaka od czasu krytyki Pawińskiego ubiegła, przybyła nam nie jedna praca, rozświetlająca dzieje miast i prawa niemieckiego w państwie polskim, to i dziś spostrzeżenia Pawińskiego trwają w pełnej sile, i dziś, zarówno jak i przed dwudziestu pięciu laty, nie mamy dzieła, które-by zaspakajało wszelkie naukowe wymagania pod tym względem. Naturalnie, że p. Władimirski Budanow nie był w możności zastąpić i wypełnić braków swoją monografią, ale w każdym razie zdobył sobie u Pawińskiego zaszczytne uznanie w słowach, że jego „Prawo niemieckie w Polsce i Litwie“ jest to pierwsza i jedyna praca, wiążąca w całość części przygotowane historycznie i wyprzedzająca z nieznanym dotąd źródeł nowe wnioski, które o wiele naprzód posuwają kwestyę miast tak w sobie skomplikowaną, i otwierają szeroką drogę do badań przyszłych, pod względem rozmaitych części prawa państwowego w dawnej Polsce.

Pawiński czyni jednak Budanowowi liczne a uzasadnione zarzuty. Przedewszystkiem zaś wykazuje, że nadania prawa niemieckiego nie zmniejszały prawa książęcego (jus ducale), albowiem jeżeli istotnie dochody książęce skutkiem nadań malały, to jednakże korzyści i straty narówno ważyły się między sobą, bo zwalnianie od opłaty czynszowej wynagradzanem bywało dochodami, zwiększonymi we własnościach prywatnych przez pomnażanie się ludności wiejskiej.

Następnie obalił Pawiński wywody Budanowa, utrzymujące, że następcami wójtów prowincjonalnych byli starostowie, a stąd jakoby urząd starościński powstał z historyi prawa niemieckiego. Również przyznał Pawiński tylko część prawdy twierdzeniu Budanowa, że prawo niemieckie przyczyniło się najskuteczniej do rozpowszechnienia w Polsce pojęć niemieckich prawa lennego. Rzeczywiście bowiem pojęcia zasadnicze lenności przeszły do Polski z Czech i Śląska, chociaż nie w tym stopniu, jak się to wydaje Budanowowi. Ustrój państwowy dawnej Polski nie przesiąkł zbyt mocno duchem feudalności, nie spotykamy też głównej cechy instytucyi lennej, t. j. zależnego lennego posiadania ziemi, i wszędzie góruje posiadłość ziemska alodialna. Przewodnią myśl Budanowa pozostawił Pawiński bez wyczerpującej odpowiedzi. Budanow utrzymywał, że samorząd i niezawisłe sądownictwo miasta polskie okupiły ceną praw politycznych. Może też otrzymany rezultat nie był godzien ofiary, bo zupełny samorząd nie jest możebnym bez praw politycznych, albowiem każde miasto zostawione sobie było bezbronnem wobec samowoli władz innych, a nawet sam ustrój zarządu municypalnego nie mógł być uważany za obraz samorządu. Ponieważ Budanow wiadomości swe, wyjaśniające stosunek starostów do magdeburgii w nowszych dzielnicach państwa polskiego, czerpał z wiarogodnych źródeł, przeto Pawiński powstrzymał się z zarzutami przeciwko tym jego twierdzeniom, które wiele pozostawiają do życzenia, i ograniczył się na wyrażeniu zastrzeżenia: że wątpi, aby samorząd, wytworzony z prawa magdeburkiego, był jedyną podstawową przyczyną upadku miast. W każdym razie młody profesor w krytyce pracy Budanowa dowiódł niezwykłej erudycyi i spokoju, oraz dojrzałości w historycznym sądzie. Nie ulega też wątpliwości, że medal złoty, którym go wynagrodzono, był rzetelnie zasłużonym.

W roku 1872 wydrukował Pawiński w „Bibliotece Warszawskiej“ obszerniejsze studjum p. t.: „Serbia, zarysy historyczno-etnograficzne.“ Z pobratymczym ludem Serbów—teni słowy rozpoczyna autor swą pracę — nie spotkaliśmy się nigdy na drogach życia dziejowego. Kiedy dla Polski nastąpiła doba rozkwitu, Serbia, po krótkim dniu wielkości, straciwszy swój byt polityczny, już dogorywała. Długa i ciężka pod jarzmem tureckim niewola przytłumiła wszelkie objawy życia narodowego. Dla obu tych przyczyn w dawnym naszym piśmiennictwie żadne niemal nie pozostały ślady związków, i w nowszych czasach Serbia zawsze jeszcze nieznaną dla nas ziemią być nie przestaje, mimo, że odrodzona i wyzwolona, nowym polotem wzbija się jej umysłowość, a życie i stosunki polityczne od lat wielu zwracają ku niej uwagę całej Europy. Zresztą nawet sama Serbia niezbyt daleko posunęła się w pracy około zbadania swojej przeszłości i wyjaśnienia sta-

nu obecnego. Pragnąc więc bliżej zapoznać polskiego czytelnika z tym pobratymczym ludem, niesie mu autor owe zarzysy historyczno-etnograficzne w darze, zaczynając od wystawienia dziejowego obrazu życia Serbów.

Pawiński nie był w możności czynić badań na miejscu i szukać rozproszonych śladów archiwalnych źródeł Serbii. Za to wszakże wszystko, co tylko serbsey, słowiańscy i zachodnio-europejsey historycy napisali o przeszłym życiu serbskiego narodu, zebrał Pawiński starannie i dał nam studyum nie tylko niezmiernie ciekawe, ale i w wysokim stopniu pouczające. Zaraz w pierwszym rozdziale spotykamy cenne wiadomości o ustroju żup i o znaczeniu, jakie one miały w ustroju społecznym i administracyjnym starej Serbii. Następnie opowiedział nam Pawiński, czem był ród Nemanioów dla Serbii, kreśląc barwnie blisko dwudziestoletnie rządy Duszana (XIV w.), którego pierwszym i ostatniem marzeniem było zdobycie Carogrodu i zburzenie cesarstwa bizantyńskiego.

Pawiński w ustroju polityczno-prawnym Serbii odszukał nie mało cech wspólnych z polskimi. Kasztelańską godność np. piastowskich czasów Polski piastowali w Serbii kefalie, t. j. naczelnicy grodów warownych należących do nich okręgów, czyli żup, oni-to wymierzali sprawiedliwość oraz trudnili się zarządem powierzonej im ziemi. Stanu miejskiego albo średniego właściwie w Serbii nie było, albowiem w górzystym kraju przeważało życie pasterskie, a w dolinach zajmowano się rolnictwem. Do miast też nie ciągnęli Niemcy, którzy się tak tłumnie do zachodnich Słowian garnęli. W całym starym ustroju polityczno-społecznym Serbii były, zdaniem Pawińskiego, niewątpliwie związki pełniejszego jej w przyszłości życia i bujniejszego rozwoju, ale gmach polityczny, wzniesiony dzielnią ręką Duszana, zachwiał się w swych podwalinach już za życia jego następcy. Wewnętrzne rozterki targaly państwo, węzły spajające oddzielne części Serbii w jedną całość osłabły zupełnie, aż wreszcie krwawa bitwa na Kosowych równinach (1389 r.) stała się grobem wielkości Serbii.

Pawiński nie poprzestał na odtworzeniu dziejów dawnych Serbii, ale skreślił zarazem dobę jej odrodzenia, wyrażając się z uznaniem o bohaterskich walkach z Turkami. Zarówno przeszłe, jak i bieżące życie Serbii, przedstawił Pawiński wszechstronnie i wyczerpująco. Stosunki polityczne, społeczne, ekonomiczne, etnograficzne, wszystko to zostało uwzględnione w należytej mierze i w wyczerpujący sposób. W Serbii dochowała się do bieżącej doby forma rodzinnego władania ziemią — zadruża; Pawiński poświęcił jej należyłą uwagę, i uczynił co do jej przeszłej i przyszłej doniosłości kilka cennych spostrzeżeń. Tak samo nie uszła jego bystrego oka oryginalność dawnego ustroju

gminnego serbskiego, który w drugiej połowie XIX stulecia uległ znacznym modyfikacyom. Jednem słowem, w studyum, Serbii poświęconem, okazał się Pawiński historykiem wszechstronnym, którego umysł obejmował już szerokie widnokreśli, i nie zwykł zadawałniam się powierzchniem ich zbadaniem.

Oprócz tego w roku 1872 Pawiński wydrukował w „Bibliotece Warszawskiej“ drobniejszą rozprawkę p. t.; „Notatki kupca krakowskiego w podróży do Flandryi z r. 1401 — 1402.“ Ponieważ, jak nas autor poucza, dotychczas znane z końca XIV i początku XV wieku dokumenta głównie się do jednego rodzaju odnoszą, są to bowiem akta grodzkie i ziemskie, radzieckie i wójtowskie, o ileż cenniejsze i ciekawsze być muszą te zabytki, które nam pozwalają bliżej przypatrzeć się, nie stosunkom sądowym wyłącznie, ale innej stronie ówczesnego życia. Mamy przed sobą kilkanaście kartek, zapisanych ręką kupca krakowskiego. Nie jeden zachował się w nich szczegół uwagi godny, wyjaśniający dzieje handlu krakowskiego z początku XV stulecia, o którym tak szczupłe i niedokładne posiadamy wiadomości.

Wiadomo, że zamożniejsi kupcy sami swych spraw handlowych nie załatwiali, lecz do kupna lub sprzedaży w odleglejszych miejscach używali, podobnie jak i dziś, komisantów. Ci komisanci, posiadający odpowiednie pełnomocnictwa do tranzakcyi, nazywali się Lieger. Autorem notatek z 1401 roku był właśnie komisant Henryk Smet, który widocznie trudnił się handlem na własną rękę, i wziął z sobą towary do Flandryi, oraz zlecenia od innych kupców. Przedmiotem zaś wywozowego handlu Polski, podług powyższych notatek, były: wosk, miedź, ołów, welniane i luiane wyroby, oraz skórki z Węgier sprowadzone. Wydając owe skąpe notatki kupca krakowskiego, Pawiński nie omieszczał zaopatrzyć ich w cenne szczegóły historyczne, dotyczące handlowych stosunków miast polskich w XV stuleciu, a przedewszystkiem miasta Krakowa.

W roku 1873 wydrukował Pawiński w „Bibliotece Warszawskiej“ ostatnią część pracy p. t.: „Serbia. Zarysy historyczno-etnograficzne.“ Część ta przedstawiała piśmiennictwo Serbii, które się rozwinęło dopiero w późniejszych czasach. Dziwna zaiste rzecz — powiada autor — że Serbia w ciągu całego swego istnienia politycznego, nawet w dobie rozkwitu w XIV wieku, własnej, po-za obrębem języka cerkiewnego, nie stworzyła literatury. Wprawdzie i u nas długo wszechwładną była łacina, ale już z epoki Piastów mamy piękne rodzinnej mowy pomniki. Cała zaś piśmienna praca Serbów zamyka się w ciasnych granicach literatury kościelnej, uprawianej wyłącznie niemal przez osoby służbie Bożej oddane. Po klasztorach, w Serbii tułała się tu i owdzie piśmienna działalność, blada i bez życia; język bowiem ksiąg kościelnych był mową martwą, dla ludu niezrozumiałą. W drugiej połowie zeszle-

go wieku ukazuje się nareszcie Raicz, pierwszy historyk serbski, ale i ten napisał swe dzieje w języku przystępnym jedynie dla uczonych. Właściwą piśmiennictwa drogę wskazał dopiero Obradowicz, stawszy się niejako twórcą języka piśmienniczego; on mowę ludu wprowadził do książek, a książki tym sposobem między ludem rozpowszechnił. Z gruntowną znajomością przedmiotu skreślił Pawiński dzieje literatury serbskiej w XIX stuleciu, i tym sposobem studjum jego, Serbii poświęcone, dało nam pełny i wyczerpujący obraz publicznego życia tego odradzającego się w oczach naszych kraju.

W roku 1873 wydrukował Pawiński jeszcze jedną rozprawkę w „Bibliotece Warszawskiej“ p. t.: „W sprawie o narodowość Kopernika. Objasnienia ku uczeniu 400 rocznicy urodzin Kopernika, w d. 19 lutego 1873 roku napisane.“ Gwałcenie prawdy historycznej — oświadczą między innymi Pawiński — dokonywane jest przez niemieckich historyków z całą świadomością. Rozbierają po szczególe znane akta umów między Zakonem a Konradem zawartych, wnikają w najsubtelniejsze drobiazgi, a zamykają oczy na wyraźne określenie granic ziemi pruskiej. Na szczęście, nie wszyscy historycy niemieccy równie stronne w tym przedmiocie wydają sądy. Toeppen np. w sprawie ziemi Chełmińskiej nie wahał się wygłosić bezstronne zdanie, mieniąc ją odwieczną dziedziną polską.

Zdaniem Pawińskiego, Toruń z polskiego wyrósł korzenia, a ziemia Chełmińska przesiąknięta była nawskroś żywiołem polskim w chwili, kiedy się w niej osiedlili Krzyżacy, biorąc ją jako podstawę, co do wstępnego z Prusakami służyć miała boju. Pod panowaniem Krzyżaków ziemia Chełmińska zmieniła pod pewnym względem swą postać. Napłynął żywioł obcy, fala niemiecka nie była do tyła jednak silna i rozległa, by istotnie zalala i wymyła dawniejszy żywioł. Zwłaszcza lud wiejski, o ile nie wyginął w walkach z Prusami, pozostał na swej ziemi. Napływała ludność polska nawet i do Torunia, a napływ ten powiększył się od połowy XV wieku, od owego pokoju, kiedy ziemia Chełmińska i dawne nad Wisłą kraje wróciły do Korony polskiej.

Prawo niemieckie i kolonizacya niemiecka nie są to bynajmniej jednoznaczne wyrazy. Kolonia niemiecka prowadziła za sobą w następstwie prawo niemieckie, ale tak samo rzecz bynajmniej nie miała się w odwrotnym stosunku. Nieprzeliczone bowiem wsie polskie otrzymywały nadanie prawa niemieckiego, tam, gdzie nigdy nie powstała stopa niemiecka. W XIII i XIV, jako i w następnych wiekach, napływała w istocie do miast polskich ludność niemiecka. W mniejszych miastach jednak, gdzie przeważał stanowczo element miejscowy, prędko zacieśniała swe cechy narodowe napływowa ludność. W XV wieku spotykamy już całe szeregi mieszczan polskich w aktach miast większych i mniejszych. Nietylko niższe tam spotykają się warstwy, ale sam

przysiężnicy z miejscowej ludności pochodzą; są kupcy i rzemieślnicy polskiego pochodzenia. Skoro byli w Krakowie i innych miastach kupcy polscy, dość wskazać ich nazwisko, by o narodowości ich sąd wydać. Mikołaj też Kopernik (ojciec), jak świadczy nazwisko, był Polakiem. W krótkiej, lecz treścią bogatej pracy, starał się Pawiński przedewszystkiem dowieść, że mieszczkański pierwiastek miast polskich, już od początku XV wieku, nie mógł być uważanym za wyłącznie niemiecki, czego z zaślepieniem i z tendencyjnością niemieccy historycy dowodzili. Ciekawe fakta, które z akt miejskich zaczerpnął Pawiński, nadały jego drobnemu studyum znaczenie naukowe

W roku 1875 Pawiński wystąpił z dwiema pracami na polu archeologii. Nie poprzestał, jak widzimy, na badaniu dokumentów zawartych w bibliotekach i archiwach, ale pragnął zapoznać się z pomnikami dziejowemi, ukrytymi w łonie ziemi. Pierwszą swą rozprawkę archeologiczną p. t.: „Cmentarzysko w Dobryszycach,“ rozpoczął autor temi słowy: „W łonie ziemi równie ciekawe, a nie mniej ważne, jak księgi dziejowe, ukryte są pomniki życia dawnych i bardzo dawnych wieków, wieków, o których nawet pamięć zaginęła. Czas i ręka ludzka nie jedno starły z oblicza ziemi. Dłużej, spokojniej i bezpieczniej przetrwały szczątki ubiegłych stuleci w głębi ziemi, w tem tajemnym archiwum, które mogło w swem ukryciu stawić czoło i złej woli ludzkiej, i nieskończonym lat szeregom.

Najciekawszą stronę wykopalisk w Dobryszycach stanowią grobowiska kamienne. Ile tu zmysłu piękna w układzie kamieni, w ustawieniu studzienki, ile starania około przechowania drogich szczątków! Jaka harmonia kształtów, jaka sztuka przy tak skromnych środkach: kamień i piasek bez wapna lub cementu. Dobryszyckie zaś urny wcale dobrze świadczą o rozwoju sztuki garncarskiej owych czasów. Znać po wykończeniu, że używano koła garncarskiego, znano także sztukę polewania. Czarna polewa na kilku dzbankach nie ustępuje, pod względem równości barwy i połysku, nowoczesnej.

Druga rozprawka archeologiczna Pawińskiego nosiła tytuł: „Przedhistoryczna doba w Królestwie polskim,“ i stanowiła odczyt, wygłoszony przy rozpoczęciu roku uniwersyteckiego w Warszawie. W odczycie tym zebrał Pawiński starannie wszystko to, co przez archeologów naszych zostało dawniej odkrytem i wykopanem, i przyszedł do tego przekonania, że do epoki żelaznej w kraju naszym znajduje się materyał bardzo bogaty. Niema prawie wsi, w której-by nie można było doszukać się śladów owej epoki.

W roku 1876 wydał Pawiński: „Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z Kościołem rzymsko-katolickim w XVII wieku,“ z dwóch rękopisów, włoskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim („Źródła dziejo-

we," tom II). W przedmowie czytamy, co następuje: „Żydzi i Ormianie, wśród polskiej osiadłszy społeczności, oddali się jednemu i temu same-mu zajęciu, żyli niemal wyłącznie z handlu. Obie narodowości przynio-sły z sobą odmienny od krajowego język, religię, zwyczaje. Mimo tę wspólność wieloraką, jakże różnemi tory poszły w dziejowym rozwoju oba żywioły. Ormian, wprawdzie niezbyt licznych, po kilku już wiekach wcieliła do siebie społeczność polska najzupełniej. Wędrowni ze Wschodu goście, pod osłoną praw polskich znaleźli drugą ojczyznę, zleli się z nową społecznością pod względem języka, religii, zachowa-wszy tylko nieco odmienny obrządek kościelny, oraz swój niezatarty po dziś dzień jeszcze typ plemienny. Od zyskowych swych zajęć han-dlowych przechodzili często Ormianie na pole usług obywatelskich, zwykle nie obfitujących w korzyści materialne, i zostawili niezatarte swe ślady w rocznikach wojennych, naukowych i t. d. Zaiste, godni są oni pamięci.

Dwa manuskrypta, które Pawiński w polskim przekładzie wydał, stanowiły zdaniem jego przyczynek do dziejów Ormian ważny i cieka- wy, o tyle więcej, że zupełnie nowy. Obejmuje on szczegółowy opis zda-rzeń, które w jaśniejszem niż dotychczas występują świetle, dotyczy zaś sprawy zjednoczenia Ormian polskich z Kościołem rzymskim. Ko-ściół bowiem ormiański, inaczej gregoryański, różnił się od rzymskie-go pod względem dogmatów tem, że nie przyznawał Soboru chalce-dońskiego. Ormianie byli monofizytami, jedną przypisując naturę Chrystusowi. Również utrzymywali, że Duch Święty od Syna nie po-chodzi. W obrządkach zachowali pewne wybitne od Kościoła rzymskie-go różnice, a panującym w Kościele językiem był ormiański. Polscy Ormianie zależeli od patriarchy eczmiazydzyńskiego w Armenii. Oba manuskrypty, wydane przez Pawińskiego, mają doniosłe dla dzie-jów Ormian znaczenie, i zbytecznem-by było rozwodzenie się nad tem, że się publikacją powyższą Pawiński rzetelnie literaturze naszej zasłużył.

W roku 1877 opublikował Pawiński tom trzeci „Źródeł dziejowych“ p. t.: „Stefan Batory pod Gdańskiem w roku 1576—1577. Listy, uniwersały, instrukcje.“ — Cenne dla dziejów dokumenta, skła-dające się przeważnie z odpisów księgi z czasów podkanclerstwa Jana Zamoyskiego, poprzedził Pawiński obszernym (72 stronie druku) i niezwykle interesującym wstępem. Przebiegł w nim Pawiński zna-czenie Gdańska w ustroju rzeczypospolitej polskiej i jego niezwykle potęgę. Gdańsk też w roku 1575 na polu elekcyjnem stanął po stronie Maksymiliana przeciw Batoremu, i nie odstąpił swego kandydata na-wet wówczas, gdy nietylko Litwa uznała Batorego za swego elekta, ale gdy to samo uczyniły miasta Toruń i Elbląg, zajmujące wraz z Gdań-skiem miejsce w senacie pruskim.

Potrzeba było niezwyklej energii króla Stefana, aby powołać do bytu jaką taką armię, która-by bogatych mieszczan „polskiej Wene-cyi“ siedzących za potężnymi fortyfikacyami, potrafiła ująć w kluby. Dzieje organizacyi szczupłej polskiej armii, odbywające się przeważnie na zamku w Malborgu, a następnie historia krótkiej wyprawy pod Gdańsk i zaciętego oporu miasta, przeplatanej negocyacyami, opisał Pawiński z gruntowną znajomością źródeł, z architektonicznym zmysłem, spajającym mnóstwo interesujących szczegółów w spoiisty i piękny obraz. Dowiadujemy się też np. z tej cennej rozprawy, którą Pawiński poprzedził wydawnictwo „Źródeł“, że Gdańszczanie rościli sobie prawo do wypowiedzania królowi posłuszeństwa, gdyby ten w czemkolwiek naruszyć się odważył ich przywilej, a następnie, że wojsko królewskie zdobyło na Gdańszczanach jedną chorągiew, na której zamieszczono napis: „złota wolność.“

W tymże samym roku 1877 wydał Pawiński jeszcze tom czwarty „Źródeł historycznych“ p. t.: „Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575 — 1577. Listy, uniwersały, instrukcye.“ Wydawnictwo dokumentów poprzedził Pawiński rozprawą o synodzie Piotrkowskim z roku 1577. Dokumenta zaś dziejowe, rzadkie i cenne, czerpane były z tej samej księgi, z czasów podkanclerskich Jana Zamoyckiego, a prócz tego z ksiąg należących do archiwum głównego. Dzieje synodu piotrkowskiego opowiedział Pawiński w sposób zaciekawiający i pouczający. Synod ów piotrkowski przyjął wyroki św. soboru trydenckiego, a w dodatku akt konfederacyi warszawskiej z 1573 roku za nieważny ogłosił. Prócz tego duchowieństwo, oznajmiając królowi o ofercie pieniężnej na synodzie uchwalonej, zaznacza z naciskiem, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu głównie swemi środkami podtrzymywali rzeczpospolitą duchowni i lud prosty, a rycerstwo nawet palcem nie ruszyło.

Wielce znaczącą była odpowiedź, jaką król dał na protestacyę synodalną przeciwko konfederacyi warszawskiej. Z odpowiedzi tej widać, że król wyraźnie stoi przy konfederacyi: zaprzysiągł ją, przeto chce jej dotrzymać. Pragnie pokoju i żąda, aby i inni zgodę szanowali. Na tej wspierając się zasadzie, będzie pociągał do odpowiedzialności sądowej każdego, kto-by wbrew przepisom konfederacyi zadawał jaki kolwiek gwałt osobom duchownym, lub majątkom kościelnym. Konfederacya więc stanowi dla króla podstawę, zasadę polityczną i prawo obowiązujące, dopóki inne przez naród uchwalonem nie będzie.

W roku 1879 wydał Pawiński tom siódmy „Źródeł dziejowych“ p. t.: „Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta w roku 1566 — 1568. Dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich.“ Dyaryusz powyższy mieścił się w Archiwum Głównem Króle-

stwa Polskiego, i Pawiński tem chętniej wywiódł na jaw to nowe i nieznane dotąd źródło, albowiem ono obfite zlewa światło na jedną z nadsobniejszych kart naszych dziejów, i zarazem tyle jasnych dorzuca promieni do świetnej aureoli, jaką błyszczy postać ostatniego na tronie polskim Jagiellona. Dla ocenienia wiarogodności Dyaryusza komisarzy polskich, Pawiński porównywał go z dyaryuszami sejmów pruskich, przechowywanemi w archiwum rządowym w Królewcu, dokąd się udał, przypuszczając nie bez zasady, że w archiwum prowincyi pruskiej, obejmującym tyle ważnych źródeł do dziejów Prus krzyżackich i książęcych, znaleźć się również powinny obfite materiały i do tyłu głośnych swego czasu spraw prusko-polskich za Zygmunta Augusta.

Wydawnictwo nieznanych dotąd i niezwykle cennych dokumentów poprzedził Pawiński pracą historyczną w całym znaczeniu tego słowa p. t.: „Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta. Wstęp historyczny.“ W studyum powyższem, przedstawiającem w nowem zupełnie świetle stosunek suzerena Zygmunta Augusta do lennika Albrechta księcia pruskiego, ukazuje się nam Pawiński jako historyk wielkiej miary, który dziejom ojczystym niewątpliwie odda niezapomniane usługi. W Sprawach Prus książęcych znajdujemy też odtworzone w mistrzowski sposób wewnętrzny ustrój i dzieje polskiego lenna. Niesnaski stanów między sobą, starcia i scyssye sejmów stanowych z radą księcia i samym, coraz bardziej niedoleżniącym, księciem, a wreszcie, niezwykle uzdolnienie dyplomatyczne Zygmunta Augusta, który, mimo, że zdaniem Bielskiego „do wszystkiego był nierychły,“ ale okazał zawsze i wszędzie jako suzeren wiele taktu i przenikliwości, wszystko to przedstawił nam Pawiński tak gruntownie i dokładnie, z tak głębokiem wyrozumieniem natury stosunku lennego, następstw politycznych, jakie z konieczności ten stosunek pociągnąć za sobą musiał, że „Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta“ mogą być uważane za wzorowe, klasyczne studyum, które w literaturze naszej historycznej zachowa na zawsze zaszczytne stanowisko.

W roku 1888 zamieścił Pawiński obszerniejszy artykuł w „Ateneum“ p. t. „Dzieła sztuki greckiej świeżo odkryte. Wykopaliska w Pergamie.“ Wykopaliska powyższe ozdobiły sale assyryjskie berlińskiego muzeum, i tam je też Pawiński starannie obejrzał, mniemając, że patrzy na jakieś pobożowiska natury, gdzie tylko co krwawe potęgistoczyły bój tragiczny. I z tego opisu widać, jak sumiennie każdą rzecz badał zmarły profesor, jak uważnie przypatrywał się każdemu szczegółowi, jak głęboko zastanawiał się nad każdym objawem nie-

zwykłym i jak umiejętnie te objawy kombinował w celu dojścia do ogólniejszych wniosków

W roku 1881 wydał Pawiński tom ósmy i dziewiąty „Źródła dziejowych.“ W tomie ósmym wydrukowaną została monumentalna praca p. t.: „Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego,“ a dziewiąty tom zawarł: „Księgi podskarbińskie z czasów Stefana Batorego 1576 — 1586“ (w dwóch częściach). O „Skarbowości za czasów Stefana Batorego“ pisałem dość obszernie w „Niwie“ w roku 1881. Powtarzać więc uwag moich i spostrzeżeń z przed piętnastu lat nie uważam za odpowiednie, ale w ciągu tego czasem posiłkowałem się niejednokrotnie „Skarbowością“ Pawińskiego, a w dodatku miałem sposobność zapoznać się z niejednym dziełem dotyczącem „Skarbowości“ na Zachodzie Europy. Pogląd więc mój krytyczny mógł się w wielu razach zmienić, i tak się też rzeczywiście stało, ale na korzyść Pawińskiego.

Z dawniejszych monografii, skarbowości rzeczypospolitej polskiej poświęconych, zasługuje jedynie praca Hofinana na zaszczytną wzmiankę, ale dość porównać powyższe studium ze „Skarbowością“ Pawińskiego, aby ocenić, jaką wielką zasługę zdobył sobie tem dziełem zmarły profesor. Wprawdzie przedstawił Pawiński dzieje skarbowości zaledwie w ciągu jednego panowania, ale za to stworzył obraz tak pełny i wykończony, a nadewszystko tak pouczający, że następni badacze mogą wzbogacić dzieje skarbowości za Stefana Batorego niejednym szczegółem, ale żadnego nowego zasadniczego objawu odnaleźć nie zdołają, i wyczerpującego studium Pawińskiego uzupełniać nie będą potrzebowali.

Skarbowość państwowa jednoczy w sobie do pewnego stopnia wszystkie gałęzie administracji państwowej i w niej się najdokładniej odbija nieustająca działalność wszelkich organów państwowych, tak, że uosabia ona niejako funkcyonowanie, czyli życie polityczne państwa. Dzieło Pawińskiego odtworzyło w mistrzowski sposób owo życie i rzuciło jasny promień światła na najważniejsze kwestye konstytucyjne w dawnym państwie polskim. Nietylko że „Skarbowość za Stefana Batorego“ przedstawia nam w sposób gruntowny cały ustrój władz skarbowych, nietylko że widzimy cały system podatków i potrzeb publicznych, pochłaniających dochody, ale prócz tego z wzorową dokładnością ocenić możemy, jakim był rozkład ciężarów podatkowych na różne warstwy społeczeństwa i o ile skutkiem nierówności rozdziału wyczerpywała się siła podatkowa klas nieuprzywilejowanych, dzięki czemu skarb bywał jakby chronicznie pustym i najdośćlejsze kombinacje polityczne musiały iść na nice. Wobec tego, co w dziedzinie skarbowości było zrobionem przed Pawińskim, śmiało można nazwać dzieło jego przełomowem. Ono bowiem pierwsze

wskrzesiło dawne dzieje naszej skarbowości, i ono dla przyszłych badaczy będzie wyborną wskazówką, jak historię polskiej skarbowości należy dalej prowadzić. Nie sądzę też, aby literatury zachodnio-europejskie posiadały wiele dzieł, historii skarbowości swych państw poświęconych, które-by mogły być z dziełem Pawińskiego porównanemi. Zdanie powyższe wypowiadam jednak warunkowo, albowiem nie posiadam dostatecznej erudycyi, która-by zdaniu memu mogła pozyskać należytą powagę. Nadmienić jedynie winienem, że ze wszystkich dzieł francuskich i niemieckich, z jakimi miałem sposobność się zapoznać, jedna kilkatomowa praca Vuitry'ego p. t.: „Etudes sur le régime financier de la France avant la révolution de 1879“ doprowadzająca dzieje skarbowości francuskiej do roku 1380, dorównywa Pawińskiemu gruntownością, a przewyższa go nawet rozległością naukowych badań.

Naukowa działalność Pawińskiego w roku 1881 nie ograniczyła się jednak na wydawnictwie aż dwóch tomów źródeł, z których jeden był pomnikową pracą. Prócz tego, jako owoc odbytej wycieczki, wydrukował w tymże roku Pawiński trzy tomy „Listów z podróży“, dwa Hiszpanii, a jeden Portugalii poświęcony. Pawiński, czyniąc tę interesującą wycieczkę, przygotował się do niej należycie, zapoznając się dokładnie nie tylko z dziejami i literaturą tych krajów, ale i z językiem hiszpańskim. W przemówieniu do czytelnika, zamieszczonem w tomie pierwszym, Hiszpanii poświęconym, oświadcza Pawiński co następuje; „Zwiedzałem Hiszpanię nie jako owi szczęśliwi wędrowcy, co podróżują jedynie dla podróży, i niejako uprawiają sztukę dla sztuki. Prowadziły mnie za Pirenee cele raczej naukowe, które pochłaniały w archiwach i bibliotekach czas i umysł niemal całkowicie. Stąd poszło, że co dla innych stanowi główny przedmiot podróży, dla mnie stało się celem ubocznym. Śmiem jednak napomknąć o tem, że zwiedzając Hiszpanię nie po zwykłych utartych gościńcach, miałem sposobność przypatrzeć się okolicom, ludziom, pomnikom, instytucyom, których nie poznali moi poprzednicy, a tacy głośni wędrowcy, jak Gautier, Dumas, Amicis, Wagner i inni. Oswoiwszy się nadto z językiem, który mi nieraz otwierał nie tylko gościnne domy Hiszpanów, ale zarazem ich serca, mogłem niekiedy, o ile sądzić przystoi, sięgnąć głębiej dla zrozumienia ducha narodu, jego przeszłości, jego pomników sztuki i literatury, jego usposobień obecnych.

Listy z Hiszpanii Pawińskiego przedstawiają dla wykształconego czytelnika wiele naukowego interesu. Dowiadujemy się z nich o szczegółach, dotyczących nie tylko archiwów, uniwersytetów, szkół, ale etnografii, ekonomii, dziejów politycznych i społecznych stosunków, a wreszcie i sztuk pięknych oraz literatury pięknej. Pawiński zapoznawał się wszędzie z uczonymi, lub wogóle z wybitniejszymi osobi-

stościami Hiszpanii, i w rozmowie z nimi starał się wyzyskać ich znajomość rodzinnego kraju. Przedewszystkiem wyrzył się trwale w pamięci Pawińskiego Castellar, zarówno głęboką wiedzą, jak i porywającą wymową.

Listy z Portugalii nie wyczerpują już tak wszechstronnie życia narodowego, jak listy z Hiszpanii. Ponieważ Pawiński udał się do Lizbony na zjazd antropologiczny, przeto główną uwagę poświęcił obradom kongresu i w listach spotykamy się nie z Murillem, Zurbaranem, Castellarem i innymi wielkościami dawnej czy dzisiejszej Hiszpanii, ale z człowiekiem trzecio i czwarto-rzędowym ze śmietniskami kuchennymi i tym podobnymi kwestyami antropologicznymi. Mimo to jednak listy z Portugalii są tak barwnie i żywo napisanymi, że są w stanie zaciekać nawet wymagającego czytelnika. Wreszcie w ostatnich listach poświęcił Pawiński uwagę także i stosunkom społecznym oraz literaturze Portugalii.

W roku 1881 wydrukował Pawiński w „Ateneum“ jeszcze jedną rozprawkę p. t.: „Człowiek w okresie trzeciorzędowej formacji.“ Kwestyę poruszoną w powyższym artykule zagaił właściwie ksiądz Bourgeois w roku 1867 na kongresie antropologicznym w Paryżu. Nie mógł jednak na poparcie swojej hipotezy o trzeciorzędnym człowieku przytoczyć innych dowodów, nad kilkanaście okrzeseł kamiennych, dość starannie ociosanych, które miały jakoby nosić na sobie ślady obrobienia ich ręką ludzką. Większość kongresu nie podzielała zdania księdza Bourgeois'a, a Pawiński, zbadawszy obustronne wywody, oświadczył, że na dotychczasowych kruchych podstawach ścisła nauka nie może budować swych wniosków. W każdym razie w łonie ziemi kryją się dotąd nieocenione dla nauki bogactwa. Szczęśliwy traf, któremu ludzkość już niejedno zawdzięcza odkrycie, może wyprowadzić na jaw dowody oczywistsze, niż te, na jakich się dziś przypuszczenie tylko opiera. Między antropologami więc utrzymuje się nadzieja, że z czasem peszlaki doprowadzą do dowodu niezbitego, jakim będzie czaszka, szkielet, znaleziony w pokładzie miocenu.

W roku 1882 wydrukował Pawiński jedenasty tom „Źródła dziejowych“ p. t.: „Akta metryki koronnej co ważniejsze z czasów Stefana Batorego 1576 — 1586,“ a wydawnictwo dokumentów poprzedził rozprawką p. t.: „O królu Stefanie jako myśliwym.“ W tomie jedenastym nie podał Pawiński zbioru aktów, które-by jedno tylko ważniejsze wyjaśniały zdarzenie, lub które-by się odnosiły do pewnego mniejszego okresu. Po wydrukowaniu poprzednich tomów, dotyczących panowania Batorego, pozostały tylko luźne akta, odnoszące się do rozmaitych spraw panowania Stefana, a które, mimo ich różnorodności i rozproszenia, wydały się Pawińskiemu tak ważnymi, że je postanowił opublikować.

O rozprawce p. t.: „Król Stefan jako myśliwy,“ pisałem swego czasu w „Niwie;“ obecnie więc tylko pobieżnie zaznaczam, że stanowi ona rzeczywiście ozdobę literatury łowieckiej, a do wykończenia portretu dziejowego króla Stefana daje badaczowi dużo ciekawej treści. Mówca pogrzebowy słauił już Batorego, że jest „in feris domandis, plus quam leo,“ musiał więc dzielny i rozumny monarcha mieć istotną żyłkę nemrodową, i wśród gorących obrad w sali sejmowej ogarniała go prawdopodobnie dość często tęsknota za wypoczynkiem wśród głębi puszczy, w pościgu za grubym zwierzem, bądź to czarnym, bądź płowym. Gospodarstwo łowieckie Batorego, odznaczające się wzorowym łaudem i zasobnością, przedstawił Pawiński w sposób barwny i żywy, a prócz tego znajdujemy w jego studyum sporo ciekawych szczegółów, odnoszących się do dziejów sokolnictwa w Europie, tak, że i w tej dziedzinie, obcej jego usposobieniom i skłonnościom osobistym, stworzył rzecz piękną i cenną zarazem.

W roku 1883 wydrukował Pawiński dwa tomy „Źródeł dziejowych“ (XII i XIII) p. t.: „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. Wielkopolska.“ Nie sądził jednak, aby można było poprzestać na samem ogłoszeniu ciekawych rejestrów poborowych, zadanie wydawcy pojmował zawsze szerzej, a w tym szczególnym wypadku poczuwał się nawet żywiej do obowiązku przerobienia samego materiału i obrócenia go natychmiast, choćby w pewnej mierze, na pożytek naszej nauki. Podał też Pawiński w trzech rozdziałach pierwsze wyniki swych, jak się wyraził, długich i mozolnych badań geograficzno-statystycznych nad Wielkopolską. W pierwszym rozdziale przedstawił rozległość każdego jej powiatu i województwa, a więc rzecz, która po raz pierwszy rozświeciła pomroki panujące aż do tej chwili na całym szlaku geograficznym Polski; w drugim rozdziale przybliżone obliczenie ludności, i wreszcie w trzecim, stosunki statystyczne własności ziemskiej. Dalsze zaś przerabianie całego materiału, roztrząsanie stosunków ekonomicznych, rolnych, przemysłowych, wymagające nowych zachodów i niemałego czasu, odroczyło-by, jak zapewnia Pawiński, na długie lata zbudowanie tyle niezbędnej całości. A śpieszyć się trzeba, bo od tego pośpiechu zależą postępy naszej nauki dziejowej.

Porzucił więc Pawiński chwilowo zamiar ogłoszenia zaraz map geograficznych Wielkopolski, a przeszedł bezpośrednio do badań nad Małopolską, Mazowszem i Podlasiem, które się miały niebawem ukazać. Skoro zaś już zrab stanie — są to słowa Pawińskiego — i gmach będzie pod dachem, spokojniej przystąpimy, jeśli życia i sił starczy, do wykończenia jego wewnętrznych części. Jak widzimy, nietylko tych sił nie wystarczyło, ale i Podlasie, zapowiedziane w 1883 roku, nie ukaza-

ło się w druku, a Mazowsze pojawiło się zaledwie w 11 lat po zapowiedzeniu. Streszczony trzeci rozdział swej gruntownej pracy o Wielkopolsce, traktujący o stosunkach własności ziemskiej, zamieścił Pawiński w tymże samym roku w „Niwie;“ wszystkie zaś trzy rozdziały pracy, poprzedzające druk regestrów skarbowych, zawierają treść bogatą i rzucają nowe zupełnie światło na stosunki społeczne i ekonomiczne Wielkopolski. Pisałem swego czasu w „Niwie“ dość obszernie o powyższem dziele, starając się wykazać jego doniosłość i ważność dla historycznej naszej literatury, obecnie więc ograniczę się jedynie na przypomnieniu, że praca Wielkopolsce poświęcona jest pod względem wyzyskania i obrobienia źródeł archiwalnych, zarówno jak i pod względem ścisłości logicznej wniosków, wzorową, i w niej też odbija się najdokładniej fizyognomia społeczno-ekonomiczna Wielkopolskiej dzielnicy. Dość tylko przeczytać trzeci rozdział, poświęcony stosunkom własności ziemskiej, aby się przekonać, jak bogaty i oryginalny plon potrafił Pawiński zebrać z napozór suchych i skąpych w informacye regestrów poborowych.

W roku 1884 wydrukowałem w „Bibliotece umiejętności prawnych,“ studjum Pawińskiego p. t.: „Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie rzeczypospolitej.“ Studjum z literatury politycznej XV wieku. Rozprawa Pawińskiego, pierwszemu polskiemu statystycie poświęcona, zajmowała w chronologicznym porządku czwarte miejsce. Przedtem bowiem pisali już o Ostrorogu, Wegner: Bobrzyński i Caro. Ponieważ cenna praca Pawińskiego skłoniła i mnie w roku 1884 do napisania studjum porównawczego o Ostrorogu: przeto, pozwolę sobie w krótkości przytoczyć uwagi krytyczne o pracy Pawińskiego, jakie w mej rozprawie zamieściłem. Niewątpliwie dzieło Pawińskiego o Ostrorogu nosi znamiona gruntowności i sumienności, będące udziałem poprzednich prac autora, a przytem odznacza się, jak wszystkie płody Pawińskiego, obfitością nowych źródeł, zebranych bądź to w księgach sądowych poznańskich, bądź w petersburskiej bibliotece, i daje nam przez to pełny obraz epoki, zdobny w nowe szczegóły, których nawet staranna praca p-ra Caro wydobyć nie potrafiła.

Zdaniem Pawińskiego, myśli Ostroroga, dotyczące wewnętrznego zarządu, administracyi, policyi, stanowią miarę wniosków bardzo szczupłą, o bladych barwach i niewyraźnych zarysach. Pomysły przedstawiają dziwną płataninę jasnych i zamąconych pojęć, dojrzałych i dziecinnych wniosków; niekiedy wzbijają się ponad poziom ówczesnych idei, to znów toną całkowicie w pomroku średniowiecznej atmosfery. Dla Ostroroga prawo rzymskie było skończonym ideałem. Pomysł wprowadzenia do Polski prawa rzymskiego miał dla niego dużo uroku, ale w oczach rozważnych statystów, obeznanych lepiej z isto-

tniejszemi potrzebami swego czasu, musiał się wydać dziwną mrzonką wylęglą w bardzo młodym umyśle.

Poddawszy monument Ostroroga surowej ocenie, Pawiński nie poszedł jednak błędnym torem p-ra Caro, i nie uważał go bynajmniej za twór naśladowczy, lecz za pracę nawskroś oryginalną. P-r Caro utrzymywał bowiem, że Ostroróg wszystkie ważniejsze myśli zapożyczył od Reisera; tymczasem, Pawińskiego zdaniem, Ostroróg i Reiser są to dwie wielkości niewspółrzedne, różnogatunkowe, a oprócz tego poniekąd obaj czerpali poglądy ze wspólnej krynicy, którą stanowił hussytyzm. Z wieloma poglądami Pawińskiego nie mogłem się zgodzić w mej pracy o Ostrorogu; ale dziś, po 12 ubiegłych latach, oświadczyć winienem, że niejednen zarzut mu uczyniony mógł-bym śmiało cofnąć, a wiele innych znacznie złagodzić i zmodyfikować. Wsparty też własnem doświadczeniem, zaznaczyć muszę, że im kto dłużej pracować będzie nad historią nauk politycznych w Polsce, tem lepiej ocenić będzie w możności rzetelną wartość monografii Pawińskiego, pierwszemu statystycie polskiemu poświęconej

W roku 1884 ukazała się w „Bibliotece umiejętności prawnych“ jeszcze jedna rozprawa Pawińskiego p. t.: „O pojednaniu w zabójstwie według dawnego prawa polskiego.“ Temu samemu przedmiotowi poświęcił niegdyć uwagę Romuald Hube, Wacław Maciejowski, a głębiej wejrzał w tę sprawę Dunin, autor „Dziejów prawa mazowieckiego.“ Pawiński jednak, rozczytując się od lat wielu w najdawniejszych księgach sądowych z XIV, XV i XVI wieku, szukał bacznie tych prastarych zwyczajów i pilną zwracał uwagę na spotykane w nich sprawy o zabójstwo, aby odnaleźć szczytki pomsty krwawej, wróżby i pokory. Z kilkuset ksiąg sądowych, poczynając od końca XIV wieku, idąc przez cały wiek XV i niemal do końca XVI stulecia, udało się Pawińskiemu porobić sporo wyciągów, które do badanego przedmiotu się odnoszą. Ściągają się one nie do jednej tylko ziemi, tej, lub innej części Polski, ale obejmują wszystkie niemal powiaty Mazowsza i mnogie ziemie, szczególnie Wielkopolski. W księgach poznańskich i gnieźnieńskich, w których się mieszczą ślady pokory, znalazłby pilny badacz niejedną jeszcze wskazówkę. O takim wszakże wszechstronnem wyczerpaniu przedmiotu Pawińskiemu niepodobna było marzyć, i dlatego ograniczył się na imponującym w każdym razie materiale, z kilkuset ksiąg sądowych wyciągniętym.

W ostatecznym wniosku Pawiński przyszedł do tego przekonania, że zarówno pomsta krwi w Polsce, jak i system jednania się w zabójstwie, przedstawiają zjawisko nieodosobnione, ale ogólne, powszechne, będące tylko częścią tych kształtów, które na pewnym stopniu społecznienia stanowią taką fazę naturalną, jak ząbkowanie u dzieci, lub

dojrzewanie płciowe u chłopców i dziewcząt. Różnica zachodzi nie co do istoty samego procesu fizyologicznego, tylko co do czasu powstania i ukazania się danego organizmu na świecie. Sposób jednania się w zabójstwie w Polsce za pomocą okupu pieniężnego i przeproszenia, nawet warunek wydalania się czasowego jak na Mazowszu, i te kształty są również powszechne, nie tylko między ludami słowiańskimi, ale i germańskimi, aryjskimi i wielu innymi, i tworzą tylko w niektórych szczegółach pewną odmienność. Nietylko więc, że Pawiński oparł swą rozprawę „O pojednaniu w zabójstwie“ na oryginalnym i dotąd niewyzyskanym materiale źródłowym, ale traktował przedmiot porównawczo, zapoznając nas z podobnymi instytucjami u Węgrów, Czechów, Morawian i Niemców. Niewątpliwie też powyższa praca jego zajmie w literaturze naszej prawnej zaszczytne stanowisko.

W roku 1884 opracował Pawiński wiersz Kochanowskiego p. t.: „Jezda do Moskwy“ i t. d., i artykuł wraz z wierszem wydrukowany został w drugim tonie pomnikowego wydania dzieł Jana Kochanowskiego. Główną pobudką do napisania wiersza, zdaniem Pawińskiego, stała się wyprawa, którą w r. 1581 Krzysztof Radziwiłł przedsięwziął na rozkaz króla Stefana, prowadzącego wojnę z carem Iwanem IV. Wyprawa powyższa, która trwała kilka miesięcy, stanowi jeden z piękniejszych epizodów działań bojowników polskich. Ta część poematu, która obejmuje dzieje owej wyprawy na Moskwę, mieści w sobie tyle szczegółów topograficzno-statystycznych, że z tego wnosić-by należało, iż je poeta otrzymał chyba z ust samego bohatera. Nigdzie jednak w tym poemacie uwielbienie dla Radziwiłła nie krzywdzi prawdy historycznej, owszem, zgodnie z nią, ręka w rękę postępuje. I w tej drobnej pracy zaznaczyć należy ścisłość i sumiennność, które nigdy Pawińskiego nie opuszczały, zdobi też ona niezaprzeczenie drugi tom rzeczywiście pomnikowego wydania dzieł Kochanowskiego.

W roku 1886 wydał Pawiński dwa tomy „Źródeł dziejowych“ (tom XIV i XV) p. t.: „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. Małopolska.“ Wydawnictwo regestrów skarbowych poprzedzone zostało studjum jeszcze obszerniejszem i bardziej wyczerpującem, niż to miało miejsce w tomach Wielkopolskę opisujących. Prócz bowiem trzech rozdziałów, rozległości, ludności i stosunkom własności ziemskiej poświęconych, znajdujemy jeszcze różne spisy alfabetyczne, pozwalające się należycie oryentować w materiale statystycznym. Porównywając Wielkopolskę z Małopolską, można dopiero ocenić należycie doniosłość podjętego przez Pawińskiego dzieła, w którego wykonaniu dopomógł mu wybornie Jabłonowski, opracowując inne dzielnice rzeczypospolitej polskiej. Odmienna fizyognomia społeczno-dzielnicowa występuje dopiero przy porównaniu w całej sile,

i na państwo polskie XVI wieku pada z dzieła Pawińskiego dużo nowego światła, pozwalającego ocenić ustrój ówczesny społeczny i siłę podatkową klas pojedynczych.

W roku 1886 wydrukował jeszcze Pawiński artykuł w „Tygodniku Ilustrowanym“ p. t.: „Zgon króla.“ W nim przedstawił nam ostatnie chwile Stefana Batorego w Grodnie, którego śmierć nastąpiła skutkiem osłabienia działalności serca. Do łóża niemocą złożonego monarchy nie dopuszczono lekarza Polaka, i Batory skończył żywot wśród swarów dwóch lekarzy włoskich, którzy się na zgodne ratowanie króla zdobyć nie byli w możności. „Zgon króla“ skreślony został barwnie i zajmująco, przyczem nie opuszczono najmniejszego szczegółu, towarzyszącego tej smutnej dla całej Rzeczypospolitej okoliczności.

W roku 1888 wydał Pawiński pięć tomów: „Dziejów ziemi kujawskiej.“ Pierwszy tom poświęcony został pracy p. t.: „Rządy sejmikowe w epoce królów elekcyjnych (1872 — 1795),“ a w czterech następnych wydane zostały akta historyczne. O doniosłości i znaczeniu sejmików w ustroju Rzeczypospolitej polskiej mało dotychczas było wiadomo z podręczników lub monografii specjalnych. W tejże samej rozprawie Hofmana, w której znalazło się dość historycznych wiadomości o zarządzie skarbu publicznego, można się było doszukać również i kilku cennych uwag, dotyczących rządów sejmikowych. Poza pracą Hofmana jednak podręczniki Lengnich'a i Skrzetuskiego zawierały nie wiele więcej po-nad elementarne wiadomości, i z dotychczasowych prac z dziedziny historii prawa państwowego polskiego zaledwie się można było domyślić, gdzie tkwi główne ognisko życia państwowego dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, oby historycy zwrócili pobieżną i w dodatku bałamutną uwagę na sejmiki w Polsce. Babeau, opisując burzliwe posiedzenia sejmów stanowych Bretanii, na których krzyczano, a nie rozumowano, upatruje w nich podobieństwo do sejmów polskich ¹⁾. Treitschke zaś, mówiąc o dawnych sejmach stanowych w Meklemburgii, które nie znały żadnego porządku dziennego, ani prawidłowych rozpraw sejmowych, i wśród których można było często usłyszeć trzech mówców jednocześnie przemawiających, również dostrzegł w nich podobieństwo do sejmów polskich ²⁾. Obaj historycy jednakże, do których można dołączyć

¹⁾ „La province sous l'ancien régime,“ t. I, str. 72. „Les salles des états ressembloient aux diètes polonoises. Tous les gentilshommes se croient égaux, un très petit nombre entend les affaires et aucun ne sait parler; on crie mais on ne raisonne pas“ i t. d.

²⁾ „Deutsche Geschichte,“ t. III, str. 539. „Keine Rede von einer Geschäftsordnung, von einer geregelten Verhandlung; oft sprachen zwei, drei Redner zugleich.“

i trzeciego Hanotaux ¹⁾, porównywali sejmy stanowe dzielnic w swoich krajach nie z sejmami, lecz z sejmikami polskimi, i tylko niewystarczająca znajomość konstytucji polskiej spowodowała ich, że sejmiki ziemskie przeistoczyli w sejmy walne Rzeczypospolitej polskiej.

Przedewszystkiem Pawiński uważał za potrzebne wytłómaczyć czytelnikowi, dlaczego użył określenia „rządy sejmikowe,“ a nie „samorząd sejmikowy.“ Niemiecka terminologia posiada dwa wyrazy: Selbstregierung i Selbstverwaltung, z których pierwszy doskonale-by się do rządów sejmikowych nadawał, i w tłumaczeniu wiernem mógłby być przez wyraz „samorząd“ oddany Tymczasem nauka polska użyła już wyrazu „samorząd“ na określenie samorządu czyli „Selbstverwaltung;“ zamiast więc wtłaczać temu słowu inne znaczenie, aniżeli miało dotąd w języku polskim, Pawiński obmyślił termin nowy, który doskonale odpowiada temu, co wyrazić zamierza.

W dalszym ciągu odtworzył nam Pawiński w całej pełni życie sejmikowe, czy to w dziedzinie prawodawczej, czy administracyjnej, czy wyborczej. Występuje też w jego klasycznym studyum sejmik jako zasadniczy i podstawowy organ w ustroju Rzeczypospolitej, i on-to, biorąc często górę nad sejmem, nadaje wybitne, federacyjne piętno polskiemu państwowemu gmachowi. O „Rządach sejmikowych“ Pawińskiego pisałem swego czasu do „Niwy“ i do „Tygodnika Ilustrowanego,“ obecnie więc ograniczę się na przypomnieniu, że „Rządy sejmikowe“ Pawińskiego, stanowią zarówno jak i „Skarbowość za czasów Stefana Batorego,“ pracę przełomową, która w miejsce niedostatecznych wiadomości postawiła niewzruszalny gmach naukowy, który przyszli badacze będą potrzebowali jedynie wzbogacać szczegółami ornamentacyjnymi.

W roku 1890 wydrukował Pawiński obszerniejszy artykuł w „Ateum“ p. t.: „Zamach na Ostroroga.“ Geneza tego drobniejszego studyum jest następująca: W roku 1889 wystąpił w „Przeglądzie Katolickim“ ksiądz Nowodworski, późniejszy biskup płocki, z twierdzeniem, że pismo o naprawie Rzeczypospolitej, przypisywane Ostrorogowi, mogło wyjść dopiero w XVI w., t. j. w czasie, kiedy Ostroróg już nie żył,

Jeder Landstand konnte nach Belieben Gäste mitbringen, die sich ganz wie auf den polnischen Reichstagen mitten unter den Staenden umhertrieben“ i t. d. „Auch die gewaltigen Landtagsgelage am Abend erinnerten an die sarmatische Adelsheerrschaft.“ Nawet szlachta meklenburska, zlaniam Treitschkego, nie była wcale lepszą od polskóji i te same co ona miała nawyknięcia.

¹⁾ Histoire du Cardinal de Richelieu, t. I, str. 392 (drugie wydanie): „En Bretagne les Etats etaient une véritable diète polonoise ou tout noble de race avait accès et voix délibérative.“

a więc i autorem pisma „O naprawie“ musiał być ktoś inny, nieznanym dotąd historykom nauk politycznych w Polsce.

Spostrzeżenia księdza biskupa Nowodworskiego zdradzały tyle przenikliwości umysłu i rozległej wiedzy, że pomijać ich lekceważeniem czy wyniosłością nie należało w żadnym wypadku. Zamiast tego, wypadało jeszcze raz zastanowić się nad treścią pisma „O naprawie rzeczypospolitej“ i rozważyć: czy istotnie wszyscy, co się nad poglądami Ostroroga zastanawiali, a pomiędzy nimi był także i Romuald Hube, pozostawali w błędzie, i w oceniu traktatu politycznego zgubili całe stulecie. Pawiński nie uważał również za stosowne zamach na autentyczność Ostroroga pokryć milczeniem, i artykuł w „Ateneum“ stanowi właściwie odpowiedź na zarzuty biskupa Nowodworskiego.

Ponieważ na szczegółowe zarzuty zamieścił Pawiński szczegółową odpowiedź, przeto pozwolę sobie zwrócić uwagę na punkt kapitalny, który w sporze głównym jest przesądzającym. „Jeżeli — oświadcza Pawiński — zaczniemy brać wszystkie artykuły, w liczbie 67, memoriału Ostroroga, i będziemy je przenosić na tło stosunków w okresie przed 1532 r., przekonamy się, że co chwila dokonywać nam wypadnie gwałt Prokrusta, włączania stosunków politycznych, sejmowych, administracyjnych, wojskowych i t. d. w formy i ramy, w których się one bez wielkiego obrażenia prawdy pomieścić nie dadzą. Zupełną zaś swobodę otrzyma badacz, kiedy odniesie uwagi i myśli Ostroroga do stosunków, jakie zachodziły w Polsce około połowy XV wieku. Wreszcie, w bibliotece Cesarskiej w Petersburgu znajduje się list, pisany przez niejakiego Calligulę (Trepka) do Łaskiego w roku 1532, w którym tenże Calligula zawiadamia Łaskiego, że posyła mu na wszelki wypadek prawdopodobnie już znany utwór Ostroroga, i nazywa autora uczonym i roztropnym, który dawno otwierał Polakom oczy na wolność chrześcijańską. Wstęp jednak krótki do traktatu nie jest prawdopodobnie dziełem Ostroroga. Ostroróg bowiem dla oznaczenia swej ojczyzny, swojego kraju, ma tylko jeden wyraz „Polonia.“ Autor wstępu zaś, w swoim kilkunastowerszowym zagajeniu, posługuje się w tym wypadku wyrazem „Sarmatia.“ Otóż zauważyć należy i tę okoliczność, że wyraz „Sarmatia“ na oznaczenie Polski wchodzi u nas w użycie dopiero w XVI wieku.

W roku 1891 wydrukował Pawiński w „Ateneum“ rozprawę p. t.: „Ostatnia księżna mazowiecka, obrazek z dziejów XVI wieku.“ Księstwo mazowieckie, jako lenno, z mocy wcześniejszych umów, z chwilą wygaśnięcia męskiego rodu Piastowskiego, powinno było przejść do Korony i traciło na zawsze swoją dzielnicową samoistność. W roku 1526, gdy zmarł Janusz, ostatni książę mazowiecki, księżniczka Anna nie miała żadnych praw do władzy nad Mazowszem, i je-

dynym spadkobiercą spuścizny Piastowskiej był król Zygmunt. Księżniczka Anna w ciągu pół roku piastowała jednak w swych rękach rządy Mazowsza, ale w końcu wypadło uleść smutnej konieczności, złożyła też władzę, zrzekła się tronu, i, jak sierota, oddała się pod opiekę króla Zygmunta, który miał jej ojca zastąpić. Król uposażył ją licznymi włościami, ale to opatrzenie przysługiwać jej miało dopóty, dopóki by za mąż nie wyszła. Tymczasem trzydziestokilkoletnia księżniczka wyszła za mąż za Stanisława ze Sprowy Odrowąża, i nie chciała królowi zwrócić włości, któremi jej stan paniński opatrzył.

Znowu więc urzędnicy królewscy doznali pewnego oporu ze strony szlachty i zarządów lokalnych, ale opór ten był słabym, i nie zdołał zakwestyonować na seryo prawa monarszego. Na zamku też w Jarosławiu spędziła resztę swego skolatanego żywota ostatnia dziedziczka Piastów, zdala od rodzinnej ziemi mazowieckiej. Jakkolwiek w monografii, ostatniej księżnej mazowieckiej poświęconej, mało się znajduje treści rzeczywiście doniosłej pod względem politycznym, ale w każdym razie, stanowi ona wdzięczny obrazek, przedstawiający ostatnie przebiegi samoistności dzielnicowej Mazowsza.

W roku 1892 ukazało się w „Ateneum“ większe studjum Pawińskiego p. t.: „Młode lata Zygmunta Starego.“ Jest to praca napisana po mistrzowsku i oparta na materyale archiwalnym, który został pracowicie i starannie zgromadzonym. Pawiński dał nam wytworny i przepyszny portret Zygmunta I, a jest on dla historyka tem cenniejszy, że korona królewska, berło i tron, jak Pawiński przekonywa, w niczem nie zmieniły Zygmunta, kiedy w drugiej połowie życia, na długie, i bardzo długie lata, obejmował ster losów wielkiego państwa.

Zygmunt, jako król na tronie polskim, są to słowa Pawińskiego, nie zgotuje niespodzianek tym, którzy przy świetle zebranych przez nas szczegółów zdołali zbadać głębię duszy Zygmunta, jako królewicza. Jako głowa państwa i wódz narodu, nie poprowadzi on społeczności na drogę zaborów, krwawych zdobyczy i śmiałych podbojów. Nie pali go żądza zbierania wawrzynów na polu orężnej walki, w obozie się nie wychował, do surowego, wojskowego życia nie przywykł, czterdzieści lat spędził w spokojnej i wygodnej atmosferze dworskiej. Wszystkie niemal wojny, które Zygmunt prowadzi, są raczej obronne, niż zaczepne. W tych obronnych wyprawach bierze król wprawdzie udział osobiście, szczególniejsze dogląda przygotowań, przebywa w obozie, ale zapal wojenny nie unosi go tak, żeby na czele hufców szedł w ogień nieprzyjacielski, jak Franciszek I, jak Ferdynand, jak później Batory. Ani zdolności nie posiada wielkiego wodza, i tego świadom jest najzupełniej, ani uważa za stosowne życie swe narażać, zwłaszcza

wtedy, gdy z licznej poprzednio rodziny Jagiellów on tylko z bratem pozostał Władysławem.

Zygmunta ideały, jako głowy państwa, jako wodza narodu, płynęły z innego źródła, biorąc swój początek z zamiłowania do sprawiedliwości, do porządku, ładu, harmonii, do pracy około doskonalenia się w zakresie życia materialnego, jak i duchowego. Zygmunt ideał, kiedy przychodzi do władzy, to misja cywilizacyjna, spełnienie wielkiego posłannictwa celem ugruntowania podstaw społecznych, ujęcia w karby burzliwych żywiołów, podniesienia bogactwa narodowego, zaprowadzenia oglądy i poloru, nadania całemu życiu cechy lepszych i wyższych dążeń. Zygmunt jest nieodrodnym dzieckiem epoki humanizmu, płynącego do Polski na schyłku XV wieku coraz szerszym korytem!—Muszę ograniczyć się tylko na kilku rysach charakteryzujących postać Zygmunta I. dodać wszakże winienem, że postać królewska odtworzona została przez Pawińskiego z takim artyzmem, i z takim wyzyskaniem źródłowego materiału, iż żałować należy, że nie danem było zmarłemu profesorowi powiększyć galerii królewskich portretów, i że nawet Batorego, którym się tyle razy i z takim zamiłowaniem zajmował, nie wskrzesił na kartach dziejowych, jak to uczynił z Zygmuntem Starym.

W roku 1894 ukazały się „Sejmiki ziemskie“ Pawińskiego, będące uzupełnieniem wydanych w roku 1888 „Rządów sejmikowych.“ W „Rządach sejmikowych“ bowiem przedstawił Pawiński instytucję sejmikową w dobie rozkwitu, to jest w czasie królów elekcyjnych; „Sejmiki ziemskie“ zaś zapoznają nas z procesem wytwarzania się tego organu, który niewątpliwie stanowił aż do końca XVIII wieku opokę sejmowania polskiego. W łamach „Biblioteki Warszawskiej“ zdawałem obszernie sprawę z tej wzorowej i niewątpliwie przełomowej pracy Pawińskiego, nie będę więc powtarzał moich uwag, zaznaczając jedynie, że obu dziełami, sejmikom ziemskim poświęconemi, wypełnił Pawiński pustkę, jaką dzieje naszego prawa państwowego przeświecały, i zdobył sobie w tej dziedzinie niespożytą zasługę.

Rozpatrując też literaturę zagraniczną kontynentalną, zdołałem odszukać zaledwie jedną pracę francuską Thomas'a p. t.: „Les états provinciaux de la France centrale sous Charles VII,“ i jedną niemiecką Ungra: „Geschichte der deutschen Landstände,“ które mogły z dziełem Pawińskiego wytrzymać porównanie, z tem jednak zastrzeżeniem, że obaj pisarze zachodnio-europejscy mieli ułatwione przez poprzedników naukowe zadanie.

W tymże roku 1894 opublikował Pawiński „Mazowsze“ z cyklu Polski XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. „Mazowsze“ zawiera w sobie wszystkie przymioty ścisłości i gruntowno-

ści, jakimi się odznaczały: Wielkopolska i Małopolska. Przypomnieć więc tylko należy, że z udziału, jaki Pawiński przy podziale pracy z Jabłonowskim przyjął na siebie, pozostało niewykonanem „Podlasie“, choć być może, że materyał zgromadzony i przygotowany pozwoli Jabłonowskiemu zastąpić swego zmarłego kolegę i współpracownika.

W tymże roku zamieścił Pawiński drobniejszy artykuł w „Charitas“, księdze zbiorowej, wydanej na rzecz R. K. Towarzystwa Dobroczynności przy kościele świętej Katarzyny w Petersburgu. Artykuł powyższy nosi tytuł: „Nieznany dziejopis polski, (notatka bibliograficzna),“ a powód do napisania go dał Pawińskiemu fakt następujący: W roku 1506 pod dniem 16 marca, podczas pobytu króla Aleksandra Jagiellończyka na sejmie w Lublinie, wyszło z kancelaryi królewskiej piśmienne zlecenie do ówczesnego żupnika krakowskiego, Jordana, kasztelana bieckiego, osnowy następującej: Aleksander król i t. d. Poleciliśmy urodzonemu Mikołajowi Rosemberskiemu, aby ułożył dzieje narodu polskiego, oraz historję dawnych w Polsce czasów, który w ciągu jednego chyba roku nie zdąży wywiązać się z zadania. My jednakże, spodziewając się, iż po upływie jednego roku dopnie swojego celu, postanowiliśmy i postanawiamy wypłacać mu tygodniowo z żup naszych krakowskich po kopie groszy przez czas jednego roku i t. d. Przedewszystkiem więc zajęło Pawińskiego pytanie: kim był ów nieznany dziejopis, Mikołaj Rosemberski? Skonstatował też nasamprzód, że ów Rosemberski nie miał żadnej styczności z czesкими magnatami Rosembergami, lecz że prawdopodobnie pochodził z województwa krakowskiego, gdzie na podgórzu karpackiem była wieś Rosemberk. Niestety, po Rosemberskim nie dochowała się żadna praca, notatka więc, którą odkrył Pawiński, zdaje się tylko wskazywać na myśl, że król Aleksander żywił zamiar ułożenia współczesnych dziejów Polski za pośrednictwem nadwornego historyka. Fakt ten jest w każdym razie nowym i nieznanym dotąd w charakterze króla Aleksandra rysem.

W wigilię Nowego Roku 1895 go, Pawiński złożony został ciężką niemocą, z której nie było mu już danem dźwignąć się w zupełności. Nie porzucił jednak stanowisk swych publicznych, ale, co ważniejsza, że nie przestał pracować. W roku też 1895 wydrukował w „Kraju“ petersburskim obszerniejszy artykuł p. t.: „Michał Gröll. Obrazek na tle epoki stanisławowskiej.“ W powyższej pracy przedstawił Pawiński działalność Grölla, księgarza, nakładcy i konsyliarza królewskiego, a przy tej sposobności wydobyl nie jeden szczegół z archiwum miasta Warszawy, i studjum jego, Gröllowi poświęcone, można uważać za drobny przyczynek do historii naszej cywilizacji, w drugiej połowie XVIII wieku.

Od 1883 roku Pawiński był stałym sprawozdawcą z literatury historycznej polskiej w czasopiśmie niemieckim p. t.: „Jahresberichten der Geschichtswissenschaft,“ i tam się sprawozdania jego krytyczne ukazywały p. t.: „Polen bis 1795.“ Również zasilak: „Revue historique“ swojemi sprawozdaniami z prac historycznych polskich, a sumiennosc w ocenie i rozległa, gruntowna wiedza, jaką w krytykach ujawnił, nie pozostawiały nic do zyczenia, zwłaszcza, że do sprawiedliwego sądu dołączać zwykł wielką wyrozumiałość dla prac cudzych, i krytyka jego wlewała zazwyczaj otuchę, zachęcając do pracy, a nie obrażała, ani zniechęcała nikogo.

W sprawozdaniu powyższem nie wyczerpałem bynajmniej całej działalności naukowej Pawińskiego. Z konieczności pominąć musiałem pomniejszego artykuły, zamieszczone w pismach codziennych, zarówno jak w „Kłosach“ i w „Tygodniku Illustr.,” w „Ateneum,“ i w „Bibliotece Warsz.“ i w „Wielkiej Encykl. Ill.“ Nie mniej sędzę, iż przedstawiony plon jego naukowej pracy pozostanie bardzo doniosłym i cennym. W końcu też sprawozdania niech mi będzie wolno jeszcze raz rzucić okiem na cały szereg jego dzieł, wydawnictw źródeł, rozpraw większych i mniejszych, oraz artykułów, i z tego imponującego monumentu pracy naukowej wywnioskować, jak pojmował zadanie narodowego historyka, i o ile udało mu się zasadnicze pojęcia i poglądy w czyn przeprowadzić.

Pierwsza rozprawa niemiecka, będąca przyczynkiem do historii municypiów włoskich, wskazała do pewnego stopnia usposobienie, i że się tak wyrażę, skłonności naukowe Pawińskiego. Już bowiem w pierwszym studium unikał tematów ogólniejszych, które-by go zmuszały do posilkowania się pracami historycznymi poprzedników swoich, a więcej uroku miały dlań momenta dziejowe drobniejsze, bardziej wyosobnione, które były dotąd zaniedbywane przez badaczy, i pozostawiały dla jego pracy szersze pole do samoistności, popartej zazwyczaj starannie przezeń zebrany, a dotąd nieznanym materiałem źródłowym. Owo zamięlowanie do współczesnych dokumentów archiwalnych znalazło u Pawińskiego zupełne zaspokojenie w archiwach akt dawnych Królestwa Polskiego, co nie przeszkadzało bynajmniej temu, że w danym razie, w celu wyczerpania zupełnego źródeł dziejowych, czynił poszukiwania i w archiwach obcych krajów, począwszy od Królewca, a skończywszy na Simance w Hiszpanii.

Większość też prac swoich wsparł Pawiński na owym granitowym materiale archiwów, czyli na dokumentach urzędowej powagi, pozostałych w spuściznie po ubiegłych stuleciach. Źródła dziejowe przytem, z których czerpał, nietylko że były najpewniejszymi i najdokładniejszymi dowodami ubiegłego życia politycznego, ale w dodatku

wydobyte zostały z pyłu i pleśni archiwalnej po raz pierwszy przez Pawińskiego. Niewątpliwie, wśród dokumentów, które Pawiński wyszukiwał, gromadził i uważnie studyował, mieściło się najszczerze złoto prawdy historycznej. Trzeba było tylko wydobyć tę prawdę umiejętnie i uchronić ją od zakażenia naleciałościami współczesnymi najróżnorodniejszego rodzaju. Pawiński wyszedł z wybornej szkoły i był uczniem zbyt wytrawnego mistrza, Waitza z Getyngi, aby nie miał wiedzieć, skąd grozi badaczowi historycznemu niebezpieczeństwo, które mu, w miejsce poszukiwanej i pożądanej prawdy, podsuwa jego własne mrzonki spekulacyjne, jego własne widziadła fantazyjne, lub tendencyjne politycznie pragnienia. Pawiński przeświadczony był, że najskuteczniejszą obroną od wszelakich pokus, oddalających badacza od słonecznej prawdy, a łudzących go wzamian błędnymi płomykami, jest gruntowna praca, przy pomocy której zgromadzić zdoła pełny materiał dziejowy, a następnie rozważy i przemyśli należycie treść w nim zawartą.

Przeświadczenie powyższe stało się też prawdopodobnie powodem, że Pawiński nie kwapił się wcale do pisania całych dziejów Polski, albo przynajmniej pewnej obszerniejszej doby. Pozostał on długo przy wydawnictwie źródeł archiwalnych, które poprzedzał niezmiernie cennymi rozprawami. Ale i w owych wybornych studyach nie odtwarzał pełnego obrazu politycznych dziejów, lecz poprzestawał na wyjaśnieniu jednej sprawy, lub jednej strony z onego życia. Nawet nie doczekaliśmy się dziejów panowania Stefana Batorego, pomimo, że tyle razy wracał do bohaterskiej postaci króla, że przeniknął jego nemrodowe nawyknięcia, a nawet nie spuścił go z uwagi w chwili skonu w Grodnie. Pawiński był wrogiem wszelkiej pustej frazeologii, a jeszcze więcej, wszelkiej płytkiej historyzofii, i dla tego właśnie obawiał się ogarniać obszerniejszych widnokręgów w tem słusznem przeświadczeniu, że trudno mu będzie wyczerpać obfitą krynicę historycznych dokumentów. Nie idzie za tem, żeby jego rozprawy, poprzedzające wydawnictwo źródeł, nie miały posiadać pierwszorzędnej wartości. Sprawa Prus książęcych wyświeciła w sposób wzorowy stosunek rzeczypospolitej do swego lenna, a w Wielkopolsce, Małopolsce i Mazowszu pokazał, co można stworzyć z niekompletnych nawet regestrów skarbowych.

Największe prace Pawińskiego poświęcone zostały skarbowości i sejmikom ziemskim. Owe dzieła przyczyniły się znakomicie do zbudowania organizmu dawnej rzeczypospolitej, i przyszły historyk prawa państwowego polskiego znajdzie w nich dużo światła, które mu ułatwi wykończenie całkowitego zadania. Dotychczas ustrój dawnej rzeczypospolitej polskiej utożsamiany bywa przez obcych uczonych

z najzupełniejszą anarchią, i cytowano go jedynie jako widmo odstrasające, które wszelkiemu porządkowi publicznemu groziło niechybnaą zagładą. Hüppe w swej książce, dedykowanej księciu Bismarckowi, a noszącej tytuł: „Verfassung der Republik Polen,“ utrwalił jeszcze owe poglądy, stawiające stosunki prawno-państwowe polskie pod pręgierzem wyjątkowości, i od tego czasu historycy cudzoziemscy, omawiając nasze stosunki, nie umieli nawet odróżnić sejmów od sejmików, i w jednej formule „liberum veto“ zawierali całą znajomość dawnej naszej konstytucyi.

Ażebym takiemu zarozumiałemu piętnowaniu przeciwstawić należytą ocenę i sprawiedliwy sąd historyczny, trzeba było przedewszystkiem, aby nasi uczeni poznali gruntowniej przeszłość ustroju państwa polskiego. Dopiero bowiem wówczas metodą porównawczą można było przekonać siebie i obcych, że mimo wybujałego nadmiernie pierwiastku indywidualnego, czyniącego wrażenie chaosu, dawny nasz ustrój nie był tak zupełnie odosobnionym i wyjątkowym nawet w Europie XVIII stulecia. Dość tylko przypomnieć, że na początku XIX wieku starą konstytucyę węgierską określano zazwyczaj jednym wyrazem „confusio.“ Zaslugą dzieła Pawińskiego jest właśnie owo gruntowne zaznajomienie nas z najważniejszymi organami w ustroju dawnego państwa polskiego, które przedewszystkiem pozwala nam samym poznać niedostatki i braki, jakie przyszli badacze wypełnić będą zmuszeni, chcąc dać społeczeństwu pełny i wyczerpujący obraz przeszłości całkowitego ustroju państwa polskiego.

Pawiński porównywaniami sam nie przedsięwziął, i jedynie sposobem przykładu odwoływał się do konstytucyi angielskiej, lub urządzeń politycznych innych państw. Czynił zaś to z rozmysłem i w tem słusznem przekonaniu, że najważniejszym zadaniem jest zgłębnienie i zbadanie ojczytych stosunków, co się zaś dotyczy porównania, to ono nie będzie tak trudnem dziełem, gdy pierwszy cel osiągniętym zostanie. Za najważniejsze zadanie historyka narodowego uważał Pawiński badanie prawdy dziejowej w tej postaci, w jakiej ją dokumenta archiwalne i świadectwa współczesne przechowały. Nie przesądzał o dziejach jako historyzof, nie zaopatrywał swych studyów w nauki moralne, w kaznodziejskie przestrogi, ani nadawał im kiedykolwiek publicystyczne, lub retorycznego kolorytu.

Pawiński w dziełach swych, omawiając rozkład ciężarów podatkowych na różne warstwy społeczeństwa i odtwarzając rządy sejmikowe, musiał z konieczności dotknąć najslabszych stron organizmu dawnego państwa polskiego. Nikt jednak nie może zrobić mu zarzutu, wady organizacyi, lub egoizm uprzywilejowanych stanów starał się ugodzić, lub osłonić sofizmatami. Ale właśnie dlatego, że nie za-

przedał umysłu swego żadnej politycznej doktrynie z bieżącego stulecia, i że trzymał się wiernie Cycerońskiej maksymy: „necessarium imprimis est nosse rempublicam,“ sądy jego mają nieprzepartą siłę zdobywania sobie przekonań czytelnika. Nie drażniły one ani jątrzyły nikogo lekceważeniem, lub wyniosłością, nie przygnębiały sceptycyzmem, nie obrażały ironią, a tem mniej upokarzały urągowiskiem.

A. REMBOWSKI.

FERMENTY.¹⁾

Powieść.

XXXII.

W Bukowcu czekał Andrzej, bo razem zwykle jeździli odwiedzać Orłowskiego. Janka nie mogła bez przykrości patrzeć na tę stację, bo całe poprzednie życie przychodziło jej na pamięć; czuła jakieś dziwne, przejmujące ściśnięcie serca, spoglądając na nowego zawiadowcę, który, tak samo jak ojciec, w czerwonej czapce i białych rękawiczkach, spacerował po peronie. Drażniło ją to, ile razy była tutaj, widziała zawsze w oknie dawnego swego pokoju jakąś twarz, wypudrowaną, suchą, z papierosem w ustach, z grzywką pofryzowaną w grube loczki, podobne do grajcareków.

Nieraz, oczekując na pociąg, nasłuchiwała, czy się nie rozlegną dźwięki fortepianu Zaleskiej, lub czy nie usłyszy charakterystycznego chrzęstu rowera na podjeździe. Kilka razy, wysiadłszy z powozu, szła prosto na górę i nieraz przed samymi drzwiami przypominała sobie nagle, że ona jest tutaj obcą zupełnie. I dzisiaj, ponieważ do przyścia pociągu było jeszcze z godzinę czasu, nie mogła usiedzieć w chłodnej i pustej sali pasażerskiej, pozostawiła Andrzeja, który, nie wiedząc o tem, usnął na kanapce, znużony ciszą i czekaniem, i poszła na peron.

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy „Biblioteki Warszawskiej.”

Świt szary zapalał się nad lasami i rozbielał przestrzenie, a w porannej rosie długie nici szyn, dachy, zwrotnice, budki czerniały twardo. Światła zdawały się dogasać tak słabym pyłem, jakby tylko rodzajem aureoli rozświecały przedświt. Przeszła peron i ze ściśnięciem, pełnem żalu sercem patrzyła na wszystko: na las, co stał ciemną, milczącą masą, jeszcze senną, na stacyę jakby obumarłą, na drogi i dróżki biegnące wskrósł lasu, o stwardniałej, wiśnej niby rzemieni ziemi — wszędzie znajdowała jakieś echo dawnego życia, wszędzie jakiś cień, jakieś widmo wstawało, budziło się i szło za nią, i szeptało do jej duszy przejmującemi głosami wspomnień. Dopiero dzisiaj poczuła swoją głęboką zależność od tej miejscowości.

— Za długo tu byłam — myślała, zatrzymując się na skraju lasu i patrząc w jego mroczne, wionące surowością głębie. Z miłością jakąś obejmowała wzrokiem olbrzymy nagie jeszcze, czarne, co stały w ponurem odrętwieniu, słuchała z radością jakichś krzyków rozlegających się po lesie i znówu szła na peron, i wszędzie odnajdywała jakąś cząstkę siebie, niby umarłą i zapomnianą, która teraz zmartwychwstawała.

Oparła się o ogrodzenie ogródka i patrzyła na klomby, przysypane zeszłorocznymi liśćmi, z pomiędzy których sterczały suche, umarłe badyłe kwiatów.

— E... paninka, a juści... Niech będzie pochwalony!

Odwróciła się ucieszona, bo Roch stał przed nią, z czapką wręku, i schylił się jej do kolan.

— Jakże się macie, Rochu!

— Niezgorzy, chwała Panu Bogu, niezgorzy juścić.

— Cóż u was słyhać? jakże sobie radę dajecie sam?

— Sam? e... panienko, nie sam, bo żonę mam, jak się patrzy.

— Ożeniliście się!.. no i któraż żona lepsza?

Roch wsadził palec pod czapkę, zafrasował się, i po krótkim namyśle rzekł:

— I... zawždy ta nowa mocniejsza.

— Cóż za jedna? panna, czy wdowa?

— Jakby to rzec, juści niby panna, ale ta ździebko nie umiała pilnować kole swojego panieństwa i przypadek się zdarzył w ten czas, kiej moja nieboszczka pomarła; ale dobra kobieta i robotna i szmat ma galantych, i krowe z cielakiem, jako że nie samą wziąłem—dali, i spleta będzie niezgorsza, dwa tysiące. Piekna kobieta, czerwona, mocna w garści, rozłożysta, nie taki chucherek kiej nieboszczka! Piekna kobieta.

Skinęła mu głową i poszła, bo pociąg dochodził i Andrzej z bagażami stał już na peronie. Z okna biegnącego już pociągu zobaczyła Świerkoskiego; szedł ze swojego mieszkania skulony, z rękami w rękawach, zapatrzonej w ziemię; cofnęła się żywo, ale podniósł oczy, spostrzegł ją i przystanął na mgnienie; kopnął Amisia, który się także zatrzymał, i śpiesznie ruszył dalej.

W Warszawie, prosto z pociągu pojechali do szpitala.

Nie mogła bez trwogi przestępować tych strasznych progów. Szła, patrząc z przerażeniem po długich, nagich, zimno białych korytarzach, pociętych oknami silnie zakratowanymi; z oddali dochodziły przytłumione nieco ryki jakieś nieludzkie, i rozlegały się ciężką

— Po tygodniu zwaryowałabym tutaj! — szepnęła, zadrżawszy.

— I na mnie działa okropnie. Tutaj zawsze myśl o śmierci przychodzi w całej, swojej przerażającej grozie, potem mnie to prześladuje.

Weszli do celi ojca. Orłowski w długim szlafroku, na który naciągnął mundur dawny, siedział przy stole, zarzuconym papierami, i pisał. Gdy weszli, podniósł na nich swoją straszną twarz i czerwone oczodoły i powiedział twardo:

— Zaczekać! kasę zaraz otworzą!

Ciągle pisał raporty i załatwiał czynności służbowe, a czasami chodząc, dyktował Mieciowi. Dostarczano mu całe góry papieru, które, pomimo ślepoty, zapisywał.

— Panie Mieciu, czas kasę otworzyć! — zawołał, podnosząc się. Przeciągnął się, zdjął z głowy czerwoną czapkę, włożył zwyczajną z czerwonymi wypustkami, stanął przy długim stoliku, stojącym poprzecznie do drzwi, nachylił się nad nim takim ruchem, jakby dawnem okienkiem kasy wyglądał, zatarł ręce i czekał.

Janka pocałowała go w rękę, nie mogąc słowa powiedzieć, bo dusiły ją łzy.

¶ Nachylił się w bok, szeptał coś pocichu i dopiero powiedział:

— Janka! jak się masz? jak się masz Jędrus? — wyciągnął do niego rękę i uściskał.

— Jakże się ojciec czuje?

— Ślicznie! kropnąłem na Miecia taki raporcik, że pięć rubli zapłaci, jak amen w pacierzu. Przysięgam Bogu, że musiałem; sam służysz, to rozumieć powinienesz, że zwierzchnik jest stróżem i wykonawcą przepisów i poleceń — mówił, jakby do Miecia.

— Nie brakuje niczego ojcu?

— Mnie nie, tylko—zniżył głos—Miecio jest gałgan, zły urzędnik, niedbały, czasem się upija, przysięgam Bogu, wczoraj poczułem, że pije wódkę; ale widzisz, skarżył mi się, że jeść mu się chce czasem. Złożyłem o tem raport! Narzekał, że mu twardo spać; kropnąłem protokół, bo to już dyrekcyja winna! Swoją drogą napiszę trzeci. Tak. Dobrze mi jest tylko tu, przez ścianę, ciągle ktoś krzyczy; posłałem Miecicia, żeby się dowiedział, kto taki; przychodzi i powiada, że tam waryaci siedzą, Co za waryaci? Waryacil! Ha! ha.

— Zaraz po ślubie, to ojca przewieziemy do nas, do Krosnowy—przerwał mu Andrzej.

— Krosnowal! co to takiego? Miecciu, Krosnowal! o!

— Ojciec nie pamięta, parę wiorst przecież od Bukowca.

— Bukowiec? Nie znam, i Miecio nie zna. Nie było nigdy żadnego Bukowca—rzekł stanowczo. — Nie, nie.

— Ojczu, przyjechaliśmy prosić o błogosławieństwo, bo za kilka-
naście dni nasz ślub,

— Ślub... Miecciu! — odsunął się pod okno, pochylił i szeptał długo.—Rozumiem. Janka idzie za ciebie—mówił, powróciwszy do nich. — Naturalnie, w tym liście, mam go tutaj, wczoraj przysłali z dyrekcyi, piszą, żeś był jej kochankiem. Pamiętam, ale kiedy... moje dzieci... moje dzieci... — Umilkł, patrzył krwawemi oczodołami, uapnęła żyły na skroniach, myślał coś ciężko i walczył z jakąś myślą, która jak słaby świt przesunęła się w chaosie szaleństwa, bił rękami z niecierpliwości, tarł czoło, męczył się, wreszcie szepnął cicho z takim akcentem, że zadrżeli oboje:

— Moje dzieci... moje dzieci... ale ja!...—belkotał dalej niewyraźnie, pochylił się nad stołem i wielkie łzy popłynęły po jego twarzy, pokrytej zabliznionymi ranami.

Janka rzuciła się do niego, bo myślała, że powróciła mu świadomość; ale skoro go tylko dotknęła ręką, wyprostował się gwałtownie, brzask przytomności zagasł w twarzy, odepchnął ją silnie i zaczął krzyczeć skrzeczącym, nieprzyjemnym głosem:

— Wynosić się! Pociąg już odszedł. Panie Miecciu, powiedz tym ludziom, że nie mają na co czekać.—Odwrócił się i poszedł w drugi koniec pokoju i stamtąd zmienionym głosem mówił:—Tak, idźcie sobie, bo jak pan naczelnik powiedział, że pociąg odszedł, to nie macie na co czekać.

Usiadł przy stole i zaczął najspokojniej przeglądać papiery.

Spojrzeni na siebie zdziwionemi oczyma i wyszli.

— Dokąd pani teraz chce jechać? — zapytał później, gdy się znaleźli na ulicy.

— Pojadę odwiedzić Zaleską; prosiła mnie listownie, aby koniecznie wstąpić do niej, a później kilka sprawunków dla Stabrowskiej.

Wyznaczyła mu miejsce, gdzie się spotkać mieli, i następnie iść razem kupować.

Zgodził się z radością, bo przecież dla niej tylko przyjechał do Warszawy. W milczeniu zaprowadził Jankę do dorożki, bo wzburzyło go wspomnienie anonimu.

„Byłeś jej kochankiem,“ brzmiały mu w mózgu słowa Orłowskiego i piekły boleśnie.

Gdy zobaczył ją odjeżdżającą, przyszła mu myśl pewna. Wskoczył do drugiej dorożki i kazał wolno jechać w pewnem oddaleniu.

— Do Zaleskiej! Do Zaleskiej! — powtarzał, a na usta cisnęło mu się inne nazwisko z anonimu. — Z pewnością, że tak, z pewnością. — Uspakajał się i zaczął wyrzucać sobie podejrzliwość i zazdrość, jaka nim miotala, i na Marszałkowskiej już wstrzymał dorożkę, aby wysiąść, ale tramwaj zagroził mu drogę. Skinął ręką i pojechał dalej. Drżał żeby się nie odwróciła i nie spostrzegła go za sobą. Z deenerwującym niepokojem patrzył na trotuary zapchane ludźmi wystrojonymi, na ruch, jaki wrzał dokoła, na jej głowę, ubraną w ciemny, wielki kapelus. — Do Zaleskiej! tak... tak... — powtarzał i coraz boleśniejszy kurecz strachu ścisnął mu serce. Jej dorożka skręciła w Piękną i zatrzymała się wkrótce przed jakimś parkanem; Janka wysiadła i zniknęła w głębi. Wysiadł, odprawił dorożkę i z pół godziny czekał w jakiejś bramie, aż się wreszcie odważył wyjść, i, chwając się na nogach, błady i wzruszony niezmiernie, przez małą furtkę wszedł na to samo podwórze; z boku stała oficyna murowana jednopiętrowa, której okna wychodziły na ulicę, a na niej, tuż przy drzwiach sieni, wisiała lista lokatorów. Przebiegł ją kilka razy oczyma i z ogromną ulgą odczytał: „Zaleski Henryk, urzędnik Dr Ż. I. D.“ — i uciekł, jak mógł najspieszniej.

XXXIII.

Janka, nie domyślając się niczego, weszła do mieszkania Zaleskich, na pierwsze piętro.

Janowa otworzyła i rzuciła się do niej z krzykiem radości.

— Laboga! ady to panienka moja!.. Pani! pani!... — wołała do pokoju pośpiesznie. — Panienka z Bukowca przyjechała!.. jaka to pani dobra!.. a ja dzień i noc myślałam o panience, i tak się nieraz głowiłam, co też panienka robi?..

Utarła nos z hałasem i rozplakała się, całując ją po rękach z uniesieniem.

Zaleska w niezapiętym szlafroku, nieumyta, z przypudrowaną tylko twarzą, wybiegła, rzucając się Jance na szyję.

— Boże, co za niespodzianka!.. Myślałam, że pani zapomniała już o nas. Janowa, herbaty! Niech-że pani pozwoli dalej! — zaczęła pomagać jej przy rozbieraniu. — Papierosa tymczasem, proszę pani!.. ach, pani nie pali. Boże, jakże pani pięknie wygląda!.. Co za nieład?.. Janowa! Janowa!.. herbaty prędzej!..

Zaczęła biegać po pokoju tak zapelnionym sprzętami, garderobą porozrzucaną, nutami i dziennikami, które leżały wszędzie, że usiąść nie było miejsca. Pobiegła do kuchni, krzyczała na dzieci, sprzeczała się z Janową, wreszcie przybiegła, i przy biurku, na heliotropowym papierze napisała kilka wierszy, z którymi wysłała Janowę.

— Ciekawe, od kogo teraz pożyczca? — myślała Janka, zobaczywszy list.

— Ach, jakam szczęśliwa, że panią widzę, to wypowiedzieć nie umiem. — Znowu serya całusów, słów bez związku, uśmiechów, ruchów, przesuwania wszystkich krzeseł i bieganiny w kółko.

— Cóż słyszać u państwa? — zapytała Janka dość chłodno; razili ją nieład i to jej roztargnienie.

— O, dobrze, bardzo dobrze!.. mam dosyć lekcji niezłe płatnych.

— A kiedyż koncert? — zapytała ciszej i odwróciła głowę, bo gryzący uśmiech miała w oczach.

— Niedługo, jeszcze czekam. Widzi pani, przeprowadzka, zainstalowanie się, pozawieranie, a raczej poodnawianie znajomości, zajęły nam bardzo wiele czasu. Ale teraz zaczynam już myśleć o koncercie, szykuję się .. o, ja mam cierpliwość, jak pani wie, mam!.. — pode-

szła do przykniętych drzwi sąsiedniego pokoju na palcach, zajrzała i cofnęła się śpiesznie.

— Czuje się pani szczęśliwszą, niż w Bukowcu?

— O, o całą oktawę! Tutaj się żyje przynajmniej w cywilizowanym świecie. Bywam w kilku domach, gdzie zbiera się literatura, sztuka i teatr!.. o, nieskończenie jestem szczęśliwsza... kilka razy grałam z wielkiem powodzeniem na rautach!.. — zajrzała znowu do sąsiedniego pokoju — I gdyby nie różne kłopoty... no, ale się wszystko przetrzymał! Jakoś tam będzie! Mężus bierze lekcye śpiewu i uczy się bohaterskich partyi: Raula, Lohengrina, Wilhelma Tella! Wolno idzie, bo musi przecież chodzić do biura. Tak, tak się to żyje, ale co u pani?.. co w Bukowcu?.. Była tu u mnie niedawno matka pana Stasia. Bardzo miła kobieta, tylko taka dziwna... przyszła się wypytywać o syna, mnie... uważa pani, jakie to kłopotliwe... skarżyła się, że zaprzestał wszystko pisywać w listach, szczególnie od mojego wyjazdu z Bukowca. — Zarumieniła się. — Prosiła mnie, żebym mu nie cofała swojej przyjaźni, że on zupełnie zasługuje nawet na miłość... doprawdy, że nie rozumiem, czego ona chciała.

— Stefa! — rozległ się głos Henia z drugiego pokoju. — Wody do mycia!.. co u dyabła, dwie wiedźmy w domu, a nic nie naszykowane!.. — krzyczał ze złością.

Zaleska pomieszana pobiegła do niego.

— A, przecież usłyszałaś... kamaszki, dawajże mi kamaszki, cóż u starego dyabła!..

Umilkł nagle, musiała mu powiedzieć o obecności Janki, i słychać było tylko skrzyp łóżka. Wstawał i ubierał się. Stefa ze spuszczonego oczyma nosiła mu wodę, kamasze, bieliznę i nie śmiała spojrzeć na Jankę, która odwróciła się nieco do okna przez delikatność, ale wytrzymać nie mogła, tak ją irytowało tyranizowanie Stefy.

Janowa powróciła z ulicy i nakrywała do herbaty w przyległym saloniku, który służył i za jadalnię i za pokój dziecienny, bo był obstawiony łóżeczkami. Stara była tak rozradowana obecnością Janki, że co chwila przybiegała patrzeć na nią i całować po rękach.

— Kuntentność mam taką w sobie, że panienkę widzę, że labogal — szeptała.

— Dzień dobry drogiej pani, dzień dobry! — wołał Zaleski, wchodząc. Był ubrany w jasny garnitur, w krawatę błękitną, w artystyczny węzeł zawiązaną. Jasny, uśmiechnięty, woniejący, w koszuli w różowe paski z białym kołnierzykiem, w lakierkach. Piękny, jak tenor prowincjonalny, i zgłupim, iście tenorowym, uśmiechem na ustach, posunął się do niej, ścisnął jej rękę, potrząsając z góry, jakby ją chciał jej wsadzić w bok. Upadł niedbale na krzesło, założył nogę na nogę,

wsadził monokl w oko, wyciągnął mankietki i tak siedział z przymrużonemi oczyma, pozwalając się łaskawie podziwiać.

— Doprawdy, że na ulicy nie poznała-bym pana! — zaczęła Jan-ka, z trudem tłumiąc śmiech, takim się jej wydał głupio zabawnym.

— Si... si... signorol to naturalnel.. — mówił z komiczną wynio-ślnością. — Człowiek taki, jak ja, w nędznej budzie, jak Bukowiec, nie mógł być na właściwem miejscu, nie mógł czuć się sobą. Doprawdy, dzisiaj dziwię się, że tam mogłem tak długo wytrwać, — zakończył po-gardliwie, wsadzając monokl, który mu wypadł.

— Mężusiu, poproś panią na śniadanie.

— Pani! — rzekł z ukłonem, królewskim ruchem ręki zaprasza-jąc. — Gdybym był wcześniej głos swój zaczął obrabiać, śpiewał-bym już w operach, a tymczasem muszę jeszcze zaczekać, muszę jeszcze pojechać do Medyolanu na jakie pół roku.

— Tak mężczyświ radzą, ale to jeszcze niewiadomo, bo...

— Nie przerywaj, żonusi... tak będzie, jak ja chcę. Mam zresztą bardzo bogatego mecenasa, który się zachwycą moim głosem. Wierzy pani, że biorę górne cis, jak Mierzwiński, o.. — zaśpiewał pełnym głosem i z wielką łatwością jakiś passaż. — Mecenas powiada, że w górnym regestrze mam najszlachetniejszy metal. Na pierwszy wy-stęp biorę Jontka w Halce. Żonusiul — zawołał groźnie, otworzywszy jajko, które przed nim leżało na serwetce. — Te jajka są za twarde, ja takich jadać nie mogę, mnie zabroniono, mówiłem tyle razy!.. — mówił z oburzeniem.

— W tej chwili będą inne. Janowa, codzień wam mówię, żeby się tylko jajka ścięły.

— A dyć to już wymysły czyste; niecałe Zdrowaś trzymałam je we wodzie. Pan to ino ciągiem piekło robi, a to jajka za twarde, a to za słone, a tera...

— Moja Baucis, nie fałsetuj, tylko dawaj świeże jajka.

— Kiej już niema.

— Kup, ugotuj i dawaj!.. prędzejl.. — zawołał silniej, wciskając monokl, który mu ustawicznie wylatywał z oka.

Zaleska znowu napisała heliotropowy liścik i w kilkanaście mi-nut Henio z całą ważnością połknął dwa jajka. Wypił szklanekę bar-dzo lekkiej herbaty i, gryząc sucharek, rzekł z namaszczeniem:

— Sztuka to męczeństwo!.. widzi pani, sucharki jadam, jak dziecko.

— Takie poświęcenie nie zostanie bez nagrody, — odpowiedzia-ła z drwiącym uśmiechem, ale nie zrozumiał ironii.

— Jakże ojciec?.. słyzałem o wszystkim i było mi bardzo przy-kro, ale droga pani, myśmy to przewidywali, niestety! przykry był

w stosunkach, często niesprawiedliwy, no, ale to trudno, człowiek starej daty, rutynista...

— Kiedyż ślub pani? — przerwała mu szybko żonusia.

— W początku maja.

— A, wychodzi pani za tego... jakże się nazywa?.. aha, za Grzesikiewicza, poczciwe chłopisko!.. orzeł to nie jest, trochę, jakby to powiedzieć... — pstryknął w palce, pociągnął mankietki i wsadził monokl. — No mniejsza, ale winszuję pani szczerze szczęścia w tym związku...

— Dziękuję i nawzajem życzę panu scenicznych sukcesów; — powiedziała dosyć cierpko, bo ją ten jego głupio-protekcyjny ton irytował.

— Sukcesy, wieńce, oklaski, powodzenie, o, będzie to wszystko, daję pani na to słowo honoru. — Przycisnął rękę do piersi teatralnym ruchem, obtarł fularem usta, otrzepał starannie klapy, przejrzał się bez ceremonii w wiszącym na wprost stołu lustrze i powstał.

— Bardzo żałuję, ale muszę się wyrzec towarzystwa tak miłego i wyjść.

— Mężusiu, mieliśmy iść razem, pamiętasz gdzie?..

— Ja państwu nie przeszkodzę, bo wpadłam tylko na chwilę i mam rzeczy do kupowania, — zaczęła Janka, podnosząc się także i kładąc kapelusz.

— Ależ żonusia zostanie, ja muszę iść sam, bo przypominam sobie, że jednemu z kompozytorów obiecałem, że przyjdę do Semadeniego w tej porze. Adio ma bella, adio Signorol — rzucił pocałunek od ust, kiwnął niedbale głową i wyszedł.

Na schodach jeszcze słychać było jego organ, brząający najszlachetniejszym metalem.

— Ślicznyg łosl — szepnęła Zaleska, nasłuchując z lubością. — Prawda, jaki on piękny? Niechże pani jeszcze siada na chwileczkę. Ma szalone powodzenie u kobiet, całe stopy bilecikow przynosi do domu. Śmiejemy się z nich razem, i nieraz ja sama umyślnie odpisuję. To takie zabawne, bo wyznaczam schadzki w takich godzinach, w których mężczyzna jest albo w biurze, albo na lekcji. Tak, przypominam sobie, że go wczoraj zapraszał Noskowski. Niechże pani jeszcze nie odchodzi, a może cukierka, te są przepyszne!.. — zapraszała uprzejmie, podając pudełko.

Janka tak miała ich dosyć, że, nie zważając na pocałunki i gorące prośby Zaleskiej, ubrała się i wyszła. Na ulicy już dogoniła ją Janowa.

— Tak duchem lecę, a ledwitem zgoniła. A to chciałam pokornie się przypomnieć, co jakby panienka chciała mnie wziąć do Krosnowy...

— Dobrze. Od świętego Jana, bo zaraz po ślubie wyjeżdżamy z mężem, i dopiero w lipcu będziemy z powrotem, ale ja powiem panu Grzesikiewiczowi...

— Bo widzi panienka, ja już tu ścierpieć dłużej nie ścierpię. Dobrzy są ludzie. Pani na ten przykład, ale cóż, kiej jej tu cosik brak—stuknęła się w czoło—i pomysłonek ma kiepski. A pan, to takie ładaco, że jaże wstyd mówić panience, ciągiem się ino drze, kieby go kto wrzątkiem porwał, że jaże państwo z dołu przysyłają, co sipsiść nie mogą. I taka bieda, taka bieda, że wszystko się na bóg bierze, na karteczki. Pani się zaharowywa, bo całe dnie chodzi uczyć grania, a on, co zarobi i co wyciągnie od pani... słyszysz to panienka?.. to przepuści z takimil.. — zaakcentowała pogardliwie. — Oho, dobrze wiem, ino pani nie powiem, bo una i tak ma za swoje, a un taki pies niepoczciwy...

— Córkę widuje Janowa często? — przerwała jej umyślnie Janka.

— A jakże panienko, a toć i wczoraj widziałam moją panią córkę. Zobaczyłam ją z daleka, jak se szła do szkoły, bo służąca niesła za nią książki, schowałam się do bramy, bo mi tak cosik zatchnęło w piersiach, że tchu złapać nie mogłam, ale wytknęłam ździebko głowę, zobaczyła mię i ośmiała się. Bledziuchna taka, kiej panienka, a w pasie to cienka jak osa, a tak się rucha cała, kiej na sprężynach i szlachetnie niby pani ubrana.

— Rozmawia z nią Janowa?

— A gdzież-bym ja śmiała zaczepić na ulicy taką szlachciankę, przecież ja prosta kobieta jezdem, nie nauczna, jeszcze-by się pogniwała, bo zawsze tak jej śpieszno do tych klasów, że chociaż me obaczy, to ino spojrzy, co jaże mnie gorącość przejmie, i poleci; — mówiła, podnosząc na Jankę wybladłe, pełne łez oczy. — Byłam raz w niedzielę u tych jej opiekunów. Czekałam w kuchni, wyszedł lokaj i powiada, że jaśnie panienka kazała, żeby niania, to niby ja, przyszła. Poszłam, zaprowadziła mię do swojego pokoju, takiego śliczniuchnego, co jażem się przeżegnała. I u najpierwszej dziedziczki, to piękniej nie jest. Pokazała mi wszystkie podarunki jakie dostała. Jezus! jakie śliczności, i materye, i złoto żółciutkie, i brelanty! Nagadałam się z nią długo, a potem to mi przynieśli obiad, a moja pani córka dała mi te chustke, i kazała koniecznie w niej chodzić, a na odchodnem me prosiła, żeby często przychodzić, tylko że ona się musi teraz dużo uczyć, i taka była dobra dla mnie, tak me pogłaskała po gembie, żem ją jaże pocałowała w rączkę, a ma takusią, paninko!.. — pokazała na trzy swoje palce. —

Dobrą mi pan Jezus dał córkę, dobrą!.. Juści, matce toby się ta chciało popieścić z gołąbką, popłakać, ale kiej nie można teraz, to nie można... — obtarła fartuchem oczy.

— Janowa jest taką dobrą matką, że lepszej chyba na świecie niema.

— Panienko, to przecież moje dzieciątko! — zawołała prosto i z uczuciem. — Hale! byłam tam we szpitalu, u starszego pana, i tak się splotkałam, że jaże mnie mroczyło.

— Była Janowa?.. a, moi drodzy, dziękuję wam z całego serca! — zawołała rozrzewniona.

— Jak mi pani powiedziała o wszystkim, to się jednej niedzieli wystroiłam i poszłam. Nie poznało mnie panisko. Mówiłam: adyc jezdem Janowa, proszę pana naczelnika. Janowa, służyłam u państwa w Bukowcu! Krzyczeń zaczął, co niema żadnego Bukowca, słyszy też panienska? i tak gadał do siebie, i tak się patrzył temi czerwonymi oczami, kiej wrona, co jej chłopaki na psote ślepie wypalą. Laboga! myślałam, że mi serce pęknie z bolenia. Mój Boże! taki naczelnik, taki nauczny, taki szlachcic dobry, i tak mu popadło robakowi. — Lamentowała z głębokiem, pełnem zgrozy współubolewaniem.

Rozstała się z Janową i szła wolno Marszałkowską.

Słońce świeciło jasno i rozlewało potoki ciepła i wesela na twarze przechodniów. Tłumy zapełniały ulice, tłumy strojne, banalnie uśmiechnięte, sztywne w swoich świątecznych sukniach; wybladłe twarze podnosili do słońca, a zmęczone powieki spadały na oczy pod dotknięciem blasków. W tem silnem, południowem słońcu, w tem wiosennem powietrzu, co zawiewało od ogrodów zieleniejących, od pól odległych, od sprzedawanych po ulicach fijołków i hyacyntów, odcinały się ostro chorobliwe twarze ludzi. Śmiech drżał w powietrzu, ale jakiś nieszczery, wymuszony, i rozplýwał się szybko, ginął w głuchym gwarze, w turkocie dorożek, w odgłosach tramwajowych dzwonek, i pozostawiał tylko jakiś rytm ciężki troski, zmęczenia i apaty.

Janka zaczęła uczuwać udęczenie; to co widziała u Zaleskich, ich całą nędzę wewnętrzną, oszukiwanie się, kłamstwo, pozory ludzkie, błagę, zaczynała teraz dostrzegać i na ulicach, i w twarzach przechodniów, i w tym ruchu szalonym a bezcelowym, wywoływany nie potrzebą, lecz chęcią ogłaszania się.

Wróble ćwierkały radośnie i tarzały się pijane wiosną po trawnikach, pokrywających się delikatnym puchem zieleni, drzewa otaczały się już przesubtelną aureolą młodych, pierwszych listków, w powietrzu drgała wiosna z całym swoim czarem; ale Janka rozglądała się po Saskim ogrodzie ze smutkiem prawie, ludzie przysłaniaли jej sobą wszystko — te

tysiące twarzy, które się snuły po ogrodzie, śmiały, mówiły - te stroje błyskotliwe i tandemie świetne, zasłaniały tylko, a nie przykrywały trosk i nędzy, jakie się po-za nimi tały.

— Błagał błagał błagał — myślała, patrząc w ich dusze jakimś ostrym wzrokiem przenikania na wskroś, do dna wszystkiego. Widziała, że te piękne Warszawianki są sztuczne, poretuszowane pudrem, szminką, różem, woalkami, kapeluszem, suknią; że te ciała są nierozwinięte, pokręcone, że poza maskami banalnie uśmiechniętych twarzy niema nic; że te fiołkowe, czarne, niebieskie oczy patrzą pustką i głupotą; że mężczyźni chudzi, mali, wynędzniali, nerwowi, są wprost marni, wiało od nich chłodem zużycia i przesyty. Patrzyła coraz uważniej, i później zaczęła spostrzegać coraz wyraźniej w tych tłumach piętno walki, tragicznej, codziennej, głupiej i zabijającej powoli walki o byt.

— Nietylko o żer! nietylko o żer! — myślała z litością i wiedziała teraz, że to jarzmo przekłęte tak zgina tych ludzi, ogłupia i wysysa z nich wszystkie myśli i pragnienia szersze. Dalszy ciąg myśli przewał Andrzej, który już czekał na nią przy fontannie; zadrżała na jego widok, nie wiedząc dlaczego.

— Zimno paui?—zapytał, spostrzegłszy to.

— Chodźmy z ogrodu, tu zimno jest istotnie.

Pozalałwiali rozmaite sprawunki, zjedli obiad w hotelu i przed wieczorem samym wyjechali.

W wagonie już zaczęła mu opowiadać o Zaleskich i o Janowej. — Mówiła z goryczą i politowaniem smutnem.

— O Zaleskim dawno wiedziałem, że to błazen i cyrkowiec, ale że ona taka naiwna, i wierzy w jego głos i karierę na scenie — nie myślałem. Szkoda jej, bo że on ją rzuci i pozostawi na bruku, tego jestem pewny, bo do głupoty przymieszały się teraz aspiracye, zaraził się niemi od żonusi. Ach, te wyższe aspiracye! — rzucił szorstko i pogardliwie. — Przecież jeśli to nie jest śmieszne, to jest głupie. Tacy Zalescy mają aspiracye, ona będzie zdobywać świat muzyką, on głosem. Ha, ha! — zaśmiał się.

Janka patrzyła się na niego trochę smutnie, ale mówić zaczęła:

— Tak, ona jest naiwna, słaba i śmieszna, ale ma właśnie te głupie szersze aspiracye. Jej nie wystarcza to życie codzienne, umiera w tem jarzmie bez pożytku dla nikogo. Pan jest szczęśliwym przez to, że się pan do swoich warunków życiowych tak przystosował, iż nie ma potrzeby pragnienia czegoś więcej. Ale ona! ale inni! nie śmiejęmy się nie potępiajmy ludzi za ich pragnienia, często nierozsądne, za ich marzenia, prawie nigdy nieureczywistnione, bo cierpią przez nie i dla nich. Boże, jakie tragedye odgrywają się w takich duszach, ile szamotań, męki, lez płynie w cichości, zdala od oczu ludzkich, i o tem

nikt i nigdy wiedzieć nie będzie. Tak mi żal dusz takich, jak Zaleska, bo pod tą maską pewnych śmiesznośtek, które się wydają takimi tylko, że nie umiemy przeniknąć do głębi, jest tam ciągłe krwawienie, ciągły wysiłek, a nie będzie nigdy szczęścia, i wszystko to, całe jej życie przejdzie nadaremnie.

— Tak, tak, ma pani słuszność! — szepnął z głęboką przykrością.

Janka popatrzyła na niego długo, potem oparła głowę o poduszki i zaraz usnęła.

Andrzej wyszedł i, paląc papierosa po papierosie, chodził po korytarzu i co chwila patrzył przez niedomknięte drzwi na śpiącą. Był wzburzony i nie mógł stłumić w sobie jakiegoś żalu do niej, co się wyłonił teraz w nim i przejmował udręczeniem. Niechęć prawie czuł w sobie do jej inteligencji, do jej wyższości rasowej i intelektualnej. Teraz dopiero zapragnął nagle, żeby go kochała, bo dotychczas wystarczało mu to, że on sam kochał, że myślał o niej, że odgadywał i spełniał jej najmniejsze życzenia, że żył jej uśmiechami i nadzieją, że będzie jego żoną, i wystarczało mu takie kochanie; ale teraz, w tej chwili jakby przebudzenia, pragnął jej miłości, pragnął panowania nad nią, pragnął ją osiąść całą i mieć.

Przystanął, i długo patrzył na jej twarz tonącą w mroku wagonu; spała jakimś cichym snem; półotwarte usta swoją purpurą odcinały się mocno od bladości twarzy, opadłe powieki rzucały długi cień na policzki, była bardzo piękna w tej pozie snu.

Pociąg biegł bez ustanku, zatrzymywał się na stacyach na mgnienie, wyrzucał z siebie pasażerów, zabierał nowych, gwizdał, dyszał i znowu leciał, niby potwór, ziejący ogniem w tumanie dymów, w deszczu skier, co jak ogon komety ciągnął się za nim. Noc była ciemna, w wagonach spali wszyscy; Andrzej pozasuwał franki na latarnię, i usiadł naprzeciwko śpiącej, i patrzył się w jej twarz coraz bliżej. Walczył z sobą. Była tak piękna, że przenikał go dreszcz ognisty, że wyciągał już ręce, aby ją pochwycić i ucałować, ale powstrzymał się prawie w ostatniej chwili i, aby nie uleść pokusie, wyszedł znowu na korytarz. Spacerował w dalszym ciągu, ale już nie patrzył na Jankę, ochłodził, i jakiś nastrój nudy i zniechęcenia powoli nim owładnął; zobojętniała mu nagle tak, że, widząc sąsiedni przedział pusty, położył się w nim i usnął.

Konduktor obudził go w Bukowcu. Nie usprawiedliwiał się nawet przed nią, że spał, wyprowadził ją z wagonu, wsadził do czekającego powozu i, drzemiąc całą drogę, dowiózł do Rozłogów.

Pożegnali się jak zwykle, krótkim „do widzenia.“

XXXIV.

— Za cztery godziny będziesz żoną pana Andrzeja, jak to prędkol

— A tak! — odpowiedziała ziewając. — Za cztery godziny wszystko się skończy.

— Albo, właściwiej mówiąc, zacznie się... boisz się?.. — zapytała Helena troskliwie.

— Nie, tylko mi smutno, bardzo mi smutno! — powtórzyła w myśli.

— A ja się cieszę, bo czuję, że będziesz szczęśliwa.

— A ty jesteś szczęśliwa? — zapytała prędko, podnosząc na nią oczy.

— Zupełnie, ale tak bardzo, że aż chwilami boję się o to szczęście, bo chwilami czuję się wprost za szczęśliwą. Pomyśl, mam wszystko, czego pragnęłam: męża, miłość, dzieci, jaki taki majątek, spokój i zadowolenie. O tak, jestem bardzo szczęśliwa, i tobie z całej duszy życzę takiego szczęścia.

— Dziękuję! — szepnęła cicho, z niedosłyszaną prawie ironią w głosie.

Po wyjściu Heleny, stała przy oknie długo, zapatrzona w siebie; ocknęła się z zadumy wtedy, gdy był już czas ubierać się do ślubu. Czowała się spokojną i zimną prawie. Nieliczne towarzystwo, bo tylko najbliżsi znajomi, starzy Grzesikiewiczowie, Józia z mężem i Witowski, czekali na nią w salonie, i po jej wejściu otoczyli kołem, składając życzenia. Przyjmowała je obojętnie, i później, jadąc już zamkniętą kareta do kościoła, dziwiła się sobie, że ten ślub nie robi na niej żadnego wrażenia, że więcej ją zajmują te pola, na które oknem patrzyła, pełne zieloności i wiosny, niż Andrzej, który siedział obok niej w milezeniu i drzemał nieco, bo ostatniego wieczora wyprawiał pożegnanie kawalerstwa tak bucznie i wesoło, że Babicki, który był na niem, jeszcze dzisiaj nie był zupełnie trzeźwym.

Stary, drewniany kościół, o czarnych, pogiętych ścianach, obwieszonych obrazami poczerniałemi, ubrany w jedlinowe girlandy i świerki, rozjaśniony szeregiem świec olbrzymich, które tworzyły szpaler płomieni, wiodący od wielkich drzwi do ołtarza, poprzeplatanych podzwrotnikowemi krzewami z oranżeryi Stabrowskich, wyglądał czarodziejско i pochłaniał jej uwagę. Z rozkoszą czysto estetyczną przy-

glądała się światłu, przesianemu przez zieleni palm, starym, czerwonym chorągwiom, tworzącym pod chórem pyszne plamy, jakby krwi krzepnącej, a wielki ołtarz ze swojemi złoceniami poczerniałemi, po których drgały blaski świec, tonący w kwiatach białych i purpurowych azalei, obwiedziony u dołu wieńcem narcyzów, o węzłach z bzów i fijołków, wionął na nią czarem. Spojrzała z wdzięcznością na Andrzeja, ale nie było już czasu szepnąć podziękowania, bo zaczęła się ceremonia.

Skladała przysięgę z takim spokojem i obojętnością, że po kilka razy podnosiła oczy ku oknom, po-za któremi na wielkiej lipie hałaśliwie świergotały wróble, lub patrzyła na sinawą twarz Józii i na drgające jej żółte oko, i na Witowskiego, który stał po prawej stronie z przysłoniętymi oczyma i zagryzał usta.

Organy spiewały „Veni Creator,“ i wszystko się skończyło dość prędko, ale Janka, odchodząc od ołtarza, czuła się znuzoną. Patrzyła pustym, martwym wzrokiem po twarzach obecnych, i pomyślała, że gdyby wszyscy w tej chwili zniknęli, zapadli się gdzie w podziemiu, to tak samo obojętnie wychodziła-by z kościoła. Czuła, że jej nic nie obchodzi ci ludzie, nawet Helena, z którą w wielkiej żyła przyjaźni, była jej w tej chwili obcą zupełnie; te wszystkie pędy sympatyj, jakimi była spleciona z ludźmi, poschły nagle i opadły, jak marny popiół na dno pustej duszy; to jarzmo nowego życia stłumiło w niej wszystkie myśli i uczucia, poszarzyło ją, pochyliła się pod niem z biernością, i szła w życie obojętna i apatyczna, a równocześnie zdumiona tą niesłychaną zmianą w sobie, której przyczyny ani ogromu nie była jeszcze w stanie uświadomić. Zdawało się jej, że ją porwał prąd tak szeroki, że prawie stał w miejscu, tak wolno ją niośł, że nawet nie wiedziała, czy płynie dokąd?

Po ślubie nie wstępowali nigdzie, nawet do Krosnowy, tylko pojechali wprost do Bukower, na pociąg, bo jechali do Włoch.

Witowski ze starym odwiezli ich na stację.

Andrzej zajął się ekspedycją bagaży, a Janka to chodziła po sali niecierpliwie, bo pragnęła się znaleźć od tych miejsc daleko i jak najprędzej, to wyglądała na peron, po którym Stasio chodził, ubrany w czerwoną czapkę zawiadowcy.

Odrętwiający spokój panował dokoła; bonawet Karaś, jak zwykle wekslujący wagony i podstawiający je pod rampę magazynową, nie gwizdał i nie dawał sztosów hałaśliwych, maszyna suwała się po szynach cicho i dyszała wielkimi kłębami brudnego dymu, który ploszył wróble goniące się po dachach; kilku robotników podbijało oskardami podkłady jakimś automatycznym, usypiającym ruchem, a lasy stały dokoła ciche, zieleniejące młodemi pędami, pełne rozśpiewanych ptaków i woni żywicznej, co zalewała całą stację; słońce świeciło nad stacją i na

łukach linii drgało jakby morą i wypijało długie, błyszczące smugi wody, leżące w rowach. Życie płynęło zwykłym codziennym rytmem. Janka z przykrością zaczęła odczuwać, że się tutaj nic nie zmieniło, że nie było czuć braku ojca, ani Zaleskiego, ani jej, że wszystko jest, jak było i że wszystko to zostanie, chociaż wszyscy ludzie się zmieniają. Miała jakiś żal do tych lasów, że rosły i żyły, do słońca, do tych murów nawet, do pociągów, co przychodziły i odchodziły.

— Nie życzyłem pani dotychczas nic — przerwał jej Witowski, podchodząc. — Bo czegoż mogę życzyć? szczęścia?

Uderzył ją jego głos cichy i smutny i spojrzenie pełne wilgotnych blasków; spojrzała mu prosto w oczy, i odpowiedziała drżącym nieco głosem:

— Tak, tylko szczęścia!

I umilkli oboje, bo im nagle na usta zaczęły się cisnąć jakieś wyrazy pełne smutku i goryczy, i serca przepełniło drżenie bolesne, bo poczuli, że mogli-by powiedzieć sobie słowa, których im mówić nie wolno, bo zresztą żal ciężki i gryzący szarpał im dusze i ostre, bezlitosne światło poznania olśniło ich i pogrążyło w trwodze i w tępy, głuchym bólu. Bojąc się spojrzeć sobie w oczy, patrzyli na stację, na jasny świat, przecinany, niby kulami, szalonym lotem jaskółek, i serca im biły cicho i wolno.

Nie umieli nic sobie wytłómaczyć, co się dzieje z nimi, skąd przyszło. Poznali tylko, że zajrzeli do jakiejś głębi i przerażenie odebrało im siły i świadomość.

Wszedł Andrzej, bo pociąg już huczał, wpadając na stację.

Odjechali zaraz.

Witowski, nie żegnając się ze starymi, popędził do domu.

Grzesikiewiczowie długo stali na peronie, powiewając chustkami za ginącym w oddali pociągiem, ale wreszcie wsiedli w bryczkę i odjechali.

— Pietruś! — szepnęła stara po długiej chwili milczenia, obcierając ostatnie łzy.

— He?

— Mamy już chwałę Bogu synowę.

— A jnsi, że mamy dziedziczkę, jak Boga tego kocham. —

Wsunął palce pod czapkę i drapał się z jakiegoś głębokiego zadowolenia, bo oczy mu się skrzyły wesoło.

— Sielma szlachcianka ta pani synowa! W kościele kiej szła, to niby królewna wyglądała, że te drugie panie, to przy niej były niby służące! Ale bo to i Jędrus nie dziedzic? nie uczony? — pocieszała się.

— Będziesz ty jej jeszcze usługiwać, jak Boga tego kocham! Przyje ci się jej państwo...

- Nie bój się!.. a usługiwała będę, jak dla mnie będzie dobra.
- Ho, hol już ona potrafi zażleb Jędrka wziąć!
- Charakterna to juści ona jest, a ładna taka, że laboga! ciągiem mi przed oczami stoi, aże nie śmiałam jej całować.
- Jucha chłopak ten Jędrekl.. będzie se używał, jak Boga tego kocham!
- Cicho-byś był, a to nogami ledwo powłóczy, a rozpusta jeszcze mu we łbie.
- Jucha chłopak!.. we mnie się wrodził... jucha... — mruzczał głęboko zadowolony, przymrużał oczy. chlastał konie batem, bo sam powoził, i coraz to cmokał ustami, rozpamiętywając piękność Janki.

XXXV.

Staś, który się nawet nie ukłonił Jance, i patrzył na nią, jakby jej nie znał zupełnie, po odejściu pociągu wrócił do pokoju dawniej zajmowanego przez Orłowskiego, bo dzisiaj zastępczo pełnił obowiązki zawiadowcy, i pisał list do mamy:

„Najdroższa mamusiul! Dawno nie pisałem, bo jestem tak zawałony robotą i tak zmęczony, że radziłem się już doktora. i ten zalecił mi dłuższy odpoczynek. Podąłem się też o urlop dwudziestoosmiodniowy. Mamusia poprosi wujka, żeby mię poparł gdzie potrzeba, dobrze? Będę mógł cały ten czas przepędzić z mamusią, prawda? Muszę też przy sposobności kupić w Warszawie wiele rzeczy do mieszkania, bo przecież teraz, zostawszy pomocnikiem zawiadowcy, powinienem żyć na odpowiedniej stopie. Mamusiul! mam jeszcze plan taki, że teraz będzie pora i czas, aby mię mamusia zapoznała z panną Cesią, co to mamusia pisała niedawno. Przecież jestem już na takim stanowisku, że mi o żonie myśleć wypada, co? Kólnierzyki odsyłam, bo o pół numeru są mniejsze, niż zwykle noszę. Wie mamusia? Orłowska, córka dawnego zawiadowcy, tego co zwaryował, wyszła za męża, pomimo skandali, za tego chama Grzesiki-więza, dzisiaj odjechali w podróż poślubną do Włoch! słyszy mamusia: do Włoch! Tacy jeżdżą do Włoch, a my musimy służyć za jakieś marne paręset rubli! Nie ukłoniłem się jej nawet, bo przecież żeby tylko było połowę prawdy w tem, co o niej mówią, to już-by należało wyprzedzić się, że się ją znało kiedykolwiek! Dobrana para: karczmarski syn i cyrkówka!

„Może mamusia pójdzie do Zaleskich i odbierze od niego maszynkę do papierosów, parę mankietów, dwie spinki czarne do gorsu i rubla. Pożyczyłem mu to już dawno, pisałem już, żeby mi pozwracał, trzy razy, ale mi nie odpisał. Koszyczek odsyłał, placek z powidłami był pyszny, tego z serem nie jadłem, bo bałem się przy obecnem rozdennerwowaniu, żeby mi nie zaszkodził, dałem go państwu Kubiczom. Całuję mamusię i t. d.

Wysłał list z koszyczkiem, i po skończeniu służby przebrał się i poszedł do Osieckiej.

Zaraz na wekslach spotkał się ze Swierkoskim, który wymyślał dróżnikowi:

— Psiakrew! złodzieje! psy! chamy!.. wypędzę, wygonię! oddam do kryminału! — krzyczał, tupał nogami i bił czapką o ziemię z taką wściekłością, że aż Amis szczękał zębami i skomlał cicho.

— Wielemożny nizinierze, juści że winien jezdem, ale się dopraszam łaski, powiem jak było, i dopiero niech mie sądzą! — tłumaczył się pokornie dróżnik. — Roch, ten ze stacyi, przychodzi i powiada, co nasza dawna panienska dzisiaj będzie jechać do Italii, a że moja kobieta chciała jej grzecznie podziękować, bo jak się wyprowadzali, kazała jej panienska dać różne statki, to moja mówi: — Rafał, polece na pociąg, ucałuje panience rączki, a może i da co jeszcze dla dzieciaków, bo tera taka wielka dziedziczka, i zaraz przylece. — Mówie: idź, zastąpie cie na służbie na te pare minut, bo myślałem, że choćby i pan nizinier sie dowiedział, to gniewać sie nie będą.

— Nie wolno, krokiem ruszyć się ze służby bez mojego pozwolenia nie wolno, bo złożę raport, zawieszę cię w służbie, wyślę na roboty, wygonię na cztery wiatry! nie wolno! — krzyczał, pieniać się z wściekłości, i przyskakując z pięściami do dróżnika, który, wyciągnięty, sztywny, z ręką przy czapce stał głęboko zmartwiony.

— Panie Swierkoski, chodź pan! — rzekł Staś, wziął go pod rękę i odprowadził. — Po co się pan irytujesz? szkoda zdrowia, taka bagatela zresztą...

— Trucizna moja! A, podłe chamy, w czułości psy się bawią... przejeżdża jakiś ostatni... a ta leci całować ją po rękach, żegnać... ażeby cię psiakrew!

— Cicho, panie! usłyszysz kto, doniesie Grzesikiewiczowi, i awantura gotowa.

— Co mi tam taki cham, złodzieje! oszukaniec w kajdanach zgniije...

— Gadajże pan sobie, bo ja słuchać nie chcę. — Staś go puścił, zeszedł z plantu w las i zniknął.

Swierkoski gwizdnął na psa, i zaczął go okładać batem. Staś zdala słyszał jeszcze wycie psa i krzyki Swierkoskiego, bieganie po lesie; wsadził watę w uszy i przyspieszył kroku, nie lubił takich gwałtowności, denerwowały go i przyprawiały zwykle o pewne zaburzenia żołądkowe i bezsenność.

Zobaczył zdaleka Zosię, siedzącą na werendzie, i zaczął machać czapką i krzyczeć. Wybiegła naprzeciwko niego i, zakryci olbrzymim krzakami bżów rozkwitłych, ucałowali się serdecznie.

— Napisałem już do mamy o urlopie, mama niczego się nie domyśla i nawet pisałem, że na cały czas urlopu przyjadę do mamy odpocząć... — zaczął się śmiać.

— Panie Stachu, ale tak oszukiwać mamę, to...

— Panno Zosiu! przecież jestem mężczyzną! — wyprostował się dumnie; — trudno, kiedy nie można inaczej, to trzeba oszukiwać.

— A jakby się skąd dowiedziała o wszystkim i przyjechała?

— No to... nie dał-bym się, oho! dosyć mam tego słodkiego jarzma, już mi się sprzykrzyło! — wykrzykiwał bardzo głośno, nawet za głośno.

— Panie Stachu! — zaczęła, owijając sobie na palec loczek z grzywki, i patrząc nań z pod czoła.

— Panno Zosiu, słucham! — mówił jakimś miłosnym, przyduszo-nym głosem.

— Trzeba być zawsze mężczyzną, zawsze... zawsze... nie trzeba się obawiać mamy, trzeba mnie kochać i słuchać; dobrze, panie Stachu?

— Panno Zosiu! albowiem pani nie widzi, że jestem mężczyzną? kocham panią, przesiedliłem się do tutejszej gminy, dałem na zapowiedzi, prosiłem o urlop, weźmiemy ślub, wyjedziemy, no i tak panią kocham, tak kocham, że nawet mamy nigdy tak nie kochałem! — i łzy mu zaświeciły w niebieskich oczach.

Przytuliła się do niego, i rozgarniała mu paluszkami włosy zwichrzone, bo czapkę trzymał w ręku, a on ją zaczął całować po twarzy, po oczach, ustach, włosach, rękach, gdzie dostał, i szeptał łzawo:

— Moja złota Zośka, moja dobra, moja kochana, najdroższa, święta! moja ty mateczko!

— Dzieci! a chodźcie no do domu! — zagrzmiął z werendy bas Osieckiej, i echem rozległ się po lesie.

Wzięli się za ręce i poszli.

Osiecka roztyła się przez ostatnie czasy, włosy miała bielsze, a twarz różowszą. Patrzyła na Stasia groźnie i gdy ją na powitanie całował w rękę, uszczypnęła go w policzek.

— Rzepa nie chłopak. Po ślubie dziewczynki do lasu, po ślubie. A to takie smyki, jak pan, co psem śmierzdzą jeszcze, to zdaleka od na-

rzeczonej... kiedy mówię, że zdaleka, to zdaleka! — krzyknęła, czerwieniąc się nagle.

— Ależ ja nie zaprzeczam, — tłumaczyć się począł.

— Głupś, mój kochany. Franka, przyprowadzić na obiad Tolę! — wrzasnęła.

— Proszę pani, już wszystko gotowe. Urlop mieć będę w piątek najdalej, to w sobotę ślub możemy wziąć, i wyjedziemy zaraz na parę tygodni.

— Dobrze... matkę biorę na siebie, już ja ją uprzedzę o wszystkim no, mówię, że uprzedzę, że wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję pani.

Poszli w głąb domu.

XXXVI.

W ostatnich dniach lipca, Grzesikiewiczowie powrócili z Włoch. Na stacyi nikt ich nie czekał, bo nikogo nie zawiadamiali o dniu przyjazdu. Wysiedli na peron pusty i cichy, po którym z powagą spacerował Staś, w czerwonej czapce i białych rękawiczkach, zastępujący zawiadowcę. Słońce przygrzewało mocno i zalewało jaskrawemi blakami żółty peron i czerwone mury; linie lasów, długie wici szyn były jakby opłynięte rozgrzanem, drgającym morą, powietrzem.

Cisza letnia upalnego dnia otoczyła ich i załala.

Janka z pewnem zdziwieniem rozglądała się dokoła.

— Jak tu cicho!.. jak tu inaczej!..

— Ba, to Bukowiec, a nie Włochy!.. Bukowiec!.. — powtarzał przyciszonym głosem Andrzej i radośnie spoglądał na lasy, i z chciwością wciągał w płuca powietrze, przesycone ciepłem i żywicznymi zapachami borów. Dusza tak mu się trzęsła z ukontentowania, że nie mógł utrzymać najrozmaitszych paczek i pudełek, jakie wyniósł z wagonu, i które mu wypadały z rąk drżących; zbierał je kilka razy, aż Staś, który po odejściu pociągu odszedł, udając, że ich nie poznaje, ukazał się znouu i szedł śpiesznie, ale zawrócił z powrotem do kancelaryi, bo sobie przypomniał, że zdjął już czerwoną czapkę i rękawiczki. Przyszedł dopiero po chwili wyczerwieniony, różowszy niż dawniej, majestatyczny.

— Mnie przypadł w udziale zaszczyt witania szanownych państwa, po tak dalekiej podróży — rzekł poważnie witając, ale Roch mu przerwał, bo chylił się do kolan Janki, i zażawionym głosem gadał:

— Panienska! e... juści panienska, dziedziczka kochana!.. a starsze państwo, to niby z Krosnowy, i jaśnie Pietrz dziedzic, i pani gospodyni jechały bez Bukowiec wczoraj... tak, dobrze mówię, wczoraj... abo i...

— Niech Roch rzeczy zabiera i znika! — zawołał wyniosłe Staś.
— No, jakże zdrowie szanownych państwa, jakże podróż?

— Dziękujemy, dziękujemy!.. cóż słyhać u pana, panie Stanisławie? mamusia zdrowa?

— Dziękuję, i mama zdrowa, i żona...

— Pan się ożenił?

— Tak, szanowna pani dziedziczko, dobrodziejko!.. w miesiąc po państwa wyjeździe zawarłem związek małżeński z panną Zofią Osiecką!.. o, widzi pani dobrodziejka, żona się z okna kłania! — mówił z powagą.

— Dzień dobry! — krzyczała Zosia z okien dawniej Zaleskich, i po chwili zbiegła na dół, i rzuciła się w ramiona Janki, i całowała ją z uczuciem dawnej przyjaciółki.

— No, i mnie się coś należy z tego! — żartował Andrzej.

— Jak państwo ślicznie wyglądają oboje!.. Ja także chciałam. abyśmy ze Stasiem, z mężem, pojechali za granicę po ślubie, ale... ale... jakże? Włochy bardzo piękne.

— Bardzo piękne.

— W Rzymie państwo byli, bo widzieliśmy listy...

— Byliśmy. Czy są jakie konie? — zwróciła się do Andrzeja, bo ją niecierpliwili.

— Są, chłop szykuje siedzenia, możemy już jechać.

— A Ojca świętego państwo widzieli?

— Widzieliśmy, ale daruje pani, że nie będę teraz opowiadać, bo jesteśmy dosyć zmęczeni drogą i pilno nam do domu.

— Rozumiemy... ale jeśliby można kiedy zastać państwa w domu, to umyślnie, aby usłyszeć...

— Zawsze będziemy chyba, proszę, przyjeździe państwo!

— Roch jutro przyjdzie do Krosnowy, to wam dam coś, co przywozłam z Rzymu dla was. — Mówiła Janka, wsiadając na zwyczajny wózek krakowski, zaprzężony w małe koniki o parcianym moderunku.

— Z Rzymu!.. e... z Rzymu, lo mnie... loboga!.. — mruczał Roch, pochylając się do wozu, który się potoczył.

— Poganiaj prędzej! — wołał Andrzej na chłopca, bo koniki wlokły się sennie, ze spuszczonei łbami.

— A juści, kiej gorąc takil.. praży tyż Jezusieczek. praży!.. wio! maluśkie! wio! — świstał batem, szarpał lejcami, hukał, zachęcał; konie się podrywały, aż wózek skakał po kamieniach i korzeniach leśnych, ale po chwili wolniały i znowu się wlokły sennie wązką drożynką przez las, który ją prawie nakrywał, że tylko przez gałęzie kładły się płaty olśniewającego światła na drodze, na mechach, na pniach i mieniły fantastycznymi arabeskami.

— To naprawdę las! — szepnęła Andrzej z dumą.

— Tak, to las! — odpowiedziała cicho i włożyła trochę sennemi oczyma po dębach olbrzymich, po sosnach, co jak miedziane kolumny stały nieskończonymi szeregami, i zdawały się podpierać niebo, po polankach zielonych i cichych, po bagniskach zarośniętych, pełnych wrzawy ptasiej, pisku, chlupotu, brzęku; po kamienistych szczytach przeświecających przez drzewa, pokrytych zieloną siatką — pędami jeżyn. Las stał cichy, rozprażony lipcowym upałem, woniejący żywicą, trawami i garbnikiem. Ptaki z rzadka i sennemi głosami odzywały się w gąszczach, tylko sroki gdzieniegdzie kłóciły się na drzewach, albo żoła przelatywała cicho pod gałęziami niby tęczowa błyskawica, albo drzewa zaszumiały na chwilę, i znowu robiła się cisza głęboka i usypiająca.

— Tak, to las! — myślała, ale widziała przez niego wysmukłe palmy, mieniły się jej w oczach lazury zatoki neapolitańskiej, tamta zieleni, tamto słońce, tamto powietrze — i teraz czuła, że ten las, tak kiedyś ukochany, jest jakiś czarny, dziki, że wionie chłodem i posępnością, że zaczyna ją omotywać jakiś smutek życia, tam nieodczuwany. Zadrżała w głębi, bo z tych przestrzeni zaczęły jakby iść do niej przypomnienia wszystkie życia tutaj spędzonego, zaczęły wstawać w niej widma przeszłości i cieniami przysłaniać jej duszę.

Budziła się, jakby dawne życie brało ją w swoje łóżysko z powrotem.

— Ciemno jakoś! — szepnęła, wstrząsając się nerwowo.

— Bój się Boga, przecież słońce wprost oślepia!

— O, nie tak, jak w Neapolu, nie tak, jak w Palermo!

— Nie widzę różnicy, azresztą, teraz powiem ci szczerze, że jestem szczęśliwy, czując się u siebie; nudziły mnie już Włochy w ostatku. To upiór, nie kraj żywy, to...

— Nie mówmy, dobrze?

— Dobrze, wiem przecież, że Włochy podobały ci się ogromnie; entuzjazmowałaś się przecie przy każdym zmurszałym kamieniu; no, milczę. Rozmarszcz czoło, spojrzuj na mnie.

Spojrzała, ale nie mogła ukryć pewnego żalu i goryczy.

— Powinnaś mi darować te chamskie uwagi, chociaż-by za ich szczerłość!

— Alboż się gniewam?

— Dziękuję!.. ot widzisz, jedziemy już do siebie do domu; czy ciebie to nie cieszy?

— A i bardzo, bo zmęczona jestem.

— Marzyłem o tym dniu, bo przecież teraz już żyć będziemy tylko ze sobą, nie będą nas krępowali ani ludzie, ani kraj obcy, ani to hotelowe życie, którego nie cierpię, nie będą pomiędzy nami stawały arcydzieła i kłótnie o nie: tak nie cierpię tego hotelowego kraju, tego życia na oczach wszystkich, podzielonego na etapy wyznaczone przez Cooks limited, gdzie wszystko ma cenę z góry oznaczoną, gdzie wszystko jest posegregowane i opisane, i oznaczone numerami przez Bedeckera, gdzie człowiek nigdy nie może się czuć sam zupełnie i sobą. Obcy świat, a mnie tego brakowało, o, tych lasów i tej ziemi!.. ja stąd i z tego!.. — zakreślił szeroki łuk ręką, i rozrzuwionym wzrokiem ogarnął obszary pól, na które wyjechali z lasu.

— To już Krosnowa? — szepnęła jakimś strwożonym głosem.

— Tak, to już dom nasz.

— Dom nasz!.. — powtórzyła jak echo. — Krosnowa! — i patrzyła z jakąś głuchą obawą na park i długą aleję lipową Krosnowy. Nie czuła upału, jaki ich zalewał teraz, kiedy jechali polami, niezastłonięni niczem; zimno jej było i ciemno. Jakieś uczucie obecności przenikało jej duszę chłodem.

— Dom nasz! — powtarzała, i niepokój rósł, miała wrażenie jakby te lasy, które zataczały olbrzymie koło i stanowiły zieloną ramę pól, odgradzały od świata i wtłaczały siłą w tę ciasną dolinę, gdzie odtąd żyć miała, jakby ją te pola, złożące się pszenicą, pohaftowaną makami czerwonymi, lilowemi wykami, które jak morze się kołysały i dźwięczały muzyką chrzęstów koników polnych, przepiórek, brały w swoje objęcia tak mocno, tak mocno, że czuła jakiś strach niewytłómaczony i ból.

Andrzej spoglądał na nią, ale nie umiał czytać w tej pięknej, bladej twarzy. On się cieszył, że powrócił, bo pewnym był, że teraz, kiedy go nie będzie przegradzało od jej duszy, zazna szczęścia dopiero. że teraz ona będzie mogła ocenić jego miłość; ale chwilami odzywał się w nim jakiś cichy i głęboki żal do niej za obojętność marmurową, za ten chłód, którego nie mógł przełamać, za tę wyniosłość pewną, która go onieśmiała i zamykała mu nieraz usta w połowie gorącego okrzyku, więc chwilami spoglądał surowiej, z wyrzutem, ale w tem wytrwać nie mógł, bo otaczały go jego ziemie i jego zboża.

— Zwożą pszenicę! — zawołał, wstając na wózku. — Pyszna pogoda, sucho zbierają! — i gonił oczyma za żniwiarkami, które o kilka staj od drogi pracowały—tryby zgrzytały, i ostre zęby błyskały co chwila stalowymi błyskawicami nad złotawem polem. Wielkie sterty wznosiły się w różnych kierunkach niby piramidy, a czerwone stroje kobiet, rojących się po polach, ciążyły się ostro, niby wielkie maki. Powietrze lekko drgało, aż przydrożne niskie grusze szeleściły sennie zakurzonemi liśćmi.

— Walek! sam tu! — krzyknął ogromnym głosem Andrzej na chłopca, uwijającego się na koniu przy najbliższej żniwiarce.

— Zobaczę tylko, co się robi, i zaraz przyjadę!

Skinęła głową i patrzyła na Walka, który sadił przez zagony i kołysał się na siodle, niby na biegunach, i co chwila zapadał, i wychylał się ze zbóż.

Pojechała sama do dworu. Nikt nie wyszedł na jej spotkanie, drzwi były pozamykane, okna szczelnie pozasłaniane, a na podwórzu, prócz kur i ślepego psa, co się wylegiwał w cieniu podjazdowej kolumnady, nikogo.

Dopiero w kilkanaście minut po wołaniach chłopca, nadbiegł zadyszany Bartek w jednych tylko parciankach i koszuli, ociekał wodą i obcierał się na gwałt spencerkiem.

— A to kąpać się byłem, bo taki gorąc, że spik me morzył, ale no pacierz byłem — usprawiedliwiał się ze strachem, — a nie byłbym i tyła, ino...

— No dobrze, otwórz drzwi.

— A juści, kiej Janowa mają klucze, zaraz polecę; a nie byłbym pacierza, ino Jędrak Rafałów, koniarek, wzion mi oblecynie i zaniósł na kępę; złapałem go, sprąłem juchę kiej psa, a tu słyszę, że ktośik woła. .

— Idź-no i poszukaj Janowej.

— Jezdem, paninko, jezdem! — krzyczała zdaleka, lecąc z rozłożonemi rękoma, niby stara kokosz do piskląt w niebezpieczeństwie; przypadła do nóg i radosnym głosem wołała: — O mój Jezu słodki, o moja paninka najukochańsza, a tośwa czekali i dnie i noce! a tośwa ze starszą panią wychodziły jaże do mostów, a tośwa se mówiły: a może dzisiaj przyjadą! Loboga, jak mi paninka ślicznie wygląda, kiej na obrazku, a opaliła sie paninka na gembie za przeproszeniem, kiej bułeczka. — Gadala stara, otwierając drzwi, pomagając wnosić walizy, i co chwila przypadala do Janki, obejmowała za nogi, całowała po rękach, nie wiedziała co robić już, tak ją roztrzęsła radość.

— Duszno tutaj, pootwieraj Bartek okna.

— A moja złota paninko, a moja kochana!

— Starsza pani w domu?

— Pani gospodyni je na wsi u Jadamki, bo już od rana rodzi, je i dochtor ..

— Hale! widzisz go! głupi chłop, chłapie ozorem byle co, idź do kuchni palić ogień! — zakrzyczała Janowa, wypychając Bartka. — A to u żniwa wszyscy, a starsza pani je rychtyk u chorej kobity, na wsi. A ja byłam w ogrodzie za ogórkami, i bez to me paninka nie zastała.

— A córka wasza? cóż tam słyhać, jest już w Zielonce?

— A jest. jest... — urwała, usta opadły jej tak jakoś na brodę, że jej stara obrzękła twarz z sinemi wargami zrobiła się podobną do gęby krowy ryczącej za cielęciami.

Janka nie czekała na dalszy ciąg [opowiadania, tylko poszła oglądać mieszkanie. Otoczyła ją smutna cisza mieszkania na pół umarłego, bo niezamieszkanego. Mrok, jaki rzucały pospuszczane story, ciemne obicia i portyery, meble o formach poważnych, wielkie pokoje, wszystko to tchnęło jakąś pleśnią i posępnością.

Chodziła i oglądała długo, nikt się nie zjawił, tylko od oficyn dochodził ją krzyk łapanych i zarzynanych kurcząt, a od dziedzińców i zabudowań—szczenie i wycie psów na łańcuchach, a czasami od pół leciały odgłosy turkotów i echa śpiewów rozbrzmiewały smutno w tem pustem mieszkaniu.

— Co ja tu będę robić? — zapytała głośno, rozglądając się po tych wspaniałych pokojach. Nie umiała sobie odpowiedzieć, a nawet nie chciała; przeszła pokój jadalny, wyłożony dębem, obstawiony wspaniałemi kredensami i przez werendę zeszała do ogrodu, nad długie, powyginane jezioro, otoczone alejami grabów strzyżonych, tak rozrośniętych, poskręcanych ze sobą, pooplątywanych dzikim chmielem, że tworzyły głuchy, zimny tunel, którego spód, nie gracowany od wieków może, zarósł chwastami. W niszach żywych, utworzonych z drzew odwiecznych, stały trzony, z których porzucane posągi bóstw mitologicznych leżały zaledwie widoczne w trawie, zczerniałe, obrośnięte mchem, jedzone przez deszcze, trawy i powietrze. Kosy gwizdały w gąszczach; gile, ziemby, bogowole, sikorki zawodziły ogromny wrzaskliwy chór w całym parku, a na jezioro, przyczepione do wielkich liści grzybieni, żaby nukały przeciągle i sennie, wielkimi oczyma patrzyły w słońce i na miliardy much, kotłujących się nad powierzchnią, niby tunan, przez który, jak punkty szmaragdowo-złote, błyskały wysmukłe ważki. Jaskółki ze świergotem przelatywały nad wodą i pruły powietrze fantastycznemi liniami. Cisza była taka ogromna w parku, że słyhać było głosy komarów i szelest trzein, tataraków i sitowia, co zarastały brzegi i biły o siebie, ilekroć wiatr powiał

od drzew, albo kolisko wody roztrąconej piersią jaskółek nadbiegało. Jasno-popielatawy błękit rozciągał się nad wszystkim, niby dach z którego zsuwało się już ku zachodowi słońce i kładło na wodę złotą patynę, niby laserunek.

Janka zimno i bez uniesienia przyglądała się parkowi; szła, ale zaczęła ją porywać nuda i zniechęcenie; siadała po kilka razy na kamiennych ławkach, zielonych od mchu, to na trawie tuż nad wodą, ale zrywała się prędko i znowu szła, patrząc obojętnie. Obeszła całą jedną stronę i przez most zrujnowany, ozdobiony kiedyś posągami, które teraz przeglądały z dna wody, przeszła na drugą stronę.

— Jestem w domu! — myślała, idąc samym brzegiem, wpatrzona w fasadę domu, który się wychylał, niby z ramy zielonej, z pośród potężnych lip i buków, rosnących w szczycach.

— Jestem w domu! — odwróciła nieco głowę, bo słońce biło w szyby i zapalało kilkadziesiąt promieniejących ognisk.

Powtarzała te słowa po kilka razy, ale jej nie poruszyły. Nie wiedziała, co w niej jest, ale czuła, że niema w niej ani radości, ani zadowolenia z tego, że jest już u siebie.

I kiedy powróciła i przy pomocy Janowej rozpakowywała walizy, to musiała sobie przypominać, że jest u siebie, bo jej się zdawało, że zaraz stąd odjedzie, że jest jakby z wizytą tylko.

O dobrym zmroku dopiero przyszła Grzesikiewiczowa, a zaraz potem stary, Andrzej i Józia z dziećmi.

Przywitanie było nad wyraz serdeczne.

Józia drgała rozpromieniem i radością, aż co chwila musiała zasłaniać oczy binoklami.

— Ralf, Tola! przywitajcie się z ciocią! — wołała po francusku na dzieci i śledziła z dumą, jak dzieci, niby manekiny lub pudle wyuczone, sztywno witały się.

— Józia, gadaj-no po ludzku! — upominał stary, który, trochę onieśmielony wyniosłym i chłodnym zachowaniem się Janki, stał sztywno, nie wiedząc, co zrobić z sobą. — Wielemożna pani! — zaczął, ale Józia uderzyła go oczyma, że zamilkł. — E! moja Józio, przecież ojciec tu jeździem, to mi tu wolno coś nie coś z pyska pary puścić przy swej pani synowej; prawda, pani? — pytał Janki, zbierając na odwagę.

— Ależ mój ojcie, przecież ojciec u siebie, to mu wszystko, wszystko wolno.

— A widzisz Józka. Stara, a nie daj-no wiele... pani synowej morusać rączków! — wykrzyknął, widząc, że Janka zabierała się do nalewania herbaty.

— A juści, dała-bym ja co robić. Siedz sobie córko, to już ja ci posłuże, abo i Józia.

Józia skrzywiła się nieco, a Andrzej rozpromieniony patrzył na żonę i na matkę.

Podano kolację i zaczęło się to prędkie i bezładne opowiadanie pierwszego dnia po podróży. Stara tylko nie wiele słyszała, bo śledziła z niepokojem Bartka, obnoszącego półmiski, który, ubrany w przyciasną liberyę, chodził sztywny i ogłupiały, wszystko wysuwało mu się z rąk.

— Upuścisz! a, jakto trzymasz?.. oblejesz, niedojdo, panią! — wykrzykiwała stara.

— Gadaj, Jędrus, gadaj!.. takim rad, żeście przyjechali, takim wesół, że pił będę na uciechę. Matka, postaw gorzałki! — wołał stary rozpromieniony i przesiadł się do syna, popijał, i ukontentowany do głębi, dumny, słuchał i jadł jak wilk, głośno mlaskając, i z tej radości rzucał pod stół kości Łapie, staremu nieodstępniemu psu, który je odnosił pod okno i gryzł, aż trzeszczało.

— Papo, szkoda podłogi, a zresztą do czego podobne rzucać kości na ziemię. tutaj nie karczma przecież.

— Papol papol Józia! Józia! — przedrzeźniał stary. — Ty sobie dzisiaj gadaj, a ja i tak słuchał nie będę, bom wesół, jak Boga tego kocham. Matka, daj gorzałki.

Józia założyła binokle i szepnęła po francusku do Janki:

— Czeka panią nie mała praca oduczenia ojca od chłopskich nawyknień.

Janka pochyliła głowę, nie odzywając się prawie przez całą kolację, tyle tylko, ile do niej się zwracano, bo dziwne wrażenie wywierali na nią zgromadzeni. Józia śledziła ją ciągle i gonila oczyma, matka pilnowała Bartka i gderała, stary pił, pluł za siebie, gadał głośno, śmiał się i dowcipkował rubasznie; dzieci siedziały obok siebie sztywno i poważnie, a Bartek, o ile nie był zajęty, stał przy drzwiach wyprostowany, zalekniony, i wycierał spoconą twarz rękawem i wdychał. Andrzej opowiadał, ale jakoś sennie i niecierpliwiał się, bo stary co chwila brał go w ramiona, albo klepał po łopatkach i porwany dumą wykrzykiwał:

— Udał mi się synek, udał mi się parobek, co, prawda, pani?..

A Janka na odpowiedź uśmiechała się blade i czekała, rychło się skończy ten wieczór, bo czuła się zmęczoną i jakoś bardzo obcą tym ludziom; zwracała się do dzieci, ale dzieci uśmiechały się do niej banalnie, niby automaty, aż stara rzucała na nie niechętne spojrzenia i szeptała:

— Cudak! Boże, się zmituj!

— Jestem w domu, u siebie, z rodziną! — powtarzała sobie Janka i wodziła oczyma po dębnie rzeźbionej, okrywającej ściany, pocię-

tej na wielkie czworokątne pola bronzowemi pasami, po kredensach olbrzymich, co zajmowały całą jedną ścianę, po tych łosich głowach z rosochatemi gałęziami, co w środku owych pól były zawieszane, a potem po twarzach siedzących, starych, prostych, ordynarnych, grubych chłopskich twarzach, które tak dziwnie wyglądały na tle tego wielkopańskiego przepychu, że chwilami zapominając, myślała, skąd oni się wzięli? po co? i miała ochotę wstać i wyjść, bo się czuła dotkniętą, że siedzą obok niej.

— A niech-że pani nie zapomina o nas! — mówiła Józia, i dalej już opowiadała o sąsiedztwie całym.

Wtedy Janka przychodziła do równowagi, i wkrótce przysła zupełnie, bo przyniosła rozmaite drobiazgi, przywiezione z Włoch, i zaczęła rozdawać, kiedy drzwiami z werendy najniespodziewaniej wszedł Witowski.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknęła stara.

Nie odezwał się, tylko z Janką się witał najpierw, a potem z resztą. Andrzej zerwał się i pochylił do pocałowania, ale mu Stefan mocno uściśnął rękę i usiadł obok dzieci.

— Bartek! daj mi mocnej herbaty. Dowiedziałem się, że państwo przyjechali, i przyszedłem was zobaczyć. Jędrus pysznie wygląda, ale pani jakoś inaczej, o, inaczej!.. — spojrzał jej w oczy tak mocno, że drgnęła.

— Cóż, Włochy! cuda! same cuda! — ironia zadrgała mu w głosie.

— Istotnie cudowny kraj! znalazłam tam więcej, niżli myślałam, że znajdę.

— Albo przywiozła pani ze sobą taką chęć zobaczenia cudów, że aż pani i zobaczyła! — Zaczął pić herbatę, a po chwili dodał: — Jadzia przesyła pozdrowienia, i czeka na wasze odwiedziny.

— Jak tylko nieco żniwa zepchniemy, to natychmiast.

— Dobra i obietnica.

— Siostra zdrowa?

— Prawie już zdrowa, i dzisiaj po raz pierwszy wyjeżdżała na spacer.

— To chorowała?

— Trochę. Konie poniosły, powóz się wywrócił, i potłukła się.

— Pewnie te same dyabły, któremiś nas wiózł wtedy.

— Te same. Czy też pani pamięta jeszcze ową sannę?

— I myślę, że nie zapomnę nigdy! — odpowiedziała dosyć prędko.

— A to ścierwy ogiery, czyste smoki, jak Boga tego kocham.

— Smoki nie, tylko Jasinowski nie umiał powozić i pozwolił się im rozhuścić. Pamiętajsz, Jędrus, jak to wtedy się rwały? — umyślnie mówił o tej sannie, i patrzył na Jankę.

— Ba, dzisiaj mnie jeszcze dreszcz przejmie, i dziwię się, żeśmy się nie pozabijali, pamiętam i z tego, że Janka zemdląca.

— Pani zemdląca?.. ale kiedy?.. — pytał, jakby nie wiedząc o tem.

— Skorośmy tylko wysiedli.

— No, no, nie wiedziałem!..

— Że co? podchwyciła.

— Że pani umie takie rzeczy odczuwać tak mocno.

— Zawszy kobieta je miętsza, kiej męszczyzny! — wtrąciła stara sentencyonalnie.

— Przyznam się, że pierwszy raz jechałam z taką szaloną szybkością.

— Urządźmy sobie jeszcze nieraz podobną saunę, żeby się pan przyzwyczaiła i nie mdlała.

— Nie, więcej już tak nie pojedę, a przynajmniej nie pańskimi końmi; — powiedziała z naciskiem, bo ją drażnił ironiczny ton jego głosu.

— Wyręchtujemy sanie, założymy bułanki, i pojedziemy, jak Boga tego kocham, że jaż... ha! Matka, daj-no jeszcze gorzałki, napijemy się z panem Witowskim.

Ale matka, widząc że stary już pijany, podniosła się, ujęła go pod pachę i chciała wyprowadzić.

— Nie ciągnij, jak mówię gorzałki postaw, to postaw. Pan Witowski jest jaśnie pan dziedzic, i ja jestem jaśnie Piotr dziedzic. Postaw gorzałki, niech się dwa dziedzice ucieszą, jak Boga tego kocham. wesołym dziś taki, bo... — nie skończył już, bo go Andrzej ujął mocno pod ramię i wyprowadził, a zaraz i Józia się zabierać zaczynała do odjazdu.

— Idźcie państwo spać, mnie Bartek da herbaty jeszcze, wypiję i pójdę sobie. Niech się pani nie dziwi, to nie po raz pierwszy... — tłómaczył Jance.

Ale Andrzej z Janką pozostali, i jeszcze z godzinę razem siedzieli na werendzie, wpatrzeni i wsłuchani w cudną noc lipcową, tak ciepłą, tak rozmarzającą i pełną zapachów lip i kwitnących w kłobach heliotropów, tak rozśpiewaną, że Janka wkrótce zasnęła w swoim biegunowym fotelu, a Andrzej był coraz senniejszym.

Witowski siedział na balustradzie, pił herbatę dopóki była, palił papierosy jeden za drugim, i patrzył w niebo granatowe, głębokie, pełne gwiazd i ciszy nieobjętej; czasem spoglądał na Jankę, której przechyloną twarz słabo się rysowała w zmroku, na jeziorko dymiące

mgłami, na park czarny i głucho szemrzący, jakby przez sen, w tę noc spokojną, która obejmowała wszystkich i wszystko w sen i w milczenie, i w końcu nie odezwawszy się ani słowem, zeszedł z werendy i poszedł.

XXXVII.

Życie w Krosnowie płynęło cicho a pracowicie, szczególnież teraz, czasu żniw.

Andrzej od świtu do nocy na koniu uwijał się na polach, stary również dnie całe przesiadywał w lasach. Dom opustoszał, bo nawet stara Grzesikiewiczowa, gdy słońce przygrzało, szła w pole z przyzwyczajenia i siadywała dnie całe pod stertami, lub nie zżętem jeszcze zbożem i śledziła robotę, albo łąziła około domowego gospodarstwa i gderała, że ciągle słychać było jej guiewny głos w coraz innej stronie.

Tylko Janka nie brała udziału w tych kłopotach i pracach.

Te pierwsze dnie przepędziła prawie samotnie. Męża widywała raz na dzień, a czasami wcale, jeśli kazał sobie obiad przynieść na pole, a wieczorami, albo zamknięty w kancelaryi z ekonomami przesiadywał prawie czas cały, albo, jeśli przychodził na kolację do jadalnego, to był tak strudzony, że nie dopijał herbaty i zasypiał w krześle.

Przepraszał ją za to serdecznie, wypytywał, czy się nie nudzi, czasem zabierał w pole, i uspokojony jej spojrzeniem i twarzą zawsze zamkniętą, zmrożony tym chłodem obojętności, jaki wiał od niej, i tą jakąś pańską wyniosłością, z jaką na wszystko patrzyła, choć bardzo cierpiał z tego powodu, zostawiał ją w samotności. Zapracowywał się, żeby nie czuć bólu i wyzbyć się tego wrzenia gniewu, jakie nieraz czuł w sobie w jej obecności.

— Jeszcze się nie zżyła z nami, czuje się obcą, niech mama o niej pamiętał — tłumaczył matce.

— Nie bój się, Jędrus, już ja pilnuję, chucham na nią, już jej tu niczego nie brakuje.

— Niech mama z nią więcej przesiaduje i rozmawia, bo ona tak ciągle sama, to może się jej nudzi.

— A bogać to! mówić, juści, ale widzisz, kiej nie śmie. Nieraz przylece z pola ino po to, coby z nią pogadać, bo i mnie się za nią ckni, i boje sie gemby otworzyć. Ona taka pani, taka uczona, co ja jej po-

wiem? A nudzić, to pewnie że się nie nudzi, bo ciągiem grywa na fortepianie, albo czyta na tych wielkich książkach. Panią mam synową, uczoną mam synowę! — dopowiadała z dumą stara, ale swoją drogą ciężko jej było, że nie mogła się do niej zbliżyć, bo właśnie ta jej „uczoność“ i „pańskość“ przegradzały i otaczały Jankę kołem zaklętym. Obcą była im wszystkim, zupełnie obcą. Przyszła z innego świata, podziwiali ją, kochali po swojemu, ale nie rozumieli tak, że zwołna do duszy starych wkradała się niechęć, podsycona jeszcze zmianami, jakie z jej przyjazdem zaprowadzał Andrzej w Krosnowie.

Dotychczas, pomimo magnackiej fortuny, żyli jak dostatni chłopcy, może trochę lepiej, mieszkali w oficynie, jadali co Magda ugotowała, jeździli bryczkami, ubierali się jak bądz, skąpili na wszystkim, bo nie mieli żadnych potrzeb. A teraz wszystko się zmieniło. Andrzej chciał dom postawić na stopie odpowiedniej: nie dla siebie, bo było mu to dosyć obojętnem, ale dla Janki, przyjął kucharza, piwnice kazał zaopatrzyć dostatnio, Bartka ubrał w liberyę, pokupował powozy i kilka par koni cugowych stało zawsze w stajni, aż starego złość porywała.

— Te habany zeżrą tyle owsa, co połowa fornalskich, i nic nie robią, jak Boga tego Kocham! — skarżył się żonie po cichu, bo Andrzejowi nie śmiało.

— Kunie, juści że żadna pociecha, a wydatki tylko; ale żeby to kunie ino, a toć ten zapowietrzony kucharz tyła masła, jajków, i śmietany bez tydzień bierze, co dawniej i bez miesiąc nie wyszło, a jeszcze się za gotowy grosz sprzedaje.

— Gryzą Krosnowę, aż trzeszczy! — dodawała Józia od siebie; — ale to początek, zobaczy ojciec, jak to później będzie.

— Głupiasz, nie wtykaj swoje trzy grosze! — przerwał jej brutalnie, bo go złość szarpnęła.

— Ale pani synowa jest niby lala malowana!

— Józia, ty mi na nią nic nie mów, słyszysz, bo jak Boga tego Kocham! — uderzył pięścią w stół, złapał czapkę i wyniósł się w podwórze.

— Lala malowana, wielka pani! szlachcianka! Tfu! na psa taki pański moderunek na habeciel! — mruzczał zirytowany, bo gryzły go i te wydatki, i to, że synowa trzymała go w oddaleniu, że nie śmiało ani kląć przy niej, ani pić, i musiał na obiady i kolacye przychodzić do pałacu umytym i przebrałym, bo mu to Andrzej wprost nakazał.

— Takim eligantem zostanie jeszcze, że co miesiąc nowe obleczenie będzie sobie kupował, fryzyera sprowadze, frak kupie, jak Boga tego Kocham! celender!.. — gadał nieraz Andrzejowi.

— Przecież ojca na to stać.

— Stać przecie że stać i na więcej, bo cóż to przy nas choćby taki pan Łomiszewski, co to ino czwórkami wali? karbowym mógł-bym go zrobić na folwarku; albo pan Zieliński! wielkie mi państwo, jak Boga tego kocham! z bebechami-bym ich kupił, i jeszcze by się co zostało, prawda, synku?

— I dużo-by się zostało, bo oni prócz długów, pretensyi i szlachectwa, nie nie mają więcej. Dlatego właśnie my będziemy żyć po ludzku.

— A jaktośmy dotąd żyli, he?

— Po chłopsku! ojciec tego nie rozumie, że właśnie dlatego, że mamy dużo, to i powinniśmy znacznie więcej niż dotychczas wydawać. Robiliśmy dotąd pieniądze, a teraz musimy zacząć żyć.

— A żyj se Jędrus! ino kiej chorujesz na pana, to ja twoim doktorem nie bede, i za lekarstwa płacić nie bede. Głód daje nogi, a chleb rogi, mój synku, jak Boga tego kocham! mój panie dziedzicu mój jaśnie Jędrusiul ho! ho! — Andrzej trzasnął drzwiami i wyszedł.

— Szlachta zapowietrzyła Pani synowa nie może patrzeć na mój kozuch, buty jej moje śmierdzą, perfunami po mnie kadzi, a żeby to!.. — syczał ze złości, i kopnął nienawistnie kamaszki, w które się miał przebrać, aż się rozleciały po pokoju. Napił się wódki dla uspokojenia, ubrał się i poszedł do pałacu.

Prawie takie same sceny były i z matką, która za nic nie chciała się pozbyć swoich beżowych sukien i chustki z głowy, i starych chłopskich przyzwyczajęń.

Andrzej znowu nie ustępował, bo nieraz widział spojżenia żony rzucane na rodziców i czuł, że ją rażą swoim prostactwem i ubiorami, zdawało mu się przeto, że przebrawszy ich, zbliży do niej tem samem.

Ale i to nie pomogło, i nie zbliżyło ich do siebie. Janka żyła obok nich, ale nie z nimi. Pozostawała też prawie samotna dnie całe.

Jeździła czasami na pola ze starym, chodziła z matką po chlewach i oborach, odwiedziła Józję, próbowała się interesować życiem otoczenia, chciała się zająć sprawami domu i gospodarstwa; ale kończyło się to prędko, i znowu czuła, że to wszystko nie jej nie obchodzi. Napróżno powtarzała, że jest w domu, u siebie, że już stąd nigdy nie wyjdzie, że musi przystosować się do tych ram życia, jakim żyli wszyscy; nie, nie mogła, i żyła tylko jakimś oczekiwaniem — na co? nie wiedziała. Czuła tylko, że tutaj pozostać nie może, że nie wytrzyma pomiędzy tymi ludźmi prostymi, którzy ją odgradzili od świata, jakby groźnie strzegli, żeby nawet myślą nie mogła wybiedz z Krosnowy; więc się zamykała coraz częściej w sobie i długie godziny przepędzała przy fortepianie, albo na samotnych po parku spacerach; pisywała długie listy do Heleny i do doktora, który jej często donosił

o zdrowiu ojca; przesiadywała z książką w ręku, zapatrzona w przestrzeń, bezmyślnie prawie poddając się apatyi i nudzie, jakie ją przenikały; obca temu, na co patrzyła, i obca nawet samej sobie, tej dawnej swojej duszy, pełnej nieskrystalizowanych fermentów, buntów, marzeń i pragnień, której teraz, jeśli się jej przypatrywała głębią swoją, poznać nie mogła.

Co się ze mną stało?—myślała, ale odpowiedzi nie znalazła, i pograżała się znowu w apatyi, i leniwie przypatrywała się Bartkowi, siedzącemu pod podjazdem, który przeciągał się ociężale, i tęsknie spoglądał na pola, i wdychał jakos żalownie.

— Bartek!

Chłopak śpiesznie nadział spencer liberyjny, który o ile tylko mógł, zawsze zdejmował, bo go dusił, i rozcierwieniony, sztywny, patrzył na nią.

— Co ci jest? czemu tak wdychasz?

— A to... a bo... cknno mi, proszę jaśnie pani! — szeptał nieśmiało.

— Powinno być ci dobrze: nic nie robisz, masz chłodno.

— Juści, że nic nie robię; juści, że chłód mam galanty, ale... — zaczął się drapać po głowie i obcierać rękawem twarz wiecznie spoczną, — ale... człek był wzwyczajony do pola i do ruchania się, a tu siedź, kiej pies w budzie uwiązany, kiej tyn kamień, i patrz, jak drugie parobki jeżdżą, śpiwają se, a do tego wszyscy się śmieją ze mnie... — zakończył na pół z płaczem.

— Śmieją się z ciebie?

— A ino, że to ja lokaj, i w tej zapowietrzonej luberyi, kiej jaka małpa zagraniczna chodze, że ino pańskie psy po ogonach drapie za całe robote. Ścierwyl. — mruknął zaciskając pięści, opamiętał się rychno i zamilkł zmieszany.

Nie odezwała się już nic więcej, poszła i szła przez wspaniałe salony, zalane mrokiem, chłodem i ciszą. Stare portrety ze ścian spoglądały za nią wybladłemi spojrzeniami, w których tkwił jakiś smutek rzeczy umarłych; bronzы, złocenia, kraty kominków, marmury, stiuki sufitów, ciężkie jedwabie portyer i obić miały w sobie jakąś przygniatającą posepność; wpół oslepłe zwierciadła świeciły suchotniczą żółtością, niby zamierające oczy tych pustych salonów; bukiety róż, lewkonii i astrów rozlewały duszącą, ciężką woń i pogłębiały barwami ten nastrój pustki, jaki Jankę przenikał coraz głębiej.

Chodziła z pokoju do pokoju, grube dywany tłumily odgłos jej stąpań, czasem przystawała na środku, zakładała ręce na głowę i stała długą chwilę, nie myśląc, pustemi oczyma błędąc po otaczającym ją przepychu, po oknach, przez których zasłony rysowały się kontury

drzew, i za któremi były pola, lasy, ludzie, świat cały, ten świat, od którego czuła się coraz dalej.

— Moi kochani, powiedzcie mi prawdę, czy tutaj jest smutno? — zapytała Janowej, która w jednym z pokoiów wycierała podłogę.

— Hale! całkiem po pańsku jest. Ja prosta kobita jezdem, tobym ta tutaj nie ścierpiała, ale słicznie je, kiej w kościele. Jezus kochany, kiej wejść do tej dużej stancyi, to jaże mi sie chce przeżegnać, tyła je złota, że jaże trza oczy mrużyć, tak się łyśni wszystko.

— Czy wam nigdy nie jest smutno?

— O, jest, paninko, jest! kiej pani córki długo nie widze, to me tak rozbiera, że rady sobie dać nie inoge.

Nie pytała się więcej, poszła do swojego pokoju.

— Pusto! pusto! pusto! — szeptała, opadając w głęboki fotel.

Wzięła jakąś książkę i przerzucała bezmyślnie kartki dotąd, aż oczy same zaczęły się zaczepiać na literach i czytać:

„My się nie możemy kochać, jak gołębie.

„Dwie nasze dusze, są jak dwie otchłanie,

„Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie —

„I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.”

— Dziwny człowiek, dziwny! — myślała o Witowskim, oderwawszy oczy od książki, i zobaczyła jego suchą, ostrą twarz, i jego czarne przepaściste oczy magnetyzera. Zaczęła znowu czytać to samo, nie wiedząc, co czyta; przeczytała po raz trzeci, bo ten wiersz: „Dwie nasze dusze są jak dwie otchłanie.” zapadał jej w pamięć, i powracał na usta, i koncentrował koło siebie rozpierchłe myśli.

Przeczytała raz jeszcze, odłożyła książkę, chodziła znowu po pokojach i powtarzała te cztery wiersze ustawicznie, a ten rytm słów, to ich głębokie znaczenie budziło ją z apatyi. Te wiersze zapelniły całą jej duszę, przeżuwała je po tysiąc razy, i było jej coraz dziwniej w duszy.

Mieszkanie wydało się jej grobem, i ta pustka jakby się wdarła do jej duszy i huczała rytmem powtarzanych wierszy.

Głęboka tęsknota zerwała się w niej, i niby wicher, owionęła całe jej jestestwo, — tęsknota za światem, za życiem, za Kochaniem.

— Janiul

Drgnęła, przystając, bo już miała wyjść na podjazd.

— A to miodu corko ci przyniesłam, podebrali dopiero pszczołkom, może zjesz?

— Dziękuję mamie serdecznie. — Ucałowała jej ręce gorąco, taką czuła potrzebę zbliżenia się do ludzi.

Stara lzy miała w oczach z radości.

— Jedz, dzieciątko, taki czysty jak bursztyn. Banach podbierał, a ja se myślę: siedzi tam sama, weźmie miodu i zaniesie. Jedz, córko, słodziutki jest, bo to lato było suche, i kwiateczki dobrze kwitły; wzięłam i przyniosłam.

— Wie mama co? wezmę ten miód i zaniosę Andrzejowi na pole! — zawołała, i porwana myślą, okryła talerzyk jakąś serwetką, i poszła.

Andrzej był na polach zaraz za parkiem, stał na koniu przy młockarni parowej, buchającej kłębami brudnego dymu, zobaczył żonę idącą przez ściernisko i skoczył do niej galopem.

— Jakaś ty dobra, żeś przyszła, jakaś dobra! — wołał głęboko uradowany, okrywając jej ręce i twarz pocałunkami.

— Widzisz, tak mi było jakoś pusto i samotnie, a potem mama przyniosła miód, może będziesz jadł, co? — zapytała nieśmiało, odsłaniając talerzyk.

— O moja najdroższa, o moja kochana! nigdy jeszcze nie czułem się tak szczęśliwym. Umyślnieś mi przyniosła?—nie mógł uwierzyć.

— Ależ tak, będziesz jadł?

— Chcesz, to zjem i talerzyk, i serwetkę nawet! — wykrzyknął entuzjastycznie.

Oparł się o konia i jadł pośpiesznie, a całował ją oczyma i śmiała mu się twarz i dusza z przyływu radości ogromnej i niespodziewanej.

— Te! chanie jeden! uważaj, bo batem dostaniesz! — krzyknął na fornała, wiozącego zboże do młockarni, który nieomal wywrócił na przegonie.

— Jeśli masz czas dzisiaj, to może-byśmy pojechali do Witowskich?

— Jedź sama zaraz, przyjadę po ciebie wieczorem, dobrze?

— Nie możesz teraz jechać?

— Widzisz, młóć pszenicę, to ważna taka robota, ale jeśli już tak koniecznie chcesz razem, zaczekaj trochę.

Miała się już zgodzić na to, ale w ostatniej chwili powstrzymała się i szepnęła:

— Pojadę, mogę pojechać i sama, ty przyjedziesz?

— Przyjadę! Walek, odgarniać słomę prędej! — krzyknął znowu.

— Prędko przyjedziesz na obiad?

— Za pół godziny.

— To ja już pójdę.

Uśmiechnęła się do niego blade, i poszła zirytowana na siebie za ten spacer.

— Śmieszna scenal — myślała. „My się nie możemy kochać jak gołębice,“ powtórzyła półgłosem i roześmiała się głośno, tak głośno, że aż się obejrzała, czy nie usłyszał; zobaczyła, że znowu siedzi na koniu, i taki silny, ogorzały, wielki, niby posąg śpizowy Guetelamedy w Padwie.

Przy obiedzie była dosyć rozmowną, bo oczekiwanie wyjazdu do Jadwigi podniecało ją, i przytem zaczynała czuć do samej siebie wdzięczność za ten miód zaniesiony Andrzejowi, który był niesłychanie rozpromieniony przy stole. Stara także była w humorze, i po raz dziesiąty opowiadała, jak to ona przyniosła miód, jak to ją Janka ucałowała, i jak ten miód zaniosta; tylko stary był mroczny i zły czegoś, czekał tylko okazji, aby się wynętrzyć.

— Kundlu jeden! — krzyknął na Bartka. — Cóż to, w liberyi będziesz paradował na codzien? widzisz goł jucha się w korty wystroiła, i myśli, że sielny pan, jak Boga tego Kocham! fotela ci tylko potrzebali

— Jasnie Pietrze dziedzieu, kiej mi tak kazali.

— Niech mu ojciec da spokój!

— A to w spencerku chodzić nie może?.. to darł będzie takie ubranie poczciwe, co kosztuje całe dwadzieścia pięć rubli!

— Bartek, idź do Walka, niech założy cugowe do wolancika, pojedzie z panią do Witowa!

— Bój się Boga, chłopaku! roboty tyła, że nie wiadomo, co wpierw robić, ludzi nawet na lekarstwo dostać nie można, a ten jak Boga tego Kocham, parobków na spacerzy wysyłał będzie!

— Wiem dobrze, że robota jest, ale Jania musi jechać.

— Tak, muszę jechać! — odpowiedziała z przyciskiem, aby zrobić na złość staremu.

— Grafinia, zapowietrzona! — mruknął stary ze złością, i nie skończywszy obiadu, wyszedł, a Janka była w takim usposobieniu, że aby mu zrobić więcej przykrości, kazała koniom czekać przed dworem całe cztery godziny, i z pewną przyjemnością widziała, że stary kilka razy wyglądał z oficyny na podjazd, kłął głośno na marnowanie

czasu i na jaśnie państwo, a nie mogąc w końcu wytrzymać, krzyknął na biedaka:

- Czemu nie jedziesz?
- Jaśnie pani kazała czekać.
- Ażeby pioruny takie rządy, jak Boga... — przerwał i cofnął się, bo wyszła Janka i pojechali.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

(Dokończenie nastąpi).

ARMENIA I ARMĘNCZYCY.

Sprawa armeńska, stanowiąca jedną część wielkiej kwestyi wschodniej, od której rozwiązania i sposobu, w jakim ono przeprowadzom zostanie, przyszłe losy Europy zależą, już przed laty trzema dyplomacyi mocarstw nie mało zadawała kłopotu. Od lat dwóch zamieniła się w niepokojącą, od roku przeszło—w groźną. Prześladowanie Armeńczyków, krew ich dotąd przez tureckich ciemiężców bezkarnie przelewana, zaczęła tak głośno wołać o pomstę do Nieba, że głos ten usłyszały nawet rządy, nie jednego lub dwóch, ale wszystkich mocarstw. Usłyszały i poruszyły się przerażone. Czy powstały w poczuciu solidarności chrześcijańskiej, czy przez humanitaryzm cywilizacyjny, czy też z powodu, że wołanie to jest jakby głosem dzwonu, obwieszczającego konanie państwa, jeszcze przed stu laty wielkiego w trzech częściach świata, niema co badać. Wiemy tylko, że od lat dwóch szukają środków zażegnania niebezpieczeństw, jakeimi grożą światu te, hańbę cywilizacyi przynoszące, okrucieństwa. Szukają, radzą, projektują i, jak dotąd, w chwili gdy to piszemy, nie zdołaly jeszcze dojść do ułożenia planu skutecznego działania, który-by i pokoju powszechnego nie naraził, i konanie Turcyi powstrzymał, i Armeńczyków od zatracenia wybawił.

Armenia tedy i przebudzeni srogim bezprawiem jej synowie zwracają dziś powszechną uwagę. Ponieważ Armenia zaś nie jest pomiędzy nami bardzo znaną, sądzimy, iż warto, chociażby w krótkim szkicu, zachęcić niektórych czytelników do gruntowniejszego jej ze źródeł obszernych poznania.

I.

Uczeni, a zwłaszcza teologowie, już w wieku zeszłym bardzo się zajmowali tym, dziś co do liczby wielce zmniejszonym, narodem, tak bardzo psychologicznie do ludów zachodniej Europy zbliżonym. Od czasu krucyat Armeńcy nie dawali o sobie zapominać. Politycznie jednak znowu wrócili na widownię od lat siedemdziesięciu, od wojny rosyjsko-perskiej i rosyjsko-tureckiej (1827 -- 1829). Ówczesni publicyści jeszcze nie znali sprawy dość gruntownie, tak jak i całej kwestyi wschodniej; znajdujemy w nich jednak niekiedy trafne sądy o Armeńczykach i szczegóły, które rzucają światło na drogę, tak przez tę kwestyę, jak przez ów naród, od owej daty przebieżoną.

„Z wyjątkiem synów Izraela — pisze jeden z niemieckich broszurzystów w roku 1834 — żaden naród nie jest tak na kuli ziemskiej rozsypany, jak Armeńcy. Kupcy armeńscy tworzą rozległe i bogate spójnie w Bombayu, w Madras, w Kalkucie, w liczbie przeszło 20,000 dusz. Inni kupcy tejże narodowości prowadzą głównie handel zagraniczny z królestwami położenemi za Gangesem, w Birmie, Syamie, w Indo-Chinach. Kupcy najbardziej szanowani i najbogatsi w Singaporze, miście istniejącem od lat stu zaledwie, są Armeńczykami. Dla spraw handlowych zwiedzają oni ważniejsze wyspy Archipelagu wschodniego: Jawę, Sumatrę, Borneo, a nawet Kanton, jedyny port chiński, przystępny dla cudzoziemców. Armeńcy prowadzą handel z hanatami Azji Środkowej, z Bucharą, Kokanem, Chiwą. Przedsiębiorą wycieczki korzystne do Kaszmiru i innych prowincyi Rundszt Singa, władcy Lahory. Zwiedzają także Afganistan. W Dżulfie, przedmieściu Ispahanu, tak nazwanem od sławnego w starożytności miasta Armenii, i w innych miastach Persyi, spotyka się dość poważne gminy armeńskie. Przed Nadir-Szachem mieszkało tam 12,000 Armeńczyków, którzy doszli do wielkich bogactw przez handel z Indyami. Świadczy o tem wielka liczba pięknych kościołów i domów, dziś opuszczonych. Ta kolonia, niegdyś tak bogata i tak kwitnąca, w tej chwili, według świadectwa

missyjonarzy protestanckich z Bazylei, liczy załodwie 500 rodzin ubogich. Najznakomitszymi kupcami w Kairze i w Aleksandryi są Armeńczycy. Dzisiejszą głową Kościoła abissyńskiego jest Armeńczyk. Armeńczykiem także był pierwszy poseł tego państwa, wyprawiony do Portugalii. Lud armeński posiada własne instytucje religijne i handlowe w całej Syryi, w Turcyi Europejskiej, w Rossyi, w Polsce, w kilku prowincyach Austryi, we Włoszech.

Armenia ogarniała niegdyś wielki obszar kraju, rozciągający się od Wschodu ku Zachodowi, od Eufratu do części perskiej prowincyi Aderbejdżan i morza Kaspijskiego. Od południa ku północy szła ona do Mardin i Nizibis, do starożytnej Chaldei, dziś paszalicu Trebizondy, do Georgii (Gruzji) i kraju Aszuank, Albanii starożytnych a Dagestanu nowożytnych. Według geografów armeńskich, należało do niej jeszcze kilka krajów Azji zachodniej, jak Mezopotamia i Cylicya, bo od czasu do czasu Armeńczycy w wielkiej liczbie zamieszkiwali je, a nawet nimi rządili ¹⁾.

Częstem też bywało zbiorowe wychodźstwo do krajów ościennych, bądź dobrowolne, bądź przymusowe. Słynny szach Abbas I, zwany Wielkim, przeprowadził z niestychanem okrucieństwem przeszło 30.000 rodzin za rzekę Araxes i pogał w głąb Persyi. Opornych karał obcinaniem uszu lub nosów, nawet śmiercią. Czwarta część tych ludzi zginęła z głodu i nędzy, w drodze kilka tysięcy utonęło w Araxie, przy pośpiesznej a niedbale urządzonej przeprawie. Za naszych prawie czasów miała też miejsce inna wędrówka narodu, w formie dobrowolna, po wojnie rossyjsko-perskiej. Tym razem Armeńczycy opuszczali Persyę. Opisał to wychodźstwo p. Glinka w broszurze, wydanej w Moskwie 1831 ²⁾.

Wówczas przeprowadzono 20,000 rodzin armeńskich z perskiej prowincyi Aderbejdżan do świeżo zawojowanych posiadłości rossyjskich Nukeziwan i Erywan. Opisał tę emigracyę ksiądz armeński, Izaak Kalar. Pułkownik Łazarew, który nią kierował, pochodził sam z rodziny armeńskiej, bardzo przez współziomków cenionej, która pierwsza pracowała nad szerzeniem oświaty europejskiej między Armeńczykami. Radca stanu, Jan Łazarew, jego brat, Joachim, i ich spadkobiercy w roku 1816 założyli w Moskwie szkołę dla nauki języków wschodnich i fundusz na jej utrzymanie znaczny opatrzli. Armeńczycy przyznają, że tej szkole winni wiele, równie jak dwom dru-

¹⁾ Portfoglio, tom IV, p. 281.

²⁾ Portfoglio, tom IV, p. 236 v. Instrukcyje dane przez generała Paszkiewicza Erywańskiego pułkownikowi Łazarewowi d 26 lutego 1826. — Proklamacya Łazarewa.

gim ważniejszym: episkopalnemu kolegium w Kalkucie, oraz instytucji wychowawczemu w San-Lazaro w Wenecyi. Stamtąd szło duchowe przebudzenie i podniesienie ormiańskiego ludu, przygłuszonego upadającą perską lub turecką niewolą. Do 1831 roku, ze szkoły moskiewskiej, której kuratorem był najstarszy z rodu Łazarewów, Jan, a dyrektorem jego brat, Krysztof, wyszło 319 uczni. Niektórzy uzupełniali wykształcenie swe w uniwersytetach, inni wstępowali do służby wojskowej lub cywilnej, wielu następnie zdobyło, jak wiadomo, wysokie stanowiska.

Pomimo ucisku, pod jakim musieli żyć Armeńcy w Turcyi, dzięki niezmiernej zręczności, obrotności i zdolnościom finansowym, potrafili wyrobić sobie i prawie dotychczas utrzymać, jeżeli nie świetne, to bardzo potężne w tem państwie stanowisko. Urquart w swych studyach o Turcyi tak je objaśnia:

„W Turcyi do Mahometa II zarząd finansów był zupełnie od gubernatorów cywilnych niezależnym, a do Amurata III lenna wojskowe, nie należące do spahi'ów, zostawały głównie w posiadaniu sandżak-beyów, rządzących dożywotnie małemi prowincjami (liwa). Za wspomnianych dwóch sułtanów dwie gałęzie systemu finansowego zostały inaczej uorganizowane. Pierwszy wypuszczał w dzierżawę rozmaite rodzaje dochodu, drugi zaprowadził system paszów, rocznie mianowanych. Ludzie bogaci nie ubiegali się o te posady. Porta bowiem żądała od nich rękojmi, że podatki porządnie wpływać będą. Pasza więc przed installacją musiał składać kaucyę pieniężną. Ponieważ zaś zwykle nie miał ani pieniędzy, ani kredytu, musiał przystawać na warunki, jakie mu stawiali kapitaliści, gotowi za niego ręczyć. To nam odsłania tajną sprężynę, wprawiającą w ruch całą administracyę turecką. Armeńcy (Ormianie) byli i są dotąd ludem najbogatszym i najbardziej handlowym w całym państwie. Ich bogactwo dawało Porcie rękojmię, nad którą lepszych żądać nie mogła. Z drugiej strony z powodu znajomości języka tureckiego, biegłości we wszelakich obrotach handlowych, a zwłaszcza z powodu ich stanowiska *rayów*, przedstawiali się paszom jako ludzie do interesów najzdolniejsi, czynni i obrotni, jako bankierowie pewni, a przedewszystkiem jako wierzyciele ulegli. Ponieważ dochody publiczne (podatki) bardzo często pobieranemi były *in natura*, podwójna ich zdolność, jako kupców i jako bankierów zarazem, robiła ich tem użyteczniejszymi, im zaś samym pozwalała robić majątki szybko. Sułtana nie gniewa ich pieniężna pomyślność, wie bowiem, że nie trwonią swych bogactw, jak to robią paszowie w nawyknięciach szalonych, albo w buntowniczych przedsięwzięciach.

„Ponieważ potrzeba znacznych kapitałów do prowadzenia tego rodzaju interesów, liczba owych sarafów (tak się ci ormiańscy bankie-

rowie nazywają) nie przechodzi ośmdziesięciu, o ile mi wiadomo, równała-by się więc liczbie paszów gubernatorów. Odmawiając poręczenia, sarafowie mogli-by wszystkich gubernatorów z urzędu zepchnąć. naprawdę Armeńczycy to trzymają *cały kraj w arendzie*, wyzyskując go na swoją korzyść. Ostatniemi czasy władzę swoją tak podnieśli, że żaden bankier znaczniejszy nie chce zostać *sarafem* paszy, wyniesionego na urząd prawie zawsze za pośrednictwem jednego z nich, dopóki pasza nie usprawiedliwi się kwitem swego poprzedniego bankiera, który poświadczy, że wszystkie wierzyciela wymagania spełnił.

„Agent bankiera, towarzyszący paszy do jego prowincyi, jest zwykle krewnym sarafa. Wszystkie sprawy pieniężne przechodzą przez jego ręce; aźiotaż i komissowe bardzo mu wiele przynoszą. Agent ten ściągą dochody prowincyi, za których wpływ jego pryncypał zaręczył. Zarazem prowadzi handel podatkami *in natura*, które stara się otrzymywać po najniższej cenie, oraz zaliczkami na podatek. Każdy więc pasza ma przy sobie stróża Armeńczyka, czuwającego nad wszystkimi jego ruchami i rozporządzającego funduszami paszy. Ten ostatni nie może go się pozbyć, bo jego posada zależy od poręczenia sarafa. Nie może też tak łatwo mieszać się do spisku przeciw Porcie, bo główna część majątku Armeńczyka i głowa jego banku znajdują się w Stambule wraz z jego rodziną, której nie wolno mu przenieść do innej miejscowości, bo jest uważaną za zakładników.

Naturalnie, sarafowie starają się ukrywać przed paszami wielkość swych zysków i łatwo do tego dochodzą, otrzymując rozkaz poboru przed żniwami. Tak przyśpieszając wypłaty, bankier ściągą najpierw 2½ procent na miesiąc od wieśniaka za pieniądze, które mu forszusuje; następnie stara się zniżyć cenę produktu, który mu tenże wieśniak składa na pokrycie długu. W dodatku targuje się jeszcze z włościanami, by nie dopuszczano innych kupców na produkt, którego cenę sztucznie już umiał wprzód zniżyć, a którą przez brak współzawodnictwa jeszcze bardziej zniża. Za pomocą tej korporacyi bankierów, Turcyja otacza gubernatorów prowincyi tyranią finansowej niewoli. Paszowie też pochopni są i popychani do nadużyć, utrzymujących stałą nieprzyjaźń między rządzonymi a rządzącymi“¹⁾.

Ten obraz administracyi tureckiej i stosunku do niej Armeńczyków był skreślony w roku 1832. Od tej pory rzeczy się zmieniły, nie tak jednak znacznie i gruntownie, jak wmawiają Turcy. Armeńczycy wprawdzie nie mają dawnego bezpośredniego wpływu na zarząd finansów, pozostali jednak zawsze najważniejszymi bankierami i najzjadliwsiymi lichwiarzami Turcyi. Ruchomy majątek kraju głównie w ich

¹⁾ Portfoglio, tom III, p. 177.

ręku się znajduje, a z bogactw zebranych przez sarafów nic nie uronili. Stąd nienawiść zubożałych Turków przeciw nim. Wprawdzie bankierowie, klasa to bardzo nieliczna, lichwiarze są nieco liczniejsi liczebnie, jednak niewiele znaczą wobec 150,624, jak podają, czy 200,000 Armeńczyków, w samym Stambule i jego okolicach przebywających. Tłum ten składa się z zabiegłego wprawdzie, ale i pracowitego ubóstwa, z pewnym procentem ludzi średnio zamożnych. Wspomnienie jednak sarafów oddziaływa jeszcze na opinię turecką i rzuca cień drażniący na Armeńczyka. Turcy bowiem, gdy niepodrażnieni, mniej są dziś fanatycznymi wyznaniowo, niż ich przedstawiają. Nie dochodzą wprawdzie do tego stopnia tolerancyi, jakiej dowody złożył sławny w dziejach Omar w swej kapitulacyi, udzielonej Jerozolimie w roku piętnastym Hegiry 20 Ribuel-Euel, ale prześladowcze objawy rządowego wyznania i cała dawna propaganda przymusowego nawracania więcej cele polityczne, aniżeli religijne miała i ma na widoku. Lud w Stambule zachowuje się względem niej dość obojętnie, prawie sceptycznie, gdy o jego zarobkowy interes nie chodzi. Na prowincyi, zwłaszcza odległej ku Wschodowi, a gdy u Armeńczyków chociażby od źródeł Eufrata i Tygru do góry Araratu, rzeczy inaczej się przedstawiają; do Stambulu jednak, pomimo Koranu i Sułtanatu, idee XIX stulecia najrozmaitszemi prądami i drogami nie od dziś przesiąkają, osłabiając dawniejszą mahometanizmu zawziętość.

Zestawiając Armeńczyków z Żydami, publicysta z 1832 roku miał pod pewnym względem słuszną. Jest i diaspora, czyli rozproszenie ludu pomiędzy narodami, jest wielka, prawie wyjątkowa umiejętność w obracaniu pieniędzmi, jest do najwyższego stopnia posunięta sztuka wyzyskiwania gnuśności, wad, nieogłędności i marnotrawstwa narodu rządzącego, jest spoistość dość silna i solidarność narodowa, podtrzymywana przez wspólność Kościoła; ale na tem się kończy owo podobieństwo, czy owo zbliżenie. Radykalną różnicę stanowiła i coraz bardziej stanowić będzie owa łatwość przyswajania wszystkiego, cokolwiek Zachód dla cywilizacyi i humanitaryzmu zrobił. Jest to z ludów wschodnich najbardziej zachodni naród.

Od lat dwóch, a nawet trzech, nie mało pisano o projektach wskrzeszenia królestwa Armenii, które, pod protektoratem Rossyi mogłoby się uorganizować i położyć koniec upokarzającym ludzkość i oburzającym rozbojom, jakich się dopuszczały władze tureckie i ludność w podległej sułtanowi części Armenii. Prawdopodobnie londyńscy i paryscy twórcy owych projektów nie bardzo znali historię i położenie narodu armeńskiego, którego najburzliwsi nawet przedstawiciele z podobnemi zamiarami nie występowali. Armenia była uiegdyś, i to kilka razy, jednolitem królestwem, ale dziś zamieniła się w wyra-

żenie geograficzne. Pozostał tylko jednolity naród. W największej swej rozległości, którą jednak miała tylko chwilowo, jako jedno państwo i pod jednym królem, Armenia leży między $37\frac{1}{2}$ a $41\frac{3}{4}$ stopniami szerokości, a 55 i 67 stopniem długości wschodniej (licząc od południka Ferro). Największa jej długość od zachodu ku południo-wschodowi wynosi 975 — 1050 kilometrów, największa szerokość 525 kilom., ogólną powierzchnię jej obliczają na 327,900 kil.kw., rozciągającą się od morza Kaspijskiego i perskiej prowincyi Aderbejdżan na wschodzie, od rzeki Kuru, nad którą leży Tyflis, na północy, do Kurdystanu i Mezopotamii na południu. Właściwa Armenia, czyli Wielka, podzielona na 15 prowincyi, 190 powiatów, 62 okręgi, obejmowała większą wschodnią część całości aż do Eufratu, i miała 220 000 kil. kw. Na zachód jej, ku Azyi Mniejszej, leży Armenia Mniejsza, która początkowo miała tylko 25,000 kilom. kw. Arabowie, którzy kraj podbili w VII wieku po Chr., dzielili go rozmaicie. Po nich dostała się pod panowanie Turków Seldżuków, a w części Persów, w epoce krucyat została znowu w części państwem chrześcijańskim, ostatecznie jej państwowo-polityczny żywot skończył się na początku XIV wieku. Spustoszona poprzednio przez Mongołów, dostała się pod panowanie Turków Osmanów. Szczegóły obszerniejsze znaleźć można w każdej lepszej geografii historycznej.

Dziś Armenia jest podzielona między Rosyję, Persyę i Turcyę. Na mocy traktatu turkmanczajskiego, Rossya w roku 1828 otrzymała część północno-wschodnią od Persyi do rzeki Araxes, w 1829 zajęła paszalik Achalcychu, Turcyi zabrany. W 1878 również na Turcyi zyskała jeszcze Ardahan, Kars i Batum. Z wyżej wskazanego ogólnego obszaru najmniejszą część, mniej więcej szóstą, na południo-wschodzie, posiada Persya; największa, zachodnia, przeszło $\frac{3}{6}$ wynosząca, należy do Turcyi, resztę posiada Rossya. Dziś zajmuje nas głównie ta ostatnia turecka część Armenii, ale z powodu jedności, naród armeński łączącej, niepodobna unikać ogólniejszych poglądów.

II.

Jaka jest liczba Armeńczyków po świecie rozrzuconych, różni różnie podają. Jedni, może przez patryotyzm, utrzymują, że jest ich 4 do 6 milionów, inni zgadzają się na dwa miliony ledwo, wielu jednak twierdzi, że może ich być $2\frac{1}{2}$ do 3 milionów. Rachunek ścisły jest tu bardzo trudny. Armeńczycy głównie zamieszkują w Turcyi, gdzie sta-

tystyka jest w pogardzie. Biskupi ormiańscy mogą wiedzieć ściśle cyfrę swych owieczek, ale też dla wielu słusznych powodów ściśle rządowi nie podają. Po-za Turcyą w Europie ArmenŹczyków, czyli Ormian, najliczniejsze skupienia spotykamy w Rossyi ¹⁾, w Rumunii i w Galicyi. W innych krajach, gdzie się rozsiedli, nie zaznaczają w opisach odrębności pochodzenia i wyznania, wogole zdaje się, że gminy ormiańskie są tam niewielkie. Ormianie unicy nie należą też do wielkiej jedności staro ormiańskiego kościoła, którego głowa, *Katolikos*, rezyduje w Eczmiadynie, koło Erywanu, w Armenii rossyjskiej.

Kronikarze armenŹscy w następnej formie opowiadają, że ich kraj był pierwszym, który uwierzył w Chrystusa i jego naukę przyjął. „Król Akbar od posłów swych, których wyprawił do Marina, trybuna nurskiego, dowiedział się o cudach, jakie Chrystus czynił, i które oni własnymi oczyma oglądali. Zrobiło to na nim takie wrażenie, że nie wahał się nazwać Chrystusa Synem Boga żywego. Wyprawił też listy z oświadczeniem czci i prośbą, by go z niewyleczonej choroby uwolnił. Ofiarował mu nawet gościnę u siebie, mając szczerą wolę zasłonić go przed prześladowaniem Żydów. Zbawiciel uprzejmie przyjął poselstwo, pochwalił wiarę jego listem, przez świętego Tomasza napisanym, a wizerunek swej twarzy na płótnie odcisnięty posłał mu w upominku. Odtąd Abgar o niczem nie marzył, jeno o Chrystusie, a ten gorący zapal ogarnął umysł i serce jego do tego stopnia, iż gdy się dowiedział o jego sromotnej śmierci, kilkakrotnie zrywał się do wydania wojny Żydom, do pomszczenia tej krzywdy piekielnej, zbierał mordercze materiały. Ale Rzymianie hamowali go zawsze w tym szlachetnym zapale. Serce jego, zasepione zawodem doznany, rozweseliło się na widok świętego Tadeusza, jednego z uczniów Chrystusa, przed którym zwierzył się ze swego uczucia ku Zbawicielowi świata, i z rąk tego pierwszego Apostoła Armenii on też, pierwszy z panujących królów ziemskich, chrzest otrzymał. W jego ślady wstąpili dworzanie i całe miasto stołeczne, a świątynie fałszywych bogów zamknięte zostały. Za jego przykładem szerzyła się po kraju zbawienna nauka, która jedyną jest podstawą prawdziwej mądrości i swobodnego bytu ludów chrześcijańskich. Wkrótce potem zabrała go śmierć, przerywając pasmo świętych czynów, któremi przez lat 38 swego panowania jaśniał. Żona jego, Helena, udała się do Jerozolimy, gdzie zakupiwszy znaczne zapasy

¹⁾ Według ostatniego urzędowego spisu ludności, armenŹska tak się dzieli w trzech guberniach zakaukaskich: w gub. ArmenŹskiej 375.000 głów, w Elizawetpolskiej 258,324, w Tylliskiej 211,783. Oprócz tego jeszcze około 100,000 na Kaukazie i ku północy (Sazonow).

Tamże o monopolizowaniu handlowych interesów i obrotu pieniężnego.

zboża, była w czasie głodu matką-karmicielką ludu i życie doczesne we wzorowej bogobojności skończyła ¹⁾).

Podobnych charakterystycznych legend w kronikarzach armeńskich spotykamy bardzo wiele. Historycznie prawdziwszem zdaje się wprowadzenie do Armenii chrześcijaństwa na początku czwartego wieku po Chrystusie, apostołował zaś je wówczas święty Grzegorz Oświeciciel, którego żywot i ocalenie, gdy jeszcze był dziecięciem, kronikarze otaczają także cudów pełnemi legendami. Chrześcijaństwo mogło zresztą i wcześniej do Armenii przenikać i zyskiwać wyznawców. Pisarze armeńscy z VII wieku twierdzą, że męczenników za wiarę Armenia liczy wielu, że za Hadryana na górze Ararat ukrzyżowano 10,000 żołnierzy, że za Dyoklecjana w Mniejszej Armenii wymordowano 1159 wyznawców i t. d. Nietylko jednak ich obliczenia i podania nie są dość sprawdzone, ale wskazują, że upaństwowienie rzeczywiste chrześcijaństwa mogło się stać dopiero około 300 roku, za króla Tertada, z rodu Arzacydów, wychowanego w Rzymie. Król ten, poparty przez Rzymian za Dyoklecjana, wypędził Persów i królestwo przodków odzyskał. Zrazu był on sceptykiem, który nietyko sztydził z pogan, ale i chrześcian prześladował. Dopiero nawiedzony chorobą, z której go święty Grzegorz modlitwą uzdrowił, nawraca się i pokutę czyni. Podanie to bardzo zajmująco musi być opowiedziane w martyrologium ormiańskim, gdy król znosił kamienie pod budowę kościoła ś. Rypsymy męczenniczki i jej trzydziestu towarzyszek, które sam skazał był na męczeństwo za to, że Rypsima żoną jego być nie chciała. Kronikarze obszernie podają też pielgrzymkę tego króla do Rzymu w wielkiem otoczeniu swych książy i magnatów, z świętym Grzegorzem, z jego synem Arystarchem, biskupem alpiańskim, i czterema archiprezbyterami, do cesarza Konstantyna, który go następnie koronował własną koroną, i przymierze z nim zawarł. Konstantyn uprosił też u niego pomoc dla utworzenia przy swej osobie straży przybocznej z 300 wybranych rycerzy armeńskich (armenk). Nosili oni znamię krzyża na zbrojach i zwali się *milites chucenses* (krzyżacy). Sylwester zaś, papież, mianował świętego Grzegorza patryarchą Armenii, nadając mu władzę wyświęcenia patryarchów Gruzji, koronowania króów Albanii (kaukaskiej), by bez jego wiedzy patryarchowie Aleksandryi, Antyochii i Jerozolimy nikogo na patryarchę nie wyświęcali. Do niego też należało wyświęcanie biskupów dla Ormian, poświęcenie rozproszonych. Są to szczegóły prawdopodobnie bardzo późno, po

¹⁾ Moses Choronensis VII, Barącz *Krys dziejów ormiańskich*, por. nap. ks. Sadok, Barącz, p. 14, wyd. w Tarnopolu, 1869.

wielu latach i z celem spisane, czy dopisywane. Zdaje się jednak prawdziwym, że syn świętego Grzegorza brał udział w soborze nicejskim (r. 325). Jaki jednak był ten udział, niepodobna wiedzieć. To tylko rozstrzygnąć-by mogli bardzo uczeni w historii Kościoła teologowie.

Zdaje się bowiem, że Kościół armeński w nader ważnych punktach nie przyjął nicejskiego wyznania wiary. Wyznawcy jego są monofizytami. Oto wyliczenie błędów, jakie znaleźli Teatyni, przysłani z Rzymu do Lwowa w XVII wieku dla zbadania tej sprawy, przed nią biskupa Torosiewicza. Otóż Ormianie niezjednoczeni twierdzili: 1) Ze w Chrystusie Panu jest jedna natura i dlatego przy Mszy świętej nie dolewali wody do wina; ale czy boską tylko naturę miał Pan Jezus, czy ludzką, tego nie umieli objaśnić. 2) Wierzyli z inkoruptylistami, że ciało Chrystusa Pana przed zmartwychwstaniem nie podlegało zepsuciu, a nawet nie przyswajało sobie pokarmu w ten sposób, jak ciało ludzkie. 3) Odrzucali pochodzenie Ducha Świętego od Syna. 4) Nie wierzyli w istnienie sądu szczegółowego i w czyściec. 5) Twierdzili, że dusze zmarłych ludzi, chociażby świętych, przebywają w powietrzu aż do powszechnego zmartwychwstania ciał. 6) Odrzucali prymat Kościoła rzymskiego, a zagłową apostołów uznawali świętego Jakóba starszego. 7) Uczyli, że Chrystus Pan po swej śmierci zniósł piekło, i wszystkich potępionych wyswobodził. 8) Nie przyjmowali nauki Kościoła o odpustach. 9) Odrzucali i wyklinali sobór chalcedoński z roku 451 i jego promotorów, szczególnie świętego Leona Wielkiego, papieża, z powodu, że na tym soborze potępiono monofizytów. 10) Odrzucali spowiedź sekretną, i dawali rozgrzeszenie bez żadnej spowiedzi. 11) Wykreślili z liczby sakramentów Ostatnie olejem świętym namaszczenie, natomiast namaszczaoli olejem świętym pokutników i udzielali namaszczenia ciałom duchownych po śmierci. 12) Uważali za nieważne zawieranie małżeństwa po raz trzeci; bezwarunkowo wzbranioli braci rodzone siostry za żony, i nie mieli jasnego pojęcia o przeszkodach, z pokrewieństwa lub powinowactwa wypływających. 13) Niektórzy z nich sądzili, że dość jest być chrześcianinem, ażeby być zbawionym. 14) Niewiastom udzielali mniejszych święceń, a nawet większych, aż do dyakonatu, a pojęcia ich o sakramencie kapłaństwa były bardzo pomieszane. 15) Używanie innego rytuału, trzymanie się poprawionego kalendarza, przyjmowanie Komunii pod jedną postacią, używanie ryb i wina w czasie postu, i wiele innych rzeczy uważali za kacerstwo. Oprócz błędów, holdowali różnym przesądom, np. nie czcili obrazów świętych rzeźbionych, tylko malowane; wierzyli w podanie o ogniu na grobie Chrystusa Pana, w Jerozolimie się okazującym, i temu ogniewi cześć oddawali; nosili przy sobie rodzaj talizmanów, jak np. różne modlitwy na wązkich paskach, na których niekiedy bywały pewne znaki

kabalistyczne, które zwano *hamail*, i wogóle byli bardzo zabobonni. Składali nawet w kościele ofiary ze zwierząt, zwane *mudag*, jak to miało miejsce w Kamieńcu w roku 1660, z powodu przybycia Wartada (uczonego mistrza) Jana Muratowicza. Mszę świętą w jednym kościele tylko raz jeden na dzień można by'o odprawiać, i to zawsze śpiewaną; w posty zaś i przez cały post 40 dniowy celebrowali tylko w soboty i w niedziele ¹⁾.

Powyższe szczegóły mogą służyć za wskazówkę, jaką formę Kościoła chrześcijański u Armeńczyków przyjął. Rozszerzać się nad tą teologiczną stroną ich historii nie możemy. Zaznaczymy tylko, że w XVII wieku nastąpił w nim rozdział: część Armeńczyków, głównie polskich, przeszła na stronę Rzymu i władzę papieską uznała, zachowując odrębność tylko w pewnych formach i szczegółach rytualistycznych. Armeńczycy zjawiają się na Czerwonej Rusi (Lwów) w XIII wieku. Podania twierdzą, że książe Daniel halicki, zakładając to miasto, pierwszy ich przyjął. Istnieje dokument, świadczący, że się już osiedlili w XI wieku, ale dokument ten za podrobiony uważają. W każdym razie, Kazimierz Wielki już ich zastał we Lwowie, i to w liczbie znacznej, kiedy dekretem z 1367 roku naznacza w tem mieście rezydencję ich biskupowi, Grzegorzowi, zapewnia im wolność wyznawania swej wiary i rządzenia się swemi prawami, co im już w roku 1356, nadając miastu prawo magdeburskie, zapewniono. Po upadku niepodległości królestwa armeńskiego w 1375 roku, napływ Ormian do Polski wzrósł znacznie. Przybywali dwoma, jak się zdaje, szlakami: jedni z Krymu szli do Kamieńca, drudzy z Maltan-Bukowiny do Lwowa. Stamtąd rozchodziły się ich kolonie do innych miast królewskich, jak szlacheckich. Jeszcze nawet w XVIII wieku napływ Ormian był znaczny. Ks. Barącz i Pawiński wyliczają miasta, w których się znajdowały ormiańskie gminy. W XVI wieku emigracja ta musiała być bardzo znaczna, kiedy po ogłoszeniu w 1555 roku nadania przez Jana Zamoyskiego Ormianom gruntów, swobód i praw w mieście Zamościu, zaczęli do tego miasta napływać Ormianie z Kafy, z Persyi, Cezarei, Kappadocyi, Erywanu, Karmadynu, z całej Większej i Mniejszej Armenii, pisze ksiądz Barącz. W Warszawie już w 1670 roku mieli Ormianie swego kapelana, ks. Zachnowicza. W 1689 kapelanem był ks. Józef Mysyrowicz, i odprawiał nabożeństwo ormiańskie w kościele oo. Augustyanów. W dniu 14 lipca 1731 roku odbyło się przeprowadzenie bractwa świętego Grzegorza patryarchy z kolegiaty do kościoła oo. Bernardynów. Bito z armat i wszystkie zakony asystowały temu

¹⁾ Ks. Gromnicki *Ormianie w Polsce*, p. 18; Pawiński w *Źródłach* i t. d.

ohrzędowi. Odtąd księża lwowscy, przy nuncyaturze zostający, odprawiali nabożeństwo dla Ormian w kościele oo. Bernardynów. Lecz w 1790 roku już ledwo pięciu gospodarzy ormiańskich było w Warszawie; odszczególniali się tu Zyszkiewicz Grzegorz i Minasowież ¹⁾).

W XVII wieku położenie Ormian w Polsce bardzo się zmieniło wskutek unii ich Kościoła z katolickim. Już Zygmunt III bardzo się o to starał. Są też dowody, że przed tem wielu Ormian wprost przeszło na katolicyzm. Zawsze jednak trwał odrębny Kościół ormiański, utrzymujący stosunki z głową swą, Katolikosem eczmiadzyńskim. Dokumenta miejscowe lwowskie i inne z końca XVI wieku podają rozmaite wzmianki o zabiegach w kierunku unii. Na dobre jednak rzecz się rozwinęła po śmierci biskupa or., Mistroba, aż około roku 1626. W tym roku w dniu 2 maja przybył do Lwowa patriarcha eczmiadzyński. Melchizedek, już połączony z Kościołem rzymskim, a zmuszony do opuszczenia swej stolicy dla braku pieniędzy, jakich od niego szach perski za zatwierdzenie żądał. Ten Melchizedek w podstępny sposób wyświęcił na biskupa młodego zakonnika, Torosiewicza, pomimo protestacyi gminy. Rozpoczęła się sprawa długa i kłótnia gorsząca, której szczegóły można znaleźć u historyków przez nas cytowanych, jak u Pawińskiego, Gromnickiego i in., a która rozbijała się o Eczmiadzyn, Lwów i Rzym. Torosiewicz miał wielu nieprzyjaciół i oskarżycieli, prześladowany zaś przez nich, w 1630 roku podpisał jako biskup deklaracyę, że się dobrowolnie wraz ze swymi wiernymi przyłącza do Kościoła katolickiego i poddaje władzy papieża. Deklaracya ta jednak rzeczy nie załatwiła. Proces, prowadzony dalej z wielką zawziętością, opierał się o władzę królewską Władysława IV, Jana Kazimierza, Michała Korybuta, Jana Sobieskiego i ledwo 1776 roku ukończony został ogólnem przyjęciem unii przez Ormian polskich, pomimo zabiegów eczmiadzyńskich i uporu dyzunitów. Od tej pory Ormianie polscy, których liczba zresztą bardzo się zmniejszyła, stracili charakter odrębnej narodowości, zachowując tylko odrębność wyznaniową, której głównym przedstawicielem jest arcybiskup ormiański lwowski z swą kapitułą, konsystorzem i klerem.

Nie odrazu jednak i nieprędko nastąpiło to zespolenie się z narodem. Ormianie dość długo i po unii zachowywali swą odrębność narodową i społeczną, dbając przedewszystkiem o korzyści materialne.

¹⁾ Barącz „Rys dziejów.“ Można dodać jeszcze wiadomość o Młodzianowskich i Paschulisach, którzy posiadali pod Warszawą w Lipkowie fabrykę pasów i tkanin jedwabnych, bardzo znana.

Skarżą się na to ich zachowanie pisarze z XVII wieku, że wszelkie środki zarobku uważali za godziwe. Nietylko handlem Ormianie zajmowali się, ale i lichwą, dzierżawili przytem majątki ziemskie, nieraz całe klucze i starostwa, oraz cła rządowe, na czem wielkie robili majątki. Już Zimorowicz, Kochowski, Petrycy występowali przeciw nim. Ten ostatni pisał: „Ormiany przyjęto jako łazęgów i przekupniów drobnych, a teraz wypychają z miast nacyę polską. A trzeba się tego obawiać, aby za takimi małemi korony początkami, złęgo wielkiego Polsce nie uczynili, bo ci nie chcą przywykać obyczajom naszym, sami się między sobą żenią, swoją rzeczpospolitą pocichu mają, do wielkich panów pocichu w łaski się wkradają, polaki urodzone, gdzie mogą, niszczą.“ Kochowski w Klimakterach zarzuca im, że rozpajając lud, dawali powód do zbytków w zepsuciu. Ulryk Werdum w opisie podróży po Polsce w XVII wieku tak się o Ormianach wyraża: „Trzymają się zdała od Polski i innych narodów, oraz religii, prawie zupełnie na podobieństwo Żydów, są jednak tak pyszni i dumni, jak tamci są nędzni i służalcy. Po ich krewkiej i dumnej twarzy z wypukłemi bezczelnemi oczyma można ich od wszystkich innych ludzi łatwo odróżnić, jak Żydów po ich głupowatej bladawej twarzy. Nie łatwo się kojarzą małżeństwem z obcymi, nie pochodzącymi z ich narodowości, a są zarazem największymi, najprzebieglejszymi kupcami, jakich znaleźć można“¹⁾.

W temże stuleciu, co unia Torosiewicza, nastąpiła unia włoskich Ormian z katolicyzmem, nad którą Bessarion pracował. We Włoszech, zwłaszcza w miastach handlowych i portowych, jak Wenecya, Liworno, istniały już w XIV wieku gminy armeńskie. Szczególniej Wenecya oddała wielkie przysługi ogólnej sprawie armeńskiej przez kollegium Mechitarystów. Zakon ten, utworzony przez Mechitara (ur. w Sebasta w Mniejszej Armenii), przeniesiony do Wenecyi, dziś jeszcze znajduje się (od 1717) na wysepce San Lazaro. Chociaż dawna jego działalność zmniejszyła się znacznie, posiada drukarnię dość zajętą rozpowszechnianiem dzieł armeńskich, lub Armenii dotyczących. Armeńczycy, czy to z politycznego wyrachowania, czy z instynktu, nie pozwalali, by o nich zapomniano w Europie, oraz, by w swem rozproszeniu jedna cząstka rozproszonych nie zapomniała o innych, lub była przez nie zapomniana. Rozbici i uciemżeni we własnym kraju, za tarczę jedności i życia narodowego uznali bardzo wczesnie Kościół i język, oraz konieczną stąd potrzebę pokarmu duchowego i kształcenia się. Gdziekolwiek więc

¹⁾ Ks. Gromnicki. p. 110.

posiadali liczniejsze a swobodne kolonie, wszędzie zakładali własne drukarnie, albo starali się przynajmniej o drukowanie dzieł armeńskich, bądź oryginalnych, bądź tłómaczonych, a naukowe przedmioty traktujących. W XVIII wieku widzą oni wskrzeszenie swej literatury i ducha, który od pięciu wieków zasypiał, coraz bardziej przygniatany w kraju. Rozbudzenie to przyszło im z Europy, głównie za sprawą Mechitarystów i Mechitara. Tam na Lido Arakel drukował gramatykę ormiańską, tłómaczenie hymnów kościelnych, matematykę początkową, traktat o retoryce i mnóstwo teologicznych rozpraw. W końcu XVIII wieku biskup Akuzkiwer, *generalis* zakonu Mechitarystów, drukował geografję powszechną, kurs retoryki, żywot Mechitara; Izaak z Atepu — traktat o geometryi praktycznej i teoretycznej. Ojcowie Mechitaryści pokazywali mi długi spis dzieł ormiańskich, wydrukowanych w ich klasztorze czy kollegium do r. 1880. Z tej małej wysepki na lagunie i ze szkoły języków wschodnich w Moskwie, na którą Łazarewowie dali 900,000 rubli, szło światło za Ararat, nad Bosfor do Azji Mniejszej i Syryi. Pierwsza zresztą drukarnia armeńska założoną była w Wenecyi w r. 1565.

Pomiędzy Armeńczykami w ich kraju i Turcyi unia z katolicyzmem dopiero w XIX w. zaczęła zyskiwać prozelitów. Kościół jednak ormiański znaczenia politycznego nabral po wzięciu Konstantynopola przez Turków. Wówczas Mohamed II wszystkich wyznawców wschodniego kościoła, jako „Rum miletti“ (naród rzymski), oddał pod zarząd nie tylko kościelny, ale i administracyjny świecki, patriarsze Genadyuszowi, z Armeńczyków zaś, jako z *Armenii Miletti*, utworzył osobną spójnię pod zarządem patriarchy stambulskiego, którego władzy nadał bardzo szerokie attribucye. W ostatnich czasach, z powodu skarg na nadużycia władzy, chcąc przytem ukrócić wpływ eczmiadzyńskiego Katolikosza, rezydującego w Rossyi, Porta dodała patriarsze radę narodową, złożoną z 12 członków świeckich, wybranych z pomiędzy przedniejszych przedstawicieli narodu. Rada wkrótce wzięła przewagę w najważniejszych niekościelnych sprawach.

Znalazła się też w Turcyi nieliczna garstka Armeńczyków unitów, którym za protekcyą Francyi w r. 1835 Porta nadała tytuł *Katoluk Miletti* (katolickiego narodu), zezwalając na odrębną organizacyę. Głowa tego kościoła otrzymała tytuł prymasa z pozwoleniem znoszenia się z Papieżem. Ten armeński Kościół unicki, po przyjęciu wskazanych wyżej zasadniczych ustępstw, zachował liturgię w języku ormiańskim, kalendarz juliański i swoich starych świętych. Gdy prymasem został ksiądz Hassun, nastąpiło jeszcze ściślejsze zbliżenie, chociaż Mechitaryści byli przeciwni temu. Po konsylium watykańskim, na którym Hassun bardzo gorąco bronił dogmatu nieomysłności Papieża, zaszła

poniędzy unitami scyssya: Starounici, przeciwni nowemu dogmatowi, wybrali na patriarchę Kupeliana, którego Porta w dniu 2 lipca r. 1872 zatwierdziła, oddając mu majątki kościelne, a Hassunowi nakazując opuszczenie kraju. Scyssya jednak usuniętą została w r. 1879, uległością Kupeliana i jego stambulskiej gminy oraz 16 biskupów prowincjonalnych z 13000 wiernych. Porta na nowo uznała jako patriarchę ks. Hassuna, który w 1881 został kardynałem. Liczbę Armeńczyków unitów w Turcyi rozmaicie podają, na 30 do 40 tysięcy rodzin, zdaje się jednak wzrastać.

By lepiej zrozumieć ten naród, tak drobny liczbą, a tak silny duchem, wytrwałością i zdolnością, że w wielu razach zdołał swych ciemiężców, posługując się ich gnuśnością, nieudolnością i wadami, robić zależnymi od siebie, który dziś stał się groźnem dla pokoju całej Euro-py niebezpieczeństwem, należy zajrzeć w jego historię. Ale najprzód należy się odrobina geografii.

III.

Armenia to kraj i wysoko położony i bardzo górzysty. Niektóre płaskowzgórza wznoszą się na 2200 metrów nad poziom morza. Mają one doskonałe pastwiska, ale drzew w nich brak, a ku zachodowi i południowi tarasami zniżając się zstępują. Na tych tarasach, ale jeszcze bardzo wysoko, spotykamy wielkie jeziora, jak Gezan na 1900, jak Van na 1480 metrów nad poziomem morza. Nie brak też szczytów wiecznym śniegiem pokrytych, jak najslawniejszy z nich Ararat, wznoszący się na 5171, lub mały Ararat, liczący 3970 metrów, zatem równający się prawie najwyższej w Europie górze, Montblanc. Pomędzy temi płaskowzgórzami, przełęczami i wierzchami znajdują się też rozległe niziny, jak Mughan, nie uprawna prawie, pomędzy rzekami Kurą i Araxem, sięgająca do Kaspjskiego morza i gór Kaukazu. Rzek głównych wyliczają cztery. Od północy wypływa z Moskijskich gór Kura, nad którą Tyflis leży, odznaczająca się wartkim i rwącym prądem. Ku wschodowi biegnie Araxes, niegdyś granica od Persyi. Eufrat ma swe źródło w dzisiejszym Sandzaku Bajazid, a Tygrys w Sandzaku Diarbekr; dość blisko źródeł już się stają poważnemi i nielatwemi do przebycia rzekami.

Klimat, jakkolwiek zdrowy, jest wogóle ostry, górski. Pomimo południowego geograficznie położenia, na wielu płaskowzgórzach śnieg

leży po sześć miesięcy, niektóre rzeki całkiem zamarzają, nieraz cały prawie kraj bywa zasypany śniegiem na metr i więcej wysokości. W wyższej Armenii śnieg pada często do siedmiu miesięcy, od października do maja. Koło Erywanu śnieg pada tylko pięć miesięcy, ale mróz dochodzi niekiedy do 25 C. Łagodniejszym klimatem cieszy się Armenia zachodnia i południowa z dolinami Kurdystanu i w okolicy Diarbektu, oraz wielka nizina, dotykająca do morza Kaspijskiego. Linia śniegowa jednak, poczynająca się na Kaukazie od 3100, w Armenii dosięga 4101 metrów. Dla tego tylko na Araracie i górze Avagalu, czy Alages, wysokiej na 4040 m., spotykamy wieczne śniegi. W cieplejszych okolicach wiosna zaczyna się w marcu, wogóle jednak dopiero w kwietniu drzewa puszczają pąki, a w końcu kwietnia siew się zaczyna. W maju okwitają drzewa a pasterze stada wyprowadzają w góry, gdzie je trzymają cztery miesiące. Ale w Erzerumie, który leży bardzo wysoko, nieraz i w czerwcu zimno takie daje się we znaki, że w nocy woda zamarza, kiedy w innych stronach tego paszaliu już dojrzewają wiśnie, a zboże jest do zżęcia gotowe. Kto zna lepiej nasze Tatry lub szwajcarskie Alpy, tego podobne przeskoki temperatury nie dziwią.

Naród armeński odpowiada charakterem tej górskiej naturze swego kraju, tak pod względem wad, jak przymiotów. Należy on do szczepu, który dawniej kaukaskim, dziś aryjskim lub indo-europejskim nazywają. Pomimo koniecznych przez tyle wieków przymieszek i krzyżowań, odmienny on od plemion, jak Kurdowie lub Lazowie, którzy może przed nim zajmowali te góry. Z legendowej historyi Armeńczyków nic dotąd nie dało się istotnego wyprowadzić. Jest ona zlepkiem legend hebrajskich, a może raczej babilońskich, i baśni greckich. Z czasem może cegiełkowe archiwa Niniwy lub Babilonu powiedzą nam więcej prawdy, a i teraz tyle już z nich zyskano, iż rzeczywistsza historyczna wzmianka o ludzie czy państwie armeńskim pozwala jego istnienie na rok 800 czy 900 przed Chrystusem naznaczyć. Dla oryginalności jednak i charakterystyki pozwolimy sobie przytoczyć tutaj z ks. Baręcza wiadomość o początku państwa armeńskiego, wedł. kroniki Mojżesza Choreniaty (*Historiae Armenicae libri tres, Londini*).

„Nadobny Haig, syn Togormy, wzrostu olbrzymiego, pracował kedyś na czele oddziału wielkoludów, przy stawianiu wieży Babel, owego pomnika kolosalnego, którym duma wygórowana aż do samego szczytu niebios wznieść postanowiła. Ale burza, z dopustu bożego, wstrząsała całym budynkiem i rozwiąła wątłą pracę ludzi zarozumiałych. Wkrótce potem Nimrod, czyli Belus, zamierzył panować nad całym plemieniem Wielkoludów, któremu jednak sprzeciwił się Haig bystrooki, a ceniąc nadewszystko niepodległość, z synem swoim Armewagiem, spółdzonym w Babilonie, w orszaku córek swoich, wnuków, sług

i obcych przywiązanych do jego osoby, zwrócił się ku dolinom Araratu, gdzie założył miasto Haigaszen i zrobił się panem udziałnym obszaru, Harg przez siebie zwanego. Nie podobała się Belusowi szlachetna samodzielność nowego naczelnika. W dzikiej swej zapalczowości postanowił go upokorzyć i wydał mu bitwę w pobliżu jeziora Wan. Starły się wojska, jak dwa morza rozłukane, wszystko z szumem i łoskotem w przepaść pograżając. Strona atoli sprawiedliwa wyszła z tryumfem. Belus, król Assyrii, poległ z ręki dzielnego Haiga, a cała osada pozostała w posiadaniu kraju, w którym pierwszego najezdnika i ciemiężcę tak szczęśliwie pokonano, roku 2107 przed Chrystusem.

„Po tem zwycięstwie zajął się waleczny Haig wewnętrznym urządzeniem kraju, a przeżywszy jeszcze lat niemało, umarł, przekazując dziedzictwo Hajastanu synowi swemu, Armenagowi, który, odstąpiwszy Harg braciom swoim, przeniósł się do bardzo przyjemnej doliny, którą wysokie góry otaczały a liczne strumyki, w rozmaitych kierunkach przeryniając i skrapiając, odwilżały. Tu założył swą siedzibę, którą Aragadodanem nazwał. Po kilku latach od założenia nowej osady, przeniósł się do wieczności, zostawiwszy syna Armaiza, który na brzegach Araxu, na małej wyżynie, wybudował miasto Armawir około r. 1980 przed Chrystusem. Starożytni pisarze chlubnie wspominają o czynach jego waleczności. Panował lat czterdzieści i zostawił syna Amarego, który, zamieszkawszy w Armawirze, rozprzestrzenił posiadłości dobudowaniem domów na górze, na której niegdyś spoczęła arka Noego, miasto przezwiał Mazizem, wskutek czego cała okolica nazwę Mazizodenu przybrała...”

Pomiędzy szereg królów, nawet Zyzaga, który otrzymał kraj, „ciągnący się od brzegów jeziora aż do doliny, którą przerynia Araxes bystry,“ a przejdźmy do bohatersko-romantycznej epepei, w której wstępują Medowie i następnie Ninus i Semiramis kochliwa.

„Osada Haiganów, mówi tedy kronikarz, była ponętną łakocią dla złych sąsiadów, którzy zawistnem okiem spoglądali na wzrost i obfitość tego kraju klasycznego. Wiedział o tem Aram pracowity (król Hajastanu), a kochając ojczyznę, wolał raczej umrzeć, niżeli spoglądać na uciemiężenie braci, przez chciwych a niegodziwych łupieżców dokonywane. Przeto około roku 1827 przed Chrystusem, zebrał 50,000 wojska i uderzył na Madesa dumnego, wodza Medów, który przez dwa lata ciemiężył niektóre osady Haiganów. Pobił i rozproszył jego zastępy, a samego Madesa ująwszy, zaprowadził do Armawiru, gdzie go do muru wieży wysokiej przybić kazał, aby każdy widział, jak sprośny despota został ukarany. Dowiedziawszy się o tem, Ninus, król Niniwy, postanowił wytepić cały ród Haiga. A ponieważż tego wstępnym bojem

dokonać nie mógł, przeto zostawił Arama w posiadaniu tej ziemi, byle tylko tytułu drugorzędnego króla używał. Jeszcze wypadało upokorzyć Assyryjczyków, naturalnych wrogów Hajastanu, którzy w liczbie 45000, pod zwierzchnictwem Barsama Olbrzyma, bitwę wydać zamierzali. Waleczny Aram rozgromił to wojsko i znaczną część ziemi zajął. Potem zdobył jeszcze Kappadocyę, gdzie namiestnik jego miasto założył, które później Cezareą przezwano. W ziemiach zabranych nadał swoje prawa i język zaprowadził ojczysty, a narody, przerażone hohaterskimi czynami Arama, księstwo jego Armenią przezwały..“

Tutaj ks. Barącz w odsyłaczu robi uwagę, że Herodot twierdzi (VII. 73), iż Ormianie byli potomkami Frygów, Strabo zaś, że pochodzą od Arabów i Syryjczyków. To zdanie zbija Schroder. Dionisius utrzymuje, że pochodzą od Sema, Nierves, że od Tofela. Inni, polegając na Wulgacie (Genesis), dowodzą, że Armenia istniała przed potopem świata. Ale w orygrafie hebrajskim niema wyrazu Armeniae, tylko „Alharei Ararat“ (super Montem Ararat), więc z tego ks. Barącz wyprowadza wniosek, że wśród tego chaosu jeszcze Mojżesz Choreński najpewniejszy. Ten zaś tak dalej historię Armenii opowiada.

„Panował Aram lat 58 i zostawił syna Areusza, którego piękność stała się zgubą Armenii, gdyż, lubo Ninus przyjaźne dlań zachował względy, jednak Assyryjczycy nie zrzekli się swych zachcianek, a zdobywca Semiramis wkrótce wystąpiła z prawami swemi do tej ziemi. Słyszając bowiem o nadobnej postaci Areusza, rozpałała się żądzą posiadania jego osoby. Śmierć, czyli ucieczka Ninusa na wyspę Kretę, podała jej do tego sposobność, iż wyprawivszy posłów z upominkami do Areusza, błagała go, by przyszedł do Niniwy, wziął ją za żonę i panował nad krajami, dotąd przez Ninusa rządzonemi, lub też by tylko odwzajemnił jej głęboką miłość, a potem spokojnie wrócił do swego państwa, bogatemi obsypany darami. Ale Areusz słyszeć nawet o tem nie chciał, czem poruszona Semiramis, zrywa układy i na czele licznych zastępów w przyspieszonym pochodzie staje w kraju księcia. Nie było jej zamiarem pozbawiać go życia, lub uporeczywą prowadzić wojnę; chciała go tylko poskromić i siłą zmusić do wzajemności, gdyż namiętność jej była tak wyuzdana, iż słyszając mówiących o nim, w taki szal wpadała, jak gdyby go żywego widziała przed sobą. Przeto, ustawivszy swe wojska w szyku bojowym, zaleca dowódcom użyć wszelkich sposobów, by księżę przy życiu zachowany został. Stało się jednak inaczej: Ormianie przegrali bitwę, a księżę poległ z ręki jednego z synów Semiramidy, do której pałacu wniesiono martwe jego ciało. Stroskana zaklinała Boga i czarów użyła, by życie w nim obudzić. Ale bogowie i czary na nic się nie przydały; nadpsute ciało księcia w głębokim dole ukryć kazała, a widząc, że Ormianie do nowej walki się gotują, przebrała je-

dnego z ulubieńców swoich w suknie księcia i następnie do ludu przemówiła: Bogowie zgoili rany Areusza, on zmartwychwstał i uwieńczone zostały moje pragnienia, a gdy oni się okazali łaskawymi, przeto zasługują na cześć najwyższą. — Wydała więc rozkaz, by wznieść nowy posąg i palić mnogie ofiary, w celu wzbudzenia wiary w zmartwychwstanie Areusza, a tak przez szerzenie tej wieści udało się jej usмирzyć dalszą wojnę. Zwycięstwo Semiramidy ustaliło panowanie assyryjskie w Armenii. Królowa usadowiła się w tym kraju, miasto Semiragrad założyła, a Garlosa, syna Areusza, Areadem przezwała i dozwoliła mu panować pod swoim zwierzchnictwem. Namówiwszy go zaś do wojny przeciw swemu synowi, Niniaszowi, razem z nim zginęła około 1723 r. przed Chrystusem ...“

Cytata powyższa zasługiwała na pomieszczenie, nie jako historyczny dokument, ale jako wskazówka, jak Armeńczycy jeszcze dziś traktują początkowe dzieje swego narodu, jak może ich uczyć w swych szkołach. Ks. Barącz np. z pewnem rozdrażnieniem w przypisku zaznacza, iż E. Boré, w swym *Univers pitoresque* twierdzi, „iż całe to podanie zakrawa na romans, że jest urywkiem starożytnej poezyi. Być to może, ale też i Strabo o gospodarstwie Semiramidy w Armenii rozprawia, a zatem Mojżesz z Choreny zasługuje na wiarę.“

Nieco inaczej piszą dziś historycy, na innych opierając ją dokumentach. Ta legenda mitologiczna mogła powstać za czasów panowania perskiego, z podań ustnych. Ninus i Semiramis nie należą do historii; tworzą parę boską, a pod ich imionami kryją się figury Ninip-Szandawa i Isztichary, Herkulesa i Wenery assyryjskiej ¹⁾. Ich wielkie czyny należy uważać za bajki, któremi epoka babilońska zapelniała pierwsze epoki świata. Dopiero za czasów perskich, historyk perski Ktezyasz z Knidu, zebrał opowiadania o tych dwóch osobistościach mitologicznych i zamienił je w królów z krwi i kości. Aleksander Wielki nad Jaxartesem w Scylii miał jeszcze znaleźć tablicę zwycięską Semiramidy z nadpisem, zaczynającym się od wyrazów: „Natura dała mi ciało kobiety, ale czyny moje zrobiły mnie największym z ludzi...“ Tu idzie faraonowski, ale ogólnikowy, opis czynów, tak zakończony: „A pośród tych wszystkich zajęć znalazłam czas dla moich przyjemności i moich przyjaciół.“ Jest też wzmianka o założeniu przez nią miast Ekbatany w Medyi i Semiramokarta nad jeziorem Van (w Armenii). Ostatecznie jednak, dowiedziawszy się, że jej syn, Niniasz, przeciw niej spiskuje, abdykowała i zamieniła się w gołębicę... co najlepiej dowodzi jej boskiego pochodzenia.

¹⁾ Maspero: *Histoire Anciennes des peuples de l'Orient*, p. 294—Rawlinson.

W Armenii zresztą legendy bardzo uporczywie żyją. Według babilońskiej tradycyi, arka, w której pobożny Ksisutros ocalał od potopu pewną garść ludzi, zatrzymała się w kraju Nizir, na szczycie gór gordyjskich (armeńskich), gdzie jej szczątki dotąd istnieją, obrócone w asfalt, skrobany przez pielgrzymów jako środek przeciw urokom.

Wracając do Mojżesza Choreński, zaznaczamy, że po śmierci Anu-zawusa, syna Areada, Armenia, jako lenna prowincya, rządzoną była nie przez królów, ale przez starszych narodu, znanych z uczciwości i męstwa, których sumienny kronikarz kilkadziesiąt, aż do roku 765 przed Chr., zatem przez jaki lat tysiąc, wylicza, ściśle podając rok, w którym każdy z nich rządy objął. Jedynie ciekawym jest dla nas Warmair, wybrany w r. 1194 przed Chrystusem, „który, pomagając królowi Pryamowi podczas wojny trojańskiej, przez Greków zamordowany został.“ Ostatnim z tych wielkorządców był Zgajerli, syn Olbrzyma, w r. 765 przed Chrystusem. Gdy bowiem Warbag, wielkorządca Medyi, którego Grecy Arbachesem nazywają, podniósł bunt przeciw Sardanalowi, Baroir, rządca Armenii odr. 748, przyłączył się do tego buntu, odzyskał niepodległość Armenii, siebie królem ogłosił i panował lat 45. Syn jego, współczesny Nabuchodonozora, uprosił sobie u tegoż rodzinę żydowską Sambata, którą miano do niewoli babilońskiej pędzić, i osadził ją w ziemi urodzajnej. Z tej rodziny wyszli później królowie rodu Bagratydów (Bagrationów). Mojżesz Chor. twierdzi, że Zganorti sprowadził synów Hezechiasza, których osadził na granicy Assyryi i z nich wyrosli Arzeruni i Genuni. Najslawniejszym z tej epoki był Tygran Wielki, który w 565 r. przed Chrystusem objął panowanie i pomógł Cyrusowi do założenia państwa Perskiego. Tu znowu romans z powodu siostry Tygrana, ale opowiadać go nie będziemy. Ostatnim królem tej dynastyi był Wahe, który w roku 330 w bitwie przeciw Aleksandrowi Macedońskiemu zginął. Po Tygranie jednak musiał kraj uznać zwierzchnią władzę Persów i w perskich nadpisach po raz pierwszy spotykamy nazwę *Armina*.

Po śmierci Aleksandra W. Armenią rządzili Seleucydowie przez swoich namiestników. Dwaj tacy namiestnicy: Artaxias (Artaszas po arm.) i Zaviadres (Darab), pomiędzy 223 a 190 rokiem po Chrystusie, gdy ich pan, Antiochus W., wojował z Rzymianami, ogłosili się niezależnymi. Pierwszy wziął Armenię Wielką, którą na wschód od Medyi oddzielała rzeka Araxes i góry Atropotane, od północy od Pontu i Kolchidy góry Moskickie, od Tberu i Albanii (kaukaskich) rzeka Kura (Kyros), na zachód od Małej Armenii oddzielał ją Eufrat, na południe miała Assyryę. Ta dynastya jednak krótko panowała, bo w połowie drugiego wieku przed Chrystusem Wielka Armenia należała do gąłęzi partyjskich Arzacydów, która od Walarzega I daje nową dynastję

z stolicą w Nizibis. O tego króla rozumie wiele piszą. Trzymał on rodzaj armii stałej z 11.000 ludzi, urządził kraj, zaprowadził rodzaj szlachty dziedzicznej. Tak np. Bayrat pochodzenia izraelskiego, który ród swój od Dawida wywodził, za to, że pierwszy pośpieszył na jego usługi, otrzymał przywilej koronowania króla i zarząd Cezarei. Posunął też swe dzierżawy ku góróm Kaukaskim, zmuszając tameczny lud dziki do zmiany obyczajów i opłacania daniny, za co miał zyskać prawo szlachty armeńskiej. Protęgował jednak mieszczan i dowodził, że im się należy większe poważanie, aniżeli rolnikom. On pierwszy kazał napisać historię Armenii od najdawniejszych czasów i polecił to zadanie uczonemu Marybasowi z Katyny. Był to widocznie poważny organizator kraju. Jego wnuk, Artazes I, był wojownikiem burzliwym, córkę swą Artazemę wydał za Mitrydatesa, późniejszego króla Pontu.

Następca jego, Tygran Wielki, szybko zasłynął. Pobił Partów, zabrał im Mezopotamię i Adiobane, na Kaukazie zawojował różne ziemie, w Azji Mniejszej Kappodacyę i Małą Armenię. Ale wszystkie te zdobycze utracił w wojnie z Rzymianami, w którą go wplątał jego teść, Mitrydates. Kronikarze jako pierwszego rzymskiego pogromcę przytaczają Lukullusa, który pod Tygranocertą w 12.000 piechoty i 1.600 jazdy rzymskiej rozgromił wojska Tygrana dwa razy liczniejsze. Następnie uciekał się z nimi Pompejusz, wreszcie Antoniusz, który wziął do niewoli Artawarda, syna Tygranowego, i w Aleksandryi na żądanie Kleopatry, ścięć kazał. Wszystkie te opowiadania patryotycznych kronikarzy armeńskich, jak np. ów Mozes Cheronensis, którego ks. Barącz tak pracowicie cytuje, którego imaginacyi próby przytoczyliśmy wyżej, są tak bezładne, iż odwoływać się do nich niepodobna. To zdaje się pewnem, że Rzymianie, zmógłszy Armeńczyków w boju, nie ujarzmiли ich jednak całkowicie.

Powiększa trudność i przemiana nazwisk. Od tej pory rzymscy i greccy historycy podają inne nazwiska królów armeńskich, kronikarze zaś inne. Według tych ostatnich, w latach między 68 a 88 po Chrystusie, Hruwand był znowu królem całej Armenii. Wespazyan i Tytus nie przeszkadzali mu, bo im oddał Mezopotamię. Dopiero Trajan w roku 106 ogłosił Armenię za prowincyę rzymską, ale w 117 r. Hadyran cofnął legie rzymskie za Enfrat. Ozroes (Kozrow I) długo wojował z Artaszyrem (Artaxerxes), ojcem perskiej dynastyi Sassanidów, ale gdy został zamordowany, Sassanidowie zagarnęli całą Armenię. Przy pomocy Rzymian Armenia zrzuciła jarzmo Persów, a na tronie zasiadł Tiridates (Tordaf Wielki), potomek narodowej dynastyi, za którego chrystyanizm, dotąd bardzo prześladowany, stał się religią państwową; stara zaś religię, która była parsyzmem (Zoroaster), zmodyfikowanym bałwochwalcami dodatkami, wytepliono w sposób krwawy.

Chryścjanizm jednak nie zdołał powstrzymać wewnętrznego rozkładu, ani sąsiedni Bizantyńcy nie mogli dać skutecznej pomocy przeciw na nowo naciskającym Persom. W 420 lat po Chrystusie perski król Bohram V podbił Armenię, zamienił w prowincję i koniec położył dynastyi Arzacydów. Według greckich źródeł, już w r. 412 Tigranos VIII poddał się perskiemu królowi Jezdegierdowi. Wówczas część wielkiej Armenii dostała się cesarstwu bizantyńskiemu, do którego już dawno należała Armenia Mniejsza. Jedną i drugą jednak odebrali cesarstwu Sassanidzi, tym zaś następnie Arabowie. Panowanie Sassanidów w Armenii odznaczało się straszliwem, ale bezskutecznem, prześladowaniem w celu wytępienia chrześcijaństwa. Sassanidów w 636 r. miejsce zajęli Kalifowie Arabscy, Nieustanne wojny między Arabami a Bizantyńcami straszliwie pustoszyły Armenię, którą rządził wojenni naczelnicy, to bizantyńscy, to arabscy, jedni walczyli z drugimi.

Armenia odetchnęła dopiero nieco, gdy w 885 Arzot I ze starego i potężnego rodu Bagratydów, z pozwoleniem Kalifa Muhameda, koronował się na króla Armenii i dał początek nowej, trzeciej dynastyi, (Haika-Arzacydów-Bagratydów), która panowała do 1046. Odrodzenie poszło dość szybko, ale spokój trwał krótko. Bo już w dziesiątym wieku rozpoczęły się krwawe kłótnie pomiędzy członkami rodu Bagratydów, bez względu na napaści dwóch strasznych wrogów, z jednej strony Turków Seldżuków (turkomańskie plemię), z drugiej Bizantynów, którzy ciągle odrywali po jakimś kawałku (Gruzja) słabego nieładem królestwa. Nareszcie w roku 1046 Konstanty Monomach, zdobywszy miasto Tewin, a zwłaszcza Ani, stał się panem całej Armenii. Ani było kluczem państwa. Według kronikarzy, miało ono 1001 kościołów, 10,000 domów, 100,000 rodzin mieszkających i najwspanialsze składy towarów. Tej kronikarskiej statystyce można nie wierzyć, ale ruiny, do dziś dnia istniejące, świadczą, że było to miasto duże, dobrze zabudowane, posiadające gmachy pięknej architektury i wykończenia.

Po tym zaborze ledwo kilku drobnych krajowych książąt zachowało niezależność. Były to zapewne góralskie klany, które umiały żyć własnem, chociażby rozbojniczem życiem. Ale i tym niezależność odebrali Mongołowie w 1242 r. Te srogie mongolskie rządy trwały około 100 lat. W roku 1472 Wielka Armenia była prowincją perską, której zachodnią część w XVI wieku zawojował Selim II, sułtan turecki. Wschodnią część została przy Persyi. Od r. 1826 zaczynają się tu podboje rosyjskie.

Losy Armenii *Mniejszej*, odłączonej od Wielkiej, nie były lepsze, ale były inne i bardzo rozmaite. Odłączenie można datować od pojawienia się Rzymian. Po odebraniu jej Tygranowi II w 62 r. po Chry-

stusie, darowali ją Dejotarowski, księciu Galacyi: po śmierci tego darowali ją innemu księciu. Tak przechodziła ona przez kilka rąk, wreszcie Rzym zrobił ją swoją prowincją. Przy rozdziale państwa rzymskiego dostała się Bizantynom, którzy ją dławili do XI wieku. Około 1080 r. Cylicya wraz z częścią Mniejszej Armenii, w której góry chroniło się mnóstwo zbiegów z Armenii Wielkiej, uciekających przed Persami i Turkami Seldżukami, powstały pod dowództwem Rubena, z rodu Bagratydów i wyzwoliły się z pod bizantyńskiego jarzma. Następcy Rubena rozszerzyli granice państewka aż do Kappodocyi, a w krucjatach tak ważną odgrywali rolę, że Leon II został uznany królem Armenii przez Henryka VI, cesarza rzym-ko-niemieckiego, i koronował się w Tarsie. Królestwo Mało-armeńskie trzymało się dość długo pod Rubenidami, wykręcając się zręcznością lub odcinając bojem przed ciśnącymi je Turkami lub Mongołami. Ale i tu niezgody wewnętrzne, zwłaszcza religijne, spowodowały upadek. Ciekawa jest historia tego przewlekłego upadku. Rubenidzi od r. 1095 więcej skłaniali się ku Rzymowi, aniżeli ku Byzancyum, któremu się narazili, popierając krucjaty, tym zaś bizantyńscy cesarze byli bardzo przeciwi.

Opowiadanie tych bizantyńskich intryg, które nie ustawały do 1177, wywołując nieustanne przewroty w Armenii, było-by ciekawem i charakterystycznym, równie jak częste abdykacye królów i usuwanie się do klasztoru, ale niema dla niego miejsca. Leon II w 1185 wyprawił nareszcie poselstwo do Celestyna III Papieża, z prośbą, by go za króla uznał i pomóż mu raczył. Celestyn wysłał do niego Konrada, arcybiskupa mogunckiego, z koroną i wezwaniem, by wytrwale niósł pomoc przeciw wrogom chrześcijaństwa. Papież Innocenty III często do Leona II pisywał, a nawet patriarsze Grzegorzowi przysłał paliusz. Leon jednak umarł w 1219 r., nic ważnego nie sprawiwszy. Po nim została tylko córka, Izabella, która podobno wyszła za Filipa, syna Bohemunda, krzyżackiego księcia Antyochii. To małżeństwo zostało rozbite, Izabella musiała pójść za Hetuma, którego zrobiono królem w 1225. Utworzył on projekt wytepienia Saracenów przez połączenie się z Tatarami. Armenia mogła wtedy wystawić 12,000 jazdy i 40,000 piechoty dobrze uzbrojonej. Zrazu wojna szła pomyślnie, ale szczęście się odwróciło. Saraceni rozbili wojska armeńskie i kraj straszliwie splądrowali, Leona, syna królewskiego, wzięli do niewoli.

Papież Klemens IV obiecywał ratunek, gdy jednak posiłki nie przybywały, Leon zawarł układ z sułtanem Egiptu, który mu zwrócił syna; temu oddawszy rządy, Leon udał się do klasztoru, w którym pobożnie życie zakończył.

Następca był także bardzo pobożny. Grzegorz X Papież w 1273 r. wezwał go na sobór powszechny, w Lugdunie zwołany dla odzyska-

nia ziemi świętej. Leon III gorliwie postanowienia soboru popierał, Saraceni więc znowu straszliwie jego kraj splondrowali. Umarł on w smutku i żalobie. Syn jego, Hayton II, skłonniejszym był także do życia klasztornego, aniżeli do rządów. Zaraz też wyprawił poselstwo do Mikołaja IV Papieża, ze złożeniem hołdu i posłuszeństwa. Gdy jednak przekonał się, że nadzieja ocalenia Ziemi Świętej przez krzyżaków przepadła, berło oddał swemu bratu, Teodorowi III, sam zaś zamknął się w klasztorze. I ten po dwóch latach rządu miał go dosyć. Uprosił Haytona, by wrócił na dawne królewskie stanowisko, pojechał z nim do Konstantynopola, by tam wydać za żonę siostrę swą, Maryę, za cesarza Michała Paleologa. Było to w r. 1296. Podczas tej wycieczki, Sempad, brat rodzony obu koronowanych podróżników, ogłosił się królem Armenii, wyprawił poselstwo do Papieża, a jednocześnie zawarł przymierze z Tatarami. Nie mogąc wrócić do Armenii, Hayton i Teodor zwrócili się do Tatarów o wsparcie, ci jednak wydali ich Sempadowi, który kazał Teodora udusić, a Haytonowi oczy wykłuć. Okrutnika zwała z tronu czwarty brat, Konstanty II, w r. 1298; ale i ten niedługo panował, bo Hayton *cudem* odzyskawszy wzrok, obejmuje rządy. W połączeniu z Kassanem, królem Tatarów, który miał księżniczkę armeńską za żonę, bije Hayton Saracenów i wraca, już na dobre, do klasztoru w 1305, oddawszy rządy Leonowi IV. Za tego króla odbył się w r. 1307 pierwszy powszechny sobór ormiański w mieście Sis, dla zaprowadzenia jedności z kościołem rzymsko-katolickim. Zgodzono się na obchodzenie świąt Narodzenia, Trzech Króli, Zwiastowania i Gromniczej, oraz na używanie ryb i oleju w czasie postu.

Leon krótko panował. W ciągu nowej wojny domowej zamordowany został przez Tatarów. Pomścił go Oszin, który został okrzyknięty królem. Za niego odbył się nowy sobór w r. 1316. Przybył też do Armenii Bartłomiej z Bononii, Dominikanin, pierwszy Europejczyk, mówiący po armeńsku, w celu utrzymania jedności z Papieżem. Utworzył on dominikańskie bractwo pod nazwą Braci Zjednoczonych (*fratrum unitorum*) i za swe misyjne zasługi został arcybiskupem Nachiczewanu. Oszin umarł w r. 1320, zostawiwszy tron dziesięcioletniemu Leonowi V, którego matka była królowną Cypru, z domu Lusignan.

Straszne nastąpiły czasy, zapowiadające zgon i niewolę. Nieustającym kłótniom i wojnom domowym towarzyszyły napady Mameluków, Tatarów, Turkomanów, niszczące kraj do szczytu. Po śmierci Leona V obrano królem Jana Lusignan, siostrzeńca króla Cypru. Koronował się w r. 1542 w mieście Sis. Panował tylko rok, bo tyłu niegodziwości się dopuścił i taką wzbudzał pogardę, że szlachta armeńska zrzuciła go z tronu, który oddała jego bratu, Gwidonowi, słynnemu z męstwa. I ten ni-

kogo nie zadowolnić. Więc w r. 1345 Armeńczycy wybrali trzeciego Lusignana, który panowanie objął pod nazwą Konstantego IV. Był to król dość bitny, ale szedł śladem swych poprzedników Lusignanów, którzy usiłowali Armenię zlatynizować, w czym mu pomagali *Fratres uniti*, wprowadzając, przy zachowaniu języka ormiańskiego, pacierze i obrządku liturgiczno-łacińskie. Naród się temu oparł. Przyszło do zawichrzeń. Król wezwał pomocy Papieża Inocentego VI i patriarchy Miezroba. Zwołano w r. 1361 sobór do miasta Sis, na którym się zgodzono na utrzymanie dominikanów ormiańskich pod warunkiem, że żadnych zmian w liturgii zaprowadzać nie będą.

Konstanty IV zmarł w r. 1363, a bezkrólewie trwało lat dwa, bo starsi narodu nie mogli się zgodzić co do wyboru nowego króla. Dopiero za radą Urbana V Papieża, wybrano księcia z rodu Lusignan, który, jako Leon VI, był ostatnim królem Armenii. Panowanie jego było nieprzerwanem pasmem nieszczęść i klęsk. Najprzód wojska egipskie zabrały Cylicyę. Gdy ich stamtąd wyprzeć nie zdołano, Leon prosił o pomoc sułtana Mameluków. Ten pomoc przyrzekł za wielkie pieniądze. Dowiedziawszy się jednak, że Leon stara się o pomoc państw chrześcijańskich, zabrał Cylicyę, w 1371 zdobył miasto Sis, rozbiwszy wojska przez króla prowadzone. Leon raniony schronił się w góry i dwa lata w nich przebywał. Miano go już za straconego, gdy w 1373 r. zjawił się w Tarsie, właśnie w chwili, gdy żonajego, Marya, miała zaślubić księcia Ottona Brunświckiego, usiłującego zostać królem. Leon starał się o względy sułtana egipskiego, ale ten dążył do zagłady Armenii. Rozpoczął więc wojnę z zaciętością i siłą wielką w r. 1374, splondrował kraj, zajął wszystkie miasta, a króla zmusił do zamknięcia się z żoną i córką w twierdzy Gabanu. W tem ostatniem schronieniu wytrzymał Leon dziewięćmiesięczne oblężenie, ale głodem znękany poddać się musiał w 1375. Taki był koniec królestwa armeńskiego, które się już więcej nie podniosło. Pozostała Armenia, kraj, i Armeńczycy, naród, który dotąd trwa, cierpi i broni się, a którego też inne z konieczności bronić zaczynają.

Leona VI z całą rodziną odprowadzono najprzód do Jerozolimy, następnie do Kairu, gdzie sześć lat w niewoli zostawał. Uwolniony za pośrednictwem Jana I, króla Kastylji, udał się naprzód do Rzymu, następnie do Hiszpanii, nakoniec do Francji, gdzie zmarł w Paryżu dnia 19 listopada 1393 r. Na trumnie podobno położono napis: „Piąty łaćciński król Armenii.“

Zaledwie upadło królestwo, Tamerlan, zagarnąwszy Persyę i Syryę, wkroczył do Armenii i zniszczył to, co jeszcze było do zniszczenia. W r. 1405 śmierć uwolniła wschód od tego bicia Bożego. Rozprosze-

nie Ormian, jak to wskazaliśmy, rozpoczęło się o całe stulecie wprzód, ale odtąd przybrało większe rozmiary, inne kierunki. W roku 1603 Abbas szach perski, wzięwszy szturmem Dżulpe, całą pozostałą przy życiu ludność zagnał do swego kraju. Podobne, mniej lub więcej przymusowe, na wschód przeprowadzenia, powtarzały się jeszcze nieraz w ciągu następnych wieków. W roku 1403 Armenia z pod władzy egipskich sułtanów poszła pod Turkomanów tyranię; w 1506 dostała się Persom, w 1522, a głównie w 1574, większą zachodnią część zagarnęli Turcy Osmanowie i dotąd trzymają.

IV.

Gdyby to skromne o Armenii studjum mogło być zupełniejsze, należało-by teraz poświęcić szeroki ustęp literaturze armeńskiej. Jest ona nie tylko bardzo dawna, ale po upadku państwa wzrastała ciągle na rozproszeniu narodu. Wiek V po Chryssusie uważanym jest za najświetniejszy. W nim ustalił się i wyrobił język. Jakób X, patriarcha armeński, przetłómaczył Biblię, a Mesrob ułożył nowy alfabet armeński. W tym wieku pisał cytowany nieraz Mojżesz z Choreny, który zebrał legendy i podania ludowe, a do historyi, może w dobrej wierze, dołączył. W IX i X wieku, gdy pod Bagratydami naród nieco wypoczął, piśmiennictwo znowu się ożywia. W XIII upada. Upadek ten coraz mocniej czuć się daje w XIV, XV i XVI. Ożywienie jest widoczne w XVII a zwłaszcza w XVIII. Armeńczycy tworzą liczne kollegia, otwierają mnóstwo swoich drukarni w Amsterdamie, w Marsylii, w Padwie, we Lwowie, w Londynie, w Liworno, w Medyolanie, w Wenecyi, gdzie instytucya Mechitara wszystkim tym narodowym usiłowaniom przoduje. W naszym stuleciu Łazarewowie otwierają w Moskwie swój instytut, silnie popierany, nie tylko przez rząd, ale i przez bardzo wpływowych swoich rosyjskich współrodaków i współwyznawców. Dzieła armeńskie, wydane w Moskwie i w Petersburgu, są bardzo liczne. Nie jest to wcale literatura martwa, ale, bacząc na potrzeby narodu, z którego wyszła, bardzo żyjąca. Nie spotykamy w niej poezyi, a dzieła w tym rodzaju są albo naśladowaniem, albo bardzo średniej wartości. Za to mamy historyę z całą jej legendową poezją, po prostu dla zbudowania ludu i przypomnienia mu minionej wielkości kreślonej. Spotykamy dużo teologii, ale kwestye teologiczne, jak świadczy historia, w życiu Armenii i Armeńczyków były i są jeszcze dziś bardzo ze sprawami powszednie-

go i politycznego życia związane. Dalej idą nauki przyrodnicze, konieczne w pedagogii. Wogóle, o ile ze znanych nam wypisów i bibliografii ocenić można, literatura ta odpowiada charakterowi i usposobieniu Armeńczyków, którzy są narodem praktycznym i pozytywnym, jakkolwiek o swoim patryotycznym ideale nie zapominają.

Jak wygląda dzisiaj dawna Armenia? Odpowiedź na to pytanie nie łatwa. Przedewszystkiem należało-by ją podzielić na trzy księgi, to jest na tyle, na ile części owo królestwo Arzacydów i Bagratydów jest podzielone. W każdej z tych części dzieje się Armeńczykom inaczej. Największą jednak część posiada Turcja, o tej zaś podróżnik, który ją przejeżdżał w 1892 roku, tak kończy swe dorywcze spostrzeżenia i uwagi:

„Zły los tak chciał, by Ałlach dał Turcyi wszelkie korzyści, odmówił jednak nie tylko jako tako znośnego rządu, ale nawet tym cudnym krainom narzucił administracyę, która, pod względem nieudolności i niegodziwości, wszystko, co kiedykolwiek w tym rodzaju widziano, przechodzi i która poprostu robi ludności niepodobnem jakiebądź porządne istnienie“¹⁾.

Baron v. Nolde odbywał ową podróż, o ile się zdaje, bez żadnej misyi, bez żadnego naukowego, nawet bez dziennikarskiego celu. Wielki amator i znawca koni, namiętny podróżnik, trochę awanturnik, śmiały i pewny siebie, musiał mieć jakieś poważne stosunki w Stambule, tak na jego usługi byli urzędowi paszowie. Podróżował też po pańsku, z silną eskortą, a jego karawana kilkadziesiąt ludzi a dwa razy więcej koni, mułów i wielbłądów liczyła. Opowiada to, co widział po drodze, w czem sam brał udział, bez przesady i przechwałek, ani pisarskich upiększeń. Opowiadania te robią wrażenie prawdy, a późniejsze, znane powszechnie, wypadki, wrażenie to potwierdzają. Szedł on od Arabii północnej na Bagdad lewym brzegiem Tygru, przez Kerkuk do Mossulu i ruin Niniwy; stamtąd przez Dżezireh, Soert do Bitlisu, by, przeprawiwszy się przez wschodni Eufrat, dostać się do Erzerumu, a nareszcie przez Baiburt do Trebizondy. Z opowiadań tych przychodzi się do wniosku, że na całej tej drodze, z południa na północ przez siedemnaście równoleżników w prostej linii prowadzącej, w rzeczywistości zaś długiej na jakie 300 mil naszych, władza sułtańska nie ma żadnej powagi i zdrowej podstawy. W Arabii panami są Wahabici, w środku Kurdowie rozbójnicy, a od Mossulu po-za Erzerum ciż sami Kurdowie, pomieszani z Armeńczykami. Waliowie, gubernatorowie i paszowie, albo są ograniczeni, głupi i gnuśni, albo nie mają siły, by mate-

¹⁾ Podróż po Kurdystanie i Armenii w r. 1892, von Nolde, p. 257.

ryalnie dać uczuć swą władzę ludnościom, w których brak wszelkiego poczucia prawa i najzwyczajniejszej, ale na sposób europejski pojmowanej, moralności, które wierzą tylko w prawo karabina i noża.

Oto w skróceniu jedno z opowiadań v. Nolde'go, które lepiej ten stan objaśni. Rzecz odbywa się za Mossulem, o kilka dni drogi od Erzerumu, stolicy władz naczelných prowincyi:

„.....Eufkrat przebyłem po moście w miejscu nazywanem „Krwawą wodą.“ Nazwa ta pochodzić ma stąd, że tu od niepamiętnych czasów, tak w walkach pomiędzy plemionami, jak w wendetach, a także napadach na karawany, mordowano ludzi bez litości. Istotnie trudno wymyślić właściwsze do podobnych napadów stanowisko. Dla przebycia rzeki, płynącej między brzegami wysokimi na 500 do 600 stóp, potrzeba najprzód zjeżdżać ciasnym i niewygodnym wąwozem, by po drugiej stronie wlec się powoli i z trudem po bardzo spadzistym brzegu. W takich warunkach kilku dobrze umieszczonych strzelców może zamknąć drogę znacznej liczbie przeciwników i wystrzelać ich, jak złapanych w pułapkę. I mnie także przeznaczonem było spotkać tam wielką rozbójniczą bandę, i to złożoną z jakiej setki ludzi, uzbrojonych w karabiny Martini. Podobnej, i to jeszcze w miejscowości takiego rodzaju, nie mógłbym stawić czoła. Na szczęście, nie było to potrzebnem, bo traktowano mnie z rycerską grzecznością. Herszt wyjechał naprzeciw mnie i zaprezentował się, jako Ibrahim-bej z Malesgerdu. Tak od niego, jak później od innych, dowiedziałem się, że pochodzi z *najstarszej kurdyjskiej szlachty* (zatem roszczącej prawo do wszechwładzy w okręgu), że osobiście jest sam bardzo bogaty, zatem jeszcze więcej szanowany, aniżeli nawet należy mu się z rodu. Mógł-by w razie potrzeby wystawić 500 uzbrojonych wojowników. W tej chwili miał tylko 100 ludzi, siłę aż nadto wystarczającą, by mi przeprawę uniemożliwić; ale o tem wcale nie myślał. „Jest bowiem, jak sam mówił, zbyt dobrze urodzonym szlachcicem, by znakomitych panów napadać, zwłaszcza też mnie, o którym słyszał, że wracam z bardzo dalekiej podróży, Bóg wie skąd, z głębi Arabii, gdzie koczują Wahabici, rządzeni dziś przez Ibn Raszyda, największego w świecie, od czasów Abdul-Kerima, hetmana rozbójników.“ Oświadczył też, że nie pojmuje, jak mogłem wyjść cało z rąk takich ludzi, jak Wahabici, dla tego byłby bardzo rad usłyszeć coś autentycznego o religijnych poglądach tych ludzi...“

Ibrahim bej był wprawdzie wzywany do wstąpienia w szeregi Hamidie (nieregularne pułki jazdy, organizowane z Kurdów przez Portę), ale wskutek intryg w otoczeniu Muskira, kwaterującego w Erzinganie, musiał-by poprzestać na randze majora. To mu się nie podobało, tembardziej, że jego sąsiad, będący tylko Agą i nie mogący nawet 300 zbrojnych wystawić, miał zostać pułkownikiem. Naturalnie ów Aga długo

cieszyć się pułkownictwem nie będzie, bo on, Ibrahim bej, życie stawia w zakład, że tego współzawodnika zamorduje. Nominację na pułkownika otrzy mał on tylko dla tego, że pierwszemu adjutantowi Muskira, jako *bakszysz* (łapowe), ofiarował kosztownego arabskiego konia...

„Ponieważ rozmowa się przedłużała, Ibrahim bej prosił mnie na kawę do siebie, karawana zaś będzie mogła przez ten czas iść dalej. Chciał też mi zarazem przedstawić swoich 100 ludzi w rozmaitych wojennych obrotach i ćwiczeniach. Przyjąłem zaproszenie i przepędziłem z Ibrahimem kilka godzin. W rozmowie stawał się on coraz uprzejmiejszym i szerszym.

„Sam zaczął mówić o swem rozbójniczem rzemiośle i w jego ustach wyglądało ono całkiem inaczej od tego, co o niem myślą europejscy mieszcuchowie, żyjący pod opieką najlepszej policji. Niektóre z poglądów Ibrahim beja nie były wcale dla mnie nowemi, słyszałem je już od innych hersztów rozbójniczych, albo od Beduinów. Ibrahim bej prawo swe do rozbijania i rabowania karawan, albo ściągania z nich haraczu, opierał na takich samych dowodach, co Beduini. Najprzód bowiem ziemia należy do niego i do jego plemienia, powtóre zabranie kupcom ich towaru jest tylko odebraniem tego, co kupcy przez handel i oszustwo zdarli z rzeczywistych panów kraju lub z innych....“

Podobne rozumowania słyszał v. Nolde od szlachty kurdyjskiej o Armeńczykach. My jesteśmy panami ziemi, a oni naszymi sługami; muszą więc płacić haracz za to, że im z ziemi zyski ciągnąć pozwalamy; jeżeli nie płacą, zabieramy gwałtem, co nam się podoba. W wiosce Czewerma v. Nolde był świadkiem awantury bardzo zwykłej w tych stronach, ale nauczającej i typowej.

„....Zaledwo stanąłem, zaraz się znalazły u mnie rozmaite figury: Kajmakan (głowa powiatu), różni Armeńczycy ze swymi księżmi i starszyzną wioskową, Kurdowie, Czerkiesi. Oprócz innych mniejszych spraw, przeważnie głowy zapalała następująca. W Czewermie i w sąsiedniej wsi Kurdowie zabrali 6,000 owiec, należących do Armeńczyków. Kajmakan był za Armeńczykami, ale nie rozporządzał dostateczną siłą wojskową, by wolę swą przeprowadzić. Wysłał wprawdzie dziesięciu żołnierzy do Kurdów, którzy przyjęli ich wystrzałami; jeden żołnierz i jeden Armeńczyk padli trupem, jeden żołnierz został ciężko ranny. Lękając się gorszych prześladowań, Armeńczycy uciekli z swych wiosek do wiosek czerkieskich, gotowi uznać Czerkiesów (niedawno przybyłych z Rosyi) za swych panów i opiekunów, nawet przyjmując islam, byle się pozbyć Kurdów...“

Całą tę sprawę wytoczyły strony przed v. Noldem, jakby przed sędzią polubownym. Kurdowie najprzód twierdzili, że ilość zabranych

baranów nie wynosi 6,000. Ponieważ zaś są panami kraju, przeto mają prawo wymagać od swych poddanych posłuszeństwa i podatku. Tak było zawsze, Turcy na to pozwalali, więc prawo to uznawano. Kajmakan się tłumaczył, że nic zrobić nie może, że nie ma siły potrzebnej. Gdyby zaś ją miał, energiczne wystąpienie mogłoby wywołać zaburzenia i te-by go zgubiły. Kurdowie go nie słuchają, a 50 żołnierzy, których ma, nie są w stanie Kurdom podołać. Więcej wojska mu nie dadzą, a jeżeli narobi hałasu, to dostanie dymisyę, i on i dzieci jego będą pozbawione chleba. W Turcyi jedynym objawem władzy jest zmienianie lub wypędzanie urzędników....

Podobnych i jeszcze jaskrawszych dowodów bezrządu, rozkładu i gwałtu panującego w Armenii v. Nolden przytacza jeszcze dużo. Te niech wystarczą. Usprawiedliwiają one najzupełniej jego definicyę rządu i administracyi tureckiej, a stan dzisiejszy Armenii dostatecznie wykazują. Nolde odbywał ową podróż w roku względnie spokojnym, a opisując jakąś inną bijatykę, w której z jednej strony pięciu, z drugiej siedmiu ludzi padło, dodaje: „to są drobiazgi zwyczajne, na które tutaj nikt nie zważa“.

KRONIKA PARYSKA.

Poemat Rodanu Fryderyka Mistrala ukazał się w sześciu zeszytach *Nowego Przeglądu*, wydawanego przez p. Julietę Lamber. Obszer-ny poemat, złożony z dwunastu pieśni, ogłoszony w dwu językach, francuskim i prowansalskim, obejmuje do 3,600 wierszy. Nie znając języka prowansalskiego, odczytaliśmy go tylko w przekładzie francuskim. Tłómacz najściślej trzyma się oryginalnego tekstu, bez względu na ozdobną formę; łatwo pojąć, jak to przeszkadza do ocenienia piękności utworu, który, o ile wiemy ze słów Gustawa Parisa, Mistral uważa za koronę swoich prac poetycznych. Spotykamy tu jeszcze inne trudności. Przedmiotem poematu jest żegluga po Rodanie na przestrzeni pomiędzy Lyonem a miastem Beaucaire, położonem w sercu Prowancyi. Kanał, łączący morze Śródziemne z oceanem Atlantyckim, ściąga tu na sławny jarmark przybyszów z rozmaitych stron świata.

Ta przeprawa Rodanem przypomina poniekąd „Flisa“ naszego Sebastyana Klonowicza. Co chwila nasuwa się mnóstwo wyrażen, właściwych wyłącznie żeglarzom, co zaciemnia jeszcze osnowę. Mimo tych zawikłań odczuwamy jednak piękność poematu, do którego autor sam niezwykłą przywłazuje wagę.

O brzasku dnia, wyrusza z Lyonu szereg ładownych statków, połączonych z sobą linami. Patron Appian, zwany królem żeglugi na

Rodanie, dowodzi całą gromadą przewoźników. Są to krzepkie zuchy rodem ze wsi Condrieu, gdzie flisy zachowali odwieczne swoje gniazdo. Każdy z nich, rosły jak dąb, ma bujną brodę czarną, lica smagłe, ogorzałe na słońcu południowem; szeroki w barkach, gotów podnieść belkę jodłową jakoby marną plewą; dla dodania sobie animuszu, rad popija wino z glinianego dzbana; krzyczy i klnie na czem świat stoi.

Pierwszy statek zajmuje patron Appian. U rudla wyrzeźbiony Święty Mikołaj, z głową uwieńczoną w promienie, po stronie przeciwnej wznosi się wielki krzyż czarny, a w koło pomieszczone wszystkie narzędzia męki Pańskiej, wystrugane ręką patrona, podczas zimowego spoczynku. Śladem pierwszego, ciągną ładowne statki; na ostatnim pomieszczono liczne konie; te z powrotem do Lyonu ciągnąć będą pod wodę flotę całą.

Appian starzec to okazały, włos siwy spada mu w splotach na czoło i ramiona, w uszach błyszczą mu złote kolce; przenikliwym wzrokiem ogarnął wszystkie łodzie. Kreśli znak krzyża, woła donośnym głosem: „Na Rodan, w Imię Boga i Najświętszej Panny!”

Przewoźnicy żegnają się pobożnie, chwytają za wiosła, statki pomknęły rączo z biegiem rzeki.

Nie podobna nam iść za poetą, powiedzmy tylko, że wyśpiewał wspaniałą pieśń o ziemi swojej; odmalował piękne jej krajobrazy i starożytne miasta, rozsiadłe na wybrzeżach; podjął wszystkie tradycje, przyrosłe od niepamiętnych wieków do każdej skały sterczącej nad Rodanem, do każdego odłamu starych murów z epoki rzymskiej czy feudalnej, jakimi zasiana słoneczna Prowancya, nie przepomniął też podań mistycznych. Z głębi fali wychyla głowę Drak, postrach dziewcząt i niewiast, tem groźniejszy, że, z potwornego węża przedziergnięty w pięknego królewicza, urzeka je czasami i pociąga na dno Rodanu do pałacu ze złota, błyszczącego od pereł i dyamentów.

Ale i prawdziwy królewicz zjawia się na statku. To młody jasnowłosy Wilhelm, książę Oranii, syn króla Hollenderskiego. Wątpy na zdrowiu, z mglistych nizin wysłany przez lekarzy, by nabrał sił na słońcu i wietrze podalpejskim, płynie Rodanem, szuka śladów kolebki swego starożytnego domu. Z bijącym sercem patrzy na mury miasta Orange, gdzie protoplasta rodu, słynny w pieśni trubadurów Wilhelm Krótkonosy, paladyn Karlomana, założył pierwsze gniazdo.

Poeta chwytą w przelocie tysiące wspomnień historycznych i legend, snujących się na brzegach Rodanu, ożywia je, stroi w barwy bogatej fantazyi. Awinion, gród papieżów, nowy podaje wątek. Podróżni, korzystając z chwilowego spoczynku, zapuszczają się w głąb lochu pod pałacem, gdzie ukryty bogaty skarbiec, a w nim dwunastu

apostołów ze szczerego wykutych złota. Zabrakło czasu, uderzyła godzina, trzeba popłynąć dalej.

W tym różnobarwnym tłumie podróżnych świeci jak zorza postać wiejskiej dziewczki,—to młodziechna Anglora. I ona pośpiesza na jarmark do Beaucaire, z garstką złotych okruszyn, zebranych w piasku nad Rodanem. Dzieweczka, zapatrzona w fale, ujrzała odbitą w niej postać złotowłosego królewicza Wilhelma. „To Drak!“ pomyślała w duchu: serce jej na gwałt bije, siła nieprzeparta pociąga ją do czarodzieja. Wilhelm nie wywodzi jej z błędu, przyrzeka jej pałace z pereł i diamentów. Anglora gotowa iść za nim chociażby na dno rzeki.

O brzasku zorzy ukazuje się cudny obraz Prowancyi. Alpy ze śnieżnemi wierzchołkami rysują się na tle pogodnego błękitu, pasterze arelaccy wypasają na stokach liczne gromady owiec. Dźwięk ich fletni potraça o fale Rodanu. To istni królowie gór, wśród skał i lodozwałtów krążą z całą swobodą.

Na widnokregu toną w błękiecie
Skały Werborsu—tam, na ich szczycie
Odwieczne śniegi w słońcu się mieniają.
Stoki porośło bujną zielonią,
Utkaną w wonne kwiaty i zioła,
Gromada owiec zbiega dokoła.

Odkąd świat światem, zwał Alp należy
Do arelackich naszych pasterzy.
Olbrzym ich szczyty przerasta głową,
Cały spowity chmurą gradową;
Pyszny, bo trzyma w dłoni szerokiej
Rzek i zdrojowisk grzmiące potoki,
Sam je rozdziela, po stromej skale
Stacza w dwie strony kipiące fale;
Temi kraj Gallów żyzni, tamtemi
Spalone smugi Italskiej ziemi.

W alpach nasz pasterz dziedzicznym panem,
Słynni mocarze, co nad Rodanem
Stacjali niegdys boje zazarte,
Wielki Karloman, czy Bonaparte,
Czy Annibale, czy też Cezary,
One Tytany, w pysze bez miary,

Zaliż wbrew światu chlubić się mogą,
 Że przeszli Alpy zwycięską nogą,
 Gdzie każdej wiosny pastuchy nasze
 Gromady owiec pędzą na paszę?
 Rogate kozły po przodzie kroczą,
 Za nimi zuchy drą się ochoczo,
 Z góry na górę;—tak zastęp śmiały
 Z fletnią przekracza alpejskie skały.

Statki pomykają z biegiem wody coraz dalej a dalej; tymczasem głuche wieści roznoszą wkoło trwogę. Jacys podróżni z Lyonu rozpowiadają dziwy o potwornym okręcie, buchającym kłębamii dymu, który bez koni, bez lin ani łańcuchów, nie wlecze za sobą szeregu łodzi, ale samopas wspina się w górę przeciw prądom.

— „Bajdy, wierutne bajdy! — pomrukuje na to patron Appian — i kto-by temu wierzył. Ależ jeśli-by mogło przyjść do tego, w co by się obróciła ta liczna gawiedź, co żyje z pracy na rzece, ta ćma przewoźników, poganiaczy, karczmarzy i powroźników, ten wrzaskliwy tłum, co ntrzymuje życie i sławę Rodanu. Warto-by wtedy zgnieść na marny proch owych oszustów, którzy wyzyskują lud, owych wichrzycieli porządku i filozofów!“

Pomrok jednakże padł na czoło starego Appiana. Gdybyż to było prawdą? Ale nie traci głowy, steruje wytrwale, doprowadza statki do Beaucaire.

Obraz jarmarku nakreślił poeta z nieporównanem życiem. Przed oczyma naszymi przesuwają całe rojowisko ludów, przybyłych tu ze wszystkich krańców świata. Zawijają do przystani ładowne statki z Hawru i Marsylii, z Malagi i Neapolu, z Azji nawet i afrykańskich brzegów. Półksiężycyce proroka błyszczą na flagach tureckich i tunezańskich. Rozmaite gwary mieszają się pospół, istnie jak u wieży Babel!

Wrzawa ucisza się nakoniec. Jarmark na schyłku; czas w drogę. Patron Appian zwołuje podróżnych, ksiązę Oranii wyprawia ucztę pożegnalną. Słońce chyli się do zachodu, rzuca na Rodan czerwony odblask, istny płaszcz, we krwi zbroczony. O zmierzchu, przy świetle księżycy, flota odbija od przystani, ładowne statki ledwie się poruszają, ciężko płynąc pod wodę.

— Biada nam! — szepce jeden przewoźnik do drugiego. — Klęska krąży w powietrzu, gotowa nas ugodzić.

— Bracie, — odrzeczcie tamten, — żyjemy w złym wieku; szatan porwał go na rogi, straszliwie nim pomiata.

Flota płynie z oporem, dwadzieścia rosłych koni ciągnie ją pod wodę, postępując zwolna po wybrzeżu. Rozlega się trzaskanie bicia, pomieszane z głośnień nawoływaniem poganiaczy. Chmura wzbija się w górę czarnym słupem, wichry dmie coraz groźniejszy, rzeka szumi złowrogo. Strwożona służba macza ręce w Rodanie, niby w olbrzymiej kropielnicy, i żegna się krzyżem świętym.

Wypada zanocować w przystani Awinionu. Wichry uciszył się; ale serca nie ochłonęły z trwogi. Przy wieczerzy krążą z ust do ust opowieści o wybrykach Rodanu, jak pchany mistralem wybiega z łożyska, zalewa pola, zmiata wieśniacze chaty, porywa dobytek, kruszy pnie drzew stuletnich.

Przeszła noc, nazajutrz o brzasku mistral zahuczał przeraźliwie. Rodan odpowiada mu grzmiącym porykiem. „Dalej chłopcy, czas w drogę!“ — woła patron Appian, lecz konie stają dębem, z rozwianą grzywą, ledwie postępują naprzód. Wszyscy drżą przerażeni, Anglora tylko patrzy z ufnością w oczy królewicza. Serce dziewczyny, jak wosk na słońcu, topnieje pod wzrokiem ukochanego. On ją ocali, chociażby na dnie rzeki, powiedzie ją do złotego pałacu. Wodotrysk Turny niedaleko. Tu wykuty w skale odwieczny ołtarz Mitry, a na nim godła Zodyaku; lud składał tu ofiary na cześć słońca, którego Mitra był symbolem; pod tym wiecznie kipiącym wodospadem Drak obrał tajemnicze swe gniazdo.

Otóż i wodotrysk. Nagle od północy powstaje grzmiący łoskot; Rodan ryknął jak tur, strasznie najeżył grzywę. Kłęby dymu przyćmiły przestrzeń. Otóż z po-za drzew jawi się olbrzymie widziadło. Przewoźnicy stoją skamieniali, wśród nich patron Appian, błądy jak widmo, wlepił oczy w ów młyn dyabelski, co kołami wściekle rozbija wodę.

— Na bok! woła kapitan parostatku. Wkoło rozległ się okrzyk trwogi.

— Zbój! — zawołał Appian, — nie ustąpię przed tobą, Rodan do nas należy.

Zaledwie to wyrzekł, Krokodyl (tak się zwał parowiec) uderzył na flotę, poroztrącał łodzie, konie i poganiaczy strącił na dno Rodanu.

Rozbita flota cofa się wstecz, uniesiona prądem. Patron Appian wzrokiem piorunującym ściga parowiec, znikający w oddali, woła ochryplym głosem: „Ha morderco! piekło wyrzuciło cię z czeluści swoich na zatrącenie nieszczęśliwego ludu! Bądź przeklęty! przeklęty! Niech spłoną w ogniu piekielnym ci, którzy roztlili twój płomień. Od tysiąca lat Rodan był nasz, on naszym pozostanie, a ty przepadniesz wnet bez wieści!“

W teje chwili statki, napędzone na arkady pod mostem, roztraściły się do reszty, prąd fali wyrzucił je na wybrzeże. Rozbitki, starzane we krwi i błocie, szamocą się z kłętwą i jękiem przeraźliwym.

— Czy wszyscy żywi,—pyta patron Appian.

— Brak nam tylko królewicza i tej !biednej dziewczyny,—odpowie kilka głosów.

Napróżno młodzian pochwyił Anglorę, chcąc ją uratować od śmierci, fala porwała oboje. Biedna Anglora do ostatniej chwili zachowała słodką nłudę, że na dnie Rodanu znajdzie pałac ze złota, błyszczący od pereł i dyamentów, gdzie ją powiezie Drak, przedziergnięty w postać jasnówłosego królewicza.

— „Dzieci moje,—rzecze do swoich patron Appian,—Rodan przepadł już dla nas. Wracajmy do Condrieu, pochwalmy tam Ś-go Mikołaja, on-to zachował nas przy życiu“.

Rzekłszy to, starzec opasał się liną, zarzucił ją przez ramię i ruszył naprzód z głową pochyloną. Cała załoga puściła się za nim brzegiem Rodanu do rodzinnego gniazda.

W sierpniu umarł Edmund Goncourt, autor powieści, studyów historycznych i autobiograficznego dziennika. Ze zmarłym bratem zdobył on przed laty czterdziestu niemały rozgłos w literaturze. Na ten rozgłos wpłynęły szczególniej pochwały Juliusza Janin'a, słynnego podówczas felietonisty, zamieszczone w odcinku Debatów, po ukazaniu się małego tomiku p. t. *Les hommes de Lettres*. Ośmieleni powodzeniem, bracia Goncourt wystąpili na polu powieściopisarstwie. Celniejsze ich utwory, jak *Charles Demailly*, *Manette Salomon*, *Soeur Philomène*, *Germine Lacerteux*, *Renée Mauperin*, zwróciły uwagę jako jedne z pierwszych objawów naturalizmu w literaturze powieściowej. Wprawdzie poprzedził ich Flaubert, autor *Pani Bovary*, wydanej w roku 1857, lecz bracia Goncourt posunęli się dalej jeszcze w opisach brzydotej społecznych, w czem miał wkrótce prześcignąć ich i przyćmić Emil Zola.

Bracia Goncourt liczeni też są powszechnie do twórców naturalistycznej szkoły. Oni nauczyli nowych pisarzy, jak budować na podstawie zebranych dokumentów, jak osłaniać się powagą nauk ścisłych, jak, z pominięciem wszelkich praw moralności, wierzyć tylko w prawa fizyologiczne, stwierdzone medycyną, nie ukrywające żadnej tajemnicy.

Obrazy ich zimne, suche, bez życia; autorowie siłą się w nich na styl wytworny, trzymając się teorii słynnych stylistów: Flaubert'a, Teofila Gautier i Pawła de Saint Victor. „Pilnujmy formy, z formy rodzi się idea,“ powiedział niegdyś Flaubert. Bracia Goncourt'owie poszli dalej: utworzyli styl wymanierowany, pretensjonalny, ciemny, przypominający Voiture, Maquarilla i innych pisarzy XVII, wieku tak ośmieszonych przez Moliera w komedyi *Les précieuses ridicules*. Tę manierę pochwyciła szkoła *dekadentów* dzisiejszych.

Historyczne dzieła braci Goncourt tenże sam mają charakter. Wiek XVIII głównym był przedmiotem ich badań. Oto cały szereg prac w tym kierunku: *Historja społeczeństwa francuskiego podczas rewolucyi i Dyrektoryatu, Portrety z wieku XVIII, Zofia Arnauld, Maryja Antonina, Faworyty Ludwika XV, Kobiety XVIII wieku, Aktorki ówczesne, Malarz Watteau*.

Książki te, pełne drobiazgowych opisów, są bez wątpienia wier- nym obrazem tej epoki; autorowie z ogromną pracą zebrali z tysiąca broszur i dzienników charakteryzujące ją rysy. Notaty swoje ukla- sifikowali z najściślejszą metodą, ale nie utworzyli z nich organicznej całości, nie tchnęli w nie iskiereki życia. Stąd historyczne ich prace, zimne i martwe, mimo całej ściśłości, nie poruszają serca ani umysłów.

Wśród wszystkich prac braci Goncourt *Dziennik* ich odznacza się szczególną żywością. Porywa on uwagę czytelnika, ale, jak słusznie powiedziano, porusza głównie ujemne instynkta, od jakich nie są wolne wyższe nawet umysły. Ludzie, stojący na świeczniku, przedsta- wieni tam z pospolitej i śmiesznej strony, oblużgani sarkazmem. Kartki te kreślili autorowie co wieczór; rzucali na papier dzienne wrażenia, to jakąś dorywczą sylwetkę, to plotkę usłyszaną, to żart z akademii lub z pracowni artysty, to jakiś złośliwy paradoks. Nie przebaczali nikomu. W Thiersie widzą tylko starego gadulę—obłudnika. „Teofil Gautier, z twarzą obrzękłą i uśpioną, to smakosz, zajęty wyłącznie my- ślą o przyrumienionej pieczeni. Wiktor Hugo to komedyant, niby-to zakochany we wnuczętach“. Nuta sympatyczna nigdy nie podzwania w ich słowie, wzrokiem pogardy ogarniają całe społeczeństwo.

Juliusz Goncourt umarł przed dwudziestu pięciu laty. Edmund nie złożył pióra, prowadził dalej swój dziennik, wydawał go częściowo. Ostatni tom zostawił w rękopiśmie, z poleceniem, by nie prędeż, jak w lat dwadzieścia po jego śmierci, ogłoszony był drukiem. Wykonawcą ostatniej woli mianował Alfonsa Daudet, jednego z nielicznych przy- jaciół, w którego domu umarł.

Obaj bracia przeznaczyli znaczną część milionowego majątku na założenie akademii pod swem imieniem. Celem jej: wyprowadzić na widownię nowatorów, dążących śmiałym krokiem, jakich-by Akademia

francuska tolerować nie mogła. Takich dziesięciu członków wskazał Edmund Goncourt, wybrał ich z pomiędzy koryfeuszów naturalistycznej szkoły. Zastrzegł wyraźnie, aby żaden poeta nie zajął nigdy miejsca w jego instytucyi. Każdy z członków ma pobierać sześć tysięcy franków rocznie, obowiązkiem ich sądzić prace, nadsyłane do konkursu, i rozdawać nagrody. Gdyby który z członków ubiegał się o krzesło w Akademii francuskiej, ma być wyłączony z ich grona.

Nowa ta akademja jeszcze się nie urządziła. Nie wiadomo dotąd, czy Alfons Daudet zechce jej prezydować. Rzecz wątpliwa zarówno, czy sprzedaż posiadłości i bogatych zbiorów sztuki japońskiej, jakie zostawił Edmund Goncourt, wystarczy na utrzymanie instytucyi. Wszystko to niebawem się wyjaśni.

Chasle Pavie d'Angers, wydał ciekawe wspomnienie o ojcu swoim, Wiktorze, jednym z najzagorzalszych zapaśników romantyzmu, w czasach pamiętnej walki. Mimo wyższego talentu i prac niezwyklej wartości, imię Wiktora Pavie utonęło w odmęcie tej burzliwej epoki, przyemił je blask aureoli, bijący z czoła Wiktora Hugo, Musset'a i Lamartine'a. Zapomnienie to wytłómaczył biskup Freppel w mowie pogrzebowej: „Jakim sposobem, zawołał mówca, ten poeta, pełen wzniosłego polotu, ten wytrawny szermierz pióra, ten człowiek tak szczerze obdarzony, nie zaznaczył sobie miejsca pomiędzy koryfeuszami swej epoki? Oto wrodzona nieśmiałość, a raczej głębokie poczucie chrześcijańskiej pokory, nakazywało mu trzymać się na uboczu i ukrywać osobistość swoją!“ Cenili go przecież współcześni; Sainte-Beuve, surowy krytyk, daleki od pochlebstwa, który rzucał wszystkim w oczy gorzką prawdę, tak się wyraża o nim: „Wiktor Pavie, najmłodszy towarzysz naszego biesiadniczego koła, najwierniejszy temu, co za młodu ukochał, gdy wszystko zmieniło się i poszło w rozsypkę, on sam zachował młodzieńczy entuzjazm, jasny promień na czole, w sercu skarb nieprzebrany“.

Trzydziestoletnia przyjaźń łączyła Wiktora Pavie z mistrzem dłóta, słynnym Davidem d'Angers. W dziele Henryka Jouin, wydanem przed sześciu laty o wielkim rzeźbiarzu, znajdujemy kilkadziesiąt listów, pisanych do przyjaciela; David uznaje wysoką wartość jego utworów literackich, ubolewa nad tem dziwacznem ukrywaniem skarbów, zamkniętych w jego sercu i duszy.

Wiktor Pavié tak dalece posuwał skromność, że oddał tylko panu Jouin korespondencyę Davida z ojcem swoim, Ludwikiem P'avié, nie chcąc popisywać się przed światem sypanemi mu pochwałami. Wydawnictwo przeciągnęło się lat parę, tymczasem umarł Wiktor, co pozwoliło biografowi korzystać z listów głęboko zagrzebanych.

W roku 1829 młody Pavié, podówczas jeszcze uczeń prawa w Sorbonie, odbył z Dawidem podróż do Wejmaru, gdzie mistrz dłota miał wykonać medalion Goethego.

— „Widziałem genialnego poetę, pisze młodzian do ojca, mogę się pochłubić że go widział; na widok jego dreszcz konwulsyjny przebiegał mnie po żyłach; przyjął nas nadzwyczaj uprzejmie, wprowadził do apartamentu pełnego popiersi, starożytnych rzeźb i oryginalnych szkiców, wykonanych mistrzowskim pędzlem“.

Dawid wręczył mu listy rekomendacyjne, potem złożył w darze trzy gipsowe medaliony: Rossiniego, Cousin'a i malarza Delacroix. Na tego ostatniego żalił się poeta, że ilustrowany przez niego „Faust“ nie dosyć sarkastyczny; wysoko podnosił jednak samodzielny jego pędzel. Gdyśmy usiedli, Goethe począł mówić o literaturze francuskiej, o Molièrze i Lafontainie, „pocie naiwnym, jakiego potrzeba dla Niemców“, przeszedł od nich do Kornela i Woltera; zdaniem jego, Bernardin de Saint Pierre (autor Pawła i Wirginii), to istny wyraz współczesnej literatury. Wiktor Hugo „to pisarz pięknego talentu“; z dramatów jego podnosi szczególnie *Kromwela*. Chenier'a nazwał ojcem nowożytnego dramatu, w Byronie widzi nadzwyczajny objaw tej epoki.

Postać Goethego silnie uderzyła młodego poetę; maluje go w kilku dosadnych rzutach pióra. „Wzrost jego wysoki, pełen powagi, głowa potężna, oko wilgotne, błyszczące iskrą geniuszu. Gdy mówi, wyraz twarzy nie zmienia się bynajmniej. Tyle namiętnych uniesień, tyle gwałtownych uczuć wypowiedział w życiu, że słowo jego zużyło się i wystygło“.

Dziwny ten chłód powiewał od Goethego i na młodego entuzyastę. Wiktor Pavié cierpi na tem, uskarża się w dzienniczku. „Oto trzynasty dzień już przebywam w obcym mieście, wobec człowieka, dla którego jestem niczem, którego boję się okropnie. To istne widmo z czasów Wielanda i Schillera!“

Do tej niechęci przyczyniła się może upokorzona miłość własna. Pavié złożył wielkiemu poecie zwrotki trzech romantyków, skreślone na jego cześć. Goethe pochwalił dwa utwory, o trzecim nic nie wyrzekł. Były to jego wiersze.

Doczekał się jednak Pavié w Wejmarze chwil słodkich, nigdy niezapomnianych. Spotkał tam Mickiewicza i Odyńca; spotkanie to opo-

wiedział we *Wspomnieniach* młodości, ogłoszonych przed dwudziestu pięciu laty.

— „Dnia jednego, pisze Pavié, jedliśmy z Dawidem obiad pod *Słoniem*. Uczta zbliżała się do końca, dym tytoniu napełnił wielką salę. W tłumie Niemców uderzyły nas dwie sympatyczne twarze. Dwaj cudzoziemcy siedzieli po drugiej stronie stołu. W oka mgnieniu nastąpiła rozmowa. Wymienili nazwiska swoje, lecz te utonęły w ogólnym gwarze. Z rysów i akcentu odgadliśmy ich narodowość.

Po pierwszych oznakach współczucia, rozmowa przeszła na literaturę, silnie rozbudzoną wtedy tak nad Sekwaną, jak nad Wisłą. W odpowiedzi na ich gorące słowa o koryfeuszach francuskich, jałem wysławiać imię, które od niedawnego czasu odbrzmiewać zaczęło we Francyi, imię Adama Mickiewicza.

— Mam portret jego w moim pokoju, rzekłem, pomimo, że dotąd nie znam jego utworów.

— Portret zapewne niepodobny,—odparł z uśmiechem młodszy. Starszy zarumienił się widocznie. Przypatrzywszy się bliżej, poznałem Mickiewicza. Nastąpiły uściski.

— Dobrze, że cię złapałem, mój poeto, zawołał Dawid, nie ujdziesz mi, muszę odtworzyć dłotem rysy twoje. To mówiąc, pociągnął Mickiewicza przez schody.

— Witaj-że pod namiotem moim, rzekł z radością, otwierając drzwi pokoju. Weszliśmy za nim.

Mickiewicz, rad nie rad, zniewolony gorącą prośbą Dawida, zasiadł na miejscu wskazanem; na marmurowej tablicy leżała kulka wosku. Dawid rozplaszczył ją, rozciągał, a pod palcami jego poczęła przybierać kształty ludzkiej twarzy.

— A teraz, rzeczcie, zaśpiewaj nam jedną z twych pieśni. Niech pierwsze echo z Francyi odpowie tu pieśni twojej. Nie poruszaj się, mów, słucham. Dalej młodzi do pióra!

Zasiadłem u stołu z towarzyszem i chwytaliśmy w przelocie słowa poety.

Mickiewicz, który nigdy dotąd nie dotknął stopą francuskiej ziemi, powtarzał w mowie naszej pierwsze zwrotki „Farys:“

„*Sublime!* wołał co chwila Dawid. „Mam cię, powtarzał sam do siebie, choćbyś umarł i przepadł w ziemi, żyć będziesz po-za grobem.

Poeta ciągnął dalej, strofy jego gorące były jak płomień, czyste jak śnieg, dziewicze jak pustynia ludzką nie tknięta stopą.

I oto, pod mimowolnym ruchem ręki mistrza, medalion obrócił się ku naszej stronie. To on! to jego skroń młoda, przecież zorana burzą. To dumne jego usta, jego oko pełne głębokiej myśli, to ten wyraz zadumy łączący w sobie natchnienie poetyczne z wiarą chrześciana.

Szczęśliwy traf zbliżył do siebie dwa genjusze, nieznanne sobie dotąd. W oka mgnieniu oba zbiegły się w jeden płomień.

Wieczór upłynął na swobodnej rozmowie. Mickiewicz, milczący z natury, odchyłał pomału zasłonę z życia swego. Nie wyrzekł ani słowa o rozgłosie dzieł własnych, o wielkim ich wpływie na naród. Dopełnił go towarzysz.

Nazajutrz Dawid, ledwie ze snu zbudzony, spojrzął na promieniste rysy Mickiewicza, ulepione z czerwonego wosku. Powrócę, rzeczce do Paryża śmiało, z głową do góry podniesioną, nie próżno tu przybyłem!

Pawie wspomina ogólnikowo o spotkaniu z poetą polskim w domu Goethego, lecz nie daje szczegółów tego spotkania. Opowiada za to wspólną z polskim poetą wycieczkę do Jeny, w kilku rzutach pióra, maluje sławne pobojuwisko.

„Uczucia, jakie nami wstrząsały, dodaje, nie tylko odbijały w słowach, ale malowały się w grze fizyognomii. Dawid marzył o tych umarłych bez imienia, bez promyka chwały, bez grobowego nawet głazu. Mickiewicz szczytnie rozbierał problemat tej krwi bratniej, stoczonej tak bezpłodnie, a tak wspaniałomyślnie. W tej chwili szczególnie dźwięki muzyki, przeciągłe i drgające, ozwały się opodal. Spojrzeliśmy ku miastu, nikto za siną mgłą oddalenia, dzwonnica tylko połyskała w promieniu słonecznym. Snadno zgadnąć, że tu było ognisko harmonii. W tych pełnych dźwiękach czuliśmy jakoby ciepłe tchnienie dusz, co ożywiały niegdyś owe ciała, rozsiane po szerokiem pobojuwisku. Ton ich poważny, spokojny, nie kołysał bynajmniej do snu, ani też jak trąba bojowa nie wyzywał do nowych zapasów. Był to raczej jakoby hymn finałny wszystkich dyssonansów ziemskiego zycia!”

W takim-to religijnem usposobieniu pożegnali się czterej towarzysze, którzy nie mieli już więcej razem spotkać się na ziemi. Dawid d'Angers i Wiktor Pawie utrzymywali z Mickiewiczem stosunki nawiązane w Wejmarze; czwarty tylko towarzysz, Odyniec, znikł im z oczu, lubo żył w ich sercu i pamięci. W dwa lata potem Pawie spotkał w Paryżu wielkiego poetę naszego. Posłuchajmy, co mówi o nim.

„Widywaliśmy często przy studenckiem naszym ognisku twórcę „Konrada Wallenroda“. Słodki był i prosty, jak dziecię, niekiedy zamysłony i ponury; czoło jego zginało się pod ciężarem. Cierpiał boleścią drugich; aby osłodzić ich dolę, byłby oddał nie tylko życie, ale nawet sławę swoją, gdyby ta sława miała dlań jakiś urok. Widziałem go w salonie Wiktora Hugo; wszedł niespostrzeżony; w tłumie gości zniknął mi z oczu. Był to dla mnie prawdziwy typ abnegacyi. Wolny od wszelkiej próżności osobistej, kochał, czcił i podnosił drugich. Prorok pomiędzy swymi, znalazł i między nami gorące uznanie. Słynne

pióro scharakteryzowało jego geniusz i nazaczyło mu właściwe stanowisko ¹⁾). Medalion Wejmarski pod dłótem Dawida d'Angers przybrał znaczne rozmiary popiersia marmurowego. Pod dachem tego szlachetnego przyjaciela, o kilka mil od Paryża, w domu wiejskim, znalazł Mickiewicz słodką chwilę ulgi w ciężkich troskach, z powodu choroby żony, zakończonej przedwczesną śmiercią. Poślubił on nieszczęście i boleść. Złamany tylu próbami, ustąpił z tej katedry, z której pełnym blasku wykładem umiał tryumfalnie pokonać trudności naszej mowy“.

Wiktor Pavie w młodych latach opuścił Paryż i zamieszkał stale w Angers. Przyrósł duszą całą do domowego ogniska. Po ukończeniu w Paryżu kursów naukowych i żywym udziale w zapasach romantyzmu powrócił we własne progi. Zabrał się do pracy w wydziale prawniczym, nie zaniedbał jednak literatury; powieści, poezye i rozprawy krytyczne ogłaszał wyłącznie w miejscowych czasopismach. Chęć szerszego rozgłosu nie pociągała go na arenę paryską, gdzie mógł wyrobić sobie zaszczytne miejsce. Życie rodzinne, szacunek powszechny, przyjaźń serc wybranych, nagradzały mu hojnie tryumfy akademickie, do których miał niezaprzeczone prawo.

Po latach pracy w zawodzie prawniczym, przeplatanej pracą literacką, Wiktor Pavie, powolny ojcu, objął w Angers drukarnię, która od dawnych czasów przechodziła spadkiem z pokolenia na pokolenie. Czuł on głęboko potrzebę decentralizacji i wiedział, o ile wydawnictwa w miastach prowincjonalnych mogą się przyczynić do szerzenia światła, a tem samem do ogólnej pomyślności kraju. Do późnych lat pracował gorliwie na tem polu. Umarł przed laty kilku, otoczony poważaniem i miłością, w rodzinnem gnieździe swoim.

Do ciekawych wydawnictw tutejszych należy *Przegląd przegladów* (*Revue des Revues*). Zebrane tu najświeższe wiadomości, rozrzucone po pismach, obznajamiają publiczność z ruchem literackim i artystycznym. Nie dosyć przecie na tej kompilacji; przegląd ten ogłasza oryginalne powieści, rozprawy krytyczne i naukowe, równie jak wspomnienia znakomitych ludzi z różnych krajów. Do tych ostatnich na-

¹⁾ Georges Sand i Michelet pisali o Mickiewiczu, nie wiemy kogo ma na myśli Wiktor Pavie.

leży ogłoszone świeżo wspomnienie szkockiego poety Burnsa, którego stuletni jubileusz obchodzili niedawno Szkoci z niesłychanym zapalem.

Robert Burns, prosty wieśniak szkocki, wielkie zajmuje miejsce nie tylko w literaturze kraju swego, ale, co więcej, w rozwoju poetycznym wszystkich krajów europejskich. On pierwszy wydobył z ukrycia skarby poezji ludowej i pokazał, czem stać się mogą te iskierki, rozniecone potęgą geniuszu. Wśląd za nim poszedł Walter-Skot, Byron i ci wszyscy, którzy w dziedzinie poezji „zerwali z posad bryłę świata i nowemi pełnili ją tory“.

Przypatrzmy się bliżej postaci popularnego poety, którego sławą chlubi się dziś cała Szkocya.

Smutnie ubiegło życie Burnsa od kolebki do grobu. Krótkie passmo dni jego, przerwane gdy dobiegł lat czterdziestu, snuło się wśród cierpień i zawodów, a co smutniej, wśród szalu i obłędu. Kiedy przyszedł na świat 25-go stycznia roku 1759 w noc ciemną i burzliwą, wichur rozszalał się tak gwałtownie, że powalił część chaty; biedna matka musiała szukać schronienia u sąsiadów. Pokazują dotąd ową chatę przy drodze, pomiędzy miastem Ayr, a mostem na rzece Doon; w pobliżu sterczą odwieczne zwałiska, gdzie, jak mówi lud, czarownice odbywają swój *sabat*. Na tem podaniu Burns wyśpiewał jeden z celniejszych poematów.

Do hrabstwa Ayr przyrosły najdroższe wspomnienia poety. Tam osiadł około roku 1757 prosty wieśniak z dalszych stron, który czas jakiś przebywał w Edynburgu i tam nabył nieco nauki, zwał się William Burns. Pojął on w małżeństwo ubogą dziewczynę wiejską, wziął w dzierżawę parę włók ziemi, uprawiał ją z mozołem. Własnymi rękoma pobudował chatę z nieociosanych desek i gliny. Człowiek to był pracowity, trzeźwy, uczciwy, zacięty kalwinista, jeden z tych chłopów szkockich, którzy wiernie trzymają się przepisów Biblii.

Sam wychowywał siedmioro dzieci, najstarszym z nich był Robert. Synowie uprawiali ziemię, odkąd siły pozwalały im na to. Za powrotem z pola, podczas wieczery, czytawali dzieła wybrane przez troskliwego ojca; w jednej ręce trzymali łyżkę, w drugiej książkę otwartą, karmili ciało i posilali ducha. Niekiedy matka ożywiała ciszę ponurą, śpiewając stare ballady szkockie. Robert czasami towarzyszył ojcu w dniu targowym do Ayr, dokąd ściągaly kanałem liczne łodzie.

William Burns przeniósł się następnie do Mount Oliphant, w bliskości rzeki Doon; wziął tam nową dzierżawę, pewien, że ją przywiedzie do kwitnącego stanu. Tu spotkał go nowy zawód. Chuda ziemia nie wydawała plonów, daremnie przez lat jedenaście walczył z nią

wytrwały rolnik, nie z niej wydobyć nie mógł. Robert Burns opisał później ten czarny okres życia swego, był to istny los galernika. A przecież w tym czasie poetyczna dusza jego nieraz doznała słodkich wrażeń i pod ich wpływem zapominał o swej ciężkiej doli.

„Według miejscowego zwyczaju, mówi poeta, podczas sprzętu żenicy pracowali we dwoje; skończyłem podówczas lat czternaście, miałem za towarzyszkę u żniwa dziewczkę o rok ode mnie młodszą. Śliczna to była czarodziejka, słodkie i dobre dziecię. Kochałem ją, jak kochamy w roku piętnastym; jak to przyszło, sam nie wiem. Trudno mi też wypowiedzieć, czemu, gdy przy niej wracałem z pola, nie było mi śpieszno do domu, dla czego na słodki jej głosik drżało mi serce ni by arfa eolska, czemu krew kipiała w żyłach moich, gdy podała mi drobną rączkę, bym z niej wydobył kolce ostu. Tak rzewnie śpiewała dziewczka, że chęć mnie brała do piosenki jej układać nowe zwrotki. Miłość uczyniła mnie poetą. Biedna Mailly, moja śliczna żniwiarka! wkrótce potem skosiła ją śmierć i sielanka zakończyła się elegią. Nigdy nie wyszła mi z pamięci.“

Z myślą o niej Robert Burns tworzył piosenki, które miały uniesmiertelnić jego imię. To poetyczne natchnienie objawiło się dopiero z pełną siłą, kiedy ojciec opuścił Mount Oliphant, a przeniósł się do Lochlea, w mniej jałową stronę Ayrshiru. Siedem lat przepędził tam Robert z rodziną. Dzielił czas między pracę w polu i naukę. To życie jednostajne przeplatały też rozmaite przygody. Miał on serce gorące, zapalał je widok pięknych oczu. Krzepki, dorodny, typ Szkota w całym słowa znaczeniu, podobał się dziewczętom, nie był też dla nich obojętnym. Nie jedna wydobyła z jego serca trwalszą iskierkę. Przyszło mu wreszcie na myśl, że czas już stanąć przed ołtarzem; zwierzył się z tem bratu Gilbertowi; ten radził, że wypada wprzód zapewnić sobie byt niepodległy. Oba razem uprawiali ziemię, ale Robert lepiej układał rymy, niż skiby na zagonie. Chcąc zdobyć dobrobyt, postanowił zająć się miądleniem lnu; ogniskiem tego przemysłu była osada Irwin.

Marzył on wtedy o Mary Morisson, ale piękna dziewczyna obojętnie słuchała jego pieśni i czułych westchnień. Cierpiał na tem zakochany poeta; pośpieszył do Irwin i tam doznał zawodu. Wspólnik okradł go, zakład lniany poszedł w perzynę; powrócił biedak do Lochlea z próżnymi rękoma, z sercem przepefnionem goryczą. W domu nową napotkał boleść, zastał ojca na łożu śmiertelnem. Stary William konającym wzrokiem ogarnął marnotrawnego syna, w oku starca nie było gniewu ani wyrzutu. Rolnik przebaczył poecie, od dawna odgadł go w synu swoim.

Robert z bratem, po śmierci ojca, widząc po raz drugi grożącą im ruinę, porzucili Lochlea, przenieśli się o mil kilka do Masgiel i na własną rękę wzięli nową dzierżawę. Matka i siostry osiadły przy nich. Robert zamierzał wziąć się z całą siłą do pracy. Czytał książki rolnicze, prowadził skrzętnie rachunki, w świecie chłopskiej przebiegał targowiska.

Dobre chęci spełzły na niczem, zboże chybiło, nędza zajrzała w progi domu. Zniechęcony Robert zdał na brata trudy gospodarcze, sam zaś rzucił się z szaleńcem do poezji. Przez dwa lata pisał zawzięcie, nagromadził mnóstwo rękopisów, mógł nimi zapełnić tom wielki. Natchnieniem jego była wtedy Joanna Armour, córka mularza z pobliskiej wsi Manchlin. Zaślubił ją tajemnie. Ojciec jej zżymał się na wieść o związku córki z włóczęgą, skąd boleść Joanny i rozpacz Roberta. Wkrótce żona powiła mu bliźnięta; postanowił wtedy szukać szczęścia na Jamajce. Niestety! brakło pieniędzy na daleką przeprawę.

Ktoś doradził mu ogłoszenie drukiem licznych pieśni; przebiegały one z ust do ust, w całym hrabstwie zdobyły popularność. Elegie o Mary Campbel (*Highland Mary*) wyciskały wszystkim łzy z oczu. Poeta spotkał tę Mary w kościele, na krótki czas przed urodzeniem się swych bliźniętek. W tem pierwszym i jedynem spotkaniu, z Biblią w rękę, poprzysięgli sobie oboje wieczną wiarę. W tym-że roku Mary Campbel powróciła z hrabstwa Argyll; nim powitała Roberta, złośliwa gorączka wtrąciła ją do grobu. Wspomnienie jej wydobyło z pod pióra poety płomieniste zwrotki. Z mnóstwem innych pieśni wydał je księgarz z Kilmarnock w r. 1786. Książka znalazła ogromne powodzenie. Cała Szkocya zachwycała się swoim poetą *oraczem z Ayrshiru*. Najsurowsi krytycy sypali mu pochwały. W Edynburgu wyprawiono mu gorącą owacę.

Dzięki wpływom poważnych osób, ulubiony śpiewak otrzymał posadę w administracji. Przyjaciele radzili mu, aby oddał się wyłącznie pracom poetycznym. Słuchał ich czas niejaki, później uważał za obowiązek powrócić do zajęć rolniczych, tak nieodpowiednych dla niego. Zadzierżawił osadę w Ellisland. Pierwsze lata szły dosyć pomyślnie, ziemia wydawała mu plony, a co więcej, geniusz potężny urastał w coraz nową potęgę. Obok zdolności lirycznych rozwijał się w nim popęd do dramatu i epepei. Pierwszym tego objawem pyszny poemat Tom O'Shanter. Urządził interesa domowe, pogodził się z ojcem Armour, pokazuje to korespondencja z panią Dunlop, szczerą i pełną poświęcenia przyjaciółką. W tych listach wyraża poeta szlachetne uczucia swej duszy.

Ale to szczęście krótko trwało, bieda znów czuć się dała, upadło gospodarstwo, dochód z kilku tomów poezyi, jakkolwiek czytano je w całej Szkocyi i Anglii, nie wystarczał na utrzymanie żony i dzieci. Burns zmuszony był usunąć się do miasta Dumphries, zamieszkał tu z rodziną w ciasnej i ciemnej uliczce; odtąd ogarnął go czarny smutek, dręczące troski rozpraszał alkoholem. Tworzył jeszcze ballady, ale duch jego upadał widocznie. W domu zapanowała nędza, przyjaciele usuwali się pomału. Głos powszechny potępił poetę.

Alkohol zgubnie oddziaływał na stan umysłowy i fizyczny nie-szczęśliwego. Siły opuściły go nagle, w trzydziestym siódmym roku miał pozór zgrzybiałego starca. Bolesnie było patrzeć na tę potężną inteligencyę, wyłamaną całkiem z karbów woli.

Przyszło nakoniec upamiętanie i serdeczna skrucha. Burns przestał pić, zdrowie jego poprawiło się, ale było to już za późno; choroba znów rzuciła go na łożo, przewidywał blizki koniec, widać to z ostatniego listu do wiernej przyjaciółki, pani Dunlop.

„Pisałem, mówi on, kilkakrotnie do pani, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Był-bym czekał spokojnie, gdyby nie bardzo ważna okoliczność. Choroba wkrótce powiedzie mnie do kraju, z którego żaden podróżny nie wraca. Przyjaźń, jaką pani zaszczycałaś mnie przez lat tyle, bardzo była mi drogą. Rozmowa z tobą, a więcej jeszcze twoje listy, ukrzepiały mnie w duchu. Z jakąż-to radością łamałem pieczętkę! myśl sama o tem porusza mi serce głęboko. Żegnaj cię, pani!“

Gdy wiadomość o śmiertelnej chorobie poety rozbiegła się po mieście, smutek ogarnął wszystkich; dawni przyjaciele zwrócili się ku niemu, otoczyli wężglowie chorego. On ożywał ich wesołem słowem. Był to ostatni połysk. Skonał 21 Lipca r. 1796. Żegnał ze łzami żonę i czworo dzieci.

Posypały się hojne dary. W Edynburgu wyszło nowe wydanie dzieł Burnsa, los wdowy i sierot został zabezpieczony. Zwłoki poety spoczęły na cmentarzu w Dumphries, pokryte ubogim kamieniem. W dwadzieścia lat potem wzniesiono mu wspaniałe mauzoleum. Miejsce to stało się celem tłumnych pielgrzymek, zarówno jak chata koło Doon, gdzie objawił się potężny jego geniusz.

Przed monumentem w Dumphries, 21 Lipca r. b. odbyła się wielka narodowa manifestacya, w setną rocznicę zgonu popularnego poety, którym słusznie chlubi się Szkocya.

Pod firmą Hachette, w Bibliotece dzieł historycznych, wyszedł życiorys Vaubana. Autor, Jerzy Michel, pokazuje w żywych barwach wielkiego pracownika pełnego prostoty, którego dni były pasmem bohaterskich czynów i poświęceń. Opisuje nasamprzód jego rodzinne gniazdo, ów Morwan, kraj krzemienisty, pokryty lasem, zarosły paprocią, jałowcem, koleczastą jeżyną, gdzie gleba co lat kilka wydaje chude plony. Tam w chacie pod strzechą ubogą przyszło na świat dziecko. Rodzice szlacheckiego pochodzenia, ale zrujnowani klęskami, musieli jak kmiecie pracować na kęs chleba. Wcześniej pomarli oboje. Sierotka, przygarnięta przez miłosiernego plebana, kopał grządy w ogródku, oprzątał konia, dopomagał w kuchni starej służce. Pochwyciwszy w szkole trochę nauki, w osiemnastym roku życia, na odgłos trąb bojowych, zaciągnął się do szeregu. Obdarzony prawdziwym geniuszem wojskowym, wkrótce wystąpił na widownię i zdobywał sobie coraz to wyższy stopień. Kilka lat upłynęło, a widzimy go pod miastem Namur w orszaku Ludwika XIV. Król ukazuje laską mury cytadeli, Vauban, ukryty w tłumie, wybiega piorunem, pędzi na czele zbrojnych batalionów, zdobywa gród warowny.

Autor ukazuje go potem, jak niezmordowany okrąża granice Francji od północy do Alp i Pirenejów, jak zabezpiecza je szeregiem twierdz obronnych. Całe miesiące zbiegają mu na tych objazdach. Oprócz planów strategicznych, zapisuje w książeczce każdą myśl, jaka przebiegnie mu przez głowę. Zapiski te zowie *oisiveté* (próżniactwem) treść ich najrozmaitsza; oto tytuły tych projektów, obmyślanych na pożytek kraju: „O wielkiem znaczeniu Paryża dla Francji“, „Sposób podniesienia w Ameryce kolonii francuskich“, „Kanał Langwedocki“, „Uwagi nad budownictwem, nad hodowlą trzód i t. d.“ Bacznie okiem ogarnia to, od czego współczesni odwracają wzrok obojętnie: tę piękną ziemię francuską, leżącą odłogiem, te rzeki pozbawione żeglugi, te pola jałowe spalone posuchą, tych włościan zrujnowanych robocizną i daninami. Nie dosyć mu było zabezpieczyć kraj wałami obronnymi, przemysłał, jak podnieść wewnętrzną jego wartość.

Biograf nie zatrzymuje się długo nad technicznymi pracami wielkiego strategika i nad pomysłami ekonomisty. Daje on szczególnież poznać w Vaubanie człowieka pełnego zacności i prostoty; przeniknięty uczuciem ludzkim nienawidził próżnego krwi rozlewu, nie cierpiał czczych przechwalek. Z całą szczerością przemawiał do króla i ministra Louvois; listy jego świadczą o głębokim ducha spokoju. Oto na przykład jeden, bardzo charakterystyczny, pisany do Ludwika XIV.

„Wieść, głoszona w Paryżu i Wersalu, o nominacyi marszałków, powoduje mnie do przedstawienia W. Kr. Mości, że, jako dawniejszy generał od wielu, którzy mają prawo liczyć na ten zaszczyt, wyższy od nich zasługą, mam nadzieję, że W. Królewska Mość osądzi mnie godnym tej łaski. Cokolwiek jednak postanowionem będzie, poddaję się całemu sercem woli Naj. Pana, poświęcę chętnie moją osobistość. Sądzę nawet, że to wysokie dostojenstwo nie zgadza się z urzędem, jaki zajmuję, zmuszony będąc do kosztownych przejażdżek i do ciągłego zetknięcia z prostymi robotnikami“. Słowa te malują Vaubana: takim był całe życie aż do ostatniej chwili.

Wydany życiorys jest cześcią obszernej publikacyi Hachette'a p. t. *Bibliothèque des écoles et des familles*. Piękny to wzór, stawiony przed oczyma młodemu pokoleniu.

Członek Akademii Francuskiej, Alfred Mézières, ogłosił w przeglądzie *Cosmopolis* znakomitą rozprawę o pracach krytycznych Lessinga i wpływie ich na literaturę niemiecką. Przedstawia nasamprzód obraz tej literatury w połowie osiemnastego wieku. Działy na nią dwa całkiem odmienne prądy: z jednej strony ślepe naśladownictwo literatury francuskiej, z drugiej prąd wiejący z Anglii; od Thomsona przyjęto długie bez końca opisy, od Younga ekliwy sentymentalizm. Nigdzie śladu samoistności. Niemcy czytywali przekłady z obcych pisarzy, tak niewierne i niedołążne, że sam pomysł autora całkowicie się w nich zacierał. Wiele też ucierpiał język niemiecki na tem poszukiwaniu cudzych wzorów, zatracił właściwą sobie siłę.

Lessing postanowił działać energicznie przeciw temu, oczyścić literaturę z obcych naleciałości. Rozpoczął od reformy języka, wprowadził w użycie mnóstwo starych zaniedbanych wyrazów i zwrotów, uświęconych tradycją. Zbadawszy do gruntu prowincjonalne narzecza, wy dobył z nich siłę żywotną i wzbogacił niemi język narodowy. Z wytrwałą pracą wyrobił sobie styl giętki, dosadny, zaprawny miejscowym kolorytem, słusznie też nazwano go twórcą prozy niemieckiej.

Wypowiedział Lessing zaciętą walkę złym tłumaczom i pisarzom niedbałym, prowadził ją uporczywie w Gazecie Vossa. Jako wytrawny erudyta i filolog, obznajomiony z żywymi językami, chłostał bez litości wszelką lekkomyślność, wszelką licencyę. Żadna skaza języka nie uszła przed ostrym jego sądem. Jakoż w krótkim czasie oczyścił

literaturę z mnóstwa zakorzenionych błędów, wytrącał pióra niedo-
łężnym autorom.

Powstawał on zawzięcie przeciw literaturze opisowej, która li-
czyła wówczas zagorzałych zwolenników. Idąc trop w trop za Angli-
kami, Niemcy prześcignęli ich jeszcze w drobiazgowem malowaniu
przyrody. Wielki ten krytyk wykazał z logiczną ścisłością różnicę
sztuk plastycznych od sztuki wyrażonej w słowie, tym sposobem zadał
cios śmiertelny poezji opisowej.

Na polu dramatu Lessing walczy silnie przeciw wpływom fran-
cuskim. Utwory francuskich tragików uchodziły podówczas w Niem-
czech za szczyt doskonałości. Krytyk niemiecki zbija ten sąd po-
wszechny, wyrzuca francuskim poetom, że odstąpili od prostoty Gre-
ków, że cofnęli się przed realizmem, którym nie gardził Sofokles, że
złe pojęli Arystotelesa, że utwory ich, sztuczne i skomplikowane, dal-
sze są od prostoty starożytnej, niż dramaty Szekspira i Lope de Vega.
Stawia w tym względzie za wzór ziomkom swoim Anglików i Hiszpa-
nów. Ważne stąd wynikły następstwa, taki był początek teatru nie-
mieckiego.

Mezières przebacza Lessingowi ostry sąd o literaturze francu-
skiej, nawet niesprawiedliwość względem Kornela i Rasyna. Szło tu,
mówi on, o wyrwanie z grożącego niebezpieczeństwa narodowego ge-
niuszu, krytyk wyszedł zwycięsko z walki. Tak Goethe, jak Schiller,
uznali obaj, ile mu zawdzięczają. Lessing ukazał im drogę, odkrył przed
nimi geniusz niemiecki, samoistnym napiętnowany charakterem.

Uczony Mezières, w rozprawie swojej, podnosi zasady Lessinga
o istnieniu granicy pomiędzy sztukami plastycznymi, a sztuką objawia-
jącą się w słowie. Tej granicy nie uznaje nowa szkoła poetów francu-
skich, goniących przedewszystkiem za oryginalnością. W utworach
swoich ci nowatorowie chcą opanować wszystkie gałęzie sztuki: muzy-
kę, malarstwo, rzeźbę, architekturę, a przepominają tylko poezji sło-
wa. W ostatnim tomie antologii, obejmującym najcenniejsze utwory
tych poetów, znajdujemy niezliczone obrazy, brane żywcem z przyro-
dy, zaprawne mniej lub więcej jaskrawym kolorytem. Ze wszystkich
sztuk malarstwo najwięcej im odpowiada. W nakreślonej przez nich
poetyce, każda litera alfabetu przedstawia inny kolor. O ileż oni prze-
ścignęli Thomsona i wszystkich poetów opisowych, którzy usiłowali
nie pędzić, ale słowem, malować przyrodę!

Coraz to wyraźniej Francya dąży do decentralizacyi. Nie idzie tu wcale o rozbitcie państwa na osobne części, a tem samem odebranie mu siły odpornej w razie jakiegoś politycznego kataklizmu. Paryż nie utraci nic na tym popędzie, pozostanie on zawsze głównem ogniskiem intelligencyi francuskiej, ale nikt go już nie nazwie alfą i omegą Francyi, jak to niegdyś bywało. Zmiana ta przyszła sama przez się: para i elektryczność, zbliżając dalekie przestrzenie, wydobyły na jaw inne ogniska, tlejące właściwem sobie życiem. Doba jedna wystarcza dziś na przerzucenie nadsekwańskich mieszkańców na krańce Francyi, w Alpy lub Pireneje. Korzystają z tego Francuzi, a nie skorzy do zwiedzania obcych krajów, poznają lepiej bogactwa własnej ziemi.

Wielkiem ułatwieniem dla turystów stały się ozdobne albumiki, wydawane od lat dziesięciu pod firmą Quantin, układu naszego ziomka, pana Chmielęńskiego. (*Constant de Tours*). Obiegł on już wybrzeża Normandyi, Bretanii i Gaskonii, zarówno jak dwie wielkie arterye, przecinające Francję południową, Loarę i Żyronde. W ilustrowanych albumikach naznaczył turystom po dwadzieścia dni na zwiedzenie danej dzielnicy kraju, zapisując wszystko, co w niej godne widzenia. Świeżo wydany tomik prowadzi na brzegi morza Śródziemnego, od Marsylii do granicy hiszpańskiej, przez wspaniałe miasta, pełne rzymskich pamiątek i pysznych bazylik średniowiecznych.

Królem tych grodów pozostał dotychczas Arelat (Arles), osiadły nad Rodanem; na murach jego wypisane dzieje dwudziestowiekowej przeszłości. Tu Cezar przysłał na wypoczynek zmordowane podbojami legiony; tu Maryusz rozłożył obóz w oczekiwaniu Cymbrów i Teutonów; tu Konstantyn, opuściwszy Rzym, pragnął założyć drugą stolicę państwa, zanim zwrócił oczy na Byzancyum. Tu święty Trofim, uczeń Ś-go Piotra, założył oratoryum na cześć Bogarodzicy, pod cudownem jej wniebowzięciem. Ten Arelat, zwany galskim Rzymem, wydzieraty sobie najeźdnicze chmary Burgundów, Ostrogotów i Franków: z tego ogniska wybiegali z pieśnią Trubadurowie na całą przestrzeń Francyi południowej; stąd nakoniec po falach Rodanu wybiega na świat pieśń Fryderyka Mistrała.

W tak poetycznym grodzie nie jest-że dyssonansem ta barbara rzyńska walka byków, o której utrzymanie lud arelacki uporczywie się dopomina. Mistral odnosi początek tych igrzysk do epoki odwiecznej, kiedy Mitra, symbol słońca, odbierał holdy i ofiary nad Rodanem, czego ślady pozostały dotąd wryte na skałach, wraz ze zna-

kami Zodyaku. To pytanie, rzucone przez poetę, rozstrzygną zapewne archeologowie.

W sprawozdaniu z wystawy majowej sztuk pięknych mówiliśmy o pięciu wspaniałych kompozytycznych Puvisa'a de Chavannes, przeznaczonych do biblioteki bostońskiej. Mistrz ukończył obecnie trzy ostatnie obrazy, nie ustępujące poprzednim. Wystawiono je na widok publiczny; Paryż zachwyca nimi oczy.

Wielki spirytualista w tych utworach składa hołd naukom ścisłym. Pierwszy obraz symbolizuje filozofię. W czarodziejskim ogrodzie Platon wygłasza wobec uczniów tę słynną od wieków sentencję, określającą antagonizm pomiędzy duchem a materją: „Człowiek to roślina rodem z niebios, nie z ziemi“. Wszystko tu tchnie głębokim spokojem, ranna zorza oświeca przestrzeń. Platon, w błękitnej szacie, przemawia poprostu, słowa mędrca harmonizują z pogodą rozlaną w przyrodzie.

Hołd naukom ścisłym wyrażony w dwóch innych kompozytycznych, zarówno pełnych prostoty i spokoju. Tak fizyka, jak i chemia, usymbolizowane tu w sposób oryginalny. Wzdłuż parowu biegną druty elektryczne, nad jednym rozpościera skrzydła postać biała; poniżej nad drugim drutem krąży czarna postać i zasłania twarz rękoma. Słowo przebiega w powietrzu lotem błyskawicy, niesie jednym radość, drugim żalobę.

Niemniej oryginalnie przedstawiona chemia. W głębi ziemi stoi niewiasta z czarodziejską różdżką w ręku, u stóp jej geniuszki czuwają nad wielkim alembikiem, umieszczonym na płonącym ognisku. Odłamki kruszców rozrzucone tu i owdzie. Obok czerepy zwierząt, na pół zagrzebane w ziemi, świadczą, jak olbrzymiem laboratorium jest ta ziemia, wyrabiająca potężne siły w łonie swoim. To symbol chemii organicznej. Te arcydzieła popłyną niezwłocznie za ocean.

Na bulwarach paryskich ukazała się nieznaną dotąd nowość, są to olbrzymie afisze, podpisane imieniem Puvisa'a de Chavannes, repro-

dukowane przez pierwszorzędnego litografa, Augusta Lauzel. Afisze te przedstawiają młode lata Świętej Genowefy, patronki Paryża, według słynnych kompozycyi mistrza na jednej z wewnętrznych ścian Panteonu.

Myśl takiego popularyzowania arcydzieł sztuki powzięła Unia, zawiązana dla podniesienia w duchu ludności paryskiej. Zajął się tem gorliwie prezes towarzystwa, Paweł Dujardin. Staraniem spółki ma być w ten sposób wystawioną cała serya artystycznych afiszów, w celu rozbudzenia poczucia piękna w publiczności. Tłumy przyglądają się arcydziełu z ciekawością i sympatycznym zajęciem.

Podobny pomysł, jakkolwiek nie w tak podniosłym powzięty celu, urzeczywistniła prasa w Stanach Zjednoczonych. Idzie tu zarówno o rozpowszechnienie wśród publiczności estetycznych wzorów, jak i o praktyczny pożytek dla dziennikarstwa. W miejsce drukowanych ogłoszeń, bawią tu oko i budzą ciekawość ładne, a nieraz dowcipne, rodzajowe obrazki, na ostatnich stronicach pisma. Na jednym widzimy gmach gotycki z basztą strzelistą. U wrót staje na pysznym rumaku rycerz w zbroi, z tarczą na piersiach i podniesionym w górę mieczem. Objasnia rzecz gotycki napis: *Germanie wymyślili browar*, pod tem idzie adres fabrykanta.

Inny niemniej charakterystyczny afisz, wielkiej kompanii drogi żelaznej w Chicago, składa się z mapki, nakreślonej na ogromnym liściu platanowym. Obok czeka dorodna pani w podróżnym ubiorze, z pleciem zwiniętym w rękę, śnać gotowa puścić się w drogę. Zobaczmy jeszcze afisz fabrykanta welocypedów. Noc. Księżyc przyświeca srebrnym sierpem. Trzy młode panienki stoją w otwartym oknie. I cóż tam widzą? oto skrzydlaty Amor pędzi ku nim na bicyklu z rozwiniętymi skrzydłami.

Tylko patrzeć, jak pomysł amerykański rozkwitnie w Paryżu, ożywiony dowcipem i niewyczerpaną fantazyą rysowników francuskich.

W paryskim ogrodzie botaniczno-zoologicznym wykończają właśnie gmach, przeznaczony na muzeum historii przyrodniczej. Architekci, natchnieni szczęśliwą myślą, zastosowali wszystkie ozdoby zewnętrzne do przeznaczenia okazałej budowy. Zoologia i botanika przedstawione tu z całym bogactwem swoim i niesłychaną różnorodnością. Fryzy ozdobione mnóstwem muszel, kwiatów i wielkich liści. Na konsolach okien ułożono malowniczo raki, kraby i salamandry; wokół szyb wiją się węże i inne płazy. Myśl zaczerpnięta ze wzorów średniowiecznych, wykonanie pełne smaku, całość budowy prawdziwie oryginalna.

Na wystawie genewskiej, w oddziale sztuk pięknych, zwracają uwagę krajobrazy młodego szwajcarskiego malarza, Fryderyka Rouge. Urodzony u podnóża Alp w kantonie Vaud, w chacie wieśniaczej, artysta ukochał swoje góry, umiał pochwyć ich piękność charakterystyczną, pełną prostoty, radującą oko i duszę. Talent to niepodległy w pełnym znaczeniu słowa, ale nie w tem, jakie mu nadaje nowa szkoła malarzy, zowiących się *niepodległymi* dla tego tylko, że się wyłamali z pod praw tradycyi, a co więcej, z pod prawa przyrody, którą przeistaczają według własnego widzenia. W obrazach Rouge'a jodły ciemne, łąka jasno zielona, wschód słońca ubarwiony purpurą, tak samo jak w naturze.

Młody artysta nie jest bynajmniej samouczkiem, przebył on szkołę malarską, odbył nawet podróż do Paryża, poznał arcydzieła sztuki, przechowane w muzeach, z radością przecież powrócił w swoje góry i stale zamieszkał pod ich cieniem. Równie daleki od klasycznych wzorów, których napatrzył się do syta, jak od ekscentrycznych pomysłów nowej szkoły, goniącej za oryginalnością, maluje to, co widzi, z czem się zrosł, co ukochał od dziecka.

Zagadniony, jakie wrażenie sprawiły na nim odwiedziny w Luwrze, odpowiedział z całą prostotą:

— Zrazu, kiedym wszedł do muzeum, zadziwiłem się na widok tylu obrazów, przybitych szeregiem do muru. Za wiele ich tam do prawdy, w głowie powstaje zamęt. Później, gdy się oswoiłem z niemi, sprawiły mi przyjemność.

Z pomiędzy dawnych mistrzów upodobał sobie szczególniej Teyniera.

Fryderyk Rouge powiększy bezwątpienia zastęp tych koryfeuszów szkoły ludowej, którzy w bieżącym wieku, jak mistrze fruncuscy Millet, Breton i L'Hermite, zdobyli rozgłos w świecie. Ogół upodobał sobie obrazy z życia ludu wieśniaczego, zaprawne samoistną barwą miejscową; na każdej wystawie liczymy je na setki, ale z pomiędzy nich te się jedynie wyróżniają, których twórcy, zrodzeni w ciszy wiejskiej, zżyli się z nią i malują z miłością, co widzą: lud wieśniaczy przy pracy lub wesołej zabawie, swoje pola, lasy, góry i dzwonnice kościołka swego. Do rzędu takich należy Fryderyk Rouge.

Fizyokratyzm w dawnej Polsce.

Przejętny czytelnik, informujący się o szkołach w ekonomii politycznej z podręczników historii tej nauki mniej lub więcej pozytywnych,—np. czytelnik polski, czerpiący wiadomości w tej materii z dziełka Ingrama,—zwraca uwagę na fizyokratów li tylko jako na przeciwników merkantyliżmu, pierwszych zwolenników wolnego handlu, o teorii zaś przez tę szkołę postawionej wie tyle jedynie, że opierała się na opacznych twierdzeniach, jakoby tylko ziemia produkowała nowe wartości, że zatem jest „z gruntu fałszywą“. Sąd taki, któremu zresztą hołdował do niedawnych czasów nawet świat uczony, ma za sobą tylko pozory słuszności, w rzeczywistości jednakże jest nawskroś błędny i niehistoryczny. Założenie fizyokratów, że tylko ziemia, czyli, dokładniej mówiąc, siły przyrody tworzą nowe wartości, nie wytrzymuje oczywiście krytyki. Nie o to przecież chodzi. Każda nauka zaczyna od założeń fałszywych i nie założenie stanowi o wartości teorii. Któż zechce potępić bezwzględnie emisyjną teorię światła Newtona dlatego, że późniejsza krytyka obaliła jej podstawy? Albo gdyby dalszy rozwój chemii współczesnej doprowadził do odrzucenia teorii atomistycznej, czyż zechcemy wówczas zaprzeczyć zasług naukowych chemikom, którzy na tej teorii oparli swoje wywody? Podobnie i tu: historyczna ocena fizyokratyzmu musi opierać się nie na odrzuceniu

błądu, lecz na wykazaniu, jak błąd ten powstał i do jakich doprowadził wyniki. Wówczas zaś odpowiedź brzmieć będzie: błąd ten należy do genialnych, skoro doprowadził do *pierwszego systemu naukowego w ekonomii*. Mylnie bowiem zwykliśmy mówić o merkantyliźmie, jako o systemacie naukowym; nie był nim nigdy. Merkantyliści niejedną odkryli prawdę naukową, niejedni postawili postulat dla praktyki, lecz nigdy nie usiłowali nawet ująć w systemat całokształtu wiedzy o zjawiskach ekonomicznych. Uczynił to pierwszy genialny lekarz pani Pompadour, Franciszek Quesnay.

Pomimo to, jeszcze i uczniom jego, wśród których figurują takie nazwiska, jak Mirabeau (ojciec, zarówno jak syn, wielki mówca konstytuanty), Du Pont, Le Trosne, a przede wszystkim Turgot, odmówiono nawet nazwy szkoły i zbywano ich do niedawna lekceważącym mianem „sekty“. Ci sekciarze jednakże stworzyli pierwszy systemat ekonomiczny, bez którego powstać nie mógł drugi z rzędu—systemat ekonomii klasycznej. Więcej nawet, Adam Smith, uchodzący za twórcę nauki ekonomicznej, nie tylko opierał się na fizyokratach, lecz w wielu razach, pomimo że rozwinięte stosunki gospodarcze Anglii pozwoliły mu poznać źródło wartości—pracę, często wchodzi na drogę rozumowania swoich poprzedników, tam nawet, gdzie mógł i powinien był tego unikać ¹⁾, niekiedy zaś ów „heros ekonomiki“ nie tylko nie robi postępów, lecz cofa się po-za swoich nauczycieli, np. przy opisie procesu reprodukcji i akumulacji ²⁾. Natomiast jeden z owych „sekciarzy“, Turgot, w pięknej swojej książce *„Reflexions sur la formation et la distribution des richesses“*, na lat jedenaście przed Smithem postawił wiele twierdzeń, które rozwinąć miał dopiero najgenialniejszy z klasycznych ekonomistów, David Ricardo.

Wobec takich faktów badacze czasów najnowszych widzieli się zmuszeni przyznać owej wzgardzonej „sekcji“ miejsce zaszczytne w historii nauki i zając się sumiennie zbadaniem lekceważonej teorii. Była to praca niełatwa. Chcąc bowiem zrozumieć dokładnie fizyokratów, trzeba było wnikać w ich terminologię, obcą nam, gdyż opartą na pojęciach, powziętych z obserwacji faktów życia ekonomicznego ówczesnej Francji, i jednocześnie poznać najdrobniejsze szczegóły tego właśnie ustroju ekonomiczno-społecznego. Dlatego też obok ekono-

¹⁾ Zwrócił na to uwagę pierwszy von Schoel: *„Turgot als Nationalökonom. Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft. Tübingen“*, tom 24. Twierdzi on słusznie poniekąd, że „Smithionizm był fizyokratyzmem w angielskiej szacie“.

²⁾ Wykazuje to Karol Marx: *Das Kapital*, tom I, rozdział 21, tom II rozdział X, 10 i 15

mistów, jak Marx, Augst Oncken, Hasbach i t. d., zasługa wyświe tlenia prawdy należy się historykom takim, jak A. Tocqueville, Loménie, Karejew i t. d.

Jeżeli dziś, dzięki badaniom wspomnianych ekonomistów, znaczenie naukowe fizyokratyzmu zostało wyjaśnione, to przecież obraz pozostaje nie pełny, dopóki nie będzie wykazany wpływ tej teorii na inne kraje poza Francją. W pracy, której streszczenie podajemy czytelnikom, podjęliśmy w miarę sił zadanie wyświe tlenia tego wpływu na Polskę i rozbioru teorii polskich fizyokratów. Rozwiązanie tego zadania stało się możliwem dopiero na zasadzie pracy Tadeusza Korzona nad „wewnętrzniemi dziejami Polski“ w XVIII wieku.

Dowiedzieć się, co i jak pisali polscy przedstawiciele fizyokratyzmu, jest tem ciekawsze, że teoria ta, jak wiadomo, była zastosowaną specjalnie do kraju rolniczego i to do kraju o gospodarce na wół naturalistycznej, a takim krajem była właśnie dawna Polska. To też znalazł się pisarz, przypisujący Polakom odkrycie fizyokratyzmu. Jest nim S. Hüppe, który twierdzi: „Nie ulega kwestyi, że panujące w Polsce poglądy ¹⁾ przynajmniej pośrednio wpłynęły na fizyokratów. Od początku bowiem XVIII wieku, od czasu godnych uwagi listów Fénélo na do książąt Beauvilliers i Chevreuse, wpływ polskich poglądów po-

¹⁾ Hüppe mówi tu o poglądach na wolny handel, które identyfikuje riesznie, zdaniem naszym, z poglądami nowoczesnych wolno-handlowców. Nie możemy też zgodzić się na zdanie Korzona, że fizyokratyzm nie był nowością w Polsce, albowiem „nasi ekonomiści nie potrzebowali w tym razie być uczniami Francuzów, ponieważ całe prawodawstwo, wszystkie *Voluntaria Legum*, cała historia finansów i handlu polskiego od końca XV wieku, nie jest niczem innym, tylko systematem fizyokratycznym w najobszerniejszym rozwoju i najbardziej krańcowej wyłączości. Miała przecież szlachta polska i czysty dochód gruntowy, na pieniądze zamieniany, i podatki od ziemi, i wolność od cół, nie obłudniczą, i nawet prawa oszczędnicze“. (*Wewnętrzne dzieje Polski* i t. d. tom II, 27). Otóż owe *Voluntaria Legum* zawierają najdziksze ograniczenia handlu wewnętrznego, handel polski był wolnym *tylko* dla szlachty, podatki ciężły przedewszystkiem na chłopie i mieszczańskie, nie na właścicieli ziemi, jak tego się domagał fizyokratyzm: „prawa oszczędnicze“, w takiej formie, w jakiej istniały w Polsce, były jak najbardziej przeciwnie zasadom fizyokratyzmu. Używając porównania, powiedzielibyśmy: pojęcia ekonomiczne szlachty polskiej w takim zostawały stosunku do fizyokratyzmu, w jakim były pojęcia o wolności tejże szlachty do pojęć o wolności z czasów rewolucyi francuskiej. Sądziemy, że ta różnica sądów o fizyokratyzmie stąd pochodzi, że Korzon, idąc tu za zdaniem ekonomistów z przed lat 30, widzi w fizyokratach przedewszystkiem rzeczników interesów rolniczych w ich przeciwstawieniu interesom mieszczańskim i przemysłowców, że przypisuje im taką mniej więcej rolę, jaką dziś odgrywają *agrarczyści*; my zaś widzimy przedewszystkiem rzeczników *kapitalizmu*, uwalniającego się z więzów feudalnych, zarówno w przemyśle, jak w rolnictwie.

litycznych na niektórych francuskich mężów stanu jest widocznym. Czy i o ile istniał bezpośredni wpływ Polaków, rozstrzygać nie chcemy, zaznaczamy jednak, że już za czasów Colberta polski magnat, Fredro, radzi: Rozumny książę powinien przed wszystkim, co zwykle uważają za bogactwo, stawiać rolnictwo. Ono tylko jest prawdziwym źródłem bogactwa, jest niewyczerpanem, jest kopalnią złota ¹⁾. Znajdujemy też u Fredry, którego tu uważać można za prawdziwego reprezentanta polskiej szlachty, wiele innych poglądów, których nigdzie w owym czasie nie można-by się spodziewać ²⁾. Hüppe mógł-by poprzeć swoje domysły niezliczoną ilością cytata tego rodzaju; u wszystkich bowiem pisarzy polskich występuje podobne uszanowanie dla rolnictwa. Jednakże takich poglądów nie potrzebowali ekonomiści francuscy XVIII wieku szukać tak daleko, znajdowali je w literaturze ojczystej, u Sullego na przykład, na którego też lubią się powoływać. Nie o takie myśli jednakże tu chodzi. Predylekcyą dla rolnictwa i wolnego handlu nie koniecznie jeszcze prowadzi do zwartego systemu ekonomicznego, inaczej fizyokratyzm byłby powstał już w Rzymie starożytnym. W każdym razie nie znaleźliśmy ani u fizyokratów, ani u ich poprzedników, jakimi są Sully, a po części Vauban i Boisguillebert, najmniejszego śladu wpływu, o którym myśli Hüppe. Odwrotnie natomiast poglądy francuskich myślicieli miały wpływ olbrzymi i godny zbadania na Polskę XVIII wieku.

Zanim jednakże przystąpimy do naszego tematu, uważamy za konieczne poinformować czytelnika, na czem według nas polega teoria fizyokratów, bez czego byłibyśmy zmuszeni do ciągłych powtarzań i narażeni na liczne nieporozumienia, a prócz tego wypadnie przedstawić pokrótce ogólne ich polityczno-społeczne stanowisko, bez czego znów nie moglibyśmy przeprowadzić paraleli pomiędzy francuskimi i polskimi reformatorami.

I.

Teorię fizyokratów można zrozumieć jedynie w związku z ogólnym prądem myśli XVIII wieku. Racyonalistyczna filozofia i „prawo natury“ — to są źródła myśli fizyokratycznej. Sprowadzić objawy ekonomicznego życia do „ogólnych, wiecznych praw natury“, wyeliminować

¹⁾ Słowa te tłumaczmy tu z dzieła Hüppego.

²⁾ Siegfred Hüppe; *Die Verfassung der Republik Polen*, Berlin 1867, p. 303.

wał wszystko, co ludzie wnieśli „nieracjonalnego“ do stosunków ekonomicznych, wykryć „podyktowane przez naturę“ prawa, mające regulować stosunki pomiędzy ludźmi—oto zadanie ponętne, które nastroczyło się ekonomistom francuskim. Dla umysłów zajętych takimi poszukiwaniami musiało powstać przedewszystkiem jedno pytanie: skąd biorą się bogactwa, skąd powstają nowe wartości? Odpowiedź zaś na pytanie nie mogła być wątpliwą: ludzie przejęci uwielbieniem natury, którą zaczęto poznawać na nowo, ludzie, którzy patrzyli na gospodarstwo społeczne Francyi ówczesnej, Francyi rolniczej, Francyi o gospodarstwie w gruncie rzeczy naturalistycznym, odpowiedzieli bez wahania: źródłem bogactwa, źródłem wszelkiej wartości jest przyroda. Pytanie było genialne, odpowiedź była godną XVIII wieku, tego wieku, który na wszystko miał zawsze odpowiedzi trafne, jasne, kategoryczne—mniejsza o to, czy wyczerpujące. Zaznaczamy więc, iż samo postawienie kwestyi jest zasługą fizyokratów. Adam Smith nie doszedł do takiego pytania, a tem mniej mógł na nie odpowiedzieć. Jego twierdzenie o pracy, jako źródle wartości, jest więcej przecuciem instyktownem, które nasuwała obserwacya życia ekonomicznego Anglii, kraju wówczas już nawskroś przemysłowego. Jednakże Smith nie przetrawił własnego pomysłu; twierdzenie o pracy, jako źródle i zarazem mierniku wartości, nie zostało wcielone organicznie w teorię ekonomiczną w całejrozeciągłości, lecz staje raz wraz obok teorii, idąc sobie luzem. Dla tego właśnie system Smitha jest tak niewykończony, tak niekonsekwentny; autor ciągle traci wątek i wikła się we własnych twierdzeniach. Dopiero wielki uczeń Smitha, Ricardo, podjął twierdzenie mistrza i z żelazną logiką, nie cofając się przed żadnem następstwem, na zasadzie tego twierdzenia utworzył teorię. Późniejsza, t. zw. *vulgarna* ekonomia, uległa się tych konsekwencyi i poradziła sobie w ten sposób, że na pytanie fizyokratów: skąd powstaje wartość? na pytanie zasadnicze całej ekonomiki,—nie odpowiadała wcale.

Z odpowiedzi, jaką znaleźli byli fizyokraci, wynika dla nich cały szereg następstw. Przedewszystkiem: skoro natura jest źródłem bogactw, tam jedynie jest produkcyjność, gdzie człowiek bezpośrednio styka się z naturą, gdzie z szczodrej jej ręki odbiera „dary“. Rolnik, górnik, rybak, oto ludzie odbierający te dary, ludzie produkcyjni „*Dieu seul est producteur*“, powiada Du Pont. Ludzie, zdaniem jego pracują, zbierają, gromadzą, ale „gospodarzyć nie znaczy jeszcze produkować.“ Dla tego ludzie, nie będący w ścisłym związku z naturą—rękodzielnicy, kupcy i t. d., mogą, przekształcając te dary, przenosząc je z miejsca na miejsce i t. p., oddawać wielkie, bardzo wielkie usługi społeczeństwu—kładziemy na to nacisk: fizyokraci nigdy nie przeczyli użyteczności i doniosłości tych usług—ale nowej wartości nie są

w stanie dostarczyć, bogactwa nie są w stanie przysporzyć. Pracują, muszą niweczyć materiały surowe i środki żywności, i tyle tylko oddają, ile wzięli, dlatego są klasą nieprodukcyjną „jałową“. Natomiast istnieje jeszcze trzecia klasa ludzi, która nie pracuje, przyczynia jednakże bogactw przez to, że dostarcza klasie pierwszej środków do produkowania na coraz szerszą skalę; klasą tą są właściciele ziemi, czyniący „nakłady“ w gospodarstwie rolnem, dzięki którym jest ono wydajniejsze. W związku z tem jest pojęcie kapitału fizyokratów. Kapitałem dla nich są tylko środki produkcji w rolnictwie, nie zaś w przemyśle, bo tylko w pierwszym przez użycie kapitału powstaje zysk („produit net“) dla społeczeństwa. Kapitał w rękach rękodzielnika przynosi wprawdzie zysk posiadaczowi, musi przynosić, inaczej bowiem nikt nie zechciał-by podjąć się tej pracy, ale dla społeczeństwa jest to kapitał martwy: ono przez użycie tego kapitału nie wzbogaca się.

Skoro więc klasa „jałowa“ i klasa właścicieli ziemi żyją, pomimo że nie produkują, należy zbadać, w jaki sposób dary natury rozdzielają się pomiędzy członków społeczeństwa, składających te trzy klasy. Jako odpowiedź powstaje genialna, ośmieszana często, porównywana do „L'Y King“ Konfucjusza, „tablica ekonomiczna“ Quesnay'a. Zadaniem jej jest: służyć za ogólny schemat przy przedstawieniu obiegu produktów, wytworzonych przez naturę, ewentualnie obiegu pieniędzy, przedstawiających wartość tych produktów. A więc tablica zawiera w formie matematycznej cały system nauki o zamianie, ale nie w tem znaczeniu, w jakim pojmujemy zamianę dzisiaj, nie zamianę pomiędzy jednostkami gospodarzami, lecz pomiędzy klasami ekonomicznymi, na jakie zdaniem fizyokratów dzieli się społeczeństwo. Układ tablicy odpowiada ściśle stosunkom ekonomicznym we Francyi ówczesnej, a właściwie w prowincyach Francyi najbardziej rozwiniętych rolniczo, stosunkom opartym na wielkiej własności ziemskiej, lecz drobnej uprawie, gdzie „seigneur“ wypuszczał ziemię za roczny czynsz dzierżawcy, który prowadził gospodarkę mniej lub więcej intensywną. Przytem z radykalizmem właściwym XVIII wiekowi przyjmuje się takie stosunki za „normalne“ i uogólnia się wywody na cały świat.

Przyпускаjąc więc istnienie takich stosunków, Quesnay stawia dalsze trzy założenia: 1) Niema żadnych przeszkód przy przechodzeniu produktów z rąk do rąk. 2) Produkty sprzedają się według rzeczywistej wartości, tak, że nikt przy zamianie ani traci, ani zyskuje, wobec czego można pominąć wszystkie transakcje pomiędzy członkami jednej klasy i liczyć się tylko z transakcjami pomiędzy klasami. 3) Klasy te są zupełnie jasno odgraniczone. Sformułowaawszy te założenia, Quesnay bada obieg w ciągu jednego okresu produkcji, którym naturalnie jest rok, gdyż natura co rok daje swoje plody. Przy początku tego okresu

klasa produkcyjna jest w posiadaniu pewnego kapitału — 10 miliardów, klasa rękodzielnicza posiada również — 2 miliardy. Zaczyna się obieg: Rolnicy wydobywają z ziemi plon wartości 5 miliardów. Z tego część należy do właścicieli i zostaje im wypłacona gotówką jako renta — 2 miliardy. Właściciele zakupują dla siebie i ludzi, których utrzymują przy robocie (służba etc.), żywność u rolników i wyroby rękodzielnictwa. Zatem 1 miliard wraca do klasy rolników, drugi przechodzi do klasy „nieprodukcyjnej“, która z kolei kupuje żywność dla siebie u rolników i w ten sposób dwa miliardy wypłacone przez tę klasę w formie renty powracają do niej. W rękach jej pozostało prócz tego za trzy miliardy płodów. Za 1 miliard kupuje u klasy rzemieślniczej jej wyroby; pozostałe produkty, reprezentujące 2 miliardy, ale nie spieniężone, zużywa na wyżywienie siebie, najmitów, inwentarza. Rzemieślnicy, otrzymawszy miliard od rolników, muszą go zwrócić tymże, zakupując u nich materiał surowy. Obieg skończony. Rolnicy wytworzyli byli 5 miliardów, z czego 2 miliardy spożyli, 2 miliardy gotówki oddali w ręce właścicieli, którzy zwrócili im zaraz 1 miliard, drugi oddali klasie „nieprodukcyjnej“; otrzymawszy 1 miliard z powrotem, rolnicy dali go teźże klasie nieprodukcyjnej, która jednakże i ten i otrzymany od właścicieli zwróciła znów rolnikom. Ponieważ zaś w rękach rolników było płodów za 5 miliardów, spożyli za 2, oddali jako dochód czysty 2, więc pozostał w ich rękach 1 miliard, który stanowi procent ich kapitału. Tak przedstawia się w formie najogólniejszej „tablica“ Quesnay'a, czczona przez jednego z uczniów jego, Mirabeau ojca, jako wynalazek, doniosłością dorównujący wynalazkowi liter ¹⁾.

Można temu schematowi zarzucić bardzo wiele, ważnem atoli pozostaje, że jest to pierwsza próba ujęcia i wyświetlenia całego procesu reprodukcji i obiegu wartości w społeczeństwie, i na tem polega jego historyczne znaczenie w nauce. W jaki sposób na zasadzie tego schematu uczniowie Quesnay'a, jak Bodeau, Du Pont de Nemours, Mirabeau, a przedewszystkiem Le Trosue i Turgot rozwiązywali pojedyncze kwestye teoretyczne i o ile posunęli naprzód naukę, nie tu miejsce rozbiierać.

Jakież wynikały wskazówki praktyczne z teorii fizyokratów? Po pierwsze: skoro jedynie stan rolniczy wytwarza dochód czysty, z którego żyją zarówno właściciele ziemi, jak klasa rękodzielnicza, i z któ-

¹⁾ Podaliśmy treść tablicy w formie najbardziej ogólnikowej. Po bliższe wyjaśnienia musimy odesłać czytelników do wytlómaczenia tablicy u Onckena w jego wydaniu „Oeuvres de Quesnay.“ lub u Marxa w „Heru Eugen Dührings Umwälzung der Wissenschaft“ przez F. Engelsa. Rozdział X.

rego jedynie może się bogacić państwo, należy w interesie całego społeczeństwa zaniechać polityki, która faworyzowała dotąd przemysł kosztem rolnictwa. Po drugie: skoro prawa rządzące społeczeństwem w jego życiu ekonomicznem są prawami natury, nie należy narzucać temu życiu krępujących więzów, należy pozostawić swobodę. A więc opozycya przeciw systemowi Colbert'a. Opozycya ta znalazła oddźwięk, gdyż cały system reglamentacyi, tak pożyteczny dla państwa i burżuazyi wówczas, kiedy przemysł francuski stawiał pierwsze kroki, stał się nieznośnym dla tej ostatniej, w chwili kiedy przemysł począł wyrastać z powijaków, jakimi go skrupowano. To też do dziś dnia powierzchni historycy ekonomii widzą w fizyokratach li-tylko obrońców wolnego handlu, autorów zasady „laissez faire, laissez passer,“ i wobec tej tak mało naukowej kwestyi zapomnieli o nich, jako teoretykach. Przytem, jak pokazały badania ścisłe Onckena, ta zasada u fizyokratów nie miała bynajmniej znaczenia, jakie jej nadali późniejsi zwolennicy „manchesteryzmu“. Była ona reakcją zbawienną przeciw systemowi, który się przeżył, była wynikiem dążeń prawdziwie postępowych, a dopiero później „stała się, są słowa Onckena ¹⁾, hasłem oschłego, okrywającego się obłudnie płaszczem pozornej nauki, kapitalizmu. U epigonów dopiero wielkich myślicieli owo „laissez nous faire“ przybrało formę filisterskiego „ne rien faire“. Po trzecie: skoro wszystkie bogactwa pochodzą od natury i cały dochód czysty, z którego jedynie państwo czerpać może swoje dochody, nie uszczuplając reprodukcji na przyszłość, należy zaniechać fiskalnych szykan dawnego systemu podatkowego, należy czerpać u źródła samego i pobierać podatki wprost u tych właścicieli. Ta myśl fizyokratów wzbudziła najbardziej ironiczną krytykę. Sztydził z nich niemilosiernie Voltaire w swoim „człowieku o czterdziestu talarach,“ drwił Galliani w swoich dyalogach, a cały świat im wtórował, i w najnowszych jeszcze czasach historyk ekonomii, Dühring, szyderstwem ich zbywa. Pamiętać jednakże należy, że myśl ta zrodziła się z razu jako opozycya przeciw najędźniejszemu systemowi fiskalnemu, że stała się źródłem teoryi o zwaleniu podatków na barki najsłabszych ekonomicznie, którą zapoczątkowali fizyokraci, a która stała się na zawsze dobytkiem nauki skarbowości. Prócz tego, jak słusznie zauważył von Scheel ²⁾, ów osławiony *impôt unique* fizyokratów traci wiele ze swej paradoksalności, jeżeli rozważyć go, jak tego żądali autorowie, nie w ramach jednego państwa, lecz uniwersalnie,

¹⁾ *Die Maxime „Laissez faire et laissez passer“ ihr Ursprung, ihr Werden* von Dr August Oncken prof. der Nationalökonomie. Bern 1886.

²⁾ l c.

przyczem warunkiem zaprowadzenia takiego podatku jest przyjęcie całego systemu również uniwersalne. Zwracamy też uwagę na pokrewieństwo tej idei z ideą Henry George'a, która przecież śmieszną nie wydała się nawet w sto lat po fizyokratach.

Co do społeczno-historycznego znaczenia fizyokratyzmu we Francji, wyjaśnił je po mistrzowsku wielki historyk „ancien regime“ Tocqueville, który niech mówi za nas: „Ekonomiści mniej od filozofów mieli rozgłosu w historii, mniej niż ci przyczynili się do wybuchu rewolucyi, sądzą jednakże, że w ich pismach właśnie można najlepiej badać prawdziwe znaczenie tej rewolucyi. Filozofowie prawie nigdy nie wychodzili po-za idee o rządzie bardzo ogólnikowe i bardzo oderwane; ekonomiści, nie wyrzekając się teoryi, zawsze przecież stosowali się do faktów. Pierwsi wypowiadali, co można pomyśleć, drudzy wykazywali, co czynić należy. Wszystkie urządzenia, które rewolucya zniszczyła na zawsze, były przedmiotem napaści ekonomistów, żadne nie znalazło łaski w ich oczach. Natomiast urządzenia, które mogą uchodzić za dzieło rewolucyi, były przez ekonomistów głoszone i zalecane gorąco, trudno było-by wskazać choć jedno, którego zarodek nie znalazł-by się w ich pismach; można spotkać tam wszystko, co jest najistotniejszego w rewolucyi. Więcej nawet: w pismach ekonomistów odczuwamy już ów temperament rewolucyjny i demokratyczny, który znamy tak dobrze. Nie tylko nienawidzą oni przywilejów, nierówność sama jest im nienawistną: uwielbiają równość nawet w niewoli. Co przeszkadza w ich planach, to zasługuje na zniszczenie. Umowy uroczyste nie budzą w nich szacunku, prawa prywatne nie zasługują na uwagę, a raczej ekonomiści nie uznają już praw nabytych, lecz wyłącznie mają na myśli dobro publiczne.“ Wykazuje potem nasz historyk, że ci ludzie byli pomimo to zwolennikami „oświeconego despotyzmu.“ Państwo, zdaniem ekonomistów, nie tylko ma kierować narodem, lecz, co więcej, ma wykształtować ten naród na pewną modłę; zadaniem jego jest wychowywać umysły obywateli według schematu powziętego z góry; narzucać poglądy i uczucia, które uznano za słuszne i niezbędne. W istocie, prawa, zarówno jak zadania państwa, nie mają w ich oczach granic; państwo nie tylko kształci, lecz i przeobraża ludzi. „*L'état fait des hommes tout ce qu'il veut*“ powiedział Baudeau. To zdanie zawiera całą teoryę ekonomistów.“ ¹⁾ Z biegiem czasu i pod wpływem wypadków zwątpili wprawdzie o tej teoryi zwolennicy szkoły, jak to przyznaje Tocqueville. Nie mniej jednak takim jest państwowo-filozoficzny pod-

¹⁾ *L'ancien régime et la révolution* par Alexis de Tocqueville. Paris 1852. II édition p. 264 in.

kład u twórców fizyokratyzmu. Jedna jeszcze kwestya została podniesiona: kwestya stanowiska fizyokratów wobec bezpośrednich interesów ludu. Zdania rozchodzą się tu bardzo daleko. Jeden np. z najznakomitszych historyków ekonomii politycznej, Węgier, Juliusz Kautz, nazywa fizyokratów „rzecznikami uciskanych politycznie i materialnie włościan“ i twierdzi, że „Quesnay pierwszy zwrócił uwagę na kwestyę społeczną“¹⁾. Scheel widzi w nich „obronców klas uciszonych“²⁾, M. Blaqui czei ich jako „*cette généreuse famille d'amis du genre humain*“, którym zawdzięczać należy, że „*la condition du paysan, jusque-la si modeste et si injustement humiliée, s'élève aux professions les plus honorables*“³⁾. W końcu Gustaw Cohn powiada⁴⁾: „Najbardziej charakterystyczną cechą w nauce fizyokratów jest to, że staje ona w obronie wielkiej masy ludu pracującego. Dla tego właśnie, że lud ten należy do stanu rolniczego, i o ile stan rolniczy obejmuje tę większość narodu, żądania ich są przychylnie rolnictwu.“

Jednakże już Ludwik Blanc trafnie wykazuje, że, pomimo wszelkich frazesów, fizyokraci stawali po stronie mieszczaństwa, bez względu na lud. Gdzie mówią o rolniku, mają na myśli nie chłopca, lecz ówczesnego dzierżawcę, przedsiębiorcę rolniczego⁵⁾. Profesor Knies wykazuje, że fizyokratów interesuje „zysk czysty“ rolnictwa, interesy chłopca lub najmity schodzą na plan ostatni⁶⁾. Podobnie też wyraża się sumienny badacz stosunków włościańskich we Francyi XVIII wieku, profesor Karejew, wykazując przytem, że fizyokraci nigdy nie uświadomili sobie istnienia kwestyi włościańskiej⁷⁾. Znakomity historyk-ekonomista, Rogers, powiada: „Fizyokraci, żądając zmiany praw, dotyczących rolnictwa i jego płodów, nie wspominali o prawach chłopca, lecz jedynie o pożyteczności jego pracy“⁸⁾. Co do nas, przechylamy się na stronę ostatnich zdań. Fizyokraci, według nas, nie mogli stawać wyraźnie po stronie ludu. Dla nich rzeczą główną było powiększenie „bogactwa narodowego“, podwyższenie „dochodu czystego“. Byli oni bezwiednie pierwszymi rzecznikami kapitalizmu i dlatego ideałem ich

1) Die geschichtliche Entwicklung der Nationalökonomie und ihrer Literatur. 1860. p. 365.

2) l. c.—p. 246.

3) Histoire de l'économie politique en Europe. 1845. p. 94.

4) System der Nationalökonomie. Stuttgart 1885. p. 102.

5) Histoire de la révolution française. 1847. tom I, p. 446.

6) W przedmowie do wydawnictwa. Karl Friedrichs von Baden brieflicher Verkehr mit Mirabeau und Du Pont. Heidelberg 1892, tom I, p. CVII.

7) „Włościanie i kwestya włościańska we Francyi w ostatniej ćwierci wieku XVIII“. Moskwa 1879 (po rosyjsku) p. 247.

8) Six centuries of Work and Wages. Przekład niemiecki 1806, p. 152.

jest wielka uprawa, a w takim razie los rolnika obchodzi ich o tyle, o ile rolnik ten jest dzierżawcą, t. j. przedsiębiorcą kapitalistycznym; o ile zaś rolnik jest chłopem, widzieli-by w nim najchętniej bezrolnego proletaryusza. Sądzieli wprawdzie przytem, że los jego wówczas będzie nie gorszym, lecz lepszym: ilekroć jednak interesy dzierżawcy-przedsiębiorcy i najmity wchodziły w kollizyę, stawali z konieczności po stronie pierwszego ¹⁾. Nie mniej wszakże fizyokraci na zasadzie swego systemu musieli być wrogami uprawy pańszczyźnianej i o ile napotykali jej ślady we Francyi, potępiali takowe. Dzieła więc ich mogły i musiały stać się bronią w ręku tych, którzy zwalczali niewolę chłopca i stały się nią szczególnie w Polsce.

II.

Zrazu wpływ fizyokratów francuskich na dawną Polskę ograniczał się do stosunków osobistych panów polskich z uczniami Quesnay'a. W peregrynacyach swoich zagranicznych ten i ów z magnatów trafił do salonu margrabiego Mirabeau, gdzie zbierali się zapalni adeptci „nowej nauki“. Ślady tych odwiedzin napotykamy w korespondencji Mirabeau z księciem badeńskim, Karolem Fryderykiem. W liście z r. 1770 pierwszy poleca księciu Chreptowicza słowami: „je ne connais pas de meilleur économiste pratique par la solidité de l'esprit et par la bonté du coeur“ ²⁾. O stosunkach Chreptowicza z fizyokratami świadczy też to, że jakkolwiek, o ile wiemy, nie pisał nigdy o kwestyach ekonomicznych, figuruje on jako jeden z adeptów szkoły u Du Pont de Nemours ³⁾, co dało potem historykowi ekonomii, Kautzowi, powód do

¹⁾ Na poparcie tego twierdzenia przytaczam w obszerniejszej pracy szereg cytat z pism fizyokratów. Tu wspomnę tylko o fackie, że kiedy chłopci otrzymali możność wynurzenia swych skarg i życzeń w *cahiers* i *dolances*, podawanych stanom generalnym, zaznaczyli swoją niechęć ku wielkiej uprawie, a więc pośrednio (a niekiedy bezpośrednio) wypowiedali się przeciw fizyokratom. (Autor powołuje się tu na swoją dySSERTACYę, zaaprobowaną przez fakultet nauk państwowych uniwersytetu w Zurychu. Praca ta ma się ukazać niebawem w druku, jako drugi zeszyt zbioru „Beiträge zur Geschichte der Nat.-Oekonomie“ wydawanego tamże pod redakcyę prof. I. Wolfa. P. R.).

²⁾ Karl Friedrichs von Baden brieflicher Verkehr etc. tom I, str. 40.

³⁾ W dziewiegotomowem wydaniu dzieł Turgot'a, sporządzonem przez Du Pont'a, znajduje się w tomie III notatka „sur les économistes.“ Obok pisarzy figurują tam: książę badeński, cesarz Józef II i t. d., a również nasz Chreptowicz.

umieszczenia go w szeregu pisarzy ekonomicznych ¹⁾. We dwa lata później książkę wychwala Massalskiego i poleca go przyjacielowi, jako „homme aimable, savant et bon économiste.“

Z drugiej znów strony widzimy fizyokratów przybywających do Polski: Eliasza Bertrand, jeden z założycieli towarzystwa ekonomistów w Bernie, autor kilku rozpraw fizyokratycznych, zostaje nauczycielem młodych hrabiów Mniszechów i pod jego wpływem zapewne, w roku 1763, piętnastoletni wówczas Michał Mniszech darowuje owemu towarzystwu medal wartości dwudziestu dukatów, jako premium za najlepszą rozprawę na temat: „Jaki duch powinien panować w prawodawstwie, ażeby rolnictwo mogło przyjąć się w kraju, i aby w tym tak ważnym celu popierać ludność, sztuki, rzemiosła i handel“. Temat niewątpliwie fizyokratyczny. Później w roku 1766 mentor zawiózł swego ucznia do Bernu, gdzie tenże został przyjęty w poczet członków honorowych wspomnianego towarzystwa ²⁾.

Prócz tego wiemy, że bawili w Polsce abbé Bandeau i Du Pont de Nemours. Pierwszego sprowadził do siebie biskup Massalski i dał mu intratną synekurę (kanonię w Widziszkach). Co właściwie robił tam nasz fizyokrata, dowiedzieć się nie mogłem, sądzę jednak, że pod jego to wpływem biskup kazał z ambon nauczać w swojej diecezji kmieci o budowie dróg i mostów, hodowli bydła i t. p. ³⁾. Być też bardzo może, że fizyokrata przyczynił się do uwolnienia chłopów w dobrach biskupich.

Du Pont został wezwany przez księcia Czartoryskiego na posadę gubernera. Ambitnemu fizyokracie wnet zarożyły się w głowie plany górnicze. Wyobraził sobie, że zostanie ni mniej ni więcej, tylko: „secrétaire du roi et de la république au conseil suprême de l'instruction nationale et directeur de l'académie,“ ⁴⁾ co też biograf jego, p. G. Schelle, bierze za dobrą monetę, dodając od siebie, że król mianował go „secrétaire du conseil de l'instruction publique, avec traitement spécial et droit à la nomination de tous les emplois et des professeurs“, dodając,

¹⁾ l. c. p. 362.

²⁾ Biografię Mniszcha podaje Bartoszewicz w „Bibliotece Warszawskiej“ 1852. W sprawie owego tematu i pobytu M. w Bernie. Prof. A. Oncken: *der ältere Mirabeau u. d. Oekonomische Gesellschaft in Bern* = Bern 1886, str. 38. W spisach członków tego towarzystwa znajdujemy jeszcze następujące nazwiska polskie: Józef Mniszech (brat Michała) w roku 1763, książę Ksawery Lubomirski, hrabia Wodzicki, H. Wiesiołowski w r. 1768. „Abhandlungen und Beobachtungen durch die Oek. Gesellschaft zu Bern gesammelt“ odpowiednie roczniki.

³⁾ Wspomina o tem Kraszewski „Polska w czasie trzech rozbiorów“.

⁴⁾ Karl Friedrichs von Baden breflicher Verkehr I, p. 168.

„c'était un véritable ministère“¹⁾. Położmy to wszystko na karb fantazyi francuskiej. Pozostaje tylko skromny fakt, że Du Pont przebył rok w domu Czartoryskich i wychowywał dzieci, poczem wezwany przez Turgot'a, który tymczasem został ministrem, powrócił do Francyi, wynagrodzony po królewsku przez polskiego magnata.

W każdym razie wpływu tych osobistych stosunków przeceniać nie należy, choćby dla tego, że, co pisali Francuzi o Polsce, świadczy o absolutnem niezrozumieniu stosunków krajowych²⁾. Musieli więc Polacy zwrócić się do źródeł, do dzieł fizyokratycznych, z których przetłómaczono na polski „Maksymy“ Quesnay'a i „Réflexions“ Turgot'a.

III.

Pierwszym, który się podjął zapoznać rodaków z systemem ekonomistów, jest ksiądz Antoni Popławski, profesor etyki i „prawa naturalnego“ w akademii Krakowskiej. W roku 1774 wydał on książkę zatytułowaną: *Zbiór niektórych materyi politycznych*. Zawiera ona traktaty o moralności, prawie narodów i ekonomice. Ostatni rozpada się na dwie części: w pierwszej „zamykają się najpotrzebniejsze uwagi do zupełnego rozpatrzenia się w rolnictwie krajowem służące,“ w drugiej „wykładają się pewne reguły politycznej ekonomii, aby rolnictwo w kraju naszym zakwitnąć i przyjsć mogło do najdoskonalszego stopnia.“

Ciekawe jest określenie ekonomii politycznej naszego profesora: „jedno jest, co gospodarstwo rządu krajowego, do tego szczególnie zmierzające, aby każdy człowiek, jakiegokolwiek bądź kondycyi i profesyi, łożąc pracę i industrię dla opatrzenia własnych potrzeb, miał dla siebie wszelkie w państwie uprzątńnione przeszkody, a te wszystkie pomyslane sposoby, które go zachęcić i zapomódz mogą do szukania za-

1) Gustaw Schelle: Du Pont de Nemours. Paris 1886. p. 186.

2) W cytowanej kilkakrotnie korespondencyi księcia badeńskiego znajdujemy *Fragment d'un ouvrage intitulé: Mémoires sur le XVIII^e siècle*, pióra Du Pont'a, oraz „*Exposition des usages et de prétentions que les bourgeois de Dantzick appellent leur droit d'étappe*“, pióra Bandeau. Jedno i drugie nie zawiera nic, prócz banalnych ogólników i niewytrzymuje porównania z tem, co pisał taki Coxe prawie jednocześnie o Polsce.

3) W „Pamiętniku historyczno-politycznym“ rok 1788.

robku". Jak widzimy i, ten fizyokrata nie zupełnie zgodził-by się z teorią, która państwu przeznaczą rolę „nocnego stróża“. Wykazuje potem Popławski bardzo zręcznie i konsekwentnie różnicę pomiędzy zasadami, jakimi kierować się winno gospodarstwo prywatne z jednej, a społeczne z drugiej strony. Znać tu zaraz postęp olbrzymi w porównaniu z merkantylistami, którzy tej różnicy nigdy nie zrozumieli dokładnie, a i dziś niejeden ekonomista domorosły mógł-by pójść po naukę do księdza rektora.

Materyę swoją dzieli Popławski w ten sposób: „pierwszą cząstką ekonomii politycznej jest rolnictwo, drugą rzemiosła i kunszta, trzecią handel, czwartą podatki i pobory“. Stosownie do nomenklatury swej szkoły, klasyfikuje autor ludność na „posesorów dóbr, rolników, rzemieślników i kupców.“ Przyczem jednakże fakt, że właściciel ziemi w Polsce nie był, jak we Francyi, jedynie pobierającym rentę, lecz przedsiębiorcą, prowadzi do pewnych niekonsekwencji, gdyż podział nie dał się przeprowadzić ściśle. Zobaczymy jeszcze, że ten brak typowego przedsiębiorcy zmienia o wiele charakter całego systemu. Produkcyjną, zgodnie znów ze szkołą, nazywa Popławski tylko klasę rolniczą; jednakże, nauczony doświadczeniem Francuzów, kładzie bardzo wyraźny nacisk na pożyteczność i doniosłość pracy rękodzielniczej i kupieckiej, oraz unika niezręcznej nazwy „*classe stérile*,“ która we Francyi doprowadziła do tylu nieporozumień, a nawet spowodowała walkę Smith'a z wiatrakami, kiedy zarzucał pod tym względem fizyokratom to, o czem oni nigdy nie myśleli. Rolnictwo, zdaniem Popławskiego, jest jednakże o tyle ważniejszym od innych zajęć, że daje plon, który żywi inne klasy, daje dochód czysty. Jednak pamięta on doskonale o związku, zachodzącym pomiędzy różnymi kategorjami pracy społecznej, i przyznaje, że wtedy tylko kwitnie rolnictwo, kiedy płody jego znajdują szybki odbyt w miastach, dla tego też rozwój rolnictwa zależy od rowoju miast. Wogóle jednakże wywody jego teoretyczne mniej nas zajmują, gdyż w nichem nie odbiegają od wzorów francuskich. Że Popławski nie zupełnie dogmatycznie idzie za swoją szkołą, widzimy z odmiennego jego nieco stanowiska wobec teorii zaludnienia. Jak wiadomo, fizyokraci, wyprzedzając pod tym względem Malthusa, od którego jednakże różnią się korzystnie, gdyż rozumują więcej społecznie a mniej przyrodniczo, zwalczali poglądy merkantylistów, którzy w możliwie gęstem zaludnieniu kraju upatrywali zbawienie. Otóż Popławski kładzie nacisk na brak rąk do pracy w Polsce. Tymczasem „tyle i tak marnie ginie u nas po wsiach ubogiego pospółstwa! Tyle dzieci chłopskich umiera z żalem rodziców i wielką stratą kraju całego.“ Na fakt ten zwrócił już uwagę zacny Garczyński w swojej *Anatomii Rzeczypospolitej*, gdzie żalił się na brak akuszerek i cyruli-

ków po wsiach, na zabobony i znachorstwo. Popławski bierze rzecz głębiej: ktokolwiek, powiada, przypatrzy się bliżej „przyzna zaiste, że to wszystko z dalszego lecz prawdziwszego wypływa źródła, to jest z biedy ostatniej i mizeryi wieśniaków, do której oni muszą przychodzić dla uciążliwego i wcale niewolniczego stanu.“ Tej mizeryi i tej niewoli wypowiada wojnę. Nie jego pierwszego oburza niewola chłopu polskiego, ma on tu znacznych poprzedników, ale pomiędzy nimi a nim zachodzi zasadnicza różnica. Wszyscy oni bowiem żądają poprawy doli chłopskiej li tylko w imię sprawiedliwości. Jedynie Leszczyński, idąc za wzorem swego wielkiego mistrza, Vaubana ¹⁾, równie jak on szczerego przyjaciela maluczkich, wykazuje, „że jak wolność *excitat generositate animi*, tak niewola *generat* gnuśną nikczemność, która się wyjawia w prostocie naszego pospółstwa, nie myśli bowiem przy swojej biedzie sposobić się do żadnych kunsztów w rzemiosłach, pracując ustawicznie pod kijem, nie robi nic z ochotą. Dla tego też nie mamy ani manufaktur bogacących państwo, ani rzemiosł rozmaitych do powszechnego używania wygody życia. Trzeba to wszystko z cudzych sprowadzać krajów, siebie ubożąc a cudze *comercia* bogacąc“. Uderza więc król reformator w czulszą od uczuć szlacheckich strunę, w interes ekonomiczny kraju. Nie jest jednakże konsekwentny, kiedy się tłumaczy, że „mieści pospółstwo *inter materias status*“. Popławski zaś z całą świadomością stawia jako najważniejszą *materia status* sprawę włościan, wykazuje logicznie, że przyczyną upadku kraju jest niewola chłopu, to właśnie różni go od poprzedników. Argumentacja jest prosta i dodajmy — zupełnie zgodna z prawdą. Rolnictwo jest podstawą bytu ekonomicznego Polski; rolnictwo to upada, ponieważ „*expensa* coroczne, które się najwięcej z pańszczyzny składają, są nierównie większe, niż by być powinny, i póty tak kosztowne niechybnie będą ze szkodą całego państwa, z umniejszeniem czystej intraty dla każdego bez excepcyi dziedzica, póki trwać będzie ubogich rolników stan niewolniczy, na niewiadomości i przemocy ufundowany“. To rozumowanie jest kamieniem węgielnym całego systematu naszego fizyokrata i tu właśnie zachodzi różnica pomiędzy nim a jego francuskimi mistrzami. Dla tych ostatnich głównym czynnikiem produkcji rolnej jest kapitalista — *fermier*, dla niego — *chłop*; oni, występując w obronie rolnictwa, ujmowali się za swoim kapitalistą, on staje w obronie chłopu. W Polsce bowiem dzierżawca jako typ nie istniał; o ile występował, był to dzierżawca szlachecki i stosunek jego do chłopu był ten sam, co stosunek dziedzica, za od-

¹⁾ Bezpośredni wpływ *Dime royale* na autora *Głosu wolnego* nie może ulegać żadnej wątpliwości.

rębną zaś kategorię stosunku dzierżawnego nie można było uważać. Popławski buduje więc sobie ten stosunek sztucznie i robi dzierżawcą chłopą. Odrabia on pańszczyznę za grunt sobie powierzony, pańszczyzna więc powinna równać się czynszowi. Naturalnie nie odpowiada to rzeczywistości, lecz zgodnie z metodą rozumowania swego wieku powiada Popławski: jeżeli tak nie jest, to powinno być. Rozumuje więc tak: „Nie całą krescencyę, ale samą tylko czystą intratę płaci dzierżawca dziedzicowi, nie całą też chudoba ubogiego chłopka taksowana być ma, lecz sama czysta intrata z wydzielonego mu gruntu; według tej czystej intraty, ile ona wynosi biorąc ją całą ogółem, powinien chłopek daniny płacić, pańszczyzny odrabiać i do innych być pociągany powinności według *dobrowolnej* ugody“. A więc dopiero kiedy ugoda będzie wolną, chłop będzie dzierżawcą, który dba o podniesienie swego gospodarstwa, a wówczas rolnictwo krajowe rozkwitnie; dopóki zaś chłop będzie wiedział, że w każdej chwili może być zrujnowany przez pana, dopóki robi z przymusu, najważniejsze źródło bogactwa nie wyjdzie z oplakanego stanu. Widzimy zatem, że argumentacja fizyokratów francuskich na korzyść przedsiębiorcy-kapitalisty, staje się u naszego ekonomisty argumentacją na korzyść chłopą. Kogo innego mieli na myśli Francuzi, stawiając syllogizm *pauvre paysant—pauvre royaume*, a kogo innego Polak. Pozostanie wielką zasługą Popławskiego, że postawił kwestyę w ten sposób, że żądanie uwolnienia chłopą oparł nie na pięknych frazesach o sprawiedliwości, lecz na argumencie ekonomicznym, że wykazał, iż uwolnienie chłopą jest *koniecznością ekonomiczną*, której domaga się rozwój społeczny. To też dowodzenie Popławskiego powtarza się następnie we wszystkich tak licznych pismach reformatorów z czasów sejmu czteroletniego. Nie znalazłem ani jednego, które-by nie powtarzało mniej lub więcej umiejętnie i logicznie twierdzeń profesora krakowskiego w tej kwestyi ¹⁾.

W sprawie podatku pozostał Popławski wiernym dogmatowi swej szkoły: podatek, zdaniem jego, pobierany być winien jedynie z dochodu czystego. Wiadomo, że fizyokraci daremnie łamali sobie głowę nad sposobem wprowadzenia tego postulatu w praktykę, że np. książę badencki napróżno dobijał się od swego przyjaciela, Mirabeau, jasnej odpowiedzi, jak ma sobie postąpić w tej kwestyi przy zaprowadzeniu

¹⁾ W obszerniejszej pracy w języku niemieckim przytoczyłem szereg cytata na potwierdzenie tego zdania; dla polskiego czytelnika było-by to zbyt długie, bo każdy, kto czytał tę literaturę, musiał zauważyć powyższy fakt.

fizyokratyzmu w dwóch gminach swego księstwa ¹⁾. Popławski rozwiązuje rzecz prosto: gdzie istnieje dzierżawa, tam tenuta dzierżawna oczywiście jest miarą czystego dochodu; gdzie jej niema, sąsiedzi łatwo otaksują dochód czysty dziedzica. Pokazało się później, że tak prosto rzecz się nie rozwiązuje. W każdym razie mamy tu myśl „ofiary dziesiątego grosza“ wraz z jej zaletami i wadami.

Położenie handlowe Polski w czasie, gdy pisał Popławski, było rozpaczliwe, wskutek polityki celnej Fryderyka II i Austrii. Nasz fizyokrata pomimo to nie wątpi o słuszności teorii o wolnym handlu i doktrynerstwo dyktuje mu uparte i nieopatrzone słowa: „gdyby nawet sąsiednie mocarstwa, uszczupliwszy granic polskich przez moc i niesprawiedliwość, tak otoczyły i ścisnęły resztę polskiego kraju, że nikomu inszemu przedawać ani od nikogo zakupywać nie będziemy mogli, tylko od nich i przez nich ...jeszcze nawet, odpowiadam śmiało, będąc w tak gwałtownym razie położeni, nie możemy i niepowinniśmy się domyślać z naszej strony zatamowania wolności w handlowaniu przez cła jakiegokolwiek“. Dziwna śmiałość! Czy jednakże ta śmiałość nie pokrywa czasem poczucia zupełnej bezsilności? Polska nie miała wówczas środków przeciwdziałania polityce pruskiej. Być więc może, że teoretyk nasz pocieszał się ogólnikiem, uznanym przez naukę przy innych warunkach.

Zaznaczyliśmy już, że niema na to dowodu, aby fizykratom można było przypisywać stanowisko wrogie, lub nawet niechętne, jedynie w stosunku do mieszczaństwa. Nie widzimy też tej niechęci u Popławskiego. Przeciwnie, ubolewa on nad upadkiem miast i zaznacza, że rolnictwo wtedy tylko może kwitnąć, jeżeli dzięki miastom produkta rolnictwa znajdują odbyt szybki i obfity. Nie zaleca jednakże, co samo przez się rozumie się u fizyokraty, sztucznych sposobów zapomagania i dźwigania miast, lecz sądzi, że jeżeli tylko mieszczenie nie będą uciskani, to wraz z rolnictwem krajowem nastąpi też rozwój miast, który z kolei oddziaływać będzie na rolnictwo.

¹⁾ Przedsięwzięcie, nawiasem mówiąc, niedorzeczne. Systemat, obliczony na to, że w całym świecie zostaną zniesione wszelkie cła, różnice podatkowe, ograniczenia przemysłu, nie mógł być zastosowany w dwóch biednych gminach, otoczonych dokoła gminami, w których wszystko zostało po staremu. Ciekawą pracę o tym eksperymencie napisał Eminghaus: *Karl Friedrichs von Baden physiokratische Verbindungen. Bestrebungen und Versuche. W Jahrbücher für Nat. Oek.* tom 19, r. 1872.

Zwracamy się do drugiego z kolei teoretyka fizyokratyzmu u nas. Jest nim książd Hieronim Strojnowski, profesor i długoletni rektor akademii wileńskiej, autor dzieła „Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów“. Dzieło to ukazało się w druku po raz pierwszy w roku 1785, a więc oddziela je od dzieła Poplawskiego pamiętna w historyi ekonomii data roku 1776, w którym wyszło dzieło Adama Smith'a. To też u Strojnowskiego wpływ wielkiego Szkota widać na każdym kroku. Nie znaczy to, że przestał być fizyokratą; przeciwnie, jest nim nawskroś, i przytem fizyokratą bardzo konsekwentnym; pomimo to Strojnowski umiał skorzystać ze wszystkich zdobyczy Smitha, prócz jednej, której nie zrozumiał, a która jest podwaliną Smithowskiego systemu: że nie przyroda lecz praca tworzy wartości nowe i bogactwa. Ciekawy ten fakt, że Strojnowski umiał skojarzyć dwa niby zasadniczo różne systemy w jednym dziele i ukuć z nich konsekwentną teorię, świadczy, jak blizkim był Smithyzm fizyokratyzmowi, i z tego powodu książka wileńskiego profesora zasługuje na baczną uwagę historyka ekonomii.

Sądźmy, że wpływowi rozsądnego zawsze Smitha na naszego autora przypisać możemy najpierw to: iż Strojnowski nie stawia swoich postulatów tak bezwzględnie, jak to czynić zwykli fizyokraci w pierwszych zwłaszcza czasach. We wstępie bowiem do swego dzieła ¹⁾, poleca swoim uczniom—znać tu profesora matematyki i logiki—aby ćwiczyli się przedewszystkiem w „dobrej logice“ i „przyzwyczajali się do tej dokładności i surowości, którą się zachowuje w matematyce, a bez której i w tej nauce (moralnej i politycznej) nie pewnie wiedzieć i nie doskonale umieć nie można.“ (o tej radzie i dziś nie powinien zapominać adept ekonomiki); lecz przestrzega ich zarazem, „aby nie byli porywczymi w stosowaniu do naszego kraju tego, co wyczytają“. Dopiero, powiada, „kto całą nauki rozciągłość dobrze obejmie, kto z niej długim myśleniem i pilną uwagą czystego nabył światła, ten ma pewne postępowania i sądzenia prawidło we wszystkich prywatnego i politycznego życia sprawach, ten ogólne prawa bez błędu stosować może do szczególnych okoliczności.“

W pierwszej części dzieła znajdujemy traktat „o prawie przyrodzonym,“ a w nim rozdział—„o zamianie.“ Rozdział ten jest pisany bezwarunkowo pod wpływem Smitha, znajdujemy bowiem rozróżnienie wartości użytkowej i zamiennej, znajdujemy wykazanie zależności tej

¹⁾ Cytujemy tu według edycyi czwartej z roku 1805, gdyż, niestety, pierwsze były dla nas niedostępne.

ostatniej od kosztów produkcji i konkurencji, znajdujemy akcentowanie różnicy pomiędzy wartością a ceną, słowem całkowitą teorię wartości. Dlaczego więc ta teoria, która dziś wydaje nam się bezwzględnie ekonomiczną, została umieszczoną nie w części traktującej o ekonomice, lecz w „prawie przyrodzonym”? Czy nie jest to cofanie się wstecz do czasów Hume'a, kiedy jeszcze ekonomika nie wyodrębniła się jako specjalna gałąź nauki? Nie sądzimy; upatrujemy przeciwnie w tej pozornej wsteczności wielką konsekwencję bardzo logicznego ekonomisty. Zobaczmy, co według Stojnowskiego rozumieć należy pod ekonomią polityczną? „Osnowę, odpowiada nam ¹⁾, pewnych i oczywistych prawideł, z porządku przyrodzonego wynikających, które okazują, co narodowi pomaga lub przeszkadza do obfitości rzeczy ziemskich, używaniu ludzkiemu przyzwoitych“. A dalej czytamy: „Wykładający ekonomię polityczną mówią pospolicie o rolnictwie krajowym, o przemysle, o rękodzielnach i fabrykach, o handlu wewnętrznym i zewnętrznym, o ludności, o pieniądzach, podatkach i dochodach publicznych, o bogactwach narodu i t. d.“ ale to wszystko zdaniem naszego autora jest drugorzędne, „najpierwszą istotną jest rzeczą poznać gruntownie: porządek, wedle którego w narodzie wszystkie rzeczy do użycia ludzkiego służące odradzają się, corocznie są zbierane i corocznie się rozdają pomiędzy wszystkich obywateli naród składających.“ Jak widzimy zasadnicza różnica pomiędzy fizyokratyzmem a Smithyzmem jest tu wyrażoną bardzo ściśle. Smith obchodzi kwestję, na którą odpowiedzi przede wszystkim żąda nasz fizyokrata. Był blizkim rozwiązania, kiedy stawiał swoją teorię wartości, opartej na pracy, lecz wkrótce porzuca swoją własną teorię, nie doszedłszy do żadnych wyników. Dla fizyokratów zaś kwestya ta służy za punkt wyjścia i na krótkiej węzłowej odpowiedzi „bogactwa tworzy przyroda,“ opiera się cały ich systemat. Smith ma zawsze przed sobą kwestję wartości, kwestję zamiany — fizyokraci tej kwestyi poświęcają bardzo mało uwagi; Smith na zasadzie sądu o zamianie chce utworzyć sobie sąd o wszystkich zjawiskach ekonomicznych — fizyokraci w swojej tablicy pomijają wszystkie transakcje zamienne, odbywające się wewnątrz jednej klasy; zamiana zgoła ich nie interesuje, nie tworzy nowej wartości, a tylko pojawienie się nowej wartości jest rzeczą ważną. Zamiana odbywa się pomiędzy pojedynczymi, prywatnymi członkami społeczeństwa, a więc należy do tej nauki, w której roztrząsa się stosunek wzajemny człowieka do człowieka, do „prawa przyrodzonego,“ nie do eko-

¹⁾ Część III o ekonomice politycznej § 1.

nomii, gdzie chodzi o zgoła inne sprawy, o produkcję nowych bogactw społecznych.

Tak rozumował najwidoczniej nasz fizyokrata i ze swojego punktu widzenia miał słusność. Wobec dzisiejszych stosunków ekonomicznych nie miał-by oczywiście słusności. Podstawą tych stosunków jest produkcya towarów, produkcya dla sprzedaży, w celach wymiany. Widocznem więc jest, że kto chce wytłómaczyć te stosunki, musi wychodzić, jak wyszedł Smith, z badania stosunku zamiennego, z badania właściwości towaru, z badania wartości. Strojnowski jednakże pisał w innym okresie rozwoju ekonomicznego, w okresie gospodarki naturalistycznej, który wówczas przechodziła jego ojczyzna. Stąd pochodzi jego zdanie o Smith'ie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że, wspominając z przekąsem o „wykładających okonomię polityczną,“ którzy „mówią pospolicie“ o tylu podrzędnych rzeczach, ma Strojnowski na oku właśnie wielkiego ekonomistę angielskiego, którego nie pojął, który mówi językiem dla niego niezrozumiałym, bo traktuje o odmiennych zgoła rzeczach. Toż pojęcia, jak: towar, wartość, płaca robocza i t. d., musiały mieć zupełnie inne znaczenie dla Anglika XVIII wieku, a inne dla Polaka. I dla tego właśnie to, co angielski ekonomista uważa za zasadnicze, Polakowi wydaje się nienależącym do ekonomii. Co innego fizyokraci. Ci mówili jego językiem, ich tablica nie jest w końcu niczem innym, a przynajmniej Strojnowskiemu mogła się nie wydawać niczem innym, jak tylko obrachunkiem z wielkiego majątku ziemskiego, zastosowanym do całego państwa. To więc było dla niego zrozumiałem i naturalnem.

To też snuje nasz autor tę analogię dalej, utożsamiając bezwiednie gospodarstwo państwowe z gospodarstwem wielkiego majątku ziemskiego. Drugi zaraz paragraf mówi „o nakładach poprzedzających coroczny zbiór płodów ziemskich w narodzie rolniczym.“ Już tytuł sam jest wymowny. Widzimy bowiem z niego, że nasz ekonomista identyfikuje „zbiór płodów ziemskich“ z reprodukcją wogóle. Dalej: Intensywnie prowadzone gospodarstwo potrzebuje określonego kapitału zakładowego i obrotowego, procenty pierwszego i drugi niemal cały (przy ówczesnem gospodarstwie) muszą być potrącone z dochodów rocznych. Stąd rodzi się u naszego ekonomisty pojęcie „odbierki rolniczej“. Oto co pod nią rozumie: „Koszt nakładów corocznych i koszt utrzymywania nakładów pierwiastkowych nazywamy odbierką rolniczą, gdyż każdy musi corocznie z całej reprodukcji ten dwoisty koszt odbierać dla prowadzenia dalszego gospodarstwa i otrzymywania corocznej reprodukcji.“ Charakterystycznem jest, że tu pojęcie kapitału pozostaje ściśle przywiązane do rolnictwa, pomimo, że nawet fizyokraci, jak Turgot, już wówczas zdobyli się na uogólnienie tej katego-

ry i mówili o kapitale w przemyśle. Przytem samo pojęcie kapitału jako „odbierki“, jako czegoś, co się odbiera od zbioru rocznego, dziś wydać się może dziwnem, ale odpowiada ściśle gospodarstwu rolnemu XVIII wieku. Tem pojęciem szafuje potem nasz autor bezustannie, przedewszystkiem zaś zastrzega, że „odbierki rolniczej“ uszczuplać nie można, inaczej reprodukcyja zostanie zatamowaną, zbiory następnego roku będą mniej obfite. Ciekawem jest twierdzenie, że „w dobrem gospodarstwie rolniczem czysty dochód gruntowy powinien być przynajmniej równy nakładowi corocznemu; rola sto za sto wydaje.“

Co do klasy rękodzielniczej, nazywa ją Strojnowski „nie płodną.“ Jest ona pożyteczną, bo 1) „sprawuje w kraju większą płodów ziemskich konsumpcyę.“ 2) „W samych robotach rolniczych są wielce pożyteczne rozmaite rękodzieła,“ 3) z pracy jej wynika „sposobność zręczniejszego, pewniejszego i przyjemniejszego opatrywania wszelkich potrzeb i wygod życia.“ Jednakże nowem źródłem dochodu krajowego rękodzieła nie są, jeżeli bowiem materiał surowy, wychodzący z rąk rzemieślnika jako wyrób, posiada większą wartość, to tylko dla tego, że jest „złożony z wartości materiału i wartości kosztu całej subsystencyi rzemieślnika, zajętego robotą około tegoż rękodzieła“.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad wywodami Strojnowskiego, gdyż są typowe dla fizyokraty i niewiele dają nowego.

Najbardziej znanym z polskich fizyokratów-teoretyków jest brat Hieronima, Waleryan Strojnowski, ów „pogrobowiec fizyokratyzmu,“ jak go nazwał prof. Oczapowski. Dzieło jego, wielki foliant o 500 stronicach, ukazało się dopiero w roku 1816, a więc w czasie, kiedy na zachodzie zapominać zaczęto o fizyokratach, i kiedy we Francyi wystąpili już byli J. B. Say i Garnier. Ta *Ekonomika powszechna krajowa* jest ciekawą choćby dla tego, że, jak to stwierdza autor *Dziejów wewnętrznych Polski*, zawiera sporo informacji o stosunkach ekonomicznych współczesnych, które jednakże, powiedzmy nawiasem, trzeba okupić dosyć drogo, gdyż język zepsuty, nieskończenie nudny i banalny sposób wykładu, czynią lekturę nie bardzo zajmującą. Z punktu widzenia historyka ekonomii zasługuje to dzieło na uwagę z tego względu, że Strojnowski polemizuje ze Smithem i Sayem, stając w obronie fizyokratyzmu, przytem jednakże, podobnie jak brat, bierze z teoryi Smitha niemal wszystko i wiecła do swego systemu.

Polemikę swoją zaczyna autor zaraz w przedmowie. Na „drogę prostą w samym przyrodzeniu ziemi i ludzkich społeczeństw, oraz ich pracy znajdującą się“ trafił, zdaniem jego, Quesnay. U Smitha zaś, twierdzi W. Strojnowski „uchybiony jest porządek. Dając wiele wiadomości doskonałych narodom już bogatym, jakim jest Anglia, nie daje nauki porządnej, wykładowej.“ Podnosi więc nasz autor dwa zarzuty: 1) Że to, co Smith podawał za zasady gospodarstwa powszechnego, stosuje się wyłącznie do Anglii,—zarzut powtarzany później aż do znudzenia przez tak zwaną „szkołę historyczną,“ 2) że Smith „nie daje porządnej nauki wykładowej.“ Co przetłómaczone na język współczesny znaczy ni mniej ni więcej, tylko, że Smith nie jest systematyczny. Tu wyprzedził Strojnowski swój czas i wypowiedział to, na co teraz, ale od bardzo niedawna, zgadzają się prawie wszyscy ekonomiści. A i zdanie v. Scheela ¹⁾, że Smith w gruncie rzeczy jest fizyokrata, znajdujemy u naszego ekonomisty: „Wielu zrozumiało, że jego systema od tamtego jest inne;“ ale „Smith, chociaż się nie przyznawał, że szedł za prawidłami Quesnay’a, przecież się ich trzymał“ i t. d. Formuluje więc Strojnowski zarzut cierpki przeciw Smithowi: „miłość własna, udając, że tamtych nie rozumiał, kierowała jego piórem, jak gdyby nowe tworzył wyobrażenia.“ Na dowód tego przytacza, że „wyparł się“ tablicy ekonomicznej, tej tablicy, która dopiero dała świetną postać ekonomii politycznej, „przed której uformowaniem dowcipy Locke’go, Monteskiusza i wielu innych błędziły, jak astronomowie błędziły przed odkryciem Kopernika“ (§ 28). Nasz krytyk powiedział tu za dużo i za mało. Smith „nie udawał,“ bo ten wielki empiryk ²⁾ nigdy nie doszedł do zrozumienia tablicy; wielki ten umysł był zbyt ciasny, aby zrozumieć genialność myśli, jaka tkwiła w „tablicy.“ Stało się tak dla tego, że indywidualista Anglik nie mógł się wznieść do państwowego poglądu Francuzów i brał od nich tylko zewnętrzne raczej, empiryczne wywody, poświęcając w takich razach swoją własną teorię. Stąd dualizm w całym dziele Smitha i ciągle rwanie się myśli. Tego nasz krytyk nie dojrzał i posądza Smitha o hipokryzję, sam zaś dopasował zdobycze jego do systemu fizyokratów, systemu wręcz przeciwnego, i trzeba przyznać, że udało mu się to wcale nieźle, jakkolwiek nie obywa się czasem bez gwałtownych nakręcań. Trzymając się np. podziału na klasy fizyokratów, przyjmuje jednakże również podział Smitha na

¹⁾ l. c.

²⁾ Śmiemy go tak nazwać wbrew utartemu zdaniu, popartemu taką powagą, jak Wundt, że Smith i cała szkoła klasyczna posługiwała się metodą „dedukcyjną.“ Jest to jeden z tych błędów, nigdy nie skontrolowanych, które powtarza jeden przepisywacz za drugim.

klasy produkcyjne i nieprodukcyjne i dla tego mechaników, którzy budują maszyny rolnicze, i lekarzy, którzy przyczyniają się do powiększenia, a przynajmniej utrzymania sił produkcyjnych robotnika, zalicza do klasy—właściciele ziemskich, ponieważ, jak ci nakładem kapitału, tak ci pracą przyczyniają się do powiększenia produkcji. Kuglarze, komedyanci i—, „autorowie ksiąg zabawnych,“ są zaliczeni do klasy „niepłodnej“ (§ 17). A próbuje też Strojnowski teorię pieniędzy (§ 668), podziału pracy (§§ 213 i 214), więcej nawet, przyswaja sobie zdanie Smitha: „praca ludzka jest źródłem wszelkiego dochodu.“ Zdawało-by się, że to obala teorię o wyłącznej produktywności rolnictwa. Bynajmniej, bo oto jak radzi sobie zreszcie autor: rozróżnia dochód „osobisty“ i „krajowy,“ praca rękodzielnicza daje tylko pierwszy, praca rolnicza pierwszy i drugi (§ 383). Tak więc teoria Smitha, którą on chciał objaśnić cały mechanizm życia ekonomicznego, schodzi tu do banalnej teorii prywatno-gospodarczej, według której pracowity zagarnia więcej bogactw z ogólnej summy istniejących zasobów, niż leniwy. Nie koniec na tem: Hieronim Strojnowski, jak widzieliśmy, wykluczył teorię wartości z ekonomii; brat jego wpłata ją do systemu fizyokratycznego. Fizyokraci zupełnie pomijali zamianę wewnątrz jednej klasy; Strojnowski najprzód idzie za ich przykładem, przytacza „tablicę,“ ułatwia się z wielką kwestyą „reprodukcji,“ wykazuje, jak ta reprodukcyja dzieli się pomiędzy klasy społeczne (biorąc zawsze ten wyraz w znaczeniu fizyokratecznem), a potem wstawia rozdział, „wyobrażający rodzaje wszelkiej pracy ludzkiej w narodzie i z niej sposób utrzymania się *każdego*“ i tu podaje *dosłownie teorię Smitha* o pracy, jako mierniku wartości zamiennej (§ 400), pewnym będąc, że tym sposobem pogodził obie teorie. Że tak się stać mogło, że jeden fizyokrata mógł wyrugować podstawowe założenia Smitha z ekonomii, a drugi mógł użyć jego teorii do uzupełnienia systemu, któremu one wprost przeczą; to świadczy najwymowniej o niewykończoności i niekonsekwencji systemu Smitha; z drugiej jednak strony świadczy o tem, jak mało jeszcze rozumiano twórcę klasycznej ekonomii na kontynencie nawet w lat czterdzieści po pojawieniu się jego dzieła. Nic dziwnego, że następny krok naprzód, postawiony przez Ricarda, mógł być zrobiony tylko w Anglii ¹⁾.

¹⁾ Jak dalece fizyokratyczne poglądy były „naturalne“ w Polsce, świadczy na przykład fakt, że w roku 1814 Staszyc, jako prezes „towarzystwa królewskiego warszawskiego przyjaciół nauk“, dając sprawozdanie z działalności naukowej przyczem o dziełach ekonomicznych (przekład Smitha i Schlözera) mówi w rozdziale—o rolnictwie. „Roczniki“ tegoż towarzystwa tom X, p. 97.

Strojnowski jest więc bezwarunkowo fizyokrata, ale, będąc człowiekiem praktycznym, obeznanym z warunkami kraju, w którego administracji brał czynny udział, musiał dojrzeć, że teoria klóci się na każdym kroku z praktyką. Przyznaje więc, że „tablica (którą tak ceni wysoko) w kraju naszym obszernym a ubogim, w ogólnem nawet wyobrażeniu służyć nie może,“ a to dla tego, że 1) właściciele gospodarują tu sami, a więc niema krążenia czynników reprezentujących wartość czystego dochodu pomiędzy właścicielami a rolnikami, 2) rolnicy, z powodu oddalenia od miast (prawdziwą przyczyną jest gospodarka naturalna chłopska), nie kupują u rękodzielników, 3) wydatki na znaczną część wyrobów przemysłu czynione są za granicą. Jeszcze większe ustępstwa czyni doktryner fizyokratyczny praktyce: Cła odrzuca wprawdzie, jako przeciwne „naturalnemu porządkowi“ (§ 255), co do podatków jednakże przyznaje, że pomysł „*impôt unique*“ jest na razie niewykonalny. W teorii, jak mniema, fizyokraci mają bezwarunkowo słusność, dla praktycznych powodów jednak pomysł jest niewykonalny, i oto autor ustępuje z placu, lecz ratuje sytuację w sposób, przyznać należy, bardzo dowcipny: „Lepiej przeto iść dobrą wiarą i nie przeczyć, że samo tylko słońce ziemię oświeca, a jeżeli gdzie więcej jego światła potrzeba, a to nie wchodzi wprost w okna do izby, pozwolić, że tam ukośnie bokiem promienie jego są wpuszczone i dla tego pomnaża się widoku, ale ten zawsze jest od tegoż samego słońca, a starać się o to, aby domu nie naruszać i nie wybijać w nim wielu dziur, albo okien dla wpuszczania do izby promieni bocznych. Jeżeli nie wchodzi dość podatku, trzeba brać z podatku konsumcyjnego,“ ale przyznać trzeba, że i ten nie skąd inąd, tylko z dochodu czystego w rezultacie jest brany (§ 1043). Pozwala więc Strojnowski na podatki pośrednie, zastrzega tylko (i w tem zgadzają się z nim wszyscy poważni ekonomiści), aby jak najmniej nakładano je na przedmioty pierwszej potrzeby. Widzimy więc u Skrojnowskiego potwierdzenie zdania von Scheela, że niekoniecznie wraz z teorią „*impôt unique*“ stoi i upada fizyokratyzm.

Co do mieszczań, Strojnowski stanowczo jest im przychylny. Oplakany zaś stan przemysłu doprowadza go do wcale nie fizyokratycznego poglądu, że państwo powinno ewentualnie zakładać manufaktury (byle nie po wsiach, jak to miało miejsce), nawet gdyby przyszło w pierwszym czasie ponieść pewne ofiary (§ 897). W kwestyi włościańskiej stoi autor na tym co i Popławski gruncie: praca przymusowa pańszczyźniana jest przyczyną upadku rolnictwa (§§ 56, 61, 81 i inne). Brak jednak u tego pogrobowca zapału świętego, jakim technie dziełko czcigodnego profesora krakowskiego. Pod podmuchem burzy rewolucyjnej we Francji i wichru Stein-Hardenbergowskich reform w Pru-

siech, ogień XVIII wieku zagasił u naszego senatora, który już nie idzie na przebój, lecz dobiera słów umiarkowanych, ostrożnych, dyplomatycznych.

Na tem moglibyśmy zakończyć przegląd fizyokratów-teoretyków w Polsce, czujemy się jednakże w obowiązku zaliczyć do nich pisarza, który wprawdzie nie pozostawił specjalnego traktatu o ekonomii, lecz dał nam dzieło filozoficzne, oparte na zasadach fizyokratyzmu, i najlepszą na owe czasy, zdaniem naszym, nie tylko w Polsce, lecz w Europie, krytykę głównego dogmatu ekonomicznego tej szkoły. Jest nim — Hugo Kołłątaj.

Dzieło filozoficzne, które mamy na myśli, nosi tytuł: „Porządek fizyczno-moralny, czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia.“ Książkę napisał Kołłątaj w więzieniu w Ołomuńcu (1794—1802) lecz wydał ją dopiero w roku 1810 ¹⁾. Oto co mówi Kołłątaj o celu, jaki sobie postawił: „Pierwszy dopiero doktor Quesnay w drugiej połowie XVIII wieku zaczął na nowo szukać w prawach fizycznych człowieka praw jego moralnych. Nauka tego mędrca, ogłoszona pod imieniem fizyokracji, ²⁾ rozszerzyła się pomiędzy ekonomistami i znalazła swych przeciwników w encyklopedystach. Był to bardzo szacowny zbiór wielkich prawd i wielkich omyłek, którego zasad używano bardziej w ekonomii politycznej, (zasad po części w praktyce mylnych), lecz których dotąd nie przystosowano zupełnie do filozofii moralnej, ani starano się utworzyć z nich całej nauki. Ktokolwiek rozpatrzy się w układzie doktora Quesnay i pracach jego komentatorów, przekona się zapewne, iż do tego czasu nie mamy jeszcze nauki jego zebranej, poprawionej i dopełnionej z tą dokładnością, jakiej tak ważny przedmiot koniecznie wymaga, aby się stała jedną i powszechną zasadą wszystkich nauk moralnych.“ Tego zadania chce się podjąć autor i zakreśla sobie plan w sposób następujący: „Wystawiając sobie człowieka, jako jestestwo z porządkiem całego świata związane, od-

¹⁾ Autor podpisał się tylko inicjałem H. K. Wydane w Krakowie w drukarni Jana Naja,

²⁾ Wiadomo, że wyraz „Fizyokracja“ został wprowadzony do nauki przez ucznia Quesnaya — Du Pont'a, który pod tym tytułem wydał szereg rozpraw swego mistrza. Fizyokraci zwykle nazywali siebie i byli nazywani „ekonomistami.“

krywam naprzód kilka ogniw, które go łączą z tym powszechnym porządkiem. Te ogniwa dają mi dostrzedz takich praw fizycznych, z których wypływają dla człowieka prawa moralne, w niczem nie różniące się od pierwszych, jak tylko przez różnicę stosunków, czyli jak z pierwszych wypływać muszą konieczne skutki fizyczne, tak z drugich następują niezbędne skutki moralne; a doszedłszy do odkrycia tych ważnych prawd, okazuje mi się sama od siebie cała nauka moralna, którą zebrałem pod nazwiskiem: porządku fizyczno-moralnego.“ Jak widzimy, plan to rozległy. Mamy tu więcej niż system „prawa natury,“ które wtedy było w pełnym rozkwicie, mamy próbę nieświadomą przekształcenia owego prawa natury w socyologię o podkładzie materialistycznym (biorąc tę nazwę w znaczeniu nie dzisiejszem wprawdzie, ale też w szerszem nieco, niż dajemy jej zwykle, mówiąc naprzykład *L'homme-machine* La Mettrie). W jaki sposób plan został wykonany, nie tu miejsce rozbiierać; sądzymy jednak, że dzieło Kołłątaja wytrzymuje doskonale krytykę obok dzieł współczesnych badaczy „prawa natury“ i etyki.

Jeżeli więc Kołłątaj był tak przejęty zasadami filozoficznymi fizyokratów, a pomimo to nazywa ekonomiczną ich teorię „zbiorem wielkich prawd i błędów,“ to ciekawą musi być krytyka tej teorii. Zwracając się do niej, natrafimy naprzód na krytykę podstawowego postulatu: nie w naturze jedynie upatruje Kołłątaj źródło bogactw. Czytamy bowiem w jego dziele ¹⁾: „Człowiek nie mógł nabywać rzeczy, tylko za pomocą sił własnych, pracy i starań. Rzeczy, które posiadał, nabył kosztem sił swoich, czyli raczej *kupił je u przyrodzenia za cenę swej pracy*, co każdy łatwo pojmie, zapatrując się na doświadczenie codzienne. Praca ludzka nie tylko ma swój rzetelny szacunek, *ale nadto służy za cenę i miarę szacunku innych rzeczy*.“ Jak widzimy stanowisko dalekie dosyć od fizyokratów, a blizkie bardzo Smith'a. Czy jednakże zdania powyższe były napisane pod wpływem ostatniego, rozstrzygać jeszcze nie śmiemy. W każdym razie w innym, wcześniejszem dziele Kołłątaja, znajdujemy zupełnie podobne myśli i tu już stanowczo możemy zaprzeczyć wpływu Smith'a. W trzeciej części listów anonimów znajdujemy następującą krytykę fizyokratyzmu ²⁾: „Układ ekonomistów sprawiedliwy jest, gdy go przystosujemy do odradzających się bogactw i do całej masy, która peryodycznie za pomocą wpróżłożonych kosztów przychodzi do konsumpcyi, i na ten koniec po wszystkich

¹⁾ Stronica 59.

²⁾ Do Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego, marszałka sejmowego i konfederacyi generalnej. Anonima listów kilka. Część III „O poprawie Rzeczypospolitej.“ Warszawa 1788, p. 119.

ludzi cyrkuluje klasach... Wszakże mało kto się podobno zastanowił, iż *wszelka robota ludzka*, opróczłożonych na zakład początkowy kosztów, *musi mieć swój procent*, to jest intratę czystą. Wiele jest takich, którzy mają bez porównania lepszy procent, jakby go nigdy w ziemi należeć nie mogli... Weźmy pod rachunek robotę jakiego rzemieślnika, otaksujmy koszt na zakupienie surowego materiału, na żywność i inne wydatki, przystosujmy to wszystko do szacunku nabytej rzeczy, a najdziemy, że teoria nie schodzi się z praktyką, że ręka ludzka, oprócz tych wszystkich złożonych kosztów na zakład, materiał i wyżywienie rzemieślnika, wzięta nie obojętną nadgodę, albo, że podług języka ekonomistów powiem, przyczyniła szacunku rzeczy a zatem nowego bogactwa.“ Jak widzimy Kołłątaj swoją krytyką trafia w głąb kwestyi. Nie jest jednakże tak naiwnym, aby przypuścić, że fizyokraci, jako ludzie rozsądni, mieli o tem wszystkim nie wiedzieć, i tem różni się korzystnie od krytyków, jak Galliani i Voltaire, a w nowszych czasach p. Dühring, którzy podsuwają przeciwnikowi wszelkie absurdy, byleby wypowiedzieć mniej lub więcej trafny dowcip. Zadaje więc sobie pytanie: „Ale jakże w tej mierze tak jasne systema może być mylne? Sądzę ja u siebie, że nie w systemacie, lecz w aplikacyi jego myłka się najduje. Do masy reprodukcji nie zapewne nie przydają rękodzieła, do szacunku jednak przydać mogą.“ Wyjaśnia dalej swoją myśl w ten sposób: ponieważ siła kupecza pieniędzy nie jest jednakową we wszystkich krajach, gdyż wszędzie praca ludzka jest inaczej cenioną, a skoro tak jest, więc przy handlu towarami przemysłowemi może zysk powstać, jeżeli w tym kraju ten rodzaj pracy będzie wyżej ceniony. Stąd wnioski: „intrata czysta nie jest samych tylko właścicieli gruntowych udziałem“ i „masa bogactw od masy produkcyi różni się w pewnych względach.“ Nie poprzestaje jednakże na tej krytyce Kołłątaj, dalej bowiem czytamy ¹⁾: „Co jest przyczyną bogactw, a co prawdziwem bogactwem, uważmy naprzód: człowiek jest skarbem najdroższym, mówi Ferdynand Galliani w szanownym swoim dziele „o monecie.“ Pobudki, dla których tak mówi się te, że bez ręki ludzkiej ziemia wydać nie może bogactw ani w tej obfitości, ani w tej dobroci, że wszelka reprodukcyja ziemi, jeżeli jej człowiek nie używa, przestaje być szacowną i potrzebną. Czyli więc człowieka uważać będziemy jako przyczynę reprodukcyi, czyli jako przyczynę konsumpcyi, zawsze Galliani miał sprawiedliwy powód mówić, że człowiek jest skarbem najdroższym. Wszakże gdy ekonomiści utrzymują, że zbiór reprodukcyi corocznej jest prawdziwym bogactwem, zdają się toż samo

¹⁾ W temże dziele „Nota“ str. 280.

utrzymywać, co i Galliani, różnią tylko człowieka od rzeczy użytkowi potrzebnych, uważają go jako przyczynę bogactw, a masę reprodukcji corocznej mienią być dla tego prawdziwym bogactwem, iż mu jest potrzebna. Ja zaś, trzymając środek między temi dwoma ważnemi opiniami, *ziemię nazywam jedynem bogactwem skarbem, a rękę człowieka kluczem, bez którego bogactw rzeczonych dostąpić nie można.* Człowiek więc i ziemia są wspólną przyczyną masy bogactw.“

Naszem zdaniem jest to jedyna racjonalna krytyka fizyokratyzmu, jaką wówczas wypowiedziano ¹⁾. Toż na tem polega cały błąd zasadniczy fizyokratów, że wobec bogactw materialnych zapominali o człowieku, że oceniwszy trafnie jeden z czynników produkcji—naturę, nie zapomnieli, ale jednakże lekceważyli drugi czynnik—pracę. Tylko dla tego doszli oni do wniosku, że rękodzielnictwo nie stwarza nowej wartości, ponieważ wychodzili z założenia, że ono tylko wchłania, że się tak wyrażę, materiały surowe, aby je wyłonić w nowym kształcie; nie chcieli zaś zrozumieć, że tu pod względem ekonomicznym zachodzi niszczenie i absolutnie nowe tworzenie, że tylko część materiałów surowych wchodzi w proces produkcji, część zaś przechodzi bezpowrotnie w dziedzinę konsumpcji, a natomiast powstają nowe zupełnie wartości, których przyroda nigdy tworzyć nie może. Mogło to się stać tylko dla tego, że fizyokraci zapomnieli o prostej prawdzie, iż siły przyrody mogą stwarzać rzeczy, siły nowe, materję i energję, ale nigdy wartości, bo wartość wnosi w materję człowiek i tylko on ją tworzy, że „ręka człowieka jest kluczem,“ bez którego skarby natury nie są skarbami w pojęciu ekonomicznem. Jeżeli rękę człowieka,—jak wyraża się Kollataj, czyli siłę roboczą, jak mówi ekonomista—postawić obok natury jako czynnik ekonomiczny, równoważny, wówczas cała teoria jest przekształconą do gruntu. Jasnem jest, że to, co rzuca tu Kollataj w kilku zdaniach, jest kwintessencją klasycznej ekonomii. On zatrzymał się na tem. Nie było wówczas czasu na zatapianie się w badania teoretyczne. Dla historyka ekonomii ten aforyzm Kollataja jest jednak ciekawym, jako dowód, że krytyka fizyokratyzmu, tak, czy inaczej, musiała doprowadzić do idei o pracy, jako źródle wartości.

Nasz autor wyciąga z swoich założeń przedewszystkiem praktyczny wniosek (tylko myśl o reformie podatków spowodowała jego roztrząsania ekonomiczne): „Moim przeto zdaniem podatek ludu wolnego być powinien jeden na wszystkich, jako rozsądna ofiara... i taki poda-

¹⁾ Krytyka Smitha nie była wyczerpującą. ślizgała się po wierzchu i fizyokratom łatwo bardzo było ją zbić. Ta krytyka właśnie najlepszym jest dowodem, jak bardzo Smith sam był uwikłany w pojęcia fizyokratyczne.

tek opierać się tylko powinien na pożytkach własności gruntowej wiejskiej i własności gruntowej miejskiej.“

Wzniósłszy się tym sposobem teoretycznie po nad fizyokratyzm, umiał też Kołłątaj w praktyce unikać jego przesady. Wprawdzie uważa on ziemiaństwo jako klasę podstawową w Polsce, nie zapomina jednakże o mieszczańach, gdyż, jak wiadomo, ten fizyokrata był, bądź co bądź, najenergiczniejszym rzecznikiem interesów miast.

IV.

Na tem kończymy sprawozdanie o polskich teoretykach fizyokratyzmu. Widzieliśmy, że początkowo dogmatycznie powtarzano teorię, odebrawszy jej istotną treść opozycją burżuazyjną (Popławski); potem umiano ją zastosować do warunków miejscowych i nasycić zdobyczami Smith'a (H. Strojnowski), a w końcu, kiedy teoria na zachodzie traci grunt, powstaje jej obrońca w Polsce (W. Strojnowski). Ta giętkość systematu fizyokratycznego z jednej strony, a z drugiej łatwość, z jaką się przyjął w Polsce, gdzie odpowiadał poglądom „naturalnym“, t. j. takim, jakie wytworzyły społeczne warunki w kraju czysto rolniczym, zasługuje na uwagę badaczy. Widzimy też, że i tu powstaje krytyka, a nawet krytyka niezmiernie trafna (Kołłątaj); ale pozostaje ona sporadyczną i nie powoduje przewrotu w poglądach, ponieważ na to nie pozwalają te same znów warunki społeczne, gdy natomiast krytyka, mniej trafna nawet, prowadzi do nowego systemu tam, gdzie stosunki społeczne tego się domagają — w Anglii. Gdyby trzeba było jeszcze dowodów na to, że fizyokratyzm, ten pierwszy system ekonomii politycznej, pozostawał w ścisłym stosunku do filozofii społecznej XVIII wieku, do tak zwanego „prawa natury“, znaleźlibyśmy go w dziełach polskiego fizyokraty, który, nawet po wyodrębnieniu się nowej nauki, wlewa nowe wino w stare miechy, mieści teorię wartości w „prawie naturalnem.“ Przeciwników poważnych fizyokracy w Polsce nie znaleźli. Nie fizyokratami byli tylko: Nax ¹⁾, autor dzieła: „Wykład początkowy prawideł ekonomiki politycznej z przystosowaniem przepisów gospodar-

¹⁾ Kameralista polski z wieku XVIII, jak go nazwał Oczapowski. (Patrz: *Roztrząsania i rozbiory w warunkach politycznych i ekonomicznych. Biblioteka umiejętności prawnych 1889*).

stwa krajowego do onego wydzwignienia i polepszenia stosownie do stanu w którym zostają, rok 1790, i nieznanym nam z nazwiska autor książki: „O związkach i przystosowaniu wzajemnym rolnictwa, rękodzieł i handlu“¹⁾). Ani jeden wszakże, ani drugi, nie dają właściwie teorii ekonomicznej, i obaj w zasadniczej opozycji do fizyokratyzmu nie stają. Dzieła ich właściwie są dosyć niedołąnym zlepkiem, u Naxa twierdzeń kameralistycznych, u pseudonima twierdzeń merkantylistycznych i fizyokratycznych. Smith'a przetłómaczono bardzo późno, bo w roku 1809, przyczem tłómacz, Zuosko, przykroił dzieło tak, że staje się ono jeszcze bliższem fizyokratyzmowi, niż było w istocie. Nowy duch powiał w ekonomice polskiej dopiero od czasu wystąpienia hrabiego Skarbka, ale też wtedy pierwsze zarazki kapitalistycznej gospodarki, które miały z czasem wyrugować gospodarkę naturalistyczną, już były zaszczerpione. W końcu XVIII wieku, kiedy ostatnia stanowiła fundament życia ekonomicznego w Polsce, w głowach Poiaków panował, bo imy nie mógł panować, odpowiedni system nauki ekonomicznej.

Skoro tak było, więc nie dziwnego, że we wszystkich dziełach ówczesnych, o ile chodzi o kwestye ekonomiczne, spotykamy się z twierdzeniami fizyokratycznymi: w literaturze broszurowej, tak obfitej w czasie sejmu czteroletniego, w pismach peryodycznych, w odbitkach mów poselskich, wszędzie ten sam sposób argumentowania, w którym każdy znawca nie może nie dojrzeć fizyokratyzmu. Nie znaczy to naturalnie, że wszyscy autorowie tych utworów podpisywali się pod tem, co twierdzili Quesnay i jego uczniowie, a nawet nie znaczy, że uświadamiali sobie całą teorię tego wielkiego (naszem zdaniem) myśliciela. Przeciwnie, bardzo często zapewne zupełnie nie znali teoretycznych dzieł fizyokratów, a pomimo to myśleli fizyokratycznie. Z drugiej znów strony nawet dogmatycznych fizyokratów praktyka zmuszała do ustępstw, do herezyi względem dogmatu. Jako typ takiego pisarza, może służyć Staszyc. Wiadomo, że należał on do umysłów bardzo niesystematycznych i dziwnie niekonsekwentnych. O ile jednakże rozumuje w kwestyach ekonomicznych, rozumuje zawsze fizyokratycznie. To mu nie przeszkadza jednakże popełniać merkantylistycznej herezyi, popierać żądania „prawa oszczędniczego,“ które było ulubioną jego ideą, argumentem czysto merkantylistycznym, że trzeba zapobiedz „wychodzeniu pieniędzy z kraju.“ Ale argumentacja jest oryginalna. „Podatek—czytamy w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyckiego“—tylko z dochodów czystych być wybieranym powinien. Dziśiaj podatek jedynie pieniędzmi wypłacać potrzeba. Pieniądze są wszy-

¹⁾ Warszawa 1786 u Grölla.

stkich rzeczy cechą (ma znaczyć zapewne miarą), której cena w porównaniu z rzeczami odmienia się. Umniejszenie pieniędzy w kraju powiększa podatek“¹⁾. A więc merkantylizm, uzasadniony fizyokratycznym postulatem! Takich przykładów można-by przytoczyć więcej. Dowodzą one (znów naszym zdaniem), że fizyokratyzm w Polsce, jakkolwiek przyniesiony z zewnątrz, odpowiadał tak ściśle istniejącym warunkom, że umysły naszych rodaków nie mogły myśleć wówczas nie fizyokratycznie.

Jakiż więc wpływ wywarła teoria na praktykę, jakie mamy policzyć fizyokratom zasługi, a jakie na karb ich położyć grzechy? Przewszystkiem zaznaczyliśmy, że zwolennicy reformy stosunków włościańskich im zawdzięczają argumenta. Można śmiało powiedzieć, że fizyokratyzm był w Polsce pod tym względem rzeczywiście teorią. stającą w „obronie klasy uciśnionej“ (czego, jak zaznaczyliśmy na wstępie, powiedzieć nie można o nim we Francji). Zaslugą polskich fizyokratów jest, że zastosowali teorię o „*produit net*“ do chłopca pańszczyźnianego, że naukę o wolności indywidualnej zużytkowali tak stanowczo na korzyść emancypacji tego chłopca. Jako ideologowie, szlachetnicy pisarze podchwycili to z nauki swych mistrzów, co było w niej najpiękniejszego z punktu widzenia postępu społecznego. Lecz rezultat był żaden prawie: zmusić klasę panującą do reformy społecznej, wbrew interesom większości tej klasy²⁾, tego teoria żadna i nigdy nie dopięła. Francuscy myśliciele na wół bezwiednie stają po stronie wybijającej się na wierzch burżuazji i ta zwycięża; ich uczniowie polscy z całą świadomością stają po stronie uciemnionych chłopów i ci nie zyskują nic prawie. Taką jest potęga i bezsilność idei.

Dalej widzimy, że idea fizyokratyzmu doprowadza do pierwszego ogólnego podatku, nałożonego w Polsce szlachcie, pomysł bowiem „ofiarę dziesiątego grosza“ jest już zawarty w dziele Popławskiego, powtarza się potem z argumentacją fizyokratyczną u wszystkich reformatorów, a i w mowach poselskich na korzyść tej formy podatku znajdujemy to dowodzenie. Nie był to wprawdzie „*impôt unique*“ Quesnay'a, ale nigdzie w tym czasie nie zbliżono się więcej do tego ideału, jak w Polsce. Czy stało się to z pożytkiem, czy ze szkodą? Znakomity autor „dziejów wewnętrznych“ powiada: ³⁾ „w tej ga-

¹⁾ Uwagi i t. d. wydanie z roku 1785 str. 147.

²⁾ Mowimy większości, naszym bowiem zdaniem reforma była koniecznością ekonomiczną dla wielkiej i średniej własności, stawała się zabójczą dla mniejszej. Ponieważ zaś przedstawiciele tej ostatniej mieli większość, reforma nie doszła do skutku.

³⁾ Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta, przez Tadeusza Korzoną, tom III str. 199.

łęzi (podatków) teoria pozostała w tyle po za praktyką, literatura obowiązkom swoim względem społeczeństwa i potrzeb czasu nie sprostała,“ a dalej czyni zarzut, że fizyokraci „rozwodzą się nad szkodliwością wysokich podatków, nad niebezpieczeństwem zubożenia kraju, zniszczenia źródeł bogactwa narodowego przez ucisk rolnictwa, przez nadwerczenie czystego dochodu z roli. Ponieważ Polska ówczesna od takiego niebezpieczeństwa była bardzo daleką, więc budzenie podobnych obaw mogło tylko szkodliwy wpływ wywierać.“ Co do ostatniego zarzutu, jest on zupełnie usprawiedliwiony. Toż w broszurze „Myśli polityczne dla Polski,“ którą ks. Kalinka uważa za szczyt mądrości politycznej owego czasu, czytamy: „rozumny rząd nigdy nie może naruszać zakładów gruntowych. Tym zakładom zawdzięczamy urodzajność ziemi. Kiedy zbierać nie będziemy płodów, po co nam ziemia, co nam po obronie?“¹⁾ Jednakże co do pierwszego zarzutu nie zupełnie możemy się zgodzić z Korzonem, który go uzasadnia tem, że ówczesni pisarze nie zwrócili dostatecznej uwagi na podatki pośrednie. Otóż sądzimy, że to źródło w Polsce ówczesnej rzeczywiście nie było obfitem, a to dla tej prostej przyczyny, że i dwór, i chłop wówczas, skutkiem gospodarki naturalistycznej, kupowali bardzo niewiele w porównaniu z czasami dzisiejszemi, a przytem podwyższyć podatki na te przedmioty, które kupował chłop do tego stopnia wynędzniały, znaczyło rzeczywiście ubożyć kraj. Według nas zatem, poglądy fizyokratów były tylko skutkiem nie przyczyną. Najbardziej wpływowi z nich Kołłątaj i Staszyc, byli przecież o tyle oportunistami, że chętnie zapewne byli-by się wyrzekli swej teorii, gdyby można było obiecywać sobie natychmiastowe powiększenie dochodów z tej kategorii podatku. Zapiszmy też na korzyść fizyokratów, że jednym z motywów do potępienia podatków pośrednich było przekonanie o szkodliwości ich dla pospółstwa, gdyż na jego barki muszą być zwałone z konieczności. Staszyc wypowiada się bez ogródek: „Ten niegodziwy podatkowania sposób tylko od bogatszych jest wymyślony, aby za nich ubożsi płacili“²⁾, a Kołłątaj mu wtóruje: „Akeyzy i monopolia to podatki, które najbardziej obarczają wolność człowieka i przyciskają ubóstwo“³⁾. Nauka mogła tylko potwierdzić poglądy naszych fizyokratów, i dziś pomiędzy ekonomistami niema kwestyi o to, czy te podatki są racyo-

¹⁾ *Myśli polityczne dla Polski* Warszawa 1789. Charakterystycznym jest, że jota w jota tak samo rozmawiali przedstawiciele burżuazji w Anglii, kiedy w czasie wojny przeciw Napolconowi zażądano od parlamentu podwyższenia podatku dochodowego.

²⁾ l. c. p. 193.

³⁾ *Listy Anonima*. Część III, 309

nalne, a chodzi tylko o to, czy można się bez tak nieracyjnych obyć. Zarzuca też Korzon fizyokratom, że nie pomyśleli o środku finansowym, jakim był kredyt ¹⁾. Sądzymy, że i tu winy ich powiększać nie należy. Jedyny projekt rozsądny w tym kierunku został, jak to podaje sam Korzon, przedstawiony przez Michała Ossowskiego ²⁾, który radził wystawić na sprzedaż starostwa i tym czasem wypuścić biletów skarbowych na 20 milionów złotych. Uderza tu okoliczność, że umotywowanie jest nawskroś fizyokratyczne, autor nawet powołuje się wprost na „światłych i prawdziwych ekonomistów“. Projekt ma dwie tylko wady: summa 20 milionów jest śmiesznie mała i mogła być śmiało powiększona pięćkroć, sądzymy jednakże, że to było-by się stało samo przez się, apetyt wraz z jedzeniem przychodzi. Projekt został wniesiony za późno. Z jakiego powodu? O to już chyba panów starostów zapytać należy.

Dlaczego jednakże w literaturze ówczesnej wogóle zwracano tak mało uwagi na kredyt? Dlaczego „profesorowie, statyści, pisarze wpływowi, nie chcieli zajmować się kredytem publicznym, owszem, przy sposobności objawiali nawet niechętnie, a zawsze niedojrzałe, nieprzetrawione zdania,“ jak mówi Korzon ³⁾. Sądzymy, że dwie są tego przyczyny: wpływ Francuzów, którzy mieli jeszcze przed oczyma skutki nadużycia kredytu podczas szału spekulacyjnego, spowodowanego przez genialnego awanturnika Lawa, oraz położenie ekonomiczne Polski, przy którym istnieć mógł jedynie kredyt w tej formie, w jakiej spotykamy go u ówczesnych bankierów warszawskich—kredyt hipoteczny i wekslowy. System bankowy po prostu istnieć tu nie mógł, dla tego, że jest to, zarówno co do treści, jak co do formy, najmisterniejszy i najdoskonalszy produkt kapitalistycznego ustroju, który wymaga szybkiego obiegu pieniędzy, rozwiniętych stosunków handlowych i nawyknienia całej ludności do operacji kupieckich. Dziś było-by donkiszoterją chcieć zastosować do Polski istniejący w Anglii system kompensacyjny, oparty na powszechnem prawie użycia czeku, na instytucji „clearing hous'u“ i t. d. To samo sto lat temu: mówić o bankach, o kredycie, można było w Anglii, Hollandyi, Francyi, we Włoszech nareszcie, ale nie w kraju, który nie miał ani handlu, ani przemysłu. Dlaczego nie miał? Na to pytanie trzeba szukać odpowiedzi w całej historii Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ale dlaczego nie starano się przynajmniej rozwinąć handlu i przemysłu, wówczas, kiedy

¹⁾ l. c. tom III, 312.

²⁾ *O urządzeniu starostw. Rada i projekt do prawa.*

³⁾ l. c. tom III, 312.

rzeczywiście zabrano się do reform? Korzon upatruje przyczynę tego zaniedbania głównie w poglądach, głoszonych przez uczonych publicystów. Twierdzi on: „Żeby się handel mógł podźwignąć z tak rozpaczliwego stanu, trzeba było nasamprzód przekształcić, albo raczej ukształcić pojęcia szlachty, wypłenić jej fatalne uprzedzenia, oświecić umysły zaśniedziałe, zasklepione szkaradnym systemem wychowania jezuickiego“ ¹⁾. Tego zadania nie spełnili, zdaniem historyka, uczeni ekonomiści, którym zarzuca w dalszym ciągu, że „nie studyowali historii narodów handlujących i nie mieli wyobrażenia o powszechnej historii handlu, bo ta nauczyła-by ich, że w pewnych epokach narody handlowe nie wahały się nie tylko zrzucać się wszelkich dogodności nieograniczonej konkurencji, ale nawet uzbrajały swych kupców znaczną potęgą polityczną“ ²⁾. Oni zaś dali się uwieść frazesom o korzyściach nieograniczonej wolności handlu. A takie wywody, zdaniem szanownego autora, „mogły-by zajmować poczesne miejsce w ekonomii algebraicznej, ale nie politycznej, która musi rachować się wciąż z warunkami miejsca i czasu, z okolicznościami konkretnymi i wpływami polityki obcej“. Więcej nawet, historyk widzi „tradycyjną niechęć i podejrzliwość względem mieszczan, w ustępie, gdzie X. Strojnowski zbija uznane już w owym czasie i do dziś dnia niezachwiane maksymy, że niekorzystnym jest dla kraju wywożenie płodów surowych za granicę i odkupywanie tychże płodów w postaci wyrobów, rękodzieł i fabrykatów.“ Otóż utyskiwania te niewątpliwie są po części słuszne. Na obronę jednak fizyokratów należy powiedzieć, że „historii narodów handlowych“ nie znał wówczas nikt, nawet genialny twórca ekonomii klasycznej, Smith, i że polscy teoretycy poszli tu za panującym w całej nauce prądem. Zapewne polscy publicyści przesadzali, deklamując śladem swoich mistrzów przeciw tyranii cechów, przeciw „monopoliom,“ cłom ochronnym i t. d. Nie ulega jednak kwestyi, że czynili to raczej w interesie mieszczan, niż szlachty, czego dowodem jest to, że z drugiej strony biją oni taranem argumentów ekonomicznych w przywileje szlacheckie, które, bądź co bądź, w Polsce dawały się mieszczanom bardziej we znaki, niż gdziekolwiek. Jakże mówić o niechęci tradycyjnej, kiedy Popławski i Strojnowski wyraźnie mówią za mieszczanami, a uczniowie ich, Staszyc, który sam wyszedł z łona mieszczańskiej rodziny, i Kołłątaj, stają się najdzielniejszymi szermierzami sprawy miast, a w dodatku w walce tej posługują się znów argumentacją fizyokratyczną. Co się tyczy teorii merkantylistycznej o bi-

¹⁾ l. c. tom II, p. 13.

²⁾ l. c. tom II, p. 19.

lansie handlowym, nie będziemy tu wszczynali sporu z szanownym historykiem, jakkolwiek sądzimy, że została ona nie tylko zachwiana, ale wręcz obaloną przez naukę od dosyć dawna. Zaznaczamy tylko, że, naszym zdaniem, poważniejsze stawały przeszkody do urzeczywistnienia eksperymentów merkantylistycznych w celu dźwigania przemysłu, niż poglądy teoretyków, że te poglądy raczej skutkiem były, niż przyczyną. Zapewne, nikt nie zaprzeczy historykowi, kiedy twierdzi: „Hollandya i Anglia nie skąpiły w swoim czasie przywilejów kompaniom i opanowały handel świata; Polska zakazywała w *pactuch conventach* królom swoim nadawania jakichkolwiek monopoliów i—zrzurowała swój handel, znalazła się na łasce cudzoziemców.“ Jednakże w Hollandyi i Anglii, prócz mądrości mężów stanu, którzy oteczyli opieką handel i nie skąpili przywilejów, było coś więcej, była potężna klasa mieszczańska, która, wbrew oporowi szlachty, zmusiła rządy do popierania swoich interesów, która w swoim interesie używała sił narodu na dźwignienie siebie; w Polsce szlachta zgmiotła w zarodku rozwój miast i używała sił narodu również na swoją korzyść, ale przytem w niwecz pójść musiał handel polski i przemysł. Dalej jeszcze; w chwili kiedy w Anglii i Hollandyi zaczął się rozrost przemysłu, spadły były już od dawna kajdany z ludu—poddanstwo już nie istniało. Podobnie we Francyi: Colbert nie mógł-by urzeczywistnić swoich planów, gdyby nie to, że do miast francuskich, w miarę rozwoju kapitalizmu, napływała ludność wyzwolona z pod władzy szlachty. Kapitalistyczny rozwój i niewola—te dwie rzeczy wykluczają się wzajemnie. Oto dlaczego w Polsce nie mogło być mowy o przemyśle. Pewne dziewczę polskie wskazało na tę prawdę już w XVIII wieku. Coxe opowiada nam w swojej „Podróży po Polsce“ ¹⁾, o wizycie, jaką złożył manufakturom królewskim pod Grodnem, gdzie według jego relacyi pracowało 3000 *chłopów pańszczyznianych* pod dozorem 70 cudzoziemców, i przy tej sposobności kreśli następujący obrazek rodzajowy: „Jedno z dziewcząt, cokolwiek sprytniejsze, odpowiedziało dozorczy, który zachęcał je do większej pilności: Jakąż mieć będę korzyść, słuchając waszych rad? gdybym była najbardziej biegłą w swojej robocie, to przecież zawsze pozostanę poddanką, ja będę miała pracę, a mój pan pożytek.“ Anglik dodaje: „na to rzeczywiście trudną była odpowiedź.“ Bo też i nie potrzeba odpowiedzi. Dziewczyna rozwiązała głęboką kwestję ekonomiczno-społeczną: w Polsce przemysł nie mógł istnieć, dopóki lud polski „miał tylko pracę, a pan pożytek.“ Rozumieli to ludzie obeznani z kwe-

¹⁾ Travels into Poland etc. Przekład niemiecki J. Perzla. Zurych 1785, str. 172

styami ekonomicznymi już wówczas i dlatego żądali przedewszystkiem zasadniczej reformy—zniesienia poddaństwa. Chcieć stworzyć w Horodnicy polski Lyon z robotnikiem, zapędzonym na pańszczyznę do fabryk batogiem ekonomskim, na takie pomysły mogli tylko wpadać dyletanci, jak król jegomość lub Tyzenhaus.

Chcąc więc dojść do ogólnego sądu o historycznej roli, jaką odegrał fizyokratyzm, należy przedewszystkiem pamiętać, że teorye w naukach społecznych, a szczególnie w ekonomii teoretycznej, „algebraicznej“ jak chce Korzon, powstają i przyjmują się w danem społeczeństwie zawsze zgodnie ze stosunkami społecznymi, jakie panują, że teorye są tylko odzwierciedleniem tych stosunków w głowach myślicieli. Tak też ma się rzecz z fizyokratami polskimi. Nie mogli oni wymyślić innych systemów podatkowych, jak te, na które pozwalał stan ekonomiczny kraju, pogrążonego w gospodarce naturalistycznej; nie mogli zalecać systemu merkantylistycznej opieki dla przemysłu i handlu, bo nie było warunków bytu dla takiego systemu; nie mogli stworzyć ani zalecać systemu kredytowego wobec pierwotnych stosunków wymiany. Natomiast musieli, zgodnie z całym poglądem filozoficznym swego czasu i zgodnie ze stanem ekonomiczno-społecznym kraju, poddać się urokowi nowej nauki ekonomicznej. Myśleć nie-fizyokratycznie było sztuką naówczas w Anglii, niepodobieństwem w Polsce. Przy pomocy tego aparatu naukowego, jedyne, który wtedy nadawał się do badania, trzeba było wykryć źródła niedomagania gospodarstwa społecznego; to właśnie uczynili fizyokraci, upatrując przyczynę upadku rolnictwa, jedynej podstawy ekonomicznej Polski, w niewoli chłopu. Więcej wymagać od teoretyków nie mamy prawa.

DR J. B. MARCHLEWSKI.

Z cyklu: Italia.

Drobiazgi włoskie.

I.

S i g n a.

Chcesz-li poznać, żeś już stanął

Na klasycznej włoskiej ziemi?

Bacz, czy drogę ci zabiegną

Wierzby z głowy uciętemi.

Bacz, czy drogę ci zabiegną

Koronkowe winnic kraty,

Czarne pinje i osterje,

I jaskrawe w oknach szmaty.

Bacz, czy modrych wzgórz widziadła

Majaczeją za mgłą siną,

Czy ci leje „Signor Oste“

Koźlą łagwią tchnące wino...

W białe wolce czy chłop orze,
 Z Tarkwinjusza rzymską twarzą,
 Czy krzykliwe, śniade „putti“
 W twych kieszeniach gospodarzą.

Czy po drodze wieją pyłem
 Marmurowe starte bogi,
 Czy swój łachman żebrak składa
 W senatorskiej fałdy togi.
 Czy w liljowy zmierzch kopytem
 Grzmią gdzieś Hunny i Wandalę,
 Czy Angielek widzisz żółtych
 Długie szyje i woale.

Patrz, czy wzgórza ci się srebrzą
 Zielonością oliw bładą,
 Czy cyprysy ci na drogę
 Przestrzeliste cienie kładą...
 Czy skrzypiąca, ciężka biga
 Chmurę tufu z pod kół wzbija,
 Czy brzmi w dźwiękach mandoliny
 „Santa Chiara” i „Lucia.”

Czy na czombrach wiankiem leży
 Owiec trzoda zadumana,
 Czy pastuszek w ruinie chadza,
 Jak świętego czynią Jana...
 Czy kukurudz pęki złote,
 Na polentę u strzech wiszą,
 Szepty ruin i westchnienia
 Lazurową czy drżą ciszą.

Patrz, czy z Logii ci zaświeci
 Zzieleniały Faun gdzieś stary,
 Czy wyrostki, małpim ruchem,
 W „Mora“ grają pod filary.
 Czy jak bogi, tak próżniaczo,
 Po marmurach ci się ścielą,

Olimpijskie oberwańce
Z wieczną ńdzy swej niedziela?.

Bacz, czy drogę ci zabięną
Grody puste, jak cmentarze,
Czy otoczą ciebie tłumem
Chciwe oczy, głodne twarze...
Czy ci słońce po nad głową
Jak ognisty feniks wzleci,
I czy noc w Dantejskiej szacie
Alabastry gwiazd rozświeci.

Bacz, czy gdzieś w najdalszej dali,
Morze zalśni malachitem...
Czy „Il Re” na koniu skacze,
I śpizowem grzmi kopytem.
Ach, i na to bacz, czy w piersiach
Zawiośnieje wieczne piękno;
Czy twe myśli, jak pątnice,
Na świątyni progu — klękną!

II.

„Cicerone.“

Kogo brać za przewodnika?
Gdzie tu sobie szukać pary?
Dobry Liwjusz, dobry Tacyt,
Dobry i Swetonjusz stary.

Tacyt ślady ci pokaże,
Co je wybił Hun podkową,
Kiedy spadli barbarzyńcy
Na stolicę marmurową.

Gdy z Liwjuszem siedziesz cichy,
 Gdzieś na forum, na kolumnie,
 Życie Romy cię otoczy,
 Duchy Romy przyjdą tłumnie...

Gdy Swetonjusz cię powie
 Przez ogrody Cezarowe,
 Ujrzysz, czemu orły złote,
 W piasku dziś zaryły głowę.

Wskresną dla cię ludzie, bogi,
 I Spartaki, i Cezary...
 — Dobry Liwjusz, dobry Tacyt,
 I Swetonjusz dobry stary.

Lecz najlepszy jest Antonio,
 Garybaldczyk z „Porta-Pia,“
 Co zna wszystkie sławne boje
 I w osterjach wszystkich pija.

Choć mu bagnet szczękę przebił,
 Choć mu język spłącze wino,
 Chryste, jak on dzielnie prawi
 O Magencie, Solferino!..

Słów mu braknie?.. Nic to bracie!
 Jeden gest za słowa starczy.
 Widzisz lonty u harmaty!
 Słyszysz jak gdzieś kartacz warczy?

Twarz spalona w żarach boju,
 Piers odkryta, naga szyja...
 Chryste, jak on wąsy jeży,
 Jak szczudliskiem swem wywija!

Stracił nogę? No, to stracił,
 A co wygrał, to zostało:
 Sam generał mu tę ranę
 Związał chustką swoją białą!..

Sam generał!.. — Umilkł, patrzy,
 Jakąś wielką ściga marę...
 Dym, co skrywał bitwy pole,
 Gryzie czegoś oczy stare...

I ja patrzę w zachód złoty,
 Na lecących klucz zórawi...
 Co wart Tacyt, co Swetonjusz,
 Gdy Antonio stary prawil!

Czy z ksiąg skrzeszysz jedną iskrę,
 Z tych, co jemu w oczach płoną,
 Gdy w zadumie głowę zwiesi
 Na koszulę swą czerwoną!

MARYA KONOPNIČKA.

Byron po polsku.

(Z powodu nowych przekładów). ¹⁾

Dużo się u nas mówiło i mówi o wpływie Byrona na literaturę polską. Wpływ ten niewątpliwie istniał, ale nie był ani jedynym, ani wszechwładnym. Byronowskie idee nie padły w Polsce na grunt zupełnie surowy i nieprzygotowany. Pomijając już stosunki polityczne, które, zarówno u nas, jak i w całej Europie, usposabiały młodzież sympatycznie dla muzy angielskiego barda, mamy dowody, że i pod względem czysto estetycznym, przyszli odnowiciele poezji polskiej, jeszcze przed poznaniem utworów Byrona, działali w pokrewnym jego kierunkowi duchu. Duch ten przyszedł do nas z tegoż samego źródła, skąd przybył do Anglii, a mianowicie—z Niemiec. W pierwszych poezjach Mickiewicza („Ballady i Romanse“) czuć wpływ Goethego, („Świtezianka“—„Fischer“), Szyllera („Rękawiczka“) i romantyków niemieckich, ale niema ani śladu oddziaływania Byrona. Dla tego też zdanie, wygłoszone później przez Mickiewicza z katedry „Collège de France“, że Byron jest „tajemniczem ogniwem, łączącym wielką literaturę Słowiańską z literaturą Zachodu“, należy rozumieć tak, iż poezye autora „Korsa-

¹⁾ Jerzy Lord Byron „Poemata“ (Warszawa 1895). Wędrówki Childe Harolda, poemat Lorda Byrona, tłumaczony z angielskiego przez A. A. K. (Kra-ków 1896).

rza“ wzmocniły i uświadomiły, drzemiące już poprzednio w łonie całej słowiańszczyzny, a więc i społeczeństwa polskiego, potrzeby i dążenia estetyczne, przyspieszając ich wybuch i urzeczywistnienie. „Wielu z pisarzy,—powiada dalej Mickiewicz,—nie znało nawet dzieł poety angielskiego; zasłyszeli ledwo kilka dźwięków, kilka urywków jego wierszy i tego było im dosyć. Miał on tak wielką siłę, że dawał ją czuć w kilku słowach, że tych kilka słów mogło potrącać, obudzać dusze, odkrywać im czem były“.

Zachodził tu proces podobny temu, jaki powstaje w chwili, kiedy do naczynia, zawierającego zgęszczony roztwór soli mineralnej, wrzucimy kryształ tejże soli, wywołując przez to natychmiastową krystalizację masy, która poprzednio nie posiadała żadnego określonego kształtu i nie różniła się wcale od obejmującej ją cieczy.

W taki sposób oddziałał Byron na całość, na charakter literatury polskiej w ogóle. Niezależnie od tego, czysto podniecającego, agitacyjnego, że tak powiemy, wpływu na rozwój poezji, autor „Manfreda“ wywarł również na większość poetów naszych wpływ bardziej bezpośredni, dotykalszy i wycisnął, mniej lub więcej wyraźnie, piętno swej indywidualności na pewnej grupie ich utworów.

Marya Malczewskiego np., której autor znał się podobno osobiście z Byronem, przypomina zarówno formą, układem, jak i mnóstwem szczegółów, powieści poetyckie angielskiego poety, a specjalnie „Larę“ i „Korsarza“.

I u Mickiewicza spotykamy oddźwięki Bajronowskiej muzy. Nie są one zbyt silne; występują w jednym tylko okresie jego twórczości, i to zmodyfikowane, przetrawione i przystosowane do warunków, w jakich się znajdował poeta, oraz społeczeństwo, dla którego pisał.

Jeżeli pominiemy utwory drobniejsze (sonety: „Strzelec“ i „Burza“, „Żeglarz“), to z większych jedynie „Konrad Wallenrod“ ujawnia wyraźne ślady wpływu Byrona. Bohater wspomnianego poematu różni się od Bajronowskich bohaterów tem, że kiedy ci mszczą się na świecie za krzywdy osobiste i cierpią dręczeni wyrzutami wewnętrznymi, za jakieś straszne, dobrowolne czy mimowolne, zbrodnie, Wallenrod poświęca siebie, swoje szczęście, a nawet spokój swego sumienia dla idei.

Owo podporządkowanie interesów jednostkowych interesom ogółu stanowi główny rys charakterystyczny, wyróżniający romantyzm polski od Bajronizmu. Wybujały, nieznający żadnego hamulca indywidualizm Bajronowskich tytanów, przybrał u naszych poetów odmienną barwę: przerodził się w heroizm poświęcenia i miłości. Dominującą władzą duchową u bohaterów autora „Manfreda“ jest wola, która

przechodzi u nich niekiedy w stan chorobliwej hipertrofi: postaci naszych poetów natomiast obdarzone są nadmiarem uczucia i to uczucia, które

nie na jednym spoczęło człowieku,

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku...

Kordyan, Frydjon, Konrad,—są to ludzie zupełnie oddani idei, żyjący tylko dla niej i gotowi „na własnej piersi skrawić pięście, przeciw niebu ich nie wznosić”. Hasłem Byrona było „cierp a myśl”; hasłem naszych wieszczów „cierp i kochaj”. To też żaden z nich nie poddał się bezwzględnie wpływowi albiońskiego tytana i nie przesiąkł tak głęboko jego poezją, jak np. Musset, lub Heine.

Mickiewicz po napisaniu „Wallenroda” poszedł dalej własną drogą i, dosięgnąwszy szczytu swojego rozwoju, stworzył „Pana Tadeusza”, to arcydzieło literatury współczesnej, tchnące odmiennym zupełnie duchem, niżeli najdojrzałszy, a niemniej znakomity plód Byrona— „Don Juan”.

Inaczej cokolwiek przedstawia się stosunek Słowackiego do Byrona. Słowacki posiadał szczególną, a przy niezaprzeczonej samodzielności i sile geniusza, zagadkową do pewnego stopnia właściwość, a mianowicie popęd do naśladownictwa. Rodzajem swego talentu nie był on podobny ani do Szekspira, ani do Byrona, ani do Calderona, a jednak przez pewien czas podlegał wpływowi każdego z tych mistrzów.

Autor „Króla Ducha” różnił się od autora „Don Juana” głównie przewagą wyobraźni nad poczuciem rzeczywistości. I kiedy Byron odtwarzał tylko naturę i jej niezmierzone przestwory za jedyną godną bóstwa poezji uważał świątynię— „kościółem” Słowackiego była „tęczowa kopuła myśli”

Wymalowana, jasna, księżycowa,

Nad srebrnym duszy wisząca aniołem.

Mimo to z wielu, zwłaszcza młodzieńczych utworów jego, Bajronizm przebija bardzo wyraźnie, jest to jednak Bajronizm doprowadzony prawie do absurdu (Arab), złośliwszy i krwawszy od swego pierwowzoru. Bohaterowie Byrona bowiem, obok dzikiej energii i odwagi, ujawniali także niezwykłą czułość i wrażliwość. „Żmija”, „Mindowe”, „Lambro”, „Jan Bielecki”, „Mnich” i „Arab” są bezporównania twardsi i bezwzględniejsi, a przeto i mniej sympatyczni, a nawet mniej prawdopodobni.

Korzystniej oddziałał Byron na Słowackiego—i na niego jednego z trójcy wieszczów naszych,—inną stroną swego talentu: humorem, ironią. Wpływ ten zrodził dźwięczne sekstyny „Podroży na Wschód“ i cudne oktawy „Beniowskiego.“ Tworząc „Beniowskiego,“ Słowacki był już dojrzałym, posiadał świadomość potęgi swego geniuszu i dla tego wpływ Byrona odbił się tutaj tylko na stronie zewnętrznej, formalnej, nie dotykając prawie wcale ducha poematu.

Co do Krasińskiego, to, z wyjątkiem kilku drobnych rysów w młodzieńczym jego romansie „Agaj Han“, innych śladów oddziaływania Byrona nie dało-by się w dziełach autora „Nieboskiej“ odnaleźć. „Byron—pisze Krasiński do Gaszyńskiego—stracił względy moje, wielki zapewne poeta, ale kto go zechce *naśladować*, ten będzie miernym i słamazarnym. Byron nie rozumiał różnistości, a to jest połowa stworzenia“.

Jeżeli od gwiazd pierwszej wielkości, zwrócimy się do poetów drugorzędnych, to spotkamy tam również niemało śladów wpływu Byrona, choć przyznać należy, są to ślady nie głębokie. Była chwila, że Bajronizm stał się manią, przeciwko której występował nawet sympatyzujący z romantykami Brodziński (o „Egzalt. i Entuz.“). Krasiński w liście do Słowackiego maluje ironicznie ów nastrój społeczny: „widziałem dzieci ponure, dzikie, jeszcze ssące pierś matki, a już recytujące wiersze *bajronskie*, i piszczące usteczkami pełnemi mleka: to piólu!“

Paroksyzm ten w ostrej, gryzącej formie trwał niezbyt długo. Zdaniem Małeckiego, od czasu pojawienia się „Pieśni Janusza“, „Komedyi Nieboskiej“ i „Pana Tadeusza“ (1833—34) „poezya nasza zaczęła brać taki obrót, że bajronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w każdym razie do zjawisk wyjątkowych i mniej też cenionych w piśmiennictwie“ Najgorętszą epoką Bajronizmu był okres pomiędzy r. 1824—1833, a najznakomitszym Bajronistą—Słowacki. Z rówieśników, jeżeli wyłączymy Goszczyńskiego, u którego niewiele tylko da się odnaleźć śladów czystego Bajronizmu, najwierniej naśladował angielskiego barda Julian Korsak, tłumacz „Więźnia z Chillonu.“ W „Twardowskim“ Korsaka, obok motywów, zapożyczonych z „Fausta“ Goetego, spotykamy całe sceny, wzięte żywcem z „Manfreda“. Są to jednak raczej pożyczki motywów sytuacyjnych, niżeli przejęcie się duchem pierwowzoru.

Nie lepiej wygląda Bajronizm w nudnym „Edmundzie“ Witwickiego; ponura energia albionkiego wieszca rozplynęła się tam i znikła w powodzi sentymentalno-melancholijnych frazesów.

Poważniejszym przedstawicielem Bajronowskiego ducha był Garczyński, w którego „Wacławie“ niebrak także, obok wielu innych,

i motywów pokrewnych istotą „Manfredowi“ i „Don Juanowi“, tylko, że autor, nie sięgając tak głęboko, jak angielski poeta, traktuje wszystko o wiele jaskrawiej: miłość pomiędzy bratem a siostrą, zaznaczona tylko tajemniczo u Byrona („Manfred“), występuje u Garczyńskiego wyraźnie; zwątpienie—zmienia się w bluźnierstwo i t. p. Być może, że Garczyński dla tego posuwał się tak daleko, by tem dobitniej zaznaczyć przemianę, jaka zachodzi w duszy bohatera, wstępującego później w ślady Konradów i Kordyanów.

Gdyby nam szło o momenty nastrojowe i niewyraźne imitacje tylko, należało-by wyliczyć wszystkie niemal nazwiska poetów naszych, u każdego bowiem znajdzie się wierszyk lub ustęp, przypominający lub parafrazujący Byrona. I Olizarowski w swoim „Brunonie“, i Zmorzowski w „Lesławie“, i Antoni Sowa, i Żmichowska, i Norwid, i Wolski—każdy z nich odzywa się od czasu do czasu tonem, zapożyczonym z liry Childe-Harolda.

Obok tych wybuchów, względem których Byron odgrywał raczej rolę bodźca moralnego, niżeli estetycznego modelu, pojawiła się pewna liczba naśladowań bezpośrednich. „Pan Fortunat“ Korzeniowskiego, „Don Juan“ Mirona i „Don Juan Poznański“ Berwińskiego,—oto niezbyt bogaty rezultat oddziaływania Byrona na lalangę „mniejszych“ poetów naszych. ¹⁾

Reassumując teraz wszystko cośmy o wpływie angielskiego wieszca na literaturę naszą powiedzieli, dojdziemy do wniosku, że—jeżeli wyłączymy „Wallenroda“, oraz piękne poematy Słowackiego,—Bajronizm nie wydał u nas wielu godnych uwagi utworów, ale oddziałał dość silnie na ogólny nastrój poetów i poezyi, oraz pewnych warstw społecznych.

Czy Bajronizm wpłynął na literaturę naszą korzystnie? Bezwątpienia. Zarówno u nas, jak i w całym świecie bowiem, reprezentował on nowoczesny prąd ogólno-romantycznego ruchu i stanowił przeciw-wagę dążeń quasi wsteczniczych, pragnących zamknąć poezję w ciśniejszym o wiele kręgu, wczuwania się i wnikania w myśli ubiegłych wieków i zapomnianych piśmiennictw, oraz lekceważonych dotąd warstw społecznych.

Byron, przypominając ciągle o tem, że, obok godnej badania i naśladowania przeszłości, istnieje także pełna bólów teraźniejszość, oraz niepokojąca, bo niepewna przyszłość—uczynił romantyzm prądem ży-

¹⁾ „Czarny szal“ Ujejskiego przypomina wprawdzie nastrojem Bajronowskie utwory, ale napisany został, jak sam poeta wyznaje, pod wpływem „Pieśni mołdawskiej“ Puszkina, noszącej tenże sam tytuł. co i utwór naszego autora, ale trzymanej w tonie prostszym, ludowym prawie.

wotnym, blizkim, sympatycznym i zrozumiałym, nie tylko dla subtelnej wyobraźni badacza, lub artysty, ale i dla serca każdego współczesnego człowieka.

Chociaż więc t. zw. „Bajronizm“ dawno już wyszedł z mody, poezye Byrona nie przestały budzić zajęcia, to też w ciągu ostatnich lat 15-tu, niezależnie od kilku obszernych prac o angielskim pisarzu, pojawiła się w handlu księgarskim spora liczba nowych przekładów z jego utworów poetycznych.

Zachodzi teraz pytanie, czy, wobec mnóstwa istniejących tłumaczeń z Byrona, nowe przekłady mają rację bytu? Otóż, aczkolwiek, i w epoce gorączkowego zajęcia się poezjami autora „Kaina“, i nieco później, publikowano niemało przekładów, wielu i to najważniejszych rzeczy nie dotykano wcale, lub też dawano z nich wyjątki. Utwór tak znakomity i ważny dla zrozumienia indywidualności Byrona, jak „Don Juan“, został przetłumaczony i wydany w całości—fragmenty publikowano i dawniej,—dopiero w r. 1885, obie tragedye weneckie („Marino Faliero“ i „Dwaj Foscarrowie“) wyszły po raz pierwszy jeszcze później, bo w r. 1888.

Wogóle, dawniejsi tłumacze najchętniej poświęcali swe pióra rzeczom drobniejszym, zwłaszcza zaś efektywnym, a łatwym względnie, powieściom poetyckim, z których prawie każda spolszczoną była po razy kilka ¹⁾. Po powieściach, najczęściej tłumaczono „Wędrówki Childe-Harolda“. Po raz pierwszy przełożył je w całości Michał Budzyński (1857); drugim tłumaczem tego poematu był Fryderyk Krauze (1865—1871). Prócz tego po różnych pismach i zbiorach pojawiło się mnóstwo fragmentów, a Wiktor hr. Baworowski zostawił w rękopisie zupełny przekład „Wędrówek“, z których drukował tylko dwie pieśni we Lwowie. Do wymienionych prac przybyło obecnie dwie nowe: Jana Kasprowicza „Wędrówki Rycerza Harolda“ (1895) oraz p. A. A. K. „Wędrówki Childe-Harolda“ (1896, Krakow).

¹⁾ „Korsarza“ tłumaczył prozą Kiciński (1820), wierszem Odyniec (1835); „Giaura“—Ignacy Szydłowski (1823), Ostrowski (1830), Malecka (1828), Mickiewicz (1835); „Ohłężenie Koryntu“—Kiciński (1820), Morawski (1853), Korsak (wydrukowane pośmiertnie w „Bibliotece Warszawskiej 1865 r.); „Paryżyc“—Ignacy Szydłowski (1822), Malecka (1828), Morawski (1853), Kruzer (1876), Barankiewicz (1843); „Narzeczona z Abydos“—Ostrowski (1821), Odyniec (1838), Zawadzki (1845), Wojciech z Boguchwałowicz (1848); „Larg“—Korsak (1833), Kruzer 1876; „Wigźnia z Chilionu“—Korsak (1832), Morawski (1853); „Mazepę“—Rosołowski (1834), Chodźko (1860), Dembiński (1828); „Wyspę“—Zawadzki (1845), Pajgert (1859); „Beppa“—Czajkowski (1845). Za najlepsze z tych przekładów uważać należy prace Mickiewicza, Odynca, Korsaka, Morawskiego, Pajgerta i Czajkowskiego, które też zostały wcielone do nowego zbiorowego wydania poematów Byrona.

Pierwsza z tych prac weszła do zbiorowego wydania dzieł Byrona w Warszawskiej „Bibliotece Najcenniejszych Utworów,” gdzie zamieszczono dotąd „Don Juana” w wiernym a zwięzłym przekładzie Porębowicza, „Tragedye Weneckie” tłómaczone przez Feliksa Jezierskiego, oraz „Poemata”, zawierające, prócz opowiadań poetyckich, „Melodye Hebrajskie”, wzmiankowe już „Wędrówki Rycerza Harolda”, Dlaczego redakcyja zadowolniła się przedrukami opowiadań (Giaur Lara, Korsarz, etc.), a postarała się o nowy zupełnie przekład „Childe-Harolda?” Dla tego, że Childe-Harolde zajmuje w twórczości Byrona bardzo poważne miejsce. Dwie pierwsze pieśni stały się fundamentem jego sławy, w dwóch ostatnich zaś zawarł tyle obrazów, myśli, oraz subiektywnych, a nawet wprost autobiograficznych wynurzeń, że bez dokładnego zapoznania się z tym utworem niepodobna zrozumieć Byrona. Wskutek tego każdy nowy a dobry przekład tego poematu jest pożądanym. Istnieje już wprawdzie kilka całkowitych spolszczeń „Wędrówek”, a każde z nich posiada pewne i często niemałe zalety, nie wyczerpują one jednak wewnętrznej istoty utworu. Każdy z tłómaczów, jak to zwykle bywa,—gdyż być musi,—kierował mimowoli uwagę na to, co pociągało jego indywidualność, wydatniał zaś słabiej te strony utworu, z któremi go nie wiązała sympatya duchowa.

Przekład p. Kasprowicza ma nad poprzedniemi tę jeszcze wyższość, że tłómacz po raz pierwszy pokusił się—i dodać należy z powodzeniem—o naśladowanie trudnej, t. zw. Spencerowskiej, strofy oryginalnej. Strofa ta składa się z 9 wiersy o 3 rymach, krzyżujących się w sposób następujący: a, b, a, b, b, c, b, c, c. Oto przykład (z pieśni IV).

Na Moście Westchnień we weneckim grodzie
 Stałem, tu pałac mając, tu więzienie;
 Z fal wyrastają gmachy, lśniące w wodzie,
 Jak na czarownej różdżki uderzenie;
 Lat tysiąc skrzydeł swych roztacza cienie,
 A uśmiech sławy, mrąc, ku dniom ulata,
 Gdy kraj niejeden, ujarzmion, spojrzenie
 Wznosił, gdzie z głazu postać lwa skrzydlata,
 Gdy władła na stu wyspach Wenecya bogata.

Zwięzłość i dokładność formalną okupił p. Kasprowicz, jak widzimy, pewną zawiloscią stylu.

Taż sama strofa w nowym również przekładzie pana A. A. K. brzmi jak następuje:

Na moście weselnień, w Wenecyi stałem,
 Skąd w lewo pałac, a w prawo więzienie;
 Z wody półkolem wystrzela wspaniałem
 Gród jak na różdżki czarownej skinienie.
 Tysiąc lat w mglistym obrazie tu staję,
 Zamarła sława szle uśmiech z mogiły
 Odległym wiekom.—gdy podbite kraje
 Lwu skrzydlatemu daninę znosiły;
 Kiedy Wenecya w stu wysep koronie
 Na swoim władnym zasiadała tronie.

Tu znowu myśl została wyrażona prościej i jaśniej, ale tłumacz nie mógł jej zamknąć w Spencerowskiej strofie, lecz musiał jeden wiersz nad miarę dodać, a prócz tego zamiast *trzech* rymów użył *pięciu* krzyżujących się w sposób łatwiejszy: a, b, a, b, c, d, c, d, e, e. Słynny ustęp o Rzymie tłumaczy p. Kasprowicz:

Nijoba ludów stoi—nie w koronie
 I bez swych dzieci—śród niemej boleści!
 Urnę trzymając jej powiedle dłonie
 Ale już dawno pozbawioną treści.
 Grób Scypiona popiołów nie mieści;
 Gdzie proch z tych mogił, gdzie legły hetmany?
 O stary Tybrze! po cóż tak szelęści
 Nurt twój śród dziczy marmurem zasianej?
 Wstań i nędzę tę zakryj złotemi bałwanym.

U pana A. A. K. strofa ta nabrzmiała do dwunastu wierszy, ale można ją czytać bez żadnego wysiłku:

I oto ona, narodów Niobe,
 Bezdzienna, teraz i z tronu wyzuta,
 Stoi na wieczną skazana żalobę,
 Niemą boleścią w twarży gład zakuta.
 W jej wyschłych dłoniach urna opróżniona
 Ze świętych prochów; z grobowca Scypjona
 Znikły popioły; tysiączne mogiły
 Swych bohaterskich mieszkańców straciły!
 Ach masz-że ciągle zraszać, Tybrze stary,
 Te beznadziejne pustki marmurowe?
 Wzbierz raczej, niechaj twoje fale płowe
 Zakryją nędzę tej wieków ofiary.

Dla porównania przytoczymy tu ten sam ustęp w dawnym przekładzie Budzyńskiego.

Nijoba zgasłych ludów tu—przed Wami stoi,
 Bezdzienna, bezkoronna, niema pośród bólu,
 Próżną urnę podnosi w wyschłej ręce swojej,
 Z której dawno proch święty rozwiany po polu.
 Z sarkofagu Scypjona popiół rozproszony,
 Każdy grób bohaterских zmarłych pozbawiony,
 Po co w puszczy marmurów, wśród popiołów dymu
 Masz płynąć stary Tybrze? podnieś nurt wzburzony
 I złotemi wodami nakryj nędzę Rzymu.

Jeżeli porównamy te cytaty z oryginałem ¹⁾, to zauważymy, że pewne zwroty zostały lepiej oddane przez jednego, inne zaś przez drugiego tłumacza. Tak np. krótkie „Childless“ i „crownless“ przełożył Kasprowicz „nie w koronie“ i „bez swych dzieci“; Budzyński użył krotszych i bliższych oryginału wyrażen „bezdzienna i bezkoronna“; pan A. A. K. zaś, tłumacząc tak samo pierwszy epitet, zamienia drugi trzema wyrazami: „z tronu wyzuta“. Za to, zamiast, jak należy i jak przełożył Kasprowicz „śród *niemej boleści*“, tłumaczy Budzyński „niema *pośród bólu*“, co stanowi znaczną różnicę, Byron bowiem napisał „voiceless woe“—„bezgłośna boleść“, nie „bezgłośna“ Niobe. Pan A. A. K. w swoim dążeniu do jasności i dokładności rozwija i ten krótki zwrot w całe długie zdanie: „Niemą boleścią w twardej głąz zakuta“. W dalszym ciągu jednak Kasprowicz oddaje niezbyt szczęśliwie wiersz

The very sepulchres lie tenantless
 Of their heroic dwellers.

za pomocą pytania: „gdzie proch z tych mogił, gdzie legły hetmany?“, kiedy pan A. A. K. tłumaczy i krótko, i dosadnie: „tysiączne mogiły,

1) The Niobe of Nations! there she stands
 Childless and crownless in her voiceless woe;
 And empty urn within her wither'd hands
 Whose holy dust was scatter'd long ago;
 The Scipios' tomb contains no ashes now;
 The very sepulchres lie tenantless
 Of their heroic dwellers: dost thou flow
 Old Tiber! through a marble wilderness?
 Rise with thy yellow waves and mantle her distress.

swych bohaterskich mieszkańców straciły“. Brzmi to daleko lepiej, niżeli zwrot Kasprowicza, oraz przekład Budzyńskiego: „każdy grób bohaterskich zmarłych pozbawiony“.

Słowem, jeden tłumacz dopełnia drugiego: Kasprowicz zbliżył się najwięcej do zwięzłości i formy zewnętrznej oryginału, Budzyński odtworzył dość szczęśliwie patetyczny jego nastrój, p. A. A. K. zaś uczynił „Childe-Harolda“ zrozumiałym i jasnym, a wskutek tego i dostępnym nawet dla czytelników mało wykształconych literacko.

W tomie, zawierającym spolszczenie „Childe-Harolda“, mieszczą się jeszcze, jakeśmy wspominali, przedruki dawnych przekładów „Giaura“, „Lary“ etc., oraz nowe tłumaczenie „Melodyi hebrajskich“ pióra p. Adama M—skiego. P. M—ski nie jest bynajmniej debiutantem, położył on już niemałe zasługi na polu literatury przekładowej, spolszczając, i to doskonale, „Luzyady“ Camoësa, „Jocelyn'a.“ Lamartine'a „Eloę“ de Vignyego, oraz kilka drobniejszych rzeczy. Ostatnia praca p. M. posiada te same zalety co i poprzednie, a mianowicie: subtelne wnikięcie w ducha oryginału, oraz prawdziwie artystyczną formę.

Na czele tomu pomieszczoną została sumienna i interesująca rozprawa „O przekładach Byrona“ u nas, pióra Piotra Chmielowskiego, któremu, jako redaktorowi „Biblioteki Najcenniejszych utworów“, zawdzięczamy inicjatywę zbiorowego wydania dzieł Byrona. Do tej pory opublikowano przeszło połowę; pozostają jeszcze: „Manfred“, „Kain“, „Sardanapal“, „Niebo i Ziemia“, „Satyry“, oraz mnóstwo poezyi lirycznych, których większość zasługuje na przyswojenie, nie tylko ze względu na wartość poetyczną, ale i historyczną, rzucają one bowiem ciekawe światło na charakter poety i jego epoki.

W Niemczech i we Francyi, gdzie język angielski więcej jest rozpowszechniony, niż u nas, istnieją jednak dokładne przekłady Byrona, w których nie pominięto nawet rzeczy tak małej wagi, jak „Werner“, lub fragmenty z „The Deformed Transformed“. Jest to może przesada, ale przesada pożyteczna, ułatwia bowiem ogółowi gruntowne zapoznanie się z autorem, który stworzył „erę“ w literaturze europejskiej. Otóż, jeżeli całkowity i drobiazgowy przekład wszystkich dzieł Byrona nie stanowi dla nas naglącej potrzeby, wybór jego poezyi jest niezbędnym i niezadługo zapewne zostanie uzupełnionym. Nie przyjdzie to z trudnością, gdyż gotowych rzeczy posiadamy sporo: „Manfreda“ tłumaczyli bardzo dobrze Morawski i Paszkowski, gorzej znacznie Chodźko; „Kaina“ przełożył doskonale Pajgert, zupełnie dobrze Paszkowski, a bardzo licho Kruzer; „Sardanapala“ spolszczył Krauze, „Niebo i Ziemię“ zaś Odyniec. Najważniejsze utwory tedy posiadamy już w języku naszym. Co się tyczy liryk, to i tych zebrał-by się snopek niemały: „Żal Tassa“ tłumaczył Zawadzki, „Sen“, „Euthanasia“

„Ciemność“ Mickiewicz, kilka drobnych rzeczy Korsak, Bielowski, Feldmanowski, „Prometeusza,“ „Do Thyrzy,“ „Do Augusty,“ „Sestos Abydos“ etc. Kruzer. Swoją drogą, wyjąwszy Mickiewicza, żaden ze wspomnianych pisarzy nie stanął na wysokości zadania i dla tego przekład poezyi lirycznych musiał-by zostać dokonany na nowo. O zdolnych tłómaczów niebyło-by chyba trudno, cała bowiem młodsza generacya poetów naszych odznacza się wybitnem uzdolnieniem lirycznym, a w dodatku posiada pewną skłonność do eklektyzmu, co właśnie sprzyja wczuwaniu się w ducha i odtwarzaniu formy płodów literatury obcej.

IGNACY MATUSZEWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Dr Kazimierz Waliszewski Ostatni poseł Polski do Porty Otomańskiej. Akta legacyi Stambulskiej Franciszka Piotra Potockiego, starosty Szczerzeckiego, z Archiwum Roskiego zebrane i wydane. Tomów dwa. Paryż 1894.

Wzbogaciwszy wydawnictwami źródeł historycznych, dotyczących XVII stulecia, literaturę naszą, Dr Waliszewski podjął taki sam trud odnośnie do wieku XVIII. Owocem jego starannej pracy są Akta legacyi Stambulskiej Piotra Potockiego, znajdujące się w archiwum domowym hr. Potockiego w Rosi, które w dwóch tomach w Paryżu wydał. Autor wydawnictwo poprzedził wstępem obszerniejszym, z którym nam się zapoznać należy, choćby z tego względu, że w nim starał się wykazać doniosłość ówczesnej legacyi do Konstantynopola i osłabić, jeżeli nie unicestwić, sądy historyzozoficzne s. p. Kallinki, który skuteczność i jakiegokolwiek polityczne znaczenie powyższej legacyi podał w wątpliwość.

Poselstwo Starosty Szczerzeckiego do Stambułu, oświadcza autor we „Wstępie“, było epizodem wielkiego dramatu, który w historii nosi nazwę Sejmu czteroletniego. Stąd też jego znaczenie, wyróżniające je od innych dyplomatycznych wypraw nad Bosfor, powtarzanych w ciągu XVII i XVIII wieku. Stałego posła u Porty, wzorem

innych europejskich mocarstw, nie miała Rzeczpospolita, tak samo jak i Rossya przed epoką Katarzyny II. Upomnienie się o równość praw pod tym względem z sąsiednimi państwami było jednym z zadań, powierzonych Potockiemu.

Jak się z tego zadania wywiązał Potocki? o tem ś. p. Kalinka wyraził się niezbyt pochlebnie. Poselstwo Potockiego, pisze nieodżałowany ś. p. autor „Sejmu Czteroletniego“, trwało półtrzecia roku i sprawdziło najzupełniej przestrożę Stanisława Augusta, że te missye, tak kosztowne i niepożyteczne, będą i mogą nawet stać się szkodliwe. W czasie, kiedy nie było za co wojska ubrać ani uzbroić, kosztowało ono Rzeczpospolitą przeszło 60,000 dukatów, krajowi za ten wydatek nie przyniosło zaś nic i owszem dostarczyło obcym wątku do żartów z wyniosłej roli, którą minister słabego państwa chciał odegrywać i t. d.

Słusznie Dr Waliszewski nazywa powyższy wyrok stanowczym. Gdy zaś w dalszym ciągu swego sądu, ś. p. Kalinka uwolnił jedynie króla od wszelkich zarzutów, a Potockiego, zarówno jak i sejmujące stany, potępił za ich niepolityczną działalność, nie dziwnego, że Dr Waliszewski, aby nie podać w wątpliwość użyteczności swej publikacyi, musiał się rozprawić z sądami ś. p. Kalinki i przekonać czytelnika, że praca jego wydawnicza bezowocną się nie stanie.

Jakkolwiek ś. p. Kalinka doszedł do potępiającego sądu na podstawie tych samych po części dokumentów, które stanowią treść zbioru Dra Waliszewskiego, i jakkolwiek biegłą była ręka, kreśląca podobny obraz, a wielką pozostała powaga, przywiązana do poglądów wychodzących z tego źródła, to jednakże Dr Waliszewski jest przekonany, że dokumenta same, w całej swej rozciągłości ogłoszone, nie przejdą przed oczyma czytelników bez wywołania poważnej, co najmniej, wątpliwości w ich umyśle. Uderza ich między innymi w piśmie datowanym z Stambułu 5 Października 1790 r., a wychodzącem z pod pióra jednego ze współpracowników starosty Szczerzeckiego, następujący komentarz, odnoszący się do postanowień i zleceń warszawskich, które ostatecznie zagroziły drogę dyplomatycznym przedsięwzięciom posła. Komentarz powyższy brzmi jak następuje: „Przyznam się, że kiedy czytam zlecenia Deputacyi, posłowi naszemu z woli Stanów dawane, tedy myśl mnie bierze, iż albo uparto się na zgubienie ojczyzny, albo stracono zupełnie zmysły, albo jestem na sejmie 1775 roku, albo też, nakoniec, że przynajmniej połowa Izby musi być z Ponińskich, Młodziejowskich etc. złożona itd.“

Marzeniem Stanisława Augusta był alians polsko-rosyjski odporny, czy nawet zaczepny. Swoją drogą, polityka na własną rękę była w tradycyi polskich królewiat, i natchnieniem jej poniekąd ulegającą, Piotr Potocki w Stambule o wiele powściągliwszym się jeszcze

okazał od swoich krewniaków. Przybywszy w r. 1790 na miejsce swego przeznaczenia, Potocki trafił właśnie na chwilę, gdy prusko-tureckie przymierze, podpisane przez Dietza kilku tygodniami pierwej, czekało jeszcze na ratyfikację i ta ratyfikacja pozostawała nawet wątpliwą. Ociąganie się dworu berlińskiego przejmowało Portę niepokojem i osłabiało na razie wpływ, którym rozporządzała w Stambule pruska dyplomacya.

Dzięki tym względom, Potocki miał otwartą drogę do Dywanu. Traktat handlowy mógł być podpisanym w jednej chwili, a razem z nim traktat polityczny, wciągający Rzeczpospolitą do wojny zapewne, ale i do udziału w przyszłych układach pokojowych. Wtedy jednak okazało się, że poseł Rzeczypospolitej jest niemyim posłem, o którym nawet domyślić się nie było można, z czem i po co przybył nad Bosfor. Potocki dał się wprawdzie pociągnąć do nadstawienia ucha propozycyom, ale w Dywanie zmiarkowano łatwo, że owe propozycye trafiają w próżnię. Układy też szły w odwłokę, a wypadki tymczasem postępowaly szybko.

Po ratyfikacyi Dietzowskiego traktatu, na którą, choć z niechęcią, zezwolił Berlin, Porta jeszcze gotową była przystąpić z Rzeczpospolitą do targu. Rozbudzony w niej animusz wojenny pożądaną jej poniekąd czynił dywersyę w Galicyi. Ale i tu pora minęła dla Potockiego bezpowrotnie. Nadszedł wreszcie Reichenbach; teraz działać posłowi pozwolono, a nawet kazano, ale już zmieniła się postać rzeczy całkowicie. W Stambule zrozumiano natychmiast, że oręż wypadnie schować do pochwy. Wstrzymano też wojenne przygotowania i nawet w obozie rozpoczęto wstępne rozejmowe układy, a do tych nie potrzebowano Polaki.

Może zresztą i wtedy udało-by się jeszcze Potockiemu zawrzeć z Portą traktat zaczepny i odporny, ale bez innych warunków. Tymczasem Stanisław August przewidział i tę ewentualność i zapobiegł jej, nakazując Potockiemu połączyć przymierze polityczne z handlowem. Prusy zaś nie chciały dopuścić do traktatu handlowego między jednym a drugim swym sprzymierzeńcem i agent pruski protestował przeciwko otwarciu morza Czarnego dla bandery polskiej, na zasadzie ujm, którą-by polska żegluga w tych stronach przyniosła pruskiej żegludze na Bałtyku. Stanisław August kazał więc posłowi dobijać się do drzwi zamkniętych, byle tylko nie mógł pociągnąć Rzeczypospolitej do szalonego kroku.

W dalszym ciągu swego „Wstępu“ zastanawia się Dr Waliszewski, czy istotnie był to krok szalony, do którego dążył poseł Rzeczypospolitej. Potocki bowiem, pomimo że go posłano do Stambułu z niczem i dla niczego, chciał wojny z Rosyją natychmiastowej, kojarzącej, bądź

co bądź, na dobrą czy na złą dolę, losy Rzeczypospolitej z losami broniącej się rozpaczliwie Turcyi, i wierzył w skuteczność jedynie zbawczą, tego orężnego porywu.

Czy był to krok szalony? Dr Waliszewski odpowiada na to pytanie zapewnieniem, że był ryzykownym niezaprzeczeniem. Ale dla nikogo, nigdy i nigdzie, nie masz, nie było i nie będzie wygranej bez ryzyka. Program polityczny Stanisława Augusta, program cierpliwej, giętkiej, potulnej wytrzymałości na zewnątrz w stosunku do Rossyi, a powolnej, oględnej, stopniowej na wewnątrz pracy restauracyjnej, miał niezaprzeczenie swoją dodatnią stronę. Na razie, wobec tej sprężystości i natarczywości, których udzieliło polityce rosyjskiej panowanie Katarzyny, nie prowadził on daleko. Ale można było przeczekać Katarzynę, jak mawiał Chreptowicz. Tymczasem był to tylko osobisty program królewski, wszelka zaś polityka osobista ma to do siebie, że jej wartość zawisła jest od wartości osoby samej. Stanisław August zaś kompromitował swój program codziem własnem postępowaniem, a nadewszystko lekkomyślną rozrzutnością, która utrwałała i potęgowała jego początkową zawistność od Katarzyny.

Prócz tego, od października 1789 r., dzień po dniu prawie, sejm wypowiadał wojnę Rossyi, rzucał wyzwanie, z najdogodniejszym dla tegoż przeciwnika warunkiem tymczasowego zawieszenia broni, aż do pory, którą on sam wybierze i za najodpowiedniejszą dla siebie uzna. Potocki również nie był politykiem na wielką skalę. Złożył jednak dowody wcale niepośledniej trzeźwości wyobrażeń, stateczności charakteru i umysłowej rozwagi. Zetknawszy się z szerszym widnokreśmieniem europejskich międzynarodowych stosunków i pojęć, nabył rozleglejszego na rzeczy poglądu, i polityka sejmowa, owa strusia polityka, odwracająca się frontem od Zachodu i kładąca głowę pod strusie skrzydło, aby wmówić w siebie, że na nią od wschodu nie patrzą, odsłoniła się przed nim w nagiej swojej i przerażającej prawdzie.

Mylił się może Potocki i zbyt łatwemu drugostronnemu optymizmowi ulegał, krótką wojnę z Rosyją przewidując, ale że mniejsze zło obierał, temu chyba dziś już przeczyć niepodobna. I względem szans wojennych w natychmiastowym z Rosyją starciu, którego pragnął Potocki, pole pozostaje otwartem do dyskusyi. Być może, że plany Potockiego należały do najwątplingszych szans w grze hazardowej; ale też polityka wyczekująca, odkładająca załatwienie ciężkiego rachunku z Rosyją do jutra, wtedy, gdy jutro miało zostawić Rzeczypospolitą z nią sam na sam, była beznadziejną i niedopuszczającą żadnej szansy.

Jeszcze inne zarzuty spotykały poselstwo Potockiego. Zdaniem wielu przybył poseł do Stambułu za dworno i nadto wspaniale. W istocie Potocki nie był ani nizko-nędznym kancelistą, ani majorem wojsk, jak agenci pruscy, lecz panem z panów, dziedzicem olbrzymiej fortuny, który nie dla chleba lub kariery podejmował ciężką, bądź co bądź, służbę. Mogła się Rzeczpospolita obchodzić bez sług tego rodzaju, ale nie mogła, przyjmując ofiarę ich pracy, zdrowia, czasu, a po części majątku, odmawiać im tej zewnętrznej okazałości, do której przywykli.

Zresztą Potocki przybył do Stambułu z poczem 102 osób. Stu laty wcześniej, poprzednik jego, Gniński, wojewoda Chełmiński, miał ich z sobą 450. Przytem poseł nie przyjmował dla siebie pensyi, a nawet ze swej kieszeni ofiarował 3000 dukatów na koszt legacji; w dodatku zaś nie obciążał swą liczną świtą ubogiego skarbu Rzeczypospolitej. Po przekroczeniu bowiem granicy tureckiej koszt utrzymania posła z jego drużyną przechodził na rachunek skarbu miejscowego. Tak chciał starodawny obyczaj, na zasadzie wzajemności oparty. Wydatek ten, obustronnie ponoszony, niezależnym był skądinąd od tego, czy poseł miał więcej lub mniej osób ze sobą.

Właściwie też legacja Potockiego nie kosztowała 60,000 dukatów, a przynajmniej ubogi skarb Rzeczypospolitej nie poniósł na nią takiego nakładu. W summie owej, którą tak gorzko wypominać mieli Potockiemu późniejsi historycy, pomieszczone były rozmaite wydatki, od pobytu wszelako posła Rzeczypospolitej w Stambule całkiem niezależne. Z summy powyższej bowiem płacił Potocki na utrzymanie szkoły orientalnej, której zawiązek istniał już pierwej, płacił pensye tłumaczów, bez których nie obchodziła się nigdy Rzeczpospolita, płacił transporty niewolników polskich, zabranych przy potyczkach z Rosyanami i zwracanych przez Portę Rzeczypospolitej, tytułem sąsiedzkiej usługi. Właściwy koszt utrzymania swej legacji obliczał Potocki za dwa lata 1790—91, w kwocie 8060 dukatów tylko, gdy tymczasem na opatrzenie skromnego zastępcy Potockiego, rezydenta Chrzanowskiego, przewidziany był wydatek 12,000 dukatów w pierwszym roku.

Podług rodzinnego podania, Piotr Potocki zaciągnął na koszt swojego trzechletniego pobytu nad Bosforem olbrzymi na owe czasy dług, 3 000,000 złp. wynoszący, który powstał z przyczyny nie punktualności skarbu tureckiego w wypłacaniu „tainu“, czyli summy, przeznaczonej na utrzymanie poselstwa. Skutkiem też tak znacznego długu

spadły kłopoty majątkowe na syna Potockiego i rozpadła się ostatecznie odziedziczona przezeń fortuna.

Wzorem dyplomaty, zwłaszcza na modłę dzisiejszych pojęć, zdaniem Dra Waliszewskiego, Piotr Potocki nie był; również nie był urzędnikiem szczelnie zamkniętym w pełnieniu swojego obowiązku, ściśle stosującym słowa swoje i postęпки do otrzymanych przepisów. Ale też samowolnie do żadnego działania, kompromitującego swychmecodawców, czy krępującego ich wolę, nie przyłożył ręki, do niczego ich nie zobowiązał, niczego bez ich upoważnienia nie podpisał. Interesowi zaś krajowemu, tak jak go rozumiał, i nawet pod względem czysto służbowym urzędowi swojemu dawał wszystko, co mógł. Pracowitym okazuje się Potocki więcej od ogółu swoich europejskich kolegów współczesnych. Styl miał niesobliwy, zawikłany częstokroć aż do niezrozumiałości. Z wszystkich natomiast pism i z wszystkich działań Potockiego wygląda szlachetne oblicze, dusza czysta i gorąca prawego potomka mężów zasłużonych i wiernego syna ojczyzny.

Scharakteryzowawszy w powyższy sposób postać Piotra Potockiego, podał Dr Waliszewski badaczom naszym dwa spore tomy Aktów legacyi Stambulskiej. Nie jest to całość aktów tejże legacyi i drobniejszą ich częśćkę posiada Biblioteka ordynacyi hr. Krasieńskich. Czy akta legacyi, w archiwum Rosi znajdujące się, zostały wydane w należytym brzmieniu bez niepotrzebnych skrótów lub szkodliwych opuszczeń, o tem przesądzać trudno bez porównania z oryginałami dokumentów, ale ręczy nam za sumienną ścisłość publikacyi stanowisko naukowe Dra Waliszewskiego i szereg poprzednich jego prac oraz publikacyi.

Ostatniem dziełem swoim Dr Waliszewski osiągnie niewątpliwie główny cel, który sobie zamierzył. Skłoni bowiem wszystkich historyków do gruntownego ocenienia działalności Piotra Potockiego, a tem samem i do rewizyi historyzoficznych wyroków ś. p. Kalinki. Zdaje się nawet, że z wielu zarzutów uwolni Dr Waliszewski Piotra Potockiego, oraz zdobędzie u potomności uznanie dla prawego charakteru i szczerego patryotyzmu ostatniego posła polskiego w Stambule. Czy tylko program Potockiego, lekcważony przez autora „Sejmu czteroletniego“ zostanie uznanym przez historyków polskich za polityczniejszy od tych programów, które w rzeczywistości zwyciężyły, na to pytanie trudno dać na razie odpowiedź. Ale i pod tym względem Dr Waliszewski osiągnie pożądaną przez siebie rezultat. Rozumowa-

nie bowiem jego we „Wstępie“, któremu ani przemyślenia, ani subtelności odmówić nie podobna, wykazało w sądach ś. p. Kalinki sporo jednostronnych uprzedzeń i skutkiem tego z logiczno-historycznymi wywodami Dra Waliszewskiego wypadnie się skrupulatnie liczyć historykom tej ważnej, a dotąd nie zupełnie zgłębianej, doby naszych dziejów.

A. R.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Miesiąc ubiegły pamiętnym będzie przez wizytę Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa we Francyi i przez nadzwyczaj okazałe i serdeczne przyjęcie, jakie Najjaśniejszym Gościom sprawili, zarówno rząd rzeczypospolitej francuskiej, jak ludność. Rozumie się samo przez się, że te odwiedziny Monarsze były już następstwem dobrych stosunków politycznych, ustalonych między Rossyą i Francją. Lecz szereg uroczystości, które się odbyły w Cherbourg, Paryżu i Chalons, mógł jeszcze bardziej przyjaźń wzajemną wzmocnić. Jakoż Francuzi są teraz zdania, że odtąd nie już dobrego porozumienia obu państw nie zamąci. Kwestya pisanego przymierza, którą dotąd uważali za tak ważną, a która pozostała niewyjaśnioną, wydaje im się dziś względnie obojętną. Czy przymierze zostało spisane lub nie, mniejsza o to, skoro są pewni, że mogą liczyć na przyjaźń Rossyi. Wszędzie też indziej w Europie opinia publiczna odniosła wrażenie, że uroczystości francuskie wzmocniają zbliżenie Rossyi i Francyi.

Pomlając szczegóły, znane czytelnikom ze szpalt gazet codziennych, na tem miejscu zanotujemy tylko trzy przemówienia toastowe Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, według depesz *Agencji Rossyjskiej*.

W Cherbourgu, gdzie nastąpiło wylądowanie, Najjaśniejszy Pan powiedział:

„Wzruszony jestem sympatycznym przyjęciem, okazanem Nam w Cherbourgu. Zachwycąłem się eskadrą, która Nam towarzyszyła, równie jak okrętem admirałskim *Hoche*. Wstępując na ziemię francuską, podzielam uczucia, wyrażone przez ciebie, Panie Prezydencie, i podnoszę puhar na cześć narodu francuskiego, floty francuskiej i jej dzielnych marynarzy, a tobie, panie prezydencie, dziękuję za wypowiedziane przed chwilą słowa powitalne.“

W Paryżu, przy obiedzie w pałacu Elizejskim, Najjaśniejszy Pan powiedział:

„Jestem głęboko wzruszony przyjęciem okazanem Cesarzowej i Mnie w tem wielkiem mieście Paryżu, środowisku tylu geniuszów takiego smaku i oświaty. Wierny niezapomnianym tradycjom, przybyłem do Francyi, aby powitać w panu, panie prezydencie, głowę narodu, z którym łączą nas, jak to pan powiedziałeś, tak cenne węzły. Przyjaźń ta swoją trwałością może okazać tylko wpływ zbawienny. Proszę pana, panie prezydencie, o zawiadomienie całej Francyi o tych uczuciach. Dziękuję panu za życzenia, wyrażone przez pana Cesarzowej i Mnie. Piję na cześć Francyi i wznoszę kielich za zdrowie prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej.“

Po przeglądzie wojsk pod Chalons, Najjaśniejszy Pan powiedział, wznosząc toast:

„W porcie Cherbourgu, w chwili Naszego przyjazdu, witałem eskadrę francuską. Dzisiaj, wyjeżdżając z waszej pięknej ojczyzny, miałem przyjemność być obecnym na najwspanialszem widowisku wojskowym, na przeglądzie waszych pięknych wojsk w zwykłym miejscu ich ćwiczeń. Francya może być dumna ze swej armii. Miałeś pan słuszność, panie prezydencie, że obie strony związane są niezmienną przyjaźnią, tak samo jak między naszymi armiami istnieje głębokie uczucie braterstwa broni. Wznoszę toast na cześć waszych sił lądowych i morskich i piję za zdrowie pana prezydenta Rzeczypospolitej.“

Nareszcie, wyjeżdżając z Francyi, wysłał Najjaśniejszy Pan następujący telegram do prezydenta Faure'a, w odpowiedzi na depezę połączoną z prezydentem.

„Pragnąłbym raz jeszcze wyrazić panu, panie prezydencie, o ile Cesarzowa i Ja wzruszeni jesteśmy gorącym przyjęciem, jakie Nam okazano w Paryżu. Czuliśmy bicie serca pięknego kraju francuskiego, w jego pięknej stolicy, i wspomnienie o kilku dniach, spędzonych wśród was, głęboko pozostanie wyrytem w Naszych sercach. Proszę pana, panie prezydencie, bądź pan łaskaw oznajmić uczucia Nasze całej Francyi.“

Z Francyi udali się Najjaśniejsi Państwo do Darmsztadu, a w dniu 1 listopada przybyli do Gatczyna po długiej podróży, w ciągu której odwiedzili Austryę, Niemcy, Danię, Anglię i Francję. W Wiedniu towarzyszył Ich Cesarskim Mościom minister spraw zagranicznych, ks. Łobanow-Rostowski. Atoli dyplomata ten zmarł nagle w podróży powrotnej z Wiednia do Kijowa. To też w Berlinie i Paryżu obecny był w charakterze ministra dotychczasowy pomocnik księcia Łobanowa, p. Szyszkin, który w tej chwili spełnia obowiązki ministra zastępczo.

Książę Bismarck nie chce pozwolić światu, aby o nim zapomniał i uparcie miesza się do polityki. Ta interwencya przybiera najczęściej formę nagany dla następców księcia, których oskarża on o niedolność. Że jednak wszelka nauka najlepiej plonuje, kiedy jest poparta przykładem, więc też książę nie ogranicza się do uwag ogólnych, lecz je ilustruje wzorami, które czerpie z własnego życia. Oto tak robić należy, i oto on tak postępował. Ci, którzy po nim weszli na drogi trochę odmiennie, nie mieli pojęcia o polityce. Capriviego nazywa Bismarck stale „analfabetem dyplomatycznym;“ dla Hohlenlohego jest trochę względniejszy, ale nie do tego stopnia, żeby nie patrzył z pogardliwym politowaniem na jego rządu.

Dopóki ks. Bismarck trzyma się w granicach wymówek, nagan i przykładów ogólnie wiadomych, ta jego działalność pedagogiczna może być nieprzyjemną dla jego następców, ale przynajmniej nie naraża ich na kłopoty. Dzieje się jednak czasami inaczej. Książę Bismarck, kiedy mu przyjdzie fantazya, nie robi sobie ceremonii z sekretami dyplomatycznymi. W ubiegłym miesiącu właśnie był dla nich bez litości. I powstała stąd ogromna wrzawa w dziennikarstwie, nie tylko niemieckiem, ale europejskiem.

Pobudkę do wystąpienia, dały ks. Bismarckowi zaznaczone powyżej uroczystości paryskie. Niemcy przypatrywali się im z gorączkowym zaciekawieniem. Dla dodania sobie otuchy, kładli szczególny nacisk na to, że wyraz „przymierze“ nie był ani razu wymówiony; ale pomimo to nie ukrywali, że odtąd rossyjsko-francuska solidarność w polityce jest czynnikiem międzynarodowym, manifestacyjnie uświęconym. Z tego przekonania i z odpowiedniego mu nastroju, postanowił skorzystać ks. Bismarck, żeby się przypomnieć ziomkom i Europie. W organie swoim, *Hamburger Nachrichten*, umieścił on artykuł, w którym na barki swoich następców zwała odpowiedzialność za obecne zbliżenie Rossyi do Francyi. Gdyby on pozostał na urzędzie, nie było-by do tego przyszło. A kto nie wierzy, ten niechaj się dowie, że książę Bismarck do roku 1890 utrzymywał z Rossyą przymierze, które gwarantowało obu stronom neutralność jednego z uczestników w razie,

gdyby kto napadł zbrojnie na drugiego. To przymierze istniało obok trójprzymierza i w roku 1890 trzeba je było odnowić. Lecz hr. Caprivi tego nie uczynił. Wówczas Rossya, nie mając ze strony Niemiec zapewnionej neutralności w razie napadu, rzuciła się w objęcia Francyi. Tak to rozumieją interesa Niemiec i tak prowadzą politykę ludzie, którym ksiązę Bismarek musiał ustąpić miejsca na urzędzie kanclerskim.

Wrażenie tego artykułu było wielkie. Niemcy zdziwili się, że rząd rzeszy, obok trójprzymierza, utrzymywał przymierze z Rossyą, a przeraziła ich myśl o możliwych następstwach ujawnienia sekretu takiej dwulicowości. Co powie Austria, co powiedzą Włochy, w co się obróci trójprzymierze? Dzienniki zaczęły się domagać wyjaśnień urzędowych, lecz na domiar zamętu *Reichsanzeiger* odmówił wyjaśnień, powołując się tylko ogólnie na uznaną przez sprzymierzonych dobrą wiarę Niemiec i nadmienając, że dyskrecya dyplomatyczna nie pozwala mu ani fałszów prostować, ani niedokładności uzupełniać. Jeszcze i po tej replice ks. Bismarek nie dał za wygraną. Odpowiada on *Reichsanzeigerowi*, że nie zdradził tajemnicy gabinetowej, bo jakkolwiek umowa o neutralności była na żądanie Rossyi trzymana w sekrecie, jednak dziś już „zniknęły okoliczności,“ przy których sekret był potrzebnym. A co się tyczy fałszów w artykule *Hamb. Nachrichten*, to ten tylko może mówić o fałszach, kto nie zna tekstu umowy. Niech ją *Reichsanzeiger* ogłosi, jeśli chce dowieść fałszów. I dodaje organ hamburski w notatce, która ma wszystkie cechy stylu Bismarkowskiego, że z powodu nieuzasadnionego oskarżenia o błędy i niedokładność miał-by prawo żądać od *Reichsanzeigera*—sprostowania.

Zanim się ksiązę porozumie z *Reichsanzeigerem* o fakty, a z ziomkami swoimi o patriotyzm, można już teraz zdać sobie sprawę, że ostatnia niedyskrecya Bismarcka była rzeczywiście — niedyskrecyą. Książę nie zmyślał, ale mówił prawdę. Występując z rewelacyami, postąpił, można rzec, występnie względem swojego kraju i rządu, bo naraził go na podejrzenia sprzymierzeńców i na słuszne niezadowolenie Rossyi, która, jak sam stwierdza, zastrzegala sobie sekret umowy. To jest wszakże strona kwestyi osobista. Obok tej istnieje tu strona polityczna i historyczna. Wobec pewności tonu, jakim przemawia Bismarek, wobec śmiałości, z jaką wyzywa rząd, aby ogłosił tekst umowy, nie można wątpić, że mamy istotnie do czynienia z faktem. Jest to fakt, który powinna była wydobyć z archiwów tajnych dopiero historia. Książę Bismarek wyprzedził historję. Niezależnie od kwestyi stosowności i taktu, dał przez to odkrycie pobukę do krytyki swojego kunsztu dyplomatycznego.

Czy wychodzi on tryumfalnie z tej próby? Nie można tego powiedzieć. Bismarek był z pewnością wytrawniejszym dyplomata od

„analfabety“ Capriviego. Lecz polityka jego względem Rossyi, choć sam się za nią stale wychwala, przedstawia się od czasów kongresu berlińskiego tak chwiejnie i niejasno, jakby ją prowadził nie mistrz, lecz niedojrzały uczeń. Z jednej strony stara się niby księżę utrzymać jej przyjaźń. Ale nie umie być w tem konsekwentnym i niebawem sam Rossyę zraża i rozdrażnia. Wojna celna z Rossyą, zakaz lombardowania papierów rossyjskich na giełdzie w Berlinie, odmowa pożyczki — wszystko to działo się już wówczas, kiedy Niemcy miały z Rossyą ów traktat o neutralności. Przyjaciele Bismarcka zapewne odpowiedzą, że, pomimo traktatu, Bismarck nie mógł zaniedbywać interesów ekonomicznych państwa, choćby to prowadzić musiało do nieporozumień. Ale jeśli tak jest, to znaczy, że ks. Bismarck nie rozumiał, iż jego traktat o neutralności nie mógł zapobiedz zatargom, które prowadziły nieubłaganie do zbliżenia Rossyi ku Francyi. Przy obu więc możliwych przypuszczeniach ks. Bismarck nie utrzymuje się na wyżynach wielkości. Bo jeśli zbliżenie Rossyi do Francyi nie było niemięknieniem, to on, niby starając mu się zapobiedz, przyspieszał je, zarówno swoją polityką przymierza potrójnego, jak swoją polityką celną względem Rossyi. A jeśli zbliżenie to leżało w naturze rzeczy i było niemięknieniem, Bismarck łudził się wówczas, gdy myślał, że przez swój traktacik o neutralności odwróci naturalny bieg wypadków, a ludzi się i teraz jeszcze, kiedy winę popsucia stosunku Niemiec z Rossyą zwała na barki swoich następców, którzy, przeciwnie, w niejednym poprawili to, co on zepsuł. Albo więc nietrafność w wyborze środków, albo mylna ocena sytuacji — w tych dwóch grzechach może księżę wybierać; obu razem wyprzeć się nie jest w stanie.

Kto wie również, czy nie jest naiwnem złudzeniem i ta myśl, tkwiąca na dnie ostatnich zwierzeń dyplomatycznych ks. Bismarcka, że traktatem swoim trzymał on w szachu i Rossyę, i Francyę. Bliżej wniknąwszy w rzecz, przychodzi się raczej do wniosku, że raczej sam on był wyprowadzony w pole. Bo co Rossya zyskiwała na traktacie o neutralności? Jeśli się przypuści, że nie myślały na nią napadać Austria i same Niemcy, to — nic zupełnie. Oprócz tych dwóch państw, żadne inne na lądzie stałym nie jest w tem położeniu, aby mogło myśleć o wojnie z Rossyą. Otóż Rossya nie potrzebowała się zbytnio obawiać planów zaczepnych ze strony Austrii i Niemiec. Żeby jednak zupełnie się pod tym względem ubezpieczyć, mogła zawrzeć z Niemcami umowę, która tylko dla Niemiec była korzystną, bo dawała im rękojmę przeciw najazdowi francuskiemu. Ale jakieś przecież wyrachowanie musiała mieć dyplomacya rossyjska. I tutaj właśnie ks. Bismarck mógł nie dojrzeć prawdy. Rossya potrzebowała bezwarunkowego pokoju, żeby zyskać czas na reformę uzbrojenia swojej armii, a może i na

przygotowanie warunków zbliżenia z Francją. Na jedno i drugie czas był potrzebny. Karabiny trzeba było zrobić, a rzeczpospolita musiała się ustalić. I oto jedno i drugie dojrzewało pod osłoną traktatu o neutralności, który Bismarck uważał za arcydzieło sztuki dyplomatycznej. Pokazuje się z tego, że już wówczas, na długo przed dymisją, miał on wzrok stępiony i źle naokoło siebie widział. To, co mu się dotychczas wydaje arcydziełem zręczności, było zręcznem, ale ze strony przeciwnej. Zręczną przy zawieraniu tego układu była Rosya, która, dzięki jemu, doczekała się chwili, kiedy mogła spokojnie wyciągnąć rękę do Francuzów i przez to odrazu zmienić warunki równowagi politycznej w Europie, z wielką korzyścią dla siebie, z mniejszą znacznie dla Niemiec.

A do tych objawów „genialności“ dołączył ksiązę jeszcze jeden, ten mianowicie, że tę umowę o neutralność, która się tylko pozornie wydawała tak dla Niemiec dogodną, zawarł jako traktat tajny, w sekrecie przed uczestnikami trójprzymierza, narażając przez to na podejrzenia, gdyby się rzecz wykryła, dobrą wiarę rządu niemieckiego. To wszystko zważywszy, trzeba powiedzieć, że istotnie trudno było-by znaleźć dyplomatę, który w tak krótkim czasie tyle napłodził błahych i nieużytecznych matactw, zwracających się przeciw niemu samemu. Pod tym względem, ale tylko pod tym, należy się księciu palma pierwszeństwa. Ma się ochotę przypuszczać, że Caprivi, który po usunięciu się Bismarcka potrafił zawrzeć z Rosją traktat handlowy i stosunek polepszyć, inaczej też prowadził-by politykę od roku 1878, gdyby był na miejscu Bismarcka. Bo choć był on tylko „analfabetem dyplomatycznym“, miał jednak roztropność i spokój w ocenianiu sytuacji, — dwa rysy, które wiek spóźniony i zarozumiałość wypędziły z umysłu Bismarcka. To też dzisiejsze ataki księcia na Caprivięgo, nie tylko nie szkodzą Capriviemu, ale go podnoszą.

Nasuwa się jeszcze pytanie: jakie będą następstwa dla polityki bieżącej z tych „odkryć“ Bismarcka? Zdaje się, że już teraz żadne. Rosya doszła do celu, t. j. do porozumienia z Francją; rząd niemiecki, według oświadczeń samego Bismarcka, nie ma już obok trójprzymierza innych tajnych traktatów. Jeden tylko kłopot może i powinien spaść na rząd niemiecki, stąd mianowicie, że nie potrafi on zapobiedz rozgłaszaniu tajemnic dyplomatycznych przez dymisjowanych ministrów. Ale na to już zdaje się niema rady, bo trudno jest Bismarcka wpakować do kozy. Wiek spóźniony księcia wskazuje, że przy cierpliwości rząd niemiecki zostanie uwolniony od jego niedyskrecyi niezadługo w sposób naturalny.

W Węgrzech odbyły się wybory do parlamentu, które dały świetne zwycięstwo stronnictwu liberalnemu. Po ostatnich powo-

dzeniach politycznych tego obozu w Węgrzech i po udanej wystawie na pamiątkę tysiąclecia Węgier, można się było tego spodziewać.

Z parlamentów europejskich jedynie francuski zgromadził się w ubiegłym miesiącu na sessyę jesienną. Pozostałe rozpoczną swoje prace w listopadzie.

Polityka ekonomiczna Rossyi z Niemcami, która przybrała charakter spokojny po dość długiej wojnie celnej, zakończonej traktatem handlowym w roku 1893, obecnie znowu się zaostrzyła skutkiem nieporozumień celnych. Nieporozumienia te zaś wypływają ze strony agraryszów niemieckich, którzy — by radzi do swego trzosa bogactwo całego świata zagarnąć i monopolizować najważniejsze gałęzie handlu. Oni to właśnie przed paru laty przyczynili się do owej wojny, i sprawili to, że przebieg układów był nadzwyczaj utrudniony. Wtedy Rosya przyjęła politykę ustępstw, a ekonomista Kazi w broszurze p. t.: „Z powodu wojny celnej z Niemcami“ (Petersburg, 1893), wypowiedział następujące zdanie, które wybornie scharakteryzowało nastrój polityki ówczesnej i zarazem rezygnację, wskazującą inne drogi ratunku i sposoby powetowania strat, możliwych po zawarciu układów z Niemcami: „Rozmiary ofiar należy oceniać tylko summą tych strat, które wynikają z konieczności przeniesienia nagłego nadmiaru produkcji rolnej z rynków najbliższych, a więc najdogodniejszych — niemieckich, na inne, mniej dogodne. Ale korzyści, wypływające z rynków niemieckich, były znacznie zmniejszone jeszcze w początkach roku 1892, kiedy sąsiedzi obciążyli zboże rossyjskie opłatą wysoką. Z drugiej zaś strony niedogodność nowych rynków może być w części usunięta zmniejszeniem kosztów przewozu na znacznej odległości. Takie, chociaż — by tylko chwilowe zatamowanie zbytu zboża, musi dotkliwie się odbić na interesach rolnictwa, które nie oędzie mogło sprzedawać ziarna natychmiast i za summy stąd otrzymane prowadzić dalej najpilniejszych robót gospodarskich, opłacać długów i ciężarów podatkowych. Ale pod tym względem rząd przedsięwziął środki energiczne, jak czynienie zapasów zboża dla intendentury, przyjmowanie podatków włościańskich w naturze — zbożem, szeroka organizacya łatwego i taniego kredytu na ziarno.“

Wszystkich tych środków jednak nie zużytkowano całkowicie, gdyż wtedy właśnie zapanowała polityka ustępstw, którą nieco wcześniej (17 czerwca r. 1893) zastosowano i do Francyi. Mianowicie za

jedną z jej strony ulgę — ułatwienie wywozu tłuszczów mineralnych, Rossya zrobiła ustępstwo aż w 36-ciu artykułach ustawy taryf celnych z roku 1891, t. j. zmniejszyła na towary francuskie cło o 10 — 25%, w tej liczbie na maszyny i narzędzia rolnicze (25%). W kilka miesięcy potem dano znaczne ulgi Niemcom, pomimo, że traktat nie upewniał korzystnych warunków dla rozwoju rolnictwa w obrębie państwa rossyjskiego. Niemcy zdołali wytargować sobie rozmaite furtki, które pozwalają im robić nagłe niespodzianki, jak np. zakaz dowozu bydła i nierogacizny z Rossyi. Niespodzianki te są zabójcze, szczególnie dla hodowców pogranicznych, którzy nie wiedzą w jaki sposób mają normować produkcję, bo nigdy nie są pewni, czy Niemcy nie zamkną granicy.

Wyobraźmy sobie położenie rolnika naszego, który, licząc na zbyt w państwie ościennem, ponosi ogromny nakład, rozszerza hodowlę nierogacizny, gdy naraz mówią mu, że granica zamknięta, bo w Rossyi panuje zaraza. Oczywiście, czeka go niemal bankructwo. Ta zaraza, to jedyny pozór agraryuszów niemieckich, który pozwala im być monopolistami i obdzierać niemiłosiernie spożywców swoich. Że to ich twierdzenie jest wierutną bajką, i że oni sami w nią nie wierzą, dowodzą następujące szczegóły oficjalne, podane przez prof. Żórkowskiego.

Władze pruskie zamykają granice swojeglównie z obawy przeniesienia zarazy pyska i racie. Tymczasem dane statystyczne wykazują, że choroby te panują znacznie silniej w Niemczech, niż u nas. Ogromnie się one rozwinęły w zachodnich prowincjach Prus i im bliżej ku granicy wschodniej, tem słabiej występują. Tak więc dane, i to ze źródeł niemieckich zaczerpnięte, świadczą, że prowincye graniczące z Królestwem najmniej podlegają charobom zaraźliwym, co wprost zadaje kłam twierdzeniu agraryuszów. Ale oto apetyty ich przebrały miarę i Rossya, przekonawszy się, że polityka ustępstw tylko ich bardziej rozuchwala, postanowiła użyć środków repressyjnych, t. j. utrudnić dowóz Niemcom na rynki rossyjskie. Ta zmiana polityki złagodziła nieco chciwość niemiecką i, jak głoszą najświeższe wieści, są oni skłonni do porozumień, które zapewniły-by zobopólne korzyści. Jest to więc chwila niezmiernie ważna i dla naszych rolników.

W ubiegłym miesiącu pisma codzienne warszawskie stworzyły szczególną uroczystość, którą kazały święcić tłumom całym. Oto przybył do nas okulista, który zdołał sobie wyrobić sławę wszechświatową, dr Gałęzowski, wezwany przez jakąś zamożną chorą. Reporterzy wnet stworzyli sobie nowe żniwo; chodzili za nim, wciskali się do przedpokojów, kręcili się po korytarzach hotelowych, dręczyli służbę

i stangretów pytaniami. Była-by to zabawka niewinna, może trochę nużąca dla czytelnika, który przez dwa tygodnie dostawał dwa razy dziennie sprawozdania o dwu znakomitościach: jednej -- chorej, która doczekała się skrzyętnego buletynu w pismach, drugiej -- sławnym okuliście.

Ale tu nie chodzi o zabawkę. Pisma tą nieświadomą reklamą napędziły tysiące chorych do Warszawy, cierpiących chronicznie na oczy. Byli między nimi ludzie ubodzy, którzy zapożyczyli się u lichwiarzy, lub posprzedawali rzeczy potrzebne, ażeby tylko przyjechać i poradzić się u cudownego uzdrowiacza. Znaczna większość po kilkunastu dniach wyczekiwania odjechała z niczem, bo hotel Europejski stał się miejscem cudownem, do którego nieprzerwanym sznurem śpieszyli pielgrzymi po numer kolejny. Numery te pozostały im na pamiątkę i wiecznie będą przypominać znaczne summy, wydane na podróż i pobyt w mieście. I ci, którzy się dostali, w znacznej większości wrócili niepocieszeni, bo ich nietylko Gałęzowski, ale siła wyższa nie mogłaby uzdrowić. Ta wiara niezachwiana, przez apostołstwo pism codziennych wzbudzona, odpychała wszelkie przekładania rozsądne; okuliści miejscowi niemal zupełnie stracili zaufanie chorych; bo jakże nie mieli stracić, jeżeli reporterzy donosili, że co specjaliści tutejsi uznali za dobre, Gałęzowski potępił. Rzadki gość z Paryża sam się rumienił, czytając te brednie i nawet odwoływał je tą samą drogą, ale było już za późno. Nie mógł tem naprawić zawodu, doznanego przez liczne rzesze chorych.

Wypadek ten powinien doprowadzić kierowników pism do następujących wniosków: Dobre są żniwa reporterskie, ale należy tym żniwiarzom nienasyconym wyznaczyć zagony, ażeby nie biegali po całym polu i nie robili szkody. Pożądanem było-by również, ażeby kierownicy zwrócili baczniejszą uwagę na dział ogłoszeń, za które, nie wiem dlaczego, redaktorowie nie biorą moralnej odpowiedzialności na siebie. Niektórzy kierownicy pism obcych mają przynajmniej pod tym względem rację... adwokacką, bo podpisują gazety przed ogłoszeniami. Nasi tego wykrętu nie mają na swoje usprawiedliwienie, bo imię i nazwisko swe kładą, jako odpowiedzialni, na samym końcu, a więc akceptują i treść, i ogłoszenia. Pewną ich część, stanowiącą ohydne targowisko, już usunięto. Ale pozostały inne, które dotąd uchodzą uwagi najbystrzejszych redaktorów. Oto dość często czytamy, że do miast N., M., Z., X., potrzebne są „ładne chórzystki,“ dla skompletowania widowisk lub koncertów. Wynagrodzenie bardzo dobro. U nas poszukiwaczek tego chleba nie brak, więc na lep ogłoszeniowy lecą setki. Ubogie dziewczęta, które się zajmowały pracą uczciwą, choć dającą liche zarobki, cętnie wyjechały do miast odległych, gdzie je na samym wstępie spo-

tkał dotkliwy zawód. Owe koncerty i widowiska, to najmarniejsze *tingle-tangle* w szynkach. Kazano im śpiewać i wdzięczyć się do pijanych tłumów, zaskarbiać ich łaski. Powoli te łaski stają się niezbędnym środkiem życia, bo dziewczęta sponiewierane i wyzyskane, nie mając przy sobie nikogo z bliskich życzliwych, zrozpaczone, oddają się w końcu na pastwę pożądlivych opojów. To jest także kupczenie żywym towarem, w odmiennej, nieco „przywoitszej,” postaci. Aferzyści, „urządzający widowiska,” są poniekąd agentami tych tłumów, złączonych duszą i ciałem z knajpą. Sprowadzają oni środek przynęty, zachęcając złudnemi obietnicami i wiedząc z góry, że nie oni będą płacić za ich trudy. Taką drogą już sporo naszych dziewcząt wywieziono, a ich dolę straszną, nie wiem, czy potrafiło-by wiernie odtworzyć nawet pióro powieściopisarza utalentowanego.

Ci, którzy bliżej się przyjrzeni owym istotom, rzuconym na bruk wśród obczyzny, nie znającym ani zwyczajów, ani warunków miejscowych, opowiadali nam prostemi słowami o ich nad wyraz ciężkim życiu i sromotnym losie, a w umyśle naszym opowieść tę uzupełnił widok tych dziewcząt zdala od miasta rodzinnego. Zmizerowane, zbiedzone, z dziwnym wyrazem twarzy, na których przemocą wydostająca się z duszy boleść mieszała się z przymusowym uśmiechem, tym jedynym środkiem zdobycia kawałka chleba i dachu.

To są roznosicielki naszej sławy niewieściej po świecie. Ale nie jedyne. Niedawno członek komitetu *Société de protection et de secours aux femmes amenées* w Buenos Ayres, ogłosił list ostrzegający, nie obojętny dla naszego społeczeństwa. Podaje on rysopis i nazwiska najzuchwalszych i najniebezpieczniejszych handlarzy, przeważnie pochodzących z Cesarstwa i Królestwa, którzy wyruszyli do nas z Argentyny dla poszukiwania żywego towaru. „Wielu biednych rodziców — głosi ten list — nie wie wcale, że ich nieszczęśliwe córki, o których oddawna nie mają żadnych wiadomości, sprzedali owi handlarze do Brazylii, i że zmarły tam na żółtą febrę, lub skutkiem choroby jeszcze straszniejszej. Zamieszkałym tutaj Europejczykom nie przynosi to nie zawodnie zaszczytu, że muszą patrzeć na ustawiczne przywożenie młodych dziewcząt, lecz przeszkodzić temu nie mogą, ponieważ dziewczęta już w czasie podróży otrzymują od towarzyszących im handlarzy takie wskazówki, że policja tutejsza przy bardzo powierzchownem badaniu nie może winnych zdemaskować, a rząd nie troszczy się o to...”

Z ostrzeżenia tego dowiadujemy się, że ludność tamtejsza lubi szczególnie jasnowłose córki słowiańskie i germańskie. Handlarze, pod pozorem dostarczenia dobrych posad u rodzin bogatych, zwabiają dziewczęta do Buenos Ayres, Montevideo, Rio de Janeiro i tam sprzedają do domów nierządu. Młodzi i starzy lowelasi płacą olbrzymie summy

byle tylko osiąść ofiarę. Do dwóch domów publicznych przywieziono ich około trzech tysięcy — cyfra przerażająca! Oto obrazek ich doli: „Zbiedzone, pogardzone, bez rodziny, bez pociechy dla strapionej duszy, wznoszą ręce do Boga, którego obrażały trybem swojego życia, schodzą z tego świata opuszczone, bo nikt o nie się nie troszczy. Do grobu nie towarzyszą im nawet przyjaciółki, które dzieliły ich los smutny, bo żadna z nich nie dowie się o śmierci; i owszem, wmawiano w nie, że nieszczęśliwą odesłano do domu. Dziewczęta te są przeważnie dziećmi rodziców polskich, przywożone przez handlarzy z Królestwa Polskiego. Nikt tutaj nie wie, jaka tajemnica tę lub ową okrywa. Nikt nie wie, skąd pochodzą nagłe jęki, skąd trupy. Powtarzamy za Dantem: „Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!..“

Handlarze ubierają się wedle ostatniej mody, noszą brylanty, uczęszczają codziennie na operę, lub komedię, posiadają własne kluby lub stowarzyszenia, w których towar swój sprzedają. Ceny dochodzą do 200 fst. za jedną ofiarę. Handlarze, zorganizowani kapitalistycznie, posiadają własne unówione zuaki telegraficzne, i kto wie, czy nie mają własnego przedstawiciela w kongresie argentyńskim.

Wobec takiej potęgi tej organizacyi zbrodniczej, walka z nią policyi zaoceanowej i nawet europejskiej, dość pobłażliwej, niedołęznej, a może nawet i solidaryzującej się z łotrami, jest prawie niemożliwą. Prawda, że tu i owdzie łapią czasem zbrodniarzy, ale przedewszystkiem dostaje się tylko niewielki procent w ręce sprawiedliwości, a następnie spotyka ich karastosunkowo dość lekka, gdy właściwie powinni być karani ciężko, jako mordercy moralni i fizyczni tysięcy osób, jako straszni krzywdziciele społeczeństwa, gorsi od bandytów i rabusiów nocnych, napadających zbrojnie na chaty, dwory i podróżnych.

Dopóki prawodawstwo i policya będą dla nich łagodne, póty nie można marzyć o wytępieniu złego. Co rok odbywają się międzynarodowe kongresy, narady oficjalne różnych rządów w sprawach polityki ekonomicznej, co rok niemal podlegają szczegółowej dyskusyi najdrobniejsze punkty przepisów celnych; ciągle są zawierane najróżnorodniejsze umowy międzynarodowe dla zobopólnych korzyści. Warto wreszcie, ażeby te rządy zawarły z sobą konwencyę w celu tępienia takich zbrodniarzy, jak handlarze żywym towarem. Dotychczas jest tylko dużo oburzenia, a jak najmniej czynu. Z tą organizacyą, która za pomocą kapitału wyzłobiła sobie przejścia i skrytki, walka niełatwa. Policya może ich tropić, prawo gnębić surowemi karami, ale to jeszcze niewystarczające. Ogląda towarzyska i pieniądź wprowadzają skrycie najohydniejszych zbrodniarzy do salonów i nawet na areny działalności publicznej. Mają oni możność wybornego i długiego maskowania się, rozporządzania tysiącnymi pozorami. Tem łatwiej im łapać w mi-

sterne sieci dziewczęta naiwne, prostacze w swem pojęciu o świecie, częstokroć prawie ciemne. Tem łatwiej, gdy nieświadomości sprzyjają smutne warunki bytu.

Otóż walka najenergiczniej podjęta za pomocą dwu czynników: policyi i prawa — jeszcze nie może być wystarczająca. Tutaj do samoobrony trzeba powołać całe społeczeństwo, przeciw organizacyi łotrów stworzyć organizacyę ludzi uczciwych, równie działających przy pomocy kapitału. Należało-by wezwać ludzi utalentowanych do napisania popularnych broszur, malujących w prawdziwych, choć jaskrawych barwach dolę dziewcząt sprzedanych, podać w nich rysopisy, jeżeli można, dla dokładnej charakterystyki, podobizny łotrów pojmanyh, ich wszelkie sposoby nęcenia i t. d. Broszurki tego rodzaju, zaprobowane przez władzę, oczywiście solidaryzującą się z taką działalnością, trzeba było-by od czasu do czasu rozrzucać bezpłatnie wśród rodzin ukogich, tudzież we wszystkich zakładach zarobkodawczych, gdzie pracują dziewczęta. Należało-by zorganizować odczyty popularne dla tych warstw ludności, ostrzegające część społeczeństwa zagrożonego; słowem, uświadomić całe massy wobec wroga, niebezpieczniejszego niż pokątne doradztwo, rujnujące materyalnie ludność nieoświeconą. Wreszcie duchowieństwo powinno także z ambon wygłaszać ostrzeżenia.

Taką działalność, skuteczną i silną można było-by zorganizować tylko siłami zbiorowemi. Otóż ludzie uczciwi, szczerze dbający o dobro społeczne, rozporządzający środkami moralnemi i materyalnemi powinni postarać się o zatwierdzenie i stworzenie Towarzystwa przeciwdziałania handlowi żywym towarem. Rzucamy tę myśl; niech jej ludzie zaci ni pozwolą z wiatrem ulecieć.

Niedawno zatwierdzono organizacyę, mającą na celu również dobro społeczne: ochronę życia i zdrowia ludności, przeważnie wiejskiej. Instytucyę tę nazwano „Towarzystwem walki z chorobami zakaźnemi.“ Chcąc ocenić jego doniosłość, musimy chociaż pobieżnie streścić program. Zakres jej jest bardzo rozległy, popularny i praktyczny. Ma ona głównie na celu ochronę zdrowia mas za pomocą stosowania środków sanitarnych, zapobiegawczych lub usuwających chorobę już rozwiniętą, oraz za pośrednictwem popularyzacyi higieny. Szczególnie zaś Towarzystwo ma na celu przygotowywanie personelu sanitarnego, urządzenie lecznic i szpitalów, stosowanie środków izolacyjnych, zwłaszcza w szkołach, wydawnictwa popularne w zakresie higieny, odczyty publiczne i inne środki, przez prawo dozwolone. Stowarzyszenie może zakładać filie w różnych miejscowościach państwa. Członkowie dzielą się na honorowych, założycieli, popierających i współpracowników (członkowie czynni). Składka roczna wynosi zaledwie pięć ru-

bli, a więc przystępna dla ludzi średnio zamożnych. Sprawami instytucji zarządza zebranie ogólne członków, tudzież rada Towarzystwa, złożona z dziesięciu osób, powoływanych przez zebranie ogólne. Co rok ze składu rady ustępuje trzech członków, którzy jednak mogą być ponownie wybierani. Stałym członkiem i przedstawicielem rządu w radzie jest dyrektor departamentu lekarskiego, lub w nieobecności jego inny delegat departamentu. W razie niezgodzenia się delegata na wnioski rady, rozstrzyga ministeryum spraw wewnętrznych. Towarzystwo jest instytucją prywatną, ale posiada opiekę rządu.

Rzecz dziwna, że dotychczas, t. j. do chwili, kiedy te słowa piszemy, tak ważną organizacją nie zainteresowała się ani prasa, ani społeczeństwo nasze. Mówimy dużo o higienie, urządzamy wystawę hygieniczną, wydajemy broszury i książki, traktujące o tym przedmiocie. Gdy zaś przychodzi gotowa już ustawa, gdy wolno na jej podstawie zakazywać stowarzyszenia zdrowotne w różnych miejscowościach kraju,—nie widzimy jeszcze żadnej inicjatywy ze strony najruchliwszej i najenergiczniejszej części społeczeństwa oświeconego. Prawdopodobnie wynika to stąd, że nie wiemy o nowej instytucji. Nieodpatrzone się wzmianek, podanych może w paru pismach o tym niezmiernie doniosłym fakcie. Tymczasem program przyszłej instytucji jest bardzo szeroki; powołuje on do współpracownictwa około naprawy zdrowia powszechnego całe społeczeństwo, t. j. każdego, kto się czuje dość silnym, ażeby nieść ogółowi pomoc skuteczną. Stowarzyszenie nie wymaga fachowości, a więc nie zasklepi się w kółku specjalistów, bo tu nie tylko chodzi o leczenie, o usuwanie chorób środkami medycyny, lecz i o zapobieganie im drogą moralną. Wykładów popularnych żywym słowem i w druku mogą się podjąć nie tylko lekarze, lecz i ludzie ogólnie ukształceni, mający pojęcie o elementarnych zasadach higieny. Bo przecież zachęta w sposób dosadny do utrzymywania czystości w domu, na ulicy i przy pracy, nie wymaga wiedzy specjalnej; nie wymaga jej także zachęta do ostrożności wobec epidemii.

Towarzystwo opieki nad zwierzętami doczekało się szerokiego prawa obywatelstwa. Może do niego należeć każdy członek społeczeństwa i wywierać swój nacisk na każdym kroku, pociągając do odpowiedzialności karnej ludzi znęcających się nad zwierzętami. Taki przywilej z czasem powinno sobie wyrobić Towarzystwo walki z chorobami. Te warstwy, które właśnie najmniej są odporne na choroby i które najczęściej lekceważą zdrowie, wymagają częstokroć, niestety, obok naciśku moralnego, jeszcze i środków prawnych. Jeżeli bowiem ostrzeżemy rodziców ciemnych z natury niedbających, że grzebanie się działwy w rynsztokach, wydobywanie z nich jadu, i to tuż pod oknami patrzących na to ojca lub matki, jest zabójczem, przyjmą to obojętnie. Jeżeli

zaś powiemy, że grozi im za to odpowiedzialność, będą wdrażać swą działalność do większej ostrożności. Środki atoli takiego nacisku trzeba stosować tylko w razach wyjątkowych i jedynie do tych, którzy *mogą* lecz *nie chcą* opiekować się swą działalnością. Środki te wreszcie powinny być stosowane i względem przekupniów, sprzedających zepsute szkodliwe produkty spożywcze i wogóle do tych, którzy wobec epidemii ukrywają niechlujstwo; nigdy zaś do tych, którym ani czas, ani warunki materialne nie pozwalają zająć się swym drobiazgiem pozostawionym w domu i na ulicy na łasce losu lub dobrych przechodniów. Przeciwnie — karanie takich ludzi wprost byłoby niesprawiedliwym, bo cóż oni poczną? Roboty nie porzucą dla dozoru działalności, bo wtedy i siebie, i tę działalność na śmierć głodową skażą. Otóż tutaj było-by szerokie pole działalności dla Towarzystwa walki z chorobami: zakładanie przytułków dziennych dla dzieci rodziców, zajętych pracą. Dotychczas Warszawa zdobyła się na jeden taki zakład, środkami przygodnymi, gdy Towarzystwo mogłoby działać skuteczniej w tej mierze.

Czuwanie nad tem, ażeby naukę zasad higieny wprowadzono do szkółek elementarnych, miejskich i wiejskich, do niedzielno-rzemieślniczych, do chederów i wszelkich uczelni praktycznych, powinno także należeć do zadań owej organizacji. Prócz tego — ważnym warunkiem musi być pobudzenie społeczeństwa do tworzenia kąpielni, przystępnych dla ludności ubogiej i wszelkich innych zakładów, mających na celu ochronę zdrowia publicznego. Nie będzie to przekroczeniem ram takiej instytucji, jeżeli powiemy, że pośrednio obowiązkiem jej powinno być także ułatwienie zarobkowania ludności ubogiej, bo nędza to przecież najwierniejsza, nieodstępna towarzysząca chorób.

Jeżeli u nas powstaną takie Towarzystwa walki z chorobami, to było-by wielce pożądanem, ażeby w nich jak najliczniejszy udział wzięły kobiety. One bowiem potrafią pielęgnować i rozwijać w społeczeństwie, że tak powiem, kult higieny środkami, na jakie ani cierpliwość, ani temperament mężczyzny nie pozwala. One potrafią nieraz oddziaływać przekonywująco na ciemnych i niechlujnych, zachęcić do większej troskliwości o zdrowie, szczególnie działalności.

Wiadomości bibliograficzne.

— Firma wydawnicza w Bostonie, Masshitle, Brown et Comp., wydaje „Quo vadis” Sienkiewicza w przekładzie angielskim.

— „Fremdenblatt” wiedeński i „Wiener Tagblatt” pomieściły pochlebne dla Sienkiewicza felietony, pióra Landau’a i S. H. Z.

— Staraniem Towarzystwa naukowego imienia Szewczenki, wyszły we Lwowie cztery dalsze tomy (IX, X, XI i XII) „Pamiętników,” wydawanych pod redakcją p. Michała Gruszeńskiego, oraz I tom „Źródeł do historii Ukrainy Rusi,” zawierający lustracje ziem Halickiej i Przemyskiej. Specyalny sprawozdawca ocenił we właściwym czasie te ważne wydawnictwa.

— Profesor Wojciech Gerson przełożył książkę Henryka Mayeux p. t.: „Pomysłowość zdobnicza” (*La composition décorative*), której ukazanie się w dobrym tłumaczeniu, wprowadzającym do specjalności trafną polską terminologię, było bardzo pożądanem w chwili coraz szerszego zastosowania sztuki do przemysłu.

— Dr Zofia Daszyńska: „Nietzsche—Zarathustra,” studjum literackie. Kraków, 1896.

SPROSTOWANIE.

W zeszyte Październikowym „Biblioteki” na str. 123 w utworze poetyckim „El—ego” p. t. „Trimurti” w wierszu 13-ym zamiast „*Bóg—Stońca*”, czytać należy „*Bóg—Stwórca*”.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

FERMENTY.*

Powieść.

(Dokończenie).

XXXVIII.

Do Witowa było kawał drogi; jechali wielką aleją, wysudzaną lipami, łączącą oba majątki, które kiedyś tworzyły całość jedną.

Ciepło było w powietrzu i bardzo spokojnie.

Lipy olbrzymie, rosochate, stały bez ruchu wyciągniętą linią, niby wał zielony. Pola ogołoczone ze zbóż migotały pomiędzy pniami pasami chłopskich kartofli, jeszcze zieleniejących, i wysokimi ścianami końskiego zębu, a na złotawo-rdzawych rżyskach trzęsły się w słońcu srebrnym pyłem pajęczyny.

Pszczoły brzęczały wśród gałęzi lip i na czerwonych kwiatach ostów, rosujących nad rowem przydrożnym, zewsząd pachniało miodem i gryką kwitnącą, której różano-śnieżne pola rozlewały się z drugiej strony drogi, nad łąkami, ku wodom, połyskującym złotem w oddali błękitnawej.

Wieś była jakby wymarłą. Domy stały w ogrodach, oddzielone od drogi płotami z desek i wysokimi bramami, nakrytymi gątowni daskami, a w środku bram, w wiankach ze zbóż lub z ziół pachnących,

*) Patrz zeszyt listopadowy „Biblioteki Warszawskiej.”

wisiały obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej. Ściany domów bielily się z sadów śliwkowych, pokrytych owocem, jakby liliową rdzą, i świeciły przepalonymi w słońcu oknami, i stały ciche i puste. Tylko gdzieś niegdzie błękitne słupy dymów były prosto i wisiały w powietrzu spokojnie, a stare, oslepe i zniechęcone psy wyłaziły na przyzby i czekały krótko, albo otwartem oknem wyjrzała stara, pomarszczona twarz, stała chwilę, przysłaniając oczy dłonią, i ginęła w czarnem wnętrzu izb, i znowu było pusto i cicho, bo wszystko, co mogło tylko robić, było na polach i łąkach.

— Proszę jaśnie pani, a to dziewczeczka tam idą! — Przerwał milczenie Walek, wskazując batem przed siebie, ku końcowi wsi.

Witowska szła środkiem drogi, otoczona gromadą dzieci, które trzymały się jej rąk, czepiały sukni, wieszaly u ramion, tuliły się do niej ze wszystkich stron, niby młody rój pszczół do matki, i cienkimi głoskami śpiewały. A ona z jasną, cudną głową, z uśmiechem, którym promieniały purpurowe usta i głęboko szafirowe oczy, pełnym szczęścia i dobroci nieopowiedzianej—szła i wtórowała dzieciom, to przystawała i mówiła im głośno, a one podnosiły głowy i wszystkie te dziecinne oczy wlepiały się w nią z miłością i zachwyceniem, i wtedy jej wysmukła postać, obwinęta w jasną muslinową suknię, wielkimi fałdami spadającą do ziemi, ściśniętą w pasie niebieską szarfą, oblaną potokami słońca, co przez sady rzucało skośne, czerwone płomienie—wydawała się cudnem zjawiskiem, widmem, co spłynęło z tych pól ogromnych, z pod tego błękitu nieba, z lasów zielonych.

Walek zjechał na bok; przystanął i zdjął bezwiednie czapkę—i patrzył się takim wzrokiem, jakim chłopci patrzają na obrazy świętych. Janka patrzyła zdumiona.

Gromada skupiła się przed kapliczką, co stała przy drodze, nad strumieniem, gdzie święty Jan Nepomucen, ciosany z drzewa i polichromowany, stał z krzyżem w ręku, otoczony wieńcami i bukietami kwiatów, wśród ścian wybielonych wapnem. I chór tych młodych głosów, podobnych do trzepotania liści wiosennych, do zapachów pól, do szumu strumieni i zbóż—śpiewał:

„Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy.“

I jasne, konopiaste głowy, i modre, niby strumień w dzień pogodny, oczy, świecące w opalonych twarzach, podnosiły się wyżej, i głosiki brzmiały coraz zgodniej, i rozlewały słodkie rytmy, co się łączyły z harmonią wieczoru nadchodzącego.

Jadwiga klęczała w pośrodku gromadki i, skupiona, zapatrzo-
na daleko przed siebie, śpiewała czystym, dźwięcznym, niby bronz,
głosem.

Ludzie zaczęli już schodzić z pól, i co chwila ktoś przyklękał
na drodze, kładł kosę czy grabie, składał ręce i modlił się lub łączył
głos z drugimi.

Wozy ze zbożem, jakie szły, przystawały, i chłopci przyklękali
w piasku.

Bydło spędzane z pastwisk szło całą drogą w złotej kurzawie py-
łów, a za niem piszczałki pastuchów, klekotki zawieszzone u karków
krów, beczenie owiec, porykiwania i pieśni, co się skądciś zrywały,
głosy nawoływania, skrzyp kół — wszystko to łączyło się z tą pieśnią
i rozlewało w cichem powietrzu pól, po ścierniskach, po ugorach, po
podorówkach, i płynęło ku lasom — hen ku słońcu, co się za nie zsuwało.
Wołało głębokim głosem ufności:

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiej broń nas szkody.

Janka stała z boku i słuchała, i dopiero gdy śpiew umilkł, gdy
dzieci kolejno całowały Jadwigę w ręce, a ona każdą głowę głaskała
jakimś ruchem miłości matczynej i całowała na pożegnanie, podeszła
się przywitać.

— Pani Janina! Ależ zrobiła mi pani ogromnie dobrą niespo-
dziankę.

— Szczęśliwie trafiła, bo na jakąś uroczystość.

— To dzieci naszej ochrony śpiewały, odprowadziłam je, bo taki
cudny czas.

— Ja dotychczas nie mogę jeszcze pozbyć się zdumienia, pa-
trząc na to.

— Cóż panią dziwi? Wezmę panią pod rękę, bo niezbyt do-
brze widzę.

— Mam powóz, to pojedziemy. Jechałam właśnie do pani.

— Przejdźmy, to tak blisko.

— Co mnie dziwi? No to, co widziałam, być może dla pani jest
to rzecz naturalna, ale dla mnie zupełnie nowa i zdumiewająca.

— To brata zasługa i inicjatywa ta ochrona. Dawno państwo
wrócili? — zapytała prędko, bo nie lubiła mówić o swoich czynach filan-
tropijnych.

— Przeszło miesiąc. Wybierałam się dawno do pani, ale mąż ma
tyle roboty, a potem, zanim się do tego nowego życia nieco przy-
zwyczaiłam...

— Czekałam dawno na panią, dawno.

— Daruje mi pani, bo już jestem.

— I nie puszczę rychło, musi mi pani odświeżyć wrażenia Włoch, bo to już trzy lata, jak tam byliśmy po raz ostatni, trzy lata, jeszcze wtedy zupełnie dobrze widziałam—dokończyła ciszej i smutniej, zwieszając głowę na piersi.

Szły czas jakiś w milczeniu, wśród wrzawy wieczornej wsi, zapelniającej się coraz gęściej ludźmi, wozami i stadami.

Chłopi odkrywali przed nimi głowy, kobiety przychodziły całować po rękach, pochylać się do kolan i witać tem nieśmiertelnem: Pochwalony.

Jadwiga poznawała wszystkich, wypytywała o roboty, o dzieci, zajmowała się ich interesami i kłopotami, radziła w niektórych kwestiach, i szła dalej, niby promień słońca, przez mroki tej ciemni ludzkiej, co zapychała ulice wioski. Janka milczała, bo zdumienie jej przechodziło w podziw. Patrzyła na nią, nie rozumiejąc wcale. Lubiła lud, ale zdaleka, z przedpokoju, bo chłopka miała prawie za zwierzę i nie zbliżała się do niego bez źle skrywanego wstrętu, czysto estetycznego; nie mogła teraz odczuć i zrozumieć w Jadwidze tego jej szczerego zajęcia się nimi, wydało się jej to nieco ekscentrycznem. Żyła w ciasnej komórcie wiecznie burzącej się duszy i przez to nie mogła zrozumieć takiej współczesnej kobiety, jaką była Jadwiga.

— Pokażę pani coś, co przypomni nieco Włochy,—odezwała się Jadwiga, kiedy już szły ogrodem, wielką aleją, nakrytą wiązami, co jak wielkie, porwane w strzępy parasole, zwieszały cienkie gałązki.

I zaraz ukazał się ten głośny Witów, stary zameczek, zbudowany na sposób dawnych włoskich zamków, z wieżą czworokątną dwupiętrową, zakończoną wysmukłemi blankami, z tarasami, balkonami kamiennymi i żelaznymi, z oknami okratowanymi, ze strzelnicami długimi, z rzędami wązkich okien, z murami zrudziałymi, po których pięły się pędy dzikiego wina aż do wysokości strzelnic i blanków. Zameczek był zbudowany na wysepce, oblanej szerokim pasem wody, rozpalonej do czerwoności zorzami zachodu. Wyniosłe jodły otaczały go wieńcem i kładły na wodę i na brzeg przeciwległy długie cienie.

— Ależ to zamek z legend! Cudowny! — wykrzyknęła Janka, oczarowana, i dosyć długo stała, przypatrując się z rozkoszą.

Przez olbrzymią sień, mogącą pomieścić ze sto osób, ozdobioną głowami jeleni, łosiów, dzików, zawieszoną bronią i skórami dzikich zwierząt, weszły w głąb domu.

Jakaś klasztorna surowość wiała od wszystkiego i mroziła. Wszystkie pokoje były sklepione, o rzadkich oknach, zastawione ciężkimi

meblami starożytnymi, o ciemnych ścianach, robiły wrażenie kaplic w gotyckich katedrach.

Janka szła z pewną obawą za Jadwigą, która z wyciągniętymi rękami, dotykając sprzętów i ścian, rozpoznawała drogę, i zaprowadziła ją do pokoju, w którym kiedyś Andrzej powiedział, że nie ma już narzeczonej.

Janka tam dopiero odetchnęła, bo chociaż panował półmrok, ale jasne meble i obicia czyniły ten pokój bardzo wesołym.

Wkrótce przyszedł Witowski i siedzieli tak we troje, w zmroku, który zwolna zalewał pokój, przysłaniał wszystko i wypijał światło ze złocień sufitu, ścian i sprzętów.

Rozmawiali półgłosem.

Jadwiga chodziła po pokoju z wyciągniętymi rękami, i w swojej białej sukni sprawiała wrażenie widma, cicho przesuwanego się.

Witowski prawie leżał w bieżącym krześle, a Janka siedziała na niskim foteliku, pod oknem, tak, że jej złotawe włosy świeciły się w ostatnich blaskach dnia, i słuchała, uczuwając jakiś dziwny nastrój spokoju i zadowolenia. Czula na sobie oczy Witowskiego, a jego głos niski, o brzmieniu bardzo miękkim, przenikał ją głęboką rozkoszą, odzywał się echem w sercu i rozlewał po niem nieokreślone, dziwne ciepło.

— Włoch nie lubię!—mówił—są dla mnie za jasne, za ładne, tam wszystko się wykreśla z tą wyrazistością geometryczną, jakiej właśnie nie cierpię; tam piękno jest za powierzchowne, bo tkwi w powierzchni, w linii, w formie samej, a ja w pięknie szukam czegoś więcej jeszcze, szukam treści—duszy.

— Ta dusza może być przecież musi i może się wyrażać w jakiejś formie, ta dusza może być właśnie w samej formie tylko,—mówiła Jadwiga.

— Nie Adul! A pani jak myśli?

— Nie będę przeczyć ani potwierdzać, bo jeśli mi się coś podoba, zwykle nie zdaję sobie sprawy dla czego.

— Dla tego też podoba się pani i Neapol i Krosnowa — rzucił ciszej.

— Bo i Neapol, i Krosnowa są piękne, każde na swój sposób!

— Tak!—rzucił przeciągle i zakolysał się szybciej.

— Mnie Włochy porывały właśnie tem jasnym powietrzem, przejrzystością przestrzeni, tym spokojem dziwnym piękna, taką dziwną łącznością sztuki z naturą. Tam zresztą czulałam pierwszy raz głęboką przyjemność samego istnienia.

— Tak...—rzucił znowu.

— Tymczasem tutaj nie czulałam nigdy tego; tutaj, idąc czy lasem, czy polami, nawet w zupełnym spokoju duszy, nigdy nie mogę zapo-

mnieć, że jestem, wszystko sprawia mi jeśli nie ból, to przykrość, i ludzie, i przyroda, jest jak-by zmęczona walką, dzika, opierająca się nieustannym, strasznym wysiłkiem śmierci; tutaj wszystko zdaje się żyć rozpaczą, walką, obawą, gdy tymczasem tam wydało mi się życie spokojem, nie zakłóconym nawet przez obawę śmierci, nawet śmierć sama musi tam nie mieć grozy, tylko jakąś melancholię gasnącego dnia i kwiatów okwitających.

— Tak!—powiedział po raz trzeci i unióśł głowę z foteli.

Janka spojrzała na niego ostro, podrażniona tym krótkim dźwiękiem, ale nie miała już czasu mówić, bo wszedł Andrzej.

— Jesteśmy teraz wszyscy, tak jak chciałam, — mówiła Jadwiga.

— Sami blizcy.

— Ja nie mam prawa zaliczać się jeszcze do tych blizkich.

— Zaliczamy jednak panią, bo Andrzej to już dawno do nas należy.

Andrzej przysiadł się bliżej niego. Janka wstała, ujęła Jadwigę pod ramię i chodziły przyciśnięte do siebie, i mówiły cicho.

Wniesiono lampę, która napełniła seledynowemi blaskami jedną część pokoju, na resztę rozsypując zaledwie pył świetlany.

— Kochałam panią, jeszcze nie znając, z opowiadań męża, i czekałam dawno tej dzisiejszej chwili.

— Wyglądasz dzisiaj na bardzo szczęśliwego?—zagadnął Stefan.

— Jestem istotnie szczęśliwym, no, bo powiedz...

— Chcesz wyliczać pierwiastki swojego szczęścia, daj spokój, dość mi spojrzeć tam,—wskazał głową na Jankę,—aby wiedzieć więcej, niż mi powiedzieć możesz... — Usta mu zadrgały, a przez oczy przeleciał jakiś zimny błysk, jakby niechęci czy zazdrości. Patrzył długo na twarz Andrzeja, który siedział przy nim na niskiem krześle, patrzył z gniewem prawie, aż rzekł:

— Masz twarz człowieka zupełnie zadowolonego, zupełnie spokojnego.

— Jestem spokojny, tak spokojny, że aż mnie to dziwi, że po tylu burzach wszystko we mnie tak przycichło odrazu.

— Szczęście jest oliwą, przytłumiającą burze wszelkie serce i mózgow.

— Wiesz, nieraz w nocy wstaję, aby zajrzeć do niej, bo mi się chwilami wydaje niemożliwym, aby była pod moim dachem.

— No i znajdujesz ją śpiącą!.. wtedy, ma się rozumieć, klękasz przed łóżkiem i wpatrujesz się w twarz ukochaną.

— Dla czego drwisz?—szepnął Andrzej z wyrzutem.

Nie odezwał się, bo go złość przygniotła wprost do krzesła; zaczął się kolysać szybko i zagryzał wargi do krwi prawie, przyciszał się z trudem. — Cóż to mnie obchodzi, co oni robią, jak się kochają, czy są szczęśliwi! Cóż mnie to obchodzi!—myślał, ale czuł, że jednak go to obchodzi.

— Nie nudzi się żona w Krosnowie? — zapytał znowu, nie mogąc się oderwać od tego tematu.

— Bój się Boga, dopiero trzy miesiące po ślubie i już nudziła by się.

— Tak, tak! masz rację, trzy miesiące dla dusz upojonych sobą!..

Andrzej spojrział na niego uważniej, a on gonił wzrokiem za Janką, spotkał się z jej wzrokiem i przypomniał sobie te ostatnie chwile, przed ich wyjazdem do Włoch, na stacyi. Ściągnął brwi i kolysał się prędko, bardzo prędko, a myśli latały mu pod czaszką coraz dziwniejsze, i coraz potężniejsza fala złości zalewała mu duszę, gdy spoglądał na Andrzeja pochylonego nieco i siedzącego tak nisko, że były chwile, w których poczuł szaloną chęć uderzenia nogami w tę głowę i rozbicia jej na miazgę.

— Czuje, że nam będzie dobrze ze sobą, — mówiła Jadwiga do Janki, — bo czego trzeba, aby się czuć szczęśliwym? Spokojna wewnętrzna i kilku dusz dobrych w otoczeniu, na których można-by się wspierać w dniach smutku.—I mówiła długo jeszcze, odkrywała swoją czystą duszę z tą szczerością ludzi dobrych nawskroś. Opowiadała nie tylko myśli swoje, ale i marzenia prawie, szczytne przez swój altruizm, przez zaparcie się siebie, przez wiarę w dobro, w cnotę, w sprawiedliwość.

Janka słuchała z początku z pewnem roztargnieniem, które sprawiały oczy Witowskiego, i z pewnem sceptycznym niedowierzaniem; ale później i ją porwała, i już słuchała z chciwością, i wpatrywała się w tę cudną, na pół ośleplą, głowę, otoczoną jakby aureolą świętą, dobrocią i zapalem.

— Czy też ona zna anonim?—pomyślała nagle Janka.—Czy ona wie, kto ja jestem?—i pierwszy raz w głębi swojej poczuła jakieś szarpnięcie ostre, poczucie niższości swojej wobec tej świętej. Już nie mogła słuchać, bo myślała o sobie, o przeszłości, i zestawiała ją bezwiednie z życiem Jadwigi. — Któż ja jestem?—przychodziło jej co chwila na myśl. Puściła ramię tamtej i usiadła zamroczona temi oślepiającymi przypomnieniami.

— Co pani?— pytała tamta łagodnie i troskliwie.

— Nie, zmęczyłam się tylko!—Opuściła głowę, bo bała się, aby jej z oczu nie wyczytała myśli, bo jakiś wstyd dziwnie palący przejął jej serce i ubarwił twarz rumieńcem.

Przeszli wkrótce do jadalni, podobnej raczej do średniowiecznego refektarza klasztornego, tak była ciemną i obstawioną olbrzymiemi kredensami.

Cisza zapanowała. Służba w milczeniu grobowem usługiwała, nawet dziesiątki świec, płonących w wielkich brązowych kandelabrach, świeciły jakoś posepnie i nie rozświecały całego pokoju, bo szafy i sklepiony sufit o wydatnych zębowaniach, podobnych do nóg olbrzymiego pająka, tonęły w cieniu. Później rozmowa była dosyć ożywioną, tylko Janka mówić nie mogła, miała gardło zapchane jakimś cierpieniem bez nazwy i duszę smutną. Wodziła oczyma po wszystkich twarzach, które się uśmiechały do niej życzliwie, po białej plamie obrusa, pełnej sreber i kryształów promieniejących w świetle, po twarzach służby nikuącej co chwila w mroku olbrzymiego pokoju, po głębokich niszach okien kolorowych, przez które zaglądał księżyc i kładł na kamiennej posadzce długie platy światła różnokolorowego, i znowu siedziała zatopiona w sobie, z tem dręczącym pytaniem w mózgu.

— Czy ona wie, kto ja jestem?

Kiedy się zegnali, spostrzegła zło-ironiczny wzrok Witowskiego, jakim mierzył Andrzeja i ją. Tak żywo dotknęło ją to spojrzenie, że chciała mu coś powiedzieć, ale nie zdołała, bo Witowski podał jej rękę i prowadził do powozu.

— Piękny wieczór, nie prawdaż? — szeptała, aby coś powiedzieć, wskazując na księżyc, wlokący srebrne smugi światła po drżących wodach kanału i wyolbrzymiający cienie jodeł.

— Piękny! Pani jest w stadyum najwyższego szczęścia, więc wszystko się wydaje pięknem, nawet tak banalny wieczór z księżycem, wodą i murami starego zamczku. Szkoda, że pani nie maluje, można-by to uwiecznić akwarelką. Panna Jasinowska już to wyśpiewała w tuzinie sonetów.

Odsunęła się od niego bez słowa, a on natychmiast pożałował ironii, bo, żegnając się, szukał usilnie jej oczu,—nie spojrzała na niego.

Wracali w milczeniu. Andrzej, jakoś dobrze usposobiony, całował ją gorąco i szeptał jakieś prośby, które ją przejmowały obawą, a niedłwie wstrętem takim, że mogła tylko przez zaciśnięte zęby powiedzieć:

— Nie... nie...

Długo w nocy nie mogła zasnąć, tyle myśli naraz skłębiło się w niej, myśli o sobie i o ludziach, a przez które przeslizgiwały się, ni-by błyskawica, spojrzenia Witowskiego i cudna głowa Jadwigi.

I jakaś zazdrość takiego życia czystego, i płodnego, i spokojnego, gryzła jej serce aż do krwi i męczyła bolesnie.

XXXIX.

W końcu września Janka pojechała, aby sprowadzić ojca do Krosnowy.

Wstąpiła do doktora i z nim poszła do szpitala, wypytując o stan jego zdrowia.

— Nic się nie zmieniło w jego umyśle, jest zupełnie niepoczytalnym i rozprzęgniętym umysłowo; ale u pani cóż słyhać?

— Żyję i jestem zdrowa, to wszystko.

— Wiele i nic jednocześnie zawiera ta odpowiedź.

— Bo i życie moje terazniejsze zawiera to samo, a nawet jest tylko wielkiem nic.

— Jakże można tak mówić, mając, męża, dom i obowiązki? .

— I nic więcej.

— Tego, co jest, jest aż nadto do wypełnienia życia.

Nie odpowiedziała, żeby nie wykrzyknąć, jak ją to nudziło nieopowiedzianie, ale nie odpowiedziała dla tego, bo zaczynała czuć, że doktor ma rację, że skoro się zgodziła sama i własnowolnie na to jarzmo, to powinna być cicho.

— Bo właściwie czego pani chce od życia, pani Janino? ja mogę mówić, bo jestem waszym przyjacielem, a pani życzę dobrze z całej duszy, więc niechaj mi pani raz szczerze powie, czego pani chce? a za to, czego pani wymaga, co pani może dać wzamian? Na świecie jest tak, że ten oto dorożkarz, jadący przed nami, wie, czego chce? chce zarobić, wyżywić rodzinę, wychować ją, a daje za to pracę; tamten sklepikarz tak samo, większość tak samo. Artysta wielki chce sławy, uznania—daje talent lub geniusz wzamian, daje myśli własne, obrazy, piękno, wrażenia — to prosta wymiana usług. Czego pani chce i co pani daje?

Zawołał szorstko i zakasłał się tak strasznie, że aż chwilę stał na trotuarze, oparty o jakąś ścianę.

— Czego ja chcę?.. czego chcę?.. — szeptała... nie, nie mogła na razie sformułować jasno żądań swoich, nie mogła i później. Pragnienia jej i żądania były tak nieokreślone, że miały raczej cechy marzeń.— Czego ja chcę? To proste pytanie onieprzytomniło ją, uderzyło niby

młotem, i szła ogłuszona, bezradna i naprózno siłła się wyrwać z siebie to jedno jakieś słowo, które-by określiło jej pożądaną.

Weszli do szpitala i z tych posepnych murów, z tej ciszy grobu, przerywanej echemi dalekich śmiechów i ryków, z tej hekatombi dusz ludzkich, szedł za nią strach jakiś ostry i poznanie własnej nicości.

— Ci także czegoś chcieli! Ci także za czemś gonili! — Szepnął doktor, przeprowadzając ją do celi Orłowskiego, który się podniósł na ich wejście.

Janka przypadła do niego; cofnął się prędko pod okno i zwrócił do doktora:

— Aha! jesteś, przeczytam ci raport, jaki napisaliśmy.

Zaczął szukać w stosach papierów. Mówił beztładnie, zapinał mundur, odpinający się ciągle, dawnym ruchem gładził brodę! Wyglądał strasznie, bo włosy na wąsach, brodzie i głowie nie odrosły po opaleniu, więc cała głowa była podobną do kuli czerwono-żółtej, pokrytej szramami, przeciętej sinemi ustami i czerwonymi oczodołami.

— Chodźmy, nie poznaj pani, to i nie poznaj. Ja się zajmę przewiezieniem do Krosnowy. Na wieczorowy pociąg niech pani czeka na stacyi. No, do widzenia.

Wyszła bez słowa i dopiero na ulicy spostrzegła, że idzie. Była zdziwiona, że widok ojca nie poruszył w jej sercu żadnej struny, ani bólu, ani litości. Nie chciała przyznać przed sobą, że był jej prawie obojętnym ten biedny obłąkaniec.

— Ale dla czego?

Nie szukała odpowiedzi, tylko pojechała odwiedzić Zaleską.

Nie mieszkali już na Pięknej; z trudem dostała nowy adres, i mając do wieczora dosyć czasu, odszukała jeł gdzieś na Chłodnej, w podwórzu na trzecim piętrze, w domu brudnym i zapełnionym po wręby wrzawą jeszcze brudniejszych dzieci. Z obrzydzeniem szła po schodach zastanych śmieciami, pełnych zapachów kuchennych, nie dotykając poręczy lepkich od brudu, przez korytarzyki zapełnione sprzętami gospodarskimi; otwarte drzwi pokazywały wnętrze izb małych, zapełnionych brudem, nędzą, kobietami podobnemi do widm, parą bijącą z kuchenek, czadu z węgla, zapachów porozlewanych na blaty kuchenne tłuszczów, smrodu okropnego.

Zaleską zastała przy fortepianie.

— Pani Janina! Pani Janina! — zakrzyczała, rzucając się jej w ramiona i rozplakała się z radości; potem zrzuciła z krzeseł rozmaite przedmioty, podsuwała je nogą pod łóżka, kręciła się oszołomiona z całą swą dawną bezradnością po ciasnym pokoiku o jednym oknie, przepelnionym nędzami gratami.

— Jaka pani dobra, nigdy tego nie zapomnę, nigdy... — Znowu płakała, ocierając oczy brudnym fartuchem. — Waciu! Heła! — krzyzczała przez okno na podwórko. — Weronika! — zawołała do małej ciemnej kuchenki. — Boże! jak zwykle niema nikogo, kiedy potrzeba. To niespodzianka! To niespodzianka! — wykrzykiwała, a ujrawszy, że Janka, nie odpowiadając prawie, rozgląda się jakby z litością po mieszkaniu, po tych nędznych sprzętach, z których wyzierała cała jej nędza, usiadła apatycznie i ze splecionymi na kolanach rękami siedziała, tłumiąc z trudem jakiś krzyk wzbierający w duszy. Po jej brzydkiej, podstarzałej twarzy, ciągnącej się długimi, wychudłymi, włóknami ku dołowi, przelatywały łzawe błyski biernej rozpaczyci: rozprostowana grzywka niby rudawym mechem oblepiała jej czoło, a warstwa pudru, zmyta łzami, opadała na czarny kołnierz stanika, który wisiał na wychudłych ramionach niby na manekinie.

— Panno Janino! Panno Janino! jaka jestem nieszczęśliwa!.. — i płakała długo i cicho, i cicho i długo opowiadała: że mężus w Medyolanie uczy się śpiewać, że ona utrzymuje się z lekcyi, i miała-by prawie dosyć dla siebie i dzieci, gdyby nie musiała posyłać mężusowi, któremu tak mało daje ten mecenas na kształcenie, że ciągle pisuje do niej rozpaczliwe listy; że Wacio miał dyfteryt, że Heła spadła ze schodów, że wszystko zastawiła, co mogła tylko zastawić, że nie może wziąć lekcyi lepszych, bo wprost nie ma sukni i bucików całych.

Chwilami przerywała opowiadanie, zrywała się na nogi, chwytając za głowę i szeptała nieprzytomnie:

— Wytrzymam przecież! Wytrzymam! Na wiosnę mężus już skończy naukę, a może mnie się uda koncert zimą! — Chodziła po pokoju i uspakajała się znowu, i po przez rozpacz i łzy, płynące niepowstrzymanie, prześwitywała w jej piwnych oczach nadzieja i marzenia słodkie o powodzeniu, pieniądzach, sławie. I jak dziecko tuliła się do Janki i zebrała potwierdzenia.

-- Przecież to możebne, prawda?

— Prawda. Tak pani pragnie, że stać się musi; — odpowiadała Janka cicho, bo ją głęboki ból litości i współczucia zalewał, i gładziła niby dziecku włosy, i całowała ją po czoło i oczach, i wlewała w nią wiarę i nadzieję w przyszłość drżącymi ustami i sercem pełnem łez, bo jej się przypomniła dawna przeszłość, i zdawało się jej, że to ona, Janka, tak kłęczy, tak płacze, tak narzeka, tak się wiję w pazurach życia. Siebie odczuwała w niej, dawną Jankę, umarłą już na zawsze, bo teraz, w tej chwili spostrzegła, że choć ją to boli, co słyszy, nie porzywa jednak, że więcej współczuje jej nędzy życiowej, niżli duszy zawiedzionej. A potem siedziała w milczeniu, gdy pierwsze wrażenia

Przyzwyczajali się wszyscy do niego prędko, a jeszcze prędzej przestał ich obchodzić. Tylko stary Grzesikiewicz, którego gryzły powiększane ustawicznie wydatki domowe, nie zapominał o nim. Z początku patrzył na niego z szacunkiem, bo go przecież tak niedawno widywał w Bukowcu, gdzie mu imponował jako urzędnik; ale później zaczynał patrzeć na niego i jego kalectwo po chłopsku, t. j. z nienawiścią prawie.

— Zdechł-by sobie jak Boga tego kocham, a to za to co zje, toby parę koni utrzymał, co-by się na coś zdaly,—i tak go to gniewało, że raz przy kolacyi dosyć delikatnie zaczął Andrzejowi wymawiać, że trzyma darmożjadów, do których jeszcze trzeba trzymać służbę.

— Mój ojcie, — przerwała mu wzburzona Janka, — na utrzymanie mojego ojca łożę ja, więc nie ma mi prawa ojciec wymawiać.

— Juści... ale z czyich pieniędzy to pani synowa daje, he?

— Niech ojciec da spokój! Ojciec niedługo gotów mówić, że za wiele jadamy. — Wtrącił się Andrzej, któremu zresztą te ojcowskie uwagi nie sprawiały przykrości, bo w głębi przyznawał im pewną rację.

— Przecież że za dużo, abo to matka nie mówiła...

— Pietruś, a co ty plół będziesz! mówiłam ino la ciebie.

— A co nie mam mówić, bo to nie mnie kosztuje wszystko, co? a po co to trzymać kucharza, co? abo to Magda, abo i ta stara krowa, Janowa, ugotować nie mogą, jak Boga tego kocham, co? A to płacić takiego byka, co se tylko jucha cygarusy émi, kiej jaki dziedzic, co?

— A masłem sobie ogień podpalał—wtrąciła żałośnie stara.

— Co nie mam mówić! Ty cicho bądź stara—krzyczał podniecony wódką i ciszą, jaka zapanowała przy stole.—Pani synowa ino spaceruje i zagraniczne książki czyta, a tyle dba o dom, co pies o zesze lato. Cicho bądź stara. Ja mówił będę, bo tu pan jezdem i dziedzic.— Uderzył pięścią w stół.

— A to co? — Zawołała Janka rozgniewana; stary zmieszał się nieco. — Więc gdzież ja jestem? u siebie, czy u tych ludzi? — Zapytała hardo.

— Ci ludzie są moimi rodzicami, bądź łaskawą nie zapominać.— Powiedział Andrzej z naciskiem. — Jesteś u siebie, a jeśli ci robią przykrości, to nie pozwól na to. A ojciec mógł-by nie przychodzić pijany i nie robić awantur, bo tutaj nie karczma! — krzyknął rozirytowany.

— Takiś-to synku!.. jak mu to rogi wyrosły! a dobrze Józia mówiła, jak Boga tego kocham, że jak ociec zapisze, to wezmą ojca za łeb. Takiś-to synku.

— Niech ojciec cicho będzie i pójdzie spać lepiej.

— Mnie tak śpiwasz jedynaku!. mnie jaśnie dziedzicu—he?..

Janka wyszła i zamknęła się u siebie, ale długo jeszcze słyszała odgłosy klótni i płaczliwy, rozbrajający głos starej.

Dosyć już miała wszystkiego: te codzienne drobne ukłucia, te nędzne oszczędności, te poobtlukane talerze i półmiski, jakie podawano, aby oszczędzić nowych; ta ustawiczna kontrola, te grubijaństwa, to skąpstwo obrzydliwe, płaskie i głupie, które ją otaczało coraz silniejszym kołem, — przejęły ją niepohamowanym wstrętem. Miała ochotę odjechać natychmiast, rzucić wszystko i uciec w świat szeroki, bo czuła całą swoją bezradność wobec tych ludzi brutalnych, wobec tego życia płaskiego. Biegała po pokoju, nie wiedząc, co zrobić z sobą; tyśiące myśli i postanowień zjawiało się w mózgu i rozpryskiwało bezsilnie, wreszcie zadzwoniła.

Zjawił się Bartek, ale w koszuli tylko, nawet bez spencerka.

— Poproś pana. Jak ty chodzisz, co?

— A kiej proszę jaśni pani, starszy dziedzic znalazł me kijem i kazał zdjąć luberyę.

— Poproś pana! Dobrze—mówiła do siebie,—rozmówimy się teraz. — Ach to to jest małżeństwo!—Zaczęła nerwowo szarpać koronki szlafrocza.—Dobrze, to ja muszę znosić od tych chamów, ja!—myślała coraz wolniej i szalony gniew wzbierał w niej, niby burza.

Andrzej wszedł i usiadł w milczeniu.

— Prosiłam cię, bo mam pilny interes.

— Przypuszczałem, dla czego innego nie zapragnęła-byś widzieć się ze mną!

Mówił twardo, gniewem płonęły mu oczy i jakąś nienawistną zaciętością.

Oprzytomniała, dotknięta akcentem jego głosu.

— Słucham! bo jest już tak późno... — spojrział na zegarek.

— Jeśli ci pilno iść spać, to nie zatrzymuj! — zawołała porywczo.

— Ale zanim to zrobię, mogę jeszcze usłyszeć, co mi powiedzieć chciałaś.

— Chciałam się ciebie spytać, jak my dalej żyć będziemy?—zapytała po długiej pauzie.

— To już od ciebie tylko zależy, panią tutaj jesteś, jak zechcesz, tak będzie.

— Tak, a tymczasem twoi liczą mi każdy kawałek chleba i traktują jak obcą.

— Bo jesteś obcą, bo chcesz nią być, bo nic cię my nie interesujemy, albo przynajmniej tyle, co te sprzęty. — Odsunął nogą krzesło,

wszystkie żale do niej, długo tłumione, budziły się i rozpierały mu duszę, gorzyc sączyła mu się z ust.

— Zamknęłaś się w sobie i nie dbasz o resztę, która żyje obok ciebie i być może, iż żałujesz wyjścia za mnie, być może... — powtórzył ciszej.

— Nie, o nie! — Zawołała, przeniknięta jego głosem.

— Traktujesz wszystkich z góry, a nie wiem dlaczego, chyba dla tego, że cię tak bardzo kochają.

— Nie, nikogo i nigdy z góry nie traktowałam; zobacz raczej, jak mnie traktują twoi rodzice.

— Głupstwo! co tam ojciec lub matka wygadują, nie zważaj na to.

— To mnie obraża! — Wykrzyknęła zdenerwowana tą kłótnią spokojną.

— Na to jest rada. Ponieważ rodziców od gadań nie oduczy nikt, — wiesz przecie, że to prości ludzie, że nic nie mogą skryć w sobie, — trzeba wszystko wziąć w swoje ręce, cały zarząd domem; zresztą jeśli chcesz, to możemy się oddzielić od nich, wrócą do swojej do oficyny, a ty będziesz mogła spokojnie nie widywać ich, kiedy cię rażą. — Wyrzut zadzwieczał mu w głosie.

Ona patrzyła na niego, dotykały ją boleśnie niektóre słowa, odczuwała ich wagę, odczuwała ból męża i jego niespokojne, wyczekujące spojrzenie i prawie mówić nie mogła z jakiegoś dziwnego dławienia, jakie czuła w sobie.

— Dobranoc! — Powiedział, nie doczekawszy się jej odpowiedzi.

— Idziesz już? — Zapytała cicho.

— Późno, po dwunastej.

— Odchodzisz jakbyś się gniewał... — mówiła i miała ogromną chęć przeproszenia go, powiedzenia jakiegoś słowa, które-by mogło rozproszyć tę niechęć jaką w nim czuła, ale nie mogła nic znaleźć w mózgu.

— Nie, cóż znowu... miał-bym się gniewać na ciebie! Niedobrze mi jakoś, — ścisnął się za głowę i obcierał spocone czoło.

— Możeś chory?... a może...

— Może... — powtórzył szeptem, i patrzył na nią tak jakoś dziwnie, że zadrżała, postąpiła kilka kroków bezwiednie i usiadła przy lampie, a jemu dusza miękła, zawziętość ustępowała prędko i wstawało w nim ogromne pragnienie słyszenia jej głosu, wzięcia w ręce tej bladej pięknej głowy, ucałowania tych ust dumnych i zaciętych...

— Janiul... — powiedział bardzo cicho i bardzo proszącym głosem. — Przebacz mi te przykrości, bo widzisz... — Urwał, a ona pod-

niosła oczy na niego i patrzyła, i czekała, co dalej powie; chciała mu nawet ułatwić, chciała sama coś powiedzieć, nie mogła. Cisza się taka zrobiła, że słyhać było pianie kogutów w czworakach i lekki szum parku. Stał chwilę jeszcze, oczekując, i wyszedł.

Gdy się drzwi zamknęły, odzyskała władzę nad sobą, ale jego już nie było.

— Czego ja chcę? Czego ja chcę? — Wykrzyknęła boleśnie.

XXXX.

Rano, nim jeszcze poszła na herbatę, wszedł Bartek, rozczarowany, z jakimś rozpaczliwym postanowieniem w oczach. Pochylił się jej do nóg i rzekł:

— A to dopraszam się łaski jaśnie pani, niech mnie zwolnią od lubery i od tego lokajstwa, bo ja już do ena zgłupiałem, a po drugie, na ty harbacie toby się człowiek zamorzył na śmierć. Dopraszam się łaski jaśnie pani — zaczął po raz drugi.

— Dla czego nie chcesz służyć?

— Służyć jaści chcę, bo ja-bym biedny człowiek robił? służyć jako i u państwa, ale do kuni, do wszystkiego, ino do tej ścierwy pokojów to służyć nie będę.

— Dla czego?

— Abo wczoraj jaśnie pan młodszy dziedzic zdzielił me w pysk, że nie byłem w lubery, a dzisiaj, starszy pan dziedzic wylał me lachą że chodziłem w lubery. Ja już całkiem nie wim. Śmieją się ze mnie wszystkie. Ja już służyć nie będę, bo jeszcze sobie co złego zrobię, a ja jestem...

— Jesteś głupi, słyszysz?

— Jaści niby słysze. — Rzekł pokornie, prostując się na jej podniesiony głos.

— To słuchaj dalej: liberyę włoż i chodź, i jakby'ci kto co mówił, to powiedz, że ja ci kazałam.

— A jak starszy pan me wyleją i wypędzą?—pytał płaczliwie.

— Służysz u mnie, ja jestem twoją panią i młodszy pan, nikt więcej, rozumiesz!

— Rozumiem! Włożyć liberyę i chodzić, a kiej kto spyta abo i spierze, to powiedzieć, że służe u młodszych jaśnie państwa, że jaśnie pani kazała, rozumiem, — wyprostował się i wyszedł.

— Zaczyna się wojna, dobrze! — Szepnęła twardo. — Chciecie abym wam panowała, będę! Poczujecie władzę i albo ja stąd wyjdę, albo będzie tak, jak ja chcę.

Myślała gniewnie, patrząc przez okno na ojca, który w czerwonej czapce i w starym mundurze spacerował pomiędzy opłotkami, podnosił nogi wysoko i maszerował uroczyście.

— Raz... dwa! Raz... dwa... Mieciu! — wołał ustawicznie, domaszerowywał do końca, zwracał i wciąż chodził.

Oderwała oczy od ojca i poszła do jadalnego pokoju.

Andrzeja już nie było, siedział tylko stary przy stole ze szlanką herbaty w obu rękach, i matka. Kiwnęła im głową i zabrała się do śniadania. Janowa, jakoś cicho dziwnie, z zaczerwienionymi oczyma i obrzękłą twarzą, usługiwała.

— Niech Janowa otworzy okno; ten ojca tytoń jest wprost obrzydliwy.

— A bogać! — Mruknął, postawił szklankę i patrzył na nią niechętnie.

— Da mi Janowa inne nakrycie, nowe, na tych wyszczerbionych skorupach nie będę jadła i niech je Janowa zbierze i wyniesie do kuchni. Nie podawać ich nigdy.

— Janusiu! Kiej to jeszcze takie dobre talerzyki, — opponowała stara.

— Cicho matka! Jaśnie pani tak każą, to słuchać, jak Boga tego kocham, a nie to jeszcze powie: pszoł wszyscy i basta! — Wybuchnął urywanym ze złości głosem.

Prędko skończył śniadanie i wyszedł, bo złość go dławiała.

— Będę walczyć za masło, za talerze, za liberyę! — myślała z pełną goryczą urągliwą.

Matka wyszła cicho, nie spojrzawszy na nią, a ona długo siedziała przy stole i myślała.

— Czego ja chcę? a, czego ja chcę? — Zadzwoniła gwałtownie na Bartka.

— Zawołaj zaraz kucharza. Ale po co mi to wszystko? dla czego nie mogłam żyć wolna i niezależna! A teraz co? — chodziła gwałtownie po pokoju i prawie nienawisć miała w sercu do tego domu, do tych pokojów, które widziała w długiej amfiladzie przed sobą, do tej ziemi oblewającej niby morze dwoń dookoła. Czuliła się upokorzona tą rolą, jaką grać musiała, i tą nędzną walką.

— Od dzisiaj niech-że Jan przychodzi do mnie po wszystkie dyspozycje.

— Dobra! bo to rzeknę, że stara to już mi kością w gardle stoi! — mruknął, stojąc rozparty w drzwiach, z papierosem w ręku.

— O kim Jan mówi?

— A no, o starszej pani! — Uśmiechnął się pogardliwie.

— Niech-że ja to słyszę po raz ostatni, jak po raz ostatni znośbę, żeby Jan przychodził z papierosem.

— Ale proszę jaśnie pani, bo to!.. — zaczął przestraszony.

— Bo co?

— Bo ta stara...

— Cicho! — krzyknęła. — Niech Jan wraca, a pamięta, co mówiłam.

— Zobaczycie! Poczujecie mnie! — Szepnęła zirytowana i później siedziała w skupieniu, zbierając siły do walki, pełna podniecenia, ale i trwogi zarazem przed tem jutrem, do którego iść musiała. Rozbiegały się jej myśli i czucia, niby jastrzębie na łowy, i krążyły ciężko w pustce i szarości. Cofała się w głąb, w przeszłość niedawną, otaczała wspomnieniami, ale były one niby mgły, których nic ująć ni zatrzymać nie jest w mocy. Pustkę coraz większą czuła w sobie. Gdzie się to wszystko podziało?—myślała z żalem, i z przerażeniem prawie czuła, że nie jest w stanie zerwać się, obudzić dawnych marzeń i pożądań dawnych, że serce jej i dusza wypaliły się ze wszystkiego i tylko świecą dogasającymi żuźkami.

I wstawalo w niej ciche jeszcze i nieświadome pragnienie czegoś takiego, coby zapełniło tę pustkę wewnętrzną, czegoś bardzo blizkiego i dobrego; pragnienie oparcia się i obwiniecia koło jakiej duszy kochanej.

— Czego pani chce? — Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie to proste zapytanie doktora. Obejrzała się błędnie po pokoju. Tak, czego ja chcę?.. Nic, nie wiedziała dokąd idzie, czego chce, po co żyje. Przecież... — i powtarzała puste dźwięki — mam dom, męża... obowiązki... dla czego innym, tylu innym, wystarcza takie życie, dla czego?.. Bo kochają! Odpowiedział w niej głos jakiś. — A ja? i zaczęła na swoje usprawiedliwienie szukać w pamięci i w sercu tych rozproszonych żdziebel sympatyj do męża, czepiała się ich rozpaczliwie, zwiększała je, podnosiła na chwilę do miłości, wmawiała w siebie, że przecież ona go kocha, rozrzewniała się nad jego dobrocią i chwilami czuła w sercu jakiś żar, jakby refleks jego miłości, i rozdmuchiwała w sobie dotąd — aż te drobne iskierki gasły i ciemniało jej w duszy.

— Nie kocham go! — szeptała wtedy upokorzona, niezdolna do dłuższego oszukiwania siebie samej. Był jej obojętnym nawet, a w pewnych chwilach wstrętnym.

Obtarła usta, bo ją zapiekły przypomnienia pocałunków i pieczot.

— Oszukuję świat cały!—I dręczyło ją to poznanie bardzo głęboko, i upokarzało ciężko, tak ciężko, że chwilami uderzała ją myśl zerwania wszystkiego, wyjazdu i ucieczki; ale wtedy zrywała się w sobie na chwilę i opadała, bo nie wiedziała już, dokąd iść, nie miała już sił ani chęci do walczenia ze światem, tysiące skrupułów, nie znanych dawniej, tamować zaczynało jej ruchy woli. I tak się w niej wszystko skłębiło, porwało, obezsiliło, że była podobną do ula, w którym rój zamarł i tylko czarne robaki zgryzot, męki, strachów, syciły się miodem jej życia i huczały coraz głośniejsze w pustych komórkach.

Wreszcie, nie mogąc się pozbyć z siebie tego chaosu, ani zapanować nad nim, uciekła prawie z mieszkania i poszła do matki.

Stara w drzwiach oficyny, swoim wiecznym zwyczajem, darła pierze i gderała na służące.

— Może mama pójdzie na wieś, co?—ozwała się Janka.

— A zajrzeć do Jadamki by trza; dobrze. Magda! o świniach nie zapomnij! Chodźmy, zajrzej do chlewów po drodzal

Wzięła kij, obwinęła głowę chustką i szła naprzód nieco, nie odzywając się wcale, chmurna i zła, tylko chwilami jej siwe oczy ślizgały się ukradkiem po Jance i zaraz przysłaniały powiekami, kryjąc niechęć i żal.

A Janka w tym stanie duszy patrzyła się na nią pokornie prawie, czekała na jakieś słowo ciepłe, pragnęła je usłyszeć; bo czuła jakąś nagłą potrzebę sympatii, potrzebę przyciśnięcia głowy do jakiejś piersi, jakiś głód miłości.

— Bartek! Chodzi tu! — Bartek niechętnie opuścił ławkę pod podjazdem. — A to zdejm te luberyo próżniaku i idź pomagać Magdzie. — Krzyknęła stara ostro.

— Nie póde i luberyi nie zdejmę; jaśnie pani kazała nie zdejmować, siedzieć w przedpokoju i nikogój nie słuchać, to słuchał nie będę, bo jako i swyniarkiem nie jezdem—gadał hardo, a patrzył na Janke.

— Co ty szczekasz, gadzino podła, co! — wykrzyknęła zdziwiona, trzęsąca się z gniewu.

— Ja ta nie szczekam, bom nie pies żaden, ino powiadam...

— Ty nie szczekasz! luberyi nie zdejmiesz, słuchał nie będziesz! Tak! O ty zapowietrzona sobako! Ty mnie tak pyskujesz. co? mnie! — Uderzyła go kijem przez głowę i zaczęła, nim się spostrzegł, okładać go potężnie, chwyciwszy go garścią za włosy.

— Gospodyni! laboga gospodyni! — bełkotał ogłupiały.

— Dosyć tego! Niech mu mama da spokój! — krzyknęła Janka, oderwała matkę od niego i zasłoniła sobą. — Robi mama, jak pijana baba w karczmie, a nie jak dziewczeczka, to wstyd przecież.

— Baba jezdem! chłopka jezdem, a tobie zasie do mnie! Chłopka jezdem, a nie żaden ciarach, abo inny obieżyświat. Widzicie ją! jaka wielka pani, abo może mnie weźmiesz za łeb, co? O mój Jezus słodki, o Matko Częstochowska, żebym się takiej pociechy doczekała na stare lata! O mój Jezu!

Lamentowała tak głośno, aż dziewczki zaczęły wychylać się z okien oficyny.

— Cóż ja mamie zrobiłam złego? Że nie dałam bić Bartka! On robił tylko to, co ja kazałam.

— To ja już nic nie znacze, to mają me za popychadło, to już im przeszkadzam.

— Co mama wygaduje?—Zawołała zirytowana, i aby powstrzymać gniew, nie słuchała dalszych lamentów i poszła. Kazała założyć konie i pojechała do Witowa.

Siedziała tam kilka godzin w jakimś ociężeniu i apatyi, aż Jadwiga zwróciła na stan jej uwagę.

— Co pani jest?—pytała troskliwie.

— Nie wiem. Wiem tylko, że stoję na rozstaju i żadnej drogi nie widzę przed sobą.—Powiedziała i zamilkła, chociaż wyznanie miała na ustach, bo wstyd się jej zrobiło zakłócać spokój tej czystej duszy. Przesiedziała kilka godzin przy fortepianie, ale i muzyka nie przyniosła uspokojenia. Przed samym wieczorem, ponieważ było bardzo cicho i pięknie, odesłała konie, a sama powracała pieszo do domu. Szła wąską dróżką, biegnącą na przełaj pól ogromnych, patrzyła daleko przed siebie, w głąb jakąś, z której zdawały się wychylać kontury postanowień jakichś. Uciszała się zwolna, bo te przestrzenie, po których zaczęła błądzić oczyma, przyciszały w niej burzę i rozlewały spokój, dając moc wytrwania.

— Nie jestem potrzebna nikomu!—Myślała i poczuła po raz pierwszy chęć stania się czemś, zajęcia jakiegoś miejsca w tem życiu ją otaczającym, poczuła znowu tę pustkę osamotnienia w jakiej żyła, tylko głębiej i szerzej.

Usiadła pod krzyżem, co w środku pól, nad drogą, na wzgórk, zarosłym cierniami i krzewami dzikich malin, stał i ramionami ogarniał te olbrzymie, odarte z roślinności, senne jakieś łąny, i zapatrzyła się w jesień idącą wszystkimi miedzami.

Nie widziała ucieczki nigdzie, więc zaczęła pilniej patrzeć w otoczenie, szerzej obejmować życie i widzieć, że ma ono swoje czary, że można się z niem pogodzić, że może w niem jest jeśli nie szczęście, to spokój.

Zapominała chwilami o własnych myślach i uczuciach, tylko poddawała się biernie falipiękną, jaka była z pól i z przestrzeni i patrzyła

duszą całą w tę jesień, w tę przeboską, polską jesień, która się snuła po polach pustych, — w tę jasną panią, o cichem złotawem obliczu, w liliowych astrów wieńcu na lnianych włosach, w długiej szacie z pajęczyn babiego lata, przetykanej czerwonymi jagodami jarzębiny, która w słoneczne, ciche popołudnie przepływa nad rdzawymi rzyskami, nad czerwonawą runią zbóż kiełkujących, nad wodami przymglonemi, i zapatrzona w siebie, rozsiewa w przestrzeniach ciszę pełną smętku i woni ostatnich powoi, gasnących po jej przejściu; muska szatą bratki modrawe, że przymykają oczy i padają martwe; potrąca suche badyle dziewanny, odziera krwawe liście z grusz, co przysiadły na polach, i niśnie w lasach, w gąszczach czarnych olch i świerków, w żółtych brzożach, i tylko włókna pajęczyn drżące mówią, że tutaj—była; że tędy przeszła,— że jest tam... gdzie wody czarne odbijają srebrnawe drżące liście osiki i krwawe grona wilezych jagód; tam — w tej pustce oniemiałej, na tych rozłogach i polankach leśnych, w tej świątyni, podpieranej przez tysiące kolumn, gdzie tylko słychać stuk dzięciołów i chrzęst spadających szyszek, i krzyki ptactwa oddalone.

W tę jesień patrzyła i zwolna zaczynała się rozszerzać na te pola, na lasy, na te wsie, których błękitne słupy dymów szły prosto w górę; zaczynała ją pojmować i odczuwać jak kiedyś, i jak kiedyś zaczęła się snuć myślą wszystkimi drogami, po wszystkich kniejach, po wszystkich wodach, po wszystkich dniach pełnych słońca i spokoju, jak kiedyś zaczynała odczuwać głęboką, odżywczą miłość do tego wszystkiego, zaczynała znowu łączyć się z ziemią i z tem powszechnem pulsującym życiem dokoła. Nie czuła się już ani tak obcą, ani tak samotną.

Patrzyła i widziała tę jesień, jaką widać w przedwieczorza, jak płynie w nimbie zórz miedzianych zachodu nad miedzami, gdzie siedzą stare drzewa, tarniny i kępy jeżyn rosną na kamionkach. Przepływa, a liście drzew leżą za nią obumarłe, trzciny po stawach szmerzą sennie, ptaki zrywają się i z krzykiem trwogi uciekają do siedzib ludzkich, wrony stadami płyną za nią i kraczą pieśń grobową, smutną głosę jesieni, a ludzie stają po drogach, przy pługach, przed domami, i milkną, patrzą w świat ze smutkiem głębokim i z trwogą. Pieśni po pastwiskach cichną, dusze się skupiają, bydło porykuje głucho i patrzy w zamgloną przestrzeń tępem spojrzeniem obawy. Dymy tłuką się pomiędzy wpólnagiami sadami i wiatr powstaje z przestrzeni, przychodzi z lasów, podnosi się z pól i zaczyna szumieć głucho i smutnie, szare chmury pędzą jak ptaki, i jak ptaki rzucają cień pośpny, przysłaniają zorze, tłumią światło, wypijają ciepło, i rozlewa się wtedy po ziemi dręczący, niezem nieukojony smutek, w którym, jak cienie cieniów, tłuką się ostatnie, rozbite w pyły, konające widma lata.

Długo siedziała, nie spostrzegłszy, że za nią prawie stał Witowski, konia trzymając za cugle. Siedziała, zapomniawszy zupełnie o sobie, przeniknięta słodyczą tej jesieni i tej *vis medicatrix naturae*, płynącą z pól i ze skupienia się w sobie.

XXXXI.

— Odprowadzę panią! — Szepnął, stając przed nią,—bo od roznaturzenia i zachwytywów na łonie wilgotnej przyrody do kataru i przeziębienia nie daleko.

— Po co ten ton?—Zapytała powstając, nie zdziwiona jego obecnością, ale dotknięta ironią, dźwięczącą mu w głosie.

— Po co jest wszystko—aby było.

Zajrzeli sobie w oczy, tak samo prawie, jak wtedy, przed wyjazdem do Włoch.

Jankę oblał rumieniec, odwróciła głowę, a Witowski zaciął usta i trzaskał szpicrutą po butach, i jakaś nagła, ostra złośliwość przejęła mu duszę. Pragnął, potrzebował nawet drwić.

— Idźcie pan do nas?—mówiła, kiedy już szli.

— Nigdzie nie idę, idę z panią.—Odsunął się nieco i patrzył długo na nią.

Była dzisiaj przepiękną na tle pól zabłękitnionych i zórz purpurowych.

W oczach miała roztęsknienie, zadumę i jakąś tajemniczość, jak te pola, co pod lasami okrywały się już mrokiem.

— Wygląda pani niby „Gioconda“ Lionarda.

— To jest?

— Dziwnie pięknie, za pięknie,—dodał ciszej.

— I nie więcej...—szepnęła ironicznie.—To stary repertuar...

— Znudził panią! a dobrze, popiszę się nowym natychmiast.

— Ciekawam.

— Ciekawość jest pani cechą bardzo ważną.

— Czy to określenie jest już z nowego repertuaru? Pytam, bo wydaje mi się znajomem...

Nie odezwał się, zabolęła go ta ironia, bo zresztą jej ruchy, nieco ciężkie, lekko rozkołysane, te ramiona wspaniale uformowane, te usta purpurowe, zmysłowe, przy oczach spokojnych i głębokich, ta cała po-

stać dumna i drażniąca, działała na niego dziwnie: przyciągała i gniewała na siebie, że ulega czarowi. Ogarniał ją płomiennym wzrokiem; spostrzegła to i włożyła kapelusz, który dotychczas nosła w rękę.

— Niech pani się nie szpeci tem pudłem.—Zaprotestował.

— Nie lubię, żeby mnie taksowano oczyma, — powiedziała twardo.

— Kto pani jest? — Uderzyły go jej słowa, niby pejcz przez twarz.

— Człowiek.

— Wielka ambicya jest zasadniczą cechą pani.

— Mówimy o umarłej! bo gdyby jeszcze ta ambicya żyła we mnie, to nie szłabym tą drogą z pewnością.

— Nie rozumiem.

— Byłabym gdzieś w świecie. Może byłabym wielką artystką, może niczem, ale nie siedziała-bym w Krosnowie, to pewna.

— Z dobrych żon wprowadzie mniej jest pożytku, niż z wielkich artystek, ale... można być i wielką kobietą w Krosnowie.

— Dla kogo? — Pożałowała tego zapytania, wydało się jej dziecinnem.

— Dla samej siebie, dla ludzi, dla męża, dla jaśnie Pietrza dziedzica.

— Dla czego pan zawsze kończy drwinami?

— Drwiny są często tarczą przed własnem sercem, — odpowiedział ciszej i smutniej.

— A może tylko flirtem z nowego repertuaru...

— Bardzo pani jest szczęśliwą w Krosnowie?

— Panie...

— Dla czego się pani oburza? Podchwyciłem tylko ton pani.

— Dobrze; więc jakże z pańskiem szczęściem w Witowie!

— Jestem kwadratowo szczęśliwy. Tak, odżywiam się doskonale, kocham w miarę potrzeby, sypiam kiedy chcę, drwię z ludzi, kiedy pragnę, nie dbam o nic i o nikogo i mogę w każdej chwili rozbić sobie czerep, jeśli mi się spodoba. Uśmiecha się pani drwiąco! nie wierzy pani, bierze mnie pani za jednego z tych nędznych blagierów, pozujących na nudę i weltszmerc. Mogę panią zaraz, natychmiast, przekonać, że to, co mówię, gotów jestem zrobić, jak ów Anglik! — Mówił prędko, oczy mu zaświeciły taką zdeterminowaną stanowczością, tak strzeliły płomieniem gwałtownej siły, gdy wyciągał z kieszeni rewolwer, że Janka zbladła i bezwiednym ruchem zatrzymała mu rękę, podnoszącą się do czoła. Strach oblał ją płomieniem. Była najgłębiej przekonana, że był-by się zastrzelił.

A on stał chwilę i wpijał się w nią swojemioczymą magnetyzera, twarz, podobna nieco do dzikiego Antinousa, drgała mu chwilę wszystkimi mięskami, wreszcie zdjął ze swojej dłoni jej rękę i rzekł drwiąco:

— Jest pani za nerwową na żonę Andrzeja, a przeto trudno będzie zapanować nad gospodarstwem, bardzo trudno...

— Nie kończ pan! — syknęła, przychodząc do siebie i taki nagły, oślepiający gniew ją ogarnął, że w pierwszym odruchu byłaby go uderzyła parasolką.

Nienawidziła go w tej chwili tak silnie, że, nie powiedziawszy słowa więcej, poszła naprzód bardzo śpiesznie.

— Pani Janino! — zawołał za nią zdumiony. Nie obejrzała się nawet tylko przyspieszyła kroku, serce biło jej gniewem, a w oczach poczuła łzy zdenerwowania.

— Błagam o przebaczenie. Nie chciałem pani obrazić. Niech pani tak nie odchodzi.

— Rozejdźmy się lepiej: nie przywykłam, aby eksperymentowano dla zabawki na moich nerwach i wrażliwości.

Patrzył się w jej oczy tak smutnie, że stopił gniew i zadrgała w niej litość i współczucie.

— Ciekawe wrażenie wyniósł-by ten, kto by nas widział i słyszał teraz, — powiedziała, usiłując panować nad sobą.

— Zrozumiał-by, że ma przed sobą dwie dusze, które się szukają i które się boją własnych przepaści.

— A pan co-by powiedział? — Serce zabiło jej mocno.

— Żeśmy szukali bezwiednie dróg do dusz własnych.

— Dobranoc panu. dojdę już sama.

— I żeśmy zajrzeli do ciemni, — mówił, nie słysząc jej pożegnania.

— Mając takie cuda przed sobą! — Wskazała wiszące nad lasami słońce, co się krwawiło w szybach stawów i pływało w mgłach sinych.

— H_2O — zabarwione metalicznie, chce pani, to określe formułami resztę.

Spojrzała na niego i jakieś dziwne uczucie obawy ścisnęło jej duszę, jakby istotnie zajrzała w przepaść niezgłębioną.

Szli w milczeniu, spoglądali na siebie chwilami zimno i badawczo, a dusze się im trzęsły w jakimś nieopowiedzianem uczuciu miłości i zgryzoty, w uczuciu pożądania i strachu przed tem pożądaniem, a po-

między nimi snuły się błyski zrenie rozpalonych i te niezliczone prądy, biegnące z duszy do duszy.

Od kapliczki z Witowa leciał głos sygnaturki i łączył się z muzyką koników polnych i z rytmicznym turkotem młyna, huczącego w Krosnowie, i biegł po rosie, i rozlewał się coraz szerzej.

Milczeli wciąż, bojąc się przerwać tę ciszę, bojąc się przemówić, aby czasem to pierwsze słowo, jakieby się wyrwało z ust, nie było tem, co tak chcieli mówić, a co tak pragnęli zachować w głębi własnej. Jan-ka czuła zawrót głowy, czasami fala krwi tak uderzała w jej serce i mózg, że chwiała się, blizka runięcia na ziemię. Przystawała nieco, aby oprzytomnieć, i znowu szła. Nie myślała nic, ani pamiętała, prócz niego, prócz tego dziwnego wyrazu oczu, gdy mówił: Szukaliśmy dróg do dusz własnych. Drżała coraz silniej wewnątrz i obwijała się w pelerynkę coraz szczelniej, jakby chcąc się zamknąć w niej przed jego oczyma, które ją magnetyzowały; czuła je na ustach swoich tak silnie, jakby pocałunki, aż pokryły się wilgotnym, promieniejącym karminem upojenia; czuła je w oczach swoich i opanowywała ją dziwnie senna ociężałość. Szła coraz wolniej i niepewniej, chwilami budziła się z tego czaru dziwnego, jakim ją opanowywał, spoglądała przymglonym wzrokiem dookoła; ale spotkawszy się z jego wilgotnemi, świecącemi dziwnie oczyma, opadała w siebie, przenikał ją taki dreszcz dziwny, aż rozkładała ramiona, oddychała głęboko i miała szaloną chęć przyciśnięcia się do niego z całych sił, z całej duszy, i przepadnięcia chociażby.

W nim działało się prawie toż samo, czuł, że go jakaś siła porywa i przykuwa do niej, tak ją czuł obok siebie, tak wchodziła mu w duszę głęboko, aż ucuwał pewien tępy, nieświadomy ból fizyczny. Zajmowała go całego, przycierała, ale w głębi podnosiła się w nim złość na samego siebie, na nią, na wszystko.

— Kocham cię! Kocham!—bilo mu serce ze straszliwą jednostajnością, a wyrazem ust szydził, nienawidził i bronił się do ostatka, by nie upaść przed nią na kolana, by nie objąć jej stóp i nie przywrzeć ustami chociażby do kraju jej sukni, której szelest suchy przenikał go męką, i nie wypowiedzieć tego wszystkiego, co miał w duszy, a co dopiero teraz sobie uświadomił.

— Dobranoc panu!—Szepnęła cicho, gdy wchodzili do wsi, i śpiesznie ukryła ręce pod okrywką, nie spojrziała nawet na niego i poszła dalej sama, bo nie starał się jej zatrzymać, ani iść z nią; patrzył tylko, jak jej jasna suknia migotała w zmroku i zlewała się z cieniami.

— Kocham cię! — myślał i długo tak stał zapatrzony w te miejsca, gdzie zniknęła, a gdzie on widział ją jeszcze oczyma duszy.

Janka szła szybko i dopiero ocknęła się, usłyszawszy tętent jego konia gdy odjeżdżał; obejrzała się za siebie i jakiś żal zatargał ją silnie.

— Czemu nie poszedł ze mną! — myślała, ale później, gdy ruch wroczył ją do przytomności zupełnej, zacięła usta z gniewu, była bardzo niezadowoloną z siebie, jeszcze resztki tego nastroju przenikały ją dreszczem rokosznym, ale się im broniła myślami i rozważą.

Przy kolacyi zauważyła tylko, że matka miała zaczerwienione oczy, stary był pijany i groźnie patrzył na nią, a mąż, weselszy niż zwykle, namawiał ją usilnie, aby co zjadła koniecznie.

— Nie mogę. Zmęczyłam się trochę i głowa mnie boli...

Nie, nie mogła mówić, nie słyszała nawet, gdy mówiona do niej, była bardzo daleko od nich wszystkich myślą, błądziła po jakimś świecie rozmarzeń, pełnym błysków spojrzeń, konturów twarzy, dźwięków głosów, wyrazów ócz, pełnym słodkiego chaosu.

— Panna Jadwiga zdrowa? Widziałas się ze Stefanem?

— Zdrowa, zdrowa, — powtórzyła. — Pana Stefana podobno od rana nie było w domu.

Dla czego tak odpowiedziała, nie umiała zdać sobie sprawy, ale to ją zmieszało.

Poszła zaraz do swojego pokoju.

A rano obudziła się dziwnie dobrze usposobiona, tak dobrze, tak się czuła spokojna, pełna sił, chęci do życia i do czynu, że poszła do oficyny.

Matka zajęta była powłóceniem świeżych poszewek na poduszki.

— Ja to prędzej zrobię! — powiedziała, odbierając jej z rąk poduszkę.

— Hale!.. bo to taka jaśnie pani potrafi!.. — szepnęła uszczypliwie.

— Zobaczysz mama. — Powlekła poduszki, posłała łóżko, poustawiała na komodzie niezliczone figurki i obrazki świętych, zapaliła lampkę przed obrazem, a stara nie rozmarszczyła się jeszcze, tylko z chłopską zaciętością i pewną ironią w siwych oczach śledziła jej ruchy i wzdychała. Dopiero gdy Janka porobiła, co było, i nie doczekawszy się słowa nawet, chciała wyjść, stara zawołała:

— Janusiul! — Pozostała, siadając obok niej.

— Nie gniewaj się córuchno na mnie. Widzisz, stara kobieta jezdem, prosta, i prędka, i nienauczna, to mi sie ta łacno jakie złe słowo wypśnie z gemby.

— Co tam, nie mówmy o tem mamo, ja mamę przepraszam.—Pocałowała ją w rękę, co starą tak rozrzewniło, że pochwyciła ją w ramiona i długo całowała.

— Bo to cknii mi sie córuchno, zagadać do kogo nima, Jędrus z dziewczkami przestawać nie da, z ojcem niema co, bo zaraz kłótnia i obraza boska, z Jędrusiem niema kiej, z tobą nie śmiem, no, bo co ja taka prosta kobieta mówila będe?.. to sie i człowiekowi życie przykrzy i tak markotność rozbierze, że sie chodzi z kąta w kąt i ino wytropię do czego sie przyczepić.

— Hol hol taka zgoda! — zawołał Andrzej, wchodząc.

— A bo widzisz synku, ja tak opowiadam, co mi się tak cknii do wnuczków,—powiedziała chytrze.

Andrzej spojrzal jakoś dziwnie na Jankę, że się oblała rumieńcem i wyszła bez słowa, podrażniona tym wzrokiem.

— Kwoczka jeszcze niesna, to ją nie przyniewoli siedzieć!— Śmiała się stara.

— Niech-że mama o tem przy niej nie mówi.

— Czegóż to wstydzic się będę, że trza mi wnuczków, co?

— Ma mama Józi dzieci.

— A jak mi się chce twoich, mój parobku kochany, co? twoich mój Jędrusiu.

Uwiesiła mu się u ramienia i głaskała go po twarzy i włosach, rada z własnej śmiałości i okazji wypowiedzenia najgłębszych swoich pragnień, na których urzeczywistnienie czekała z coraz większą niecierpliwością.

— A może dochtór je potrzebny, abo co?—szeptala dalej.

— Nie mówmy o tem. — Ucałował matkę i poszedł do pałacu.

I on tego pragnął nie mniej od matki, bo czuł, że dziecko związało-by ją silniej z nimi, rozmyślał o tem, gdy uslyszal jej głos.

— Poproszę cię o wielką łaskę.

— Wiesz przecie, że dla ciebie zrobię wszystko.

— Daj mi sześćset rubli w ratach miesięcznych.

— Dobrze. Kupujesz co?

— Nie, nie... — zawahała się, czy mu powiedzieć, że chciała pomagać Zaleskiej, przyszło jej na myśl, że może on to przyjmie z niechęcią, więc nie powiedziała.

— Właściwie to chcę sobie coś kupić, ale mam w tem pewien cel, że kupię na rozplaty.

— Masz czeki na bank handlowy. Wpisuj żadaną sumę na okazy, wypłacę natychmiast. Ciekawy jestem, co kupujesz?

— Później ci powiem.

Zastanowiła go ta tajemnica i gdy jechał w pole, jakieś ciemne podejrzenie zaczęło kiełkować mu w mózgu.

— Komu ona posyła, na co? A może!... nie... nie... — zaprzeczył sobie energicznie i zawrócił, wszedł do mieszkania cicho, bo dywany tłumiły odgłos kroków, tak, że bez szelestu wszedł do jej pokoju.

— Przyszła mi myśl... — zaczął od progu, — żeby w niedzielę złożyć kilka wizyt w sąsiedztwie, jeśli zechcesz, ma się rozumieć.

— Trzeba żyć z ludźmi. Mówiła mi nawet p. Jadwiga, że sąsiedztwo jest zdziwione, że jeszcze nie składaliśmy wizyt. — Odpowiadała spokojnie, wyciągając bibułę atrament z listu i tym sposobem przykrywając go.

Zobaczył to dobrze i przez to cały dzień tłukło mu się pytanie:

— Do kogo pisała?

Janka pojechała na pocztę, aby osobiście list wysłać z pierwszym czekiem. Potem odwiedziła Jozię, która od kilku dni leżała chora ze zmartwienia, bo jej cały drób wyzdychał na czerwonkę. Nasłuchiwała się dosyć skarg na niedołęstwo męża i niegodziwość służby i dosyć fałszywych, obłudnych uniesień nad sobą, i znudzona tem powracała do domu.

Deszcz zaczął padać gwałtowny i gliniaste drogi rozmiękły tak, że konie szły noga za nogą i ślizgały się co chwila, wieczór się robił prędko, wieczór czarny, zimny, przesycony wilgocią, obrzydliwy.

Jechali już lasem prędzej, bo droga była twardsza, gdy Janka usłyszała tętent konia tuż za sobą. Obejrzała się i spostrzegła Witowskiego.

Uklonił się jej i nadjechał tak blisko, że bok jego konia ocierał się o skrzydła powoziku, nie powiedział nawet zwykłej formuły powitania, tylko nachylił się ku niej i szepnął głucho:

— Muszę z panią dzisiaj mówić! — Chwycił jej rękę i zamiast pocałować ugryzł, ale tak silnie, że krzyknęła, a on zawrócił błyskawicznie konia i zginął w mroku lasu.

Nim zrozumiała, nim się obejrzała, już zniknął, jak cień.

Siedziała w jakimś oniemienu wewnętrznem, pochodzącem ze strachu i zdumienia.

— Jedź prędzej! Oszałał! — myślała, z trwogą prawie spoglądając po lesie, czy gdzie z za drzew nie ujrzy jego twarzy; przeraziła ją taka gwałtowność i sprawiała jednocześnie bardzo dziwne, bardzo podniecające wrażenie.

Przycisnęła usta do tego miejsca, gdzie ją ugryzł, bo ją paliło bardzo, ale tak silnie przywarła ustami i z takim uczuciem, jakby ca-

łowała kogo bardzo kochanego. A potem, ochłonawszy, przynagliła Walka do pośpiechu.

W domu zastała gości, przyjechali Babiccycy z Rutowskim.

Bardzo się ucieszyła na razie, ale później ciężyli jej nieco. Miała duszę zajętą czem innym, to „muszę się widzieć dzisiaj z panią,“ tkwiło ustawicznie w myśli i przejmowało ją lękiem, obawą i dreszczem zdenerwowania. Słuchała, mówiła i bardzo często chwytala się na śledzeniu wszystkich, bo się jej wydawało, że wiedzą i szczególną uwagę zwracają na nią, a najbardziej niepokoił ją mąż, który patrzył tak dziwnie dzisiaj! Siedział chmurny, przygryzał wąsy i silił się na rozmowę, która co chwila się rwała, nie umiał jej podtrzymywać, bo dręczyło go zapytanie:

— Komu wysyłała pieniądze?... a może... — nie kończył nawet w myśli i zwracał się do Rutowskiego, ciągnął oczyma za Janką i nic nie słyszał, a Rutowski, poruszony i rozpromieniony, nie mogąc wyciągnąć wiele z niego, przesiadał się do Janki, ale ta go zbywała ogólnikami o Włochach, bo była zajęta Babickimi i ich dziećmi, i tą ciekawością dręczącą coraz bardziej:

— Czego on chce! Co powie. — Myślała i na każdy szelest wiatru, co tłukł i wpychał prawie szyby, drgała żywo i nasłuchiwała odgłosu kroków; patrzyła nieznacznie w okno, czy po-za szybami nie zarysuje się sylwetka Witowskiego, znajdowała nawet sposobność wyjścia na podjazd i spojrzenia w czarną, pełną plusku deszczu, zimną noc. Potem zirytowana na siebie, zdenerwowana, siadała przy Helenie.

— Wyglądasz dziwnie imponująco, dziwnie pięknie... — mówiła Helena.

— Krosnowa tak zmienia.

— Włochy, pani dobrodziejko, tego i owego, Włochy — wtrącił Rutowski -- aura tam panie...

— Ale ty zawsze świetnie wyglądasz, przytyłaś tylko nieco.

— A tak!.. — Wykrzyknął Babicki, siedzący przy Andrzejku. Helena pochyliła głowę.

— W okolicy żadnych nowin? — zaczęła Janka, aby ją wywieść z kłopotu.

— Są: pani Stabrowska napisała nową powieść p. t. „Pomyje“. Drukuje ją w jakimś tygodniku, którego nikt nie czyta, więc ażeby zmusić całe sąsiedztwo do czytania jej utworu, kazała wszystkim sąsiadom, w promieniu trzymilowym, rozsyłać ów tygodnik.

— Dopłaca do rozgłosu.

— Ale zmusza do czytania, a przeto i do myślenia — szepnęła Janka i podniosła się nieco, bo się jej wydało, że jakiś głos znajomy

rozległ się w przedpokoju. — Czytałaś, czy to bardzo zła rzecz? — pytała dalej.

— Czy państwo byli w Loreto? — wsadził znowu Rutowski.

— Nie czytałam, mąż powiedział, że to wprost niemożliwa rzecz.

— Tytuł najlepiej w tym razie definiuje treść.

— Że mężowi się nie podobała, no to może nie w jego guście, ale ty powinnaś się była przekonać. Bartek! — zawołała, podniosła się i poszła do przedpokoju, spojrzała przez szyby i powróciła.

— Bo to trochę na boku od Ankony, ale ślicznie. Morze panie tego i owego u nóg.

— Gdzie? — Zapytał ostro Andrzej, bo ten niepokój Janki nie uszedł jego uwagi.

— Pod Ankoną, państwo byli w Loreto?

— Jechaliśmy zwykłym szlakiem jeżdżących do Włoch.

— Pobożnych pielgrzymów, t. j. z omijaniem pięknych miejscowości, a wstępowaniem do cudownych! — szepnęła Janka więcej do siebie.

— Ależ wspaniale mieszkanie, po książęcemu.. — odwróciła rozmowę Helena, spostrzegłszy, że Andrzej spojrział ostro na żonę i rzucił się na krzesło.

— O tak!.. jest to przepych wielkiego składu mebli na Pocijowie.

— Ale była-bym zapomniała ci powiedzieć, Janiu! Głogowski pisał do Stabrowskiej z Paryża, obiecuje przyjechać do nich na wiosnę.

Kto?.. a Głogowski! Głogowski!.. Jakże tu zimno! — Wzdrygnęła się, otuliła szczelniej jakimś szalem i nachyliła nieco ku Helenie słuchała, ale oczyma błędziła po oknach i duszą była gdzieś na drodze, wiodącej z Witowa do Krosnowy.

— Te kare — bym kupił od pana... — mówił Babicki, zapalając cygaro.

— Są do sprzedania, może pan z ojcem pomówi o tem, to jego wydział.

— Nie jest panom ta para potrzebną?..

— Nie, a zresztą, my wszystko sprzedajemy, jeśli się trafi kupiec.

— Widzę, że macie wielki młyn.

— Walcowy, systemu amerykańskiego. Wszystko zboże mielemy i sprzedajemy mąkę.

— A, teraz się nie dziwię, że macie takie wspaniałe inwentarze...

— Mamy zasadę nie sprzedawać nic z surowych produktów, tylko przerabiamy u nas. Nawet od wiosny przestaniemy sprzedawać poręby, bo zakładamy tartak.

— Macie zbyt na rżnięte i obrobione drzewo?

— Prawie mamy.

— Przetwarzacie gospodarstwo na fabrykę.

— Chcę doprowadzić do tego. Chciałem nawet znacznie więcej robić, bo chciałem założyć wielką cegielnię, bo kolej zabudowywa się i potrzebuje rocznie kilka milionów cegieł; chciałem założyć browar, bo piwo ma pewny zbyt koleją, podniosło-by to uprawę jęczmienia i dało możność wypasania większej ilości bydła, chciałem założyć gorzelnię, bo wtedy żyto da więcej niżli dotychczas przerabiane na mąkę. Chciał-bym wiele, ale...

— Ale... boi się pan tych milionowych przedsięwzięć?..

— Nie, tylko mi się nie chce, energię, kapitały mam, tylko po co to robić? — Opuścił się w krzesło, strząsnął popiół z papierosa i zamilkł, utkwivszy jakiś wilgotny wzrok w Jance; zniechęcenie i ból miał w duszy i żał do niej, że mu odbierała siły. Babicki rozważał słyszane projekty i spoglądał na niego z jakimś szacunkiem pełnym podziwu.

Cisza zaległa salon.

Helena nachyloła mówiła coś szeptem do Janki, siedzącej pod wielką brązową lampą, której zielonawe światło, przesiane przez jedwabny abażur, powlekało jej twarz sinawym refleksiem. Słuchała uważnie, ale oczy jej ciągle błędziły z niepokojem po salonie i twarzach siedzących, i jakieś nieznanne, denerwujące drżenie nękało ją coraz boleśniej.

Rutowski przy osobnym stole siedział, zatopiony w albumach przywiezionych z Włoch, a z dalszych pokoi dochodził krzykliwy głos dzieci, które wzięła stara pod swoją opiekę.

Deszcz bił monotonnie w szyby, wiatr uderzał z taką siłą, aż portyery się chwiały i światła kołysały się co chwila; park szumiał głucho i dorzucał swoje głosy. Chwilami robiło się tak cicho, że wszyscy spoglądali ze zdumieniem na siebie i jakby z trwogą. Wieczór był ciężki i przygnębiający.

Koło dziwiątej wszedł Witowski. Ujrzała go dopiero, gdy stanął przed nią i wyciągał rękę do powitania. Ciepło radości ogromnej rozlało się po niej, ale marmurowa twarz ani drgnęła, oczy patrzyły spokojnie w jego zamkniętą, zimną, ale dziwnie wychudłą twarz.

— A siostra? czemu pan jej nie przywiózł?.. — Pytała wolno, bardzo wolno, bo drżała jej dusza i głos chwilami wiązał w gardle.

— Teraz jest w kaplicy i prawdopodobnie wyżebruje miłosierdzie dla nas wszystkich.

Przywitał się ze wszystkimi i swobodny, elegancki, ironiczny, jak zwykle, wziął krzesło i usiadł obok Janki.

— Wcisnąłem się pomiędzy panie, niby klin nie bardzo pożądanym.

— Bardzo nie, ale zniesiemy pana, chociażby ze współczucia, żeby pan nie był zmuszony rozmawiać o gospodarstwie z panami.

— Dziękuję, ale przyznam się szczerze, iż miłszy mi szczerbiot dam.

— To znaczy, że pan lubi muzykę słów.

— Pochlebia pani słowom, wyrzeczonym przez damy.

— Muszę, skoro pan prawi im impertynencye.

— Tak ciągle okłamują mężczyźni panie, tak ciągle są panie przyzwyczajane do słodkiego brzęku flirtowych dzwoneczków, że głos brzmiący naturalnie wydaje się paniom skrzekiem barbarzyńcy.

— A jeśli my lubimy ten brzęk! A jeśli słuchając nie wierzymy wam nic a nic, to co?

— To nic, bo okłamywana obłuda godną jest okłamujących.

— Ależ państwo naprawdę brząkacie w dzwonki flirtu! — zauważyła Janka, siedząca cały czas w milczeniu, bo napróżno chciała wziąć udział w rozmowie, nie mogła słowa wydusić z siebie.

— A czy nie dość wprawnie to robimy? — zapytał, nie patrząc na nią.

Zaśmiała się jakoś przymuszenie.

— Co do pana, to tak, i gdyby były medale za mistrzostwo w tej specjalności, to sądzę, że należał-by się panu — powiedziała dosyć cierpko, powstając. Gniewał ją dzisiaj jego ton lekko cyniczny, a zresztą czuła w sobie jakiś strach, głuchą obawę przed tem, co nastąpić miało.

— Co on mi powie? — pytała, i tysiące myśli cisnęło się do jej duszy. Prawie wiedziała, co jej powie, i ta pewność przenikała ją dreszczem dziwnej, nigdy nie odczuwanej rozkoszy.

— Niestety, ale we flircie, jak i we wszystkim, jestem tylko dyletantem — odpowiedział.

Nie odpowiedziała i poszła do jadalni, gdzie już Janowa z Bartkiem nakrywali do stołu. Przechodząc obok okien, spostrzegła przez nie ojca, siedzącego na werendzie.

— Janowa! Bartek! Ojciec na taki deszcz i zimno na werendzie!

I pomogła im sprowadzić Orłowskiego, który, zapomniany w swoich opłotkach, przywłókł się na werendę i tam siedział skulony i przemoczony zupełnie.

— A któż to o nim będzie pamiętać, he? kiej jaśnie pani córka nima czasu, bo ino na spacerach i wesamblach — szepnął stary i tak się zatoczył na stół, że kilka talerzy z brzękiem spadło na podłogę.

— To moja rzecz, ale ojciec tak się upił, że nie wiem, jak się ojciec śmie pokazywać; są przecież obcy ludzie, to wstyd doprawdy.

— Co mi to obce, dziedzic tu jezdem i pan, a komu się to nie widzi, to pszoł jak Boga tego kocham. Matka! — ryknął, grzmocąc pięścią w stół, ale matki nie było, stała tylko Janka, dygocąca ze złości.

— Zaraz zawołam mamy, to może-by kazała zaprowadzić ojca pod studnię, żeby trochę wytrzeźwiał.

— Pod studniel mnie... kiej swyniak! A, jak Boga tego kocham, kuniec światła! mnie, dziedzica, pod studnie, a ścierwo sobacze... pszoł... Matka! loboga!

Nie słuchała, tylko poszła powiedzieć Andrzejowi, który zaraz kazał go wziąć i zanieść do oficyny.

Janka zapraszała wszystkich na kolację, i tak się jakoś stało, że szła ostatnia z Witowskim. Nie mówili do siebie, ale na środku długiego, prawie ciemnego pokoju, przez który przechodzili, Witowski ujął jej rękę i szepnął:

— Przyjdę pod pani okno od ogrodu, musi mnie pani wysłuchać, musi... — szeptał twardo i nakazująco, puścił jej rękę i złączył się z towarzystwem, a ona stała chwilę nieprzytomna i ogłuszona.

— Janiu! — Andrzej zawołał, wchodząc drugimi drzwiami, i widział, że Witowski mówił z nią, słyszał nawet dźwięki jego szeptu, tylko nie mógł ich zlepować w słowo, w treść jakąś. Podejrzanie dziwnie oślepiające zalało mu duszę.

— Chodź na kolację! — szepnęła cicho, i przez cały czas kolacyi poruszała się jak senna, patrzyła nie widząc, słuchała nie słysząc, rozmawiała, nie rozumiejąc słów własnych. Śmiała się z byle czego, to chwilami zapadała w jakieś posępne zamyślenie, z którego ją budziły oczy Witowskiego, uporczywie patrzące; oczy dziwnie rozszerzone, i tak świecące, i tak ogromne, że chwilami spoglądała w nie, jakby w jakąś przepaść, która ją ciągnęła swoją głębią, i te skrzące płomienne spojrzenia rozpały w jej sercu żar potężny, przepalały ją na wskroś i tak obezsilały, że chwilami siedziała zupełnie zahypnotyzowana, gotowa na każde skinienie, wpatrzona w nie z pokorą i poddaństwem się zupełnem.

Kiedy się skończyła kolacya i wszyscy rozchodzili się spać, Witowski, odjeżdżając, tak spojrział na nią i ścisnął jej rękę, że oprzytomniała zupełnie. Chciała mu powiedzieć, żeby nie przychodził, chciałągo błagać o to, bo wszystko się w niej zatrzęsło ze strachu; ale nie można było

nic mówić. Andrzej zimno patrzył na nich, Babicczy stali także, i każde słowo, każde nawet poruszenie było-by zauważone. Patrzyła na niego z przerażeniem i rozpaczą, nie zwrócił na to uwagi i odjechał. A ona długo siedziała u Heleny, sama rozbierała dzieci i kładła je na posłanie, otulała z dziwną troskliwością, przeciągała rozmowę do nieskończoności byle dłużej być z ludźmi, byle później pójść do swojego pokoju. Chodziła jak błędna, czepiała się najbłahszych pozorów pozostawiania, ale wreszcie, widząc, że Helena zasypia ze znużenia, szła do siebie.

— Czy spuścili roletę? czy?.. — myślała ciężko i teraz, w tej chwili, czepiała się tej myśli, zawisła na niej całym życiem. Stała pode drzwiami, bo bała się wejść, bo już stąd zdawało się jej, że widzi za szybami twarz Witowskiego, że słyszy jego głos. Omdlewała z dziwnego uczucia, wszystko w niej pożądało go, i wszystko w niej protestowało przeciwko temu widzeniu.

Wreszcie, zbierając siły, weszła.

Okno nie było zasłonięte. Krzyknęła z przerażenia i długo patrzyła w czarną zadeszczoną noc, przeglądającą szybami. Lampa paliła się na stole, w pokoju była cisza zupełna, biały futrzany dywan tłumił zupełnie kroki. Przebiegła gorączkowo oczyma pokój, oglądała po tysiąc razy te jasno-błękitne meble, wielkie łóżko pod kotarami z błękitnego aksamitu, tysiączne drobnostki poustawiane na biurku i tualetcie, i zawsze w końcu oczy tonęły z jakąś bolesną ulgą w tem oknie, jakby w jakiejś strasznej ranie ściany.

Była taka straszna cisza, że słyszała skwierczenie knotów świec, zapalonych przed tualetą, szum drzew w parku i chlupot wody rozbijającej się o brzegi jeziora, i monotony, okropny szelest deszczu, padającego bezustannie, i te wszystkie smutne, rozbite na atomy głosy dnia, co się tłukły ostatnimi echemi ech po parku. Tysiąc razy zrywała się w sobie, aby iść i zasłonić okno—i nie mogła, bała się ruszyć z kanapki i nie umiała zdać sobie sprawy z niczego, ani z tego, co się z nią dzieje, ani z tego, co się stać miało. Czowała tylko, że ją porwał jakiś wir straszny, z którego nie miała sił się wyrwać.

Zadrżała gwałtownie, bo doszedł ją słaby, w normalnym stanie mózgu nie dostyszalny, chrzęst żwiru i odgłos stąpań. Słyszała dobrze, tak strasznie dobrze, że każdy ten krok odbijał się echem okropnem w jej mózgu; zerwała się i, nie wiedząc co robi, zadzwoniła gwałtownie. Oprzytomnił ją ten dźwięk; byłaby pół życia dała, żeby stłumić te dźwięki huczące jeszcze w ciszy.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytał Andrzej wchodząc.

— A... al.. to... nie, nie, nie mogę spać — wykrztusiła z trudem i zadygotała, bo odgłos kroków był coraz bliższym; patrzyła

się to w okno, to na męża, z niedającym się określić przerażeniem i bólem.

— Co ci jest dziecko, wyglądasz tak dziwnie? — zapytał miękko, i jego dobre serce zwyciężyło, zapomniał o podejrzeniach, o męce, jaką przechodził do tej chwili; porwany jej stanem dziwnym, przysiadł się do niej, ujął jej zimne jak lód ręce i zaczął okrywać pocałunkami.

— Co ci jest, dziecko moje, co ci jest Janiu! — I mówił długo, przygarniał ją do siebie, całował jej oczy i usta, przytulał jak dziecko chore, a ona przyjmowała te pieszczoty, nie wiedząc o nich, wpatrzona w okno i wsłuchana w te coraz bliższe kroki.

— Al..—krzyknęła, wrywając mu się z objęć: cień Witowskiego przemknął po szybach i przepadł w nocy.

— Zobaczyłaś kogo w oknie? — zapytał, idąc za kierunkiem jej szeroko z przerażeniem otwartych źrenic.

— Nie, zdawało mi się tylko... nie, doprawdy, tak jestem strasznie zdenerwowana.

— Przystłonię okno! mówię zawsze, żeby zamykano okiennice.— I podniósł się.

— Ja zasłonię!—zawołała, bo przemknęła jej myśl, że on, spuszczać rolę, może zobaczyć tamtego. Skoczyła śpiesznie i zapuściła, ale roleta nad samym parapetem zatrzymała się nieco na wazonach z kwiatami, tak, że od dołu została szeroka szpara przez całą szerokość okna, którą z zewnątrz można było doskonale widzieć, co się dzieje w pokoju.

Usiadła z powrotem przy nim, a on z tą samą serdecznością mówił:

— Tak chciałem przyjść do ciebie, tak mi bardzo było potrzeba widzieć cię samą, tak bardzo się męczę... widzisz, chciałem ci szczerze zapytać...

— O co? — pytała cicho, tak cicho, jakby nie chcąc, aby jej głos mógł być słyszany przez okno.

— Ale mi daruj, przebacz moją podejrzliwość, ale już dłużej nie mogę wytrzymać. Ja potrzebuję sił, a to mnie zamęcza, nie daje spać, nie pozwala myśleć o niczem... tylko mi przebacz, moja droga, moja najdroższa!

— Ale co?

— Powiedz, komu posyłałaś pieniądze! — powiedział prędko, obejmując ją i chowając twarz na jej piersiach.

— Zaleskiej — odpowiedziała prosto. — Nie chciałam ci mówić, bo myślałam, że bybyś się gniewał, miałam ci później powiedzieć.

— Ach, to idyota ze mnie! Przebacz mi, przebacz!

Nie odpowiedziała, bo całe swoje jestestwo skupiła w wyczuwaniu. Nie słyszała nic, ale czuła, że Witowski jest pod oknem; zdawało się jej, że tą szparą z pod rolety patrzą na nich jego oczy. Odsunęła bezwiednie męża i chciała się podnieść, ale pozostała, bo nie miała sił powstać, bo zresztą nie wiedziała, co robić, spoglądała na męża, to na okno i czekała, ze śmiercią prawie w duszy, na to, co się stanie. Andrzej, nic nie przeczuwając nawet, uszczęśliwiony jej odpowiedzią, która mu ten kamień zdjęła z serca, zaczął ją pożerać pocałunkami.

— Jakaś ty dobra! jaka pocziwa, jak ja cię kocham.

— Nie, nie, — wydierała mu się już z ramion, bo była tak bezprzytomna, iż zdawało się jej, że to tamten siedzi przy niej, że to tamtego głos, tamtego pocałunki, tamtego palące oczy, i wtedy przyciskała się do męża, zarzucała mu ręce na szyję i wpijała się spragnionemi ustami w jego usta, i całowała, całowała...

— Kochasz mnie! — pytał cicho, coraz ciszej.

— Kocham! kocham!.. — odpowiadała dyszącym namiętnością głosem i miała ochotę rzucić się na kolana i tarzać się przed nim w prochu, i wtedy serce biło jej tak silnie, a dusza nabrzmiwała taką radością ogromnego kochania, że twarz jej promieniała szczęściem nieopowiedzianem, upojeniem, szalem prawie.

Coś się poruszyło za oknem, szyba zadźwięczała dosyć głośno, wiatr zatargał silniej drzewami i szumiał głucho, trząsł, nderzał w ściany, wył w kominach, prześwistywał pomiędzy nagimi konarami.

Wyrwała mu się z objęć, stanęła na środku pokoju i przerażona, wstrząśnięta, patrzyła się na męża, nie mogąc zrozumieć, skąd się tu wziął. Oglądała się po pokoju, — nie było nikogo więcej.

Wtedy zrozumiała wszystko. Patrzyła długo na niego tak dziwnie, tak jakoś żałośnie-litośnie, że się poruszył niespokojnie. Usiadła, i taka ją niemoc schwyciła, i takie straszne rozżalenie, że wybuchnęła płaczem, długim, strasznym płaczem zawodu i żalu.

Zaniósł ją na łóżko, rozebrał, mówił do niej najczulszemi słowami, całował po nogach, ale płakać nie przestawała, a on uspokajał ją, jak mógł i umiał i, gdy w końcu przycichła, że tylko od czasu do czasu łkanie wstrząsało jej piersiami, zaczął prosić bardzo pokornie.

— Dobrze! — szepnęła apatycznie, i ostatnie łzy, jakby pogrzebowe łzy marzeń wszystkich, popłynęły strumieniem z jej oczu.

XXXXII.

Całe dwa miesiące Witowski się nie pokazywał w Krosnowie, dopiero trzeciego przysłał list, adresowany do Janki.

Otworzyła z jakąś smutną ciekawością, jakby list był pisany przez kogoś, kto umarł dawno, tak dawno, że już rysy jego zaciera ją się w pamięci.

List zawierał kilkanaście wierszy i był bez nagłówka i daty.

„Dlaczego nie chciała mnie pani wysłuchać? Dlaczego nie oszczędziła mi pani widoku małżeńskich pieśszcztot. Kochałem panią o tyle, o ile dzisiaj nienawidzę, a nienawidzę tak, jak kocham—bezgranicznie. Nie żebrzę tym listem litości, nie; chcę tylko przesłać pożegnanie, bo jutro wyjeżdżam, i chcę rzucić ostatnie: dla czego? Widzi pani, że nawet nie ironizuję, nie mam sił, dusza mi odpada kawałami, niby znoszony łachman. Kochałem panią od pierwszego dnia poznania i kocham panią całą nienawiścią. Zabił-bym panią tylko dla tego, żeby samemu umrzeć. Nie moglibyśmy nigdy być szczęśliwymi, ale mogliśmy probować zostać nimi; dla czego pani nie chciała? Złękłaś się jak gołąb jastrzębia? Tak, ja byłbym ci zabił duszę, wyssał ją i zaprzepaścił w sobie, albo sam zginął w tobie. Pożeralibyśmy się, ale byśmy żyli, gdy tymczasem zgnijemy: pani w małżeństwie ubłogosławionem obficie, a ja na śmietniku dusz samotnych. Nie jestem tak szlachetnym, aby pani szczerze życzyć szczęścia, nie, nie mogę... Nie żegnam i nie mówię do widzenia tylko zapytuję: dla czego? Nie czekam nawet na odpowiedź. Nie czekam na nic. Rozbiegły się nasze drogi i nie zejdą nigdy!.. nigdy!!!“

Czytała po kilka razy ten list, a potem zatopiła się w długiem rozpamiętywaniu bolesnem, i gdy się obudziła z niego, była zupełnie spokojna i zrezygnowana, czuła tylko potrzebę odpowiedzi, napisania kilku słów; ale napróżno napisała i podarła kilka arkusików papieru, nie jejnie zadawałniało; wreszcie przypomniał się jej ten wiersz Lange-go, który kiedyś tak długo tkwił w jej pamięci. Znalazła książkę, wydarła z niej kartę i nim ją włożyła do koperty, raz jeszcze przeczytała:

„My się nie możemy kochać, jak gołąbie.

„Dwie nasze dusze, są jak dwie otchłanie,

„Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie —
„I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.”

— Tak, my się nie możemy kochać! — powtórzyła, — nie możemy!

Nie czuła już nic z tej burzy, co przeszła przez jej serce, prócz żalu i smutku, jaki przysłonił jej oczy zadumą. Zgodziła się już na życie takie, jakim było, bo nie miała sił wywalczyć sobie takiego, jakiego pragnęła, bo zresztą nie wiedziała, czego pragnie. Wypaliło się w niej wszystko, zagasiło i poszarzało, jak te szmaty pól, na które teraz patrzyła oknem, przypruszone śniegiem, przez który czerniały grzbiety zagonów, wyplukane deszczami; jak te smutne, nagie drzewa parku, co niby szkielety, poobdzierane przez wichry, tłukły się o siebie i bełkotały drżącą, lodowatą pieśń zimy; jak to szare, nisko wiszące niebo, co niby brudna ścierka zwieszało się ciężko nad ziemią.

Zbudziła się z rozmarzenia i zadzwoniła.

— Bartek! Zawołaj mi zaraz Walek, pójdzie do Witowa, tylko prędko.

W kilka minut był już Walek, ale stał przy drzwiach i drapał się po głowie.

— Odniesiesz ten list do Witowa i oddasz panu, idź zaraz.

— A kiej ja mam jechać ze starszym panem i już kazali zakładać konie.

— Pójdiesz do Witowa i to natychmiast, słyszysz.

— Ano jużci, kiej rozkaz to i posłuchanie, a co starszy pan me spierze po pysku, to spierze. — Zabrał list i wyniósł się.

Wkrótce wpadł stary i zaraz od progu zaczął krzyczeć, był pijany zupełnie, bo od pewnego czasu był pijanym ciągle.

— Co to za rządy! Walek jedzie ze mną!

— Gdzie? do karczmy! Nie spóźni się tam ojciec, jak pojedzie przed wieczorem, tymczasem zdąży przyjść z Witowa.

— Do karczmy, czy nie do karczmy, to do tego wara, ja tu każe, bo ja tu dziedzic, jak Boga tego kocham!

— Niech ojciec nie krzyczy, bo się nie zleknie, i niech ojciec wróci do przedpokoju i oczyści sobie buty ze śniegu, bo szkoda dywanu.

— Ale, jak chcę to chodzić po dywanie będę, bo ja tu jezdem dziedzic, ja tu jaśnie pan, to moje wszystko! — krzyczał coraz głośniejsz.

— Nie jest ojciec żaden jaśnie pan, tylko zwyczajny cham i parobek, a nawet i tacy jeszcze-by więcej po ludzku się zachowywali.

Powiedziała pogardliwie i wyszła.

— Pszoł... jak Boga tego kocham, pszoł... — wykrzyknął po chwili. — Ja cham, ja parobek! Dziedzic psia ścierwo jezdem, osim folwarków mam, jaśnie pon jezdem, — krzyczał rozwścieklony. — Dywany ci psuje, czekoj! — Wybiegł w podwórze, skoczył w gnojówkę aż po kolana, umazał buty w śniegu i przyszedł, rzucił się na wykwintną kanapkę, obita perłowym jedwabiem, wytarł o nią nogi, a potem tarztał się po jasnym dywanie, zostawiając wszędzie olbrzymie i obrzydliwe plamy.

— A masz grefuiuo, masz chama, masz parobka, teraz se ugaszczaj swoich szlachciców. — Kopnął jakieś krzesło, plunął w lustro obok którego przechodził, bo ujrzał w niem czerwono-siną, obrzękłą twarz swoją, i poszedł w podwórze.

— Grefinia! Ja cham, ja? Cham jesteś jaśnie Pietrze dziedzicu, cham i parobek! A ścierwo, bo dam w pysk! Cham jesteś! — powtarzał z uporem pijackim. — Ja! cham, ja! Nie szczekoj, bo ubije jak psa marnego! — Chwycił się za głowę i uderzył nią w ścianę stodoły. — To mnie chamem nazywael! Wygonię, pszoł... jak Boga tego kocham, pszoł wszyscy... — Był tak pijany, że się przewrócił pod stodołami, przynieśli go do domu i ciepła pierzyna tak go rozmarzyła, że na pół senny gadał!

— Januchno! jaśnie synowo, a toć ociec jezdem, twojego Jędrusia ociec, a toć uszanuj. Cicho stara, cicho! ino kulasy zbierze, to zaraz pójde przeprosić — odpowiadał starej, która nad nim kilka godzin wykrzykiwała. — Cicho stara, cicho... niech tylko ma chłopaka, to już me może prać i po pysku i pary nie puszcze, jak Boga tego kocham.

*

*

*

W półtora roku później, w endowny zmierzch majowy, siedziało całe towarzystwo na werendzie Krosnowskiego dworu.

Wieczór szedł cichy z pół zielonych i rozwieszał nad ziemią, pokrytą młodą zielenią, nad drzewami kwitnącemi po sadach, subtelną

oponę szarawego fioleto. Słońce zaszło, tylko ostatnie zorze rozlewały się długimi pasmami złota i purpury po szybie jeziorka. W gąszczach młodych bzów, podobnych do ognisk płonących fioletem, ozwały się chóry drożdów i słowików. Powietrze przesycone było zapachami wiosny.

— Cudowny czas! — ozwała się pierwsza Janka i przechyliła się przez balustradę do niańki, niosącej rocznego chłopaka, który z piąstkami w oczach, z buzią otwartą, spał jej na rękę. — Łusia, chodź prędzej, bo dla dziecka za zimno, — i z wielką macierzyńską troskliwością patrzyła się w oczy jedynaka, a gdy służąca przechodziła obok niej, pocałowała dziecko w białą, tłustą nóżkę, wysuwającą się z pod czerwonej sukienki.

— To jest widzę ogromnie kochane przez panią! — szepnął Głogowski, który od kilku dni bawił w Krosnowie i dzisiaj szykował się do wyjazdu.

— Tak, to, jak pan nazywa, jest istotnie bardzo kochane, ale bo czy nie piękne?

— Zachwycający robak! — zawołał Staś Bobiński, teraz już zawiadowca stacyi Bukowiec, i przesłał od ust pocałunek w stronę dziecka.

— I ogromnie mądry! — dodała jego żona, zazdrośnie śledząca dziecko.

— Nadzwyczajnie! Cudowne dziecko, samo już dłubie w nosku i samo pakuje sobie nogę do buzi! Niech zdechnę, ale to przesada — zawołał Głogowski, zwichrzył mocno przerzedzone włosy, rzucił cygaro w kłęb rozkwitłych tulipanów, podniósł się i zaczął drobnymi, niecierpliwymi krokami przebiegać werendę.

— Bartek, czy konie już są?

— Gdzie się panu tak śpieszy, czemu pan nie może zostać z nami?

— Dokąd? i po co?

— Dokąd pan zechcesz, załóż pan u nas pracownię, osiądź, nikt cię nie będzie krępował i w niczem, doczekaj się pan, aż mój chłopiec będzie potrzebował nauczyciela.

— A ja tymczasem zidyocieję, dziękuję. Muszę jechać.

— Teraz ja spytam dokąd i po co?

Odpowiedział dopiero wtedy, gdy Bobińscy odjechali. Stał przed nią, przypatrywał się jej chwilę, zwichrzył włosy i powiedział cicho:

— I ja nie wiem po co i nie wiem dokąd! W świat, przed siebie, na dalszą tułaczkę. A jednak ja od kilku dni jak tu jestem, patrzę na panią, słucham i ciągle się pytam, gdzie jest dawna panna Janina? Ja pani takiej, jaką stoisz przede mną, nie znam; mało, ja takiej nie chcę. Co pani zrobiła ze swoją duszą? — zapytał prawie ostro i jakiś ból świecił mu w szarych oczach, gdy się przypatrywał tej wysokiej, wspaniale rozwijającej się figurze Janki; zaglądał w jej oczy spokojnie patrzące, śledził twarz piękną jakąś pięknnością kończącej się wiosny, obmacywał jej duszę, wsłuchiwał się w dźwięki jej słów i naprózno — dawnej Janki nie było, bo dawna Janka umarła, stała przed nim inną zupełnie kobietą. — Co pani zrobiła ze swoją duszą? — Zapytał ciszej jeszcze.

— Spytaj się pan o to życia.

— Sfilistrzała pani do szpiku.

— Frazes, — szepnęła, urażona nieco.

— Frazes, frazes! Wszystko jest frazesem i wszystko nim nie jest. Ale jest-że pani przynajmniej szczęśliwą?

— Jestem zupełnie spokojną.

— A tu... — wskazał na piersi i głowę, — nie się już nie pragnie, nie się już nie marzy, wszystko wygasło pod popiołem filisterstwa, wszystko zapomniane.

— Nie, panie Głogowski, wszystko, co potrzebne mi w obecnem życiu, jest i pozostanie, bo to wszystko...

— Nie kończ pani, na Boga, nie pokazuj mi pani tego zwykłego chlewika duszy gospodarskiej i obywatelskiej.

— Pan mnie obrażał

— A pani mnie zabijał! Wie pani, siedziałem w Paryżu, tłukłem się po świecie, robiłem coś, tworzyłem, myślałem i miałem w dniach znękania tę jedną pociechę, gdy myślał o pani. Kochałem pani duszę, czepiałem się nieraz jej własną duszą, czerpałem z niej nieraz siłę, bo czułem wtedy, że nie jestem tak strasznie samotny na świecie, tak zupełnie wyodrębniony z życia, które się toczy dookoła mnie, a którego ja nie rozumiem. Przyjechałem i po co? aby zobaczyć panią w gloryi rodzinnego, zapasionego szczęścia! Obcą mi, tak obcą, jak ten Bartek, jak pani mąż, jak reszta świata!

— Konie czekają! — zameldował Bartek, stając we drzwiach.

— Dobrze, jadę natychmiast. Żegnaj panią.

— Więc nie zostanie pan?

— Nie, co ja-bym tu robił? nie mogę patrzeć na trupy, które znałem i kochałem. Żegnaj panią.

— Do widzenia, a nie zapominaj, że tutaj są zawsze życzliwi, i nie potępiaj pan nas, a mnie w szczególności. Tak jak żyję, żyć muszę, bo inaczej nie umiałam. Przekona się pan sam, że to nie zbrodnia takie życie, lecz tylko obowiązek mój społeczny.

— Żegnam panią! — Uścisnął jej ręce, spojrzął po raz ostatni na jej twarz spokojną, zimną, wystygłą, pogodzoną zupełnie z losem, twarz, na której nie było już i śladów dawnych marzeń i wzlotów ducha, zwykłą twarz dobrej matki, żony i kobiety świadomej życia i celów jego, pochylił głowę i wyszedł.

Patrzyła za nim chwilę, żal jej było, że odchodzi, ale wydał się jej dziwnym, histerykiem o przedrażnionej i przesubtelnionej duszy, niezbyt nawet przyjemnym, bo drażnił ją rozmową i przypominał sobą czasy, o których chciała zapomnieć zupełnie; a potem zwróciła oczy na park tonący w zmierzchu, na ojca spacerującego jeszcze pomiędzy opłotkami, na te głębokie ciche przestrzenie nieba, z których wykwitwały gwiazdy niby kwiaty, i cofnęła się do jadalnego pokoju, bo wszedł Andrzej.

— Żono, kolacyę, bom głodny jak wilk! — wykrzyknął, całując ją głośno w usta, — a gdzież ten *Fliegender literat*? — Zapytał, nie zobaczywszy Głogowskiego.

— Fliegender literat odleciał.

— I nie chciał pozostać?

— Nie. Prosiłam, nic nie pomogło, uparł się i pojechał.

— To nic, obejdziemy się bez niego, nudna pała. Łusia, a dajno tu synka — krzyknął na dziewczynę do drugiego pokoju.

Przyniesiono chłopca i wkrótce oboje rodzice, starzy Grzesikiewiczowie, niania, a nawet Janowa, szykująca do herbaty, zaczęli przyglądać się z niesłychaną ciekawością i uniesieniem dziecku, które, rozbawione, wesole, tarzało się po wielkiej otomanie, ciągnęło ojca za wąsy, włożyło Jance na głowę, spadało i wybuchało śmiechem i piskiem dziecinnym.

A „Fliegender literat“ jechał tymczasem do stacyi.

Noc się roztaczała nad ziemią, noc pełna wiosny i czaru, pełna zapachów pól, pełna głosów przyrody potężnej, zmartwychstającej, pełna śpiewów ptaków, chórów żab, chrzęstu drzew, pełna białych kwiatów na gruszach, siedzących po miedzach. Wsie stały ciche, pokryte całe wiśniowemi sadami, które, niby fale kwiatów blade-różowych, drżały i dyszały wonią i radością. Siedział, kuląc się coraz

bardziej i z coraz większą nienawiścią spoglądał dookoła; jakiś wąż oplatał mu duszę i ssał ją okropnie, wąż żalu, osamotnienia i obcości; nie rozumiał tego, na co patrzył, było mu to dzikiem, obcem i tak wstrętnem a nienawistnem w tej chwili, że szepnął pogardliwie:

— Psiakrew! szopa romantyczna! — i plunął, jakby w twarz całej przyrodzie wiosennej.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

K O N I E C.

Na dworze Władysława IV.

I.

Władysław IV i jego rodzina ¹⁾.

Wpśród naszych królów elekcyjnych, o trzech tylko właściwie powiedzieć można, że jest w ich postaciach coś, co na pierwszy rzut oka, czy na pierwsze wspomnienie pociąga, ujmuje i usposabia dla nich sympatycznie, a bliższe poznanie się z nimi pierwszego tego wrażenia nie rozprasza. Mamy na myśli Stefana Batorego, Władysława IV i Sobieskiego.

¹⁾ W toku wieloletnich studyów nad źródłami historycznymi z XVII wieku, zebrałem sporo wzmianek współczesnych, dotyczących spraw oświaty, kultury i t. d. za czasów Wazów. — świadectw, w przeważnej części dotąd przez nikogo nie zużytkowanych. Wybrałem na razie z pośród nich te szczegóły, które rzucają światło na życie dworskie za Władysława: na ich tle właśnie został osnuty niniejszy artykuł, który nie ma pretensyi do nazwy wyczerpującego studyum, lecz może posiadać co najwięcej wartość pierwszego rzutu, fragmentarycznego przyczynku, i jakby przygotowawczego szkicu, przydatnego głównie jako materiał do lepszego wykończenia przyszłego obrazu naszej kultury z XVII wieku.

Ponieważ Władysław IV był duszą swego dworu i wycisnął na nim głębokie piętno swej indywidualności, przeto wydało mi się potrzebnem rozpocząć od krótkiej charakterystyki jego osoby i przedstawienia jego najbliższego otoczenia. Temu przedmiotowi właśnie poświęcam pierwszy rozdział artykułu.

Nie potrzeba tłumaczyć, dlaczegośmy z tej grupy wykluczyli pierwszego, Henryka: cudzoziemiec, król wiarołomny, nie miał on w sobie nic takiego, co by mogło otworzyć serca nowym poddanym — wyjąwszy może takich poddanych, którym łatwo było otworzyć serce za pomocą złota i kielicha wina. Zygmunt III, zacniejszy, więcej do naszej ziemi przywiązany, poważny, roztropny i pod niejednym względem około dobra Rzeczypospolitej rzetelnie zasłużony, odstręczał współczesnych sztywnością postawy i ruchów, chłodnem obejściem, jakimś dumnem zamknięciem się w sobie, małomównością, upodobaniem w języku, stroju i w zwyczajach cudzoziemskich, i przenoszeniem towarzystwa obcego nad polskie. I nam się jeszcze dzisiaj wydaje, że na tronie Jagiellonów było mu jakoś nieswojsko: czuje się dlań szacunek, czasem nawet i podziw — ale ukochać go trudno. Trudno ukochać i Jana Kazimierza, co prawda, dla innych przyczyn; zbyt wiele mamy mu do zarzucenia, a zbyt mało umiemy powiedzieć na jego uniewinnienie, abyśmy się wobec niego zdołali zdobyć na uczucia żywsze i serdeczniejsze od współczucia i pobbżania... Tak samo ma się rzecz i z Wiśniowieckim. Gorzej jeszcze z Augustem II: tego nie sposób nawet szanować, nie mówiąc już o miłości i sympatyj; trzeci jest nam co najwięcej obojętnym. Poniatowskiego można cenić, bronić, usprawiedliwiać, można o zaletach jego umysłu i dobrych chęciach mówić z uznaniem, a roztumnym zabiegiem przyklasnąć; ale niepodobna odłączyć od jego postaci tych wszystkich cieniów, wobec których widoku miłkną życzliwe uczucia, a bierze górę smutek i żal niezgłębiony...

Zostają ci trzej, których nazwiska przed innemi wymieniliśmy na czele: trzej królowie z wyboru, bynajmniej nie równi sobie, ani nawet do siebie podobni, a w których postaciach jest więcej stron świetlistych, niżli ciemnych, więcej cech dodatnich, niż ujemnych, więcej tego nieokreślonego wdzięku duszy, co chwyta za serce, niż właściwości, zdolnych wywołać ubolewanie lub niechęć. Nie są oni sobie równi: Stefan Batory łączył w swej osobie więcej świetnych zdolności, znamionujących dobrego wodza i statystę, niż dwaj tamci; ale za to mniej miał od nich przymiotów towarzyskich, mniej ciepła i serdeczności w pożyciu z ludźmi, mniej ognia i zapału w tem, co czynił, lub o czem rozmyślał. A nadewszystko brak nam w nim tego, co stanowiło i stanowi w Sobieskim i nawet we Władysławie IV główną siłę przyciągającą: ducha narodowego. Trudno o tem zapomnieć, że Batory był z pochodzenia Węgrem, że języka poddanych swego królestwa nie znał, lecz przemawiał do nich martwym językiem klasycznym. Sobieski i Władysław byli natomiast Polakami z krwi i kości. Władysław IV także, — chociaż przez znaczną część życia nosił strój cudzoziemski, bo wiadomo, że nosił go tylko jako dogodniejszy dla cierpiącego częste

bóle reumatyczne człowieka. Władysław IV był najbardziej polskim wśród Wazów: urodził się w Rzeczypospolitej, na ziemi mazowieckiej się wychował i kraj rodzinny kochał całą duszą: nie czuł się nigdy tak obcym na polskim królestwie, jak Zygmunt III, i nie przysłał mu też nigdy do głowy myśl, którą Jan Kazimierz pieścił w sercu przez lat kilkanaście: aby porzucić Rzeczpospolitą i życia dokonać na obczyźnie, zdala od swoich. Jako żywe uosobienie wszystkich właściwości narodowych, zawsze najbliższym sercu naszemu będzie Sobieski: przerastał on Władysława IV także zacnością charakteru, płomienną miłością ojczyzny i tym wyższym nastrojem, który sprawiał, że kładł zawsze całą duszę w to, co czynił, i gotów był bez namysłu głowę położyć tam, gdzie godziło się ją narazić dla publicznej sprawy. Szlachcic z urodzenia, pozostał on typowym szlachcicem i na tronie: zostało w nim też może za dużo szlachcica z jego wadami i upodobaniami. Nie pragnął korony, i korona ta w istocie nie przystawała do jego dobrodusznego oblicza: bardziej do twarzy było mu z szyszakiem na głowie, albo z miśsiurką szlachecką.

Inaczej Władysław. Ten zdawał się stworzonym na króla. Miał w swojej postawie, w ruchach, w sposobie obejścia się z ludźmi, a nade wszystko w myślach i słowach coś z naturalnej, wrodzonej „grandezzy“ monarszej: i można powiedzieć, że na tronie polskim czuł się skrępowanym nie dlatego, iżby królewskość nie odpowiadała jego usposobieniu, lecz raczej i dla tej przyczyny, iż majestat tego tronu mu nie wystarczał; że mu na nim było za ciasno, że marzył o świetniejszym, bardziej przestronnym i wyniosłym. Jemu potrzeba było władzy swobodniejszej i bardziej otwartego pola do działania: na tronie Francji znalazł-by się pewnie jak na najwłaściwszem dla siebie miejscu, i kto wie, czy nie urósł-by tam do wielkości Henryka IV, kiedy u nas okoliczności skazywały go nieledwie na bierną więcej rolę takiego na przykład Ludwika XVI.

Władysław IV należy do tych nielicznych postaci dziejowych, które na bliższem poznaniu nic nie tracą. Owszem, im lepiej się poznaje, im głębiej się wgląda w treść jego myśli i czynów, tem większego nabiera się dlań szacunku. Opracowania, ogłoszone w ostatnich czasach i wykrywane codziennie nowe materyały do dziejów jego rządów nie umniejszyły w niczem jego dobrej sławy, owszem, do tego wieńca, którym go oteczył ćwierć wieku temu Szajnocha, przydały nowych listków. Pociąga nas ku niemu zwłaszcza świadomość, że jako król dorastał do swoich zadań, był pełnym dobrej woli, zdolności i energii — a dziwnie się mu nie wiodło, nie szczęściło... Pojmował on swoje historyczne posłannictwo tak szczytnie, jak żaden może z królów elekcyjnych, prócz Batorego: a żadnego z innych, prócz Poniatowskiego,

twarda rzeczywistość nie straciła nigdy ze szczytów wymarzonej pragnień i dążeń tak nisko, jak jego nieraz strącała. Zdawało się, jakby miał z urodzenia nieszczęśliwą rękę, bo wszystko mu się w ręce psuło i rozpadało. Ileż-to śmiałych, rozumnych projektów, ileż-to przedsięwzięć, podjętych przezeń z zapałem, podtrzymywanych długo z podziwienia godną wytrwałością, chybiło ostatecznie, nie z jego winy, celu; ileż dzieł, rozpoczętych dobrze i przez pół dokonanych, runęło i poszło na marnel! W świetle dziejów współczesnych, których król ten był nietylko sprawcą, ale i ofiarą, nabiera postać jego jakiegoś posępnego, tragicznego nieledwie kolorytu; ci, co go znali bliżej, zapewniają, że w istocie na dnie jego duszy była melancholia, ta melancholia wyższej miary, to jest smutek dusz wybranych, który się rodzi z bolesnego poczucia, że się nie było zrozumianym, że się nie znalazło dla swych górnych uczuć i myśli odgłosu i poparcia w otoczeniu.

Już sama powierzchowność króla, znana z kilku dobrych portretów i rycin, robi sympatyczne wrażenie. Kobierzycki zapewnia, że w młodości był uderzająco pięknym ¹⁾; później, wzrastająca coraz bardziej otyłość popsuka harmonię kształtów. Jeszcze w roku 1636 podziwiał nuncyusz Visconti w czterdziestoletnim już mężczyźnie „piękny skład ciała;” ale dodawał zarazem, że „teraz, przyszedłszy do dojrzałego wieku, nabiera zbytecznej tuszy, przez co nikną owe wdzięki, które dawniej były jego ozdobą i ściągały na niego oczy, i ujmowały mu serca” ²⁾. Urok jego osoby polegał nie na samej tylko pięknej powierzchowności, lecz także, i to głównie, na zaletach usposobienia i charakteru. Mimo otyłości, był żywego temperamentu; skłonny do wesołości, rozmowny, towarzyski, lubiał widzieć dokoła siebie twarze rozpogodzone, nie znosił, aby ktokolwiek odchodził odeń z żalem w sercu. „Posiada w wysokim stopniu” — są słowa wspomnianego już wyżej nuncjusza ³⁾ — „nie wiem, czy sztukę zadziwiającą, czy dar przyrodzony jednania sobie umysłów. Jest tak wymowny, iż zdaje się, że mu płyną z ust słowa, jak ogniwa złotego łańcucha owego Herkulesa dawnych Gallów, któremi krępuje uwagę słuchaczy. Ci nawet, co go znają, nie mogą uniknąć sideł tej czarującej wymowy; ci, co go zrazu ze wstrętem, lub uprzedzeniem słuchają, odchodzą ujęci i przekonani; do czego łączy jeszcze szczególniejszy sposób karmienia nadzieją tych, którzy nigdy nie pożywali owocu jego szczodroblowości.” Nie miał w sobie nic ze sztywności i wyłączości ojca: przeciwnie, robiono

¹⁾ Kobierzycki: „Historia Vladislai Principis,” str. 26 — 7.

²⁾ Relacye nunc. Apost., II, str. 189 — 90.

³⁾ Relacye nunc. Apost., II, str. 190.

mu nawet zarzut z tego, że nie przebierał w towarzystwie, poufalił się łatwo z ludźmi niższego stanu, i chętnie zaglądał nawet do niechlujnych chat wieśniaków ¹⁾. W tej chęci zjednywania serc, zobowiązania dla siebie ludzi, było zapewne źródło nadzwyczajnej szczodrobliwości, o której wszyscy współcześni świadkowie mówią z naciskiem, jedni jako o zalecie, drudzy jako o głównej wadzie króla. W istocie, nie lubiał ścisnąć mieszka i liczyć się z groszem, ale jeśli pieniądze wydawał łatwo i prędko, to częściej na rzecz innych, niż dla własnej przyjemności. W hojności posuwał się owszem tak daleko, że sam na tem nieraz cierpiał, bo pozbawiał się niekiedy po prostu ostatnich zapasów, jakie miał w prywatnej szkatule. Pozwalał się wyzyskiwać — świadomie, a nigdy nie brakło takich, co ze sposobności wzbogacenia się jego kosztem potrafili korzystać. Było zatem w tej rozrzutności coś bezinteresownego i poczciwego: rozdawał, co mógł, bo nie miał serca nikomu odmawiać ²⁾.

Ta naturalna dobroć, to dopiero jedna strona natury Władysława IV. Tajemnica sympatyj, jaką żywili ku niemu wszyscy, co go bliżej poznali, miała i inne źródła. Zjednywał sobie nawet umysły wyższe, mające bardziej wygórowane wymagania, bo sam był umysłem wyższym, posiadał liczne, wybitne zdolności, które go wynosiły wysoko po-nad tłum przeciętnych ludzi. Intelligencją przewyższał z pewnością ojca i braci, i pod tym względem wśród królów elekcyjnych stał odeń wyżej może jedyny Batory; Sobieski, ani nawet Poniatowski pewnie mu nie dorównywał. Umysł jego bystry, rzutki, jasno rzeczy widzący i łatwo orientujący się w każdej sytuacji, nie zasklepiął się w żadnej jednostronności, lecz obejmował szersze widnokreśli. Nie było prawie żadnej dostępnej dziedziny w zakresie obowiązków królewskich zarówno, jak w zakresie literatury, sztuki i nauki, do której-by wzrok jego spojrzeniem znawcy nie sięgał. Jako monarcha, był równie biegłym statystą i dyplomata, jak wodzem i strategikiem. Poświadczyć mu można, że sam rządził Rzeczpospolitą, sam był poniekąd swoim kancle rzem, podskarbin i hetmanem. Nie ulegał nigdy do tego stopnia cudzym wpływom, jak Jan Kazimierz łała komu, lub Sobieski Marysienice; żadna z żon jego nie zdobyła sobie przy nim tego stanowiska, iżby ją wolno było uważać za współrządczynię. Nawet Ludwika Marya, ta zręczna i przebiegła kobieta, która później uczyniła z Jana Kazimierza

¹⁾ Tamże, str. 193 i 196.

²⁾ Tamże, str. 190 — 1. Por. relacyę posła weneckiego Tiepolo z 1647 roku (Ehrenberg: Urk. und Actenst. zur Gesch. der Prov. Posen) str. 464. Nadto relacyi Sparrego z r. 1645 (Dod. do „Czasu,” tom VII z r. 1857, str. 360 — 1).

powolne dla siebie narzędzie, nie wzięła nad nim przewagi, owszem umiał on od początku narzucać jej swoją wolę, i zniwalał ją niekiedy do ustępstw, wprost sprzecznych z jej osobistemi życzeniami ¹⁾. Ossolińskiemu nie udało się także wznieść do stanowiska wszechwładnego ministra; czuć było to zawsze w ich stosunku wzajemnym, że król stoi po nad kanclerzem, i kanclerz na króla ciągle się ogląda. Jedyny Adam Kazanowski zdołał sobie zaskarbić u Władysława wpływy, które przekraczały zwyczajną miarę, ale też rzadko sięgały po-za obręb spraw prywatnych, lub drugorzędnych. Król ten nadawał, bądźco bądź, kierunek całej polityce zagranicznej, niekiedy nawet wbrew woli całego narodu, jak naprzykład w stosunku do Turcyi w latach 1645-ym po 8-ny; a podobnież i w zakresie rządów wewnętrznych znać wybitne piętno jego indywidualnych zapatrywań i dążności na wielu sprawach, zwłaszcza na całym układzie stosunków wyznaniowych między rokiem 1630 a 1648. Visconti świadczy, że Władysław sam czytywał wszystkie ważniejsze pisma, odnoszące się do spraw publicznych, i sam z nadzwyczajną łatwością na nie odpisywał. „Bystry w przenikaniu i osądzaniu na pierwszy rzut oka charakteru osób, z któremi miał do czynienia, umiał zastosować się do nich i trafiać do ich przekonania” ²⁾. Szczególnie dobrze znał się na rzeczach wojskowych: podczas wojny smoleńskiej sam nieraz stawał na czele wojska, lub osobiście kierował robotami inżynierskimi. Moskorzewski, którego znakomity dyaryusz tej wojny niedawno okazał się w druku, wyraża się o królu z podziwem i zapałem ³⁾. W młodszych latach posiadać miał Władysław nadto nadzwyczajną łatwość pracy: przerzucał się swobodnie od spoczynku do ruchu, od rozrywki do działania. „W każdej chwili gotów jest zasiąść do roboty (sposztrzeżenie Viscontego), nawet w godzinach, które inni na spoczynek przeznaczają. Mając wyjść, lub wyjechać, nie uważa na to, czy pogoda, czy słońce, czy ma, czy nie ma kogo do posługi w podróży. Zaraz po obiedzie jedzie na polowanie, i nie ma wstrętu wstępować do chat wieśniaków... albo też wraca do sądzenia spraw, lub się zajmuje innemi interesami publicznymi, w czem wszystkim tak jest pilnym i niez mordowanym, że słusznie porównać-by go można z owym wielkim Demetryuszem, synem Antygona, który, ile był niewolnikiem rozkoszy, tyle umiał nad niemi panować, gdy był zajęty

¹⁾ Tak np. mimo że Ludwika Marya była przeciwniczką projektu wojny tureckiej i z natury bardzo oszczędną, uzyskał od niej w r. 1646 w formie pożyczki sumę przeszło pół miliona złp. na cele tej wojny.

²⁾ Rel. Viscontego, str. 190.

³⁾ Wydawnictwo Biblioteki Krasiańskich, t. XIII.

sprawami wojny lub pokoju¹⁾. Później, co prawda, ze wzrostem otyłości i przy coraz częstszych nawrotach reumatycznych cierpień, stawał się coraz bardziej ociężałym, ale jeszcze w ostatnich latach życia zastanawiała w nim wielu świadków naocznych gorączkowa ruchliwość, z jaką pracował nad urzeczywistnieniem planów wojny tureckiej.

Posiadał także niepoślednie wykształcenie. Władał językami: łacińskim, niemieckim i włoskim tak dobrze, jak swoim. „Podróżując po cudzych krajach, porównyując rzeczy obce ze swojskimi, wydoskonalil swe przyrodzone zdolności, wzbogacił umysł wiadomościami o każdym przedmiocie, przez co pięknie odbija od stopnia oświecenia swego kraju i królów swoich poprzedników”²⁾. W istocie, interesował się zawsze żywo rzeczami literatury i sztuki; czytywał dużo, chętnie obcował z artystami i uczonymi i lubiał się nimi otaczać. Znanem jest jego zamiłowanie w muzyce i sztuce teatralnej; i nie tylko zamiłowanie, ale prawdziwe, wykwintne znanstwo. Wszak on-to pierwszy utworzył stałą trupę operową na swoim dworze, a orkiestra jego uchodziła za jedną z najlepszych w Europie. Maciej Sarbiewski był jego nadwornym kaznodzieją i cieszył się jego szczególnymi względami (wiadomo, że wdzięczny poeta poświęcił Władysławowi kilka pochwalnych poematów, a w „Silviludiach” uświetnił myśliwstwo królewskie). Wiemy skądinąd, że król utrzymywał stosunki z wielu literatami i artystami obcymi. Pobudzał czynność rytowników Baera i Hondiusa zamówieniami. Korespondował z Galileuszem; poetę i historyka Jana Ciampolego zachęcał do napisania dzieła o Polsce i o własnych rządach, i dostarczał mu przez parę lat materiałów do ich opracowania. Feldmanowski wymienia kilkanaście nazwisk pisarzy włoskich, którzy już to w poematach, już też w dziełach historycznych sławili imię króla. O Waleryan Magni, zakonnik, dyplomata, fizyk i astronom w jednej osobie, przebywał długie lata na dworze królewskim i informował Władysława o postępach nauk ścisłych; przezeń i przez dwór warszawski rozpowszechniła się w Polsce pierwsza wiadomość o barometrze³⁾. Szczegółami tych stosunków zajmiemy się później; wszystkie one składają się razem na najpochlebniejsze świadectwo o wszechstronności umysłu króla i o jego działalności, jako mecenas sztuk pięknych i umiejętności.

¹⁾ Rel. Viscontego, str. 196.

²⁾ Tamże, str. 191 — 2.

³⁾ Por. artykuł Hieronima Feldmanowskiego p. t.: „Władysław IV, stosunki literackie i naukowe z Włochami (w czasopiśmie: „Biblioteka Ossolińskich.” tom XI, str. 144 — 192).

Uchodzić za takiego mecenasa, to była jedna z ambicyi Władysława IV; jedna z ambicyi, bo miał ich więcej i sięgających daleko wyżej. Miał ambycję, aby się okazywać królem w każdym calu; co więcej, aby zrównać się w mierze z największymi monarchami świata. Rzecz to stwierdzona, że dążył do skupienia na swojej głowie koron polskiej, szwedzkiej i moskiewskiej, że marzył nawet o władzy cesarskiej. Był chciwym sławy wielkiego wojownika i zdobywcy; rola pogromcy mahometanizmu i oswobodziciela chrześcijan i Grobu św. z rąk niewiernych uśmiechała mu się całe życie ¹⁾. Słowem, powtarzamy, pojmował swoje posłannictwo królewskie tak szczytnie, jak żaden inny z królów elekcyjnych prócz Batorego, i był w nim z pewnością materiałem na monarchę, godnego i zdolnego królować naprawdę, a nie figurować na tronie, jak na to bywał skazanym najczęściej w ówczesnej Rzeczypospolitej...

W relacjach świadków współczesnych nie brak, obok słów uznania, także i zarzutów; ale jest ich wogóle niewiele, i najmniej zwłaszcza ważnych i uzasadnionych. Najsurowszy, jaki mu czyniono, to zarzut rozrzutności ²⁾. Zarzut ten rozważymy później osobno, tu tylko wspominając, że usprawiedliwiało go już dawniej wielu, i że my mamy niejedno do powiedzenia w tym samym duchu. Obwiniano Władysława IV także o upór i zaciętość. Wytykał mu te przywary zarówno pobłażliwy Visconti, jak w dziesięć lat później złośliwy nieco de Bregy ³⁾. Miał się król dąsać, gdy się mu kto sprzeciwiał, i niechętnie odstępować od swego zdania. Zarzut to, który najczęściej spotyka ludzi prawdziwie zdolnych i wyjątkowych, od tych, co ich zdolnościami i wiedzą nie dorastają. Trudno niesłychanie położyć granicę, gdzie kończy się pewność siebie, stałość przekonań i przeświadczenie rzetelne o prawdzie, a gdzie się zaczyna zarozumiałość, uprzedzenie i zbyt ślepe ufanie we własne siły i wiadomości. Za mało znamy szczegółów z prywatnego życia króla, abyśmy potrafili stwierdzić, czy i o ile w nich rzekomy jego upór przebierał miarę słuszności; wiemy natomiast o kilku sprawach publicznej natury, przy których stawał bardzo upornie, ale wiemy zarazem, że stawał przy nich dlatego, ponieważ wierzył głęboko w ich zbawienną dla Rzeczypospolitej doniosłość. Jeszcze bardziej błahemi i mniej uzasadnionemi są inne zarzuty, jak zarzut po-

¹⁾ Por. pierwszy rozdział mego dzieła o „Planach wojny tureckiej Władysława IV.”

²⁾ Porównaj przytoczono wyżej relacje Viscontiego, Sparrego i Tiepoli.

³⁾ Rel. Viscontiego, str. 1b1. Por. deposes do Brègy'ego, posła francuskiego, z 29 marca 1647 i 17 kwietnia 1648. (W toce Lukasa, własności biblioteki Ossolińskich we Lwowie, t. III, k. 230).

rywczności w gniewie, zbyt łatwego poufalenia się z podwładnymi, lub wreszcie rozwiązłego życia. Cięższym o wiele był-by zarzut, jaki przeciw niemu mogła-by podnieść historia: że żadnego właściwie z wielkich planów swego życia nie zdołał urzeczywistnić, w czyn zamienić. Ale czy więcej sam temu był winien ze swojemi rzekomemi wadami, czy więcej zawinili inni? Czy nie zwicznęły tych przedsięwzięć trudności, silniejsze i bardziej niezłomne, niż hart i siła genialnego nawet człowieka? Oto pytania, które ciągle się nasuwają dziejopisom przy rozważaniu życia tego szczególnie króla, i na które dotąd wszyscy prawie dawali odpowiedzi, przyjaźniejsze osobie Władysława IV, niż jego przeciwnikom i przeciwnościom. I w tej przemocy nieszczęśliwych warunków królowania, przeszkód i trudności, spiętrzonych na drodze życia, należy dopatrywać się przyczyn tej melancholii, o której mówiliśmy, że była na dnie duszy Władysława IV. Uderzyła ona baczego obserwatora, Viscontego, w człowieka, żywym zresztą z usposobienia, towarzyskim i rozmownym. Zastanawiając się nad tem, dlaczego król często poszukiwał towarzystwa po-za dworem, w niższych sferach społeczeństwa, albo też wprost uciekał od ludzi w ustronia leśne, nie umiał sobie nuncyusz wytłómaczyć tych upodobań inaczej, jak następującem przypuszczeniem: „Może nawet szuka przez to ulgi dla skołataney myśli i roztargnienia w tym smutku głębokim, jaki często obarcza umysły wyższego rzędu, nie mogące wynurzyć swych uczuć..“ „Wracając do teraźniejszego króla,” — dodawał w konkluzyi swojej relacyi — „powtórzę jeszcze, że ma interesa swego domu na głowie, i jeżeli się nie mylę, rozległe inne zamiary. Ma on i głowę po temu, lecz że mu brakuje pomocy, która kształci pomysły, i że nie każdy zdolny wykonać, co sam pomyślał, nie dziw, jeżeli dla braku rady i doradców zamysły jego albo w nim są ukryte, albo nie przychodzą do skutku, i że te, obarczając jego umysł, sprawiają czasem tę melancholiją, o której wyżej wspominałem” ¹⁾.

Przyczyn tej melancholii trzeba więc szukać raczej w czynnikach, leżących po-za królem, a nie w nim samym. Jeśli były jakie i w nim samym, to także więcej przypadkowe, zewnętrzne, a nie wynikające z braków osobistych, z poczucia własnej nieudolności, czy też niedostatku sił duchowych. Miał w późniejszych latach życia w istocie przez pół związane ręce i nogi, ale nie z powodu moralnego niedołęstwa, lecz wskutek słabości ciała. Ten dobrze zbudowany, tegi człowiek, był chorowitym.

¹⁾ Rel. Viscontego, str. 193 — 221.

W pełni męskiego wieku, między 30-tym a 35-tym rokiem życia, zaczął zapadać na zdrowiu, i zapadał odtąd coraz częściej przez lat kilkanaście: ta sama choroba, która wystąpiła dosyć groźnie już na trzy lata przed wstąpieniem na tron Władysława, zaprowadziła go w roku 1648 do grobu. Trzeba-by na to biegłego lekarza, aby, na podstawie licznych wprawdzie, ale dosyć sprzecznych między sobą, wzmianek w źródłach, dojść i wyjaśnić dokładnie, na czym polegała ta choroba; my umiemy powiedzieć tyle, że składały się na nią głównie cierpienia reumatyczne, rodzaj chronicznej podagry, i nadto dolegliwości, powodowane tworzeniem się tak zwanego kamienia.

Kobierzycki wspomina o złym stanie zdrowia królewicza po raz pierwszy pod rokiem 1631; już wtedy zmuszonym się widział Władysław do szukania ulgi w kąpielach czeskich, i to mianowicie w ciepłociach egerskich ¹⁾. Kuracya przyniosła tylko doczesne, krótkotrwałe polepszenie, bo od chwili elekcji król nie miał prawie ani jednego całego roku spokojnego, wolnego od cierpień, a miewał natomiast lata, w których całe miesiące zjadała mu uporeczywa choroba, trzymając go przykutego do łóżka, lub krzesła, z obezwładnioną na poły raz nogą, to znowu ręką. Z maja roku 1633 i października roku 1634 mamy tylko jednorazowe wiadomości o atakach podagry ²⁾; z roku 1636 są już wiadomości kilkakrotne z różnych miesięcy. W lutym nie trwają wprawdzie cierpienia długo, ale w lecie nękają króla przez większą część lipca i sierpnia ³⁾. W ostatnich dniach lipca miał chory chwile tak ciężkich bólów, że „wołaniem i stękanieniem pokoje napelniał” i nawet, 30-go wzywał do siebie spowiednika, myśląc, że zbliża się koniec ⁴⁾. I w następnym roku nie minęły go w listopadzie też same przejścia; w maju roku 1638 dokuczyły one Władysławowi do tego stopnia, że po raz drugi uznał za konieczne wyjechać z kraju dla ratowania zdro-

¹⁾ Kobierzycki: „Historia Vladislai Principis,” str. 933 — 4.

²⁾ Radziwiłła Albrechta „Memoriale” (używam stale oryginalnego, łacińskiego tekstu Pamiętników, zachowanego w rękopisie krakowskiej bibl. Czartoryskich nr. 2,356, w stanie niezupełnym, i w zupełniejszym odpisie w bibl. Ossolińskich we Lwowie, rękop. nr. 116 i 117), por. rel. z maja r. 1633 i z października 1634. (Przytaczam nie stronicę rękopisów, lecz ustępy wedle dat, gdyż „Memoriale” ma układ dyaryusza, a cytaty dat ułatwiają odnalezienie odpowiednich ustępów w dostępnym dla wszystkich, bo wydany drukiem, przekładzie Pamiętników).

³⁾ „Memoriale,” ustępy z wymienionych wyżej miesięcy.

⁴⁾ Deposza nuncjusza Filonardego z 8 sierpnia 1636 r. (Oryg. w archiwum watykańskim: Nunziata di Polonia, t. 47. Odpisy deposesz nuncjuszów, na które się będą powoływał, znajdują się w archiwum krakowskiej Akademii umiejętności, w oddziale t. zw. naukowej ekspedycyi rzymskiej).

wia w zagranicznych kąpielach. Od 2 września do 9 października leczył się w cieplicach badeńskich; ale i tym razem nie wyleczył się gruntownie ¹⁾. W parę miesięcy po powrocie z Badenii, widziiny go znowu złożonego chorobą; cały prawie czerwiec przeleżał w łóżku, w Mereczu. Nierównie więcej nacierpiał się w roku 1640. Od stycznia do listopada nie było prawie miesiąca, żeby go nie nawiedziła chroniczna niemoc ¹⁾. W maju reumatyzm nie dolegał już samym tylko kończynom, lecz „teraz — jak pisał świadek naoczny, nuncyusz Filonardi ²⁾ — przekracza już wszelkie granice, rozchodząc się po całym ciele, począwszy od szyi i ramion, i trzyma króla w bezwładności od dziecięciu tygodni, pozbawiając go snu na całe noce, i sprawiając nadto takie bóleści, że samo opowiadanie o tem budzi politowanie..” Nie pomogli lekarze przyboczni i nie pomógł Niemiec Kraus, przystany z dworu cesarskiego; jakiś Szwed, chemik, któremu król oddał się w kuracyę z całym zaufaniem w drugiej połowie roku 1640, i trzymał go przy sobie przez lat parę, sprowadzał tylko chwilową ulgę w atakach cierpien tajemniczym płynem, którego składu wyjaśnić nie chciał ³⁾. W relacyach z roku 1641 przedstawia Filonardi Władysława, jako przesiadującego ustawicznie na krześle, z lewą nogą obandażowaną wielkim kawałem płótna, i odzianą w wielki futrzany trzewik, co wszystko razem miało powiększać na pozór rozmiary tej nogi do poczwórnej objętości ⁴⁾. Odtąd zdarzało się wprawdzie, że król mógł, w czasach wolnych od bóleści, chodzić po pokojach o własnych siłach i jeździć na koniu bez wielkich trudności; ale po schodach trzeba go było wnosić i znosić zawsze na krześle. Rok 1641 był stosunkowo dosyć dobry, ale pod jego koniec zdrowie królewskie znowu się popsuło. Miesiące zimowe i wiosenne następnych dwóch lat zapisały się bóleśnie w pamięci króla; natomiast czas do połowy roku 1643 do końca roku 1644 mógł uchodzić za bardzo szczęśliwy, bo w ciągu tych kilku-

¹⁾ Radziwiłła „Memoriule”: 1637 Novembris, 1638 Aprilis, Majus, September etc. Por. nadto w wydanych przez Raczyńskiego relacyach p. t.: „Dwie podróże Jakóba Sobieskiego” (Poznań, 1853), opis podróży Władysława IV do Badenii i jego pobytu tamże w r. 1638, na str. 199 — 227.

²⁾ Radziwiłła „Memoriale” w ustępach z wymienionych wyżej miesięcy. 1635 i 1640.

³⁾ Depesza nuncjusza z datą: „Di Varsavin, li 5 di Maggio 1640” (Arch. watyk. Nunz. di Polonia, t. 50).

⁴⁾ Por. depesze nuncjusza Filonardego z 8 września, 24 listopada i 8 grudnia 1640, z 12 stycznia, 11 maja i 5 października r. 1641 i jeszcze z 16 maja r. 1643, wszystkie pisane z Warszawy (Arch. watyk. Nunz. di Pol., t. 50 i 51).

⁵⁾ Por. depesze nuncjusza z 12 stycznia i 15 października r. 1641. (Nunz. di Polonia, t. 50 i 51).

nastu miesięcy zaszło i utrzymywało się tak znaczne polepszenie, że nawet często używane rozrywki myśliwskie żadnych prawie przerw przymusowych nie doznawały ¹⁾. Ale też był to już ostatni tak długi okres dobrego względnie stanu zdrowia. W roku 1645 ataki podagryczne ponawiały się w różnych czasach trzykrotnie; w grudniu stały się tak uporczywemi, że przykuły chorego na trzy blisko miesiące do łóża. Przerwa następna trwała pół roku i skończyła się w jesieni. Listopad roku 1646 dał się z dwojakich przyczyn we znaki Władysławowi: pamiętny sejm inkwizycyjny narażał go na moralne cierpienia, a boleści reumatyczne nękały współcześnie ciało. I następny sejm, z maja roku 1647, przypadł właśnie w czasie, kiedy ze zdrowiem króla było niedobrze; musiano go wnosić do Izby poselskiej na łóżku. Następne lato i jesień, to były ostatnie dwie pory roku, w których Władysław mógł używać rozrywek myśliwskich dłużej bez żadnych przeszkód fizycznych. Najbliższa zima przyniosła nowy, tym razem bardzo ciężki, nawrót choroby. Podniósł się z niej król na to tylko, aby się raz jeszcze nacieszyć ukochaną Litwą; lecz wysiłki podróży i łowów w puszczach litewskich dobiły go ostatecznie. Dnia 20 maja roku 1648 uległ nurtującej oddawna ciału słabości w ulubionem zaciszu Merecza ²⁾.

Nie bez powodu rozwiędliśmy się tak szeroko nad przebiegiem chorób, jakie przebył Władysław IV w czasach swego królowania. W ocenie działalności tego monarchy za mało dotąd brało się w rachubę te fizyczne przeszkody, które przecież musiały niesłychanie utrudniać jednostajną czynność w jakimkolwiek z góry wytkniętym kierunku, musiały rozdrażniać i rozstrajać jego siłę, ale wrażliwą organizację duchową; w przeszkodach tych, niezawisłych od osoby króla, należy też szukać części przyczyn niepowodzenia lub też zaniedbania wielu jego politycznych i prywatnych przedsięwzięć.

Usiłowano, co prawda, i te przeszkody złożyć na karb ujemnych właściwości charakteru i usposobienia Władysława, dowodząc, że sam zdrowie swoje na szwank naraził -- rozwiązał życiem i lekceważeniem przepisów higieny. „O jego obyczajach różnie mówią — pisał

¹⁾ Porównaj cały rocznik 1641 w „Memoriale” Radziwiłła; w roczniku z roku 1642 głównie ustępy z 17 i 28 lutego, z r. 1643 ustępy z 28 — 31 marca i z 6 kwietnia. Nadto, oprócz przytoczonych wyżej, depesze Filonardego z 21 grudnia 1641, 4 i 18 stycznia, 22 lutego i 15 marca 1642 i z 16 maja r. 1643 (Nunz. di Polonia, t. 51).

²⁾ Co do całego przebiegu choroby króla, począwszy od r. 1645, por. ustępy z wymienionych powyżej lat i miesięcy w „Memoriale” Radziwiłła. Nadto obszerną relację p. t.: „Opis zgonu króla” w Michałowskiemu Księdze pamiątkowej, na str. 10 — 16.

nawet przyjaźnie dla króla usposobiony Vissonti ³⁾ — do czego podobno on sam dał powód, zbaczając czasem z drogi regularnego życia. „Lubiąc nadewszystko swobodne życie, nie cierpiąc w niczem przymusu, ściągnął na siebie podejrzenie zbytecznego może zamilowania tych przyjemności, które zmysłowemi zowią, a dla których niegdyś sam Jowisz zstępował z wysokości Olimpu na padół ziemski pod postaciami mniej godnemi ojca bogów i ludzi” ⁴⁾. Daleko jeszcze bezwzględniej powtórzył ten sam zarzut w dziesięć lat później nieznany autor relacyi o bytności posła szwedzkiego Sparrego w Warszawie, twierdząc bez ogródki, że król „najwięcej rozrzuca na nierządnicę” ⁵⁾. Tylko trzeba zaraz zauważyć, że ten sam autor w tym samym ustępie popada poniekąd w sprzeczność z sobą, gdy przyznaje, że Władysław IV „ani licznego nie ma dworu, ani na życie wiele nie wydaje, owszem, w tem bardzo umiarkowanie sobie postępuje,” i trzeba przypomnieć sobie to, już wyżej przytoczone, a zastosowane przez Viscontego, przyrównanie króla do Demetriusza, syna Antygona, „który ile był niewolnikiem rozkoszy w chwilach swobodnych, tyle umiał nad nimi panować, gdy był zajęty sprawami wojny lub pokoju.” W istocie, jakiegokolwiek były zasady moralne Władysława IV i jakiegokolwiek jego stosunki z kobietami, to pewna, że rozrywki zmysłowe, miłostki, traktował on zawsze jako powszednie, drugorzędne sprawy życia, i nigdy nie ulegał im do tego stopnia, iżby się miał im kiedy oddawać wyłącznie. Podczas gdy taki Ludwik XIV, o XV-tym już nie mówiąc, nie umiał się opierać wdziękom kobiet do tego stopnia, że kilka z nich trzymało faktycznie przez czas niejaki ster rządów nad Francją w swoich rękach, to przy boku Władysława IV żadna kobieta nie zdobyła sobie nigdy wpływu, który-by ją wysuwał na plan pierwszy — przed osobą króla. Co więcej, gdy rozpatrzymy się szczegółowo we wszystkich wiadomościach, jakie się zachowały o życiu prywatnem tego obwinianego o rozwiązłość człowieka, spostrzeżemy ze zdziwieniem, że właściwie jest w tych obwinieniach więcej gołosłownych domysłów, aniżeli pewności, opartej na realnych podstawach faktów. W całym materiale biograficznym nie udało nam się znaleźć więcej nad dwie wzmianki, objaśniające tę stronę życia królewskiego. Z testamentu mianowicie Jana Kazimierza dowiadujemy się, że w roku 1672 był jakiś hrabia de Varenault, który był synem naturalnym Władysława ⁴⁾,

¹⁾ Relacya, str. 191 — 2.

²⁾ Tamże, str. 192 — 3.

³⁾ Dodatek do „Czasu,” t. VII z r. 1857, str. 361.

⁴⁾ Por. w moim artykule o „Ostatnich latach życia Jana Kazimierza” (w tomie szkiców: „Z czasów J. Kaz.”, wstęp na str. 277.

i nadto, że około roku 1645 podejrzewano jedną z panien dworną zmarłą w roku 1644 Cecylii Renaty, Niemkę d'Eckemberg, o utrzymywanie stosunku miłosnego z królem, i że o tę damę była nawet zazdrosna druga żona Władysława, Ludwika Marya ¹⁾. Dodajmy jednak zaraz, że kanclerz litewski, Albrecht Radziwiłł, uważał tego rodzaju podejrzania za bezpodstawne, i że wnet po przybyciu Ludwika Maryi do Polski, została niesympatyczna dla niej Niemka usunięta z dworu i wydana za mąż za księcia Michała Czartoryskiego, starostę krzemienieckiego ²⁾. Oto i wszystko, co uniemy obecnie powiedzieć na świadectwo o rzekomej rozwiązłości króla. Ale możemy przytem powiedzieć, że jeżeli panna d'Eckemberg była w istocie kochanicą Władysława, to z pewnością wpływ jej nie sięgał poza prywatne jego apartamenty. Do roli takiej, jaką naprzykład grała przy boku Jana Kazimierza pani Denhofowa, nie udało się jej podnieść nigdy: nie znać bowiem ani śladu podobnej władzy kobiecej we współczesnych dziejach politycznych. A w tem jest jeden dowód więcej, że Władysław IV był człowiekiem niezwyklej miary, że miał władzę nad innymi, ale nikt po prawdzie nie potrafił zapanować wszechwładnie nad nim samym. W człowieku nieudolnym, o lichym charakterze, taka niezawistość wobec cudzych wpływów była-by może nieszczęściem; w człowieku tak szlachetnym, zdolnym i rozumnym, jak on, wolno ją uważać za jedną więcej zaletę.

Nie znaczy to, abyśmy usprawiedliwiali same nadużycia, pochodzące z cielesnych popędów, jeżeli się do nich kiedykolwiek posuwał Władysław. Owszem, jest to dosyć widocznem, że krwista jego konstytucya i gorączkowa, bujna natura nie znosiła hamulców, a więc zasadami umiarkowania nie dawała się zbytnio kępować. Władysław IV lubił huczne zabawy i ucztę, i przy ucztach nie rachował wypitych kielichów; miał namiętne upodobanie w myśliwstwie, i dla rozrywek łowieckich nigdy nie brakowało mu czasu; lubiał taniec, i przy tańcu zapominał o tem, że zbyt ożywiony ruch i zanadto silne rozgrzanie ciała sprowadzić mogło nowy atak podagrycznych cierpień.

¹⁾ Por. ustęp na str. 41 — 2 w dziele Waliszewskiego p. t.: „Polsko-francuskie stosunki.” Nadto w „Memoriale” Radziwiłła ustępy z datami: „1645 October” i „1646 Junius.”

²⁾ Por. przytoczone w poprzednim przypisku ustępy w „Memoriale” Radziwiłła. W pierwszym z nich wyraża się Radziwiłł o pannie d'Eckemberg temi słowy: „Fuit illa in gratia Reginae et Regis, ideo a morte (Ceciliae Renatae) apud Principem filium Regis manserat: hinc variae, reversa autem falsae hominum opiniones. Rex ergo cupiebat, ut principi alicui eam elocaret...” W drugim ustępie jest właśnie mowa o ślubie panny E. z księciem Czartoryskim.

Tryb jego życia był w ogóle dosyć ekscentrycznym. „Z zadziwieniem dodać muszę — opowiada Visconti ¹⁾ — że od wielu lat król inaczej nie jada, jeno w łóżku, czyli raczej nie wstaje z łóżka, aż po obiedzie, do czego tak przywykł, że nie mógł pozbyć się tego nałogu, lub potrzeby wtenczas nawet, kiedy Polacy uważali w tem przeszkodę do osiągnięcia tronu. Mówią także, że w czasie ostatniej wojny pod Smoleńskiem, gdzie sam ważniejszymi kierował obrotami, gdy zmęczony po bezsennie przepędzonej nocy, lub zaledwie trochę przespawszy się w powozie, mógł powrócić do namiotu na obiad, żadnej nie wziął do ust potrawy, póki go nie rozebrano i w łóżku nie położono.” „Jada bardzo mało zrana; ale za to więcej sobie pozwala na wieczerzę, zawsze jednak w granicach umiarkowania; a gdy jest sam, prędko się uwinie i wstaje zaraz od stołu. Mało także sypia, kładąc się późno za zwyczaj, a zrana dość wczesnie w łóżku różne sprawy załatwiać poczyna.” Visconti, jak widzimy, przypisuje królowi nawet przymiot wstrzemięźliwości; innego jednak cokolwiek zdania był Albrecht Raddiwill, świadek życia królewskiego po ostatnią jego chwilę. W Pamiętniku kanclerza litewskiego dosyć dużo jest wzmianek o udziale Władysława IV w sutych ucztach, libacyach i tańcach, i o tem, że król niekiedy folgował sobie zanadto ²⁾. Nie słyhać, co prawda, o tem, żeby kiedy godność monarszą naraził na pośmiewisko. A gdy się nadto rozważy, w jakich czasach żył Władysław, jakie były obyczaje ówczesnych Polaków, jakie obyczaje zresztą dworów i wyższych sfer społecznych w całej Europie XVII wieku, to wszystkie wyżej wyliczone i wogóle mało znaczące zarzuty powinny znaleźć jeszcze bardziej w oczach nieuprzedzonych sędziów. Władysław IV dostrajał się upodobaniami swemi poniekąd do społeczeństwa, w którym mu działać wypadło; ale też z drugiej strony pod niejednym względem otoczenie swoje przerastał. Światło, które bije od jasnych stron jego charakteru, rzuca pogodny odblask i na ciemniejsze strony, i zdaje się, jakby urok, który padał od tej sympatycznej postaci na współczesnych ludzi, zdobywał królowi jeszcze z za grobu serca potomnych...

Jeśli Władysław wyrobił się na człowieka, imponującego osobistemi zaletami i wiedzą więcej, niż majestatem królewskim, to może skutek tej szczęśliwej okoliczności, że na tron dostał się już w dojrza-

¹⁾ Relacya, str. 195 — 6.

²⁾ Memoriale, ustępy z lutego 1640, z grudnia 1641, z marca 1642, z października 1643 i t. d. Por. nadto w Kobierzyckiego dziele: „Historia Vladislai Principis,” ustęp na str. 333 — 4, i wreszcie depezę nunc. Filonardego z 5 maja 1640, (Arch. wat. N. Pol. 50).

łym wieku, że mógł długo korzystać z opieki ojcowskiej i używać też długo swobody, nie skrępowanej więzami zbyt licznych i ciężkich obowiązków.

Urodzony 9 czerwca roku 1595, matkę Annę z domu austriackich Habsburgów stracił, co prawda, wcześniej, bo już w trzecim roku życia; ale Zygmunt III otaczał go zawsze najgorętszą miłością. Z dziejów dzieciństwa i młodości Władysława zachowało się dosyć dużo szczegółów; wiadomo, że jeden ze świadków tych czasów poświęcił zyciorysowi królewicza osobne, obszernie dzieło ¹⁾. Wiemy nawet, jak się nazywała mamka Władysława. Była nią niejaka pani Forbes, zapewne Francuska, której syn dorosły jeszcze w roku 1630 korzystał z protekcji dostojnego brata mlecznego ²⁾.

Wychowywał się Władysław i kształcił pod nadzorem Michała Konarskiego, kasztelana gdańskiego; ochmistrem, a raczej guwernerem (i opiekunem był przy nim Zygmunt Kazanowski. „Ten nieodstępny towarzysz — powiada Kobierzycki ³⁾ — roztropny przewodnik młodocianego wieku, i przez wieloletnie wypróbowane służby spoufalony z królewiczem, wierny następnie strażnik godności i fortuny królewskiej, nie tylko widział Władysława ozdobionego królewską koroną, ale nawet w sędziwym wieku, pomny dawnej służebności, chodził z nim do Moskwy i stamtąd odprowadził tryumfującego do Warszawy, gdzie wnet życie zakończył.” (Umarł w roku 1634, wyniesiony do godności podkomorzego i uposażony starostwem soleckiem). Los związał więc Władysława już w dzieciństwie z domem Kazanowskich serdecznymi węzłami, które nie zerwały się nigdy po koniec życia króla. Obaj synowie Zygmunta, Stanisław i Adam, cieszyli się jego względami. Pierwszy był dworzaninem Władysława do roku 1618; w którym umarł; a miejsce jego zajął zaraz młodszy brat Adam, aby już nie odstępować swego pana, a zarazem protektora, i później nieledwie przyjaciela aż do grobowej deski ⁴⁾.

Samo nauczanie, kierowanie kształceniem Władysława miał sobie powierzone Gabryel Provancius-Władysławowski. Syn ziemi cheł-

¹⁾ Kobierzycki: Historia Vladislai Principis.

²⁾ W archiwum watykańskim (Nunz. di Pol., v 49), znajduje się list Władysława do kardynała Barberiniego z datą: „Di Varsuvia li 3 di Luglio 1630,“ w którym królewicz, polecając kardynałowi niejakiego „Padre Forbes,“ dodaje: „per esser egli figlio della nostra nutrice, forzati dà un certo obbligo naturale, l'abbiamo voluto accompagnar con la nostra intercessione...“

³⁾ Kobierzycki: Hist. Vlad. Princ., str. 16 — 17.

⁴⁾ Por. w Jerzego Ossolińskiego Autobiografii (wydawnictwie lwowskiej Biblioteki Ossolińskich, tom z rzędu III) ust. na str. 31 — 2 i 73.

mińskiej, Gabryel „Provancius” pochodził z ludu. Skończywszy studia w Akademii krakowskiej, zdolnościami swemi i wiedzą zwrócił na siebie uwagę sfer wyższych, i dzięki temu wydostał się na wybitne stanowisko. Zygmunt III obdarzył go szlachectwem za zgodą sejmu: nobilitowany, wyświęcony na księdza, a protegowany przez króla, nie potrzebował się troszczyć o dalszą swoją dolę, zwłaszcza gdy otrzymał zaszczytne wezwanie na dwór, wybrany na nauczyciela dla królewicza. Wówczas dopiero przybrał nazwisko Władysławskiego i został kanonikiem warszawskim; później przyjęto go także w zastęp kanoników chełmińskich ¹⁾. Człowiek, który urósł samopomocą, musiał być doskonałym kierownikiem; jemu-to zapewne miał do zawdzięczenia Władysław, że nabył nie tylko gruntownej wiedzy, ale i głębszego zamiłowania do rzeczy literatury i sztuki. Kobierzycki zapewnia, że królewicz w istocie oddawał się naukom z zapałem i umiał sobie doskonale przyswajać. Ze szczególnem upodobaniem studyował historię; zawniósł także wcześniej trzema obcemi językami. Dla dopełnienia edukacji, wysłał go ojciec w roku 1624 w dłuższą podróż zagraniczną. W towarzystwie Krzysztofa Radziwiłła, kanclerza w. litewskiego, kilku innych senatorów i orszaku doświadczonych sług, zwiedził Władysław w ciągu roku znaczną część Niemiec, Niderlandów, Szwajcaryi i Włoch, unikając o ile możności ostentacyi i świetnych przyjęć, a starając się pod osłoną „incognita” wyciągnąć jak największy pożytek z pobytu w obcych krajach ²⁾. Podróż po Włoszech wzmocniła niezawodnie jego artystyczne upodobania, tam to musiało się rozwinąć zwłaszcza to wytworne znanstwo muzyki i sztuki dramatycznej, którem się po powrocie do kraju odznaczał. Z opowiadań Stefana Paca widać, że interesował się żywo przedstawieniami teatralnemi, jakie miał sposobność oglądać; przysłuchiwał się też z predylekcyą koncertom sławniejszych śpiewaczek. Na świetnych dworach włoskich książąt, miłośników i mecenasów sztuki jakby z urodzenia, z Bożej łaski, musiał też upatrzeć sobie wzory, które usiłował na późniejszym swoim stanowisku w Polsce w miarę środków naśladować.

¹⁾ Kobierzycki: *Historia*, str. 18 — 19. Co do Władysławskiego, nie umiemy wyjaśnić, jak właściwie brzmiało po polsku jego pierwotne rodzinne nazwisko, a raczej jaką formę miało w języku polskim nazwisko: „Provancius” (jeżeli i to nie był przybrany przez ucznia akademii „cognomen”), które nosił wedle Kobierzyckiego nauczyciel królewicza przed nobilitacją.

²⁾ Por: Stefana Paca: „*Obraz dworów europejskich*” (Wrocław, 1854), zawierający opis podróży królewicza. Nadto w Kobierzyckiego *Historji* ustęp na str. 864—907 i w dziele Wassenberga: „*Gestorum Vladislai IV pars prima*” (Gedani, 1641), ust. na str. 135 — 208.

Słowem, odebrał wykształcenie, godne tej roli, jaką chciał odegrać w Rzeczypospolitej, godne pojęcia, jakie sobie wytworzył o przyszłych królewskich zadaniach. Jak co do zdolności, tak co do nabytej wiedzy, stał wyżej od swego rodzeństwa. Ani Jan Kazimierz, ani rozsądniejszy i bardziej inteligentny Karol Ferdynand, ani najmłodszy Jan Albert i Aleksander, nie mogli się z nim równać pod żadnym względem. Wszyscy oni byli braćmi przyrodnymi, dziećmi drugiej żony Zygmunta III, Konstancyi. Z czworga dzieci pierwszej żony, Anny, troje wymarło w dzieciństwie; pozostał przy dłuższem życiu tylko jeden Władysław ¹⁾.

Dwóch ostatnich synów Konstancyi trudno zestawiać z Władysławem, gdyż żaden z nich nie doczekał nawet pełnoletności. Najmłodszy, Aleksander, zdawał się jeszcze najbardziej podobnym do najstarszego brata: przypominał go urodą i bystrością umysłu, ale przymiotów tych nie miał czasu rozwinąć, bo w dwudziestym roku życia uległ ospie (20 listopada 1634). Starszy, Jan Albert, dwudziestodwuletni, a już biskup krakowski i kardynał, zeszedł ze świata prawie równocześnie; zabiła go 22 grudnia tegoż roku taż sama choroba, co i Aleksandra, za pobytu w Padwie. O tym wiadomo, że zalecał się zawsze więcej dobrocią i łagodnością, aniżeli zdolnościami ²⁾.

Reszta natomiast rodzeństwa dotrzymywała Władysławowi towarzystwa w życiu do jego końca. Mówimy zarówno o braciach, Janie Kazimierz, młodszym o 13 lat z okładem od Władysława, i Karolu Ferdynandzie, młodszym od Jana Kazimierza o półpiąta roku, jako też o jedynej siostrze, Katarzynie Annie Konstancyi, urodzonej dnia 9 czerwca 1619, a więc w przeszło 24 lata po Władysławie.

Osobistość Jana Kazimierza jest już dziś dosyć dobrze znaną. Przy charakterze chwiejnym i kapryśnym, przy usposobieniu dziwnym i dziwnie drażliwym, była to inteligencya i zdolność dosyć wogóle mierna; braki te odbijały przy zaletach Władysława tem bardziej rażąco, że uło usunęło ich niezbyt staranne wychowanie. Wychowaniem bowiem dzieci z drugiego małżeństwa zajmowała się głównie Urszula Majerin, Niemka, ulubienica obojga królestwa, doskonała, rządną gospodyni i serdecznie przywiązana do domu, ale nie posiadająca odpowiedniego stanowisku i zadaniom swoim wykształcenia ³⁾. Jan Kazimierz od młodości chodził sobie, że tak powiemy, samopas —

¹⁾ Kobierzycki: Historia Vladislai Principis, str. 13 — 14.

²⁾ Relacya Viscontego, str. 211.

³⁾ Kobierzycki: Historia, str. 24.

i, jak wiadomo, nieraz narażał starszego brata na kłopoty i zmartwienia. Trzymał się wogóle dosyć zdaleka od królewskiego dworu, dużo podróżując, albo odbywając służbę wojskową za granicą, albo nawet przytrzymywany w obcych krajach przymusowo: bo jakiś czas bawił w Niemczech jako żołnierz, dłużej we Francyi, jako więzień, i wreszcie naprzód jako zakonnik, potem jako kardynał, we Włoszech. Mając więc mówić o życiu dworskiem za Władysława IV, nie będziemy się właściwie potrzebowali liczyć z osobą tego królewicza: częściej o wiele zdarzy się nam spotkać z młodszym, Karolem Ferdynadem, który wprawdzie także osobny dom prowadził i lubiał samotność, ale przynajmniej często w kraju przebywał i na dworze królewskim nie rzadko się pokazywał.

Karol Ferdynand obrał sobie zawód duchowny i został jeszcze przed dojściem do pełnoletności uposażony biskupstwem wrocławskiem, do którego przybyło mu później także i płockie. Wnosząc z relacyi Viscontego, był on co do usposobienia przeciwnieństwem Władysława. „Z powierzchowności i obejścia nie bardzo przyjemny — pisał o nim nuncyusz — ma cerę ciemną, wzrost wysoki, chuderlawy, niezmiernie z każdym cierpki i surowy, w gniewie tak dalece porywczy, że mu się nieraz zdarzyło uderzyć najprzywiązańszego do siebie sługę. Niewzruszony w swoich postanowieniach, zaciętszy od ojca; jeżeli mu kto wypadnie z łaski, niech się nie spodziewa więcej do niej powrócić, której z przyrodzenia skąpo bardzo udziela.” Znajdował Visconti także, że „rozum i nauki ma bardzo mierne,” a więc i co do intelligencji i wykształcenia nie dorównywał Władysławowi. Natomiast był oszczędnym i gospodarnym; prowadził dom skromny; uprawiał ze szczególnem upodobaniem tylko ogrodnictwo ¹⁾.

Siostra, Katarzyna, nie odznaczała się wdziękami ciała; miała płeć brzydką i była nawet trochę ułomną. Temperamentem przypominała najstarszych braci. „Zresztą, jest to królewna dobrze ułożona, roztropna, mająca wiele cnót i przymiotów, które jedną jej serce każdego, kto ma szczęście znać ją bliżej.” Władysław kochał ją serdecznie; znalazła także i męża, przystojnego i dobrego, w księciu najburskim, Filipie Wilhelmie. Weszła z nim w związki małżeńskie w roku 1642: przed tym czasem przebywała w Polsce, przeważnie na dworze braterskim. Z mężem nie było jej danem przeżyć całych lat dziewięciu: zesza ze świata w roku 1651 ²⁾.

¹⁾ Relacya Viscontego, str. 214 — 216.

²⁾ Tamże, str. 216 — 217.

Władysław IV wchodził, jak wiadomo, w związki małżeńskie dwukrotnie. Pierwszą jego żoną była Cecylia Renata, siostra cesarza Ferdynanda III, z którą żył od września roku 1637 do marca roku 1644 (śmierć królowej przypadła na 24-ty tego miesiąca). Kobieta uczciwa, pobożna, do męża przywiązana, była zresztą biernego usposobienia; nie zajęła też na dworze nigdy znaczącego stanowiska, nie wywierała, o ile wiadomo, żadnego poważniejszego wpływu na sprawy polityczne, ani nawet na sprawy domowe. Znany nam jest jedyny wypadek, świadczący, iż usiłowała niekiedy stawić opór woli królewskiej, ale i ta jedyna znana próba skończyła się jej przegraną ¹⁾. Król żywił dla niej, bądź co bądź, rzetelne przywiązanie, zwłaszcza od chwili, kiedy uszczęśliwiła go synem (w roku 1640) ²⁾. W dwa lata później wydała na świat jeszcze i córkę; ale ta w miesiąc później umarła, ochrzczona przytem imieniem Maryanny ³⁾.

Druga żona Władysława, Ludwika Marya de Nevers, wywodząca się z rodu Gonzagów, zaślubiona w marcu roku 1646, zbyt krótko towarzyszyła w życiu Władysławowi, aby miała czas ugruntować obok niego swoje samodzielne stanowisko na dworze. Okazało się później, że był w niej materyał na królowę w pełnem tego słowa znaczeniu, na prawdziwą rządzącość, jak ją nazywali współcześni. Ale przy boku Władysława IV nie zdołała zająć tak wielowładnej pozycyi, jaką zdołała sobie bez trudności przy boku Jana Kazimierza. W każdym razie jednak już i jako żona tamtego zdołała utorować drogę własnym wpływom na niektóre przynajmniej sprawy, co prawda, wpływom tak ograniczonym, że wobec nich przewaga woli męża nie wiele straciła na swej sile. To pewna, że Władysław widział się zniewolonym liczyć z życzeniami Ludwiki Maryi o wiele więcej, aniżeli z wolą pierwszej żony, i w stosunku do niej uciekać się częściej do prośb, niż do rozkazów.

Jedyny syn Władysława, urodzony 1 kwietnia roku 1640, otrzymał przy chrzcie imiona Zygmunta Kazimierza. Filonardi, który oglądał niemowlę w kolebce, zapewniał, że miało twarzyczkę przesliczną,

¹⁾ Chodziło o wybór marszałka dworu królowej. Władysław IV mianował nim wojewodę sioradzkiego Denhofa, niemiłego Cecylii Renacie. Gdy Denhof począł na rozkaz króla pełnić swoje obowiązki, królowa nie chciała go zrazu uznawać, mdlała, chorowała z rozdrażnienia; ale po kilku dniach uległa i Denhof ostał się na nowem stanowisku.

²⁾ Memoriale Radziwiłła: aprilis 1640.

³⁾ Memoriale Radziwiłła: Januarius 1642 (wiadomość o narodzinach królowny). Wiadomość o śmierci tejże w depeszy nuncjusza Filonardiego z datą: „Varsovia, 8 februario 1642. (Arch. watyk. Nunz. di Polonia, v. 49).

i ojca przypominało rysami jak najzupełniej ¹⁾. Władysław IV nie mógł się dosyć nacieszyć tym chłopakiem. Kiedy mu przyniesiono dziecko do łóżka, chociaż właśnie mocno cierpiący, zapomniał o boleściach i wołał z radością: „Witaj gościu nowy, gościu pożądany!” Spełniło się jego najżywsze pragnienie: w synu tym ukochał on nietylko jedynie dziecko, lecz także jakby wcielenie swoich najbardziej ulubionych marzeń o dziedzicznym tronie, o założeniu dynastji. Ale i w tym wypadku, jak w wielu innych, nie poszczęściło się królowi: nagła, krótka choroba zabrała mu już w r. 1647 (9 sierp.) jedynaka w ósmym r. jego dziecięctwa ²⁾. Władysław był nieutulonym w żalu, i kto wie, czy ta bolesna strata nie przyspieszyła jego własnego zgonu!

WIKTOR CZERMAK.

¹⁾ Por. depezę nunc. Filonardeggo z datą: „Varsovie, 12 Maggio 1640.“ (Arch. watyk. Nunz. di Polonia, v. 49).

²⁾ Memoriule Radziwiłła: ustępy z sierpnia i października r. 1647, i z lutego 1648.

Kronika rzymska.

Przemięły uroczystości weselne ślubu księcia Neapolu, następcy tronu włoskiego, z księżniczką Heleną czarnogóorską; znikły z ulic miasta festony, proporce, chorągwie, łuki illuminacyjne; miasto wróciło do dawnego spokoju, o ile na południu miasto może nazywać się spokojnem. Pomimo, iż wyjechali goście weselni i około stu tysięcy ludzi przybyłych z całego półwyspu, aby być świadkami pochodu ślubnego, uroczystości ludowych, Rzym sam z siebie dość jest hałaśliwym, Corso nadto gwarnem, aby ó spokojnu mogła być mowa. Zresztą, o tym czasie zjawiają się cudzoziemcy, wytwarzają nowe ożywienie, oni więc nadają ton stolicy, a wkrótce będziemy mieli i otwarcie parlamentu, i karnewał rzymski, którego tradycye mają być wskrzeszone, jeśli klęska narodowa, jak w roku zeszłym, pięknych projektów nie pokrzyżuje.

*

*

*

W Neapolu umarł profesor, senator, Ludwik Palmieri, najgłośniejszy z włoskich badaczy zjawisk wulkaniczno-sysmicznych. Współ-

zawodników nie miał, bo Włochy mają w Europie specjalność, powiedziały-bym monopol, wulkanow. W Azji jest Japonia daleko więcej wulkaniczna od Italii, nierównie silniej nawiedzana trzęsieniami; ale tam, pomimo wielkich postępów, jakie ojczyzna złocieni (chryzantemów) w ostatnich czasach zrobiła, badania sysmiczne są jeszcze w pie-luchach, a profesesorowie fizyki z Tokio przyjeżdżają do Neapolu i Sycylii, aby przypatrzeć się przyrządom, wynalezionym przez nieboszczyka prof. Palmieriego. Palmieri urodził się w Faichia, w t. zw. Terra di Lavoro, w okolicy Neapolu, w roku 1807, był profesorem fizyki w Salernie i Avellino, wreszcie w roku 1845 został profesorem fizyki w szkole marynarki w Neapolu, a w dwa lata później profesorem miejscowego uniwersytetu. W roku 1848 mianowany był dyrektorem obserwatorium metereologicznego na Wezuwiuszu.

Obecnie był to już blisko dziewięćdziesięcioletni staruszek, o czarnych oczach Neapolitańczyka, przesiadywał więc w Neapolu, a tylko od czasu do czasu dojeżdżał do swego laboratorium na wulkanie. Jak mi mówiono w Neapolu, gdyż Palmieriego osobiście nie znałem, w życiu prywatnem był opryskliwym i despotycznym. Z tem wszystkiem był znakomitością włoską, której sława i znaczenie rosły razem z odruchami Wezuwiusza, w ostatnich czasach i do dziś dnia dość niespokojnego, grożącego wybuchami, wypływającego nieustannie strumienie lawy, na postrach mieszkańców pobliskich osad, a ku zadowoleniu turystów, szukających wrażeń w czasie podróży nad małowinną zatoką neapolitańską. W pół Wezuwiusza, w miejscu względnie bezpiecznem, stoi gmach obserwatorium Palmieriego, z ładnym ogródkiem, zwrócony frontem do krateru i potoków lawy, jakie z bocznych otworów spływają do jarów i kotłm, oddzieiających główny szczyt od bocznych odnóg góry. Tutaj, przez lat blisko pięćdziesiąt, śledził zjawiska wulkaniczne; ostatnią pracą, jaką się zajął, było zestawienie wszystkich spostrzeżeń, począwszy od końca wielkiego wybuchu z miesiąca kwietnia roku 1872, aż do obecnej chwili, kiedy okres wybuchowy, niezwykle tym razem długi, jeszcze się nie zakończył. Rozprawy swoje ogłaszał Palmieri w wydawnictwie „*Annali del osservatorio meteorologico vesuviano*,” które było jego przybocznym organem, podobnie jak „*Buletino di archeologia cristiana*” było przez długie lata miesięcznikiem, który nieodżałowany badacz J. Chrz. Rossi redagował i sam znakomitami swemi pracami wypełniał.

Palmieremu zawdzięczają Włochy pierwszy prawdziwy aparat sysmiczny zapisujący, narzędzie, które dla endo-dynamiki ziemi otwarło nowe widnokreśli, i jako ostrzegacz sysmiczny, z powodu wielkiej czułości, oddało wielkie usługi. Oprócz owego sysmografu, wynalazł on także anemograf, udometr, elektrometr i t. d. We wszystkich przyrząd-

dach do zapisywania ruchów ziemi, jakie dotąd wybudowane zostały, sama siła poruszenia, czy też trzęsienia, miała wykonywać robotę, wskazywać i zachowywać ślady uderzeń. Wypływało stąd, iż lekkie chwiania się ziemi nie mogły być zapisywane, dla braku siły w narzędziach, a jak wiadomo, owe lekkie wstrząśnienia przychodzą najczęściej. W symyografie, wynalezionym przez Palmieriego, pracuje prąd elektryczny, narzędzie zaś jest tak czułym, iż wszelkie, choćby najbliższe vibracye ziemi zapisywane bywają z mechaniczną ścisłością.

Rezultaty jednak, jakie osiągnął Palmieri i inni badacze tychże zjawisk, pomimo wielkiego nakładu pracy i obserwacyi, nie są odpowiednie do niezmiernej ilości zebranych spostrzeżeń, tak, iż powiedzieć można, że owa część fizyki wymaga jeszcze dalszych badań. Znamy naturę zjawisk, przyczyny, jakim je zawdzięczamy, jesteśmy obznajomieni z reakcją, jaką wewnątrz ziemi wywiera na wierzchnią skorupę; ale na przykład zapowiedzieć trzęsienie ziemi, ostrzedz przed niem, ani Palmieri, ani inni nie potrafią.

W roku zeszłym, spędziwszy dłuższy czas na wyspie Ischii, pod Neapolem, przypatrzyłem się przyrządom symyograficznym, bo na wyspie założone zostało podobne jak na Wezuwiuszu obserwatorium, dlatego, że wygasły wprawdzie, ale od czasu do czasu wstrząsający się wulkan Efomeo, którego wysoki grzbiet sterczy na środku Ischii, spowodował dwie wielkie katastrofy, zburzył dwa razy miasteczko Casamicciolę, w roku 1881 i 1883. W obserwatorium na Ischii poznałem miejscowego dyrektora, Słowianina rodem, p. Grabłowicha. Otóż, jego zdaniem, przyczyna trzęsień ziemi jest całkiem mechaniczna. Najczęściej zdarza się, iż woda morska wdrze się do gorącego wnętrza ziemi, wytworzy parę, która potem rozsadza skorupę ziemi, szuka ujścia i znajduje w wulkanach. Powstaje tedy trzęsienie ziemi, które może także być spowodowane przez zawalenie się ścian w wyłobieniach środka naszej kuli ziemskiej. Tego już aparat żaden przepowiedzieć nie potrafi, może tylko ostrzedz o zbliżającym się niebezpieczeństwie, skoro pierwsze oznaki się zjawia.

Palmieri żył tylko Wezuwiuszem, uważał go niejako za swoją własność, mówił o nim: „mój Wezuwiusz.” I w istocie, przez blisko pół wieku śledził go, opisywał, patrzył nań z wysokości obserwatorium, nie opuszczał już posterunku, kiedy był niespokojnym, a nawet nieraz narażał życie, aby go z bliska wybadać. I tak np. w nocy 26-go kwietnia 1872 roku, w dzień pamiętny w dziejach wulkanu, kiedy dwie osady, Massa i S. Sebastiano, zniszczone zostały przez potoki lawy, Palmieri z obserwatorium śledził paroksyzm góry, w chwili, kiedy jego schronisko stało pomiędzy dwoma strumieniami ognia, w takim żarze, że szyby pękały w gmachu obserwatorium, a nawet w pokojach czuł

było zapach spalenizny. Najwięcej czci oddawali mu mieszkańcy owych podgórskich osad, kiedy węże płynnego ognia posuwały się w dół i zagrażały mieniu i życiu. Ukazanie się Palmierogo w miejscu zagrożonym uspakajało mieszkańców: zdawało im się, iż powstrzyma, zażegnaj ognisty żywioł. Był niejako miejscowym talizmanem, protektorem.

Obrawszy sobie jako specjalność *swoją* górę, opisał ją na wszystkie strony, poczynawszy od odtworzenia Wezuwiusza, jakim powinien być przed pamiętną klęską z roku 79 po Chrystusie, kiedy zniszczył Herculanium i Pompeję, aż do dziejów rozmaitych wybuchów, skończywszy na tych, jakich był świadkiem. Badał również gazy, wydobywające się z krateru i rozpadlin, do czego użył spektroskopu, który objawił bytność talium, helium, litium i t. p. Skutkiem ciągłych spostrzeżeń mógł ustanowić z pewnością, iż czynność wulkanu jest nieustanną, lubo zmienną, i że przedstawia obrazy spoczynku z fazami wzmaganiasię i opadania, dłużej lub krócej trwającemi, z wybuchami, które zamykają okres erupcyjny. Studium różnych zjawisk, powtarzających się przy wybuchach Wezuwiusza, przyprowadziło go do stosowania badań w innej gałęzi wiedzy, t. j. do elektryczności powietrznej, w którymto celu wynalazł specjalny elektrometr i „przyrząd z ruchomym przewodnikiem,” tak, jak jego wynalazkiem jest „reometr” dla prądów podziemnych.

A kiedy już jesteśmy przy geodynamice i magnetyzmie, nie od rzeczy będzie objaśnić, iż podobne obserwatorium dla śledzenia trzęsień ziemi znajduje się w Rzymie, w Collegio Romano, drugie zaś, papieskie, w ogrodach watykańskich, w jednej z wież Leona IV, na samym krańcu ogrodów, w stronie Kampanii. Pierwsze z nich założone zostało przez astronoma o. Aniola Secchi, przy kościele św. Ignacego i przy b. jezuitckim konwiktzie, t. zw. collegium rzymskiem, drugie powstało w roku 1891. Dla dokładniejszego wyjaśnienia rzeczy dodać muszę, że przy Watykanie znajdują się dwa obserwatoria: jedno tuż koło pałacu i bazyliki watykańskiej jest ściśle astronomicznem, drugie, o którym wyżej wspomnieliśmy, przeznaczonem zostało do odtworzenia części mapy nieba, ale jednocześnie ustawiono tam przyrządy kontrolujące trzęsienia ziemi. Kto był w ogrodach watykańskich, albo też z wysokości tarasu wzgórza Pincio wpatrywał się w najbliższą okolicę bazyliki, dostrzegł napewno dwie białe niewielkie kopułki na dwóch końcach ogrodu; jedna z nich jest t. zw. „*Specola Vaticana*,” t. j. obserwatorium astronomicznem, druga, nakrywająca wieżyczkę Leona IV, mniejszą od wieży, przy której stanął od niedawna letni pałacyk Leona XIII, służy do obserwacyi geodynamicznych i magnetycznych. Zmarły niedawno o. Deuza uprosił ją sobie u Papieża, aby urządzić stacyę obserwacyjną; dzisiaj jego zastępcą został o. Lais, astronom.

Na szczycie wieży ustawionym został przyrząd dla odfotografowania części nocnego nieboskłonu, a na pierwszym piętrze znajdują się narzędzia geodynamiczne. Właściwym kierownikiem owych badań sysemicznych jest o. Bertelli, barnabita.

Ponieważ w Rzymie także zdarzają się trzęsienia ziemi, z których jedno mieliśmy tutaj, i to dość silne, w roku zeszłym, przeto i Rzym poczuwa się do obowiązku zbierania obserwacji. Był czas, bardzo już odległy, bo sięgający jeszcze epoki przedhistorycznej, kiedy w sąsiedztwie Romy czynnym był wulkan, dziś już wygasły, Monte-Cavo, położony w górach albańskich, nad miasteczkiem Rocca di Papa. Pliniusz powiada o nim, iż musiał kiedyś wyrzucać lawę i kamienie, ale już za jego życia, pamięć o wybuchach wulkanu całkiem była wygasła. Mamy jednakowoż bardzo wymowny dowód, iż ostatnia erupcyja odbyła się w czasach, kiedy okolice Rzymu zamieszkałe były przez plemiona pasterskie, kiedy na wzgórzach tego miasta gnieździły się osady pierwotnych mieszkańców Lacyum. Mało kto z turystów, zwiedzających muzeum etruskie Watykanu, zwraca uwagę na kilka nadzwyczajnie ciekawych okazów archeologicznych, sięgających najodleglejszej starożytności. Są to urny pogrzebowe z gliny palonej, znalezione pod tufem wulkanicznym Monte Cavo. Małe urny mają kształt stożkowycy szalaszów, nakształt indyjskich *wigwamów*, naśladują więc ówczesne mieszkania tubyleców, urobione ze skór zwierzęcych; w środku owych popielnic znajdują się kości i popioły spalonych nieboszczyków. Znalezione przed kilkudziesięciu laty, w wykopaliskach na stokach wygślego wulkanu, urny watykańskie są najstarszym śladem zamieszkania Lacyum przez wędrownie plemiona, wartość ich zaś podwyższa okoliczność, iż przykryte zostały jakby całunem przez pokład lawy, która się stoczyła z wierzchołka Monte-Cavo, w zamierzchłej epoce pierwszych osadników prowincyi, kiedy Monte-Cavo był jeszcze czynnym.

Rzym był już niejednokrotnie wystawionym na trzęsienie ziemi; ostatnie uderzenie z roku zeszłego, które wywołało niemały popłoch, miało swój ośrodek w Kampanii, po-za bazyliką św. Pawła za murami. Kiedy w dniu 2 lutego 1703 roku, za pobytu królowej Maryi Kazimierzy, zatrząsło się w Rzymie, papież Klemens XI zwołał fizyków i matematyków miasta, i wezwał ich, aby objaśnili, czy jest niebezpieczeństwo, i gdyby wstrząśnienie się powtórzyło, jakie były sposoby, aby miasto mogło być ostrzeżone. Nie wiemy, zaiste, jaką odpowiedź dać mogli ówczesni przyrodnicy rzymscy, skoro dzisiejsi badacze w nie lepszym są położeniu. Bądź co bądź, materiał, nagromadzony w wieży Leona IV, dozwala przynajmniej stwierdzić pierwsze, choćby najslabsze, wahanie się ziemi. Ku temu służą: tremometr Bertellego ulepszony, sismograf analizator, sismodynamometr Gallego; tremometr jest

wahadłem, sporządzonem w ten sposób, iż czułym jest na mikroskopijne chwiania się ziemi, niedostępne dla naszych zmysłów.

Oprócz zadania odtworzenia części mapy nieba, watykańskie observatoryum otrzymało od biura „des Longitudes” w Paryżu zaproszenie do czynienia spostrzeżeń, celem dostarczenia danych dla wykonania mapy magnetycznej ziemskiej kuli.

Ze świata rzymskiego ubyla postać, należąca do wybitniejszych w sferach klerykalnych, choć znaną była także w obozie liberalnym — kardynał Gustaw Adolf Hohenlohe, brat kanclerza niemieckiego i właściciela Werck pod Wilnem, oraz zmarłego ks. Konstantego Hohenlohe, ochmistrza dworu wiedeńskiego. Nie wspominał-bym o jego śmierci, wszakże w ciągu każdego roku umiera kilku kardynałów, gdyby postać zmarłego księcia Kościoła nie zasługiwała na oddzielną charakterystykę. W istocie, Hohenlohe był kardynałem nie dzisiejszej miary. W chwili śmierci miał 73 lata, gdyż urodził się w roku 1823, w Rothenburgu, nad Fuldą, z jednej z najstarszych rodzin niemieckich, skoliigaconych z domem panującym Hohenzollernów. Kapelusz kardynalski otrzymał z rąk Piusa IX, w roku 1856. Dzisiaj, po jego śmierci, został już tylko jeden kardynał cudzoziemiec, kreowany przez poprzednika Leona XIII, a jest nim J. E. Mieczysław Halka Ledóchowski, prefekt Propagandy wiary. Po zaborze Rzymu, Hohenlohe wrócił do Niemiec; mówią, iż ks. Bismarek zamierzał mianować go posłem niemieckim przy Watykanie, którą to posadę zajmuje p. Bülow, ale kurya apostołska nie zgodziła się na wybór, raz, że stanowisko kardynalskie było niezgodnem ze stanowiskiem ambasadora państwa niemieckiego, powtóre, iż Hohenlohe nie nadawał się do pośredniczenia między władzą świecką a duchowną. W roku 1876 powrócił do Rzymu, aby zająć pozycję, nieliczącą z godnością księcia Kościoła i sługi czy senatora Watykanu. To stanowisko opozycyjne, jakie nieraz manifestował, wyrobiło mu nawet pewien rozgłos, wywołało surowe nagany ze strony Kuryi, a jednocześnie, rozumie się, obudziło dlań sympatyę w kołach rządowych. Nie da się zaprzeczyć, iż zmarły kardynał nie bardzo się liczył z obowiązkami, przywiązaniem do czerwonego kapelusza. W jego charakterze tkwiło wiele dumy, samodzielności, przekory, więc się nie poddał surowej dyscyplinie, jaką Watykan po roku 1870 zaprowadził, chodził luzem, nie dbając o to, co o nim mówią, wbrew opinii pu-

blicznej, pozwalając sobie na fantazyje, które ze względu na swą cechę polityczną, budziły szemrania.

Takimi zapewne bywali dawniej kardynałowie w XVI, XVII i XVIII stulecia, naczelnicy „fakcyi” politycznych, wtenczas, kiedy kardynałstwo było raczej tytułem i służyło więcej do wywierania wpływu dyplomatycznego. Kiedy wymagania przywiązane do purpury były o wiele mniejsze, niż za dni dzisiejszych. Jak i oni, Hohenlohe kochał więcej sztukę, niż teologię.

Kto był w uroczem Tivoli pod Rzymem, zwiedził zapewne słynną willę Este, jedną z najpiękniejszych rezydencji, jakie nam pozostał wiek XVI. Willa znana jest z pysznego położenia, panującego nad kampanią rzymską, z tarasów schodzących ku ogrodowi, z prześlicznych wodotrysków, zbiorników wody, z prastarych cyprysów i belwederów, z których, jak okiem sięgnąć, widać step Kampanii. Rzym z kopułą św. Piotra, dolinę aż ku morzu Śródziemnemu. W tym przybytku wspaniałości Odrodzenia daleko więcej było do twarzy kardynałowi, niż kiedy schodził w purpurowej sutannie, z jedwabnym czerwonym płaszczem dworskim, zwieszającym się z ramion, ze schodów, prowadzących do mieszkania papieskiego w Watykanie, dokąd zresztą rzadko zaglądał. Willę Estów w Tivoli otrzymał w dożywotnie używanie od esteńskiej linii Habsburgów, z warunkiem, iż łożycie będzie na jej podtrzymanie, bo rezydencya bardzo już podniszczała. Jakoż, kardynał rok rocznie wydawał, jak mówią, 20 tysięcy franków na niezbędne naprawy, urządził sobie mieszkanie w wielkim pałacu, którego małą część zajmował, zajął się uporządkowaniem opuszczonego ogrodu, kazał ponaprawiać wspaniałe wodotryski, kaskady, zbiorniki, które stanowiły rozkosz dawnej książęcej rezydencji, a przez długie lata stały zepsute, zawałone, nieme. Zbyt wielkich nakładów nie przedsięwziął, gdyż doprowadzenie willi Este do pierwotnego stanu wymagało wielkich sum pieniężnych, ale i to, co zrobił, wskrzesiło choć w części wspomnienia dawnej świetności, kiedy kardynałowie z domu modeńskiego zjeżdżali na villegiaturę do Tivoli.

W tym roku, w maju, byłem w Tivoli i zwiedziłem willę Este, jej belwedery, obszedłem cieniste szpalery wawrzynowe, zamieszkałe przez szpaki; zatrzymałem się w okólniku wspaniałych cyprysów, aby z dołu spojrzeć na piętrzący się po-nad tarasami, renesansowy zamek... Trudno powiedzieć, jak majestatycznie, królewsko, rysowały się jego szare mury przez linie cyprysów i kamiennych dębów...

Wierzę bardzo, iż kardynał, jak niegdyś Horacy, chwalił sobie Tivoli, starożytne Tibur, i stąd rzadko ukazywał się w Rzymie, tylko że Horacy miał tam skromny domek, mały folwarczek, a Hohenlohe korzystał z książęcej siedziby.

Najwybitniejszym może rysem jego charakteru była, że użyję cudzoziemskiego wyrazu, jako najlepiej rzecz malującego — dezywoltura. Pamiętam, jaką wrzawę sprawiła przed półtora rokiem wiadomość o wybryku, jakiego sobie pozwolił na obiedzie u barona Blanc, wtedy włoskiego ministra spraw zagranicznych. Już sam fakt, że kardynał był na obiedzie u dygnitarza włoskiego rządu, mógł dać do myślenia w Watykanie, gdzie konsekwentnie, z zasady, trzymają się całkiem zdaleka od wszelkiej styczności z zaborcami Rzymu. Tymczasem kardynał, nie tylko że przyjął zaproszenie, ale w czasie obiadu, widać dobrze rozochocony, zdjął z głowy czerwoną myckę, nałożył ją na głowę obecnemu przy obiedzie ministrowi spraw wewnętrznych, Franciszkowi Crispiemu, i kieliszkiem szampana z nim się trącił. Leon XIII wezwał go do siebie, bo rzecz się zaraz rozniosła, i zażądał, aby zaprzeczył temu, co opowiadały dzienniki.

Kardynał przekładał papieżowi, iż nie może odpowiadać za dziennikarskie wiadomości. W istocie, niektóre dzienniki włoskie podniosły znaczenie samodzielnej manifestacyi obiadowej do wysokości toastu na rzecz dzisiejszego rządu włoskiego, a co za tem idzie, i na korzyść upadku władzy świeckiej Papieża. To też Leon XIII rozgniewany, rzekł mu:

— Odwołaj swój występki, i spełń akt submissyji!

— Wasza Świątobliwość! — odpowiedział kardynał — nie zrobiłem nic, ani nie powiedziałem nic takiego, co-by było przeciwne obowiązkom księdza i kardynała.

— Jednakowoż twoje prowadzenie się nie jest takim, jakie-by powinno być w dzisiejszych warunkach, w jakich się znajduje Stolica Apostolska.

— Przykro mi, Wasza Świątobliwość, ale nie widzę...

Rozmowa została przerwana rozkazem, aby się udała na pokutę na trzy miesiące do klasztoru Montefalco, w Umbryi.

Do końca życia Hohenlohe zachował przekorną postawę wobec polityki Watykanu. Nie trzeba zapominać, iż Leon XIII, karząc niesfornego purpurata wygnaniem na trzy miesiące, chciał zarazem napiętnować jego zachowanie się w innych okolicznościach życia. I tak np.: Hohenlohe, który był zresztą bardzo popularnym w Tivoli, wdawał się w agitacye wyborcze do parlamentu włoskiego: kiedy siostrzeniec b. ministra oświaty, d-ra Bacellego, kandydował w Tivoli, kardynał obwoził go w swojej karecie po mieście, dla poparcia przyszłego posła, który też rzeczywiście wybranym został.

Można tedy sobie wyobrazić zdziwienie dygnitarzy Kościoła, którzy przyszli odwiedzić ciało nieboszczyka, kiedy w pokoju sy-

dzą z czasów przedserwiuszowych, a które z czasów króla, znanego z opasania Rzymu obronnym murem.

Zdaniem archeologów, w owych przedhistorycznych czasach, Lacjum, a więc prowincya okalająca Rzym, była przetrzęsawiskami, dlatego też najstarsze ruiny znajdują się na wzgórzach. Ludność napływowa zaczęła powoli osuszać bagna, choć w późniejszych czasach, może skutkiem kataklizmów wulkanicznych, Kampania stała się niezdrawą i zabagniła się na nowo. Na każdym z pagórków rzymskich osiedlił się jeden lub kilka szczepów. Według podania, Latynowie zajęli w kilka szczepów Palatyn i dwa pomniejsze, sąsiednie miejsca; na Kwirynale siedzieli Sabinowie, na Cellusie i Eskwilinie Etruskowie, i t. d. Szczep laciński wziął górę nad innemi, zagarnął pod swoją władzę Etrusków, którzy Rzym ucywilizowali. Legenda o Romulusie i Remusie z wilczycą złąła się z legendami innych szczepów. Podanie rzymskie przedstawia kolonię rzymską na Palatynie, jakoby wyszłą z Alby (dziś Albano), i w istocie, stosunki religijne Alby z Rzymem były jak najściślejsze, coby stwierdzało blizkie pokrewieństwo obu ludności. Więc i Romulus i Remus byli naczelnikami plemion pasterskich. Palatua była boginią opiekunką wzgórze, Faunus Luperus bóstwem Palatynu, wilczyca zaś bronzowa była może talizmanem mieszkańców, wobec mnóstwa wilków, jakie wtedy napadały ludność i trzody pasterzy, schodząc z pobliskich gór, lub biegając swobodnie po Kampanii. Owa wilczyca, wyrobu niewątpliwie etruskiego, przechowywaną jest dzisiaj w muzeum Kapitolu, jako jedna z najciekawszych pamiątek starego Rzymu, gdyż według domysłu archeologów jest tą samą, do której przyplątała się legenda ludowa o karmieniu Romulusa i Remusa, zwłaszcza, iż znalezioną została w wykopaliskach na samym Palatynie.

Dzisiaj, przy schodach prowadzących na Kapitol, rada miejska rzymska, *Senatus populusque*, trzyma w klatce parę żywych wilków, aby przypominały miastu jego początki, i legendy, i czasy, kiedy w skromnym domku na Palatynie mieszkał naczelnik Latynów — Romulus.

*

*

*

Wobec nieuzasadnionych wprowadzie, lecz nie mniej alarmujących pogłosek o zdrowiu Leona XIII, nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na mało znany a delikatny punkt organizmu kościelnego, na instytucję, wzbogaconą doświadczeniem wieków — papieskie *conclave*. Kon-

stytucja zasadnicza Kościoła nie zmieniała się, ale władza wykonawcza przechodziła przez rozmaite ewolucje. Przez długi czas biskup rzymski, to jest Papież Kościoła powszechnego, wybierany był stosownie do wpływów miejscowych, dopiero od XI stulecia elekcyja powierzona została całemu wszystkiemu dygnitarzy, a od XIII wieku dopełnia się wybór w ścisłym zamknięciu, a więc w t. zw. „conclave.“

Przystępując do objaśnienia owego aktu, nie mam wcale na myśli bliższej ewentualności wyboru nowego papieża. Zdrowie Leona XIII, pomimo, iż zaczął 87 rok życia, rokuje jeszcze lata całe panowania; doktor, pielęgnujący go, Lapponi, obiecuje, iż przekroczy dziewięćdziesiątkę; ascetyczne życie, jakie ojciec święty prowadzi, utrzymuje go w siłach i rzeźwości umysłu, a choć tu i owdzie spotykają się wzmianki dziennikarskie, wyznaczające na następcę jednego lub drugiego kardynała (Svampę, Serafina Vanutello, Parocchiego), sama jednak przyzwoitość wymaga życzyć, aby owa bolesna dla świata katolickiego ewentualność odroczonej została do najpóźniejszego czasu.

Wiadomości, jakie posiadamy o przepisach, według których Kościół, a raczej gmina rzymska wybierała naczelnika duchowego w pierwszych trzech wiekach, są bardzo ułamkowe. Według niektórych danych, rozrzuconych w starej literaturze chrześcijańskiej, trzej pierwsi następcy Piotra: Linus, Kletus i Klemens, byli pomocnikami głowy apostołów. Było, zdaje się, w zwyczaju pierwszych założycieli kościołów, iż wyznaczali za życia, lub na przypadek śmierci, tych, co mieli rządzić wiernymi, jako najlepiej obznajomieni z biegiem spraw gminy. Kilka rzadkich szczegółów, jakie mamy o procedurze, zachowywanej w Rzymie w czasie prześladowań, dostarczył św. Cypryan. We wszystkich pomnikach liturgii pierwotnej, wspomnienie męczennika kartagińskiego zespolonem jest z papieżem z rodziny Korneliuszów i Scypionów, z ś. Korneliuszem, znanym pomiędzy innymi z grobu, odkrytego nad Via Appia przez zmarłego przed czterema laty słynnego archeologa chrześcijańskiego, J. Chrze. Rossiego. Ze sporu, jaki wynikł w r. 251, z powodu wyboru Korneliusza, wiemy, iż głosowało szesnastu biskupów obecnych w Rzymie, że występowali z głosem doradczym księży, lud także krzyczał podczas aktu, tak, że wybór miał pozory sejmiku gminnego. Główna rola przypada na biskupów. Później, od V stulecia, tłumy, biorące niejako udział w elekcyi, są już liczniejsze i hałaśliwsze, występują nawet większe interesa stronnictw, ale pomimo to, formalności zostają te same do XI wieku. Zwykle, w trzeci dzień po śmierci biskupa rzymskiego, biskupi z prowincyi rzymskiej — to, co się dziś nazywa *suburbicarij* — zgromadzają się w metropolii. W pewnym oznaczonym dniu schodzą się w katedrze Lateran, albo w innym kościele, duchowieństwo i lud, poczem wspólnymi głosami ustanawiają

następcę Piotrowego, a *eo ipso*, naczelnika powszechnego Kościoła chrześcijańskiego.

Papież Mikołaj II i Grzegorz VII wydali przepisy, dotyczące sposobu, w jaki wybór odbywać się powinien; Aleksander III ustanowił przedewszystkiem zasadę, iż do prawomocności obioru potrzebnymi są dwie trzecie głosów, czego dowodem jest konstytucya z roku 1180, wydana na trzecim koncylium laterańskim. Jednakowoż liczba owych „senatorów Kościoła rzymskiego“ nie była określoną, było ich czasem dziesięciu, czasem dwudziestu, dopiero Leon X, na początku XVI stulecia, podniósł komplet kardynałów do dwudziestu pięciu.

Uchwała prawodawcza Aleksandra III, powierzająca wybór pontyfikalny kolegium kardynałskiemu i określająca stosunek głosów, osiągnęła cel zamierzony: uniknięcie schizmy wyborczej i wyboru antypapieży. Pozostały jeszcze trudności z powodu mieszania się cesarzy niemieckich w sprawę Kościoła i nacisku, jaki wywierali na ciało wyborcze Lateranu. Śmierć Klemensa IV w r. 1268 stała się przyczyną ustanowienia formalnego conclave, t. j. zamknięcia kardynałów w oddzielnem miejscu, aż do chwili, kiedy-by się znalazła przepisana większość dwóch trzecich głosów. Od tego więc czasu datuje się obowiązująca dziś jeszcze forma kanoniczna zebrania. Na wiosnę, w roku 1271, siedemnastu kardynałów zgromadzonych było w Viterbo, pod Rzymem, od dwóch lat, aby obrać następcę Klemensa IV. Pomimo tak długiego czasu (wakans ten był najdłuższym, jaki roczniki kościelne zapisują), zgromadzeni nie mogli porozumieć się co do elekta. Wiadomości ze Wschodu były niepomyślne, wojna krzyżowa (urządzona skutkiem nawoływań zmarłego papieża i cesarza Michała Paleologa), skończyła się klęską. Święty Ludwik umierał na pobrzeżu Tunisu. Wtedy święty Bonawentura przemawiał do sumienia wyborców papieskich, a ludność miasta Viterbo niecierpliwiła się. Wreszcie, owych siedemnastu kardynałów zostało zamkniętych przez władze miejskie w pałacu biskupim, którego wszystkie wejścia zamurowano. Nadworna milicya książąt rzymskich Savelli pilnowała pałacu, skąd poszedł przywilej rodzinny marszałka conclave, dziedziczny w rodzie Savellich, a po ich wymarciu, nadany rodzinie ks. Chigich, którzy go do dziś dnia piastują. Kiedy i ten środek nie pomógł, mieszkańcy Viterbo zdjęli dach z pałacu, i wreszcie nie dopuszczali innych zapasów żywności, jak tylko chleb i wodę, aby zmusić zebranych purpuratów do wydania decyzji. Wreszcie, po wakansie dwóch lat, dziewięciu miesięcy i dwóch dni, piętnastu kardynałów (gdyż dwóch zachorowało tymczasem), zgodziło się na kompromis, mocą którego obraną została komissya, złożona z sześciu członków kolegium, i ta okrzyknęła papieżem nieobecnego Grzegorza X. Nic też dziwnego, że papież, wybrany z takimi tru-

dnosciami, ustanowił nowy projekt wyborów pontyfikalnych, który skreślił w sławnej bulli *Ubi periculum* z 7 lipca 1274 roku. Bulla ta zastępuje, aby ją tu przytoczyć:

Skoro papież umrze, kardynałowie, znajdujący się *in Curia*, t. j. tam, gdzie papież przebywa, obowiązani będą, zanim przystąpią do wyboru, oczekiwać kolegów swoich tylko przez dziesięć dni. Po upływie tego czasu, obowiązani są zebrać się w pałacu zamieszkiwanym przez nieboszczyka, w zamkniętem conclave, mając każdy z nich przy sobie jednego, lub najwyżej dwóch służących.

Nikt nie może zbliżać się do kardynałów, mówić do nich, pisywać ani posyłać wiadomości, chyba, że się wszyscy zgodzą, i że będzie chodzić o sprawę wyboru. Każdy, kto się do nich zbliży, będzie ekskomunikowany *ipso facto*.

Conclave będzie miało okno, przez które podawać będą kardynałom jedzenie. Okno tak musi być zrobionem, aby nikt przez otwór wejść nie mógł.

Gdyby papież nie został wybranym w ciągu pierwszych trzech dni po zamknięciu wyborców, ci ostatni, przez następujące pięć dni otrzymają tylko jedną potrawę, tak na obiad, jak na kolację... Po upływie owego czasu, kardynałowie nie otrzymają aż do chwili wyboru nic innego, prócz chleba, wody i trochę wina.

W ciągu całego conclave kardynałowie nie pobierać nie będą, ani z stałych dochodów Stolicy Apostolskiej, ani z niestałych wpływów. Zarząd tych dochodów będzie spoczywać w ręku kamerlenga.

Inne przepisy, które tu pomijamy, ustanawiają procedurę, na przypadek, gdyby papież zmarł daleko od Rzymu, nakazują kardynałom, aby zapomnieli o wszelkich zobowiązaniach, umowach, przysięgach, kontraktach, zaciągniętych w celu wybrania pewnej z góry wskazanej osobistości i t. d.

Szesnasty wiek przynosi rozwój i reformę w prawodawstwie konklawowem. Od chwili zakończenia rozdziału kościołów, conclave w XV wieku odbywało się w myśl dawnych reguł, przybierając jednak powoli nowy wygląd, zgodny z nowszymi czasami. Liczba kardynałów jest większą, a więc i łatwiej o sprzeczność interesów, zebrania trwają też dłużej. Miasta irzeczypospolite włoskie wchodzą w grę, jak Medyolan, Wenecya, Genua, Florencya, Neapol. Powoli Hiszpania zaczyna zajmować ważne miejsce, a kiedy Francya i Niemcy objawią własne interesa polityczne, dwór papieski i conclave staną się polem, na którym się ścierają mocarstwa. Polska zajmuje miejsce drugorzędne i nie odgrywa takiej roli, jak powyżej wspomniane mocarstwa. Papiestwo stało się czynnikiem nadto ważnym w równowadze europejskiej, aby państwa mogły patrzeć obojętnie na wybór następcy św. Piotra.

Przepisy Piusa IV, Medyceusza, obostrzyły jeszcze przepisy wiążące kardynałów. To też Pius V wybranym został (w roku 1566) po dniach osiemnastu, Grzegorz XIII (1572) i Sykstus V (1585) drugiego, czy też trzeciego dnia po zwołaniu zgromadzenia; kilka następnych elekcji zakończonych jest przez rywalizację Hiszpanii i Francji, trwającą aż do końca XVII wieku. Kollegium kardynalskie dzieli się na fakcye: jedni są zwolennikami Hiszpanii, drudzy Francji. J. Kazimierz, kiedy otrzymuje purpurę, jest z początku jakoby Hiszpanem, czy też Niemcem, zaraz jednak przerzuca się do stronnictwa francuskiego, do Mazarina.

Ostatnim ważnym dokumentem przed Piusem IX, jest bulla *Aeterni patris* Grzegorza XV z listopada 1621 roku, ustanawiająca całkiem szczegółowo normy wyboru papieża i ceremoniał, jaki winien być zachowanym w owej ważnej chwili. O najnowszem prawodawstwie w tym względzie pomówimy niżej.

*

*

Skoro choroba papieża zaczyna przybierać groźną cechę, kardynał sekretarz stanu zawiadamia kardynała dziekana, aby zwołał św. kolegium do pałacu apostolskiego, i kardynała wikarego, aby nakazał modlitwy we wszystkich kościołach. Zwykle kardynał sekretarz uprzedza także ciało dyplomatyczne, uwierzytelnione przy Stolicy św. Skoro papież nie umiera nagle, zwołuje do siebie prałatów domowych i dygnitarzy t. zw. *familię*, t. j. dworu pontyfikalnego. Kardynałowie gromadzą się koło łoża, wielki penitencyarz assystuje umierającemu papieżowi razem ze spowiednikiem, który, stojący, słucha zawsze spowiedzi, opuszczając w formule rozgrzeszenia ustępowanie o odpuszczeniu kar i cenzur kanonicznych. Biskup zakrystyan świętego Piotra (zawsze Augustyanin), przynosi św. komunię i daje ostatnie namaszczenie, poczem wielki penitencyarz słucha wyznania wiary koncyliów trydenckiego i watykańskiego, i daje rozgrzeszenie *in articulo mortis*. Generalowie wielkich zakonów są też zwykle obecni razem z kardynałami, aby dać umierającemu odpusty specjalne, jakie im przysługują. Biskup zakrystyan odmawia wzruszające modlitwy za konających: *Proficiscere anima christiana...* i część rozdziału ewangelii o męce Chrystusa Pana. W chwili konania, zawiadamia się penitencyarzy bazyliki św. Piotra, gdyż oni, razem z gwardyą szlachecką, będą pilnowali ciała i oddadzą mu pierwsze posługi.

Skoro Najwyższy Pasterz odda ostatnie tchnienie, J. Em. sekretarz stanu, jako prefekt pałacu apastolskiego, uprzedza kardynała kamerlenga, a ten zwołuje prałatów pokoi apostolskich, aby razem udać się do pałacu i załatwić pierwsze rozporządzenia, potrzebne podczas bezkrólewia. W roku 1878, kardynałem kamerlengiem był dziesięcioletni papież, kardynał Pecci, który też sprowadził się do Watykanu, skoro Pius IX przyjął ostatnie Sakramenta.

Niema powodu wątpić, iż w razie śmierci Leona XIII, rzeczy pójdą tym samym porządkiem, co za jego poprzednika. Kardynałem kamerlengiem jest obecnie Ludwik Oreglia di Santo Stefano, który zarazem jest także dziekanem kolegium kardynalskiego, jako najstarszy z członków świętego kolegium.

Drugim aktem specjalnym kamerlenga, którego Joachim Pecci dopełnił w kilka godzin po śmierci Piusa IX, jest formalność cywilna. Ubrany fioletowo, na znak żałoby, złożywszy czerwoną pelerynkę, kamerlengo, w otoczeniu prałatów przybocznych papieskich, których rokiet zakryty jest czarną pelerynką, w obecności majordoma, szambelanów tajnych rzeczywistych, wchodzi do pokoju i przystępuje do łoża śmiertelnego, gdzie ciało nieboszczyka jest złożone w tym stanie, jak go śmierć zostawiła. Twarz zmarłego nakryta jest białą zasłoną i naokoło łoża klęczą penitencyarze św. Piotra, odmawiający psalmy pokutne. Kamerlengo klęka na fioletowej poduszce, odmawia modlitwę, a podczas, gdy pokojowcy odsłaniają twarz papieża, zbliża się do łożka, aby stwierdzić zgon. W symbolizmie i prostocie swojej scena jest wzruszająca i wielka. Srebrnym młotkiem trzy razy uderza w czoło zmarłego, wołając go po imieniu: Janiel Janiel Janiel zawołał kardynał Pecci wieczorem 7 lutego 1878 roku, poczem zwrócił się do obecnych ze słowami: *Papież rzeczywiście umarł..* Wszyscy klękają, a kardynał odmawia: *De profundis...* i kropi ciało święconą wodą. W owej chwili „maestro della camera,” t. j. duchowny, pełniący obowiązki prywatnego sekretarza, oddaje mu pierścień Rybaka, zdjęty z palca nieboszczyka, na znak, że tymczasowa władza kuryi powierzona jest kamerlengowi. Pierścień zostanie połamanym, jak i pieczęcie, i „bulle“ ołowiane, w czasie pierwszego posiedzenia św. kolegium. Papieża posługują się trzema pieczęciami. Pierwsza, wyryta na pierścieniu, z wyobrażeniem świętego Piotra w łodzi, nosi nazwisko odnośnego papieża; druga służy do bul pergaminowych i opatrzona jest z jednej strony figurami świętych Piotra i Pawła, z drugiej nazwiskiem papieża; trzecia, że się tak wyrażę, pokojowa, nosi herb rodzinny papieski, nie łamią jej też, ale zwracają rodzinie.

Nowy pierścień rybaka doręczy kamerlengo przyszłemu papieżowi, kiedy przed nim uklęknie na stopniach ołtarza, w kaplicy sykstyń-

skiej, gdy obliczonym zostanie ostatnie głosowanie. Tymczasem, u stóp łoża śmierci, protonotaryusz odczytuje akt śmierci, sprawdzenia ciała i oddania pierścienia. Po ukończeniu tych formalności, kamerlengo cofa się do jednej z sal palacu, i tam w urzędowy sposób zawiadamia o żałobie Kościoła. Przed rokiem 1870 zawiadamiał przedewszystkiem senatora prezesa rady miejskiej, a ten ogłaszał wiadomość, każąc dzwonić w wielki dzwon Kapitolu, któremu odpowiadały dzwony wszystkich kościołów.

W roku 1878 lud rzymski został zawiadomionym przez ogłoszenie kardynała wikarego (jest nim dziś J. Em. Parocchi), przyklepiane na drzwiach świątyni. Do wszystkich kardynałów, czy to we Włoszech, czy za granicą, wysłano depesze telegraficzne. Do ciała dyplomatycznego wystosował wtedy kardynał sekretarz Simeoni (jest nim dziś M. Rampolla) cyrkularz.

Na czele spraw watykańskich zostaje wtedy kamerlengo. Naza jutrz schodzą się kardynałowie na pierwsze pełne posiedzenie. Gwardya szwajcarska służy kamerlengowi, poprzedza go, kiedy się ukazuje. W roku 1878 kardynał Pecci, który niezwłocznie osiadł w Watykanie, w mieszkaniu na 3-ciem pięttrze u kardynała sekretarza, nakazał natychmiast zamknąć mieszkanie, szafy, wziął do siebie klucze, jednem słowem, wprowadził chwalebny rygor, od którego za Piusa IX domownicy trochę się byli odzwyczaili.

Skoro kamerlengo wyszedł z komnaty śmiertelnej, monsignor maestro di camera zajmuje się trupem. Ciało Piusa IX położone zostało na łożu przykrytem ponsowym adamaszkiem, w t. zw. tajnej anty-kamerze. Dwóch gwardzistów szlacheckich, z pałaszami ku ziemi pochylonemi, trzymało straż honorową. Zabalsamowanie winno się odbyć w ciągu 24 godzin od chwili śmierci, „corpus est incisum, apertum, exenteratum, lotum, accomodatum,” jak przepisuje ceremoniał. Wnętrznosci (praecordia) muszą być włożone do marmurowej urny, która dawniej, jeśli papież umierał w Kwirynale, przenoszona bywała do kościoła świętych Wincentego i Atanazego, dla złożenia w grobie, zbudowanym umyślnie przez Benedykta XIV. Ponieważ Pius IX umarł w Watykanie, przeto urna, stosownie do zwyczaju, złożoną została w podziemiach bazyliki świętego Piotra. Kiedy nabalsamowanie jest ukończonym, ciało przybierają w zwykłe szaty, przepisane przez zwyczaj: sutannę i pas biały, rókiet koronkowy, krozetkę, czerwone trzewiki, na głowę zaś kładą t. zw. „camauro,” rodzaj czepca czerwonego, obłożonego gronostajami; archaiczne nakrycie głowy, jakie widać np. na portretach Juliusza II i Leona X, malowanych przez Rafaela Sanzio; poczem zmarłego wystawiają na paradnem łożu, w jednym z przedpokojów papieskich, skąd przenoszą go do Sykstyń.

Dawniej, kiedy zdarzało się, iż papież umierał w Kwirynale, ciało, przybrane w szaty pontyfikalne, składano na paradnych noszach, zaprzężonych w dwa białe muły, aby je przewieźć przez miasto wprost do kaplicy sykstyńskiej.

Po śmierci Piusa IX, z obawy rozruchów i w mieszania się polityki włoskiej, ciało nie było wystawionem w Sykstynie, ale wprost, o rannych godzinach, przeniesiono je do bazyliki watykańskiej, gdzie w kaplicy świętego Sakramentu widzieć je było można wystawione przez trzy dni, poczem spoczęło w tymczasowym grobie w tym kościele, a następnie, w trzy lata później, umieszczono je w kościele świętego Wawrzyńca.

Jednocześnie z zachodami około pogrzebu papieża odbywają się kongregacye kardynałów, i to nasamprzód w sali „dei Paramenti,” potem w zakrystyi świętego Piotra. Bulle Piusa IX, zatwierdzające zarządzenia Piusa VI, dają, „zważywszy na oplakane stosunki,” wszelkie upoważnienie, aby kardynałowie, przystępujący do conclave, powzięli takie uchwały, jakie uznają za stosowne, co do miejsca i sposobu elekcji. Konstytucye Piusa IX noszą datę 23 sierpnia 1871 r., 8 września 1874 i 10 października 1877 roku. Mowią, iż są jeszcze pewne tajne rozporządzenia, dozwalające zupełnej swobody akcji, w razie gdyby rząd włoski miał zamiar stwarzać trudności. W roku 1878, ze względu na położenie, poczynione były pewne zmiany w zwyczajach dotychczasowych. Architekt Martinucci przedłożył plan urządzenia conclave wewnątrz Watykanu. W czasie tych kongregacyi, których bywa dziewięć, zjawiają się zwykle ambasadorowie państw katolickich, aby powitać zebranie i powiedzieć stosowną przemowę, wyrażającą nadzieję, iż nowy papież będzie równie godną osobistością, jak jego poprzednik. Kiedy rozpoczyna swą mowę, ambasador ma głowę odkrytą, ale zaledwie powie kilka słów, kardynał dziekan powinien wezwać go, aby ją nakrył, co też niezwłocznie robi, i dalej mowę wypowiada. Tylko, ile razy wymówi imię papieża, albo swego monarchy, uchyla nakrycia głowy i kardynałowie idą za jego przykładem. Odpowiada mu w ten sam sposób kardynał dziekan, w imieniu collegium.

Okres dziewięciu, czy jedenastu dni, poprzedzających conclave, ma wielkie znaczenie, gdyż w tym czasie przygotowuje się wybór pontyfikalny. W tymże okresie opinia publiczna jest bardzo zaciękwiona co do przyszłego Pasterza, i co najdziwniejsza, że najstarszą formą manifestacyi publicznego głosu były zakłady. Wszakże Pius IV w bulli z roku 1562 powiada wyraźnie: „Zakazujemy z powodu przyszłego wyboru papieża jakichkolwiek układów, czy zakładów; ogłaszamy je za niebyłe i bez skutku, oraz rozkazujemy gubernatorowi miasta, aby ka-

rał zakładających się i ich pośredników“ (proxenetas, co znaczy w języku turfu — bookmacherów).

Ostatnie conclave z roku 1878 po śmierci Piusa IX różniło się od poprzednich w dwóch głównie punktach: zniesiono cele, używane dotąd, a natomiast włączono wszystkie piętra pałacu papieskiego do zamknięcia. Tkwiła w tem pewna niedogodność dla starców, którzy chodzić musieli po schodach, gdyż winda, jaka dziś znajduje się w pałacu, nie była wtedy jeszcze urządzoną. Na parterze, w dziedzińcu świętego Damazego, przeznaczone były pokoje dla ósmiu kardynałów, z których zaledwie dwóch dziś jeszcze żyje. Inni kardynałowie pomieszcili się w różnych pokojach czworoboku. Jak wiadomo, kardynał M. Ledóchowski mieszkał wtedy w samym Watykanie, przeto miał dla siebie pokoje do conclave gotowe. Na trzecim piętrze, w dzisiejszym apartamencie kardynała Rampolli, zakwaterowało się jedenastu purpuratów, ogółem sześćdziesięciu ksiąząt Kościoła zostało zamkniętych „apud Sanctum Petrum.“ Powtarzamy znowu, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przyszłe conclave odbędzie się w ten sam sposób, zwłaszcza, że dzisiejsze położenie Watykanu daje nawet mniej powodu do obaw, niż w osiem lat po zaborze Rzymu.

W pewnym oznaczonym dniu, dwunastego lub trzynastego dnia po śmierci Najwyższego Pasterza, rozpoczynają się wybory ceremonią inauguracyjną: w dniu 18 lutego 1878 roku, msza inauguracyjna nie była śpiewaną w Watykanie, z obawy zaburzeń ze strony masonów i liberalów. ale kardynał Schwarzenberg odśpiewał ją w kaplicy Pao-lińskiej, poczem całe kolegium udało się do bliższej kaplicy Sykstyńskiej, urządzonej na salę głosowania, gdzie wszyscy po kolei, nie wyłączając tych, co pośrednio brali udział w zebraniu, a więc urzędnicy, służba, robotnicy, złożyli przysięgę przed kardynałem dziekanem. Książę Maryusz Chigi, dziedziczny marszałek conclave, w stroju z XVI stulecia, stawil się, aby pilnować bezpieczeństwa zebranych. Przysięga służby odbywa się w łóżach Rafaela, i jakiś kucharezyk, który w chwili przysięgi na zachowanie najściślejszej tajemnicy, w roku 1878, nie znalazł się na miejscu, został niezwłocznie oddalonym po-za Watykan. Blisko dwieście pięćdziesiąt osób znalazło się w ten sposób pod kluczem. Każdy z sześćdziesięciu kardynałów miał do usługi księdza i cywilnego. Sześciu mistrzów ceremonii czuwało nad porządkiem, dwóch doktorów assistowało, czterech golarzy, stolarz, mularz, ślusarz, szklarz i blacharz. W kuchniach, po raz pierwszy urządzonych przy conclave (gdyż pierwiej przynosili jedzenie z miasta), pracowało dwóch kuchmistrzów, czterech kucharzy i siedmiu kucharzy. Do innych obslug było 24 lokai.

Po mszy świętej i po śniadaniu, kardynałowie schodzą się w Sykstyne. W głębi kaplicy, pod ostatecznym sądem Michała Anioła, stoi ołtarz z obrazem przedstawiającym zstąpienie Ducha Świętego na apostołów. Niema tronu papieskiego. Po prawej i po lewej stronie podłużnej kaplicy, w podkowie ustawione są stalle kardynalskie. Naprzeciw kardynała-dyakona stoi krzesło, na którem usiądzie przysły wybrany. Nad każdą ze stal wznosi się baldachim ruchomy, który, z chwilą ogłoszenia wyboru, będzie opuszczonym; tymczasem zaś jest podniesionym, na znak, iż każdy z uczestników ma prawo do najwyższej godności duchownej. Z przodu, przed stalla, stoi mały stoliczek, nakryty fioletowym lub zielonym dywanem; fioletowym, jeśli purpurat był mianowanym przez nieboszczyka, zielonym, jeśli został kardynałem pierwszej. Obicia w pokojach conclave nakładane bywają również podług tej modły.

Formalności wyborecze dają nieraz wiele pracy tym kardynałom, którzy, jako nie mieszkający we Włoszech, przyjechawszy na sessye, zaraz na pierwszym posiedzeniu stosować się muszą do przepisów. Napisanie, czy zapieczętowanie kartki do głosowania, drukowanej umyślnie, wymaga znajomości rzeczy. Dla tego też pierwsze posiedzenie trwa długo. 19 lutego 1878 roku kardynałowie weszli do Sykstyń, szczelnie zamkniętej, o w pół do dziesiątej zrana, a wyszli z niej ledwie o drugiej godzinie na obiad, do własnych pokoi, czy też, jak być powinno, do celek. W następane dni szło już głódziej. Zamknięcie, poprzedzone codziennie mszą świętą, kończyło się o południu, razem z pierwszym głosowaniem. O czwartej godzinie po obiedzie, mistrze ceremonii zwołują wyborców do Sykstyń, na drugie głosowanie, rozpoczynające się modlitwą: „Veni Creator...“ Jak tylko skończy się głosowanie, jeden z kardynałów dzwoni i otwiera drzwi do sali Regia; t. zw. konklawiści, t. j. służba i kapelani kardynalscy, czekający w sąsiednich salach, królewskiej i Ducale, biegają naprzeciw swoich pryncypałów, aby odebrać teki i czytać na ich twarzy wrażenia. Głosowanie pierwszego dnia, zwłaszcza ranne, nie jest stanowczem. I tak np. podczas pierwszego głosowania w czasie ostatniego conclave kardynał Joachim Pecci otrzymał 23 głosy. Po nim szli, o wiele niżej, kardynał Bilio z 7 głosami, de Luca i Franchi z 5, Pavebianco, Monaco la Valetta (świeżo zmarły) i Simeoni z 4 głosami. Ktoś dał kardynałowi Ledóchowskiemu jeden głos. Ale drugie głosowanie, wieczorne, przyniosło już 38 głosów dla J. Em. kard. Pecego, zatem brakowało już tylko trzech głosów do wymaganej większości; przy trzecim obrocie tenże pozyskał znakomitą większość. W roku 1846 Pius IX wybranym

został na czwartem głosowaniu. Pierwsze skrutynium przyniosło było 15 głosów dla kardynała sekretarza stanu Grzegorza XVI, Lambroschiniego, a 13 dla kardynała Mastai-Ferretti, ale proporcya zmieniła się na korzyść tego drugiego przy dalszych obliczeniach głosów.

Po kolacyi, około 9 ej wieczorem, trzy uderzenia dzwonka mistrzów ceremonii i głosy: „In cellam Domini!“ zapowiadają, iż każdy z Ich Eminencyi wrócić ma do własnej skrytki. Za to zrana, już o wczesnej godzinie, panuje ruch w korytarzach i salach, kardynałowie odprawiają msze na przenośnych ołtarzach, jakie im służą w każdym miejscu, a więc w celi, a jak w roku 1878, dziesięciu z nich miało ołtarze w kaplicy Paolińskiej, a pięciu w sali książęcej (Ducale).

Dzisiaj, kiedy ceremoniał został uproszczonym, kuchnie zostały umieszczone w Watykanie, conclave straciło na ciekawości dla ulicy. Dawniej bowiem, każdy z kardynałów mógł sprowadzać jedzenie z miasta, więc powstał stąd cały ceremoniał, najeżony formalnościami. Codziennie, około południa, dwór kardynała wiozł obiad w karecie galowej, której towarzyszył jeden z oficerów papieskich. Defilada owych karet obiadowych była nie małym przedmiotem gapienia się Rzymian. Potrawy, zamknięte w skrzyniach blaszanych, składane bywały przy otworze najbliższym celi kardynała. Pochód kuchenny, jaki się formował przy zatrzymaniu karety, aby przebiec schody i galerye, był w samej rzeczy oryginalnym. Przodem, dwóch lokai z laskami, w herbach dygnitarza, potem marszałek dworu, następnie uroczysty pochód skrzyń z jedzeniem i nakryciem. A chociaż srogie przepisy co do jedzenia i odejmowania potraw, w razie przeciągania się conclave, wydane bullą Grzegorza X, zostały zmodyfikowane późniejszymi przepisami, jednakowoż pozostały ich ślady w skromnem jadle, ograniczonym do jednej potrawy, jeśli-by narady trwały zbyt długo. Tej okoliczności przypisują wynalazek omletu z szynką, pomysł kucharza kardynalskiego, który miał prawo przyrządzić tylko jedno danie. W roku 1830, mieszkańcy z nad jeziora Bracciano, wtedy ks. Torlonii, a dziś ks. Odeschalekich, nadesłali, jak zwykle, na wilię, partyę węgorzy, które według zwyczaju składali; ryby, „sede vacante,“ rozesłane zostały do rozmaitych kardynałów. Stary kardynał neapolitański, Ruffo, sprowadził raz na conclave z Neapolu pakiety pierników, t. zw. „mustaccioli,“ bardzo słodkiej specyałności neapolitańskiej, aby poczęstować kolegów w zamknięciu. Dziś pod tym względem czasy się bardzo zmieniły, choć np. w roku 1878 jeden jedyny kardynał Hohenlohe, lubiący chodzić samopas, nie zgodził się na kuchnię watykańską i kazał sobie przywozić jedzenie z mieszkania w mieście.

Porozumiewanie się purpuratów zewnątrz Watykanu nie jest absolutnie zakazanem, byle-by listy, czy karteczki, nie dotyczyły spraw conclave. Książki, gazety, wchodzą swobodnie. Dla tego w dyaryuszach rękopiśmiennych znajdują się nieraz wzmianki o wypadkach politycznych, jak np. z czasów conclawe Grzegorza XVI, w dzienniku jednego z kardynałów, notatka o powstaniu listopadowem 16 grudnia 1830 roku: „Poczta dzisiejsza przyniosła wiadomość, że rewolucya wybuchła w Warszawie. Spodziewają się, iż wiadomość pobudzi kardynałów do przyspieszenia wyboru papieża.“

Zdarzy się czasem, iż niespodziewany wypadek zamąci spokój zebrania. I tak np. 16 stycznia 1831 roku bomba pękła pod wielkiem wejściem do pałacu papieskiego. Podczas wyboru Leona XIII nie było żadnej niespodzianki tego rodzaju, ale ręczyć nie można, czy w razie przyszłego conclave, massoni rzymscy nie będą próbowali przepłoszyć uczestników jakim małym dynamitowym zamachem.. Zdarzy się również, iż jeden z książąt Kościoła spóźni się z przybyciem, jak się to stało np. w roku 1878 z patriarchą lizbońskim. Prałat portugalski musiał czekać w pokoju marszałka, księcia Chigi, póki głosowanie tego dnia się nie skończyło, poczem był wprowadzonym przez kamerlenga. Arcybiskup Nowego-Yorku przybył do Rzymu, kiedy Leon XIII był już wybranym.

W dawniejszych czasach kardynałowie dzielili się na „stronnicztwa,“ mieli swoich przywódców; i dzisiaj coś podobnego zauważyć można, ale bez tego ostrego, politycznego charakteru, jaki był niezbędną przymieszką. I tak np. na ostatniem conclave były dwie partye: Franchi i Bartolini z jednej, Randi i Oreglio z drugiej: pierwsi za Peccim, drudzy przeciw niemu. Nie trudno przewidzieć, iż ścieranie się przekonania w przyszłym zebraniu obracać się będzie około mniej lub więcej wojowniczego, czy też twardego stosunku Kuryi do rządu włoskiego, lub też do pojedynczych aspiracyi kandydata do tyary, i co do interesów potrójnego przymierza, jeśli ono jeszcze istnieć będzie, w przeciwieństwie do Francyi i Rossyi. Budowa kolei żalaznych wpłynęła bardzo znacznie na fizyognomię zebrań tych. Dawniej, obcy kardynałowie rzadko brali udział w obradach, gdyż byli nadto oddaleni: Piusa IX żaden cudzoziemiec nie wybierał, choć ich było czterdziestu; na wyborze Leona XIII było ich już dwudziestu pięciu, obecnie zaś mamy trzydziestu dwóch kardynałów nie włoskiej narodowości, a nawet ich liczba przewyższa dzisiaj liczbę kardynałów włoskich. Pius IX stworzył 50 kardynałów obcej narodowości; Leon XIII po dziś dzień mianował 51 cudzoziemców, z których umarło 48.

Pomijam tutaj t. zw. konklawistów, t. j. pomocników kardynałów, kapelanów, chociaż, podczas dni ważnych sessyi pewną rolę odgrywają. Dziś już zresztą nie powtarzają się podobne zajścia, jak podczas conclave Piusa IV (w roku 1559), kiedy sekretarz jednego z hiszpańskich kardynałów podchodził do każdego z trzydziestu dwóch kardynałów i do ucha mu szeptał, że jego pan był-by tak szczęśliwym, gdyby jeden głos dostał, iż prosi, aby mu zrobić tę łaskę. I co powiecie, o mało co Hiszpan nie został papieżem, gdyż w ten sposób otrzymał był już 17 głosów; dopiero przypadkiem w rozmowie wydała się przebiegłość kandydata i podstęp spełzył na niczem.

Nie długą, ale czasem ważną rolę grają podczas conclave ambasadorowie mocarstw. Ambasador ma prawo wejść do sali i przedstawić życzenia swego monarchy. Udaje się on wtedy do bazyliki św. Piotra, a stamtąd do Watykanu, przez schody Konstantyna Wielkiego, gdzie go przyjmuje marszałek conclave, aby go zaprowadzić do własnego mieszkania i uraczyć, stosownie do przepisu, chłodnikami. Dzwonek, oznajmujący koniec skrutynium, jest zarazem hasłem do wpuszczenia posła do kaplicy sykstyńskiej, gdzie wobec zgromadzenia panującego chwilowo, jeśli jest katolikiem, przykłęka, a w przeciwnym razie kłania się głęboko. Ambasador oddaje zwykle dwa urzędowe listy, którym towarzyszy jego przemowa. Zresztą może i listownie objawić swój interes kardynałowi dziekanowi, lub innemu, bez wchodzenia do sali. I tak np. w roku 1830/31, minister rossyjski, książę Gagaryn, dowiedziawszy się, iż na conclave obiegały pogłoski, jakoby kardynał Capellari nie był persona grata w Petersburgu, napisał list do jednego z kardynałów, zaprzeczając wieści. Jakoż kardynał Mauro Capellari wybranym został i panował pod imieniem Grzegorza XVI. Częściej wpływali do obrad ambasadorowie katolickich państw, miewali z kardynałami tajne porozumienia; w karteczkach, gdzie purpurat prosił o bieliznę, o pewną potrawę, znalazły się sekretnym atramentem pisane słowa, odpowiedzi na komunikaty, jakie przyszły były z zewnątrz.

Za to prawo veto, wyłączenia, jakie służy niektórym mocarstwom, wykonywanem bywa jawnie. i rawo to służyło i służy Francyi, Austryi i Hiszpanii. Zwłaszcza ostatnia korzystała z niego w XVI w. w rozległy sposób, choć ono nigdy nie było stwierdzonem pismem, żadna bulla ani dokument nie wspominają o niem. Jego pochodzenie, jak i przebieg, wyszły z toku wypadków dziejowych,—utarło się i pozostało. W roku 1823 ks. Aponyi, poseł austryacki, wykluczył przez zawiadomienie kardynała Albaniego kandydaturę Severolego, choć ten

otrzymał był przy pierwszym zaraz głosowaniu 26 głosów. W roku 1831 Hiszpania wykluczyła kardynała Giustinianiego, byłego nuncyusa w Madrycie, gdyż objawiał sympatyę dla pretendenta, Don Carlosa. Conclave Piusa IX trwało zbyt krótko, aby mocarstwa mogły wykonać prawo veto. Mówią, iż Austria upoważniła była arcybiskupa medyolańskiego, Gaisrucka, aby on oświadczył się przeciw kardynałowi Mastai Ferretti, ale kiedy austriacki prałat przybył do Rzymu, Mastai był już od pięciu dni papieżem. Jeszcze prędzej przyszedł wybór Leona XIII, była nawet mowa wtedy o zniesieniu tej prerogatywy, czego widocznie w Watykanie sobie życzano. Ostatnie wypadki dziejowe stworzyły położenie tego rodzaju, iż powstało nowe państwo, Włochy, bardzo zainteresowane w wyborze papieża, ale to państwo nie może posiadać żadnego prawa wyłączenia kardynałów z wyboru, i ograniczyć się musi do roli, jak dotychczas, biernego, choć podejrzliwego, widza.

Nie z prawa, ale więcej ze zwyczaju, całkiem zresztą nieuzasadnionego, niejako wykluczonymi są od kandydatury dygnitarze dworu papieskiego, jak kardynał sekretarz stanu, kamerlengo, prefekt Propagandy i t. d. Było jednak kilka przypadków, iż właśnie oni otrzymali większość głosów, i tak np. Leon XIII był kamerlengiem, Grzegorz XVI prefektem Propagandy, a Leon XII kardynałem wikarym, jak nim: dziś jest kardynał Parocchi, jeden z kandydatów do białej sutanny, choć zdarzyło mi się usłyszeć zdanie, iż, jako syn piekarza i nie szlachcic, nie będzie miał wielkich szans.

Wymagana większość głosów wynosi, jak wiadomo, dwie trzecie, przyczem nikt nie może dać sam sobie głosu, a więc nie tak, jak się dzieje często w parlamentach. Kartka do głosowania wykazuje zawsze nazwisko osoby głosującej. Jeśli liczba kartek nie odpowiada liczbie zgromadzonych, głosowanie jest nie ważnem. U góry stoi napis do wypełnienia: „Ego Cardinalis“ a w pośrodku wydrukowany jest drugi napis: „Eligo in summum pontificem R. D. Meum D. Cardinalem“ Ci, którzy przy powtórnych głosowaniach nie zmieniają nazwiska kandydata, wypisują „Accedo R. D. Meo D. Card. Neminem,“ co znaczy, że przy pierwszym głosie obstają. Podczas ostatniego conclave zdarzył się zabawny przypadek, iż jeden z kardynałów, czy to przez roztargnienie, czy przez nieświadomość, jeśli może był cudzoziemcem, przy trzecim głosowaniu, zamiast wybrać kartkę z napisem „Accedo.“ oddał do głosowania blankiet: „Eligo in summum Pontificem Rever. D. Meum Cardinalem Neminem,“ który został unieważnionym wśród ogólnej wesołości. Kardynał Borromeo, ze względu, iż i tak już

kardynał Pecci otrzymał był więcej głosów nad wymaganą większość, skoro wybór był kanonicznym, kazał spalić, jak zwykle, kartki głosowe, która to ceremonia, zwana sfumata, oczekiwana jest niecierpliwie przez tłumy, stojące na dworze, a wyczekujące dymu, który z jednego z kominów się wydobędzie. Jak w tym ostatnim przypadku, kardynał Caterini ogłosił w pół godziny potem z balkonu bazyliki imię nowowybranego Leona XIII.

Nasnuwa się teraz pytanie: czy rząd włoski będzie starać się wnieść w obroty przyszłego conclave, czy będzie chciał wpłynąć na nie? Dzisiaj stosunek między rządem włoskim a Watykanem objawia raczej skłonność do złagodzenia, więc przyszłe conclave odbędzie się pewno w Rzymie bez zająć i przeszkód. Zresztą Pius IX zostawił szczegółowe rozporządzenia na wypadek, gdyby conclave miało się odbyć po-za wiecznem miastem, atoli ewentualność ta jest tylko wtedy możliwą, gdyby papież, albo, jak ktoś z liberalów się wyraził „ten stary z hotelu watykańskiego,“ miał Rzym opuścić, na co się nie zanosi.

*

*

*

Charakterystycznym znamieniem czasu i polityki duchowej Watykanu jest nowy miesięcznik „Bessarion,“ wychodzący od niedawna w Rzymie. Celem publikacji, jak już poniekąd wskazuje tytuł, jest podtrzymywanie i pielęgnowanie sprawy pojednania kościołów wschodnich, zbliżenia ich do Kościoła rzymskiego, w myśl encyklik papiejskich: „Praeclara“ (z d. 20 czerwca 1894) i „Orientalium dignitas Ecclesiarum“ (z d. 30 listopada tegoż roku). To też miesięcznik wychodzi jednocześnie w dwóch językach: po włosku w Rzymie i po grecku w Konstantynopolu. Nazwisko bizantyjskiego kardynała z XV wieku, znanego zarówno w świecie łacińskim, jak i greckim, ma być sztandarem, pod którym wyznawcy wschodnich obrządków, zarówno zjednoczonych, jak i dyssydenckich, znajdą rozbiór kwestyi kościelnych bieżących.

Upłynęło już półpiąta wieku od chwili zebrania się koncyliów ekumenicznych, w Ferrarze i Florencyi. Wtedy-to, w obecności papieża, cesarza Paleologa, patriarchów, arcybiskupów, teologów, młody jeszcze człowiek, ale znany już na wschodzie z nauki, oświadczył się

gorąco na korzyść unii kościołów. Był to Jan Bessaryon, arcybiskup nicejski. Wielkie dzieło Leona XIII, obliczone zapewne na dobrą metę, wywołało jego pamięć z pomroki i zapomnienia wieków. Urodził się w Trebizondzie, zdaje się w roku 1403, odbył nauki w Konstantynopolu i wszedł do zakonu świętego Bazylego. Jan VIII, Paleolog, cesarz bizantyjski, postanowiwszy w roku 1438, udać się do Ferrary, dokąd zwołanym był sobór przez papieża Eugeniusza IV, wziął go z sobą. Jak wiadomo, builą z d. 10 stycznia 1439 roku, tenże papież, ze względu na zarazę, panującą w Ferrarze, przeniósł koncylium do Florencyi, gdzie w katedrze odbywały się posiedzenia. Obie wielkie sprawy: połączenie kościołów, a z drugiej strony wyswobodzenie państwa bizantyjskiego od najścia Turków, pozostały pobożnem życzeniem stolicy apostolskiej. Władysław Warneńczyk, z namowy legata Cezaryniego, z wojskami węgierskimi wyrusza na Turcyę i ginie w klęsce pod Warną. Ciężej poszło z sejmem niemieckim, i w roku 1460 Pius II wybrał Bessaryona, naówczas już kardynała, aby się udał do Norymbergii gdzie, pomimo wysiłków, żadnego postanowienia doczekać się nie mógł. Wyswobodzenie ojczyzny swojej z podboju tureckiego było myślą przewodnią całej dziejowej działalności kardynała. W Rzymie spotkał się z innym duchownym obrządku greckiego, Izydorem, metropolitą kijowskim, który około roku 1464 w Rzymie życie zakończył jako kardynał, z tytułem S. Pietro e Marcellino. Po śmierci Izydora Bessaryon otrzymał tytuł patriarchy konstantynopolitańskiego, który tamten posiadał.

Tymczasem młody Tomasz Paleolog, despota Morei, uciekający z swego państwa przed Turkami, przybył w roku 1462 do Rzymu, aby błagać Papieża o pomoc u książąt chrześcijańskich. Paleolog żył w Rzymierazem z dwiema córkami, z których jedna, Zoë, oddaną była po śmierci ojca pod opiekę Bessaryona i następnie poszła za mąż za Iwana III Wasylewicza. Ale i tutaj nadzieje, jakie kardynał pokładał w politycznem małżeństwie, czy to w sprawie zbliżenia kościołów, czy krucjaty na Turcyę, spełzły na niczem. Do końca życia pielęgnował nadzieję, iż monarchowie zdobędą się na nową wojnę krzyżową; w roku 1472 Bessaryon powierzoną ma odnośną missyę do Ludwika XI. Wracając z tej podróży, zachorował w Rawennie, gdzie też umarł 18 listopada 1472 roku. Ciało jego pochowanem jest w kościele świętych Apostołów w Rzymie. W starym klasztorze bazylikańskim, Grotaferracie, pod Frascati, przechowały się po nim pamiątki.

Miesięcznik, ochrzczony imieniem kardynała, oprócz spraw kościelnych wschodnich, podaje artykuły szerszego interesu, jak np.:

„O rozjemstwie papieża w sporach międzynarodowych,“ „Dogmat katolicki w pomnikach katakumb rzymskich,“ „Najstarsze wyobrażenie N. M. Panny“ (w katakumbach świętej Pryscylli), i wreszcie kronikę unii, nietylko na Wschodzie, ale i na półwyspie bałkańskim i w krajach protestanckich.

A. DAROWSKI.

Z cyklu: Italia.

Drobiazgi włoskie.

III.

Do wierzby w Prato.

Wierzbo moja, płaczko moja,
Wspólne nasze łyzy...
U jednego tęsknot zdroja
Stoim — ja i ty.
Na rozdrożu, na tułaczem,
Gdzie nas rzucił los,
Przeminionej wiosny płaczem,
W jeden szum i głos.

Płaczem doli i kochania
Tych umarłych róż,
Co na pogrzeb im podzwania
Złota fala zbóż...

I dalekiej płaczem chaty,
Gdzie zawarty próg,
Gdzie zabite leżą kwiaty,
U pielgrzymia nóg.

Idą ranki i wieczory,
Tęskność w sercu trwa.
Łkają twoje śpiewne kory,
Piosnka moja lka...

Co tu po mnie? co po tobie?
Gdzie nasz bratni chór?
Zabłąkane my tu obie
W czarny, ludzki bór...

Zabłąkane my rówieśnie
W obcą, cudzą dal,
Jedne w sercu brzmią nam pieśnie,
Jeden w pieśniach żal...

Jedno po nas też zostanie,
Gdy się skończym już:
— Fujarkowe, ciche granie
W echach pól i dusz!

IV.

Z o d d a l i.

Co mi nada, co pomoże,
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała,
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,
Kiedy serce moje płacze,
Za kochaniem swem kołacze,
Z tych dalekich dróg!

Obejdz lądy, opłyn wody,
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci strzechę twą osłania,
Twój radosny ul...

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól...

W marmurowych chodzisz gradach,
Utęskniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką,
Strugą modrą, srebrną rzeką,
Het, przez łązny szlak...

Wskroś palm wiania—słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany,
Śpiewać, dumać naprzemiany,
Co tam, gdzie — i jak!

MARYA KONOPNICKA.

Juljan Dunajewski.

(Mowy Juljana Dunajewskiego w sejmie krajowym i w radzie państwa, przetłómaczył objaśnił i wydał dr Wł. Leopold Jaworski, przedmowę napisał Dr Piotr Górski.
Tom I. 1896).

W pierwszej połowie XIX-go stulecia nauka polityczna nazwała państwo nowożytne konstytucyjnem. Nazwa zaś powyższa wyrażała więcej idealny postulat, czyli pożądanie konstytucyjnego ustroju, aniżeli fakt spełniony. W pierwszej bowiem połowie XIX wieku nie wszystkie państwa pozyskały konstytucyę, stwarzającą dla władz rządowych legalne szranki i zabezpieczającą swobodę indywidualną od samowoli rządowej. W ostatnich dopiero dziesiątkach lat postulat naukowy, zwiastowany głównie przez Benjamina Constant we Francyi, a przez Rottecka w Niemczech, przybrał kształty rzeczywiste we wszystkich krajach zachodniej i środkowej Europy, nauka polityczna jednak nie zadowolniła się pozyskanym tryumfem i poczęła wskazywać państwu nowe zadania i nowe doniosłe cele, za któremi w ślady szły nowe nazwy, usuwające już nazwę państwa konstytucyjnego na plan drugi.

Udział, jaki państwo XIX wieku wzięło w przeprowadzeniu reform socyalnych, skłonił niektórych uczonych do twierdzenia, że

najważniejsze jego zadania i cele w tym właśnie spoczywają kierunku. Rösler napisał nawet dzieło, przyozdobione oryginalnym tytułem: „das sociale Verwaltungsrecht,“ a Stein przekonywał, że w przyszłości czwartym z kolei porządkiem państwowym będzie socjalny, choć zadaniem tego porządku nie będzie bynajmniej wprowadzanie w czyn socjalistycznych mrzonek i utopii, tylko uwzględnianie w prawodawstwie i administracji natury społeczeństwa, łącznie z jego nieodzownymi prawami rozwoju, a zapobieganie zwyrodnieniu lub wytwarzaniu się pasorzytnych, czy rozkładowych żywiołów społecznych.

Nauka nie ograniczyła się jednak na utożsamieniu państwa z konstytucją, lub z jednym administracyjnym zadaniem. Znaleźli się uczeni, którzy państwo nowożytne przewalili państwem parlamentarnem (Parlaments-Staat), lub parlamentarnem państwem praworządmem (Parlamentarischer Rechtsstaat). I jedna, i druga nazwa opierała się na tem spostrzeżeniu, że w ostatnich dziesiątkach lat główne ognisko państwowego życia tkwiło w parlamentach, czyli sejmach, i że z tych organów przodowych płynęło prawodawcze światło na całe społeczeństwo, wraz z finansowemi zdrojami, skrzepiającemi organizm państwowy.

Niewątpliwie nazwa państwa parlamentarnego nasuwała najprzód na myśl Anglię, gdzie też prawdopodobnie określenie powyższe wzięło początek. W Anglii bowiem już od końca XVII wieku parlament nosił cały naród angielski, a władza jego była taką, że, jak Blackstone utrzymywał, jedynie mężczyzny nie mógł przeistoczyć w kobietę. Gdy zaś w XVIII wieku wyrobił się prócz tego w Anglii system rządów parlamentarnych, wymagający, aby ministerjum opierało się na większości izb parlamentu, nazwa państwa parlamentarnego zdawała się nie zawierać nic rażącego.

Do krajów kontynentalnych mniej się jednak nazwa parlamentarnego państwa nadawała, i dziś nawet, w tem znaczeniu, jakie jej przypisano, nie do wszystkich w równym stopniu odnosić się może. W każdym razie, zaprzeczyć temu objawowi trudno, że w ostatnich czasach znaczenie i wpływ parlamentów, czy sejmów, wzrosły znakomicie.

Piętnaście lat temu zaledwie, powiada jeden z poważnych pisarzy francuskich w roku 1893, a izby parlamentu nie zajmowały

¹⁾ *Bucher*. Der Parlamentarismus wie er ist—używa wyrażenia Parlaments-Staat, a *Maurus*. Der moderne Verfassungsstaat, używa terminu, der parlamentarische Rechtsstaat.

w ustroju naszym politycznym tego stanowiska, jakie zajmują dzisiaj.—Przedtem wobec władzy wykonawczej uznane były wprawdzie izby, jako niezależna potęga, ale ją nadzorowano, a nawet jej niekiedy grozono. Obok woli izb istniała wola samoistna rządu, i przyznawano nawet, że ta druga wola winna być przewodniczką pierwszej, co sprowadziło w następstwie dużo swarów i kłótni, aż nareszcie parlament pozyskał prawo zapobiegania zbytniemu wtrącaniu się rządu do jego pracy i czynów. Dziś położenie rzeczy zmieniło się zupełnie, dziś bowiem same izby są rządem. „Les Chambres sont le Gouvernement lui-même.“ Zamiast działać samoistnie, ministrowie myślą o tem jedynie, jak przeniknąć usposobienie, oraz intencje większości. Programem ich nie jest też bynajmniej przewodniczenie tym, których wyborcy powołali do reprezentacji kraju, ale odkrycie tajemnicy głosowania, w której tkwi posiadanie dłuższe władzy w swych rękach. Owo przeistoczenie się stanowiska izb parlamentu nie nosi bynajmniej charakteru wyłącznego francuskiego, nastąpiło ono nietylko w całej Europie, ale, rzecz można w całym świecie. Nawet w Niemczech kanclerze zmodyfikowali znacznie swe przemówienia do parlamentu, a w klasycznej ziemi wschodniego feudalizmu, Japonii, stworzono niedawno temu konstytucyę, która uposażyła izby prawie w taką samą władzę, jaką posiada izba gmin w Brytanii ¹⁾.

Z tem wszystkiem zaznaczyć należy znaczną różnicę, jaka jeszcze po dzień dzisiejszy istnieje między państwami, w których konstytucya wypłynęła z ludowego zwierzchnictwa (*souveraineté du peuple*), a temi, którym zasadnicza ustawa została nadana, czyli okrojowaną, albo też określoną obustronną, czyli synallagmatyczną ugodą ²⁾. W pierwszym szeregu państw parlament mógł w szybkim postępie zniweczyć samodzielność wykonawczej władzy i stać się nieomal sam rządem: w drugim jednak rządzie państw monarchizm wprawdzie ujrzał się w konieczności zawarcia przymierza z nowożytnem społeczeństwem, i ten kompromis wyraził albo wpozornie niewymuszonym nadaniu konstytucyi, albo też w ugodzie, która sformułowała zobopólne prawa i obowiązki; konstytucye jednak, będące wpływem ustępstw monarchicznej władzy, zakreślały parlamentom, czy sejmom, dalekoskromniejsze stanowisko, a zachowując w ustroju ich dużo naleciałości, odziedziczonych w spuściznie po starym porządku państwowym, nie dozwoliły im zrosnąć się z szero-

¹⁾ *Pierre. Traité de droit politique electorale et parlementaire. Str. VI.*

²⁾ *Borysaud. Établissement et révision des constitutions en Amérique et en Europe Str. 54,*

kiemi warstwami społeczeństwa. Przytem monarchizm zachował nadal nie tylko pełną władzę wykonawczą w swych rękach i był w możności zapobieżenia wszelkiemu mieszanemu się sejmów do prerogatyw korony, ale w dodatku niepodzielnie w nim uosobione było zwierzchnictwo państwowe nawet w sferze prawodawczej, albowiem dopiero sankcyja monarcha nadawała uchwałom sejmowym siłę i moc obowiązującego prawa.

Wobec takich warunków, stanowisko parlamentów, czy sejmów, nie mogło się stać odrazu przewodniem, i władza monarchiczna potrafiła niejednokrotnie kierować losami państw, wbrew najwyraźniejszej woli i pragnieniom reprezentacyi kraju. Że jeszcze kilkadziesiąt lat temu wstecz, monarchizm nie uważał sejmów za organ, który-by mu zdołał sprostać w politycznej mocy, lub w społecznym wpływie, dowodem tego, co Bismarck w wyłaniu szczerości opowiedział swego czasu Bluntschlemu. Były to reminiscencye z owej doby, gdy izba poselska pruska żywiła zupełnie odmienne przekonania od Korony, której energicznym i stanowczym rzecznikiem był Bismarck. Gdyby monarcha (późniejszy cesarz Wilhelm I) pewnego dnia życzył sobie uwięzić wszystkich posłów, oświadczył Bismarck, postąpił-by wprawdzie nie jako konstytucyjny minister, ale wszyscy posłowie znaleźli-by się niewątpliwie pod kluczem, w Spandawie. Pozwolę sobie wątpić o tem, czy-by dziś ks. Bismarck, stojąc na czele pruskiego rządu, ośmielił się coś podobnego powiedzieć, choćby nawet pośrednio, reprezentacyi kraju, a jeżeli cesarz Wilhelm udzielił kilka lat temu parlamentowi niemieckiemu bakałarskiej nagany za to, że w przepisany przezeń sposób nie chciał przyjąć udziału w jubileuszowych uroczystościach Bismarcka, to zinnie przyjęcie cesarskiego napomnienia przez parlament, mający za sobą opinię całych Niemiec, wskazywało wyraźnie, że instytucye reprezentacyjne w państwach niemieckich, zarówno jak i w Cesarstwie, przybrały politycznie na tuszy i największa forteca mogłaby stać się za ciasną i za słabą, aby te instytucye murem więziennym oddzielić od społeczeństwa.

Jeżeli w Niemczech powaga parlamentu i sejmów w ostatnim dziesiątku lat znacznie wzrosła i spójnia reprezentacyi kraju z resztą społeczeństwa stawała się coraz to serdeczniejszą, to objawy podobne w wyższym stopniu dawały się spotrzegać w państwach skandynawskich, Danii, Włoszech, Hollandyi, Hiszpanii i Belgii, że pomimo drobniejszych państwka na południowym Wschodzie Europy. Wszędzie parlamenty wobec władzy monarchicznej pozyskały, jako reprezentacyjny organ całego narodu, należyty wpływ na sprawy publiczno.

Ze względu, że w XVI stuleciu wszystkie prawie znaczniejsze państwa w Europie posiadały reprezentację stanową, uposażoną przez władzę monarchiczną rozległemi przywilejami, a że w XVII wieku doniosłość i stanowisko tychże sejmów stanowych zmalały do niepoznania, albo znikły zupełnie, powstaje kwestya: czy przypadkiem i nowożytnych parlamentów albo sejmów tenże sam los nie oczekuje w niedalekiej przyszłości, i czy ów niezaprzeczalny wzrost potęgi i powagi organów reprezentacyjnych z doby bieżącej nie jest łudzącym, czy nie zniknie niezadługo, ustępując miejsca monarchizmowi, utożsamiającemu się, jak za czasów Ludwika XIV, z całym państwem.

Dumont zauważył swego czasu, że gdy stany generalne Francji zakończyły swój żywot bez żadnych szczególnych ze strony monarchizmu wysiłków, parlament angielski, posiadający zrazu daleko mniejszą od stanów generalnych władzę, oparł się przez wieki całe zamachom najsamowolniejszych i najenergiczniejszych monarchów Brytanii ¹⁾. Objaw ten zastanawiający był następstwem ważnych przyczyn, które tkwiły przedewszystkiem w tem, że parlament angielski rozstał się wczesnie z zasadami organizacyi stanowej i zdołał wypracować zwarty porządek państwowy, który się stał wzorem niedoścignionym dla konstytucyi kontynentalnych.

Zasadę rzetelnej wartości, że wszelkie królestwo w rozdrożeniu zniszczeje, można zastosować i do dawnych sejmów stanowych. Murem przywilejów oraz immunitetów odgradziły się pojedyncze stany wzajemnie od siebie, od władzy monarchicznej i od masy rolnego oraz miejskiego ludu, na którego barki ciężar cały podatków państwowych zwały. Na sejmach zjawiały się uprzywilejowane stany w imię interesów własnych, i uważając prawo uczestniczenia za przywilej rzeczowej natury lub za mandat wypływający z prywatnego prawa, rzadko kiedy dochodziły do porozumienia się z sobą, a mniejszość nie czuła się zobowiązana do ulegania większości. Ze zbiorowiska też tylu samoistnych, uprzywilejowanych interesów, rzadko kiedy wychodził zwycięskim interes dobro całego państwa mający na pieczy. Najczęściej trudno było wobec tak skomplikowanej maszyneryi, jaką sejm stanowy przedstawiał, wyrozumieć wolę większości sejmujących sta-

¹⁾ Oeuvres de Bentham (tłóm. Dumont T. I str. 374, Discours préliminaire de Tactique des Assemblées politiques délibérantes.

nów, i zgromadzenie czyniło wrażenie niezorganizowanego, luźnego tłumu, który na nazwę korporacji politycznej nie zasługiwał ¹⁾.

Parlament angielski otrząsnął się wcześniej z prawnoprywatnych pierwiastków, będących właściwością organizacji stanowej, i przechowawszy w swym ustroju zasady prawa państwowego, przekazał je do uwzględnienia stałemu łądowi Europy. Przedewszystkiem konstytucya angielska nie dopuściła do owego odgraniczenia się uprzywilejowanych stanów, bądź w parlamencie, bądź to w samorządzie miejscowym, bądź to wreszcie wobec monarchy. W Anglii stany nie zdołały przeistoczyć się w rzeczypospolite, posiadające własnych poddanych i paktyzujące z koroną, a „Magna Charta“ z 1215 r. nie czyniła różnicy między uprzywilejowanymi a resztą ludu, lecz zapewniała każdemu opiekę i sprawiedliwość ²⁾. W parlamencie angielskim nie spotykamy też reprezentacyi w odosobnieniu stanowem i na mocy uprawnień o charakterze prywatnym zgromadzonej, lecz izbę gmin, złożoną z przedstawicieli hrabstw, która od początku swego istnienia pozyskała charakter politycznej korporacyi, uosabiającej całą naród angielski. W ślad za przeświadczeniem jedności narodowej pozyskał parlament angielski i inne polityczne zasady, które zapewniły mu tak długowieczny i pożyteczny żywot. Mandat prawodawczy do izby gmin pozbył się prywatnego znaczenia, instrukcye krępujące pełnomocników na sejmach stanowych wyszły z użycia ³⁾, wreszcie mniejszość musiała ulegać większości, i wtedy jedynie mogła jej stawić skuteczny opór, jeżeli większość zamierzała uczynić wyłom w kardynalnych zwyczajach angielskich, zwanych „Common Law“. Parlament angielski zatem, pod powłoką starożytnych form, wyrobił w sobie rdzennie polityczny charakter. Stanowił on mimo wadliwego prawa wyborczego rzetelną reprezentacyę kraju, która na progach gmachu zwykła składać partykularne interesa wyborców i pamiętała dobrze te znamienne słowa, wyrzeczone niegdyś w izbie gmin: „miasto mnie wybrało, ale reprezentując całą Anglię“ ⁴⁾.

¹⁾ Oeuvres de Bentham (tłomaczenie Dumont) T. I str 374 „C'était plutôt une coque qu'un corps politique: et leur véritable caractère peut s'exprimer en deux mots: fougue pour le présent et l'imprévoyance pour l'avenir“

²⁾ Bucher. Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 62. Wybornie wykazał też samą właściwość Wielkiej Karty Hofman. Historia nauk politycznych w Polsce. Str. 22.

³⁾ Bucher. Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 72.

⁴⁾ Bucher Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 91.

Państwa stałego ładu przejęły od Anglii główne zasady parlamentarnego ustroju, ale zwłaszcza w Niemczech, w pierwszej połowie XIX stulecia, zasady powyższe nie od razu odzyskały wyrazisty polityczny charakter, lecz pokryte zostały formalizmem, odiedzionym po stanowym ustroju. Jakkolwiek też izby wyższe kontynentu nie miały tej społecznej siły i tego politycznego doświadczenia, co izba lordów, a izby niższe nie poczuwały się do obywatelstwa zacierającego wszelkie różnice stanowe, jak to czyniła izba gmin; to jednakże w każdym razie i jedno, i drugie zyskiwały coraz więcej współczucia wśród społeczeństwa i położenie ich, zrazu wobec władzy monarchicznej prekarne, stawało się coraz to niezależniejszym i bardziej poważanem.

Jeżeli też w pierwszej połowie XIX stulecia dzieje sejmów krajowych niemieckich notują wiele wypadków jawnego lekceważenia. z jakim reprezentacyjne organa bywały przez panujących traktowane ¹⁾, to w drugiej połowie tegoż wieku, zwłaszcza gdy resztki sądownictwa patrymonialnego zniknęły i wielka reforma agrarna w postaci uwłaszczenia włościan dokończoną została, wzrost wpływu i znaczenia sejmowych instytucji jest zbyt wyraźnym i widocznym, aby go przeoczyć było można. Prawo wyborcze rozszerzało coraz to bardziej koło wyborców, powołując do urny, w miejsce dawnych dziesiątek, setki tysięcy, a w miejsce dawnych setek tysięcy, miliony wyborców. Dzięki temu sejm wchodził w powinowactwo polityczne z całą masą narodu, przejmował pragnienia i potrzeby wszystkich klas społecznych i przez to samo stawał się z dniem każdym coraz to poważniejszą korporacją polityczną.

Jednocześnie ze znaczeniem parlamentów i sejmów rosła ich praca, zwłaszcza w dziedzinie prawodawczej. Bucher przytacza ciekawe porównawcze zestawienie parlamentu angielskiego z czasu od 1225—1272, roku z epoką panowania królowej Wiktoryi od 1837 do 1853 roku. Gdy w pierwszym okresie wydał parlament aktów 15, z czego przeciętnie na rok wypadało 0,3 aktu, w drugiej dobie parlament wydał aktów 5334, czyli, że rocznie przypadała cyfra 533,4 ²⁾. Parlament angielski nazwano też oddawna fabryką ustaw, a przewiśko powyższe można było stosować i do parlamentów stałego ładu.

¹⁾ Dzieje sejmów krajowych niemieckich w pierwszej połowie XIX stulecia przedstawił szczegółowo i dokładnie, jakkolwiek w oświeceniu tendencyjnym *Treitschke* w dziele swem: *Deutsche Geschichte*.

²⁾ *Bucher* *Der Parlamentarismus wie er ist*, Str. 150.

Nauka polityczna w najlepszej wierze żywiła to przekonanie, że parlamenty czy sejmy podolają wielkiemu zadaniu, i że reprezentacye kraju, obejmując w swem gronie najodpowiedniejsze i najzdutniejsze pierwiastki, odczują głęboko wszelkie potrzeby społeczeństwa i państwa, a tem samem, że wytworzą prawodawstwo, zgodne z naturą stosunków miejscowych, że wynajdą najsprawiedliwszy rozdział ciężarów publicznych i najskuteczniejszy sposób kontrolowania władzy wykonawczej. Lecz ażeby reprezentacya kraju wypełniła tak liczne i trudne zadania, trzeba, aby członkowie jej, a przynajmniej większość składu, stała na wysokości powołania, aby miała nie tylko przeświadczenie o swej politycznej misyi, ale i doświadczenie, jak działać należy, aby dojść do pożądanego celu, którym ostatecznie jest dobro publiczne.

Kto jednak z ustaw obowiązujących i z nauki polityki wystudjuje obowiązki, zadania i przeznaczenie reprezentacyi krajowej, a następnie ową subtelną i pełną politycznego rozumu teorię porówna z życiem i czynami parlamentów czy sejmów, ten niewątpliwie na razie dozna pewnego rozczarowania i zdola się przekonać, że rozważna sędziwość jest udziałem wyłącznym wszelkiej teoryi, życie bowiem samo zdradza zawsze zieloność, będącą także i objawem niedojrzałości. Każdy z wyborców, stający po raz pierwszy przy urnie wyborczej, każdy reprezentant, wkraczający po raz pierwszy w obręb parlamentu, dostrzega inny organizm polityczny i atmosferę odmienną a na pozór zupełnie sprzeczną z tą, o jakiej go teoria i ustawy obowiązujące pouczyły.

Na samym wstępie do życia reprezentacyjnego spotyka się każdy z fikcyami czyli przypuszczeniami, które wypełniają braki, jakie rzeczywistość przeciwstawia postulatowi nowożytnego państwa. Wyborcy np. wyobrażają całość obywateli, gdy tymczasem nawet tam, gdzie zaprowadzono głosowanie powszechne, nie wszystkim obywatelom przysługuje prawo głosowania i zaraz dostrzegamy fikcyę, biorącą część za całość i godzącą się z usunięciem pewnych kategorii od urny wyborczej. Silniejszym jest jednak rozczarowanie, jeżeli kto zechce uważnie śledzić: czy istotnie wyborom przewodniczy wzgląd na dobro całego państwa i czy temu ważnemu aktowi można nadać charakter polityczny. W rzeczy samej wśród wyborców, zarówno jak i wśród sejmujących, nie spotykamy dzisiaj oddzielonych odrębnymi przywilejami oraz interesami stanów, jak to miało miejsce za starego porządku rzeczy; ale klasy w znaczeniu społecznym i stronnictwa w znaczeniu politycznym nie zniknęły ani na chwilę.

Każda z onych warstw społecznych ma swe odrębne interesa, ekonomiczne zarówno, jak i socyalne, które z interesami innych klas stoją nieraz w rażącej sprzeczności. Aby tym pragnieniom partykularnym na-

dać moc i siłę, musi się każda z tych klas starać o wpływ polityczny, który nieuchronnie stwarza konieczność zorganizowania stronnictw politycznych. Nie tylko jednak interesa ekonomicznej lub socyalnej natury stwarzają rozdział w kole wyborczem, zarówno jak i w reprezentacyi państwowej. Narodowościowe, wyznaniowe lub czysto historyczne powody służą dość często za potężne ognisko, wokół którego grupują się stronnictwa polityczne, czyli, że zaraz przy urnie wyborczej spotykamy się przeważnie z takimi, którzy dobro powszechnie i rozwój czy udoskonalenie porządku państwowego rozumieją przedewszystkiem o tyle, o ile ich interesa stronnice największą przy tem korzyść odnoszą. Jeżeli zaś znajdzie się jakiś maniak z poczuciem idealnem dobra ogólnego, to wpływ jego zniknie zupełnie i pędzić będzie żywot odosobniony po za zwartemi kołami stronnictw, jako „dziki.“⁴

Gdyby wyborcy dzielili się tylko na grupy, opierające się na poważniejszym publicznym interesie jakiegokolwiek bądź natury, można-by jeszcze sposobem nieco rabulistycznym wytłómaczyć, że przewodniczy wyborcom dobro publiczne pewnego stronnictwa, które w każdym razie dąży do politycznych celów; ale, niestety, zbyt często trzeba się było rozstać i z temi nawet blahami illuzjami. Przekupstwo bowiem, zarówno jak i wpływ władz administracyjnych, czyniły niekiedy z wyborców trzodę głosujących (*Stimmvieh*), a od tych wad nie był nawet wolnym wyborca angielski, gdyż swój wolny głos ofiarowywał zwykł więcej dającemu, i zazwyczaj jedno krzesło w izbie gmin kosztowało szczęśliwego kandydata, jeśli pragnął w niem zasiąść, około 30,000 rs. ¹⁾

Tak samo każdy reprezentant kraju spotykał się w obrębie parlamentu z szeregiem fikcyi, które z praktyką życia sejmowego zdawały się być w rażącej sprzeczności. Nauka polityczna, zarówno jak i ustawa konstytucyjna, pouczały każdego posła, że reprezentacya w parlamencie czy sejmie przedstawia cały naród danego państwa i dla tego zdolną jest wyrazić wszystkie jego potrzeby i pragnienia. W rzeczywistości jednak, ponieważ w wyborach bierze zazwyczaj udział co najwyżej 50% wyborców, a większość absolutna decyduje najczęściej o wyborze, reprezentacya więc nosabia w normalnych warunkach nie wiele więcej nad 25% całego narodu, a nie brakło przykładów, że przy wadliwym ustroju wyborów i roznamiętnionej walce stronnicej stosunek w stopie procentowej obliczany był jeszcze niższy ²⁾. Stron-

¹⁾ *Maurus*. Der moderne Verfassungsstaat. Str. 152, tym sposobem każde nowe wybory do parlamentu kosztują Anglię około 1½ miliona £st.

²⁾ *Maurus*. Der moderne Verfassungsstaat, str. 137.

nictwa, które opanowały urnę wyborczą, występowały zazwyczaj w zgromadzeniu parlamentarnem z jeszcze większą natarczywością, zdobywając sobie zwolenników wszelakimi sposobami, między którymi znalazły niejednokrotnie poczyste miejsce przekupstwo i postrach. Każde z tych stronnictw pragnęło wyzyskać prawodawstwo państwowe na swoją korzyść, każde pragnęło ciężar podatków z swoich bark zepchnąć na cudze, a stronnictwo rządowe dążyło zazwyczaj do unicestwienia kontroli nad władzą wykonawczą i do pozyskania swobodnego szafunku funduszem publicznym.

Gdyby kto chciał sądzić wartość polityczną nowożytnych parlamentów podług pesymistycznych poglądów niektórych uczonych, jak np. Bucher lub Maurus, ten nietylko musiał-by zwątpić o wszelkiej przyszłości reprezentacyjnych rządów, ale w dodatku dziś już winien-by reprezentację uważać za szkołę bezwzględniego i przebiegłego wyzysku cudzych interesów na swą własną stronnictwą korzyść. Niedosć jednak, że wśród tej targowicy, którą niektórzy nazywają wprost bez ceremonii szacherką parlamentarną ¹⁾, traci każdy reprezentant możność oryentowania się w sprawach publicznych, ale w dodatku najlepsze jego chęci i zacny charakter zazwyczaj nie są poparte należytem doświadczeniem i wyrobieniem w życiu politycznem. Dla parlamentu angielskiego wyborań szkołą przygotowawczą był samorząd lokalny. Troska o dobro publiczne parafii oraz hrabstwa uczyła rozumieć sprawy rozleglejszej natury, a przywiązanie do spraw gminnych i zajmowanie się codziennie niemi wyrabiało obywatelski charakter i dawało pewne polityczne doświadczenie.

Jeżeli angielski parlament nie we wszystkich kierunkach prawodawczej działalności stanął na wysokości zadania, to nie można się dziwić, że ta sama działalność sejmów kontynentalnych doczekała się od pesymistycznych uczonych summarycznego potępienia. Samorząd lokalny w państwach stałego ładu zaledwie się wydobywał z powijaków patrymonialnych, ale na to tylko, aby być znowu starannie spowitym przez biurokracyę rządową. Nie mógł więc on zasilać wyrobionemi w służbie publicznej obywatelskimi pierwiastkami parlamentów, a inne żywioły, mimo wielu przyniotów, nie zdołały się uporać z gmatwaniną interesów stronnictwych, a tem samem często nie potrafiły technąć politycznego ducha w prawodawcze dzieło i pracę.

Parlamentey i sejmy dzisiejszej doby nie pozostawiły jednak swoich członków w zupełnej rozterce i na bezdrożach, gdzie panowały: prze-

¹⁾ Maurus—Der moderne Verfassungsstat. Str. 145.

biegłość i ślepy traf. Regulamin parlamentarny Anglii, wyrobiony wiekowem doświadczeniem, zawarł wyborną taktykę, którą się kierując, mogą się ochronić organa polityczne obradujące od terroryzmu interesów partykularnych i od fałszowania lub przynajmniej wypaczania woli większości. Bentham wypowiedział w mistrzowski sposób te wszystkie racye stanu, które wytworzyły regulamin parlamentarny, a praktyka reprezentacyjnych organów stałego ładu dorzuciła do tych cennych nauk niejedno ważne spostrzeżenie. Jednem słowem, dziś dyskusya parlamentarna winna poinformować każdego członka dokładnie o programach wszelkich stronnictw, o ich sile, a przedewszystkiem o wartości ich zasad i gruntowności ich prawodawczych projektów. Dopuszczenie każdego, choćby drobnego stronnictwa, do słowa, przedstawienie w kontradictoryjnym porządku projektu i jego krytyki, pozwala po wyczerpującej dyskusyi zorientować się każdemu członkowi i wyrozumić, gdzie się znajduje potrzeba publiczna, a gdzie interes stronnictwy.

Pomaga również do przejścia się obowiązkami obywatelskimi i do stłumienia w sobie wszelkich egoistycznych, stronnictwych pragnień duch polityczny, ogarniający całą reprezentacyę nowożytną i przenikający tem samem na wskroś każdego z jej członków. Odkąd równość prawna usunęła z obrębu parlamentów i sejmów stanowy rozdział w prawno-państwowem znaczeniu, reprezentacya narodowa nie uosabia bynajmniej summy interesów prywatnych lub publicznych, ale cele polityczne, pod płaszczykiem których jedynie ukrywały się zżęcznie interesa niższej kategorii. Stronnictwa, występujące w łonie reprezentacyi nowożytnej, nosiły wybitne polityczne znamię. Programy ich, mimo ukrytych pragnień faworyzowania pewnych, wyłącznych sfer, musiały jawnie dążyć do ogólnego dobra i tym względem motywować potrzebę zmniejszenia ciężarów pewnej klasie, czyli oszczędzania jej sił podatkowych.

Prawdą jest, że stronnictwa utożsamiały niejednokrotnie swój interes z dobrem całego państwa i, ukrywając sprytnie ekonomiczne oraz społeczne korzyści swego programu, starały się przekonać reprezentacyę o jego wysokich politycznych przymiotach. Najpotężniejsze jednak stronnictwo, rządzące znaczną większością parlamentu, nie zdołało na długo usnąć politycznego ducha reprezentacyi państwowej i wyzyskiwać go gwoli interesom wyłącznych klas społeczeństwa. Niewątpliwie znajdowały się w dziejach nowożytnego parlamentaryzmu „chambres introuvables“, oddane duszą i ciałem stronnictwu rządowemu i osłaniające swą powagą nadużycia władz administracyjnych; były reprezentacye, sprzyjające więcej klasom rolniczym, niż żywiłom miejskim i wybrano nawet w tym celu przeważnie wśród wiejskiej lu-

dnosci, jak np. senat ostatniej Rzeczypospolitej francuskiej, aby ukarać miasta za ich anarchiczne dążenia ¹⁾; nie brakło izb, usposobionych przyjaźniej dla mieszczaństwa lub specjalnie dla drobnej własności ziemskiej, a uważających większych właścicieli za rdzę społeczną, która przypadkowo pozostała w spuściznie po starych rządach wreszcie znalazły-by się i takie izby, które, równemu a słusznemu rozdziałowi podatków kłam zadając, z rozmysłem przeciążały jedne warstwy, a drugie zbyt wielkimi obdarzały ulgami. Z tem wszystkim jednak nie można pomówić rządów reprezentacyjnych nowożytnych, aby się wyparły swego posłannictwa politycznego, służebnicząc wytrwale jednemu stronniczemu interesowi. Całe szeregi zarzutów, jakimi pisarze polityczni obecnej doby obrzucali prawodawczą działalność i finansową gospodarkę parlamentów, dowodziły więcej niedoświadczenia, panującego wśród twórców nowego państwowego porządku, aniżeli złej woli, która, jak to dawniej często się zdarzało, prywatę stanowią kładła po nad publiczne dobro.

Dzieje sejmowania kontynentalnego są nawet jednym pościgiem za dogodnym ustrojem państwowym, w którym-by jednostka znalazła odpowiednią swobodę dla swej działalności, ciężary publiczne zostały sprawiedliwie i słuszenie rozdzielone między obywateli, a reprezentacja sejmowa przedstawiała interesa wszystkich warstw społecznych i dobro publiczne całego państwa. Wytworzenie jednak takiego ustroju, który-by utrzymał harmonię między jednostką i całością państwa; a w dodatku który-by w równym udziale czerpał podatek z tak nierównej siły i różnorodnych źródeł finansowych, jest niezmiernie trudnem, a nawet wymarzoną organizacją w danej chwili okaże się w miarę rozwoju społeczeństwa wadliwą i życie polityczne, w miarę wzrastających potrzeb publicznych i wymagań, stawianych nowożytnemu państwu, zmusi prawodawcę do nowych reform, uzupełniających konstytucję państwową.

Parlamente i sejmy stałego ładu, pomimo chwilowego zwycięstwa interesów pewnej klasy, okazały się zawsze skłonniemi do reform, które instytucjom reprezentacyjnym i prawodawstwu całemu znanie polityczne powracały, a w jednostce wytwarzały poczucie obywatelstwa, łagodzące przeciwieństwa ekonomiczne, społeczne, narodowościowe, wyznaniowe i historyczno-dzielnicowe. Nie trudno było-by z dziejów parlamentów ostatnich lat dziesiątków przytoczyć przykłady wzniosłego patriotyzmu, wobec którego zamilkły wszelkie partykularne dążenia

¹⁾ *Bard et Robiquet. La constitution française de 1874, str. 211--212.*

i cele, a znajdują się równie i takie momenta, w których reprezentacya kraju, mimo klęsk materialnych, nie cofnęła się przed żadnem finansowem poświęceniem, aby tylko państwu swemu powrócić militarną, a z nią i polityczną siłę.

Duch polityczny, ogarniający parlamenty i sejmy, nie dozwalał długo gospodarować większości, jeżeli ona dobra ogólnego używała za pozor do osiągnięcia stronnicych korzyści. Opozycya nie omieszkala bowiem odsłonić dwulicowości postępowania większości, a sprawiedliwa krytyka, poparta przez opinię całego społeczeństwa, oddziaływała prędzej lub później na koła wyborcze, które wypełniły izby żywiołami, pojmującemi dobro i potrzeby publiczne lepiej i zgodniej z ich polityczną naturą oraz przeznaczeniem. Zgromadzenia parlamentarne we wszystkich jednak krajach rozdzielone są na stronnictwa polityczne, mające swoje programy, cele i pragnące ku nim skierować prawodawstwo i administracyę państwową. Każdy więc z członków, przemawiający w imieniu swego stronnictwa, musi być przygotowanym na uprzedzenia i upór innych stronnictw, o które jak o puklerz odbijać się będą jego racye stanu. Nie pomoże jednak ani lekceważenie, ani oburzenie, płynące z separatystycznych interesów, jeżeli bowiem mówca obudzi ducha politycznego wśród zgromadzenia parlamentarnego, zdobędzie nasamprzód uważne ucho najzaciętszych przeciwników, a większość pocznie się liczyć z jego wywodami, walcząc wprawdzie z nimi, ale nie skazując ich na zapomnienie.

Wpływ parlamentarnego mówcy w dzisiejszych czasach, choćby nawet chodzącego luzem, czyli „dzikiego“, wzmógł się znacznie i prawdopodobnie wzrastać będzie w przyszłości, oddziaływając coraz to na szersze koła społeczne a pośrednio na wszystkich wyborców. Gdy mówca wśród dawnej reprezentacyi stanowej mógł rzadko kiedy przemawiać do całego zgromadzenia, a głos jego, skrupowany instrukcyami pełnomocniczymi, nosił piętno wyraźne interesów jednego tylko stanu; w dzisiejszej reprezentacyi każdy, przemawiając w parlamencie, zwraca się jako obywatel do całego kraju i głos jego zrobi tem silniejsze wrażenie i tem prędzej zdobędzie sobie uznanie większości, im bardziej oddali się od jednostronniczości a wystąpi z czysto-polityczną treścią.

Stare przysłowie powiada „oratores fiunt“, co pozwolił-bym sobie przetłómaczyć w ten sposób: „mówcy wyrabiają się“. Gdyby mi jednak przyszło dokładnie określić, w jaki sposób mają się wyrabiać mówcy parlamentarni dzisiejszej doby, byłbym w rzeczywistym kłopotcie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że praca parlamentarna kształci i rozwija umysł każdego z członków reprezentacyi, i że tym sposobem

wśród weteranów poselskich znajdzie się zawsze pewna ilość wytrawnych i doświadczonych mówców. Wyborcy jednak rzadko kiedy dają osiwieć w szrankach parlamentarnych tym, którzy od pierwszego wystąpienia nie zdradzili należytego wykształcenia i zdolności. Szkołę przygotowawczą, a w niej pewien zasób politycznego doświadczenia i ukształcenia, trzeba zdobyć uprzednio, aby być w możności należytego ocenienia żywiołów społecznych, wypełniających reprezentację, bez czego nie znajdzie się odpowiedniego słowa, trafiającego do politycznych instynktów i do sumienia większości zgromadzenia.

Ze polityczna nauka nie wytwarza sama przez się parlamentarnych mówców, mamy dowód w tem, że uczeni tej miary, co Guizot, Robert Mohl i Gneist, nie wstawili się nigdy parlamentarnymi wystąpieniami, a nawet te zgromadzenia reprezentacyjne, w których było dużo pierwiastku uczonego, jak np. w parlamencie frankfurckim, okazały się pod względem konstytucyjnej i prawodawczej pracy prawie zupełnie bezplodnymi ¹⁾.

Daleko więcej korzyści obiecuje dla reprezentantów kraju służba publiczna wśród organów samorządu, począwszy od najdrobniejszego, jakim jest gmina. Już bowiem i w tym mikroskopijnym świecie publicznym występują stronnictwa, chęć wyzyskania dobra ogólnego na korzyść pewnych interesów i owa trudność należytego określenia stosunku organów uchwalających do wykonawczych. Prócz tego słuzenie samorządowi miejscowemu naucza każdego, jak ściśle interesa ekonomiczne i społeczne związane są z politycznymi, i dla tego też jest ono bodźcem do zgłębienia i wyrozumienia potrzeb kraju całego, albowiem przedtem zmuszało do zastanowienia się i radzenia nad publicznymi potrzebami danej miejscowości.

Wobec wielkich i wzrastających wymagań, jakie stawiamy nowożytnemu prawodawcy, sama służba wśród organów samorządu, choć bardzo pożądana, nie może być uważana za ostatnie słowo ukształcenia reprezentantów kraju. Książę Bismarck rozpoczął od niej, ale na niej nie skończył, i zapoznawszy się dokładnie z prawodawstwem obo-

¹⁾ *Maurus*. Der moderne Verfassungsstaat, str. 177 i 178. „Deutschland hat in den Jahren 1848 und 1849 das Schauspiel eines aus seinen grössten Capacitäten in Wissenschaft und Politik zusammengesetzten Parlament gehabt... Zwar ertönten in der Paulskirche zu Frankfurt die schönsten und gelehrtesten Reden, und die edelsten und unelgenmützigsten Männer Deutschlands stimmten frei nach ihrer besten Ueberzeugung. Allein Hand im Hand ging damit der Mangel an Verständniss für die im Volke bestandenen realen Verhältnisse, herrschte der Eigendünkel eines plötzlich zur Macht gelangten Doctrinarismus, und das Volk war um seine schönste Idee und seine schönsten Hoffnungen betrogen“.

wiążącym w swojej ojczyźnie i w innych państwach, co Pierre uważa za jeden z najważniejszych obowiązków reprezentanta kraju ¹⁾, czerpał obficie z naukowych źródeł, którym dał początek wielki Stagiryta.

Służba publiczna wśród organów samorządu, czy też państwowej administracyi, musi być uzupełnioną wykształceniem politycznym, jeżeli ma stworzyć potężnego mówcę parlamentarnego w dzisiejszej dobie. Teorya winna się zbratać z praktyką codziennego życia, ażeby wytworzyć reprezentanta kraju, który uchroni się od martwego doktryneryzmu i przeniknie potrzeby wszelkie społeczeństwa i państwa, a tem samem dopomoże do tego, aby znalazły odpowiednie w prawodawstwie uwzględnienie. Im głębiej reprezentant kraju wnuknie w naturę polityczną nowożytnego państwa, która panuje również w parlamencie, im wyraźniej i jaśniej wyobrazi sobie państwo, jako żyjący organizm, a nie jako zlepek doktrynerskich formułek i definicyi, tem skuteczniej przekona większość o tem, że ustroj państwowy ma swe prawa rozwoju, swe nieustające potrzeby, których zaspokojenia nie można uczynić zawisłem od stronnicych interesów, bez narażenia istnienia całości na niechybny upadek. Stosunki polityczne danej chwili, talent krasomówczy, temperament czysto-indywidualny, wypowiadający swe przekonania bądź to z porywającym patosem, bądź to z nieprzepartą logiką, mogą niewątpliwie spotęgować wrażenie i skuteczność parlamentarnej mowy. Przedewszystkiem jednak musi ją przenikać duch polityczny, stojący na straży dobra i zdrowia całego państwa. Duch ten nie powinien opuszczać mówcy zwłaszcza w tej chwili, gdy przemawia za politycznymi interesami lub prawami mniejszości, jak to ma miejsce np. z Irlandczykami w Anglii. Poczucie sprawiedliwości dziejowej należy bowiem do zasad politycznej etyki w państwie nowożytnem, a usuwanie starych krzywd i nadużyć skrzepiało, a nie osłabiało politycznego ducha Anglii.

W austro-węgierskiej monarchii rządy reprezentacyjne torowały sobie drogę mozolniej, natrafiając na więcej zapór i przeszkód, aniżeli to miało miejsce w innych państwach stałego ładu. Warunki plemienne, narodowościowe, wyznaniowe, społeczne i dzielnicowo-historyczne, przygłuszały natrętniej wśród reprezentacyjnych organów poczucie zjednoczenia, a tem samem utrudniały niezmiernie zadanie mówcom parlamentarnym. W przeszłości monarchii austriackiej wszelkie próby wytworzenia ogólnej reprezentacyi stanowej speliły na niczem, i w spadku

¹⁾ *Traité de droit politique electoral et parlementaire* Str. VIII. „L'etude méthodique des lois existantes peut d'ailleurs conduire, par une voie très sûre, à la découverte des réformes nécessaires,“ i t. d.

po starych rządach przekazaną została XIX wiekowi jedynie tradycja reprezentacji dzielnicowej ¹⁾. Wprawdzie organizacja sejmów krain koronnych nie sprzyjała zbytnio wyrobieniu się prowincjonalnego indywidualizmu, ale z drugiej strony, choć służebnicza uległość reprezentacji stanowych, w końcu XVIII i z początkiem XIX wieku, zdawała się przechodzić wszelkie oczekiwania, nie mniej jednak sejmy krajowe nie mogły być uważane za zwiastunów jedności państwowej. Jedynie królestwo węgierskie wyróżniało się dobitnie od innych dzielnic koronnych swą starą konstytucją, i ono, mimo wszelkich wysiłków Józefa II, nie pozwoliło złamać siły swych sejmów i komitatowych sejmików.

Ideal Józefińskiego państwa, przetapiający wszelkie narodowości w jedną niemiecką i stwarzający z filozofii przewodnią ideę prawodawczą ²⁾, a w dodatku zaprowadzający krańcową centralizację i odsuwający ludność od wszelkiego udziału w samorządzie, pomimo, że naraził monarchię na liczne niebezpieczeństwa, nie przestał przyświecać i następcom Józefa II. Leopold wprawdzie zmuszony był do ustępstw niejakich, lecz Franciszek I, przy sprzyjających okolicznościach, starał się nie tylko sejmy krajowe zredukować do czczego formalizmu, ale i konstytucyi węgierskiej odjąć wiekami wyrobiony wpływ na społeczeństwo, używając ku temu przebiegłego systemu „divide et impera,” który się uosabiał przedewszystkiem w szczepieniu socyalnej, plemiennnej, narodowościowej i wyznaniowej waśni. Nie mogę dłużej zatrzymywać się nad powyższą kwestyą, ale wszystkich ciekawych poznać, jakie rozległe i wszechstronne system powyższy znalazł w Węgrzech zastosowanie, odesłać muszę do pracy Horvatha ³⁾, zaś posługiwanie się nim w Galicyi, w najwyraźniejszym celu zaszczerpienia rozkładu społecznego, opisał szczegółowo i wybornie Kalinka ⁴⁾.

Burza polityczna 1848 roku, która o mało że nie obróciła w gruzy państwa austriackiego, zmusiła na chwilę rząd państwa do szukania ratunku w pierwiastku reprezentacyjnym. Zwołany w r. 1848 sejm wypracował konstytucję, opublikowaną patentem z d. 25 kwietnia 1849 r., ale ani praca sejmu, ani jego dzieło, nie zdołały uśmierzyć burzy, ani zaspokoić

¹⁾ *Ulbrich*. Lehrbuch des oesterreichischen Statsrechts. Str. 19.

²⁾ *Ganplowicz*. Oesterreichische Reichsgeschichte, str. 157. „Seitdem ich den Thron bestieg und das erste Diadem in der Welt trage, habe ich die Philosophie zur Gesetzgeberin meines Reiches gemacht.“

³⁾ *Fünf und zwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns*.

⁴⁾ *Galicya i Kraków*.

pragnień powiększających się z każdą chwilą. Nikt też prawdopodobnie dziwić się temu nie będzie, że pierwszy sejm austriacki, obradujący na przód w Wiedniu, a potem w Kromierzyżu, pomimo najlepszych chęci i dobrej woli, zdziałał nie więcej, jak parlament frankfurcki. Z pięknymi i wzruszającymi przemowami, między któremi Kudlicha głosy prym trzymały, z rzetelnem dążeniem do reform, łączył sejm austriacki (1848 — 49) sporo doktryneryzmu i niedoświadczenia politycznego, które mu odjęło wszelką siłę wobec rządu, zwyciężającego rewolucyę.

Przez lat dziesięć, t. j. aż do roku 1860, trwały zarówno w Austrii, jak i w Węgrzech, rządy reakcyjne i klerykalne, które o mało co, jak Gumpłowicz zauważył ¹⁾, nie pograżyły monarchii austro-węgierskiej w przepaści. Dopiero w roku 1860 Gołuchowskiemu przypadło w udziale torowanie drogi systemowi reprezentacyjnemu w monarchii Habsburgów.

Pominę dzieje rozwoju ówczesnych reform, które w interesujący i pouczający sposób Gumpłowicz opisał ²⁾, a zaznaczę jedynie, że reprezentacya dwuizbowego parlamentu, zwanego Reichsrathem, powołaną została do życia w roku 1861, a zorganizowaną należycie i rozwiniętą szeregiem specjalnych ustaw w r. 1867. — W królestwie zaś węgierskiem powołany został sejm w roku 1861, gdy jednakże nie chciał się zgodzić na zasiadanie z drugą połową monarchii we wspólnym parlamencie, został w tymże roku rozwiązany i dopiero na nowo w roku 1865 powołany. Tym razem pod przewodnictwem Deaka ugoda doszła do skutku, i od roku 1867 sejm węgierski, jako reprezentacya całego królestwa, rozpoczął funkcyje prawodawcze wykonywać prawidłowo ³⁾. Sejmy krajowe w liczbie aż 17-u, nie licząc naturalnie Węgier, powołane zostały do życia także w roku 1861, a poważniejszej zmiany w ustroju swym doczekały się dopiero w roku 1873 ⁴⁾. Reprezentacya więc ogólnopanstwowa, zarówno jak i prowincjonalna w Austro-Węgrzech, nie liczy długiego żywota, zaledwie lat trzydzieści, jak rozpoczęła pracę jednoczącą tyle sprzecznych interesów i łagodzącą — yle i tak długo wywoływanych nienawiści.

¹⁾ Oesterreichische Reichsgeschichte, str. 217.

²⁾ Oesterreichische Reichsgeschichte. Zaznaczyć winniem, że p-r Gumpłowicz napisał jeszcze jedno dzieło wyczerpujące, poświęcone prawu państwowemu austriackiemu p. t.: Das oesterreichische Staatsrecht (Verfassungs und Verwaltungsrecht) Ein Lehr und Handbuch. Wiedeń, 1891.

³⁾ Ulbrich. Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts, str. 53—55.

⁴⁾ Gumpłowicz. Das oesterreichische Staatsrecht, str. 123.

Rada państwa austriacka, gdyż tak przezwano parlament, miała najtrudniejsze do spełnienia zadanie ze wszystkich ciał reprezentacyjnych, a żywiołom, jakie ją od początku wypełniały, brakło nietylko doświadczenia, ale poczucia jedności państwowej i chęci do wspólnej pracy. Interesa wszelakiego rodzaju i różnej mocy rozbiły reprezentację rady państwa na atomy liczniejsze niż gdzieindziej, a w dodatku aż do roku 1873 sejmy prowincjonalne, wysyłając posłów do rady państwa, zaszczeniały w niej rozdziolenia dzielnicowe, uzasadniające swą odrębność historyą. Nic dziwnego więc, że, wobec tak długoletniego a rozkładowego oddziaływania rządów monarchicznych na ludy austriackie, rada państwa uważała się przedewszystkiem za reprezentację 17 dzielnic i w imię staroniemieckiego przysłowia „Hunderttausend Jahre Unrecht ist keine Stunde Recht,“ miały, zamiast dobra całego państwa, przedewszystkiem odzyskanie swych praw historycznych na widoku. Samorząd lokalny nie był w stanie zasilac żywiołami rozważnemi austriackiej rady państwa. Nasamprzód był on świeżej daty i jednocześnie z reprezentacją państwową oraz prowincjonalną wszedł w życie, a oprócz tego nieufność wzajemna, szczepiona skwapliwie wśród społeczeństwa przez rządy reakcyjne, hamowała rozwój samorządu i nie pozwalała mu tak skutecznie w codziennej, obywatelskiej pracy jednoczyć poważnionych klas rolnych, jak to miało miejsce gdzieindziej.

Pomimo niefortunnych warunków, jakie austriackie reakcyjne rządy pozostawiły po sobie w spuściznie, rada państwa z roku 1866, której przypadło w udziale ważne konstytucyjne zadanie, okazała nadspodziewanie duzo rozwagi politycznej i wykształcenia, na co także w Austrii zbytecznie rachować nie było można ¹⁾. Trzydziestoletnia praca oddziałała niewątpliwie bardzo korzystnie na ducha ogarniającego radę państwa, wpłynęła ona duzo na wyszlachetnienie stronnictw i na usunięcie z ich wzajemnego stosunku pierwiastku jątrzącego, który przez dłuższy czas wszelkie zbliżenie się i porozumienie udaremniał; z tem wszystkiem jednak mówca parlamentarny w radzie państwa spotyka się jeszcze po dziś dzień z najbardziej zwartemi

¹⁾ *Violand*, Die sociale Geschichte der Revolution in Oesterreich, str. 157 i dalsze, przedstawia, jak nizkie wykształcenie można było zdobyć wówczas w szkołach i uniwersytetach austriackich, a przytem „bei der Verharmung aller Freiheit im Gebiete der Literatur herrschte und herrscht auch gegenwärtig in Oesterreich eine Unwissenheit welche in das Fabelhafte geht.“

stronnictwami, których skłonienie do ustępstw na rzecz całej monarchii jest trudnem zadaniem, trudniejszym o wiele, niż w parlamentach innych państw.

Nawet w sejmach prowincjonalnych austriackich zjednoczenie stronnictw i pozyskanie ich dla jakiegokolwiek reformy napotykało na liczne trudności. Powodem tego najglówniejszym było bezwątpienia rozdwojenie społeczne, wywoływane i podtrzymywane przez absolutne rządy. Nietylko że zapobiegano temu z przebiegłością godną podziwu, aby dwór nie żył przypadkiem w zgodzie z włością, ale gdy uwłaszczenie włościan okazało się nieodzownem i gdy pierwsza szlachta domagać się zaczęła, aby zniszczono pańszczyznę (Robot) i zaopiekowano się dolą rolnego ludu ¹⁾, agitowano tajemnie, aby reformy agrarnej, wyswabdzającej stan włościan, nie przypisywano i nie poczytywano za zasługę szlachcie, lecz wyłącznie władzy monarchicznej.

Prócz rozdwojenia stronnictw, panowało jeszcze wśród sejmów prowincjonalnych niezrozumienie potrzeb ogólnych i wielkie niedoświadczenie, oraz niewyrobienie w pracy publicznej. Tradycya sejmów prowincjonalnych stanowych istniała wprawdzie w monarchii habsburskiej i np. w Galicyi sejmy stanowe zaprowadzono w roku 1775, ale nie zdołały one nawet uprzywilejowanych stanów zaznajomić z potrzebami prowincyi i pogrążyły wszystkich w kompletnej nieświadomości politycznego złego i dobrego. W Galicyi, gdzie wyższe klasy posiadały wraz z żywym poczuciem dobra prowincjonalnego znaczne wykształcenie polityczne, sejmy stanowe, funkcjonujące prawidłowiej od 1817 roku, zniechęcały i odstręczały najchętniejszych i najgorliwszych o dobro prowincyi od zajmowania się sprawami publicznymi. Sejmowe prace, wnioski, petycye rozбивały się o niechęć rządu, o powolność zastraszającą austriackiej procedury. Rząd, nietylko że sam nic nie robił, ale i stanom nic pożytecznego robić nie dozwalał. Skrępował ich bezczynnością, działanie ich zamknął w próżnych ceremoniach, i cóż

¹⁾ Verhandlungen des deutsch-oesterreschischen Reichstages 1848. T. I, str. 157, jednocześnie z Kudlichem podał Sierakowski wniosek wegen Aufhebung aller erblichen Privilegien. Porównać *Violand*: Die sociale Geschichte der Revolution in Oesterreich, str. 163, i dalej przyznaje, że po 1846 r. szlachta galicyjska chciała włościanom pańszczyznę darować, ale Stadion zakazał włościanom podobne darowizny przyjmować, a dobroczyńców aresztować i odstawić władzom polecił.

²⁾ *Kalinka*. Galicya i Kraków, str. 14.

dziwnego, że najgorliwszym ręce opadały, że ogół odsuwał się od życia publicznego, gdzie oprócz własnego poniżenia nic nie znalazł¹⁾.

Jeżeli sejmy stanowe nie były w możności użyzyć wyższym klasom choćby odrobiny wykształcenia politycznego, to w uzupełnieniu tak niefortunnego położenia rzeczy rządy absolutne nie zaniedbały niczego, co tylko mogło w każdej prowincyi zaszczerpić nienawiści i waśni, czy to na tle socyalnem, czy narodowościowem, plemiennem lub wreszcie wyznaniowem. Rząd austriacki nie cofnął się w roku 1846 przed wywołaniem w Galicyi ohydnych rzezi, a najwstrętniejsze mordy nazywane były przez ministeryum „dowodem wierności dla tronu i wypróbowanej życzliwości klasy włościanskiej²⁾. W przeprowadzeniu reform agrarnych, oswabadzających włościanina od ciężaru pańszczyzny i obdarzających go własnością ziemi, rząd austriacki nie naśladował bynajmniej wzorów pruskich, które znacznie wcześniej w sposób sprawiedliwy i praktyczny reformę powyższą przeprowadziły. W roku 1848 manifesta zapowiedziały włościanom tę miłą obietnicę, że własności gruntowe będą porównane, a ciekawe te dokumenta rozwoziły komendy wojskowe soltysom z rozkazem, aby ich ani dzieciom, ani księżom nie pokazywali³⁾. Nawet organizację prowincjonalną w Galicyi uważano wtedy za środek do zgubienia tych klas społecznych, które przechowały wśród siebie najwięcej wykształcenia i poczucia dobra publicznego. Konstytucya bowiem prowincjonalna przyznała na sejmie 87 głosów włościanom, szlachcie zaś i mieszczańom razem 63, odwołując się do Tyrolu, gdzie włościanie mieli znacznie większą liczbę głosów, ale gdzie też stanowią klasę słynną przez swą zamożność, pracowitość i pobożność. Konstytucya więc oddawała w ręce los właścicieli większych i mieszczań i przełożyła jawnie zuchwalstwo i gwałty pierwszych nad spokój drugich, przełożyła bezprawie nad prawo, wyuzdaną zwierzęcość nad moralność i sumienie³⁾.

Wśród takich warunków społecznych i wśród tak obfitego posiewu namiętności i nienawiści wszelakiego rodzaju, nie dziwnego, iż samorząd prowincjonalny, wprowadzony w 1861 roku w życie, z trudno-

1) *Kalinka*. Tamże, str. 158.

2) *Kalinka*. Galicya i Kraków, str. 136.

3) *Kalinka*. Tamże, str. 162.

ścią mógł się tylko rozwijać, natrafiając na każdym kroku na zniechęcenie, nieufność, zubożenie, a nadewszystko na zwątpienie, aby praca publiczna i wspólna mogła się na cośkolwiek przydać, i aby zdolną była usunąć między klasami społeczeństwa tę przepaść, jaką absolutne rządy z tyloletnią zapobiegliwością wykopały. Zarówno też wśród sejmu, jak i rady powiatowej, lub gminnej, występowało na jaw znamienne rozbitcie się społeczeństwa na atomy i trudność zorganizowania w imię celów publicznej natury jakiegokolwiek poważniejszego stronnictwa. Następnie, gdy uformowały się stronnictwa, porozumienie się ich i usunięcie wzajemnej podejrzliwości szło z oporom i przeszkodami, tak, że dzieło najpożyteczniejszej i palącej reformy nie mogło liczyć na powodzenie. Zadanie też członka galicyjskiego sejmu było nie łatwym i po dziś dzień należy bezwątpienia do trudnych. Nie dość bowiem, że wykończenie prawodawczych przepisów, nadających samorządowi charakter polityczny, i właściwość gojenia ran społecznych czekać musi na rozwój wykształcenia politycznego i zdobycie większego doświadczenia; ale przeprowadzenie wszelkiego doniosłego pomysłu, choćby takowy zabłysnął w głowie niezwykle uzdolnionej, natrafił na szkopyły o niepospolitej sile odpornej. Najwymowniejszym racynom stanu i najgorętszym obywatelskim pragnieniom oraz zamiarom stawało wówczas na poprzek hasło „naj bude jak buwało“ ¹⁾, owa nieodrodna córka systemu „divide et impera.“

Powyższemi uwagami zdawało mi się stosownem poprzedzić powitanie niezwykle rzadkiego i miłego gościa w naszej literaturze, jakim jest pierwszy tom mów Juljana Dunajewskiego, dawnego profesora wszechnicy jagiellońskiej, posła na sejm krakowski, posła do rady państwa w Wiedniu i wreszcie wieloletniego ministra finansów w Austrii. Sądziłem bowiem, że aby należycie ocenić skarbnicę politycznego rozumu i politycznej etyki, jaką w rzeczonych mowach znajdujemy, należy przedewszystkiem wykazać, jak w dzisiejszej dobie jest doniosłem stanowisko reprezentanta w każdym państwie konstytucyjnem, a następnie, że jeszcze większej wagi nabrało ono w Austrii, gdzie gmach konstytucyjny stawiano nie na opoce zwartej poczuciem jedności, ale na gruncie socyalnym bardzo grząskim i rozstępującym się, który żadnemu dziełu dobra publicznego nie zapewniał należytego bezpieczeństwa.

¹⁾ *Leński*, Samorząd gminny w Galicyi i dzieje jego reformy, str. 144.

W tak wyjątkowo trudnych a niejednokrotnie zniechęcających warunkach pracował Juljan Dunajewski z sejmem galicyjskim od roku 1870, a z radą państwa w Wiedniu od roku 1873. Tom I objął mowy, wypowiedziane w obu tych organach reprezentacyjnych, przyczem mowy, wypowiedziane w radzie państwa, przetłómaczył z niemieckiego dr Jaworski, a wydawnictwo poprzedził przedmową dr Piotr Górski, autor sumiennej pracy, samorządowi gminnemu poświęconej, a od niedawna poseł na sejm krajowy.

Zanim przejdę do samych mów wysłużonego i zasłużonego męża stanu w Austrii, zarówno jak w Galicyi, pozwolę sobie zwrócić uwagę na przedmowę d-ra Górskiego, a to z tego względu, że zawiera ona wiele trafnych i poważnych spostrzeżeń, które są niezbędnymi do należytego zrozumienia mów, a zwłaszcza niektórych w nich zwrotów i niedomówień. Mowy powyższe, zdaniem d-ra Górskiego, mają znaczenie nietylko słowa, lecz czynu politycznego, w historii Galicyi. Z tego stanowiska należy je też sądzić. Każda mowa Dunajewskiego jest czynem, powiedzieć można, jakby krokiem naprzód w rozwoju stosunków politycznych kraju.

Główną cechą mów w sejmie krajowym jest dążenie do naprawy wewnętrznych urządzeń galicyjskich, począwszy od drobnych kwestyi szczegółowych, aż do najważniejszych zagadnień reformy całego ustroju władz administracyjnych. Głównym zaś celem i treścią mów, wygłoszonych w radzie państwa, jest naprawa i podniesienie stanowiska Galicyi w państwie, wywalczenie dla niej istotnego równouprawnienia z innymi krajami koronnymi, a wreszcie i zmiana systemu rządów państwa w tym kierunku. Ażeby Dunajewskiego należycie ocenić, powiada dalej d-r Górski, trzeba się cofnąć pamięcią wstecz i przypomnieć sobie, że stosunki, które dzisiaj istnieją, były wówczas prawie niedościgłym marzeniem, i że jeżeli się do tego czasu tak dalece zmieniły na lepsze, stało się to w wielkiej mierze dzięki stanowisku i działalności koła polskiego w Wiedniu, które liczyło wtedy wielu znakomych ludzi, którego jednak najgłębszym, najbardziej trzeźwym i przenikliwym umysłem, prawdziwym przewodnikiem politycznym, najznakomitszym szermierzem parlamentarnym, najwięcej wpływowym i słuchanym mówcą był właśnie — Juljan Dunajewski.

Ażeby jego mowy ocenić należycie, trzeba także sobie przypomnieć, że w owej epoce, pomimo teoretycznego równouprawnienia wszystkich obywateli w państwie, kraje i ludy o nie niemieckiej narodowości, w skład monarchii wchodzące, były w rzeczywistości dalekie-

mi od równouprawnienia politycznego, a cała władza spoczywała w rękach centralistyczno-liberalnej lewicy niemieckiej. Interesem państwa zdał się być tylko interes lewicy, przewodnią myślą rządów, prawem politycznym w codziennem zastosowaniu, wobec nasuwających się potrzeb religijnych, ekonomicznych i społecznych ludności, była doktryna tego stronnictwa.

W takich warunkach i z tego stanowiska mowy Dunajewskiego nabierały wyjątkowego znaczenia. Doniosłość, wartość i wpływ ich na obrót spraw parlamentarnych w Austrii, dziś, w zmienionych stosunkach, nie da się tak odczuć, jak je odczuwali ci, którzy żywe słowo z jego ust słyszeli, ale w przenośnem znaczeniu zachowują one zawsze tę samą doniosłość i wartość i powinny po wsze czasy dawać nam pouczający przykład, co może zdziałać i osiągnąć, w niekorzystnych nawet warunkach, polityka nie hałaśliwa, nie krzykliwa, nie namiętna, ale rozważna, pełna cierpliwości, stateczności i konsekwencji, świadoma swych celów, nie dająca się zrazić ani trudnościami położenia, ani zniechęcić niepowodzeniami chwilowemi głosowania czy uchwał izby, pełna dzielności w obronie swych zasad, jak i przezorności w walce, pełna siły i miary w działaniu o dobro kraju.

Czytając mowy Dunajewskiego po kolei, od pierwszej aż do ostatniej odczuwa się rosnący wpływ i znaczenie stronnictwa, w którego imieniu mówca przemawia, dostrzega się, jak zasady polityczne, które mówca i jego stronnictwo wyznaje, zyskują na znaczeniu, torują sobie powoli drogę przyszłości i zwycięstwa. Dzieje się to dzięki temu, że w obronie tych zasad występuje bez uniesień i zapamiętałości, ale z głębokiem przemyśleniem, że umie bronić praw i interesów swego kraju ze stanowiska interesów całego państwa i jego potrzeb, że posługuje się argumentami, rzucającemi głębokie poglądy na sprawy etyki i polityki państwowej. Dunajewski wzamian za to, że tak wytrwale praw swej prowincyi broni wobec nieprzyjaźnie usposobionej większości parlamentarnej, umie okazać gotowość i zrozumienie popierania potrzeb państwa, mocarstwowego stanowiska monarchii i wszelkich spraw, których dobro powszechne wymaga, albo słuszny interes innych prowincyi. I to właśnie daje mówcy i jego stronnictwu wielką siłę, gdyż stronnictwo rządzące stoi tylko na partyjnem i doktrynerskiem stanowisku.

Mowy Dunajewskiego są, zdaniem d-ra Górskiego, nieporównane, jako przykład prowadzenia walki politycznej na wielkiej arenie ciała prawodawczego, i nie wielu jest wśród największych mówców świata, którzy-by tak, jak on, umieli prowadzić kampanię parlamentar-

ną. Tak prowadzić walkę potrafi tylko wielki wódz, który, widząc szczupły zastęp swoich szeregów, wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, nie chce poświęcić ani jednego strzału na darmo, nie szuka chwilowego sukcesu, ale, bez względu na wszelkie ponęty i krewkość swych żołnierzy, z przezornością i oględnością wytrzymuje walkę, otoczony ze wszech stron, broni się do upadłego, ani chwili na duchu nie upada, a zawsze ufa w zwycięstwo dobrej sprawy.

Oceniając mowy Dunajewskiego z literackiego punktu widzenia, zauważyć należy, że nie ma w nich retoryki, ani krasomówstwa. Są to mowy rzeczowe, ściśle parlamentarne. Są to mowy polityczne, choć nie na jakiś ogólnikowy temat, nie rozbiegające pewnych teoretycznych zagadnień prawnopolitycznych, filozoficznych lub społecznych. To, co stanowiło największą zaletę i siłę tych mów, a zatem kunszt politycznego traktowania pewnej sprawy, używania w danym otoczeniu i położeniu tych a nie innych argumentów, posługiwania się argumentami przywiezionymi przez przeciwników i odwrócenia ich ostrza, dar czynienia aluzji niesłychanie subtelnymi i delikatnymi, używania ironii, czasami ostrej i gryzącej, ale przesłonionej wykwiutną formą i wytwornem wyrażeniem, budzącej domysły lub obawy w kołach wtajemniczonych, a nie dotykającej nigdy rzeczy niezgrabnie, lub zbyt namacalnie, słowem, wszystko to, co poruszało słuchaczy, rozbrajało przeciwników, napełniało ufnością zwolenników i nadawało pewien obrót sprawie publicznej wśród walk parlamentarnych, — uleciało dla czytelnika po większej części bezpowrotnie. Żaden komentarz, żadne objaśnienia nie są w stanie oddać, ani wskrzesić przed oczyma czytelnika obrazu takiego położenia, które tylokrotnie wydarzało się izbie, kiedy na ławach polskich posłów i prawicy parlamentu zapanowało jakieś przygnębienie, kiedy lewica zdawała się już blizką tryumfu, kiedy później ministerstwo Taffego wydawało się zachwianem i blizkiem upadku, a w tem, w takiej krytycznej chwili, wstał z ław poselskich, a później z krzesła ministeryalnego, Dunajewski, i zaczął mówić, a pod wpływem jego słów położenie się zmienia: ufność, zadowolenie, tryumf wstępują napowrót w szeregi prawicy, która skupia się odrazu, nabiera otuchy, siły, wytrwania i wiary w swą przyszłość, tryumfująca zaś co dopiero lewica doznaje zaniepokojenia, poznaje swe błędy i przekonuje się o swej bezsilności.

Do zewnętrznej charakterystyki mów Dunajewskiego dodać wypada, że nie pisał ich nigdy naprzód i mówił zawsze nieprzygotowany. Ale pomimo to, mowy jego mają więcej przygotowania od wielu z tych, co swe mowy naprzód układają, lub piszą. Nieraz zdarzyło się,

że proszony przez towarzyszy wśród dyskusji, zabrał głos Dunajewski i wypowiedział wielką mowę, choć nie miał pierwwej wcale zamiaru przemawiać. Taką gotowość dawała mu nie sama łatwość słowa i biegłość dyalektyki, jak się to u wielu innych spotyka, ale przymiot o wiele rzadszy a ważniejszy dla każdego mówcy politycznego, a tym jest głębokie przemyślenie. Tylko wielkie przemyślenie daje tę niewyczerpaną głębię, z której można zawsze, bez przygotowania, wydobywać zasób niezwalczonych argumentów, jasność sądu i przekonywającą siłę. Miłość kraju była dla Dunajewskiego pobudką działania i dała jego mowom nieporównaną podniosłość, rozum dał mu nieprzewartą siłę argumentacji, stanowiącą prawdziwie podbijającą potęgę słowa.

Każdemu, kto przeczyta mowy Juljana Dunajewskiego, nie wydadzą się pochwały d-ra Górskiego przesadnymi. Niewątpliwie, że wrażenie, jakie czyniły swego czasu w parlamentarnym boju, zniknąć musiało w pewnej przynajmniej części przy ich czytaniu, ale za to tryumfy, jakie odniosły, wcielając się w polityczne czyny, wymownie świadczą o tem, że były dzielnym środkiem podboju wśród stronnictw parlamentarnych. Ponieważ d-r Górski w swej przemowie scharakteryzował mowy i mówcę na tle żywej tradycyi parlamentaryzmu austriackiego, dając nam wykończony portret wytrawnego i wybornego szermierza sejmowego, jakim był Dunajewski, przeto nie pozostaje mi nic innego, jak, podawwszy w streszczeniu jego uwagi, zastanowić się nieco nad treścią polityczną, zawartą w tomie pierwszym jego mów.

Zdawało-by się na pozór, że, przemawiając w sejmie prowincjonalnym w sprawie drobnych kwestyi administracji miejscowej, nie można znaleźć odpowiedniego pola do zainteresowania, a tem mniej do zaciekawienia czytelnika. Co np. z takich kwestyi uwagi godnego wydobyć można, jak sprawa oddania obsługi i nadzoru chorych w szpitalu lwowskim siostrom miłosierdzia, sprawa omycia dróg i t. p. A jednakże począwszy od pierwszej mowy, przykuwa Juljan Dunajewski uwagę czytelnika i zdobywa sobie jego uznanie bogatą treścią polityczną, oświecającą przy najdrobniejszej sposobności naturę, zadania i cele samorządu prowincjonalnego.

Pozwolę sobie pokrótce zastanowić się nad ważniejszymi mowami Dunajewskiego, wskazując te ustępy, w których mówca z niezwykłą jasnością i precyzją wyraził przewodnią myśl polityczną. Zaraz w pierwszej mowie spotykamy wyborne ocenienie wartości obsługi chorych przez siostry miłosierdzia. Siostry owe, powiada mówca, służą chorym z poczucia obowiązku religijno-moralnego, tego poświęcenia

żadna płaca nie zastąpi. Jeżeli my, których los smutny nie skazał na szukanie w szpitalu opieki podczas choroby, jeżeli my, nad najlepsze i najwierniejsze służki przenosimy troskliwą, a w swej troskliwości niewyczerpaną usługę i opiekę naszych matek, sióstr i żon, to zaprawdę nieźle się zasłużył wydział około ubogich chorych, oddając ich nie pod wstrętą często opiekę zwyczajnych służ, lecz pod opiekę tej wielkiej rodziny religijnej, sióstr miłosierdzia, której zasługi uznane są wszędzie, tak w katolickich, jak i w protestanckich krajach.

Druga mowa, w sprawie omycia dróg wypowiedziana, jest prawdziwym arcydziełem w swoim rodzaju i przekonywa najlepiej, ile doniosłości i wagi spoczywa w każdym zadaniu administracji prowincjonalnej. Myto, czyli opłata rogatkowa, jak utrzymuje mówca, ma to być niejako wynagrodzenie, płacone za używanie drogi, a więc — podatek drogowy. Na pozór nie sprawiedliwszego: ten płaci, kto korzysta z drogi. Podobny sposób zapatrywania się na podatki, lub opłaty, jest zażytkiem średniowiecznych zasad, gdy nauka i sztuka opodatkowania jeszcze niejako w kolebce były; jest on cechą dziecięcego wieku — chwycić to, co najbliższe, bez głębszego badania, brać to, co się samo narzuca, lub nasuwa, słowem, postępować powierzchownie. Skutki korzystne, z należytych dróg wynikające, są tak znaczne, tak powszechne, że niepodobna tu rozróżnić i wykazać, kto w społeczeństwie więcej z nich ciągnie korzyści. Drogi, to arterye gospodarstwa społecznego, roznoszące wszystkim jego częściom soki pożywne; droga, to zbliżanie ludzi, to ułatwianie ruchu, a rogatka, to rozłączanie gospodarstwa, to utrudnienie komunikacji. Zresztą, gdyby nawet na chwilę przypuścić, że myto jest sprawiedliwszym podatkiem, to jeszcze wymiar w projekcie przyjęty, wymiar wedle sztuki, nie da się usprawiedliwić. Przecie nie od liczby sztuk byłą zależy zużycie drogi, ale od ciężaru. Prócz tego, przy wielkiej liczbie rogatek i dzierżawców, nie zawsze zysk z dzierżawy wystarczy na utrzymanie rodziny i zabezpieczenie jej przyszłości. Stąd konieczność szukania innych dochodów. Wreszcie, gdyby to jeszcze każdej opłacie rogatkowej wszędzie odpowiadała rzeczywista droga, ale któż to nie wie, że często bardzo jest rogatka, ale drogi niema.

W mowie szóstej, wypowiedzianej w sprawie zmiany ustawy drogowej z roku 1866, znajdujemy następujące charakterystyczne spostrzeżenie: Nie powiem, że jest to usprawiedliwionem, ale jest przynajmniej w części wytłómaczonem, że poseł kieruje się w swoich zapatrywaniach dążeniami i interesami tych warstw społeczeństwa, które go wybrały. Jeżeli jednak tak rozbieramy ustawy nam przedkładane,

że wprost stosujemy się w naszych wnioskach o skuteczności ustaw do indywidualnych stosunków pojedynczych warstw, a może i osób, i jeżeli chcemy mieć taką ustawę, która-by odpowiadała wszystkim interesom; to nie trzeba się ludzi, takiego mądrego ustawodawcy niema na świecie i nie masz takiej ustawy, by w niej wszystkie interesa znalazły załatwienie zadawalniające wszystkich, i by ona wszystkim istniejącym odpowiadała stosunkom. Na zarzut zaś jednego z przeciwników, uczyniony ustawie drogowej, że ponieważ wszystkich przymusza do pracy, więc karze tych, co mają liczną rodzinę i uciska ubogich, odpowiedział mówca dosadnie, że to, co nazwano niewolą, jest raczej równością obowiązków; kto żąda takiej wolności, aby miał usługi od społeczeństwa, a nie chce ponosić ciężarów, niech nie mówi o wolności, lecz żąda przywilejów.

W XI mowie, wypowiedzianej w sprawie zmiany ustawy o reprezentacji powiatowej, Dunajewski walczyć musiał z komisarzem rządowym, który chciał termin zawieszenia wykonania uchwał reprezentacji powiatowej, przysługującego władzom politycznym, uczynić znacznie dłuższym od dni 14, t. j. od terminu proponowanego przez mówcę. Dunajewski utrzymywał, że instytucje reprezentacyjne powiatowe, które mają prawo działać i uchylać, jeżeli raz co uchwały, mają także prawo żądać, ażeby uchwały były wykonane. Wszak i urzędy skarbowe, które w pojęciu ściśle austriackiem są urzędami niezależnymi w uchwałach, nie czekają w wykonaniu tychże na zezwolenie ministra spraw wewnętrznych, albo władz ministerstwu temu podległych. Gdzieś musi być granica dla władzy, jeżeli działalność jej ma być pożyteczna. Władza bez granic, to jak prawo bez granic, jest albo nie-szczęściem, albo błędem, albo jednym i drugim zarazem. Wprawdzie zająć mogą wypadki, w których rząd nie może polegać na zdaniu urzędnika podrzędnego. Ale nie są to czasy dawne, gdzie poczta szła pięć dni do Lwowa (z Wiednia), a więc jeżeli zajdzie jaka wątpliwość, to starosta może telegraficznie zapytać się przełożonego, a nawet nie pytając się, uchwałę zawiesić. Zostawiając zaś na to 14 dni czasu, nie ograniczamy w tej mierze rządu bynajmniej. Pozwolilibyśmy wreszcie targować się z sobą o to, czy 20 czy 30 dni, i choćby Krakowskim targiem dobilibyśmy zgody. Ale tu idzie przedewszystkiem o jakiś termin. Jeżeli się terminu nie wskaże, to prawo rządu będzie nieograniczone i nie będzie można wiedzieć, czy uchwała wejdzie w życie, czy nie.

W XIV mowie, przedstawiającej projekt ustawy o okręgach gminnych, rozwinął mówca wielkie bogactwo politycznych myśli; po-

zwolę sobie zwrócić uwagę jedynie na najważniejsze z nich. Jeszcze jaskrawszy dowód, powiada Dunajewski, że nasze tak zwane gminy nie znają nawet zadań gminnych, dał nam poseł Łaskorz, który tu zasiada na mocy zaufania włościan. Oto są jego własne słowa: „Czego chcecie od naszej gminy? płacimy podatki, dostawiamy rekrutów i kochamy cesarza.“ Minęły już te czasy, kiedy niższej tylko klasie służył wyłączny przywilej lojalności, ale istotnie podobne poglądy na zadania gminy dowodzą, że ustawa gminna z r. 1866 więcej wymaga od gromady, aniżeli ze względu na jej siły wymagać należy. Na zarzut uczyniony reformie, że ani obszary dworskie, ani gminy nie chcą się łączyć, odpowiedział Dunajewski potężną argumentacją w słowach: „Jakaż-by to była ustawa, oparta na wzajemnej niechęci całych klas? Gdyby tak było rzeczywiście, gdyby dawna niechęć z jednej strony, a pamięć zwierzchnictwa zniesionego z drugiej strony, nie dały się usunąć, to zapewne wszelkie reformy do zjednoczenia dążące pozostały-by marzeniami i zrzec-by się trzeba wszelkich wolności, bo nad stanowiącą i niewygasłą niechęcią klas społecznych nie rząd na wolnych instytucjach oparty, ale rząd absolutny zapanować może.“

W poparciu projektu powiedział następnie Dunajewski te rzetelnej wagi słowa: „Jeżeli każda miejscowość, każdy okrąg, każda prowincya, wszystkie sprawy publiczne załatwia o tyle na miejscu, o ile się na miejscu załatwić da, to z takiej autonomii i kraj, i rząd nie zwykle odniosą korzyści. Dla samego kraju, gdyby miał bezpośredni udział w załatwianiu tych wszystkich żywotnych spraw, nie mały-by wpływ moralny i polityczny pożytek; a to z tej przyczyny, że ta część kraju naszego zaprawiła się, wskutek nieszczęść doznanych, na zasadniczej opozycji przeciw wszystkiemu, co wychodzi od władzy i zatraciliśmy poczucie idei i warunków rządu. Wśród takich najędzienniejszych spraw obywatelskich, społeczeństwo nabędzie tego zdrowia politycznego, które zależy od świadomości zasad każdego rządu, a rząd nabędzie tej rękojmi, iż rzeczywiste potrzeby społeczeństwa w odpowiedni sposób są zaspakajane. Nie będzie też żadnej straty dla kraju, jeżeli za dzisiejszy pozorny samorząd nabędzie rzeczywistego współrządu.“

W XV mowie, poruszającej sprawę reformy ustawy drogowej z r. 1866, mówca zgadzał się w zupełności na to, że w owej chwili (1866) nasuwały się nieprzebyte prawie trudności sprawiedliwego rozdziału ciężaru drogowego. Samorząd kraju był młodym, a doświadczenie nasze bardzo małe; dziś rzeczy się zmieniły i dawna ustawa ze względów zgody społecznej nie jest do utrzymania. Mamy więc powo-

dy do postarania się o nową, odpowiedniejszą naszym stosunkom. Następnie, aby wskazać kierunek, w którym reforma postępować winna, przytoczył Dunajewski zdanie referenta tej sprawy w izbie francuskiej. „Jeżeli będziemy drogi wyłącznie składkami pieniężnymi budować, to niewątpliwie drogi będą nadzwyczajnie kosztowne, bo pieniądze wspólnych, według znanego przysłowia, nikt nie szanuje. Jeżeli będziemy drogi budować wyłącznie prestacją, to będziemy mieli drogi złe. Tu więc (w Galicyi) niema wyjścia, tu trzeba złączyć i jedno i drugie, trzeba korzystać z tego, co nam łatwiej dać mogą, a że łatwiej dadzą nam oczywiście pracę, to nie ulega wątpliwości.

Mowa XVIII, popierająca wniosek, w którym określono zasady, na jakich winna się opierać organizacja władz administracyjnych w Galicyi, poczynawszy od gmin aż do najwyższych władz krajowych, należy niewątpliwie do najdonioślejszych pod względem politycznej treści. Ponieważ jednak kilkakrotnie pisałem dawniej o projekcie zatytułowanym: Zarys organizacji władz administracyjnych dla Galicyi, który Dunajewski izbie polecał, przeto obecnie przytoczę najważniejsze jego myśli, w których się dojrzała i pełna mądrość polityczna mówcy uwidatnia. Proszę pamiętać, są to słowa Dunajewskiego, że był w naszym kraju organizm naturalny, wiekową pracą i dziejami wykształcony, nieodpowiedny już dzisiejszym czasem. To wszyscy wiemy i przyznajemy, ale istniał ten organizm jako dominium. Był to organizm na podstawie wieków wyrobiony, na podstawie władzy ludzi przeciętnie wykształconych, na zasadzie quasi-feudalnego pojęcia panowania większej własności. Otóż to był organizm, gdyż jak każdy organizm z różnorodnych składał się żywiołów, bo życie znamionuje się różnorodnością, a gdzie jest jedność, tam jest śmierć. Ten organizm ustawa z r. 1866 rozdzieliła, przekroiła na w pół i te dwa naturalne elementa, które się wzajemnie uzupełniały, te dwa elementa rozdzieliła. To jest dzieło z r. 1866, ale dzieło sztuczne.

Nie znam w dziejach przykładu, powiada w dalszym ciągu mówca, ażeby silnym węzłem kiedykolwiek były prawa nabyte, silniejszym nierównie są wspólne obowiązki dla dobra wspólnego. Jest to kit, który łączy społeczeństwa. Jak panowie nie połączycie dworu z masą narodu w gminie, to sprawdzić się musi słowo niedawno wyrzeczony przez znakomitego historyka naszego: jest naród, ale nie masz rządu i państwa. Wedle usposobienia naszego kraju i religijnych przekonań w nim panujących, zdawało się nam stosownem, aby ten, który ma pieczęć około dusz, zasiadał w radzie gminnej i tam był przykładem dla wszystkich, był przykładem miłości chrześcijańskiej, kojarzył i łą-

czył, a nie dzielił i jątrzył. Chcieliśmy go więc mieć w tych radach, ale nie na mocy wyboru, bo nie uważamy za stosowne, aby osoba duchowna narażała się na sąd często stronnicy lub namiętne pociski przeciwników, a co gorsza, aby wskutek agitacji wyborczej, w celu wyboru, chcąc lub nie chcąc, narażała się na zarzut, że środkami religijnymi lub kościelnymi przeprowadza swój własny wybór. Otóż wolne mieć chcemy nasze duchowieństwo od takich zarzutów, a nawet od cienia tychże.

Autonomia, z ustaw 1866 r. wypływająca, jest zdaniem mówcy pozorną, bo któż nie wie, że od usposobienia i przychyłności naczelnika kraju zależy, czy ma być porażona niemocą przez konsekwentne zawieszanie uchwał. Nadto, według dzisiejszych urządzeń mamy dwie władze powiatowe: u jednej z życia czerpana znajomość potrzeb obok niemożności działania,—u drugiej możność i siła działania, ale często nieznaną potrzeb życia i społeczeństwa. Dwa te braki nie mogą się wypełnić, jak tylko przez połączenie tych dwóch elementów: starostów z wydziałami obwodowymi.

W XXI mowie, wypowiedzianej w sprawie budowy gmachu sejmowego, zauważył Dunajewski, że „kto chce żyć i rozwijać się, a nie wydawać pieniędzy, ten żąda rzeczy niemożliwej. Jeżeli nas klasyfikowano dotąd na posłów włościańskich z większych i mniejszych posiadłości i posłów z miast, to ja, co do mego stanowiska, muszę powstać przeciw tego rodzaju klasyfikacji. Nie znam tutaj posłów włościańskich, ani posłów z większych posiadłości, ani posłów z miast — znam posłów krajowych, reprezentantów narodu. Ponieważ zdrowie fizyczne nie było warunkiem wybieralności, zdawało-by się, że jest to obowiązkiem tej władzy (sejmu), która czuwa nad porządkiem, dać nam takie pomieszczenie, ażeby nie tylko bardzo silni i kolosalni ludzie, ale i słabowitsi i delikatniejsi mogli przez jakiś czas wytrzymać. Mógł-bym przytoczyć przykład, gdzie od roku 1846 do roku pańskiego bieżącego (1877) władza naczelną administracyjną krakowską w tym samym gmachu się mieści i zapłaciła dotąd czynszu, który pięć albo sześć razy przewyższa wartość gmachu. Jeżeli to ma być oszczędnością, to ja wolę być rozrzutnym i ustalić siedzibę władzy. Cóż bowiem cechuje stałą władzę, jeżeli nie stała siedziba.

W XXII mowie, poruszającej ważną i doniosłą sprawę udzielania egzekutywy urzędom powiatowym, Dunajewski zauważył, iż dzisiejsza autonomia, władza bez egzekutywy, to pląg bez lemiesza, jak to jeden włościanin z naszych stron scharakteryzował. Wprawdzie powoływano się tu, że ta władza, jako z wyborów pochodząca, nie daje tej

gwarancy i rękojmi dla osób, które mają być egzekwowane, jaką daje władza nominowana, stała. Jest wprawdzie różnica w składzie władzy, ale proszę panów, z czego ona powstała tam, gdzie idzie o życie i śmierć, czem są sędziowie przysięgli... a lepiej podobno poddać się pod egzekucję wydziałów powiatowych, niż na wyroki sędziów przysięgłych się narazić.

Na tem ograniczam cytaty z mów, wypowiedzianych przez Dunajewskiego w sejmie krajowym i przechodzę z kolei do mów, wygłoszonych w wiedeńskiej radzie państwa. Zaraz pierwsza z nich, odnosząca się do brzmienia adresu w r. 1873, posiada niepospolitej doniosłości i trafności polityczne myśli. Wszyscy, oświadcza mówca, którzy w tej izbie zasiadamy, mamy na podstawie złożonego ślubowania równe prawo uchodzić za wierno-konstytucyjnych i w całej tej wysokiej izbie, a sądzę, że z bardzo małemi wyjątkami i w całym państwie nie ma przeciwników konstytucyi i konstytucyjnej wolności. Austryackiej idei państwowej, przynajmniej wedle naszego poglądu, nie można tak pojmować, jakoby naszym przeznaczeniem było zniknąć w wielkim, bez zaprzeczenia, w historii bardzo zasłużonym, narodzie niemieckim, do tego nie byłoby potrzeba monarchii austryackiej. Dewizą przeciw naszemu monarchy jest „viribus unitis”; by jednak siły łączyć, by z nich stworzyć potęgę, należy je pielęgnować, utrzymywać je przy życiu i zdrowiu. Jeżeli jednak zaniedbujecie poszczególne części organizmu, jeżeli im utrudnicie ruch i działalność życiową, jakże możecie żądać, by z martwych mechanicznych sił wyrosła potęga? To jest wprost niemożliwem.

W mowie trzeciej, wypowiedzianej w sprawie wyboru posła Małejskiego, dotknął Dunajewski ważnej kwestyi prawa państwowego. Leży to w naturze zgromadzeń ustawodawczych, powiedział mówca, że, przynajmniej w zasadzie, same rozstrzygać muszą w ostatniej instancyi o ważności wyboru swych członków. Jeżeli jednak komuś w ważnej sprawie z natury rzeczy i w myśl istniejących ustaw służy dyskrecjonalna władza, to jeżeli ma być pożyteczną i dobru powszechnemu nie szkodliwą, należy ją wykonywać, nie tylko z sumiennem zachowaniem istniejących ustaw, ich litery i ducha, ale także z pewnego rodzaju umiarkowaniem i słusznością, która nie tylko w prywatnem ale i w publicznem życiu jest najpewniejszą rękojmią pomyślnego skutku. Przedewszystkiem jednak nie powinniśmy być niesprawiedliwymi. (Izba posolska). Mamy prawo rozstrzygać, czy wybór, o którym nam doniesiono, został dokonany prawnie, czy nie, ale bynajmniej nie mamy prawa wybierać między dwoma posłami i orzekać, który

jest właściwie godnym zasiadania tutaj, gdyż wtedy stajemy się wyborcami i wyszukujemy sobie prawa, które nam nie służą. Słusznie też, czy nie, ale nasuwa się myśl i podejrzenie, że każdorazowa, stosownie do zmieniającej się społecznej i ludzkiej natury, odmienna większość, używa w danej chwili swej władzy, aby do izby powołać członka, który jej przekonaniom więcej odpowiada, niż inny.

W mowie IX, dotyczącej regulaminu obrad izby posłów, znajduje się następujący ustęp: Prawa publicznego nie trzeba mierzyć tą samą drobiazgową miarą, jaką się mierzy i ocenia prawo prywatne. W prawie prywatnem wychodzi się ze stanowiska, że każdy proces musi się zakończyć i że nawet wyrok musi być przez władzę państwową wyegzekwowany; jest to ogólna zasada, a przeciwko temu nie da się zarzucić. Jeden przecież wyjątek istnieje od tej reguły: w prawie małżeńskiem wyraźnie postanowiono, że małżonkowie powinni wzajemnie się kochać, proszę to wyegzekwować. W prawie publicznem jednak nie należy wychodzić ze stanowiska niuifności większości przeciwko mniejszości, lub mniejszości przeciwko większości, lub obu przeciwko rządowi, lub rządu przeciwko pewnym osobom. Ta nieszczęśliwa zasada niuifności nie doprowadziła jeszcze nigdy do pomyślnych rezultatów. Należy opierać się na zasadzie wzajemnego zaufania, na bona fides ze wszystkich stron.

Z XI mowy, wygłoszonej w dyskusji generalnej nad budżetem na rok 1878, pozwolę sobie przytoczyć jedynie kilka myśli, zaznaczając, iż odznacza się niezwykłym bogactwem politycznej treści. Przypominając to, co ktoś inny powiedział, że w Austryi można rządzić po dług zasąd stronnictwa, ale nie stronniczko, mówca jest tego zdania, iż rząd Austryi powinien przedewszystkiem stanąć na stanowisku „równa miara dla wszystkich.“ Nadto praktyka tych krajów, które pod względem prawa państwowego za wzór służyć nam mogą, uczy nas, że gdy które stronnictwo dostaje się do władzy, przewodcą tego stronnictwa jest rząd, właściwym bowiem przewodcą może być tylko rząd. Rząd ma, a przynajmniej mieć powinien, stałe cele, pewne postanowienia i lepszy pogląd na drogi, które mu obrać wypada, niż wielogłowe stronnictwo. Im liczniejsza większość, tem więcej w niej głów, gdyby ona miała być przewodnikiem rządu, sądzę, że byłby to upadek państwa.

W mowie XII, poruszającej sprawę reformy administracji politycznej, spotykamy znowu dużo cennych uwag krytycznej przeważnie natury. Mówiąc o Galicyi, Dunajewski oświadcza, że antypatya przeciw biurokratycznemu zarządowi polegała tam nie na teoretycznych zasadach, ale na doświadczeniach przeżytych wskutek biurokracji, importowanej z innych prowincyi i nie mającej żadnego oparcia

w kraju, szukającej go przeto tam, gdzie dobra administracya pod żadnym warunkiem go szukać nie była powinna. Szukała ona tego oparcia, nakształt roślin, rosnących na kamienistym gruncie, wciskając się coraz głębiej w szczeliny społeczeństwa i rozkładając je, o ile to od niej zależało, coraz bardziej. Mówca, popierając i udowadniając w następstwie konieczność reformy administracyi politycznej, wyrzekł: Moi Panowie, nie pytajcie się o nazwę rzeczy, o nazwę i charakterystykę państwa, które budujemy, i budujcie państwo wedle potrzeb całości i części. Nazwa znajdzie się sama; nauka jest zawsze w tym względzie następczynią życia, powie ona nam, jak i gdzie nas należy umieścić, byleśmy tylko dokonali budowy. Jak administracya służy państwu a państwo człowiekowi, tak też i konstytucya nie ma innego uprawnienia do egzystencji, jak umożliwienie dobrej administracyi. Prusy doszły do konstytucyi przez wiekową, dobrą, sprężystą i silną administracyę. My zaś otrzymaliśmy ją wskutek złej administracyi, wskutek odziedziczonych wad.

W XXI mowie, wypowiedzianej w 1879 r. w generalnej dyskusyi nad adresem, znajdujemy kilka myśli godnych zaznaczenia. Decentralizacya, jako taka, powiada Dunajewski, jest to wielkie niebezpieczeństwo, przeciw któremu panowie z przeciwnej (lewej) strony izby tak zacięcie się bronią. Lecz czyż decentralizacya nie jest konieczną i torującą sobie w europejskiem życiu publicznem coraz to więcej nowych dróg, myślą właściwej wolności? Czyż wolność polegać ma na tem, by na czele państwa stało wielkie prawodawcze ciało, a u dołu najważniejsze interesa państwa, materialne i duchowe interesa ludności rozstrzygała wszechmoc urzędnika? Nasuwa się tu jednak pewna myśl, czy też zarzut: naruszenie jedności i potęgi państwa. Wracając do tej jedności i potęgi państwa, która ma być zagrożoną przez ogólne zdanie, zaznaczające decentralizacyę w administracyi, to pytam się: któż nie wie, że Anglia co do zewnętrznej jedności i potęgi państwa zajmuje dominujące stanowisko w Europie? Któż nie wie, jak pomyślnie rozwijają się publicznie stosunki w małej Belgii, by już nie mówić o Niemczech, które nie są jednolitem państwem, ale zawsze państwem czyli rzeszą. Życzyl-bym Austryi, by taką potęgę, jedność i przeważne stanowisko w Europie, na stałe zajęła, jakie ma państwo niemieckie.

W dalszym ciągu powyższej znakomitej mowy, gdy przeciwnicy wszelkiej reformy konstytucyi oświadczyli krótko i węzłowato, iż ani kroku dalej nie postąpią ku porozumieniu, usłyszeli w odpowiedzi następujące słowa: Czyż mężom stanu należy przypominać, że polityki, umiejętności, czy sztuki życia, nie można uprawiać wedle konsekwencyi logiki, bo życie nie jest logicznem, bo życie składała się z samych

ustępstw i kompromisów, bo z ustępstw i kompromisów składa się ostatecznie całe państwowe życie. Przeciwności zacierają się. Czyż pragniecie panowie takie przeciwności jakimi zakłęciami wywoływać? Proszę pamiętać, że państwo, jak każdy człowiek, tylko tem żyje, że się rozwija i rośnie, że bez rozwoju, t. j. bez zmiany, życie nie jest możliwym. Jeżeli przeto panowie uważacie konstytucyę, jak ona obecnie istnieje, za taką, że bez niebezpieczeństwa nagłej śmierci nie może się dalej rozwijać, to głosujcie za tym ustępem. Ale wtedy ci panowie, którzy za tem będą głosować, nie powinni dawać sobie miana wiernokonstytucyjnych. Wiernym konstytucyi nie jest ten, który ją pozabawia wszelkiej zdolności rozwoju, a przez to i zdolności życia; wiernym jest ten, który czuwa nad jej wzrostem i rozwija ją, i przystosowuje do zmienionych potrzeb państwa i jego poszczególnych części.

W mowie XXVII, wykazującej potrzeby uniwersytetu jagiellońskiego i uniwersytetu w Pradze, Dunajewski przedewszystkiem zaznaczył, że co się tyczy pierwszego z nich, to narażonym jest na niebezpieczeństwo, że jego rozwój i jego dobroczynna działalność dla umysłowego życia narodu ulegną zastojowi, jeżeli ministerstwo oświaty będzie uwzględniać jego potrzeby tak, jak dotychczas. Każdemu uniwersytetowi, oświadcza w dalszym ciągu mowca, a szczególnie starym i czcigodnym uniwersytetom w Wiedniu i Gracu, życząc powodzenia i rozwoju. Sądzę tylko, że minister wielkiego państwa powinien słońce i deszcz, jeżeli nie jak Opatrzność, to przecież za jej wzorem, rozdzielać sprawiedliwie. Jeżeli jednak w ten sposób rzeczy pójdą, to rząd, a w szczególności obecny, przyszły, lub inny minister oświaty zobaczy, że tak stary uniwersytet krakowski narażony będzie na krach budynkowy. Nie mamy gmachu dla wykładów, rozporządzamy tylko „Collegium juridicum,” stojącym od 400 lat. Poprzedni pan minister oświaty, w powrocie z Czerniowiec, zaszczycił nasz uniwersytet odwiedzinami i w obecności całego grona profesorów oświadczył, że jeszcze nigdzie nie znalazł tak szkodliwych dla zdrowia sal, jak nasze. Prócz tego, różne polityczne losy i zmiany terytoryalne, które uniwersytet dzielił z krajem, doprowadziły do tego, że wielka część tego majątku ulotniła się, by nie podnosić tutaj cięższych zarzutów, które zresztą nie doprowadziły-by do żadnego rezultatu.

Na zarzut uczyniony, że niektórym uniwersytetom przewodniczą nie naukowe cele, ale cel i zamiar naukowego rozwijania nowopowstałych narodowych języków, odpowiedział Dunajewski następującemi słowy: „Nie mogę przypuszczać, by nie wiedział (mój przeciwnik), że języki nie powstają, jak każdy inny dowolny produkt ludzkiej siły, że język, to wielkie medyum, w którym duch narodu się porusza, tworzy się powoli i organicznie z poszczególnych narzeczy, że rośnie jak drze-

wo, ciągle się odnawia i odświeża. O jakimże to języku myślał pan poseł, mówiąc o językach nowopowstałych, i czy ma być nim język polski? Muszę panu posłowi powiedzieć, kwestyi językowej nie chciałem rzeczywiście poruszać, że język polski jest w szkole i urzędzie daleko starszym, niż niemiecki. Proszę czytać dokumenta. Daleką jest mi przytem myśl ubliżenia w czemkolwiek językowi niemieckiemu. Szanuję go tak wysoko, jak każdy wykształcony człowiek, ale to rzecz powszechnie znana. Czy pan chce język czeski nazwać nowym? O tem mówili już jednak inni panowie tak dokładnie, przytoczyli tyle dat historycznych, że zbytecznem tu jest wchodzić w dalsze szczegóły, aby wykazać niesłuszność podobnego twierdzenia.

Na tem zakończę przytoczenia ustępów, zdań i krytycznych wniosków z mów Dunajewskiego. Kończę bynajmniej nie dla tego abym wyczerpał ich treść doniosłą czysto-politycznej natury, ale ze względu, że charakter sprawozdania nakazuje mi się zawrzeć w ciśniejszych ramach. Z tem wszystkiem, rozstając się z pierwszym tomem mów Juliana Dunajewskiego, oświadczyc winienem, że jeżeli, jak to trafnie d-r Górski zauważył, mowy Dunajewskiego stały się czynami politycznymi, to pewnie dla tego, że wszystkie, w mniejszej lub większej mierze, były zwiastunami nauki politycznej, zebranej tak starannie i umiejętnie z życia państwa konstytucyjnego, jak miód przez pracowite pszczoły. Nauki politycznej nie spotykamy w tych mowach w formie doktrynerskiego wykładu, obejmującego w systematycznym porządku zasady i ustroj nowożytnego porządku państwowego. Dunajewskiemu państwo przedstawiało się w kształcie wielkiego organizmu politycznego, w którym zdrowie i życie urabiały liczne organa, codzienną nieustającą pracą. Jaką ta praca być powinna, aby w całym organizmie utrzymać czerstwość długowieczną, jakimi zadania publiczne, które nieustannie wykonywać należało, o tem wszystkiem ponęcały mowy Dunajewskiego w sposób zdobywający przekonania, bez względu na to, czy pozornym tytułem do zabrania głosu było pokrycie dachem gmachu sejmowego, zaspokojenie potrzeb szpitala lwowskiego, omywanie dróg—czy też najważniejsze kwestye konstytucyjne w państwie austriackiem.

Najdrobniejszej funkcji administracyjnej, zarówno jak i najważniejszej sprawy konstytucyjnej, nie pominął Dunajewski, aby przy tej sposobności nie wnikać w naturę nowożytnego państwa i w zadania oraz cele rządów reprezentacyjnych. To też rzadko kto z tą głębokością myśli, a zarazem z tą jasnością i wyrazistością słowa, zdołał w szeregu pojedynczych spraw i okoliczności zadania powyższe i cele

wyrozumieć tak wyczerpująco. Nauce politycznej, przyobleczonej często w pospolite szaty drobnych spraw administracyi miejscowej, nadawał Dunajewski podkład etyczno-polityczny w sposób niezwykle podniosły imistrzowski. Mowy jego zawierają pełny katechizm obowiązków obywatela w nowożytnym porządku państwowym, a czytanie jego mów praktycznie obznajomi każdego z zasadami etyki politycznej, daleko gruntowniej, niż Lieber swem wybornem dziełem: „Manual of Political Ethics,“ lub Skarbek swem cennem studyum: „Essai de morale civique.“ Oświadczając wreszcie, że daleko silniejszym węzłem społecznym są wspólne obowiązki, aniżeli wspólne prawa, wypowiedział Dunajewski najistotniejsze dążenie politycznej nauki, bez którego urzeczywistnienia reprezentacya i samorząd pozostaną martwą literą, a nowożytny porządek państwowy — skomplikowaną, bezduszną maszyneryą. Dopiero, gdy zasada, wygłoszona tak zwięźle i jędrnie przez Dunajewskiego, ożyje w sumieniu każdego obywatela, instytucye reprezentacyjne i samorządne staną się rzetelną potęgą i wypełnią należycie swą polityczną misyę.

Naukę polityczną uwolnił Dunajewski nie tylko od wszelkich stronicznych doktryneryzmów, od frakcyjnej rabulistyki, od szowinizmu lokalnego i od wszelkiej sofistyki jakiegokolwiek bądź pokroju, ale w dodatku wypowiedział ją w sposób polityczny, i dla tego też łatwo przyszło jego słowu przeistoczyć się w czyn polityczny. Dunajewski, z świadomością, czy bezwiednie, kierował się zawsze zdaniem Kołłątaja, które radziło, że „gdy idzie o dźwignienie pospolitej rzeczy, gdy idzie o przyszłość, zapomnijmy o wadach przeszłości. Ten będzie wartą największej całej narodu wdzięczności, kto pierwszy złoży z siebie ducha pogardy, zawziętości i sprawiedliwego nawet żalu. Chcąc przejść do swobody, trzeba się napić wprzód ze źródła niepamięci, i nawet nie oglądać się w tę stronę, która nas zaraziła niechęcią i upodliła zawziętością.“ Trzeba przyznać, że mężowi stanu w Austrii trudniej, niż gdziekolwiek indziej, przychodziło owo napięcie się ze źródła niepamięci, ale Dunajewski dokonał i tego. Ton jego przemówień jest zawsze pojednawczym, usmierzającym dawne cierpienia, łagodzącym dawne waśnie i uciśnianym namiętne swary. powstałe z taką bujnością w dobie dziesięciolecia rządów reakcyi. Z tego rozumnego toku politycznej myśli, jaki płynie z mów Dunajewskiego, przekonać się można, że żaden duch antypolityczny, choćby na razie korzystny, nie ogarnął nim ani na chwilę, lecz że zawsze pozostał w równowadze, nie zapominając o myśli przewodniej każdego politycznego mówcy: *concordia res parvae crescunt*. W końcu winienem nadmienić, że Dunajewski nie przeistaczał

nigdy politycznej myśli w retoryczny frazes gwoli odniesieniu parlamentarnego zwycięstwa. I pod tym względem zachował on wystąpieniom swym parlamentarnym znamię szczerze polityczne.

Prócz listów Kołłątaja, pragnących się także swego czasu przeciwstawić w czyn polityczny, nie widzę w późniejszej naszej literaturze mów, czy też listów politycznych, które-by doniosłością politycznej treści lub bogactwem głębokich myśli, zaczerpniętych wprost z parlamentarnego życia, mogły iść w porównanie z mowami Dunajewskiego. Zdolni mówcy księstwa z 1809 r., na których czele stał Godlewski, byli uczniami Kanta, i w głosach ich odczuć było można nieco doktrynerskiego krytycyzmu, który więcej rozdzielał i zniechęcał, zamiast jednoczyć. Późniejsi mężowie stanu, te same, lub zbliżone właściwości czerpali od Hegla, i dla tego w listach lub mowach swych okazywali się pozornie logicznymi, ale za to więcej oderwanymi od politycznej logiki i nauki, co spowodowało, że zasadnicze ich dążenia, pragnienia i przepowiednie w czyn polityczny się przyoblec nie zdołały. Dunajewski czerpał wyłącznie z ożywczych źródeł mądrego Stagiryty, a naukę stamtąd powziętą uszlachetnił etyką chrześcijańską. Mowy jego zawierały też zdrowe ziarno polityczne, które zdołało się przyjąć i wydać bogaty plon, nawet na tak jałowej i egoistyczno-skalistej glebie, jaką stanowiło przez długie czasy austriackie państwo. Wielką też to musi być duchową uciechą dla zasłużonego i już sędziwego męża, że może spoglądać na błogie owoce, jakie wydaje jego zacna praca, w poczuciu sprawiedliwości, zgody i miłości publicznego dobra poczęta. Tej uciechy, jako słusznej nagrody za szczerze, obywatelskie czyny, życzę mu z serca na długie lata.

A. REMBOWSKI.

W PUSZCZY.

Leżąc na półokrągłych belkach, przyprószonych zlekką sianem, ukradzionem szkapie na przednówku, zapatrzony w sylwetkę koguta, wydłużoną karykaturalnie w ciemności, wsłuchiwałem się w uderzania racie krowich w otwartej zagrodzie, w ustawiczne czochranie się krów o ścianę stodoły, sprawiające, że za każdym razem czułem się silnie kołysany na swem łożu i drżałem z obawy, by belki nie rozstały się pod mną, strącając mnie gdzieś na dół, na kark świni, chrząkającej przez sen gniewnie i smętnie zarazem. Zresztą cicho było i ciemno, wprost przed sobą widziałem błądy płomyczek,—domyślałem się, że to gwiazda, i że w bocznej ścianie szczelina być musi. Do dnia było jeszcze daleko.

Zdrzemnąłem się,—gdy w tem nad moją głową załopotало coś, długa sylwetka skurczyła się, potem wyciągnęła się ku górze i rozległ się przeraźliwy wrzask. Pierwszy to raz kogut zapał mi w ucho; długo musiałem się cucić, by zrozumieć, że to północ. Kogut skończył swój okrzyk, lecz długo jeszcze rzężało mu w gardle przykrym falsem. Cisza,—po chwili znów łopotanie skrzydeł i nowy okrzyk, poczem znów rżężenie przeciągłe i pianie jeszcze głośniejsze. Bałem się by mi na głowę nie zleciał, tak się ustawicznie na swej grzędzie poprawiał.

Nakrzyczawszy się do syta, usadowił się wygodnie i usnął. Mogłem znowu podziwiać w ciemności jego wydłużoną sylwetkę, wsłuchiwać się w stapanie krów, obijanie się ich o belki i w chrząkanie świni na dole.

Mimo najlepszych chęci nie potrafiłem ukołysać się do snu tą sielanką. Wypukłość jednej belki gniotła mi niemiłosiernie prawą łopatkę, drugiej krzyż mi maglowała, w szczelinę między drugą a trzecią ugrzęzła mi pięta, skąd jej w żaden sposób wyciągnąć nie mogłem.

Nie wiem, jak to się stało, że się znalazłem na ławie, przed chałupą. Na dworze było chłodno i ciemno; gwiazdy świeciły małe i dalekie, bez migotliwego połysku; mur lasu, kotłem otaczający polanę, czerniał jak otchłań; dla sennych oczu nie piętrzył się nawet ku górze, lecz jakby w dal się wyciągał, olbrzymią przepaścią okalając dwie jedyne tu chałupy. Dalej widać było pofałdowany zębaty brzeg tej czarnej kotliny, wrzynającej się w tło cokolwiek jaśniejsze, po którym szły mętne smugi: mgły czy też drogi mlecznej. Nie daleko chaty plama wielka, coś jakby cień ogromny, każąca się domyślać bryły bezkształtnej i dziwacznej: — tam za dnia dąb było widać. Po środku polany coś szarzeje, w dali nawet przyświeca, jak te smugi na niebie, i ginie w ciemnej otchłani: — to droga, wiodąca w głąb puszczy. Po rosie świerszcze chórem grają.

Po prawej stronie wyszła z lasu grupa drzew, widać tylko dwa pnie i znów tylko czarną plamę. Wyszła ona z boru i posuwa się wyraźnie ku mnie, ilekroć opadną zmęczone powieki; gdy je roztworzę, usuwa się prędko, a gdy uporeczywie tam się wpatruję, to wydaje mi się, że te dwa pnie świecą jak próchno. Czuję wilgoć przejmującą, czegoś się boję, pragnął-bym uwolnić się od ucisku jakiegoś, mimowoli wzdycham, głowa w tył mi opada, oczy kilka gwiazd drobnych na niebie pochwyca i tak się w nie zapatrzę, że w ich sąsiedztwie coraz to nowe odnajdują światelka. Chcę wrócić do chałupy, lecz wstać nie mogę: tu coś przykuwa i ruszyć się nie daje, zwłaszcza ta ciemnica z prawej strony, co mnie otula i, mimo chłodu, daje rozkosz dziwną, nigdy nie doznawaną, rozkosz tajemniczej obawy. Już mnie pokryła, obezwładniła członki, już mi w uszach szumi...

Gdyś oczy otworzył, zmienił się obraz. Nie widzę przepaści, lecz wyraźną, jeszcze równą ścianę boru z zębątem rąbkim wierchołków, odbijającym się na niebie, ni to szarem, ni sinem o tej porze. Niema w niem tej głębi, co wprzódy, ani tej wyrazistości gwiazd drobnych, jakby mgła biała rozpostarła się pod nim, przyćmiła gwiazdy i rozjaśniła cokolwiek horyzont. Wietrzyk słaby mógł ją przynieść, tak słaby, że niczem jeszcze poruszyć nie zdoła. Czuć go tylko w powietrzu.

I na ziemi, tuż po-nad zagonami, rozjaśniać się zaczęło. Noc schodziła z nich powoli, roztapiając się w powietrzu w szarość mglistą; równocześnie u dołu zaczął się wylać kobierzec łagodnie kłębiących się oparów; murzał się w nich pień dębu, zarysowującego się coraz wyraźniej, i żerdzie zatopionego do połowy płotu.

Jak zwarty szereg żołnierzy po skończonej mustrze, tak łamać się zaczął szereg drzew, tworzących dotychczas równą ścianę polany. Oto występuje świerk stożkowaty i wyciąga swe gałęzie, podobne do obwisłych ciemnych płacht; równocześnie kilka innych drzew z lasu wyrzało: owdzie buk, tu grabina, tam jesion. Nad nimi sterczą na pół nagie pnie sosen.

Z zachodu, kędy większy skrawek nieba widać, rozciągnęły się dwie chmury w dwie długie brzozy, z początku białe, potem tak nagle różowe, że mimowoli obejrzeć się trzeba było naokoło. Kilka białych gwiazd świeciło jeszcze na niebie.

Potem była długa chwila ciszy i spokoju.

Wtem coś odezwało się w lesie pośpiesznie, gadatliwie, trzpiotowato. Mała ptaszyna wystrzeliła do góry i, szamocąc rozpaczliwie skrzydłami, trzyma się w powietrzu i gwałt wielki czyni. Wtedy dopiero kogut się odezwał: raz, drugi, dziesiąty, poczem zaspane kury pogdakiwać zaczęły urywanemi głosy.

Zgadały wrzescie chórem kłótliwym, jakby jedna drugą namawiając do zeskoczenia z wysokiej grzędy; czuć w ich głosach wahanie która odważniejsza, zagdacze głośniejsz, skoczy i—wrzesczy po drodze, przestraszona własną odwagą; za nią skacze i drze się druga: i tak wszystkie po kolei, z wielkim hałasem dzień Boży poczynają. Obudziło to świnię, mieszkającą, w braku innego schronienia, w stodole. Nie czekając aż im kto roztworzy, własnym przekopem wydostają się na świat. Wylazłszy z dziury, wciągną świeże powietrze ryjem, odchrząkną i maczając nosy w rosie, rozlażą się na wszystkie strony. Wstały świnię, pora i na psa. Pokazał się gdzieś z kąta, przeciągnął się, jak leniwy pastuch, wyprężając nogi, powłókł się na środek drogi, siadł tu i, tak siedząc, zdrzemnął się raz jeszcze.

Tymczasem z szarego tonu poranku barwy wystąpiły, poczerniały silniej podłużne chmury, ozłocity się wierzchołki sosen, zazieleniał mocno dąb, a słabiej jesion, posiniał świerk, pozołkła droga piaszczysta, zabielało kilka zagonów gryki, posrebrzył się owies, gęsto rosą nakrapiany, a kobierzec zesłych liści i igliwia pod kępą drzew na prawo miedzianym zaiskrzył się polyskiem.

Ziemia była pulchna i wilgotna, wiatr łagodny dmuchał na polanę, przynosząc z lasu świeżość wielką i woń odżywczą poranku. Wierzchołki sosen sterczały teraz po-nad lasem jako złote świeczniki. Górą,

muskając drzew korony, szła jasność żółtawa, przezrocza, a w niej rój ptactwa się kąpał. Powietrze wypełniał świergot niemilknący, jakby tysiąca drobnych dzwonek uderzenie

Nakoniec zaskrzypiał zóraw studni, pełne ranne echo powtórzyło ten odgłos w lesie, jakby przeciągły kołat grzechotki, na znak, że i ludzie już wstali

W kilka godzin później szedłem w towarzystwie leśnika, niby głębokim przekopem, w lesie po piaszczystej drodze, pooranej parami brózd kołowych. Po bokach stały świerki ze zbitymi do kupy gałęzmi, jak obeliski, lub obwisłe, poczochrane i smutne, jak wierzby płaczące nad grobem; gdzieniegdzie białe brzozy, sterczały wysmukłe buki, graby o potężnym pniu, widniał dąb wyniosły, lub proste, jak świece, sosny, ze skąpą, ku jednej stronie zgarniętą, koroną.

Stało to wszystko bezładnie, z sobą pomieszane, w gąszcze zbite i niezmiernie wysokie. Dość spojrzeć na tych olbrzymów, by odgadnąć tę zażartą walkę o słońce: drzewa prześcigają się nawzajem we wzroście, jedno przez drugie stara się coraz wyżej ku niebu wystrzelić, by po nad inne swoją koronę rozwinąć. W gąszczy płaczą się i czepiają gałęzmi, chcąc jakby podciągnąć siebie lub sąsiada przytrzymać. Byle wiatr w nie uderzył, a skrzypią i trzeszczą, ocierając się o siebie

Niektóre drzewa smutkiem wielkim mówią: oto naprzykład nasza mazowiecka sosna, do litewskiej puszczy przeniesiona, a ocalała tylko dzięki temu, że nad brzegiem drogi wyrosła. Niższe jej gałęzie, w węzowych splotach kureczowo pokręcone, dziś nagie, martwe, konoپیastemi brodami porostów obwisłe, świadczą o rozpaczliwych niegdyś wysiłkach. Dwa ramiona w swych wykrętach trafiły wreszcie na słońce, tu w wachlarz się rozrosły i żywią drzewo, na którym z jednej strony w szarych kłociach mechów śmierć już osiadła.

Dalej stoi jak kolumna kawał pnia, odartego z kory, o kilka kroków opodał runął grab przy drodze, grzyby go obsiadły, mech pokrył, paproć wyrwanych uczepiła się korzeni.

A droga wije się w lesie, skręca to w prawo, to w lewo, miejscami się rozszerza i trawą porasta, to znów zwęża się gwałtownie i splotem zieleni omal że nie zamyka się u góry. Idziemy milcząc, kroki nasze szmery jakieś budzą z tyłu, jakby śladem naszym życie budziło się przy drodze.

Wędrówka ta nudzić wszakże niebawem zaczyna. Chwilami wydaje się, że to miejsce jużśmy mijali; oto tenże pień, na który zwróciliśmy już dawniej uwagę, tenże buk olbrzymi, podobny jesion. Tym-

czasem idziemy wciąż dalej, droga wiedzie to w jedną, to w drugą stronę, przed oczyma przesuwa się ciągle te same drzewa, podobne pnie i wykroty. Przed każdym zakrętem spodziewam się ujrzeć łączkę, do której zdążamy; zamiast tego widzę ciągle szarzejący pas leśnej drogi, ujęty w zwarty szpaler wysmukłych świerków, buków i osiny. Leśniczy utrzymuje jednak, że nie mamy więcej, jak dwie wiorsty za sobą.

— W lesie—mówi—niema po czem miarkować, a przytem czas się wydłuża.

Przypomniały mi się bajki z dzieciństwa: „Weszli do lasu i idą, idą, idą.“ — „Aż tu patrz...“

Droga sklepieniem ciemnej zieleni w kształt bramy się zamyka, po-za nią słońce jaskrawo prześwieca. Gdyśmy wyszli z czeluści lasu, uśmiechnęło się ku nam jasne i przestronne pasmo łąki. Środkiem sączyła swe skąpe wody mała rzeczka, rozlewając się gdzieniegdzie w szersze kałuże. Zielen naokół i mnóstwo barwnych płam polnego kwiecia roztapiały się w słońcu, jakby zlewały z sobą, pokrywając się gazą pyłu czy też oparów. Drgał i mienił się w oczach ten kobierzec łąki, pełen świerku i skrzypu od tysiąca nurzających się w nim owadów.

Tu dopiero spostrzegliśmy, że dzień był upalny.

Minawszy rzeczkę, pogrążyliśmy się znów w cieniu leśnej drogi, niebawem skręcamy na prawo i idziemy na przełaj lasu, tonąc po kolaną w paprociach. Las, na przekór moim oczekiwaniom, stawał się coraz rzadszym i widniejszym, napotykamy na świeżo spiłowane pnie: tu siekiera las już trzebiła. Gdzieniegdzie stały w sążniu i kozły poskładane polana, ukryte tak w zaroślach, że ustawicznie łudziły oko, nie tylko moje, lecz i leśnika, który od czasu do czasu stawał i baczniej im się przyglądał.

Po przez luki między drzewami, na małym wyrębie, ujrzałem dym niebieskawy, pełzający po ziemi, a potem nagłym zwrotem kłębiący się ku górze. Niebawem pokazało się ich więcej między karczami. W nadziei, że znajdę tu traczy, podszedłem bliżej, lecz ku wielkiemu zdziwieniu ujrzałem tylko kupy czarnego, węglącego się powoli drzewa. Dziwne wrażenie sprawia to tlejące się zarzewie, pozostawione samemu sobie w gęstym borze, gdzie lada wietrzyk, jak sądziłem, snop iskier z tej czarnej masy rozkrzesać potrafi i rozniecić okropny pożar. Wszak kawał tej puszczy przed dziesiątkami lat przez całe trzy miesiące pono się palił.

Leśniczy podjął zeczerniałą wiór, dmuchnął nań i zapalił sobie fajkę tem łuczywem.

— Po cóż te ognie?—pytam.

— A cóż mają robić — odparł — z gałęzmi i lichszem drzewem? kto po to przyjdzie? jak zamiecie? Darmo-by dali. A oczyścić trzeba.

— Piękne czyszczenie! — krzyknąłem w szczerem oburzeniu, wskazując przed siebie.

Na małym wzniesieniu, niby na wysepce, stał wielki szlachetny dąb. Pień jego był z jednej strony osmalony aż po nad wysokość człowieka. A z tej czarnej powierzchni dobywał się gęsty, pełen żywicznego zapachu dym; kłębiąc się i czepiając kory szedł on ku górze, tak, że mgłą niebieskawą całe drzewo przysłaniał. Tak smalił się za życia olbrzym puszczy, aż runie, przepalony u korzeni, przygniatając sobą kilka drzew sąsiednich. To całopalenie odbywa się rozpaczliwie wolno. I dziś, w tej oto chwili, stoi pewno jeszcze dumny, wielki, a bezradny, szeleści niebotyczną koroną swych liści i oczekuje spokojnie końca.

— Dąb djabli wzięli, — rzekł flegmatycznie leśniczy.

— Puszcza spalić się może, — dodałem ze swej strony.

Roześmiał się.

— Ej, nie spali się!

— Toż paliła się już nieraz.

— Może i paliła! — odparł od niechcienia i, siadłszy na pniu, począł kiwać głową z politowania nad dębem.

— A tego szelmę robotnika przepędzę, — mrucał do siebie. — Tak to ogień rozkładał!

Zaczynam wreszcie rozumieć: główna rzecz to rozłożenie ogniska, bo póki to się węgli powoli, silny wiatr tylko iskrę rozdmuchać i rozniecić ogień może. Lecz jakże on tu trafi w te knieje — ów wiatr silny?

Gdzie białe popiół wygasłych ognisk ziemi nie pokrył, tam czerwień się soczyste, wielkie jak ziarna bobu, poziomki. Zwłaszcza pod świeżemi karczami mieniła się od nich zieleń, jakby kto garść koralu na ziemię rozsypał. A zapach od nich bił świeży, rozkoszny i ze wszystkich stron zanosil. Natrafiłszy na ślady dużych krowich racic, przodem głęboko woranych w ziemię; żubr przechodził tędy, ślady były świeże. Prowadziły one do niegłębokiego piaszczystego wądołu, którego zrębów czepiały się, niby węże brunatne, korzenie. Na dnie ziemia była gładko ubita, odgraniczając się od nieporuszonego piasku niewyraźnymi liniami.

— O! — mruknął leśnik, wskazując na ten odcisk.

Ślady wiodły w srebrzący się zdala zagajnik osiny. Minąwszy go, trafiliśmy na moczary, nogi grzęzły po kolana w błocie, plątały się w wysokiej i twardej trawie. Dalej na gęsto porozrzucanych wysepkach

buki powyrastały. Skacząc z kępy na kępę i czepiając się gałęzi, przedostaliśmy się na twardszą ziemię; przelazłszy wreszcie przez gruby powalony pień sosny, weszliśmy w gęsty ciemny bór. Krążymy po ostępie w rozmaitych kierunkach, wirujemy między drzewami, torujemy sobie drogę wśród gęstych zarośli, brniemy po pas w paprociach, grzęźniemy w błocie, przelazimy przez pnie, okrążamy zawaly, skaczemy jak kozy przez rowy i wądoly, włączymy w coraz to większą gąszcz, w coraz to czarniejsze bagna, w coraz to dzikszc knieje. Wszędzie widać ślady żubra. Zwłaszcza na błotach racice jego pozostawiały głębokie wyciski, w które woda powoli się sączyła. Pod wyrwanym korzeniem spostrzegłem znów odcisk jego cielska, tuż obok ziemię nogami skopaną, świadcząca, że temu starcowi nie łatwo było podnieść się z miejsca. Chwilami czuć nawet zapach krwi.

Niecierpliwość podrażnia mi zmysły, widzę jakby po przez liście i gałęzie, rozróżniam każdy szmer w tym ponurym koncercie boru, lada głośniejszy szelest chróstu pod nogami, lub trzask gałęzi sprawia, że zatrzymuję się na miejscu i słucham uważnie; byle szary cień, majaczący niewyraźnie między gałęziami, każe schylić się, by dołem między pniami dokładniej mu się przyjrzeć.

Żubra nie znajdujemy, lecz ta zaostrzona baczność wprowadza powoli w nastrój. Widzę coraz to wyraźniej te powikłane sploty drzew, stosy powalonych pni z węzłem wyważonych korzeni, z ich suchemi gałęziami sterczącymi sztywno ku górze; odróżniam trawy z daleka: te mi się srebrzą, tamte niebieskawo mienią, inne silniej lub słabiej zielenią, że te miękkie, tamte twarde, zdaleka odgaduję; wiem że tu będzie trzęsawisko, tam grunt suchy z trawą prawie kruchą, wiem gdzie przejść mogę, gdzie w błocie ugrzęzną, gdzie na obfitsze wykroty natrafię.

A jednak im lepiej w najbliższem otoczeniu się orientuję, im lepiej widzę i poznaję to, co mnie otacza, tem—rzecz dziwna—niepewniej przed siebie spoglądam, tem bardziej w dal się wpatruję, tem częstsze szумы i szepty zdała słyszę, tem większe dziwy o kilka kroków przed sobą odgaduję. Była chwila, kiedy słońce, przedarłszy się przez lukę w szczytowych gałęziach i musnąwszy długą strugą pień dębu, rozlało się ciepłą plamą po szeroko rozpostartych, w szczelny całun zwartych, paprociach.

Wiatr wionął, zaskrzypiał gałęziami, rozkołysał korony drzew, — plama słońca drgnęła, zeslizgnęła się raptownie z dębu na ziemię, z ziemi na sosnę weszła, przepołowiła się i dwoma pniami do góry się drapie; wreszcie na cztery rozłupała się blaski, z tych blasków jeden w drobne planki się rozsypał i między liście uciekł, a trzy pędzą przed siebie, gnane wiatrem szumiącym, przeskakują z drzewa na drzewo,

z pnia na pień, to konar musną, to po ziemi przepelzną, to przez krzaki suną, zgasną na chwilę, wnet znów się ukażą i, coraz to niespokojniejsze i ruchliwsze, bardziej drgające, w las uciekają. Znikły gdzieś w głębi, w kniejach niedostępnych i tajemniczych, pociągających ku sobie nieprzepartą siłą.

Byłbym poszedł w tamtą stronę, darując leśniczemu żubra, gdyby nie to, że echo doniosło w tej chwili do mnie wołanie:

— *Naszou!*

Zwracam czemprędzej na lewo i o kilkadziesiąt kroków pakuję się w tak grzęskie bagno, że gdyby nie obawa, iż żubr tymczasem ucieknie, pewno-bym z niego nie wyrnął. Na szczęście natrafiam znów na kępy poroste miotłami wysokiej trawy. Podsadzając się z jednej na drugą, jak wrona, przeskakuję wreszcie przez tę czarną maź i wypadam na małą polankę.

— Gdzie?—pytam zadyszany leśniczego, nie chcąc czasu tracić na oglądanie się.

— A o!

O jakie trzydzieści kroków przed nami, na małym pagórku, leżał żubr, jak krowa, z podwiniętymi pod siebie przednimi nogami, z zadartym łbem, i topił w nas spokojne bystre spojrzenie. Co chwila uderzał się po bokach ogonem, broniąc się od roju otaczających go gżów.

Poprawił się i wyjął przednie nogi z pod cielska. Ustąpiliśmy na kilka kroków, a on, zamiast powstać, powalił się na bok i począł tarzać się na ziemi, jak koń.

Niby podobny do tego z gabinetu zoologicznego. Trzeba wszakże widzieć tę wielką brunatno-rudą bryłę, przewracającą się z boku na bok, jak się wyteża, jak pierściami robi i sapie gwałtownie, jak ziemię nogami wrywa, na grzbiecie się stawia i ciężko chłapie o ziemię, by zrozumieć, jakie okropne życie w tej bestyi siedzi.

— Ten ma nas za nic!—mruczałłośnik pod nosem.

Żubr zmęczony leżał przez chwilę na boku, wreszcie powstał, łeb zadarł do góry i w całym przedstawił się majestacie.

Kark, osadzony na zadzie zwykłego byka, olbrzymi, wzdęty, na szyję wchodzący, obwisłymi kudły pokryty, nadawał mu wygląd złego, napuszonego, strasznie złego, zwierzęcia. Łbisko wielkie o szerokim czole i o krótkich, na wewnątrz ku sobie zwróconych rogach, poruszało się ustawicznie, jakby w półsennej potakiwaniu. Przytem patrzył ciągle na nas jasnym, pewnym siebie, spojrzeniem.

„Włóż mi w drogę, włóż, kiedy cię skóra świerzbi“, mówił tem spojrzeniem i poruszaniem łba.

Ruszył wolno, kiwając ciągle głową. Gdyśmy za nim do lasu podążyli, zatrzymał się wnet, wygiął się w połowie ciała, zwrócił kark wraz ze łbem ku nam i, patrząc przenikliwie, lizał jęzorem swe białe wargi. Od czasu do czasu puszczał ogon w wartki ruch.

— Oho, merda już ogonem!—wołał leśnik.—Zły.

Gdyśmy cofnęli się trochę, poszedł dalej chłodny, spokojny, pewny siebie. Jakaś gałąź uderzyła go w pysk, chwycił ją, jak mi się zdawało, między rogi, kiwnął główką i złamał gałąź jak drzazgę. Potem natrafił na małe wzniesienie, wstąpił na nie przednimi nogami i, aby zebrać siły dla podźwignięcia się, stanął znowu, tym razem w pozycji konia, popisującego się na arenie cyrkowej.

W tej chwili był wprost wspaniały!—Wreszcie skurczył się nieładnie i podjął swe cielsko na wzgórek.

Trzymając się stale pewnej odległości, postępowaliśmy za nim krok w krok; on to czuł widocznie, gdyż coraz energiczniej wymachiwał ogonem. Nagle zboczył, przyspieszył kroku i za chwilę schował się w wądole. Tam się znów ku nam zwrócił i pokazał tylko swój łeb, opierając go o brzeg rowu. Świejące oczy i pasmo białych warg, sprawiających wrażenie wyszczeżonych zębów, czyniły go groźnym zdala.

— Chce się położyć,—mówił leśniczy.—Pora zostawić go w spokoju, bo może być źle.

Jakoż w jamie zakotłowało się w tej chwili, niebawem bryły ziemi zaczęły wylatywać w powietrze.

Widowisko musiało być świetne, cóż kiedy leśniczy odwrót pośpieszny nakazał.

Tu na wyrąb wzywała puszcza czarną jak piekło paszczką grzęskiego błota: oko gubiło [się w korytarzach i przejściach z ciemnej zieleni, lądzących na dalekiej perspektywie tajemniczymi skrętami lub zamkniętymi blado-zieloną ścianą świeżej roślinności.

A wiodły te przejścia i lochy w uroczyska dzikie, między wielkie senne drzewa, między mchem porośłe kłody, na bagna i moczary, w labirynt szarych kolumn, w głąb dziewiczej puszczy.

Dość zatrzymać się tu na chwilę i pozwolić, by echo szelest kroków rozniosło, a uderzy nas wnet niezmierna, grobowa cisza, taka, co w siebie wsłuchiwać się każe. Gdy od czasu do czasu górą lasu przejdzie przeciągły szum, to ucho od niego oderwać się nie może i słyszy go wtedy jeszcze, gdy fala wiatru już dawno minęła. Jest w tej ciszy

jakieś naprężenie, wydaje się, że ona coś poprzedzać musi, jakby na koncercie po uderzeniu stypuły, gdy się w skupieniu pierwszych oczekuje tonów. Oczekiwanie daremne, wrażenie się przeciąga i nuży: tak nuży południowa cisza w puszczy.

Las i tu podmywało czarne, o krwawym odcieniu, błoto; na grudach wystających czepiały się miotły dużych, w chwastach zwieszających się traw, między niemi tarzały się olbrzymie wykroty, wyciągające ku górze sploty swych potężnych, już z kory ołuskanych, konarów, całe mchem i paprocią porośłe, wystającemi grzybami ubrane. Z osadą drzewa wyważona ziemia stoi u stóp każdego zawału. Jak kurhan ciemny, na nim wiją się i płaczą kurczowo węzły wydartych korzeni, tworzą altany, zwaliska, ruiny fantastyczne, sięgające wysoko, aż pod gałęzie dębów sąsiednich. Paprocie powłaziły na szczyt tego rumowiska, przeplatając je zielenią, brody porostów, czepiając się najcieńszych wyrostków, szarym kirem pokrywają tę bryłę, wysokie trawy o szerokim liściu poduöße tej budowli ustały i, zarosłszy wyrwę pod zwalonym drzewem, zagoiły ranę ziemi.

Jestem jak pośród rozwalin starego zamczyska, wszystko ma tu piętno śmierci na sobie: i te grube szare pnie dębów, ślizką plechą pokryte, jak stare zwietrzałe kolumny, i przelamane, w środku w strzępy podarte, drzewa, mające wmiast korony wieniec połupanych drzazg i wiorów na sobie, i w bagnie na pół zapadłe pnie, tak gęstym całunem aksamitnego mchu pokryte, że są jako mogiły cementarne, i te wreszcie, pokotem na błotach leżące, brzozy, sosny, dęby, buki z korą o dziwnym połysku pajęczyny, lecz jakby jeszcze całe, nienaruszone, mchem nie pokryte, grzybami nie stoczone.

Stąpniętem na pień taki,—i w tejże chwili noga zapadła mi się głęboko w pulchną, rudą, zmurszałą masę. Więc i tędy śmierć już dawno przeszła...

Gdy promień słońca z góry w uroczyisko zleci, a wiatr szczytami drzew zakotysze, wówczas na pierwszy plan żywy bór występuje: czuć naokół bujną dziewiczą roślinność; gdy wszakże cień i cisza tu zapadnie, wtedy nastaje chwila współczucia dla poległych w tem ustawicznym borykaniu się ciżby drzew. Grzyb je toczy, wiatr żenie, bagno chłonie, gąszcz dusi i pokarm odbiera;—każde ziarno, trawa, płonka, krzew i drzewo tem tylko żyć zaczyna, że drugie zniszczyło, i tem dłużej żyje, im dłużej inne pokonywać potrafi. Ginią tedy nasiona, marnieje trawa, zatapia się krzew, wałą się drzewa, a po nad tem wszystkim góruje puszcza senna, ponura, nieprzejrzana.

Nieraz ta walka o pięćdziesiąt centymetrów ziemi dziwnie się uplastycznia. Oto stoi cudaczna roślina: widać iglaste kiście świerku, drżące listki osiny, pień brzozy biały i sosny gałęzie o sterczących ostrych igłach. To

cztery drzewa w jeden węzeł się splotły, poplątały gałęzmi, powracały w siebie, jakby zębami wpijając się w ciało rywala, i tak się za bary konarami chwyciły, że jako zapaśnicy zażarci, ku ziemi się pochyliły: drzewo łuk tworzy, dotykając czołem błota; spodnie gałęzie, chcąc się ku górze przerzucić, poschły w tęczu rozwartych ramion, a na grzbiecie pnia, skręconego w linę, wystrzeliły do góry długie, cienkie gałęzie brzozy, sosny, świerku i osiny. Stoi ten cudak na zielonej kępie czarnego błota, w które trupy drzew wszelakich na wznak się powaliły.

Cisza w tem grobisku okropna... Gdy w poblizkiej trawie zabręczał bąk niskim tonem, wydało mi się to pomrukiem złowieszczym dzikiej bestyi; gdy długa szyszka, oderwawszy się od wierzchołka świerku, leciała na dół, szeleszcząc w liściach i głośno stukając o gałęzie, byłem pewien, że drzewo wali się gdzieś w poblizu. Łada szmer potęgował się niesłychanie, echem błdził po ostępie, budził czujność, nęprowadzał lęk.

Cmentarne ogarnęło mię tchnienie. Nawałem cisnęły się bolesne wspomnienia, lecz jakieś mętne, nieuchwytnie: coś zaciężyło na duszy i myśl usilnie pracowała nad tem, by temu nastrojowi rzeczowy dać pokarm.

A w tę otchłań ciszy wpadał od czasu do czasu stuk głuchy, pełen echa w sobie, jakby kto gwoździe w wieko trumny wbijał: to dzięcioł kuł miarowo w pień sosny.

Takem duszą w ciszy utonął, żem nie śmiał nawet poruszyć się, bojąc się, by trzask gałęzi pod memi nogami nie zakłócił tego spokoju; gdzieś okiem rzucił, głębokie spojrzenie boru ciszę mi nakazywało. Nagle blask uderzył mnie zdała... To promień słońca-ześlizguje się wolno po gałęziach i złotą mozaiką na liściach, na pniach i na darninie oplata jedną bardzo białą brzozę na moczarach, zamykającą wązki szpaler szarych pni i ciemnej zieleni.

Tuż przed nią, gdzie miękka, soczysta zieleni szczerłym kobiercem bagno pokryła, całe pole blade-niebieskich niezapominajek, tak żywych na tle murawy i tak łagodnych na tle białej brzozy.

I pierzchyły przykre myśli pod tem serdecznem tchnieniem. Długo tam patrzałem, nie mogąc nasycić się tym widokiem, i z przykrością niemałą widziałem potem, jak promienne blaski na liściach bładły, roztapiały się i nikły powoli.

Poczerniał mi las, jakby go chmura cieniem gęstym przykryła, głuchszym niż przedtem, ciemniejszym, gęstszym i bardziej ponurym uczyniła mi go tęsknota za tą pieszczotą słoneczną.—I dziś jeszcze widzę ją doskonale: tam w ponurej grozie otoczenia, wśród konarami rozpychających się dębów, gdzie tonące na bagnach olbrzymy daremnie

ku górze wyciągają ramiona—stoi biała i uśmiechnięta, słońce czoło jej złoci, a u stóp jej kwiaty się ścielą.

Jeszcze się z ostatniego nie otrząśł wrażenia, gdy tuż koło mnie rozległo się głośnie parsknięcie.

Pierwsze spojrzenie rzuciłem oczywiście w stronę, gdzie słońce przed chwilą złudne życie budziło. Lecz tam pusto było: brzoza szeleściła tylko smutnie blademi liśćmi.

Na prawo, wśród trawy na bagnie, spostrzegam, jak mi się w pierwszej chwili wydało, chudego konia, o niezmiernie długich nogach i silnie wystających bokach, tuż przy nim źrebię stało. Wystarczył ten szelest, jaki uczyniłem, podnosząc się z miejsca, by zwierzęta szarpnęły się na miejscu i cwałem w las się poniosły. Na jaśniejszym miejscu mignęły mi przed oczyma dwie żółto-brunatne plamy:—była to łosica z małym. Trzask gałęzi dolatujący zdawał wskazywał kierunek ich biegu. Ta ucieczka popłoch w lesie wszczęła, gdyż oto z prawej strony słyszę znów łamanie się gałęzi, tętent,—coś pędzi wprost na mnie i, zanim z gąszczy oczom moim się ukaze, w susach, jak to po głuchym łoscocie rozróżnić mogę, w dal się unosi.

Stanęło na miejscu, a potem znów się do mnie zbliża, z przodu mi zalatując. Nie uogę rozróżnić, czy to echo tętent zdwaja, czy też więcej sztuk biegnie, zwłaszcza, że za chwilę wszystko znów ucicha.

Posuwam się w tamtym kierunku, idąc przez pnie na moczarach, jak przez kładki na wodzie. Niebawem zaplątałem się wszakże w suchą koronę wykrotu, wysoko po nad czarną kałużą. Nie mogąc zeskoczyć na dół, a nie chcąc wracać, pozostaję rad nie rad na miejscu, kręcąc się tak wiewiórka między gałęźmi.

Teraz słyszę plusk kopyt w grzędkiem bagnie w tempie tak szybkim, że trudno przypuścić, aby jedno zwierzę przechodziło tamtędy. Oto i gałęzie poruszają się w kilku miejscach. Wreszcie trzask rozlega się głośnie po lesie.

Jestli.. wylazi z lasu jakaś ciemna masa, tuż obok druga, dalej trzecia... Ile żubrów było, trudno mi powiedzieć, co rusz to nowy wychylał się z po-za drzew; wielkie samce, mniejsze samice, małe, pękaty i strasznie niezgrabne, cielaki. Wszystko to w bezładną rozrzucone grupę, spostrzegłszy mnie, zatrzymuje się na miejscu, łeb szeroki wyciąga i patrzy błyszczącymi oczyma. Przeczuwając niebezpieczeństwo, ściągają do kupy i formuje się cały szereg ze zdziwienia unieruchomionych bestyi.

Mimo że wiem, jak płochliwe są te zwierzęta póki w stadach chodzą, to jednak bynajmniej nie żałuję w tej chwili, że się tak wysoko między gałęźmi zaplątałem: te kilkadziesiąt szerokich rogatych łbów, wyzierających ku mnie z gąszczy ciemnej, tu wśród zakłętej pustki, ma

w sobie coś sennej grozy. Można sobie tłumaczyć, że te bystre spojrzenia ich przestraszają, że to, co po raz wtóry za wyszczerzone zęby biorę, to białe, tłuste wargi, bezmyślnie naprzód wysunięte; — wrażenie pozostaje wrażeniem i potęguje się, wtedy zwłaszcza, gdy jedno z tych cielsk brodatych poruszać się zacznie. Sylwetki ich z trudem między drzewami rozróżniam, co sprawia, że widzę je znacznie większemi, niżli są w rzeczywistości.

Jeden na lewym skrzydle najwięcej zdradzał niepokoju, ciągle łbem kiwał i kołysał się na swych nogach. Gdy jego sąsiad zadreptał na miejscu, rzucił się gwałtownie w tył i, podsadzając swe cielsko, przebiegł truchcikiem po-za szeregiem. To spłoszyło resztę: jedne puściły się kołem w lesie, inne zbiły się w małe gromadki i powoli cofać się zaczęły, podrywając się co chwila do biegu i wnet zwalnając kroku. Dwa w bagno się zapędziły, i zapadając się po brzuch, z trudem wielkim brnęły po niem.

Tych widzę najlepiej: są one znacznie mniejsze od owego samotnika, maści nieco ciemniejszej, kark mają stosunkowo nie tak szeroki, lecz bardziej śpiętrzony i obfitszemi kudły pokryty; a przedewszystkiem nie sprawiają ani trochę wrażenia ociężałych, niezdarnych zwierząt.

Popłoch chwilowy minął, wszystko znów się zatrzymało i, stojąc w rozsypce, spogląda znów ku mnie. Żubry z bagna zawróciły, czując, że tędy niedaleko zajdą.

Ów wszakże, co pierwszy na alarm uderzył, nie może się uspokoić i znów niepokój wszczyna. Udało mu się bez widocznej przyczyny kilku za sobą w bok odciągnąć, co widząc, reszta biegnie w rozsypkę za niemi. Gromada, pobudzając się własnym biegiem, przechodzi w coraz to większy galop, — na szczęście nie ucieka w bok, tylko półkołem w suche lasy, mam ich zatem ciągle przed oczyma.

Sadzą coraz prędzej, przypadając ciężko na przednie nogi i trzęsąc grzywami na karkach. Kilka na przodzie szarpnęło w bok: wszczęło się zamieszanie i popłoch, i — stado cwałem w las poniosło. Ziemia dudniała, głuchy łoskot echem w uroczysko uderzył i tam długo jeszcze błędził.

Powoli wszystko ucichło, tylko szelest rozkołysanych gałęzi znaczył ślady ucieczki.

Ja wciąż jeszcze siedziałem między gałęziami na wykrocie, błędziłem oczyma po tajemniczych przesmykach na bagnie, ujętych w gęste opłoty zieleni, i nowych oczekiwałem cudów. Zdawało mi się, że tam na dalekiej perspektywie uchyla się gałęzie i między liśćmi wyjrzy złośliwie uśmiechnięta twarz fauna, lub że na tym czarnym szlaku

biała nimfa się ukaze z zielonym wiankiem na czole, że u góry szczeliną słońce się przedrze i ją całą złotem promienistym zaleje.

Zbudziło mnie z zadumy krótkie i żałosne naszczekiwanie kozła w pobliskiej kniei.

Za pasem brzozowego gaju ciągnął się las sosnowy, na suchem podścielisku igliwia i mnóstwa czarnych szyszek. Szło się jakby w labiryncie równo utoczonych pali, mających służyć za fundament jakiejś nadpowietrznej budowli. Wszystkie pnie były jednakowej grubości, stały, jak się zdawało, ugrupowane w matematyczne figury; każde drzewo było środkiem, koło którego zarysowywała się mozaika gwiazd i wieloboków. Monotonia ta nie nużyła na razie, przeciwnie, odpoczywało się tu po dzikim chaosie uroczyiska, było też tu jaśniej i przewiewniej, oko na dalszą metę błędziło między drzewami, nie było tego ucisku na piersiach, co wprzód, ani tego smutku, co się do duszy mimowoli wkładał. Słońce ożywiło-by wprawdzie tę jednostajność, wyluskało-by barwy z tego szaro-sinego tonu, pozbawiło-by mnie jednak szczególnego widowiska, jakiego miałem być świadkiem niebawem.

Szedłem prędkim, miarowym krokiem, budząc równie regularne szelesty, jakby skrzypiące kołatanie starego zegara. Niebawem pochwyliłem się na tem, że nie idę swobodnie, że trzymam się sztywno i robię szczególne wysiłki dla zachowania taktu. Nie słyszę już szelestu swych stąpań, tylko jakby uderzenia bębna gdzieś przed sobą, po bokach ciągną dwa rzędy sosen, jak dwa szeregi żołnierzy.

Idziemy dalej, bęben na przedzie w równym utrzymuje nas kroku, gdzie zoczyć wypada, zagłębić się trochę w prawo lub w lewo, wojsko moje w pięknych wychyla się krzywych, posłuszne nawet memu kaprynowi, w węża się kręci, a kiedy wprost przed siebie iść każę,— w dwie długie, proste wyciąga się linie.

Dobosz niewidzialny odbija nam takt, jakby wołał zdala: „prawa, lewa, prawa, lewa!”

Stój!...

To ja się zatrzymałem, równocześnie wojsko moje stanęło jak wryte. Czulem ich drgnięcie przy tej raptownej zmianie ruchu.

Nie dość tego, gwardya capstrzyk święteczny przede mną urzęduje: zatacza półkola, wygina się w esy, zakresła krzywe fantazyjne, zawrotem głowy w wir mnie tej mustry porywa i główną komendę oddaje. Po tej defiladzie pragnął-bym wszakże co innego zobaczyć,

w inne wydostać się okolice, i w tejże chwili, jakby pod komendą „ry-sią marsz!“ przebiega przedemną pułk po pułku w długiej, nieskończonoj wstędze. Po drodze natrafiamy na zasiłki i wtedy: „zdwajaj szeregi!“ szyki w pary się formują i biegną mi naprzeciw słabym truchci-kiem. Zwalniają kroku, jeszcze niby biegną, potem już tylko idą, wreszcie wloką się leniwie i—stają..

Zmęczyłem się porządnie. Ten „lasek“ będzie dłuższy, niż się na razie spodziewałem, przebiez go w kilka minut nie można. Gdzie spojrzę, wszędzie rozpaczliwie jednakowy labirynt pni sosnowych. Stoję w nieco luźniejszym kole, które im dalej, tem bardziej się zgęszcza. Gdyby choć gałąź sucha lub mrowisko pozwalało w kierunku się orientować. Tak mrówka czuć się musi na równem polu rżyska.

Idę dalej, licząc, że ostatecznie skończyć się to kiedyś musi. Ledwom ruszył, defilada drzew rozpoczyna się na nowo i mimo, że jej w osobie głównodowodzącego chętnie-bym na spoczynek zakomende-rował, muszę nadal przyglądać się tej rewii, która już mnie nuży, a niebawem drażnić zaczyna. Takie złudzenie, gdy się raz zmysłów chwyci, w fikcję niebawem się zamienia.

Już samo otoczenie obecne do desperacyi doprowadzić może, a cóż dopiero, gdy na tle tak ponętnem rozpoczną się automatyczne, wymierzone, wiecznie te same ruchy.

Nie mając na kim złości wyrzucić, poczynam sobie złorzeczyć za to, że się drogi nie trzymał, lub z leśniczym się rozstawał, a przede-wszystkiem nie mogłem wybaczyć sobie, że mnie to idyotyczne kręce-nie się drzew tak zajęło na początku. Wracać nie było sensu, jakem to sobie przekładał. Musiał-bym odbyć tę samą drogę po raz drugi, to jest iść w tym „lesie“ przynajmniej godzinę, odliczywszy nawet lwią część na owo dłuzenie się czasu, o którym leśniczy wspominał.

Nie zwalням oczywiście ani na chwilę kroku. Przede mną tym-czasem, o jakie kilkadziesiąt kroków, stale rozstępowały się szeregi i, tworząc przyboczne szpalery, defilowały pyszałkowato, z zacięciem, jakby chcąc moją pozyskać pochwałę. Miejscami, gdzie równość lasu psuło przypadkowo inne ugrupowanie drzew, szeregi się łamały, woj-sko się plątało i zdawało się, że lada chwila w rozsypkę pójdzie. O sta-ję wszakże grupowało się znowu i, gdzie teren na to pozwalał, roz-poczynało ponownie capstrzyk: nowe wygięcia, półkola, węże, kontr-marsze paradne.

„Raz, dwa, raz dwa...“ I tak dalej, wlecz to się i przeciąga w nieskończoność, końca temu ani statku nie widać. Jużem, jak to po-wiadają, oczy wypatrzył, wytrzeszczając je przed siebie, w nadziei, że ujrzę polaną lub bór liściasty.

„Prawa, lewa, prawa lewa!“

Nie, już dalej nie pójde! Tak mi się wszystko w oczach mieni i kręci, że tylko patrzeć, jak głową w pień sosny wyrznię. „Proszę siadać, drwię wnet z samego siebie, — ziemia równa, każde drzewo jednakie!“.

I gdzieżem ja martwoję wprzódy upatrywał? Tam wśród dzikiego życia, wyrosłego na trupach bujnie, bogato, w wielorakich, potężnych kształtach, tam, gdzie każde drzewo rosnać może, byle-by miało jedyny warunek: siłę; gdzie nie potrzeba i nie wolno innych naśladować, bo tam każda piędź ziemi ma swe odrębne warunki, swoją drogą do światła i na odmienną walkę skazuje. Tu wszystkie drzewa równe, w jednakowych od siebie stojące odstępach: same sosny; tu każde ziarno wtedy tylko dojrzeć może, jeśli w sosnę chce wyrosnąć, w proste, do innych jak kropla wody podobne drzewo. Ani ziemia, ani otoczenie innego nie ścierpi. Zdarza się może i tu, że pokrowiec igliwia przebije płonka buku, dębu lub grabiny; — niechaj usychając namyśla się, a może w sosnę przemienić się pragnie.

To dwa światy odrębne, dwa zwierciadła życia!

I stoi ten las sosnowy, wyrównany, prosty, pewien siebie, że tu żaden żywy twór nie zabłądzi. On, sam martwy, żyjących ruchem wielkim ludzi będzie, kołowatą krętanią bezbrzeżnej ilości drzew w środek go wywiedzie i tu zamorzy. Piasek, obłudnie połyskującym igliwem pokryty, — to sosen rodzima ziemia; jednostajność i monotonia, jakby okropny wytwór snu gorączkowego, — to ich żywioł wyłączny, w którym każde stworzenie, co czuje, drga i myśli, zmarnieć musi: morze jednostajności je zaleje i w głębi zatopi.

Niebawem po mem chwilowem zrozpaczeniu, jakby z obawy, by złudzenie zbytnio mnie nie opanowało, znalazłem w sobie cierpliwy chłopski upór. Dziwię się samemu sobie, że idę tak spokojnie i że mi ta czynność tak dalece zaprzęta uwagę.

Godziny mijały, a ja wciąż szedłem, myśląc tylko o tem, czy nie zwalniam czasem kroku. Chwilami zjawiały się przebliski niepożądaney krytyki, które sprawiały mi wielką przykrość. Staralem się o nich czempędzej zapomnieć. Najgorzej było, gdym koło siebie okiem rzucił i ujrzał tą wstrętną eskortę sosen. W takich razach coś mnie bardzo rozrzewniało. Te sosny przyzwoicie iść mi przeszkadzają, gdyby nie to, byłbym już...

Serce zabiło mi niespodzianie i tak gwałtownie, że stanąłem na miejscu, trwożliwie oglądając się naokół.

Robię obrót i takim-że równym krokiem odmierzam przestrzeń, którą dopiero co przeszedłem. To mi się wnet wydało bezmyślnem i zatrzymałem się, pełen niepewności.

Ten namysł zgubił mnie ostatecznie, czułem to po tej chwiejności i lęku, jaki mię coraz bardziej opanowywa.

„Trzymaj się dawnego kierunku,“—mówił mi jakiś głos, ale posłuchać go już nie potrafiłem: równe, bezmyślne maszerowanie nie sprawiało mi zgoła żadnej przyjemności. „Kto mi zaręczy,—myślałem,— że to był wogóle jakiś rozsądny kierunek, że w tym labiryncie nie zboczył?“

Wracać? to zbyt długo; iść przed siebie? — to zbyt niepewne. Najlepiej będzie skręcić na prawo, tam, skąd mrowisko widać (pierwszy raz w tym lesie spostrzegłem mrowisko). Idę tedy na prawo, przyglądam się bezmyślnie mrowisku; potem chcę odszukać wzrokiem miejsca, z którego wyszedłem. Oczywiście daremnie.

„A teraz wracajmy do dawnego kierunku, bo ta niepewność tylko opóźnia i w błąd wprowadza. Szedłem wprzód tam ot... albo... Bóg łaskawy wiedzieć raczył. Przed sobą widziałem mniej więcej takie ugrupowanie drzew, pamiętam te gromady szyszek naokoło pni. Na prawo widzę wszakże zupełnie to samo. Północ, sądząc z nagich pni u wierzczołków sosen“...

Oho, ja już w sferach niebieskich chcę się oryentować! Musi być już ładnie ze mną.

Teraz dopiero przypominam sobie opowiadania leśniczego o tych pastuchach, co przez trzy dni do domu z bydłem nie wracali, zgubiwszy własne ślady w puszczy. Ale błędzenie po dzikich kniejach i uroczysskach, drapanie się po przez klody i zawały, brodzenie po bagnach, płoszenie zwierza na każdym kroku, podpatrywanie tego życia tajemniczego, ukrytego zdala od ludzi, — może być niemal rozkoszą. Tam oko nasycza się różnaitością obrazów, ucho wielką ciszę podejrzewa o ukrywanie przed niem szmerów życia, otaczającego go kołem, a ukrytego w zaroślach, po-za wykrotami, w dziuplach, na bagnach przepastnych. Tam ciekawość zmysły podrażnia, ściąga człowiekowi twarz w takiż sam wyraz czujności nieustannej, jaki ma w oczach ta zwierzyna, co od czasu do czasu spłoszona w poprzek drogi mu przebiegnie. Tam się czuwa bezustanku, tu drętwieje powoli. Tu nie trzy dni, ale dzień jeden, godzina jeszcze wystarczy dla zupełnego oszołomienia zmysłów. Ta bezbrzeżna jednostajność wrażeń kładzie się ciężarem na głowie, ssie jak polip, gnębi duszę, obozwładnia wolę, paraliżuje opór,—chwilami porywa w jakiś szybki wir, w którym gubią się wszystkie myśli. W uszach coś natrętnie dzwoni.

Najgorzej jednak stać na miejscu.

Oto i sosny znów z miejsca ruszyły, zbaczają pięknie na prawo, potem po raz drugi na prawo; bęben wali na przedzie, na alarm, wido-

cznie, bo tak prędko i bezładnie. Szeregi wiją się hen przede mną i znów na prawo biorą. Drugie mrowisko, bardzo do pierwszego podobne.

Szyszki biedz przeszkadzają, skrzypią obrzydliwie pod nogami, gniotą w podeszwy i sprawiają, że się poślizgnę co krok. Raz nawet omal zem się nie przewrócił – na trzecie mrowisko.

Nie zatrzymał-bym się tak prędko, gdyby nie to, że w tym szumie leśnym, co jak fala przyplwu biegł za mną, grożąc, że mnie dogoni, coś pomieszało się w tej chwili. Wiatr naparł silniej i ugiął korony sosen; gałęzie zaskrzypiały, rzuciły garścią zeschniętych igieł, gdzie nigdzie szyszka odbiła się o ziemię; wierzchołki drzew poczęły się kołysać niespokojnie i pomruk cichy przeszedł górą.

Umilkł, zostawiając po sobie zawód nieokreślony, obawę większą i okropnie silną chęć wydostania się stąd, odetchnięcia nareszcie pełną pierśią gdzieś na przestworzu.

Gdym ruszył z miejsca, drzewa zamruczały powtórnie, skrzypiąc, kołysząc się i chyląc ku sobie wierzchołki. Towarzyszyły mi pomrukiem niecierpliwym i dziwiły się mojej wędrówce. Nadzieja, że las ten skończy się niebawem, opuszczała mnie powoli, tak nieznacznie wraz z szumem wiatru w dal się uniosła, zem nie spostrzegł, kiedy zgasła zupełnie. Przestrzeń rosła w mej imaginacyi, coraz większe opisywała koła. Opanowała mnie potęga monotonii: czułem, że jestem pośrodku morza. Dlatego też i fale są tu dłuższe, i szum ich bardziej przeciągły, i seuność większa od nich idzie.

Ponownie natrafiłem na kopiec mrowiska, lecz nie miałem już teraz złudzeń: ono było zbyt do poprzedniego podobne.

Położyłem się na wznak pod pnem najbliższym i, zapatrzony w górę, utonałem w chaosie ogromnym. Czuję ruchy wszystkimi zmysłami, nie wiem tylko, czy te skrawki bladego nieba tańczą przed memi oczyma, czy ta zieleń ciemna, czy te rdzawe wierzchołki sosen, czy te pnie sine, czy ta ziemia płowa, czy też ja cały. Zgubiłem siebie w przestrzeni i nie wiem, czy na dół patrzę, czy w górę spoglądam, jaki kącik w tym obszarze zajmuję, gdzie i czem jestem, czy to, co mi w tej chwili dokucza, moją jest dolegliwością, czy też bólem całego otoczenia, drobną cząstką smętku, który wchłonałem w siebie z tego grobu monotonii.

A teraz drzewa do mnie gadają: „Może bracie w sosenkę zamienić się pragniesz? Nie tak ci przykro będzie tutaj, gdy się z nami pogodzisz. Choć tu piasek niby, wszakże żywot pewny i spokojny.“

Szum płaczący lasu szepce mi na ucho jakieś tajemnicze słowa, byle o ton wyżej uderzył, pochwyceę wszystkie. Skupiam się, natężam

uwagę, cały w słuch się zamieniam, nie mogę jednak powiązać oddzielnych dźwięków.

A jednak!... Znowu cisza naokół. Po długich wyczekiwaniach, hen zdala, poza mną wicher uderzył w korony drzew, po wierchołkach sunie fala szeptu cichego coraz bliżej i bliżej i dogania mnie niebawem. Chwila natężonego silnie słuchu, jak struny, gotowej pod najlżejszym podmuchem dźwięk wydać głośny;—szmer niewyraźny przenosi się po nad moją głowę i słyszę tylko, jak płynie po wierchołkach sosen coraz dalej i dalej, jak słabnie, rozlewa się i milknie zupełnie...

WACŁAW BERENT.

Nowe badania nad Platonem.

W. Lutosławski. „Ueber die Echtheit, Reihenfolge und die logischen Theorien der drei ersten Tetralogien von Platos Werken.“ Archiv für Geschichte der Philosophie. T. IX, 1895, p. 67 — 114.

Tenże: „O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona.“ Osobne odbicie z tomu XXVI-go Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. 1896, str. 1 — 165.

Tenże: „Sur une nouvelle méthode pour déterminer la chronologie des dialogues de Platon:“ Mémoire lu le 16 Mai 1896, à l'Institut de France devant l'Académie des sciences morales et politiques. Tirage à part du Compte-rendu, volume CXXVI, Nr 7, 1896.

Badania Lutosławskiego nad Platonem zaczynają zajmować coraz szersze koło historyków filozofii i filologów. Wymienione powyżej prace zwróciły na siebie uwagę uczonych specjalistów nie tylko u nas, lecz i w Niemczech, Francji i Anglii. Zaznaczają one nowy zupełnie zwrot w wielu kwestiach, dotyczących zarówno piśmienniczej działalności wielkiego myśliciela, jak i jego filozofii. Już obecnie przewidzieć można, że w krótkim czasie zjedną sobie uznanie powszechne i stanowiąc będą epokę w historii Platonizmu. Możemy być dumni z tego, że polski uczony zajął stanowisko przodujące na polu, uprawianem oddawna przez najznakomitszych badaczy obcych, i że w naszym języku

ogłoszone zostały pierwsze prace przygotowawcze do takiego zwrotu w poglądach na Platona. Były to studia Lutosławskiego nad *Logiką Platona*, cz. I, Kraków, 1891; cz. II, Warszawa, 1892, z których w swoim czasie zdaliśmy sprawę w „Bibliotece Warszawskiej,” podnosząc ich wysoką doniosłość dla głębszego pojęcia filozofii Platona. Obecnie mamy sobie za obowiązek zaznajomić czytelników z dalszym postępem tych badań, o których doniosłości nikt wątpić nie może, kto ma pojęcie o znaczeniu Platona w rozwoju myśli ludzkiej i o jego wpływie na poglądy filozoficzne wielu znakomitych myślicieli najnowszej nawet doby.

Pierwszorzędne znaczenie prac Lutosławskiego uwydatnia się w następujących głównych momentach:

1) Po raz pierwszy obejmuje on wszystkie dotychczasowe badania nad Platonem, łączy je w jedną naukową całość i uzupełnia krytycznie. Jest to zasługa, której dotąd przyznać nie można było żadnemu badaczowi na tem polu. Literatura o Platonie urosła z biegiem czasu do takich rozmiarów, że nawet autorowie wielce doniosłych prac często nie znali wzajemnie swych badań i ich wyników. Większość nawet sumiennych specjalistów nie rozporządzała ani wolnym czasem, ani środkami, aby lata całe poświęcić wyłącznie poznaniu literatury o Platonie i pracować w wielu bibliotekach, w celu odnalezienia wszystkich odnośnych, a często bardzo rzadkich monografii, wydań, komentarzy i t. p. Wskutek tego, prawie każdy badacz ograniczał się bezpośrednio danym materiałem i mało się troszczył o badania innych. Niemieccy uczeni nie wiedzieli, do jakich wyników dochodzili na tem polu Anglicy i Francuzi, a ci znowu ignorowali tamtych. Nawet taki pierwszorzędny specjalista, jak Ed. Zeller, którego obszerne dzieło o Platonie wyszło niedawno w czwartym wydaniu, pomija wiele bardzo ważnych prac i wygłasza dotąd zdania, sprzeczne z niewątpliwymi wynikami innych badaczy. Otóż Lutosławski zamknął tę epokę izolowanych, odosobnionych badań, dzięki siedmioletniej usilnej pracy nad literaturą o Platonie i podróżom, podjętym w celu odnośnych poszukiwań w najbogatszych księgozbiorach Europy. Porównyując ze sobą krytycznie metody badań i wyniki różnorodnych badaczy wszystkich czasów, zaostriżył zarazem swój własny sąd w tych sprawach i położył ściśle naukowy fundament do swych samodzielnych dociekań.

2) W kwestyi wielce ważnej dla jasnego pojęcia filozofii Platona, a dotyczącej chronologicznego następstwa jego pism, Lutosławski zastosował nową metodę, polegającą na porównaniu logicznych teorii

tych pism. Przy pomocy tej metody, uzupełnianej metodami innych, angielskich i niemieckich uczonych, szczególnie zaś metodą dotąd przez nikogo należycie nie ocenioną, a tem mniej zastosowaną, Lewisa Campbella, opartą na porównaniu stylu różnych dyalogów (leksyko-graficzną), oraz metodę statystyczną (Sprachstatistik) Dittenbergera i innych, Lutosławski poddał rozbiorowi trzy pierwsze tetralogie dzieł Platona, więc dwanaście pism jego, i określił ich chronologię z naukową ścisłością, przewyższającą wszystkie dotychczasowe w tym względzie mniemania i hipotezy.

3) Co do filozofii Platona, Lutosławski już w dotychczasowych swych pracach nagromadził bogaty zasób dowodów na potwierdzenie zdania w sposób nie dopuszczający dalszych wątpliwości, że Platon w ostatniej epoce swej działalności zmienił zasadniczo swą naukę o ideach, wyłożoną szczególnie w *Biesiadzie*, *Fedonie* i *Rzeczypospolitej*, i zastąpił jej charakter poetyczny, transcendentalny, wszechstronną klasyfikacją pojęć i ich podziałem na gatunki naturalne, przez co położył fundamenta dla przyszłej teorii poznania. W miejsce nauki o pierwowzorach bytu, istniejących po-za myślą ludzką, a poznawanych tylko dzięki poetycznemu natchnieniu, pod którego wpływem Bóg pozwala raczej człowiekowi odgadnąć prawdę i wiedzę, niż ją zdobyć samodzielną pracą umysłową, Platon w ostatnich swych pismach, począwszy już od *Teeteta*, a szczególnie w *Sofiście*, *Polityku* i *Frawach*, broni wszechwładzy rozumu w poznaniu prawdy i widzi w ideach jedynie kategorie umysłu ludzkiego, dające możność poznania świata tylko na podstawie ścisłego rozbioru i określenia ich treści. Jest to nowy zupełnie zwrot myśli, który co do swej doniosłości już przez Campbella porównany został z krytyką czystego rozumu Kanta, a który Lutosławski przy rozbiorze odnośnych dyalogów uwydatnia szczegółowo i wszechstronnie.

Przypatrzmy się nieco bliżej tym badaniom naszego uczonego i ich wynikom.

Pierwsza i ostatnia z powyżej wymienionych prac, niemiecka i francuska, zawierają w sobie właściwie tylko sprawozdanie z dokonanych dotąd przez autora badań nad Platonem. I te rozprawy dowodzą wprawdzie jasno, że autor z wyczerpującą gruntownością wnika w badania swych poprzedników, aby przy pomocy bystrej krytyki ich metod i wyników utorować sobie drogę do dalszych poszukiwań. Lecz same te poszukiwania przedstawiają się nam dotąd tylko w polskich pracach Lutosławskiego, do których przyłącza się obecnie traktat:

O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona. Nad nim się też głównie zatrzymujemy.

Co do ogólnego charakteru tego traktatu, uderza przedewszystkiem czytelnika, znającego poprzednie studia Lutosławskiego, brak szczegółowych bibliograficznych danych odnośnie do rozbiegających się pism Platona, jak również brak cytat oryginalnych, udawadniających wywody badacza. Gotowi byli-byśmy zrobić z tego poważny zarzut, i widzieli-byśmy w tem pewne odstępstwo od wymagań naukowej ścisłości, dotąd tak skrzętnie przestrzeganych przez autora, gdybyśmy w mowie, mianej przez niego w Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, nie znaleźli na str. 8-iej odpowiedniego wyjaśnienia takiego rażącego braku. Otóż okazuje się, że traktat ten był w rękopiśmie znacznie obszerniejszym, a zredukowano go dopiero w druku do połowy przez usunięcie właśnie większej części notat bibliograficznych i cytat z pism Platona. Przyczyną takiej amputacji był, niestety, brak funduszków w Akademii Umiejętności w Krakowie na wydanie całości. Dowiadujemy się jednak z tejże mowy (str. 9), że na tym naszym ubóstwie nauka ostatecznie nie straci, gdyż autor przygotowuje do druku dzieło o Platonie w języku angielskim, i znalazł w pierwszorzędnej firmie pp. Longmans, Green et Comp. w Londynie chętnych wydawców, którzy z nim już odnośny kontrakt zawarli. Z początkiem przyszłego roku, 1897-go, dzieło to ma wyjść na widok publiczny. Autor usprawiedliwia też wydanie tego kompletnego dzieła o Platonie w języku angielskim, a nie w niemieckim, czego się od niego ze strony kompetentnej również domagano, tą okolicznością, że książki angielskie więcej są czytowane w Niemczech i Francji, niż niemieckie w Anglii i Francji. Zresztą, sądzimy, że po wyjściu angielskiej edycji wnet ukażą się wydania niemieckie i francuskie. Tymczasem musimy się zadowolnić pracą polską w tym stanie, w jakim w Krakowie wydaną została.

O podziale pism Platona na tetralogie, t. j. na działy, składające się z czterech pism, oraz o znaczeniu tych tetralogii i o różnych ich wydawcach traktował Lutosławski krytycznie już w poprzednich studiach nad logiką Platona. Obecnie, po szeregu uwag wstępnych, przystępuje do szczegółowego rozbioru pierwszych trzech z dziewięciu tetralogii. Obejmują one następujące pisma: Eutyfron, Apologia, Kryton i Fedon; Kratylos, Teetet, Sofista i Polityk; Parmenides, Fileb, Biesiada i Fedros. Co do każdego z tych pism podaje autor najprzód dokładny rozbiór ich treści, ze szczególnem uwzględnieniem zawartych w nich teorii logicznych, następnie roztrząsa datę ich napisania, przyczem stosuje swoją metodę, korzysta z wyników badania licznych swoich poprzedników i porównywa je krytycznie ze sobą, nareszcie okre-

śla z możliwą dokładnością znaczenie i miejsce każdego z tych pism w rozwoju piśmienniczej działalności Platona.

Z natury rzeczy wynika, że w niniejszem sprawozdaniu nie możemy szczegółowo śledzić pochodzącego dociekań autora. Było-by to tylko możliwem w specjalnem czasopiśmie, poświęconem filozofii, jakiego dotąd, niestety, nie posiadamy. Ale i szersze koła wykształconej publiczności powinny nabrać pojęcia o ogólnym charakterze i doniosłości tego rodzaju badań. To też tej strony pracy Lutosławskiego dotkniemy tu bliżej, powołując się głównie na wyjaśnienia, podane we wstępie do owych badań specjalnych.

Kto nie zna literatury o Platonie, mówi tu Lutosławski, bardzo się zdziwi, gdy się dowie, że jedno z głównych zadań, jakie sobie piszący o Platonie stawiają, polega na określeniu chronologicznego porządku, w którym swe dzieła napisał. Jest to zjawisko w historii filozofii i w historii badań nad utworami literatury jedyne. O innych autorach wiemy z ich własnych oświadczeń, kiedy swe dzieła napisali, albo też nawet, gdy zachodzi pod tym względem jaka wątpliwość, łatwo godzimy się z nieuchronną wątpliwością i całą uwagę kierujemy na treść dzieła, nie zaś na tę na pozór zewnętrzną okoliczność, kiedy zostało napisane? Tymczasem, co do Platona, kwestya chronologii jego pism ma stanowcze znaczenie dla naszego poglądu na jego filozofię. Niektóre dialogi, wspomniane już powyżej, jak *Teetet*, *Sofista*, *Polityk*, wykazują treść, odmienną od znanej powszechnie nauki Platona. W nich objawia się wyraźnie tendencya, przed Platonem nie znana, a skierowana ku rozbiorowi zasadniczych pojęć umysłu ludzkiego i ich klasyfikacyi w celu rozstrzygnięcia, przy pomocy takiego rozbioru, kwestyi poznania rzeczywistości. Są to na ter ważne zawiązki krytycznej teoryi poznania, których dokładne pojęcie przyczynia się do wyjaśnienia bieżących kwestyi na polu tej zasadniczej nauki filozofii. Jeżeli bowiem dotąd najgłębsi myśliciele sprzecząją się o to, czy w naszym rozumie, czy też w poetycznem natchnieniu szukać należy rozwiązania zagadki bytu, a obie metody znajdujemy stosowane w różnych dziełach jednego z największych mędrców ludzkości; to choć nas na polu filozofii żadna nie krępuje powaga, zgodzić się jednak musimy, że jest kwestyą wielce doniosłą dla ostatecznego rozstrzygnięcia owego sporu, jakie stanowisko było wynikiem umysłowego rozwoju Platona: czy poetyczna nauka o ideach, czy też racjonalna teorya poznania? Są to dwa przeciwległe objawy życia umysłowego Platona; zachodzi tedy pytanie, który z nich jest późniejszym i zarazem dojrzalszym wynikiem jego myśli? A na to nie można znaleźć odpowiedzi w żadnych ogólnikowych rozumowaniach nad filozofią Platona i jej rozwojem, lecz jedynie

w ścisłym określeniu następstwa, w jakim Platon swe dzieła napisał. To też o to chodzi przedewszystkiem naszemu autorowi.

Głównej przyczyny faktu, że dotąd w tej sprawie istnieją jeszcze bardzo sprzeczne, a nawet często wprost przeciwne zdania między uczonymi, dopatruje się Lutosławski w legendzie o tak zwanej megaryjskiej epoce w życiu Platona, stworzonej przed przeszło stu laty (1792 roku) przez znanego historyka filozofii, Tennemanna. Według tej legendy wszystkie dyalektyczne dialogi Platona były napisane po śmierci Sokratesa, gdy Platon bawił w Megarze. Przypuszczenie to, poparte powagą Zellera, utarło się z czasem do tego stopnia, że zaczęło uchodzić za pewnik, a zdania przeciwne Ueberwega w Niemczech i Campbella w Anglii nie znalazły dotąd należytego uwzględnienia. Dzięki swym studjom źródłowym, Lutosławski wnika głębiej w pierwsze początki owej legendy i przyczynia się przez to do jej ostatecznego obalenia. Okazuje się bowiem, że Tennemann wypowiada swe zdanie tylko jako skromną hipotezę, w celu usprawiedliwienia przejętego znowu od dawniejszych autorów poglądu na następstwo pism Platona. Śledząc dalej zawiązki owego przesądu, Lutosławski dotarł aż do dzieła, które Patrizi w 1593 roku w Wenecyi wydał pod tytułem: *Nova de universis philosophia*, w którym znalazł rozdział: *de dialogarum ordine*. Otóż z tego dzieła, którego nikt z późniejszych nie cytuje, choć dawniej wielu z niego korzystało, zaczerpnięto powyższe, niezem nie uzasadnione, uprzedzenie co do dyalektycznych dialogów, i powtarzano je przez wieki bez wszelkiej krytyki, aż do Ueberwega w roku 1861. On pierwszy usiłował poważniejszymi argumentami usunąć z nauki bajkę o megaryjskim okresie w rozwoju Platona. On również pierwszy zaznaczył stanowczo, że tradycja co do następstwa dzieł Platona, oparta na zupełnie nieznanym źródłach, nie obowiązuje krytycznego badacza, który wnioski swe oprzeć winien na niewątpliwych świadectwach. A chociaż Ueberweg nie wykazał jeszcze źródeł zaznaczonego przesądu, to jednak, na podstawie wolnego od uprzedzeń porównania treści dialogów i świadectw Arystotelesa, doszedł do bardzo ważnego wniosku, że Platon napisał *Teeteta*, *Sofistę* i *Politykę* znacznie później, aniżeli *Biesiadę* i *Rzeczpospolitą*.

Wobec wiekowych przesądów, późniejsi po Ueberwegu badacze nie skorzystali z jego spostrzeżeń, ani też nie dokonali istotnego postępu w tej zasadniczej co do filozofii Platona kwestyi. Tymczasem prawie równocześnie z Ueberwegiem pracował nad Platonem szkocki filolog, Lewis Campbell, który według dowodów Lutosławskiego, dokonał największego odkrycia na polu chronologii pism Platona, uwzględniając przytem głównie jego terminologię, co jest rzeczą daleko ważniejszą

szą, niż późniejsze filologiczne badania niemieckich uczonych nad różnymi słówkami, które w pismach Platona często się zdarzają, ale nie zależą od treści. I te badania nasz autor uwzględnia skrzętnie i przyznaje ich doniosłość, ale nie mają one takiej decydującej siły, jak badania Campbella. Tak np. jeżeli Campbell wykazuje, że w Fedrze spotykamy na stu stronnicach tekstu 117 takich terminów, które poza Fedrem w żadnym dyalogu, prócz Praw, Tymeusza lub Krytyasa nie zdarzają się, to z tego wyprowadzić można niewątpliwie wnioski co do czasu napisania tego dyalogu.

Wiadomo bowiem z innych stanowczych danych, że Prawa i Tymeusz należą do ostatniego okresu piśmienniczej działalności Platona, więc i Fedr, zawierający tyle wspólnych cech językowych, do tego okresu należeć musi, i nie można go zaliczyć do pism z wieku młodzieńczego Platona, jak to czynił Schleiermacher, za którym poszło wielu autorów nowszych, nawet Zeller. Wynik Campbella stwierdzają badania stylistyczne niemieckich filologów, porównawczy pogląd na teorye logiczne Platona, oraz inne dane, i w ten sposób można dość dokładnie określić czas napisania Fedra między 384 a 378 rokiem, najprawdopodobniej około 380 roku przed Chr.

Wspomnieliśmy o Fedrze tylko ogólnikowo, aby dać przykład, do jakich wyników doprowadza metoda stylistyczna Campbella. Nie zatrzymaliśmy się przytem na szczegółach badania. Zaznaczyć jednak należy, że pewność naukowa co do chronologii pism Platona daje się osiągnąć tylko przy pomocy dopełnienia wyników jednej metody wynikami innych i krytycznego ich porównania. A takie właśnie badania piśmienniczej działalności Platona przy pomocy porównawczego zestawienia wyników wszystkich dotychczasowych metod, uzupełnianych własną, stanowi niespożytą zasługę Lutosławskiego na tem polu.

Tę własną metodę, polegającą na porównaniu logicznych teoryi Platona, usprawiedliwia Lutosławski, prócz szczegółowych dowodów, następnymi ogólnymi uwagami. W żadnym dziale filozofii, mówi, rozwój filozofa nie jest tak widocznym i łatwym do określenia, jak w logice. Łatwiej zmienić poglądy etyczne i metafizyczne, niż odstąpić od wypróbowanej logicznej metody i zwrócić się od niej do mniej doskonałych zasad badania. To też w żadnym dziale raz zdobyte prawdy nie bywają tak uparcie i niezmiennie utrzymywane, jak w logice. Jeżeli tedy porównanie treści logicznej pism Platona stwierdza wyniki porównania ich stylu, oraz innych metod badania, natenczas można dojść do niezbitych dowodów co do chronologii tych pism.

Dzięki badaniom, opartym na tak szerokiej podstawie, Lutosławski reprezentuje znakomity postęp w rozwiązaniu zajmującej nas tu kwestyi. Prace Ueberwega, Campbella i innych, dotąd należycie nie uwzględnionych uczonych, doprowadziły do określenia czasu napisania z przybliżoną pewnością tylko sześciu dyalogów, t. j. wykazały, że Sofista, Polityk, Fileb, Tymeusz, Krytyas i Prawa stanowią ostatnią grupę dzieł Platona. Lutosławski dopełnił badania w swej obecnej pracy zarówno dokładniejszym określeniem chronologii tych sześciu dyalogów, jak i określeniem czasu napisania reszty wymienionych dzieł Platona. I tak, okazuje się według badań Lutosławskiego, że owe sześć dyalogów napisane zostały prawdopodobnie po 65-ym roku życia Platona. Wcześniejszym od Sofisty jest Parmenides, jednak nie wcześniej napisany, jak po 60-ym roku życia. Ostatnią tę grupę poprzedziły Rzeczpospolita, Fedr i Teetet, oddzielone od Parmenidesa długą przerwą czasu, tłómaczącą wielkie różnice stylu i treści między temi dyalogami, a grupą, poczynającą się od Parmenidesa i Sofisty. Eutyfron, Apologia i Kryton zostały natomiast napisane przed 30-ym rokiem życia; Kratyl później, ale przed Biesiadą, która powstała wkrótce po założeniu Akademii w 385-ym roku. Po Biesiadzie, a przed Fedrem pozostaje miejsce na Fedona. Jeżeli Fedr był napisany około 380-go roku, to na całe 12 lat następnych pozostawała-by jedynie praca nad Teetem, i prawdopodobnie nad przeróbkami Rzeczpospolitej.

Oto wielce doniosłe wyniki badań Lutosławskiego nad pierwszemi trzema tetralogiami. Z wyników tych skorzysta naturalnie w swych poszukiwaniach nad pozostałemi pismami Platona. A liczba ich jest nie mała, bo stanowią one jeszcze sześć tetralogii. Co do nich, znajdziemy zapewne równie ważne badania w zapowiedzianem angielskiem dziele Lutosławskiego. Tu zaznaczamy tylko jeszcze w końcu, dla wyjaśnienia całej doniosłości dotychczasowych badań naszego uczonego, że wspomniane trzy pierwsze tetralogie obejmują najważniejsze dzieła Platona pod względem logicznym, więc nadawały się najwłaściwiej do zastosowania metody, polegającej na porównaniu jego teorii logicznych. Nadto znajdujemy tu takie arcydzieła, jak Fedr i Fedon, które bardziej niż wszystkie inne podawały dotąd powód do sporów. Nareszcie, dyalektyczne dialogi stanowią najpewniejszą podstawę do rozstrzygnięcia kwestyi chronologii wszystkich innych. Spodziewać się tedy można, że na tej podstawie rozwiąże Lutosławski w sposób zadawalniający i ogólniejsze zadanie, polegające na określeniu chronologii wszystkich dzieł Platona, a to znowu posłuży mu za fundament ściśle naukowy do systematycznego przedstawienia samej logiki Platona, jej

początku i rozwoju w myśli tego pierwszorzędnego filozofa. Są to wszystko badania, które, wobec danych powyżej wyjaśnień, stanowiąc będą znakomity postęp w zgłębieniu greckiej filozofii i przyniosą niewątpliwie zaszczyt i szczerę uznanie świata uczonego nie tylko naszemu badaczowi, ale i naszej nauce wogóle.

HENRYK STRUVE.

X karetek jesiennych.

List do przyjaciela.

Znikłeś, jak kamień, rzucony w głębiny,
Krugami nawet nie znacząc swych śladów,—
Jak klucz zórawi, co, gdzieś w dali sonej
Błysnąwszy, lecą zbioru winogradów!
Pilnować w krajach, kędy cieplej grzeje
Słońce jesienne... Ot, zwyczajne dzieje!..

Na ciemnej chmurze ptaki jasną plamą
Błysnęły, znikły, — śladu po nich niem a...
Lecz, chociaż co rok widuję to samo,
Długo tęsknemi ścigam je oczyma...
Próżno! Któż zdoła lejące zórawie
Do gniazd zawrócić, gniazd zamarych prawie!

Ale myśl moja dziwnie jest uparta
 I od dni paru wciąż za tobą goni.
 Przede mną biała leży oto karta,
 Jakby mnie kusić chciała,—pióro w dłoni,—
 Więc chęć mi przyszła spróbować raz jeszcze
 Spuścić na ciebie śpiewnych sekstyn deszcze.

Może z nich która zaśpiewa ci w duszy
 Melodyę, jakiej nie wyrazić w słowie,
 I ze strun serca jedną tak poruszy,
 Że, potrącona, za chwilę odpowie
 Przeciągłym dźwiękiem, jak dzwon szczerozłoty,
 Skargą, wydartą aż z głębin istoty.

Noc. Chłód jesienny. Wicher jęczy, wyje.
 Zdała dochodzi świst lokomotywy,
 Która, ognistą wyciągnąwszy szyję,
 Jak potwór nocny pędzi... Żywy
 Dźwięk żaden więcej uszu nie dolata,
 Jakby co najmniej wymarło pół świata.

Na stole świeca migotliwie płonie,
 Rzuca blask słaby na stopy ksiąg szare,
 I nimbem wieńczy na obrazku skronie
 Tej, która... Tutaj stawiam kropek parę, —
 Niech tajemnicy pokryją oponczą,
 Co ukryć trzeba, i strofę zakończą...

W taką noc ciemną, jesienną, ponurą,
 Wspomnienia rojem cisną się do głowy,
 Stamtąd na papier prosto. Chwytam pióro,
 Ale rozpierzeły się tak, że połowy, —
 Gdzie tam! — tysiącznej części, mówiąc szczerze,
 Nie zdołam spisać z nich na tym papierze.

Więc z konieczności z urywków ci złożę
 Ten list, wymówek i skarg gorzkich pełny.
 Nie będę mówił o cenach na zboże,
 Choć idą w górę, lub o losach wełny, —
 Za to — zwyczajem naszym — powiem nieco
 O liściach, które z drzew z szelestem lecą

I melancholię budzą w ludzkiej duszy, —
 O księżycowych blaskach i wód toni,
 O wicherze, który echa westchnień głuszy,
 O białych szronach, rozsianych wśród błoni,
 Jak pierwsze kwiaty zimy, co się zbliża,
 Niby łyżwiarka młoda — taka chyża.

Więc tedy najprzód liście. Miast zieleni,
 Purpurę mamy na drzewach i złoto,
 Które się w blaskach księżycowych mieni...
 Lecz, powiedz tylko, mój drogi: czy po to
 Natura w takie przybrała się czary,
 By powabniejszą iść w pył grobów szary?

Z drzew kapie złoto, purpura, fiolety,
 Jak z szat królewskich, złożonych w mogile, —
Wkrótce już błysną nagie ich szkielety,
 I na cześć zimy puhar mój wychylę,
W którym goryczy więcej, niżli miodu,
Przywykłem na dnie znajdować od młodu...

Ale nie o tem mowa... księżyc złoty
 Tak samo w wód się przegląda lazurze,
Jak na wsi w lecie, gdy, pełni pustoty,
 We dwóch ku owej dążyliśmy górze,
Co łono swoje ukrywa wstydliwie
W liliowych wrzosach i ciemnej pokrzywie...

Śnieżne łabędzie prują nurty fali
 Ciemnego stawu, — nad nim brzoza cicha.
Duma i szmerem gałęzi się żali
 Na wiatr północny. — Na środku z kielicha
Fontanna tryska brylantową strugą,
Co się w kryształę zamieni niedługo.

Wszystko, jak było, i tylko do serca
 Dziwne się jakieś zakradły tęsknice. —
Może je wichur sprowadził morderca,
 A może — zimny widmo bladolice,
Sam nie wiem, — dusza moja nie ta sama:
Zawisła nad nią wielka, ciemna plama...

Pamiętasz nasze wędrówki po lesie,
 Szumiącym zcicha w sierpniowe wieczory?
 Od łąk, pól, gajów, jakaś pieśń się niesie,
 Melodyą dziwną do mej duszy chorej
 Przemawia, — spokój jej daje bez troski. —
 Pamiętasz pobyt nasz wśród cichej wioski?

Na lipie bocian poważnie klekocze,
 Na stare graby blask księżycy pada, —
 Wierzba w wód toni kąpie swe warkocze,
 A w dali strumień szemrze i kaskada,
 I słychać śpiewy żeńców i kosiarzy, —
 Ach, w takie noce, jak się cudnie marzył!

Przybądź... w jesienne otuleni płaszczce
 Błądzić znów będziem w wieczór księżycowy, —
 Wicher nas mroźny po twarzy pogłaszcze,
 Lub złotych liści nasypie na głowy,
 Lecz za to może smutek serc rozwieje.
 Wieczorów letnich wspomnim wtedy dzieje...

Jesienne widma, mgły, blaski i czary
 Miewają także nieraz urok duży...
 Poranek mglisty, — dzień pochmurny, szary, —
 Wtem błysnie słońce i niebo rozchmurzy,
 Złotem obleje ciche stawu fale
 I drzew konary. Sam zobaczysz... *Vale!*

SELIM.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Michał Rolle. Z przeszłości. Okręg Rawski, Starostwo Barskie (do r. 1774).

Lwów 1896.

Autor rozpoczyna swą pracę od wytknięcia, na podstawie wskazówek Stadnickiego, granic właściwemu Podolu i zarazem—stwierdza wątpliwości, że kiedy właściwie Podole podzielono na okręgi, powieździeć niepodobna. Pierwszym domniemanym starostą rawskim był Albert de Wscheradow, o którym kroniki nie zapisały; drugim starostą, noszącym już nazwę barskiego, był Rey, pojmany wr. 1492 w łyka tatarskie. Trzecim, a zarazem ostatnim starostą rawskim, z liczby tych, o których choćby cośkolwiek wiadomości posiadamy, był Wojciech Starzechowski.

W XIV i XV stuleciu, mlekiem i miodem płynące Podole nieraz się krwią oblewało. Tatarzy, owi rabusie, wiszący nad głową kolonistów kresowych, wyciskali z prowincyi, którą niegdyś władali ich przodkowie, wszystkie soki żywotne. W roku 1415 i następnych, nieustraszenie czambuły Edygi kraj na pustkę zamieniają i w r. 1427 Witold donosi W. Mistrzowi, że Podole nawiedzonym zostało przez strasznych gości. W r. 1431 Tatarzy palą zamek winnicki i rozplywają się zago-

nami po Podolu; w r. 1433, 38, 42 i 47 powtórzyło się to samo. Tysiące ludu wędrowało w jassy, a głos powszechny pomawiał Litwinów o doprowadzenie na kraj tatarstwa. Następstwem najazdów były figurujące w lustracyach w r. 1530 i 1542 „pustki”, a pomyślniejsza epoka zaświtała dla tego zakątka ziemi dopiero podczas sprężystych rządów królowej Bony i mianowanych przez nią starostów.

Granic okręgu Rawskiego dokładnie nakreślić niepodobna. W kraju pustym, przybysz z Wielko lub Małopolski zagarniał tyle ziemi, ile zagarnąć potrafił, a trudno również wymagać od kancelaryi królewskiej XIV, XV i XVI stulecia, by posiadała choćby jaką taką kartę półdzikich ukraińskich obszarów. Prócz tego, odradzające się z gruzów osady niekoniecznie na dawnym powstawały miejscu, a przenoszone, choćby o staj kilka, w inną stronę, utrudniały już tem samem wyznaczenie granic dawnego starostwa.

Nie ulega wszakże żadnej wątpliwości, że obszary okręgu Rawskiego pokryte były olbrzymimi borami. Całe pułki tatarskie wychylały się najniespodziewaniej z gąszczów leśnych, by trapić biednych osadników. Podanie o tem przechowało się w ustach ludu wiejskiego, który je po dziś dzień tatarskimi lasami, Tatarzynkami i t. p. nazywa. Swoją drogą lasy stanowiły zarazem kryjówkę dla osadników, ale Tatarzyn i w borach szukać potrafił, nasłuchując, czy jaki głos nie zdradzi mu miejsca, w którym znajdzie łup upragniony.

Historję kolonizacyi okręgu Rawskiego przechodzi autor szczegółowo, nadmieniając, czy dane osady były zakładane „na surowym”, czy też „na mokrym korzeniu”. Zaznaczano również, że w lustracyi z r. 1565 spotykamy się po raz pierwszy z nazwą „klucze,” które oznaczają pewną jednostkę administracyjno-gospodarską, z kilku osad złożoną, do jednego właściciela, albo dzierżawcy dożywotniego, należącą, i mają jednobrzmiące z włością znaczenie.

Rok 1538 stanowi początek nowej ery okręgu Rawskiego. Pierwotna jego nazwa znika w tym czasie, zastąpiona przez starostwo Barskie, które zostało nadane na pamiątkę włoskiej posiadłości Bony. Pierwszy przywilej z datą 1538 określał swobody dla miasta Baru, ale opieka i troskliwość królowej nie kończyły się na jednym tylko miasteczku. Równocześnie wydaje król Zygmunt Starzechowskiemu, staroście rawskiemu, pozwolenie na wznoszenie w miejscach pustych starostwa, dla użytku i korzyści królewskiej, osad, z zapewnieniem im po 30 grzywien.

Królowa nie zwykła była zapominać o niczem, znała dobrze swoich wasalów, miejsce ich rozsiedlenia, (choć nigdy w starostwie Barskiem nie była) i zapasy amunicyi w zamkach. Podawała przytem pla-

ny wyciągnięcia największych dochodów, wdając się w podobne drobności, jak np. sprzedawanie ryb solonych w beczkach, by się w ten sposób przekonać, ile na przyszłość za wydzierżawienie stawów żądać można. Drugim i ostatnim starostą barskim z ramienia królowej Bony był Pretficz. Wybór i tym razem padł na rycerza w całym znaczeniu tego słowa. „Za czasów pana Pretficia, spała od Tatarów granica“, mawiano o nim, a Bielski w swej „Kronice“ zapisał o nim, że przez lat wiele granice Ruskie i Podolskie od Tatar oganiał.

Królowa Bona z zapalem zabierała się do kolonizowania pustyni, szafowała więc hojnie nadaniami, by tylko zyskać jak największą gromadę obrońców kresowych. W roku jednak 1552 uskutecznia królowa zamianę starostwa Barskiego, doprowadzonego jej staraniem do możliwego dobrobytu, na Trębowlę. Co ją do podobnego kroku skłoniło, z pewnością twierdzić trudno, zdaje się jednak, że pewien wzgląd stanowiła ta okoliczność, że Trębowla, w głąb kraju wsunięta, mniej na nieproszone wizyty narażoną bywała.

Obok włościan osiadłych znajdowali się w starostwie Barskiem włościanie uroczeni, lisiczni, swobodni i służkowie (służba). Do ponoszenia ciężarów względem zamku, jak podymne i puszkarszczyzna, wszyscy bez wyjątku obowiązani byli. Nawet poślednia kategoria pewien, choć skromny, podatek opłacać musiała. Kmieć osiadły, czyli poczesny gospodarz, opłacał: polachowszczyznę (podatek z roli), stacyę, podymne, puszkarszczyznę, dań baranią, wieprzową, pszczelną i powołowszczyznę. Kmiecie uroczeni, siedzący na czynszu urocznym do czasu, płacili puszkarszczyznę i podymne, czynsz uroczny zastępował polachowszczyznę. Kmiecie lisiczni, którzy dawali po liszce albo po złotemu, byli to przybysze, próbujący, czy warto w danej osiadać włości. Ciężary względem zamku ponosili oni razem z innymi. Włościanie swobodni odsiadawali zawarowaną im w poszczególnych wypadkach liczbę lat swobody i, prócz podymnego i puszkarszczyzny, obowiązani byli do połowy stacyi. Wreszcie służkowie opłacali jedynie podatek zamkowy.

Szlachtę, ku zamkowi barskiemu ciężącą, nazywa autor, idąc śladami historyków Rusi, bojarami. Bojarzyn u dawnych książąt wargoruskich był sługą i to znacznym. Na Podolu, w spisach poborowych XVI i XVIII stulecia nazwy „bojar“ nie spotykamy. Ale zastępuje ją chyba zupełnie „vassalus“, jakim tytułem obdarzeni są nieusamowolnieni jeszcze ziemianie Barskiego starostwa. Wszyscy ci wasalowie trzymają nadane im osady dożywotnio, ledwie w kilku wypadkach

wieczyscie, w wielu razach do czasu, pokaż lokowana na wiosce summa zwróconą przez skarb koronny nie zostanie. Z lustracyi, 1615 r. dokonanej, widoczne jest, że w owym czasie otaczało Bar 42 mniejszych lub znaczniejszych wsi, „cum oneribus“ do starostwa należących, „Onera“ te, to obrona czynna w czasach niepokoju, w zasadzie ogółowi indygenów barskich wspólna, dopiero w szczegółach zachodziły pewne różnice: jeden mniej, drugi więcej konnych uzbroić był obowiązany; ten osobiście stawał w oddziale pana starosty lub podstarościego, a inny wysyłał zastępcę. Prócz tego odbywali np. Łopatynscy „straż polną do zamku barskiego“, Hołuzińscy „trzy dni w rok poddanymi około zamku robić obowiązani byli i t. p.“

W dalszym ciągu pracy autor przedstawia szczegółowo dzieje wójtostw barskich i zarządy starostów, między którymi znajdowali się hetmanowie Żółkiewski i Sobieski. Drukowane źródła, zarówno w literaturze rosyjskiej, jak i polskiej, zostały w powyższem studyum starannie wyzyskanemi, a nawet udało się autorowi wyzyskać niekiedy i manuskrypt, nieznanym dotąd badaczom. Do dziejów kolonizacyi w starostwie Barskiem spotkać też można w pracy p. Rollego niejednym ważnym szczegółem lub cyfrą statystyczną, a badania historyczne potrafił autor uprzystępnąć i uczynić interesującemi, dołączając do nich, ale w miarę, materiał kronikarski. W samym końcu książki autor zamieścił następującą wzmiankę: „Już po wydrukowaniu znacznej części „okręgu Rawskiego“, dowiedziałem się, że prof. Gruszewski ogłosił w ostatnich czasach (w języku rosyjskim) obszerniejszą pracę, Barszczyżnię poświęconą. To było powodem, że jej w niniejszej rozprawie nie użytykowałem.“

Istotnie praca prof. Gruszewskiego ukazała się już w roku 1894 i była owocem troskliwych archiwalnych poszukiwań. Gdy jej jednak p. Rolle nie spożytkował w swej pracy, nie wypada jej pozbywać ogólnikową wzmianką na tem miejscu, lecz wypadnie jej poświęcić bliższą uwagę, co też i niebawem uczynionem zostanie.

A. R.

Iwan Wazow. „Pod jarzmem tureckiem“. Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876. Za pozwoleniem autora przełożyła z bułgarskiego i licznymi objaśnieniami uzupełniła *Helena Sopodżkowa*. Z życiorysem i portretem autora, oraz 20 ilustracyami. Tom I, str. XIX i 247. Tom II, str. 300.

Przysługę prawdziwą wyświadczyła czytającej publiczności naszej pani Helena Sopodżkowa, przełożywszy na język polski romans historyczny znakomitego pisarza bułgarskiego, Iwana Wazowa, p. t. „Pod jarzmem tureckiem“ („*Pod igoto*“). Utwór ten z jednej strony odsłania przed nami najbliższą przeszłość ciekawego świata południowo-słowiańskiego, który dotychczas znaleźmy głównie z paru powieści Jeza, malujących epoki jego dawniejsze. Z drugiej strony pozwala on nam zapoznać się z gorącym patriotą, utalentowanym poetą i powieściopisarzem bułgarskim i daje przedsmak młodzieńczej, pełnej żywych uniesień i porywów płomiennych, literatury bułgarskiej, która, jeżeli wnioskować możemy z tej próby, zasługuje bez kwestyi na uwagę bardziej szczerą.

Iwan Wazow, jak się dowiadujemy z biografii autora, poprzedzającej polski przekład powieści „Pod jarzmem tureckiem“, urodził się w roku 1850, jest więc człowiekiem względnie młodym i, jako pisarz, ma przed sobą piękną przyszłość, w ciągu której może jeszcze stworzyć nie jedno wybitne dzieło. Ojciec jego, kupiec sopocki, wybrał dla syna zawód handlowy i kształcił go głównie w tym kierunku. W młodości jednak wcześniej objawiać się zaczęło zamiłowanie, nie mające nic wspólnego z handlem, które popchnęło go na całkiem inną drogę. Główną rolę odegrały w tem niewątpliwie wrodzone skłonności Wazowa, w każdym razie jednak zauważyć należy, że matka jego była w swoim czasie jedną z najinteligentniejszych kobiet bułgarskich, że, dzięki jej bibliotece, młody Iwan w dziecięcych jeszcze latach zapoznał się z całą ówczesną literaturą bułgarską, a zwłaszcza z pieśniami ludowymi, które wywarły na jego wyobraźnię wpływ duży. Twórczość literacką rozpoczął Wazow od poezyi, które umieszczał początkowo w *Swobodzie* lub też w *Periodycznym Spisaniu*, gdzie między innymi ukazał się piękny jego wiersz p. t. „*Sosna*“, który na młodego poetę zwrócił odrazu uwagę rodaków. Wróciwszy w roku 1874, po paroletnim pobyciu za granicą, do rodzinnego Sopotu, zaczął brać żywy udział w przygotowaniach, które poprzedziły nieszczęśliwe powstanie bułgarskie w roku 1876, opisane przezeń następnie w powieści „Pod jarzmem tureckiem“, która powstała przed sześciu laty w Odessie. Po-

wieść ta, przełożona na kilka języków europejskich, zjednała Wazowowi uznanie powszechne i doczekała się obszernych ocen ze strony najpoważniejszych krytyków angielskich, którzy nie wahali się zaliczyć jej do najznakomitszych arcydzieł piśmiennictwa, jakimi wschodnia Europa obdarzyła zachodnią. Oprócz tej powieści, wydał Wazow kilkanaście mniejszych utworów powieściowych i nowellistycznych oraz kilka zbiorów poezji, które w Bułgarii cieszą się wziętością ogromną. Z utworów tych na uwagę zasługuje zwłaszcza „*Epopeja-ta na zabraweni-tje*“ („*Epopea o zapomnianych*“), najpopularniejszy z poetyckich utworów Wazowa, poświęcony pamięci najwybitniejszych patriotów bułgarskich. Do ostatnich prac jego należy dramat p. t. „*Awanturnicy*“ („*Chaszowie*“), napisany podczas trzymiesięcznej wycieczki autora do Francji i Szwajcaryi w roku 1893. W roku ubiegłym cała Bułgaria obchodziła z zapalem jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy autorskiej ulubionego swego poety i powieściopisarza, a książę Mikołaj I nagrodił niedawno zasługi literackie Wazowa orderem krzyża czarnogórskiego.

Powieść „*Pod jarzmem tureckim*“ zawiera tyle ciekawych epizodów, przesuwając przed oczyma czytelnika takie mnóstwo postaci, z życia widocznie wziętych i w każdym calu życiem drgających, że o dokładne streszczenie jej na tem miejscu kuścić się nawet nie będziemy. Idzie nam tylko o nakreślenie w ogólnych zarysach interesującego tła, na którym rzecz się rozgrywa, i o zwrócenie uwagi na parę szczegółów ciekawszych.

Tło powieści, mówiąc najogólniej, stanowią turecko-bułgarskie stosunki w przededniu oswobodzenia Bułgarii z kilkowiekowej niewoli tureckiej. Autor przedstawił w swym utworze pierwsze usiłowania Bułgarów, mające na celu zrzucenie nienawistnego jarzma, usiłowania, które na razie doprowadziły jedynie do olbrzymiego rozlewu krwi bułgarskiej, lecz w ostatecznym wyniku, przy obecnej co prawda pomocy, dopięły celu promiennego, jakim była niezależność Bułgarii... Na pierwszych niemal kartkach, w scenie pełnej dzikiej grozy, rozgrywanej się między dwoma opryszkami tureckimi i starym młynarzem Stojanem, jego kilkonastoletnią córką Maryjką, oraz niespodziewanym ich obrońcą Kraliczem, głównym bohaterem utworu, daje autor wymowny przykład samowoli i gwałtów, które w najspokojniejszym nawet czasie groziły na każdym kroku Bułgarom ze strony ich nieproszonego opiekunów.

„Schylonej głowy szabla nie dosięże“, — powtarzali cierpliwie Bułgarzy, znosząc gwałty najokrutniejsze, ale i ich cierpliwość wyczerpywać się w końcu zaczęła. Niezadowolenie, jak zwykle w takich razach bywa, przejawiać się najpierw zaczęło wśród pokolenia młod-

szego. Wśród młodych znajdowali posłuch największy agitatorowie polityczni w rodzaju Kralicza i Sokołowa, którzy otwarcie niemal przygotowywali lud do powstania. Idee rewolucyjne, zataczając coraz szersze kręgi, przenikać powoli zaczęły nawet do klasy „czorbadźych“, t. j. zamożnych Bułgarów, cieszących się względami i zaufaniem urzędników muzułmańskich i z natury rzeczy najmniej wrażliwych na wszelkie wpływy przewrotowe. W wybornie nakreślonej postaci czorbadźego Marka widzimy właśnie tę ewolucję pojęć, której, pod wpływem młodych, nleżała stopniowo konserwatywna część społeczeństwa bułgarskiego. Bądź co bądź, jednak szlachetny Marko należał wśród swoich do wyjątków, większość czorbadźych oburzała się na buntowników, którzy dla „mrzonek nieuchwytnych“ gotowi byli poświęcić najżywotniejsze interesa uprzywilejowanej warstwy narodu.

„Ci krzykacze gotowi rzeczywiście palić i niszczyć, ale czyją własność? Cudzą, sami bowiem nie mają tutaj ani jednego wbitego palika, ani jednej piędzi ziemi. Obrócić w perzynę, — łatwo to powiedzieć tym niegodziwcom nad niegodziwcami!“ — krzyczał np. gniewnie czorbadźy Jordan, stając otwarcie w obronie praw Najjaśniejszego Sultana. „Jedni, jak mrówki, zbierają przez całe życie, zebrzą, pracują, oszczędzają... a drudzy wszystko chcą puścić z dymem!“ — wołali z oburzeniem inni, posuwając się niekiedy do otwartej zdrady swoich przeciwników politycznych. Ten rozłam w łonie społeczeństwa bułgarskiego znakomicie przedstawiony został w powieści p. Wazowa.

I wogóle w utworze swoim maluje autor w sposób wyrazisty wszystkie niemal warstwy społeczeństwa bułgarskiego, od duchowieństwa i intelligencji aż do ciemnych mas ludowych, dzięki czemu powieść jego uważać można za pewnego rodzaju epopeę narodową. Pod tym względem na uwagę zasługują zwłaszcza niektóre sceny zbiorowe, jak np. pelen humoru opis amatorskiego przedstawienia teatralnego w mieście Sopocie, gdzie rozwija się większa część powieści. W scenach takich, kreslonych z dużą werwą i świadczących o znakomitej obserwacji autora, maluje się wybornie młodzieńcze, naiwne, wrażliwe i zapalne społeczeństwo bułgarskie, w którym kilkowiekowe jarzmo tureckie nie zdołało zatrzeć instynktów i porывów szlachetniejszych. Przy odtwarzaniu społeczeństwa swojego, nie szczędzi autor barw ciemnych, już to wyprowadzając na scenę osobniki takie, jak oddany Turkom i zawsze gotowy do popełnienia niegodziwości, Cyryak Stefczow, już to przesuważając przed oczyma czytelnika całe warstwy społeczne, nie wywierające bynajmniej wrażenia dodatniego. Dość przypomnieć tutaj złą i mściwą plotkarkę Chadży Roboamę i wogóle większość stałych mieszkańek klasztoru żeńskiego w Sopocie, lub ciemny

lud bułgarski, nie wahający się nieraz odmówić obrońcom swoim suchego kawałka chleba, lub nawet wprost oddający ich w ręce tureckie.

Ale po-za tem powieść p. Wazowa maluje szereg cały świetlanych postaci obrońców idei niepodległości narodowej, postaci, jakimi pochłubić-by się mogło każde społeczeństwo. Ludzie tacy, jak Kralicz, Kandow, dr Sokołow, ślepy Kołczo i inni, zarysowują się na długo w pamięci czytelnika, budząc w jego duszy współczucie głębokie. Że nie rekrutowali się oni wyłącznie z szeregów młodej intelligencji bułgarskiej, świadczy chociażby sympatyczna postać olbrzymiego Iwana Borymenki, jednego z przedstawicieli lepszej części prostego ludu bułgarskiego, nie mówiąc już o cichych bohaterach w rodzaju Ojca Jeroteja, który przez długie lata uchodził w klasztorze swoim za skąpca i egoistę, gdyż zbierał skrzętnie grosz każdy, nie udzielając nic na cerkiew, ani na klasztor, aby następnie setki lirów wysyłać w tajemnicy przed wszystkimi na kształcenie dzieci bułgarskich i cały majątek przekazać na cele narodowe. Z urzędników tureckich, malowanych wogóle z umiarkowaniem i bezstronnością, na uwagę zasługuje ociężała postać beja sopockiego, będącego wybornem uosobieniem ówczesnej administracji tureckiej w prowincjach chrześcijańskich. Obecność beja na przedstawieniu amatorskiem, po którym rozentuzjazzowani Bułgarzy zaśpiewali chórem pieśń patryotyczną, wmawiając w siedzącego na honorowem miejscu przedstawiciela władzy, który po bułgarsku rozumiał bardzo niewiele, że to czuły romans miłosny, związany bezpośrednio z treścią odegranej sztuki, wywołuje jeden z efektów szczerze komicznych, które urozmaicają pełną grozy treść powieści.

Opowiadanie całe rozwija się u p. Wazowa w dwóch miasteczkach i paru wioskach bułgarskich, nie obejmując pozornie widnokręgów szerszych. Mimo to w jaskrawych barwach maluje w niem autor zarówno upojenia i zapał, które ogarnęły chwilowo całe niemal społeczeństwo bułgarskie, gotujące się do walki śmiertelnej z odwiecznym wrogiem, jak i straszne przygnębienie i demoralizację ogólną, która była wynikiem pierwszych niepowodzeń na drodze do odzyskania niepodległości. Lecz obok wybornej charakterystyki i całego społeczeństwa bułgarskiego w ostatnich chwilach niewoli w jarzynie tureckiem, i poszczególnych postaci, występujących w powieści p. Wazowa, sama fabuła utworu od pierwszych rozdziałów zaciekawia niezmiernie, przykuwając do kartek książki uwagę czytelnika. Losy głównego bohatera, Kralicza, i niebezpieczeństwo, na które, jako agitator polityczny, narażony jest ciągle, zasadzki, których unika szczęśliwie, a wreszcie jego gorąca, pełna dramatycznych epizodów miłość dla sympatycznej „daskalicy” (nauczycielki ludowej), Radki, ustępująca jedynie potężniejszemu jeszcze uczuciu dla Bułgaryi, wszystko to, takie dalekie od

szablonu, z jakim tak często spotykamy się dzisiaj w powieściach, bu-
dzi zajęcie żywe, nie opuszczające czytelnika do ostatniej strony
utworu. Powieść kończy się smutno. Główni jej bohaterzy: Kralicz,
Sokołow, Kandow, nawet Radka, giną od kul tureckich, idea niepodle-
głości Bułgarii upada na razie, przygnębiony naród tarza się u stóp
zwycięzcy.

Forma powieści p. Wazowa zadowolić może najbardziej wygóro-
wane wymagania. W pięknych opisach natury bułgarskiej autor dał
wyraz zamiłowaniu swoim artystycznym i głębokiemu poczuciu poe-
tyckiemu, na którym nie zawodzi się czytelnik. Przekład utworu, cho-
ciaż niezupełnie wolny od drobnych usterek stylistycznych, wogóle do-
konany został starannie i do życzenia pozostawia nie wiele. Całość,
ozdobiona pięknym portretem autora, oraz szeregiem ilustracji, na
których wykonanie złożyły się ołówki kilku najlepszych artystów buł-
garskich, wywiera wrażenie nader dodatnie.

WŁAD. BUKOWIŃSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Z wyjątkiem angielskiego, wszystkie inne parlamenty większych państw rozpoczęły już posiedzenia. Pierwszym był parlament francuski, co zresztą nie ma znaczyć, że jest najpracowitszym; za nim poszły wiedeński, berliński, rzymski. Sprawozdawcy dziennikarscy, którzy z utęsknieniem oczekiwali końca wakacyi parlamentarnych, mają znowu interpelacye, rozprawy, głosowania i pogłoski o przesileniach gabinetowych. Pomimo to nie można powiedzieć, żeby zapano wało wielkie ożywienie w polityce. Interpelacye, mowy deputowanych, odpowiedzi ministrów, budzą wszędzie zainteresowanie lokalne; zagranica słucha ich obojętnie. Być może zresztą, że po denerwujących wypadkach tureckich, po rzeziach, zatargach między gabinetami i niebezpieczeństwach, na jakie był narazony, według zapewnień gazetciarskich, pokój Europy, publiczność czuje się trochę znużoną i chętnie zwraca się dziś ku innym wrażeniom niż polityczne, wobec których jest — roztargniona.

Przy innym nastroju rozprawy sejmowe, które się już w ubiegłym miesiącu odbyły, mogły-by zasłużyć na baczniejszą uwagę ze strony publiczności, na większy udział ścierających się stronnictw.

Parlament francuski miał kilka interpelacyi, a w ich liczbie takie, jak o sprawie Ormian i polityce wschodniej rządu republikańskiej i o sprawie stosunku Francyi do Rossyi. Obie kwestye pierwszorzędnej wagi. Po-za Francją jednak z góry przewidywano, że rząd w pierwszej ograniczy się do stwierdzenia potrzeby solidarnego działania mocarstw; w drugiej powoła się na przemówienia podczas uroczystości paryskich i—na konieczną w sprawach dyplomatycznych dyskrecyę. Tak się też naprawdę stało. A jeśli te dwa momenta rozpraw nie potrafiły mocniej zainteresować opinii postronnej, to tem bardziej da się to powiedzieć o dyskusyach, dotyczących polityki wewnętrznej francuskiej i budżetu. Rozprawy budżetowe samych Francuzów nudzą. Kwestya reformy wyborów do senatu, wszczęta w izbie deputowanych, pogrzebana została przez senat bez hałasu. Ułtarzki socjalistów z rządem, których było kilka, spowszedniały ogromnie, jako widowisko, a z politycznego punktu widzenia nie wywołują żadnych doraźnych skutków prócz tego, że pochłaniają czas, który mógł-by być użyty z większą dla kraju korzyścią na rozważanie i uchwalanie reform, czekających napróžno swojej kolei.

Parlament niemiecki miał również dwie interpelacye, które przy innych okolicznościach mogły-by były dać okazję do efektownych popisów oratorskich. Naprzód centrum zażądało wyjaśnienia w sprawie niedyskrecyi księcia Bismarcka o przymierzu, które łączyło Niemcy z Rosją do roku 1890. Nadto stronnictwo postępowe interpelowało rząd z powodu sprawy Brüsewitsa. Rozprawy jednak utrzymały się w tonie spokojnym i uspokajającym, skutkiem czego nazajutrz po nich już o nich nie myślano ani w Niemczech, ani gdzieindziej. Nowych zwierzeń dyplomatycznych rząd nie poczynił, Bismarcka pod pręgierz nie postawił, jak najlepszy stosunek Niemiec do Austrii i Włoch stwierdził, a co się tyczy Rossyi wykazał, że po dymissyi ks. Bismarcka Niemcy nie żyją z nią gorzej, niż przed tem, lecz nawet lepiej. W sprawie pojedynków stwierdził rząd, że przygotowuje reformę kodeksu sądów honorowych w armii, co było zgodne z życzeniem izby. Po tem też przeszła ona spokojnie do rozpraw nad budżetem, który zawiera kilka pozycyi drażliwych, w tej liczbie projekta wydatków nadzwyczajnych na armię i marynarkę, ale o tych jeszcze nie wyczerpano dyskusyi i nie głosowano.

Parlament wiedeński, w którego łonie nastąpiła ważna zmiana—rozklad zjednoczonej lewicy, dożywa dni swoich bez spokoju wewnętrznego, bo mu go odbierają gwałtowni antysemitci; ale te paroksyzmy posiadzeń burzliwych interesują jedynie swoich bezpośrednich spraw-

ców. Reszta izby patrzy na nie z niesmakiem, a po za izbą nikt na nie uwagi nie zwraca.

Parlament włoski najpoważniej podobno zainteresował opinię, może dla tego, że sam istotnie mocno był przejęty sprawami, o których wypadało mu debatować. W pierwszym rządzie stoi tu traktat pokoju z Menelikiem. Gabinetowi Rudiniego istotnie udało się pokój ten zawrzeć. Doznawszy porażki w walce, nie mógł rząd włoski wyjść jako tryumfator z układów pokojowych; ale potrafił wyjść z nich — bez upokorzenia. Wyrzekł się pretensyi do protektoratu nad negusem oraz zaboru terytoryów; natomiast uzyskał uznanie przez Menelika dawniejszych swoich posiadłości, bez opłaty kontrybucyi wojennej. Traktat pokoju zatrzeza, że rząd włoski zwróci Menelikowi koszta utrzymania jeńców włoskich; lecz wysokość summy zostawia do uznania Włoch.

Taki traktat przedstawił margrabia Rudini parlamentowi do zatwierdzenia. Budziło zaciekawienie, jakie rząd doda komentarze i jaki zakresli program przyszłej polityki. Jakoż pokazało się, że rząd zdecydowany jest wejść na nowe tory. Kolonii erytrejskiej opuszczać nie myśli; ale rozszerzać jej nie pragnie i nie zamierza. Niepodległość Menelika uznawszy, chce żyć z nim w dobrej sąsiedzkiej zgodzie; kolonię erytrejską przekształcić z militarnej na handlową; ograniczyć wogóle politykę kolonialną do zakresu środków, jakimi rozporządza państwo. Program ten sprawił dodatnie wrażenie zarówno w kraju, który zniercierpliwiony już był długim szeregiem niepowodzeń afrykańskich, jak za granicą, gdzie nikt nie miał powodu cieszyć się, że Włochy weszły w matnię kolonialną i płaczą się w niej coraz bardziej bez żadnego dla siebie pożytku.

Oprócz traktatu pokoju z Menelikiem złożony został parlamentowi włoskiemu traktat włosko-tunetański, zawarty w Paryżu, a uważany za wstęp do przyszłej poprawy stosunku Włoch i Francyi. Że nie bezzasadnie, wskazuje okoliczność, iż w tej chwili między Włochami i Francją toczą się układy o zawarcie włosko-francuskiego traktatu handlowego.

W sferach dyplomatycznych nie zaszło nic szczególnie interesującego. Solidarność mocarstw wobec Turcyi, ustaliwszy się po powrocie Anglii do „koncertu,“ uspokoiła grę intryg w Konstantynopolu. Turcyja przygotowuje się jakoby do zaprowadzenia reform w całym państwie. Tymczasem jednak nie może się porozumieć z Europą nawet o reformy na małej Krecie. Mocarstwa żądają, aby do służby w żandarmeryi kreteńskiej dopuszczeni byli, prócz mahometan, także

i chrześciance; Turcyja chce chrześcian wyłączyć, lub co najwyżej ograniczyć do stopni oficerskich. Drobnym ten szczegół daje wskazówkę, w jakim duchu i w jakim tempie prowadzone będą owe reformy „w całym państwie,” które zostały zapowiedziane.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej obrały nowego prezydenta, który obejmie obowiązki w marcu roku przyszłego. Jest nim republikanin, Mac Kinley, inicjator słynnej taryfy protekcyjnej. W Europie jednak, pomimo protekcyonizmu nowego elekta, wybór jego przyjęty został z zadowoleniem, bo jego współzawodnik, Bryan, szedł pod sztandarem głębokich przewrotów socyalnych. Powszechnem zresztą jest mniemanie, że Mac Kinley przeszedł już apogeum swojego protekcyonizmu i nie będzie na tem polu w przyszłości szukał chwały. Wyjątek stanowi Hiszpania, która wyborem Mac Kinleya nie została uradowaną, gdyż sprowadza on prawdopodobieństwo interwencji Stanów do wojny na Kubie, gdzie się orężowi hiszpańskiemu nie wie dzie. Uznanie przez Unię powstańców kubańskich za stronę wojującą rozstrzygnęło-by o przyszłości Kuby, bo sądzić należy, że Stany Zjednoczone wówczas jedynie zdecydowały-by się na krok taki, gdyby powzięły stanowczy zamiar przyczynienia się do zupełnego wyzolenia Kuby z pod władzy Hiszpanów.

Warszawa doczekała się długo zapowiadanej i niezwyklej panoramy Tatr. Niezwyklej ze względu na artystyczne i zarazem z drobiazgową wiernością wykonane dzieło, odtwarzające najpiękniejszą część Galicyi, najbardziej urozmaicony wspaniałym odłam gór. Dla mieszkańców, nawykłych do oschłości życia gwarne go, zagnanych do pracy codziennej, dla tych, którzy nie mają możności oglądania natury i obcowania z nią przynajmniej raz na kilka lat, dla tych, którzy, chociaż ruchliwe prowadzą, lecz tylko w ten sposób, że całą swą podróż spędzają w wagonach, przebiegając z miasta do miasta — dla tych wszystkich, którzy uoszą pustkę w duszy, tam, gdzie powinno się nosić źródło poczucia piękna — owe niezwykle „widowisko“ w naszym mieście powinno być czemś orzeźwiającem umysł i duszę. Na podróże dla rozszerzenia widnokregu myśli, dla ich skąpania w czystym zdroju

przyrody, dla odświeżenia uczuć i energii duchowej, stać zaledwie małą garstkę szczęśliwych. Ta szara większość różnoklasowa, która przymocą lub bezwiednie zagłuszyła w sobie wszelkie potrzeby, niezwiązane z „chlebem powszednim“, już zatraciła lub nawet nie ma wcale pojęcia o tego rodzaju pokrzepieniach i orzeźwieniach estetycznych. Niechże chociaż na chwilę te dusze i umysły znękanе, przytłoczone, doznają wrażeń estetycznych, złudzenia natury, jeżeli nie mogą jej rozkoszy zażyć w rzeczywistości. Takie złudzenie jest i potrzebne, i pożyteczne.

„Góry mają to do siebie, — jak powiada Tetmajer, — że gdzieś rwą, wzwij; mają to do siebie, że ich królewskość udziela się w jakimś stopniu duszom ludzkim, kiedy się z nimi zetkną; w najpowszelejším filistrze obudzą wszakże jakieś zmarnowane lotniejsze uczucie, a przecież ludzie wyobrażają sobie dusze skrzydlate, zatem lecieć powinny i latać. Zdaje mi się, że się będzie przychodziło do tych „Tatr“, aby tam marzyć—a dalibóg, najpiękniejsze jest to, co się śni. Kiedy ci się serce skręca, to jeszcze przyjdzie do ciebie leśny szum i może być jak ręka brata na czole; jeszcze cię woda pociągnie w głąb, w zadumanie o niezuanem, w zapomnienie, którego pragniesz; jeszcze cię turnia pchnie tam, wzwij, w orli kraj..“

Kto chce odczuć prawdę tych słów, niech wejrzy w siebie, niech sięgnie pamięcią do wrażeń i uczuć, gdzieś głęboko nspionych, w jakiejś komórce ducha, i odtworzy, uprzytomni sobie to wszystko, czego doznał w życiu, gdy, uciekając od znękania i znużenia, pogrążył się cały w naturze, gdy na pogodnym nieboskłonie oglądał przestonione dałą sinawą zarysy wierzchołków gór, pełzające po nich białe obłoki. Ja bym dodał, że nietylko królewskość gór udziela się w jakimś stopniu duszom ludzkim—jak mówi Tetmajer; udziela się im także królewskość morza, i sfaldowanych równin, i szumiących puszczy na nizinie. Tych, którzy zaczerpnęli i zachowali w swojej duszy trochę owej królewskości, pociągnie także i artystycznie wykonane złudzenie przyrody; pociągnie także i innych, którzy jej w rzeczywistości zblizka nie oglądali, bo i w ich duszach drzemie gdzieś, drogą atawistyczną przekazane, odbicie przyrody nieznieprawionej przez warunki rozwoju kulturalnego; jej czar, któremu najoschlejszy człowiek oprzeć się nie może. Naturę można się upijać, znałogować do niej. Taki nałóg—to szczęście, bo w nim się mieści cząstka uczuć podnioslejszych.

Refleksye te przyszyły mi pod pióro świeżo po obejrzeniu panoramy Tatr. Była to dla mnie najmilsza godzina dnia i radbym ich więcej życiu powszedniemu urwać na to. Radbym, żeby i inni uczynili to samo. Można tak stać obok Miedzianego, cheiwie i długo wpatrywać

się w Morskie Oko i Czarny Staw pod Rysami, zatopić wzrok w dolinę Pięciu Stawów polskich, podziwiać Muicha, sterczącego w turniach Miąkuszewieckich, wglądać się w wyrwę między Hrubym Wierchem i Krywaniem a Gołemi Wierchami i w ujście doliny Białej Wody. Chciało-by się trochę побыć i na nizinie liptowskiej i nowotarskiej i na Niżnich Tatrach i na Liptowskich, z najwyższym wierchem Diumbir. Wzrok przenosi się na Beskid i Pioniny i po dolinie liptowskiej biegnie w dal, gdzie się srebrzy rzeka Wag.

Nad tem dziełem ogromnem pracowało kilku artystów w ciągu dwu lat. Urządzili oni sobie pracownię—na Miedzianem—niezbyt wygodną, lecz dającą najwspanialsze, najbogatsze widoki. Tam właśnie w ciągu dwu lat podczas miesięcy letnich robili szkice, pracowali usilnie. Z tych studyów następnie powstało zbiorowe dzieło, opłacone życiem artysty Bollera, który spadł z rusztowania i skutkiem śmiertelnych obrażeń zmarł. Był to jeden z głównych twórców panoramy. Nadto najwięcej pracy poświęcił jej p. Stanisław Janowski, który nad tem dziełem stale pracował od samego początku; następnie pp. Stanisław Radziejowski, Kasper Żelechowski, Włodzimierz Tetmajer. Wreszcie chwilowo pp.: Konstanty Mańkowski, Władysław Wankie, Kottowicz i prof. Aksentowicz. W robotach początkowych brali udział p. Emilian Jasiński i Lucyan Kochanowski. Inicytorem zaś był dr Henryk Lgocki z Krakowa. Tak zwany teren fałszywy, również dzieło artystyczne w swoim rodzaju, wymagające jednak pracy robotniczej, wykonano pod kierunkiem specjalisty z Monachium, p. Roisachera i St. Janowskiego. Są to skały, turnie zestrzępione w dół, idące od Miedzianego ku dolinie Pięciu Stawów i do Rybiego, słowem góry i doliny, *rzeźbione* z gipsu (na pakach drewnianych). Powierzchnia, osypiana imitacją roślin i zwierzem i pociągnięta farbą, najzupełniej przypomina widoki rzeczywiste, a przytem ów teren fałszywy tak świetnie się zlewa z malowidłem, że niedoświadczony widz w żaden sposób nie pozna, gdzie się kończą jego granice, a gdzie zaczyna płótno. Całe to dzieło, oprócz świetnego pochwycenia natury, z nadzwyczajną dokładnością odtwarza każdy najdrobniejszy szczegół, każde urwisko, załom a nawet ścieżynę. Uwieczniono tam również i owych ludzi, którzy dodali życia i uroku Tatrom, weszli w legendę i krążyć w niej będą długo u przyszłych pokoleń. Przedewszystkiem umieszczono tam postać Chałubińskiego, bo rzeczywiście Tatry bez niego, jest to obraz niedokończony. Ta postać niepospolita, genialna w medycynie a wysoce poetyczna, rozmarzona wśród natury i górali, przewodnicząca liżonej ich gromadzie—tak się zrosła z Tatrami, tak się wżarła w serca ludu tamtejszego, że nie może zaniknąć w jego pamięci, nie może nie

zdobić każdego dzieła, poświęconego Tatrom, jeżeli to dzieło jest plastyką pędzla lub słowa. Mistrzem plastyki słowa w tej mierze jest Witkiewicz, którego książka „Na przełęczy“ nigdy nie straci świeżości i zawsze z wielkiem zajęciem będzie czytana. Tak więc do tej książki—prozy w formie a poezji w treści, do poezji w formie i treści—pięknych wierszy tatrzańskich Asnyka, sonetów Franciszka Nowickiego, wreszcie uwertur Żeleńskiego i Noskowskiego, przybywa znowu dzieło malarskie. Tatry doczekały się hołdu we wszystkich formach sztuki: poezji, muzyki, malarstwa i... rzeźbiarstwa (w terenie fałszywym).

Panorama będzie gościć w Warszawie trzy miesiące, opuści ją przed wiosną, a więc w czasie, kiedy budzą się najsilniej porywy do wlotu z murów miejskich, i niewątpliwie płótno to na rok przysporzy gości Tatrom.

Dziwnie fatalnym był miesiąc ubiegły dla kolei żelaznych i podróżnych. Katastrofa po katastrofie, i to w takich warunkach i odstępkach czasu, że ludzie wrażliwi tracą chyba na długo odwagę i chęć do podróży. Na kolei Warszawsko-Petersburskiej — drodze starej, dwutorowej, głównej linii w państwie, w dzień biały zetknął się pociąg osobowy z towarowym, z taką siłą gwałtowną, że rozsypały się na strzepy parowozy i wagony, zginęło dziewięciu ludzi, kilkudziesięciu otrzymało dotkliwe rany, kilku zmarło po paru tygodniach. Na Kijowsko-Odeskiej gałęzi kolei Południowo-Zachodnich, linii starej, dwutorowej, pociąg osobowy (kuryerski) spotkał się z towarowym. Na szczęście nikt z pasażerów nie ucierpiał. Na stacji Birucz kolei Bałaszowskiej spotkał się pociąg pasażerski z towarowym. Jeden konduktor zginął, drugi poraniony, kilku pasażerów poszwankowanych. Na stacji Zabkowiec kolei Wiedeńskiej pociąg towarowy od strony Warszawy najechał na drugi towarowy, stojący. Dziesięć wagonów uszkodzonych, parowóz i pięć wagonów ładownych rozbitych. Jeden konduktor uległ silnej kontuzji. W Piotrkowie na stacji towarowej przy rozjazdach (wekslowaniu pociągów) rozbito parowóz i cztery wagony towarowe.

Wszystko to się stało mniej więcej w ciągu dziesięciu dni. Z przyczyn znane nam są dotychczas tylko w dwu wypadkach: na kolei Petersburskiej zawinili: telegrafistka, która zawiadomiła stację sąsiednią, że linia wolna, zapomniawszy o tem, że była zajęta i—zawiaďowca stacji, który wyprawił pociąg towarowy. Na odnodze Bałaszowskiej zawinił zwrotniczy, który źle skierował pociąg. O ile tu jest ich wina istotna, śledztwo to wykaże. My zaś możemy się tylko

powołać na podobne wypadki z przeszłości, w których stwierdzono nie raz, że przyczyną nieszczęść było przeciążenie pracą: maszynistów, zawiadowców, telegrafistów i zwrotniczych.

Obecnie nie wiemy jeszcze, ile godzin czuwali na służbie: telegrafistka, zawiadowca i zwrotniczy, którzy spowodowali katastrofy. Jeżeli się okaże, że byli zanadto znużeni, będzie to jeszcze jeden dowód na poparcie naszego twierdzenia, że przyczyną wypadków w znacznej większości jest zbyt mały personel pracowników kolejowych w stosunku do ogromu pracy. Rzeczoznawcy obliczają straty kolei Petersburskiej, t. j. koszt wagonów, parowozów rozbitych, towaru zniszczonego, odszkodowanie wypłacone pasażerom i ich rodzinom za śmierć lub kalectwo—na *pół miliona rubli*. Jeżeli weźmiemy w rachubę osiem pociągów uszkodzonych i nawpół rozbitych w czterech zętknięciach się i rozbicie parowozu tudzież kilku wagonów podczas wekslowania, zepsucie torów, chwilowe zatamowanie ruchu, możemy przypuścić, iż ogólna summa strat, wynikłych z powyższych wypadków, urośnie do *miliona rubli*. Gdyby tylko skromny procent od tej summy użyty był na pomnożenie personelu w stosunku do ogromu pracy, jużby się zwiększyły znacznie szanse bezpieczeństwa publicznego i dochody kolei żelaznych. Mylnie bowiem jest mniemanie, że oszczędność w liczbie pracowników i ich płacy jest istotnie oszczędnością. Sprawność i produktywność ich sił, zawsze świeżych, niewyczerpanych, to jest kapitał, przynoszący dobre zyski przedsiębiorstwom komunikacyjnym. Na nieszczęście, nie chcą one z tem się zgodzić. Dodajmy jeszcze do summy strat, pochodzących z tego samego źródła, częste odszkodowania, wypłacane przez niektóre koleje na mocy wyroków sądowych pracownikom pokaleczonym lub rodzinom zabitych. Wypadki te pochodzą najczęściej także z oszczędności w personelu lub braku środków zabezpieczających; summy zaś odszkodowania stanowią poważną rubrykę w budżetach.

Drugim ważnym warunkiem bezpieczeństwa i zarazem oszczędności kolei żelaznych powinno być ulepszenie sygnalizacji. Rzecz dziwna, że dotychczas przy udoskonaleniu i postępach wogóle techniki, przy szerokiem zastosowaniu wszelkich ulepszeń za pomocą elektryczności, nie zdołano jeszcze wprowadzić środka ostrzegawczego, zapobiegającego temu rodzajowi katastrof, który sprowadza najgorsze skutki, t. j. spotkanie się pociągów. Istnieje już zcentralizowane nastawianie zwrotnic, na niektórych tylko kolejach, za pomocą elektryczności, podobno bezpieczniejsze niż wykonywane pierwotnie, za pomocą przyciskania aparatu nogą na każdej zwrotnicy z osobna.

Dla czego jednak dotąd koleje nie zdecydowały się wprowadzić sygnalizacji za pomocą prądów elektrycznych indukcyjnych? Edison, ten potężny ujarzmiiciel dla celów ludzkich siły elektrycznej, czyni bardzo pomyślne próby telegrafowania bez drutów. Na tej samej zasadzie można było-by oprzeć sygnalizację ostrzegawczą, mianowicie zastosowanie elektryczności w ten sposób, ażeby na pewnej odległości dwa zbliżające się pociągi dawały znać o sobie za pomocą dzwonek alarmujących na parowozach. Przy takim udoskonaleniu środków sygnalizacji spotkanie się dwu pociągów, zwłaszcza na kolejach jednotorowych, byłoby niemożliwe, z wyjątkiem chyba utraty przytomności maszynisty i jego pomocnika. Może trochę trudniejsze było-by zastosowanie tego środka na liniach dwutorowych, gdyż dzwony alarmowe także obwieszczą-by zbliżanie się pociągów, pomimo że one toczyły-by się po obu liniach w dwu przeciwnych kierunkach. Ale prawdopodobnie i tutaj z czasem znalazły-by się sposoby. Czekajmy, aż nam pierwsza zagranica da przykład w tej mierze.

Z innych udoskonaleń, mających na względzie bezpieczeństwo publiczne, wprowadzono w ostatnich latach hamulce różnego typu, ale przeważnie tylko przy pociągach kuryerskich i pośpiesznych, które też najmniej przez to są narażone na całkowite zdruzgotanie. Hamulce te działają nieprzerwanie, bądź za pomocą powietrza zgęszczonego, według systemów Wegera, Korpentera, a przeważnie Westinhaus'a, bądź za pośrednictwem ciśnienia atmosferycznego przy pomocy powietrza rozrzedzonego w cylindrach i rurach, według systemu Hardiego i Kertinga lub Sullerena. Tylko na niewielkiej liczbie kolei już wszystkie pociągi są obsługiwane przez hamulce powietrzne, działające nieprzerwanie. Tak np. linie od Moskwy do Sewastopola, od Moskwy przez Griazi do Carycyna, tudzież przez Woroneż i Rostów do Władykaukazu i Petrowska, z Carycyna przez Orel do Rygi, wreszcie kolej Warszawsko-Wiedeńska, posiłkują się hamulcami, działającymi za pomocą powietrza rozrzedzonego. Koleje: Baltycka, Mikołajewska, Niższo-Nowogrodzka, Warszawsko-Petersburska, Terespolska, Nadwiślańska, Moskiewsko-Brzeska, Libawsko-Romeńska, Charkowsko-Mikołajewska, Syzrańsko-Wiaziemska, Jekateryneńska, Zakaukaska używają hamulców z powietrzem zgęszczonym.

Inny środek bezpieczeństwa, to udoskonalenie pod względem chemicznego nasycania, czyli utrwalania podkładów; ale to większe ma znaczenie dla przedsiębiorstwa kolejowego, jako środek oszczędności.

Bezpieczeństwo wogóle dużo pozostawia do życzenia; a co dziwniejsza—na niektórych kolejach nawet poznoszono dla oszczędności te środki, które dawniej dawały większe szanse zachowania życia i zdro-

wia podróży. Mianowicie była gęstsza sygnalizacja optyczna, przy każdej budce dróżnika, których największa odległość wynosiła wiorstę. Nadto z każdej takiej budki można było zatelegrafować, jeżeli zaś zdarzył się jaki wypadek lub przeszkoda między jedną a drugą w połowie drogi, to przecież łatwo było te pół wiorsty szybko przebieść, zatelegrafować lub za pomocą sygnałów optycznych zbudzić baczność o kilka albo kilkanaście wiorst naprzód.

Wobec takich urządzeń i staranniejszej kontroli linii na wiorstowych dystansach, spotkanie się pociągów było prawie niemożliwe. Dziś, dla oszczędności, wprowadzono na owych liniach inny system telegrafowania—za pomocą aparatów, umieszczonych co trzy lub cztery wiorsty, a nawet nakolejach zupełnie nowych—w dłuższych odstępach. Otóż wielce byłoby pożądanem, ażeby na najbliższym zjeździe kolejowym, dla bezpieczeństwa ludności wielomilionowej i dla dobra samych kolei, zwrócono baczną uwagę na środki bezpieczeństwa i rozwinięto całą energię w celu wprowadzenia wszystkiego, co dała dzisiejsza technika udoskonalona w tej mierze. Pożądanem było-by również zastosowanie i tych środków, które zarzucono tylko gwoli oszczędności.

Ponieważ zwykle po Nowym Roku rozpoczynają się wszelkie reformy i ulepszenia, więc i w tej dziedzinie należało-by ich oczekiwać, zwłaszcza, że rok bieżący dostarczył sporo bodźców w postaci katastrof i spraw sądowych o odszkodowanie.

Po Nowym Roku także będziemy wiedzieli, ile całe państwo liczy ludności i co ona robi. Przedsięwzięto bowiem wielkie, po raz pierwszy dzieło, na wzór Europy zachodniej i Ameryki—powszechny jednodniowy spis ludności. Ażeby to wykonać na olbrzymich obszarach Rosyi europejskiej i azyatyckiej, stworzono machinerę dość skomplikowaną, do której jako współpracowników powołano setki tysięcy ludzi. Całe to przedsięwzięcie będzie nosiło charakter społeczno-naukowy, da bowiem w niedalekiej przyszłości obfity materiał dla ekonomistów, etnologów, geografów i t. d. Należy tedy życzyć powodzenia, a tembardziej rzetelności nie tylko w zbieraniu materiałów, lecz następnie i w formułowaniu wniosków na ich podstawie. Co do samego spisu, z góry już można ocenić to zadanie i jego trudności, wobec różnorodnych warunków topograficznych, kulturalnych i cywilizacyjnych. Dotąd spisy odbywały się głównie w celach fiskalnych, brano pod uwagę jedynie ludność podatkową, która oczywiście z niuwnością witała wszelkich urzędników „ciekawych“ i podawała często

mylne fakta, o ile mogła. Ta nieufność wśród ludu pozostała także względem wszelkich poszukiwań statystycznych. Jeżeli np. chodzi o posiewy i zbiory, lud stara się zawsze ukryć właściwą cyfrę, bo przypuszcza, że to będzie obciążenie go jakimś ciężarem podatkowym. Tym sposobem powstają mylne summy, a na nich ekonomiści z całą ufnością budują wnioski, rzucają fałszywe światło na stosunki i proponują środki, które nie tylko do celu pożądanego nie prowadzą, lecz nawet częstokroć krzywdę społeczeństwu wyrządzają.

Tak będzie zawsze, dopóki nie powstanie dobrze zorganizowana statystyka, popierana przez społeczeństwo ukształcone.

Dnia 24 listopada w Grodzisku zakończył życie Antoni Nagórny, wybitny ekonomista, który oprócz wzbogacenia literatury przyczynił się do organizacyi wielu instytucyi, związanych z bytem materialnym społeczeństwa. Urodzony 23 stycznia r. 1821 w Jachimówce (pow. płoskirowskim gub. podolskiej), wykształcenie średnie otrzymał w Niemirowie i Kamieńcu podolskim, wyższe—w Petersburgu. Służbę rozpoczął na Kaukazie, następnie przeniósł się do Warszawy w r. 1855 i został urzędnikiem najwyższej izby obrachunkowej Królestwa Polskiego. W czasie reform prawodawczych brał nieraz udział w komissjach specjalnych jako delegat z urzędu. Między innymi 1865 r. był powołany przez radę administracyjną do komitetu utworzonego w celu opracowania nowej ustawy Banku Polskiego. Projekt, opracowany na podstawie jego memoriału, nie uzyskał jednak zatwierdzenia. W komissyi do reformy opłat Nagórny popierał zniesienie podatku konsumcyjnego, uczestniczył także w reformie podatku podymnego i gruntowego (o tym pierwszym ogłosił memoriał „Impôt des bâtimens”). Opracował wreszcie projekt reformy handlu spirytualiami, biorąc za wzór prawodawstwo skandynawskie. Rzecz tę oparł na studyach odbytych w Danii, Szwecyi i Prusach i wydał po francusku. Dosłowny tytuł brzmi: „Kwestya wódki uważana ze stanowiska ekonomii społecznej, a głównie pod względem podatku“ (Warszawa 1894). Roku 1865 założył pismo miesięczne p. t. *Ekonomista*, z tygodniowym dodatkiem informacyjnym p. t. *Mercury*. Około tego ogniska skupili się między innymi: Antoni Okolski, Aleksander Moldenhawer, J. B. Oczapowski, J. Kirsztrot. Nagórny był zwolennikiem Bastiata, Chevaliera, Cobdena i Dunoyera. *Ekonomistę* wydawał do końca r. 1868, następnie miesięcznik przeszedł w ręce Wiktora Somera; Nagórny wszakże nie przestał zasilac tego pisma swojemi pracami. Po śmierci Somera r. 1874 organ ten przestał wychodzić. Następnie jednak r. 1878 Nagórny wskrzesił pismo w postaci tygodnika, który wszakże krótko istniał. Od r. 1869

Nagórny był naczelnikiem wydziału przemysłu w Banku Polskim, a w r. 1875, po śmierci Józefa Higersbergera, został wice-prezesem tej instytucji i pracował na tem stanowisku aż do jej przekształcenia na oddział Banku państwa. Nieboszczyk należał do założycieli Banku handlowego, oraz brał udział w kilku większych instytucjach; wreszcie był wice-prezesem kolei Fabryczno-Łódzkiej.

Wiadomości bibliograficzne.

— S. Dickstein. „Wiadomość o korespondencji Kochańskiego z Leibnitzem.“ Kraków. Nakład Akademii Umiejętności, 1896, (4-ka, str. 9). Autor zdobył odpisy korespondencji uczonego naszego Adama Adamandego Kochańskiego z wielkim geometrą i filozofem Leibnitzem, z księgozbioru w Hannowerze. Korespondencya ta była w języku łacińskim prowadzona. Rozpoczęta listem Kochańskiego z dnia 7 czerwca 1670 roku, datowanym z Pragi Czeskiej, przerywa się na liście tegoż z dnia 12 grudnia 1671 roku, także z Pragi. Po przerwie dwudziestoletniej rozpoczyna się na nowo i ciągnie się aż do roku 1698. W tej drugiej seryi znajduje się 20 listów Kochańskiego, pisanych z Warszawy i z Cieplic w Czechach, oraz 12 conceptów listów Leibniza, pisanych w Hannowerze. „Korespondencya w tak doniosłej epoce historii nauk ścisłych — mówi autor — epoce odkrycia analizy wyższej i ogłoszenia „Principiów“ Newtona, prowadzona między dwoma uczonymi, z których jeden piętno twórczego geniuszu swego na zawsze w dziejach nauki wycisnął, drugi zaś był mężem rozległej wiedzy i badawczego umysłu; korespondencya taka już sama przez się musi być ciekawa dla historyka wiedzy.“ Jest w niej istotnie oddźwięk żywy najważniejszych spraw naukowych, jakie zajmowały badaczy ówczesnych. Kwestya nowego wyższego rachunku i geometryi Descartesa, teoria szeregów, zasadnicze pojęcia mechaniki, ruch wieczysty, hipotezy kosmofizyczne, teoria ciężenia, optyka, maszyny arytmetyczne, oraz po-za dziedziną nauk ścisłych, kwestye polityki, historii, filozofii, językoznawstwa, etnografii i t. d., poruszone w tej korespondencji, noszą na sobie znamienne piętno epoki. Wymienione nazwiska kilku-

dziesięciu uczonych, wzmianki o ich dziełach i pracach dają również pojęcie o stosunkach ówczesnych i mnóstwo szczegółów ciekawych zawierają. W korespondencji tej mieści się także wyborny materiał do charakterystyki Kochańskiego, rzeczy przeważnie nieznaney. Zasługi i prace naukowe tego uczonego dotąd u nas były bardzo mało badane. Więcej on był ceniony i znany za granicą, niż w kraju własnym.

Dnia 12 października r. b. odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, na którym p. Jan Rozwadowski wyłożył treść swych studyów p. t.: „*Quaestiones grammaticae et etymologicae.*“ Członek Józef Kallenbach zdał sprawę z dzieła swego p. t.: „*Adam Mickiewicz.*“ Autor wykazał pożyteczność i potrzebę książki, dającej zwięzłe wyniki dotychczasowych badań nad Mickiewiczem. Uważając stronę biograficzną jako załatwioną w czterotomowym dziele Władysława Mickiewicza, autor zajmuje się głównie analizą psychologiczną dzieł poety i stara się skreślić jego rozwój duchowy na tle rozbioru estetyczno-krytycznego poezyi. Praca ta obejmuje 15 rozdziałów następujących: I. Rodzina i szkoła (1798 — 1811). II. Lata uniwersyteckie (1815 — 1819). III. Przełom (1820 — 1822). IV. Ballady i romanse. Grażyna. V. Dziady (Wilno 1823). VI. Więzienie (1824). Sonety (1825). VII. Konrad Wallenrod. VIII. Podróże (1829 — 1832). IX. Dziady (1832). X. Księgi Narodu (1832). Artykuły (1833). XI. Pan Tadeusz. XII. Bracia zjednoczeni. Saint-Martin. Artykuły francuskie. Historia Polski. Zdania i uwagi. Jakób Jasiński. Katedra łaciny w Lozannie (1834 — 1840). XIII. Literatura słowiańska w Collège de France. XIV. Towiańszczyzna. XV. Zakończenie. Między innymi autor zwraca uwagę na zarodki mistycyzmu, tkwiące w usposobieniu Mickiewicza od najwcześniejszych chwil młodości. Rozczytywanie się w Saint-Martinie przysposabia grunt dla Towianizmu, który, zdaniem autora, zależny jest od Saint-Martina. Na końcu dzieła pomieszczony będzie dodatek, zawierający nieznaną dotychczas listy A. Mickiewicza, Odyńca, Klementyny Hoffmanowej i innych, tudzież urywki z niewydanego pamiętnika M. H. Nakwaskiego, odnoszące się do pobytu w Szwajcaryi. Pracę p. Rozwadowskiego postanowiono wydać.

— Jak zwykle przed Nowym Rokiem, w handlu księgarskim ukazało się mnóstwo wydawnictw, przeznaczonych dla młodzieży dorastającej i dziatwy. P. Teresa Prażmowska w swojej powieści p. t. „*Serce*“ (Warszawa. T. Paprocki i S-ka, 1896, 8-ka, str. 266), przeprowadza ideę wpływu odżywczego, umoralniającego, mieszkańców wsi na mieszczuchów z krwi i kości. W opowiadaniu tem mamy wła-

śnie obraz taki idealnej wsi i jej oddziaływanie na młodych ludzi podczas wytchnienia wakacyjnego. Książka pp. Jadwigi Chrząszczewskiej i Jadwigi Warnkówny p. t.: „Rok czytania,“ również dla młodzieży, (Warszawa, Orgelkrand, 1896, 8-ka, str. 341). Książka ta składa się z prozy i wierszów, powiastek i opowiadań, powieści fantastycznych, podań i legend, obrazków, życiorysów, pamiętników, wspomnień, obrazów geograficznych, opisów natury, szkiców obyczajowych i etnograficznych, opowiadań z dziedziny pracy, opisów i pogadanek ze świata przyrody i higieny. Poezye zaś są podzielone na pieśni, bajki, legendy, ballady, opisy i obrazki. Wogóle treść rozpada się na dwanaście części i odpowiednio jest zastosowana do każdego miesiąca. Oczywiście, nie jest to podział czysto okolicznościowy, gdyż tylko cząstka treści nadaje się do tego.—P. Karolina Szaniawska na kolendę dała: „Teatr dla dzieci,“ książkę, złożoną z sześciu komedyyk jednoaktowych p. t.: „Córka króla Ówieczka,“ „Pensyonarki,“ „Sknera,“ „Awantura w Ruczynku,“ „Dobra wróżka,“ „Podróżnicy,“ (Warszawa, Centnerszwer, 1896, 8-ka, str. 235).—P. Marya Celestyna przełożyła opowieść J. de Sobola p. t.: „Wakacye Pawelka“ (z 32 rycinami w tekście). (Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1877, 8-ka, str. 110). Or-Ot (Artur Oppman) ofiarował dzieciom i młodzieży wiązaną powinszowań wierszem i prozą p. t.: „Powinszowania,“ (Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1897, 8-ka, str. 138). Są one zastosowane do wszelkich uroczystości rodzinnych, a więc powinszowania imienin, lub urodzin, matce i ojcu, dziadkowi, babce i innym członkom rodziny, opiekunowi, opiekunce, nauczycielowi, nauczycielce. Część druga, poświęcona dla dorosłych, zawiera powinszowania w dniu imienin, urodzin, Nowego Roku, na dzień zaślubin i inne okolicznościowe życzenia na dni uroczyste w rodzinie i dla przyjaciół, a nawet... pryncypałów. Nadto, są powinszowania dla narzeczonej, powinszowania i toasty na dzień zaręczyn i zaślubin, srebrne i złote wesele, przyjęcie i pożegnanie duchownych, przemówienia i toasty... na zebrania koleżeńskie, toasty imieninowe, wiersze do albumu, wiersze załączone z fotografią i t. d. Oczywiście, ta część musi chyba być przeznaczona dla ludzi mniej niż skromnie ukształconych.



Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

SPIS RZECZY.

ZA WARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z ROKU 1896.

Filozofia.

	Str
Nowe badania nad Platonem—przez H. Struvego	543

Historya.

Adolf Pawiński — przez Al. Rembowskiiego	193
Na dworze Władysława IV — przez Dr W. Czermaka	437

Szkice polityczne.

Armenia i Armeńczycy — przez Józefa Keniga	265
Julian Dunajewski — przez Al. Rembowskiiego	487

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Fizyokratyzm w dawnej Polsce—przez Dr. J. B. Marchlewskiego	319
---	-----

Literatura.

Str.

Fermenty, powieść (ciąg dalszy i dokończenie)—przez W. St. Remonta	37, 288 i 392
Z obcych stron, wiersz —przez El...ego	123
Z cyklu „Italia“, drobiazgi włoskie (poezye) — przez Maryę Konopnicką	355 i 484
Jesienią. List do przyjaciela, (poezye) — przez Selima	552
W Puszczy—przez Wacława Berenta	524

Studyja i szkice literackie i artystyczne.

Obrazki starszlacheckie—przez A. Brücknera	1
Z wycieczki do Buda Pesztu—przez E. Lipnickiego.	105
Stanisław Tarnowski o dramatach Schillera — przez Stanisława Kozłowskiego	163
Byron po polsku—przez Ign. Matuszewskiego	36

Nauki przyrodnicze.

O samoobronie — szkic fizyologiczny—przez Dr. M. Flauma.	76
Cerebraeya żywiolowa — przyczynek do psychologii spirytyzmu—przez L. Krzywickiego	125

Krytyka.

Teodor Wierzbowski: „Napomnienia polskie ku zgodzie do Wszech-Krześcianów wobec, a mianowicie ku Polakom uczynione;” — Dr. Kazimierz Waliszewski: „Ostatni poseł Polski do Porty Otomańskiej. Akta legacyi stambulskiej Franciszka Piotra Potockiego, Starosty Szezerzeckiego, z Archiwum Roskiego;” zebrane i wydane;” Michał Rolle: „Z przeszłości. Okręg Rawski, Starostwo Barskie;” przez A. Rembowskiego	174, 371 i 558
Andrzej Nfemojewski: „Listopad”—przez Wł. Ordyńskiego.	176
Iwan Wazow: „Pod jarzmem tureckim;” (powieść)—przez Wł. Bukowińskiego	561

Kronika zagraniczna.

Str.

- Paryska.* „Poeemat Rodanu“, Fryderyka Mistrała.—Edmund Goncourt i jego akademii.—Wspomnienia o Wiktorze Pavie.—Robert Burns w „Przeglądzie Przeglądów.” — Jerzego Michela „Życiorys Vaubana.”—Rozprawa Adolfa Mezieres'a o Lessingu.—Albomy Chmielewskiego (*Constant de Tours*).—Trzy kompozycje Puvisa de Chavannes.—Afisze artystyczne.—Gmach muzeum historii przyrodniczej.—Krajobrazy Fryderyka Rouge. 295
- Rzymska*—przez A. Darowskiego.—Uroczystości weselne.—Ludwik Palmieri.—Obserwatoria na Wezuwiuszu i w Watykanie.—Kardynał Hohenlohe.—Nowo odkryte przez archeologów ślady murów, należących do tak zwanej *Roma quadrata*. — Papieskie *conclave*.—Historyczne tradycje obioru papieżów.—„Bessarion.” 458

Kronika miesięczna.

- Październik.* Rzezie w Konstantynopolu i postawa wobec nich mocarstw europejskich. — Powodzenie wyprawy sudańskiej.—Traktat handlowy włosko-tunezański. — Rzeźbiarz wioskowy. — Wystawa w Niższym-Nowogrodzie i produkcya Królestwa Polskiego.—Kassa zapomogowo-oszczędnościowa dla artystów prowincjonalnych. 178
- Listopad.* Podróże Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa.—„Odkrycia” ks. Bismarcka. — Nieporozumienia celne między Rosyą i Niemcami.—Owiedziny dra Gałęzowskiego i reporterya.—Konieczność redakcyjnej kontroli nad działem ogłoszeń w pismach.—Handel dziewczętami w Buenos Ayres, Montevideo i Rio-de-Janeiro i potrzeba przeciwstawienia mu organizacyi ochronnej.—Towarzystwo walki z chorobami zakaźnymi. 377
- Grudzień.* Parlamenti i ich prace, we Francyi, Niemczech, Austrii, Włoszech.—Reformy tureckie.—Nowy prezydent Unii Amerykańskiej.—Panorama Tatr. — Wypadki na kolejach. — Konieczność

wprowadzenia wszędzie centralizacji zwrotnic i sygnałów oraz udoskonalenia hamulców. — Spis jednodniowy. — Ś. p. Antoni Nagórny. 566

Wiadomości bibliograficzne.

Październik. 191
Listopad. 392
Grudzień 578

